

MICHAEL KILIAN



WIELKA
ROZGRYWKA




AMBER

MICHAEL KILIAN

**WIELKA
ROZGRYWKA**

Przełożyła
Barbara Kruk



Tytuł oryginału
THE BIG SCORE

Ilustracja na okładce
CHRIS MOORE

Redakcja merytoryczna
JERZY SMAGOWSKI

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
JACEK RING

Copyright © 1993 by Michael Kilian
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.

ISBN 83-7082-801-9

Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.
Warszawa 1995. Wydanie I
Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku

ROZDZIAŁ

1

Było zbyt wcześnie, by dojrzec pływającą w ciemnościach żaglówkę. Błada poświata na wschodniej stronie nieba ledwie widniała za wydmami. Dopiero kiedy brzask pojaśniał, biały żagiel łodzi stał się widoczny na tle ciemności na zachodzie, skąd z pewnością Łódź nadpływała. Nieustępliwie zbliżała się coraz bardziej. Łopoczący żagiel zaróżowił się jaskrawo, kiedy słońce pojawiło się wreszcie na niebie. Ciemność zaczęła ustępować, odsłaniając ostrą linię horyzontu i całą szerokość jeziora Michigan, pustego w tej chwili, z wyjątkiem żaglówki.

Wędkarz, który założył swe małe obozowisko na falochronie tuż po północy, odczuwał zdenerwowanie z powodu tej żaglówki. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, przed świtem, jako niewyraźne, szare, posępne i nikłe światło, przestraszył się. Gdy rozpoznał żaglówkę, odczuł radość i zadowolenie z jej towarzystwa, oczekując, że przerwie jego długi, samotny połów. Wydawało się, że Łódź powoli płynie w jego kierunku. Zawołał, spodziewając się równie ochoczej odpowiedzi, nie otrzymał jednak żadnej. Przez jakiś czas nie zwracał uwagi na jacht, sprawdzając przynętę i żyłki.

Łódź jednak ciągle przybliżała się. To huśtała się lekko, to zastygała w bezruchu. Zataczając koła w prawo to znów w lewo, przemieszczała się - nie było to jednak prawdziwe żeglowanie.

Nie słychać było żadnego dźwięku poza krzykiem mew i delikatnym szcękaniem takielunku. Wędkarz podniósł się z grymasem na twarzy z powodu bólu pleców i nóg. Krzyknął ponownie, głośniejszym głosem. Nadal nie było odpowiedzi. Nie widział nikogo za kołem sterowym ani w kokpicie: Uspokoił się uderzony nową myślą: łódka musiała zerwać się z cumy w jakimś odległym porcie i wiatr gnał ją w poprzek jeziora. Niepokój powrócił,

kiedy uprzytomnił sobie, że nikt nie mógłby uwiązać łodzi w pełni otaklowanej i zaklinowanej. Główny żagiel był mocno napięty, ale wyglądało na to, że bom i rumpel były zaplątane w liny, co tłumaczyłoby dziwaczne zachowanie się jednostki na wodzie.

Zdał sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek był na pokładzie, to mógł utopić się, nie widziany i nie słyszany przez nikogo, w przepastnych ciemnościach nocy. Rybak mógł teraz dostrzec litery i cyfry na dziobie żaglówki wystarczająco wyraźnie, aby zauważyć, że była zarejestrowana w stanie Illinois. Odległość do Chicago w linii prostej, w poprzek jeziora, wynosiła około czterdziestu mil, byłaby to długa droga do przepłynięcia w ciągu jednej nocy. Cofnął się od brzegu.

Nie było ani sztormu, ani dużego wiatru, które utrudniałyby sterowanie lub spowodowałyby sytuację zagrażającą życiu. Można by przepłynąć tej nocy jezioro nawet w maleńkiej motorówce, gdyby miało się benzynę i dość odwagi. Ktokolwiek był na pokładzie musiał być pijany. To zdarzało się często.

Północno-wschodni kurs przybliżył łódź znosząc ją wzdłuż falochronu. Wędkarz zastanawiał się nad sprowadzeniem pomocy, ale droga do biura kapitana portu była daleka, a do tego nie był pewien, czy zastanie kogoś o tak wczesnej porze. Grand Pier nie był ruchliwym portem, nawet w szczycie letniego sezonu.

Zaczął iść wzdłuż falochronu, dotrzymując kroku łodzi. Była dostatecznie duża, by czuć się w niej wygodnie podczas żeglowania. Trzydzieści stóp lub więcej. Wycieczkowy, mały statek żaglowy, na którym mogło spać sześć osób. Ponownie zawołał w kierunku żaglówki, znacznie głośniejsze niż było potrzeba. Miał nadzieję, że głośnie wołanie obudzi kogoś śpiącego pod pokładem.

Kiedy wiatr ustał na chwilę, łódź przysunęła się nieznacznie do falochronu, pozwalając mężczyźnie zajrzeć do kokpitu. Utworzone z rdzawoczerwonych kropelek linie spływały po boku siedzenia przy sterze. Wodna breja na podłodze była blad różowa.

Łódź uderzyła o falochron. Dziób oddalił się i po chwili statek ponownie uderzył pokładnicą. Żagiel dziobowy zwisał nad prawą burtą. Rybak chwycił linę, pociągnął ją i ściśle zawiązał wokół jednego z zardzewiałych

słupków balustrady, biegnącej wzdłuż falochronu. Prostując się, mógł teraz zajrzeć do ciemnej kajuty, gdzie tuż przy wejściu zobaczył wykręcone ludzkie stopy. Lewa obuta była w ciemnobrązowy but żeglarski z białym spodem. Druga stopa była goła. Nogi były opalone, a podeszwa nagiej stopy biała jak gotowane rybie mięso. Były to drobne kobiece stopy. Po sprawdzeniu węzła, zacisnął go dokładniej na podporze pokładowej i niezgrabnie wgramolił się do kokpitu. Pod jego ciężarem statek zakołysał się mocno i dla utrzymania równowagi mężczyzna musiał usiąść. Zbierając w sobie odwagę, zajrzał do kajuty.

Było to ciało młodej kobiety, ubranej w szorty w kolorze khaki i białą bluzkę poplamioną na plecach. Wędkarz wziął głęboki oddech i próbował opanować drżenie. Miał już do czynienia z ofiarami utonięcia. Przyczyna śmierci tej dziewczyny była inna - przerażająca. Jęknąwszy pochylił się, uchwycił nogi dziewczyny i mocno pociągnął. Jej skórzany pasek przez moment zahaczył o stopnie kajuty, potem się rozpiął i ciało przesunęło się ku niemu.

Wyciągnięta z szortów bluzka luźno zwisała. W ubraniu dojrzał dwie dziury otoczone purpurowymi kołami. Jeszcze raz pociągnął i wy dostał dziewczynę z kokpitu. Miała smukłe ciało i piękne jasnobrązowe włosy. Ramiona jej znajdowały się nad głową, a w dłoniach kurczowo ścisnęła zwinięty gruby kawałek papieru lub tektury. Mężczyzna nie zwracając uwagi na papier, obrócił ją doznając szoku, gdy stwierdził, że martwe jasnoniebieskie oczy patrzyły na niego. Dotykając delikatnie ręką zimnego policzka, odwrócił jej twarz. Oceniał, iż kobieta musiała mieć dwadzieścia parę lat, a może nawet trzydzieści i była bardzo atrakcyjna.

Przód jej rozchylonej bluzki był również zakrwawiony. Nie nosiła stanika. Piersi i brzuch poplamione były krwią. W klatce piersiowej i poniżej żołądka widoczne były postrzałowe rany. Krew była już zaschnięta.

Poczuł mdłości a jego oddech stał się ciężki i głośny. Zamknął oczy i usiadł mając nadzieję, że minie skurcz przepony i żołądka. Oglupiały, zaczął zastanawiać się, co powinien teraz zrobić. Spojrzał znów na dziewczynę. Podziwiał jasne i czyste rysy jej młodej twarzy i poczuł wściekłość na tego, kto to zrobił. Delikatnie wyjął gruby papier z jej rąk. Był to obraz. Nigdy przedtem nie widział nie oprawionego obrazu. Było to mroczne malowidło.

Olej, domyślił się. Był to osobliwy gatunek malarstwa, przypuszczał, że mogło to być malarstwo nowoczesne, ale całkowicie czytelne. Obraz przedstawiał zatłoczoną ulicę. Mimo plam krwi mógł rozpoznać sylwetki ludzi - mężczyzn w cylindrach i kobiet w futrach. Wszyscy ci ludzie spieszenie podążali w kierunku wysokiego, jasno oświetlonego czerwonego budynku, czerwonego jak krew dziewczyny. Budynek górował nad tłumem na tle czarnego nieba. Na pierwszym planie stała kobieta ubrana w długi czerwony płaszcz i długą różową suknię, na nogach miała białe pantofle na wysokich obcasach. Patrzyła na wszystkich z ironicznym uśmiechem.

Obraz był zniekształcony przez dziury znajdujące się po obu stronach kobiety na wysokich obcasach. Dziewczyna musiała trzymać obraz na piersi, gdy do niej strzelano. Na płótnie znajdowały się również małe zadrapania. Pomyślał, że mogły być zrobione przez dziewczynę - może z bólu w ostatnich minutach życia.

Z dreszczem grozy rzucił obraz do kajuty. Mały sapiący trawler płynął na południe w poprzek jeziora. Mężczyzna spojrział na zegarek, a następnie na ubrudzone lepką czerwonością palce. Wytarł je w spodnie, odwrócił się i z wysiłkiem wdrapał na falochron. Szedł ku brzegowi tak szybko, na ile pozwalały mu jego potężne ciało i wiek.

Kiedy tylko Matthias Curland podróżował samolotem, zajmował miejsce przy oknie. Widok z wysoka nigdy go nie nudził, nawet wtedy, gdy leciał nad morzem albo, jak teraz, nad płaską szachownicą równiny amerykańskiego środkowego zachodu. Taki widok pozwalał mu odczuwać najprawdziwszy sens istnienia, uważał również, że ustawia człowieka i jego pracę w odpowiedniej perspektywie.

Wzrok prześlizgiwał się po polach, na przemian zielonych i żółtych późną wiosną. Nagle, w jednym magicznym momencie, ukazał się modrobłękitny brzeg jeziora Michigan. Zestawienie kolorów ziemi i wody oraz zagięcia linii brzegowej wyglądały jak interesujące malowidło, które naskicowane dwuwymiarowo stawało się trójwymiarowym, w zależności od kąta nachylenia. Samolot przeleciał nad jeziorem i obraz znikł jak wymazany. Przez okno widać było teraz błękit zamglonego nieba i wody. Curland

wyprostował się w fotelu i popatrzył na zegarek. Wypił ostatni łyk kawy, złożył stolik, a następnie uprzejmie oddał filiżankę przechodzącej stewardesie. Oparł plecy uspokojony i cierpliwy, jego zwykła melancholia ustąpiła jak nagły odpływ morza. Mogła powrócić, nieubłagana, ale w tej chwili był prawie zadowolony. Druga klasa rejsu do Chicago przepełniona była biznesmenami, ubranymi w prawie jednakowe garnitury o nieokreślonym brązowym kolorze, noszone przez nich jak uniformy służbowe.

Matthias ubrany był zwyczajnie - stara granatowa kurtka, jasnobłękitna koszula z rozpiętym kołnierzykiem, szare flanelowe spodnie i czarne angielskie mokasyny powycierane na szyciach. Był wysokim, szczupłym mężczyzną pod czterdziestkę, z długimi wypielęgowanymi dłońmi, wąskim nosem, cienkimi ustami i patrycjuszowską twarzą. Cechowała go powaga i wrodzona uprzejmość dobrze urodzonych osób, o jakich Oscar Wilde kiedyś powiedział: „Dżentelmen nigdy nie obraża - chyba że celowo”. Dwa lata śródziemnomorskiego słońca opaliło i pobruździło jego skórę, rozjaśniło siwiejące włosy, czyniąc go na powrót prawie blondynem, co wraz z błękitnoszarymi oczami stanowiło wspólną cechę jego, pochodzącej z Niemiec, rodziny.

Jakaś kobieta powiedziała mu kiedyś, że wygląda na bogatego człowieka. Nigdy nie był naprawdę bogaty, choć dorastał w Lake Forest w domu swego naprawdę bogatego dziadka, starego dżentelmena w jednej z tych wielkich, kamiennych rezydencji, przyczepionych do szczytu urwiska nad linią brzegową, jak miniaturowa siedziba magnacka. Po śmierci dziadka, zgodnie z testamentem, większość pieniędzy przekazana została jego fundacji oraz na cele charytatywne. Fortuna rodziców Matthiasa nagle się zmniejszyła. On sam był zmuszony iść przez życie jak zwyczajny człowiek - po prostu zwykły architekt z trudem płacący swoje rachunki. Gdy w końcu zaczął sobie radzić, wcale nie został bogatym człowiekiem.

Mając nadzieję, że zostanie malarzem, wstąpił do pensylwańskiej Akademii Sztuk Pięknych w Filadelfii. Następnie przeniósł się do Instytutu Technologii w Illinois, gdzie jego ojciec studiował architekturę. Wśród szkolnych kolegów Matthiasa było wielu takich, których dziadkowie byli hutnikami lub motorniczymi w metrze. Osiągnęli większy sukces niż jemu się kiedykolwiek udało, nawet wtedy, gdy rodzinna firma architektoniczna

dobrze prosperowała.

Przez ostatnie dwa lata żył głównie na cudzy koszt, udając malarza, którym zawsze chciał zostać. Na tę podróż musiał pożyczyć pieniądze. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, w jaki sposób je zwróci.

Przysunął się ponownie do okna, oczekując na pojawienie się zarysu miasta na tle nieba, na małe jak zabawki domy, stojące jak blanki murów obronnych przed rozciągającym się za nimi zamglonym miastem.

Matthias kochał miasta. Przebywając na tułaczce w słonecznej południowej Francji, wybrał życie w zatłoczonym, zaganianym Cannes. Chociaż powracał teraz niechętnie, uważał Chicago za miasto wyjątkowe, prawie tak wyjątkowe jak Paryż. W Nowym Jorku liczył się tylko Manhattan, bardzo mała przestrzeń zatłoczona ponad miarę. Jego budynki, połączone ze sobą, uparcie ignorowały wielki świat wokół siebie. Los Angeles wyglądało, jakby ktoś wysypał z pudełka klocki i poustawiał je pionowo. Waszyngton był miastem odizolowanym, upiękuszonym Parkiem Federalnym, obwiezionym dzielnicą slumsów - z wyjątkiem pomników i budynków rządowych, była to architektoniczna próżnia.

Chicago było prawdziwą stolicą, królową miast amerykańskich, jej szmaragdem, było panem tego wielkiego środkowo-zachodniego obszaru Ameryki. Miasto to miało poczucie własnej odrębności i swoją własną wizję. Każdy z jego budynków stał jak odrębna istota. Wyglądały jakby potężna erupcja wyrzuciła je z głębi ziemi.

Trzy główne wieżowce górowały na resztą: jak ciemne domino - Hancock Center, podobny do cienkiego białego ołówka budynek Standard Oil i szaro-czarna strzała domu towarowego Searsa. Ten trzeci został ostatnio wyzwany przez multimilionera i egocentrycznego maniaka z Nowego Jorku do współzawodnictwa o tytuł najwyższego na świecie. Planował wybudowanie jeszcze wyższej sterty stali i betonu na parceli znajdującej się przy rzece Hudson, a należącej kiedyś do obecnie zbankrutowanego Donalda Trumpa, który miał nadzieję, iż imię jego będzie wyryte na tym monumencie.

Gdy samolot doleciał bliżej linii brzegowej jeziora, Matthias przycisnął czoło do okna, wytężając wzrok. Powietrze było dostatecznie czyste, by mógł zobaczyć miasto od strony jeziora i swój indywidualny wkład w

rysującą się na tle nieba panoramę Chicago - wąski, zielony, trójkątnie wymodelowany wieżowiec, skierowany w stronę Parku Lincolna, na północ od Gold Coast. Inwestor dał mu całkowicie wolną rękę w projektowaniu, a budynek uzyskał prestiżową nagrodę architektoniczną. Inwestor zbankrutował.

Matthias przez siedem lat pracował w Chicago jako architekt. Przeprowadził się później do Nowego Jorku, ponieważ kobieta, którą poślubił pochodziła stamtąd. Kiedy rozwiedli się ostatecznie, uciekł nie tylko od niej, ale również od swojego zawodu i dotychczasowego życia. Został „malarzem” w Paryżu, Cannes, Nicei i Cap Ferrat. Czasem głodował lub żył na cudzy koszt, ale jakoś pozostał „malarzem”, co w pewien sposób przypominało życie Paula Gauguina. Różnił ich jednak talent.

Teraz nie wiedział kim jest - tylko gdzie jest. Był w domu, było to ostatnie miejsce, w którym chciał być.

Opóźnienie w lądowaniu wynosiło tylko dwadzieścia pięć minut. Zanim samolot zatrzymał się na dobre, jeden z biznesmenów sięgnął po torbę umieszczoną nad głową, a inni w ślad za nim sięgali po swoje teczki i torby z garderobą. Każda zaoszczędzona minuta była dla nich cenna. Matthias zrelaksowany pozostał na miejscu, dopóki przejście między fotelami nie opróżniło się.

Przejechał taśmą przez dziwaczny, skomplikowany architektonicznie korytarz wewnętrzny, zaprojektowany od nowa przez O'Harę. Podszedł do okrągłej taśmy bagażowej i stwierdził, iż dwie jego torby już czekają. Kupił oba główne dzienniki wydawane w Chicago, a następnie stanął przy jednym z kontuarów wynajmu samochodów. Czekając, patrzył na ruchome schody prowadzące z głównej hali znajdującej się na górze. Chciał zapalić fajkę, ale było to surowo zabronione.

Jego brat Christian obiecał wyjść po niego na lotnisko, ale oczywiście nie przyszedł. Matthias czekał około pół godziny, wierząc w jego dobre intencje. W końcu poddał się, zebrał swoje bagaże i skierował do postoju taksówek.

Taksówkarz był przyjacielsko nastawionym czarnym mężczyzną. Natychmiast zaczął dyskutować o zawodach sportowych, o których Matthias nie miał pojęcia. Starał się jednak podtrzymać rozmowę, ale po kilku

minutach pozwolił jej zaniknąć i zajął się swoimi gazetami.

Zarówno *Tribune* jak i *Sun-Times* pisały na pierwszych stronach o jakimś Peterze Poe, usiłującym kupić baseballową drużynę White Sox. Artykuły zawierały również komentarz, który poddawał w wątpliwość dobro drużyny, jeśli kupi ją człowiek posiadający kasyno w Indianie i statek z grami hazardowymi na Missisipi, nawet jeśli pozbędzie się swych własności. To, co najbardziej zaciekało Matthiasa, to akapit, w którym była mowa o tym, iż rok wcześniej Poe kupił Cabrini Green, kompleks rozsypujących się domów mieszkalnych na Near North Side, które wybudowane zostały w latach pięćdziesiątych, jako idiotycznie utopijna odpowiedź na slumsy.

Kiedy Matthias wyjechał z Chicago, światek ten rozprzestrzenił się na obszary położone na zachód od Gold Coast i Parku Lincolna, wchłaniając getto dla czarnych. Cabrini Green znajdowało się niedaleko od północnej odnogi rzeki Chicago. Matthias przypuszczał, że człowiek ten mógł zrobić na tym dobry interes. Teraz w Alei Clybourn, położonej blisko tej inwestycji, znajdowały się nocne kluby i restauracje.

- Kto to jest Peter Poe? - zapytał.

- Pan nie zna Petera Poe? - zapytał szofer z niedowierzaniem. - Jest panem Chicago. Do diabła, on zamierza kupić całe to pieprzone miasto zanim skończy swój żywot. Jest to facet, który zrobił dobry interes na legalnym hazardzie w Indianie. Ma wielkie kasyno w Michigan. Posiada budynki w całym mieście i jeden z największych jachtów na jeziorze Michigan.

- Przepraszam - powiedział Matthias. - Nie było mnie tutaj.

- Musiał pan być daleko stąd, człowieku. Mówią o nim prawie codziennie w wieczornych wiadomościach.

Taksówkarz skierował ponownie rozmowę na sport, zaangażował się w monolog o oplakanym stanie baseballowej drużyny White Sox. Matthias usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz oglądał główne pozycje w lidze. Podczas gdy kierowca opowiadał, on zadowolony wyglądał przez przednią szybę, przez którą w oddali widać było wieżowce centrum. Było parę takich, których nie znał.

Christian Curland otworzył drzwi starego domu z cegły przy ulicy

Schillera, zanim Matthias zadzwonił, ale nie na tyle szybko, żeby pomóc wziąć bagaże z trotuaru. Dziadek, pierwotny właściciel domu, pozostawił go ich matce na miejską rezydencję. Obaj bracia przejęli dom po skończeniu college'u, dzieląc się nim dopóki Matthias się nie ożenił. Gdy Matthias i jego żona wyjechali na wschód, Christian wprowadził się doń ponownie. Kolejne kobiety mieszkały z nim, o czym Matthias wiedział z listów siostry. Był ciekaw, czy obecnie jakaś z nim mieszka.

- Nareszcie - powiedział Christian, trzymając szklanekę w rękę. Jego nie uczesane, ciemne włosy spadały na czoło. - Powstrzymam się od aluzji na temat rozrzutności.

Matthias postawił delikatnie bagaże na parkiecie w foyer, który koniecznie wymagał froterowania.

- Nie byłeś na lotnisku - powiedział.

- Czy nie dostałeś żadnej wiadomości, wielki bracie? Prosiłem ich o ogłoszenie przez głośniki. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie mogłem prowadzić w tym rozżarzonym słońcu. Potworny kac. Okropna noc. No, noc wspaniała, ale okropny ranek. Dopiero teraz zaczynam czuć się lepiej.

W kosztownej, kryształowej szklance, miał sok pomidorowy z dużą ilością innego płynu.

Przez moment Christian zastanawiał się, czy uściśnąć brata, ale doszedł do wniosku, że mógłby uronić drogocenny płyn ze szklanki. Matthias poszedł za nim do zaciemionego salonu, patrząc na obrazy i stałe wyposażenie domu. Dziwił się, że ciągle wszystko jest na swoim miejscu. Z wyjątkiem ulubionego aktu, który kiedyś namalował i kilku sztychów, wszystko inne pochodziło ze starej rodzinnej posiadłości, do nich Christian, mógłby rościć sobie prawo.

Zaciągnięte draperie utrzymywały półmrok w pokoju, ale cienki snop światła wpadający między zasłonami przecinał w poprzek dywan. Matthias zajął miejsce na kanapie poza zasięgiem światła i zapalił fajkę. Christian opadł na duży fotel po przeciwnej stronie. Czas i alkohol nie zniszczyły jego atrakcyjności. Raczej jeszcze ją wzmocniły, czyniąc go światowym, doświadczonym i bardziej męskim. Jego ciemne włosy były uderzającą anomalią. Nikt więcej w rodzinie takich nie miał. Christian żartował, że jest bękartem. Uprzedzał plotkarzy, którzy dawali to do zrozumienia całkiem

poważnie.

- Chcesz się napić, wielki bracie?
- Trochę kawy, ale później.
- Ciągle nie pijesz Matthias? Po tym co przeszedłeś?
- Kiedyś mógłbyś sam spróbować dać temu spokój.
- Kawa neska, to wszystko co mam - powiedział Christian zmieniając

temat. - Obawiam się, że musisz zrobić ją sobie sam. Oprócz sprzątaczk nie mam żadnej pomocy.

Matthias i jego żona zatrudniali sprzątaczkę na pół dnia, chociaż podejrzewał, że jego żona byłaby zadowolona mając służbę na stałe.

- Nie masz żadnego towarzystwa?
- Nie na stałe. Przeszkadzały mi w pracy. Zatrzymałeś się w Nowym Jorku, żeby zobaczyć swoją byłą żonę?
- Widziałem ją krótko. Nie było to udane spotkanie.
- Hillary ciągle mieszka w Westchester?

Matthias skinął głową. - Ma teraz to, czego zawsze chciała. Jej nowy mąż zajmuje się reklamą. Ona lubi takie życie.

- Reklamą? Ale drobnomieszczaństwo.

W przeciwieństwie do Matthiasa, Christian zawsze czuł się arystokratą. Snobizm był częścią jego osobowości.

- Przynajmniej zarabia na życie, czego nie mogę powiedzieć o sobie - stwierdził Matthias.
- Ale ty jesteś artystą, wielki bracie. Artystą.
- Sprzedałem trzy obrazy w tym roku. Za dwa tysiące dolarów każdy.
- Nieźle, wielki bracie.
- Były to akty - wielkie blondyny à la Veronese - dla Araba. Na jego jacht.

- Maluj więcej. Moglibyśmy spożytkować pieniądze.

Christian zajął do szklanki, jak gdyby coś ważnego było ukryte w soku pomidorowym. Następnie wypił zawartość, unikając wzroku brata.

- Czy w ogóle brałeś pędzel do ręki po moim wyjeździe?
- Wyobraź sobie, że tak, wielki bracie. Namalowałem portret jeden lub dwa i kilka innych rzeczy. Ciągle jakieś damy z Lake Shore Drive, którym

podoba się moja praca.

Nie bał się użyć tego słowa, chociaż „praca” Christiana, którą lubiły te damy, miała niewiele wspólnego z malarstwem. Płaciły mu za „pozowanie”, które czasami trwało tygodniami i miesiącami, ale rzadko były nieusatysfakcjonowane.

- Ile, dokładnie, pieniędzy moglibyśmy otrzymać? - zapytał Matthias.

Christian nabrał głęboko powietrza i westchnął. - Rodzina Curlandów jest zupełnie bez grosza, wielki bracie. Czy chcesz wszystkie te ponure szczegóły teraz, czy może poczekamy do wieczora? Jesteśmy zaproszeni na kolację w Lake Forest. Annelise tam będzie. Ona powie ci wszystko, bądź pewien.

- Poczekajmy do wieczora.

- Matka umarła cztery dni temu, Matthias.

- Przyjechałem tak szybko, jak mogłem.

- Mógłbyś zatrzymać się w Nowym Jorku w powrotnej drodze do Francji.

Nad kominkiem wisiał portret ich matki - olśniewające płótno, na którym udało się przedstawić ją w całej jej krasie, elegancji i dostojeństwie, bez maskowania małostkowości i szaleństwa. Namalował go Christian, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Studiował jeszcze w Instytucie Sztuki w Chicago, gdzie jego obrazy były ozdobą corocznych pokazów studenckiego malarstwa.

- Jeśli tam wrócę - powiedział Matthias. - Mam pewne wątpliwości.

- Co? - Christian był tak zaskoczony, że wylał trochę płynu.

- Śmierć matki i konieczność powrotu do domu odczytałem jako znak.

Myślę, że trwoniłem czas. Chciałem coś sobie udowodnić. To nie było to, o czym myślałem.

- Zamierzasz pozostać tutaj, w Chicago?

- Jest to ostatnia rzecz, którą chcę zrobić. Ale Cannes, Paryż. *Probablement, c'est finis. Rien de plus de la peinture.*

- Jesteś pewien?

- Raczej tak.

- Co będziesz robił?

• - Chciałbym to wiedzieć.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę w milczeniu. Christian opróżnił »

szklanke i postawił ją. Ręka drżała mu lekko.

- Annelise nie sądziła, że wrócisz - powiedział - nawet na pogrzeb matki.

Annelise była ich siostrą. Hodowała sznauclery olbrzymy w Barrington nad jeziorem County.

- Kiedy jest pogrzeb?

- Jutro rano. W Lake Forest. Została poddana kremacji. Rozsypujemy jej prochy po jeziorze. Jeśli nie masz ciemnego garnitur, możesz pożyczyć mój.

Zany Rawlings nie był durniem. Jego starzy przyjaciele, gliny z wydziału włamań szóstego okręgu w Chicago, z detalami opowiadali mu o włamaniach, gdy podjął tę durną pracę szefa policji w Grand Pier, po odejściu z departamentu na pięć lat przed emeryturą. Wyczuwał w ich głosie zazdrość. Otrzymywał teraz połowę tego, co miał pracując w mieście jako detektyw, ale jego żona prowadziła sklep plażowy, który latem przynosił dużo pieniędzy. Przystępstwa sprowadzały się do bójek na plaży, picia i rozróbek w pięciu miejskich barach i dwóch restauracjach uczęszczanych przez artystów, sporadycznej grabieży nie zamieszkanymi letnich domów i przekraczania dozwolonej szybkości. Mieli tylko raz problem z narkotykami. Wyrzuceni z college'u studenci, obrócili zabawę w interes. Wraz z prokuratorem okręgowym przytknęli ich.

Zany miał w zespole sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Pracowali sprawnie, pozostawiając mu mnóstwo czasu na czytanie, łowienie ryb, zabawę z komputerem oraz wymianę kłamstw z emerytowanymi policjantami. Jego córka kończyła college, syn już skończył. Żona z zadowoleniem prowadziła sklep z pamiątkami, gazetami i artykułami plażowymi. Życie było wspaniałe.

Przynajmniej do poranka, gdy żaglówka z martwą dziewczyną pojawiła się na jego terenie. Siedział w kuchni pijąc kawę i czytając nowy kryminał Sary Paretsky, kiedy jego sierżant zadzwonił z portu.

Gdy po raz pierwszy dołączył do policjantów w Chicago, próbowali nazywać go „kowboj” Rawlings. Miał na imię Zane, podobnie jak autor

westernów - Zane Grey. Z wyjątkiem czterech lat na uniwersytecie w Laramie, pierwsze dwadzieścia trzy lata swego życia spędził w Meade w stanie Wyoming. Przezwiśko „kowboj” nie pasowało do niego. Siedział na koniu tylko dwa razy w życiu i nie podobało mu się to szczególnie. W młodości pracował jako reporter w tygodniku, detonował ładunki wybuchowe w okolicznych kopalniach odkrywkowych i przez trzy miesiące był policjantem, ale tylko na liście płac. Spędził nawet noc w miejskim więzieniu po zbyt entuzjastycznej pohulance w dniu wypłaty.

Koledzy nazwali go Zany, ponieważ nie mogli wymyślić nic odpowiedniejszego. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu, a jego ubrania wyglądały, jakby były zbyt małe. Nosił brodę i miał zwyczaj szybkiego mrugania bladobłękitnymi oczami, gdy zastanawiał się nad czymś. Efekt ten potęgowały okulary, nadające mu wygląd ekscentrycznego profesora. Bez przerwy czytał książki i potrafił robić magiczne rzeczy z komputerem. Mimo swojej inteligencji był roztargnionym i zapominalskim gliną. Często kładł w niewłaściwym miejscu służbowy rewolwer i raz nieumyślnie „zabił” elektryczną maszynę do pisania, wyjmując broń z szuflady biurka.

Podobnie jak inni, którzy dorastali w okolicy otoczonej górami i jałowymi równinami, namiętnie kochał wodę. Jezioro Michigan było dla niego jednym z najwspanialszych dzieł Boga. Teraz zdradziło go.

Pobieżnie obejrzał ciało dziewczyny. Jego sierżant, George Hejmal, zrobił całą rolę filmu i Zany zamierzał obejrzeć zdjęcia później, gdy będzie miał więcej czasu.

Łódź nazywała się *Hillary*. Znalaziono w niej sześć dziur po kulach. Dwie przeszły przez plecy dziewczyny wychodząc w dolnej części klatki piersiowej i zaryły się w podłodze kajuty. Dwie inne uderzyły w ściankę na prawo od wejścia. Pozostałe dwie przeszły przez wierzch kajuty. Kąt strzału każdej z nich wskazywał, że były wystrzelone z ukosa i z góry, jak gdyby z mostka kapitańskiego innej, wyższej łodzi, lub nawet z nisko lecącego samolotu. Udało się wydobyć większość kul, kalibru .38 łącznie z tymi dwiema, które zabiły dziewczynę.

Obraz, który wypadł z ubrania dziewczyny, zainteresował go najbardziej. Coś, co umknęło uwadze patrolu, dla niego stało się natychmiast oczywiste. Krwawe plamy i dziury po kulach, które zniszczyły obraz, były zwiercia-

dlanym odbiciem tych znajdujących się na ciele dziewczyny. Powygniatane fałdy w dolnej części obrazu były zbieżne z linią talii jej szortów. Najwidoczniej miała zwinięty obraz pod bluzką.

Zany polecił Hejmalowi zrobić wiele zdjęć obrazu z przodu i z tyłu. Schował płótno w sejfie na czas nieobecności w biurze. Zany znał się trochę na sztuce. Poszedł kiedyś zobaczyć wystawę Frederica Remingtona w Instytucie Sztuki i od tego czasu chadzał tam regularnie. Widział wiele prac namalowanych w tym szczególnym stylu. Większość z nich powstała w Europie przed pierwszą wojną światową lub w latach dwudziestych.

Zany zadzwonił do prokuratora okręgowego, Douglasa Morana, a następnie do wydziału śledczego policji stanowej, dając im do zrozumienia, że tylko informuje ich o zbrodni zgodnie ze standardową procedurą, ale w żadnym wypadku nie zaprasza do przejęcia śledztwa. Mógłby oczywiście przekazać im postępowanie wstępne i powrócić do swoich lektur i łowienia ryb. Jednak prokurator okręgowy - człowiek, który tak kochał robienie sobie reklamy, że kiedyś pozował fotoreporterom w sprawie, w której pomógł tylko ludziom Zany'ego przegonić z plaży bandytów - nigdy by do tego nie dopuścił.

Przybycie detektywów z policji stanowej do Grand Pier mogło być korzystne. Prokurator Moran przyjechał w ciągu kilku minut i zaczął szperać wokół łodzi, dopóki Zany nie zasugerował mu, iż byłby najodpowiedniejszą osobą do uporania się z reporterami. Moran z gotowością na to przystał. Zany dał mu dość informacji dla miejscowej telewizji i wrócił do biura.

Łódź była łatwym tropem, wymagającym tylko telefonu do policyjnej jednostki morskiej w Chicago. Zarejestrowana na nazwisko doktora Richarda Meyersona, który powiedział, że nie korzystał z niej od ostatniego weekendu i nie mógł pojąć dlaczego nie jest zacumowana w porcie Burnham w Chicago. Wydawał się autentycznie zdumiony słysząc, że łódź znajduje się teraz w Grand Pier w stanie Michigan. Zaniemówił, gdy Zany powiedział mu o zamordowanej dziewczynie. Był oburzony propozycją przybycia do Grand Pier, mówiąc, iż jako chirurg-stomatolog jest bardzo zajęty. Nie zrobił niczego złego i zażądał natychmiastowego odstawienia łodzi. W końcu Zany postraszył, że sprowadzi go przez policję z Chicago i dentysta niechętnie zgodził się przyjechać po południu.

Przybył krótko po trzeciej. Potwierdził, że to jego łódź. Podczas przesłuchiwania go przez Zany'ego i dwóch policjantów stanowych, powiedział, że nic nie wie o żadnej dziewczynie i był bardzo niezadowolony, kiedy Zany poprosił go o pójście z nimi do szpitala, by obejrzeć ciało.

Śledczy z policji stanowej domagali się badania daktyloskopijnego łodzi, czego Zany jeszcze nie zrobił. Poprosił dentystę o dokładne obejrzenie jednostki. Nie było tam nic nowego, ani też niczego nie brakowało. Brak było tylko benzyny. Dentysta powiedział, że jak zwykle uzupełnił bak przed zacumowaniem. Teraz nie było w nim ani kropli benzyny.

Powiedział również, że nic nie wie o obrazie. Żądał, by powiedziano mu, kto naprawi uszkodzoną kulami łódź i był wściekły, gdy dowiedział się, iż na czas śledztwa zostanie zatrzymana jako dowód.

Zany kazał mu napisać oficjalne oświadczenie, w którym szczegółowo miał opisać, co robił w noc poprzedzającą zabójstwo - kolację w restauracji Elisa i pokera z kumplami.

Kiedy ostatecznie detektywi z policji stanowej odjechali, przypominając sarkastycznie Zany'emu o informowaniu ich o postępach śledztwa, zadzwonił do centrali policji w Chicago przy jedenastej ulicy oraz do policji stanowej, prosząc o sprawdzenie, czy któraś z zaginionych osób nie odpowiada rysopisowi znalezionej dziewczyny. Odpowiedzieli, że nie.

Prosił również o sprawdzenie alibi dentysty. Wysłał Hejmala do St. Joseph, żeby mieć jak najszybciej fotografie.

Potem nie wiedział co ma robić - z wyjątkiem myślenia. Robił to przy paru piwach na osłoniętej werandzie swego domu, gapiąc się na jezioro.

Po lunchu, prysznicu i długiej drzemce, która pozwoliła rozpędzić zmęczenie po podróży, Matthias poszedł na spacer przez Gold Coast, mając nadzieję, że tak dobrze znane widoki pozwolą mu otrząsnąć się ze smutku, który przyczepił się do niego przez ostatnie dni. Był zadowolony, że znalazł tak wiele starych domów ciągle jeszcze tu stojących i atmosferę charakterystyczną dla tej eleganckiej dzielnicy, tak niewiele zmienionej. Było kilka nowych wysokich domów, które wdarły się tu i ówdzie, ale nie na tyle blisko jego domu, żeby miało to znaczenie

Wędrówka zawiodła go w dół Lake Shore Drive, zaś nastrój poprawił się pod wpływem bryzy wiejącej od jeziora i rozciągającego się widoku nowych wysokich budynków stojących na południe od hotelu Drake, wzdłuż Alei Michigan. Nie było takiej perspektywy w Nowym Jorku. Żeby w pełni ocenić wieżowce Manhattanu trzeba było stanąć na cmentarzu, blisko rzeki East w dzielnicy Queens i nawet wtedy wydawało się, że wybudowane są gdzie popadnie.

Kiedy mieszkał w Chicago, często spacerował tu ze swą żoną - a potajemnie z inną kobietą, ciągle tu zamieszkującą. Ta myśl zaniepokoiła go i próbował wyrzucić ją z pamięci.

Jego brat całe popołudnie przebywał poza domem, wrócił przed obiadem mając czas tylko na przebranie się. Matthias prowadził samochód, ponieważ Christian pił przez całe popołudnie i nawet teraz wyciągnął butelkę martini z samochodu - czterodrzwiowego jaguara. Pojechali drogą szybkiego ruchu Edensa, byli już spóźnieni. Matthias wolałby jechać wolniejszą drogą Sheridan, która pięła się w górę, biegnąc wzdłuż jeziora przez przedmieście North Shore. Nie zależało mu na punktualności.

- Dość kosztowny samochód, jak na rodzinę będącą bez grosza - powiedział.

- Nie jest mój. Należy do klientki.

- Klientki?

- Do kobiety, której portret maluję. - Usłyszał dźwięk lodu w szklance Christiana. - Dama z Winnetka. Bardzo piękna.

- I ma powyżej czterdziestki, bez wąpienia.

- Tak naprawdę, to powyżej pięćdziesiątki. Kobieta w pełnym rozkwicie.

Perspektywa kontynuowania tej rozmowy spowodowała, że przyspieszył. Ich szybkość była teraz większa o dziesięć mil na godzinę od dozwolonej i taką utrzymywał, przepychając się długim samochodem przez wieczorny tłok. Amerykańskie drogi szybkiego ruchu były łatwe w porównaniu z tymi, którymi jeździł we Francji. Należała do nich Moyen Corniche w Monaco, droga prowadząca nad urwiskiem, gdzie na ostrym zakręcie zginęła Grace Kelly.

Matthias zostawił kobietę na Lazurowym Wybrzeżu. Miała na imię Ma-

rie-Claire i była mężatką. Mieszkał z nią przez osiem miesięcy, dopóki jej mąż nie powrócił z przeciągającego się pobytu w Azji. Potem widywał się z nią od czasu do czasu. Lubił ją, chociaż piła zbyt dużo. Nie powinien dokuczać Christianowi z powodu jego klientek.

- Czy było źle pod koniec? Gdy mama umierała?
- Nie sędzę. Umierała stopniowo od wylewu, cał po cału. Doktor nazwał jej śmierć błogosławieństwem.
- Czy musiała być spalona?
- To było jej życzenie - po tym jak amputowali jej nogi. Zaburzenia w krążeniu po wylewie, no wiesz. Gangrena. Paskudna sprawa, to wszystko.

Christian wypił ponownie mały łyk. Matthias zastanawiał się, czy jego brat był zawsze taki jak teraz, czy była to odpowiedź na stres, jakim była utrata matki i smutek z powodu powrotu jego dawnego rywala, starszego brata.

- W porządku - powiedział Matthias. - Powiedz, do jakiego stopnia jest źle. Nie chcę czekać na Annelise.

- Pieniądze.
- Ich brak.
- No, wielki bracie, ojciec faktycznie siedzi tylko na tyłku. Przeszedł przez wszystko. Wziął dwie pożyczki pod zastaw Lake Forest i zalega z płatnościami. Jeśli nie byłaby tak trudna do sprzedania, wierzyciel hipoteczny - kimkolwiek on jest - zakończyłby sprawę. Dom na Astor jest ciągle niezadłużony, ale bardzo potrzebuje naprawy i myślę, że nowego pieca. Przemarzał ostatniej zimy.

- Na co wydał pieniądze?
- Na wszystko co przyszło mu do głowy. Boże, on ciągle kupuje te rzadkie książki.

- Czy płacił rachunki za leczenie matki?

Christian wypił znowu. - Zostały uregulowane.

- A co z firmą?
- Firma jest słaba, wielki bracie. Ojciec nie był w biurze od ponad roku. Henderson dawno odszedł. Nasz młody geniusz podjął pracę w Miami, gdzie ciągle buduje się domy. Skończył tamtejsze centrum handlowe. Ohydna rzecz. Wynajął dwóch absolwentów Instytutu Technologicznego w Illinois.

Jeden z nich jest ciągle u nas, chociaż wciąż szuka pracy. Drugi przychodzi od czasu do czasu z daremną nadzieją otrzymania zaległej zapłaty. Musimy przeprowadzić się do tańszej dzielnicy, do jednego z tych „historycznych” budynków z okresu Louisa Sullivana w południowej części Loop, centrum finansowego miasta. Tam zawsze poszukują dzierżawców. Nie jestem pewien, jak długo będą chcieli nas trzymać. Z powodu czynszu. Ta recesja ugodziła paskudnie Chicago.

- Żadnych klientów?
- Żadnych nowych.
- Dlaczego nie napisałeś mi o tym?
- Miałeś dość problemów. Szczególnie z pieniędzmi.

Uwaga ta wprawiła Matthiasa w zakłopotanie.

- A muzeum dziadka? - zapytał.

Christian wypił wszystko, wyciągnął nową półlitrową butelkę ze schowka na rękawiczki i nalał do szklanki.

- Muzeum? Czy jest w porządku? - zapytał ponownie.
- Tak, tak. Tak jak dziadek zostawił. Do jasnej cholery - powiedział. - Każde zakurzone malowidło jest na swoim miejscu, tak jak jego lunatyczny testament nakazał. Ale pomyśl... wszystkie te malowidła. Gdybyśmy sprzedali jedno z nich, skończyłby się ten koszmar. Sam Schonfeld musi być wart jakieś dwa miliony.

- Wiesz, że nie możemy tego dotknąć.
- To jest tylko testament. Są prawnicy. Są sędziowie. To jest Chicago, wielki bracie.

- Rozmawialiśmy o tym wiele razy.
- Muzeum otwieram dla publiczności tylko po umówieniu się. Oszczędzam na wydatkach. Urzędnicy skarbowi z całą pewnością przyjdą do nas któregoś dnia w tej sprawie. Jill Langley odeszła od nas, wiesz. Dostała pracę w galerii Larry'ego Traina z dwa razy wyższą pensją.

- Pisała mi o tym.
- Ty i Jill korespondowaliście?
- Przez pewien czas. Potem przerwaliśmy.
- Ona była w tobie zakochana.
- Wiem. - Matthias nie chciał o tym mówić. Zupełnie. - Czy zatrzy-

małaś moją żagłówkę?

- Jak to powiedzieć. Wynająłem ją komuś z opcją kupna. Będziesz mógł dostać ją z powrotem w końcu roku. W przeciwnym razie będzie jego, jeśli za nią zapłaci. Powiedziałem mu, że chcę dwadzieścia tysięcy. To dużo za starą łódź. Pozwoliłem zarejestrować ją na jego nazwisko.

- Czy to było konieczne?

- Powiedziałeś, że mogę to zrobić, jeżeli nie będzie innego wyjścia.

- Czy zmienił nazwę łodzi?

- Nie, ciągle nazywa się *Hillary*. Myślę, że podoba mu się drażniący dźwięk tego imienia. Jest dentystą. Nazywa się Meyerson.

Christian posiadał wiele nieprzyjemnych cech, antysemityzm był jedną z nich.

- Jill nie była zadowolona, kiedy wynająłem łódź - dodał Christian.

- Powiedziałem jej, że może korzystać z niej, kiedy tylko chce.

- Była z tobą, kiedy wygrałeś regaty Mackinac?

- To były regaty z Chicago do Menominee.

- Jest dziewczyną, którą powinieneś być poślubić, wielki bracie. Nie żądałaby przeniesienia się do Nowego Jorku. Mógłbyś zostać tu i dobrze prosperować. Wszyscy bylibyśmy bardziej szczęśliwi. Szczególnie Jill. Rzeczywiście miała bzika na twoim punkcie.

- Byłem żonaty, gdy pojawiła się Jill.

- Ale już od dwóch lat nie jesteś.

- Czy zaprosiłeś ją na pogrzeb?

- Ja... nie. To byłoby zbyt okrutne, nie sądzisz? Po tym jak ją potraktowałeś.

- Zamknij się, Chris.

- Sally Phillips jest ciągle w mieście. Ona również wyszła za męż. m Ciemne włosy. Skóra koloru czystej kości słoniowej. Oczy o kolorze błękitu pruskiego. Pocałunek przy hotelu Drake na plaży przy Oak Street w mroźną zimową noc. To był ostatni raz, kiedy Matthias ją widział.

- Nie jestem zdziwiony. Jej mąż jest jednym z najbogatszych ludzi w Chicago.

- Teraz są rozwiedzeni.

Zbliżali się do zjazdu z autostrady na Glencoe.

- Rozwiedzeni.
- Chcesz o tym usłyszeć?
- Nie.

Ignorując przepisy Agencji Kontroli Przestrzeni Powietrznej, Peter Poe obniżył swój helikopter, lecąc tuż nad wodami jeziora Michigan. Przechylając samolot, by wziąć ostry zakręt i zwiększając szybkość do prawie maksymalnej, skręcił na południe. Był doskonałym pilotem, tak jak był doskonały we wszystkim, za co się wziął. Miał licencję na latanie odrzutowcami, helikopterami, wielosilnikowymi samolotami i mógł wynajmować się do przewozu pasażerów - śmieszny pomysł u człowieka, którego majątek wart był miliard dwieście milionów dolarów.

Leciał zrelaksowany, jego myśli krążyły wokół spraw czekających go następnego dnia. Zapowiadał się dzień wypełniony zajęciami - nie kończące się rozmowy telefoniczne, konferencje, towarzyskie spotkania - jak każdy inny w roku, jak każdy inny w jego życiu. Obiecał swej żonie, Diandrze, spędzenie wolnego dnia w ich wiejskim domu, znajdującym się nad brzegiem jeziora Geneva w stanie Wisconsin. Wczoraj wieczorem wszedł do niej na górę, ale czuł zdenerwowanie, rozdrażnienie i zniecierpliwienie. Chciał wracać do miasta. Obstawał przy natychmiastowym powrocie. Następnego wieczora miało odbyć się ważne przyjęcie przy Lake Shore Drive i chciał by mu towarzyszyła. Była efektowną kobietą, co najmniej pięć cali wyższą niż on i piękną jak z okładki magazynu. Zawsze czuł się nieswojo bez niej, podobnie jak bez garnituru za dwa tysiące dolarów kupionego u Gieves'a i Hawkes'a oraz bez zegarka Piaget. Brał ją wszędzie, nawet na klubowe obiady z biznesmenami.

Leciła razem z nim, siedząc z tyłu w kabinie dla pasażerów razem z jego ochroniarzem - Lennym Krasowskim, czytającym jakąś książkę przy słabym świetle kabinowym. Ze swego domu nad jeziorem Geneva Poe poleciał kursem południowo-wschodnim przecinając linię brzegową jeziora Michigan na północ od Waukegan. Noc była na tyle jasna, że mógł obserwować odległe światła centrum Chicago.

Sylwetka dwumasztowego jachtu - jolki lub kecza; Poe nie mógł nigdy

zapamiętać, który jest który - wydawała się jakby zamarła. Skręcił helikopterem w lewo, nie chcąc przestraszyć pasażerów zbyt bliskim przelotem na małej wysokości. Badał łódź, przelatując obok, podziwiał jej rozmiar i gracje. Poe posiadał jeden z największych motorowych jachtów na Wielkich Jeziorach, ale zaczął się nim nudzić. Był już odpowiedni czas, by sprawić sobie wielką żaglówkę. Donald Trump nigdy nie posiadał żaglówki. Ted Turner miał i wygrał puchar Ameryki.

Mógłby pomyśleć o nabyciu jachtu w ciągu tego tygodnia, zapłacić nawet gotówką. Odsetki od jego podstawowego zadłużenia wynosiły jakieś 35 milionów dolarów, co stanowiło więcej niż dochody z jego rozlicznych przedsiębiorstw, nie dopuszczał jednak, żeby stało się to problemem. Te pieniądze należały do innych ludzi. Zbudował całe swoje imperium z pieniędzy innych. Mógł od nich wziąć jeszcze więcej.

Przelatywali teraz obok Outer Drive - małe światełka poruszały się po prawej stronie. Wysokie domy mieszkalne stojące za ciemną murawą Parku Lincoln zapraszały światłami okien. Z przodu wieżowiec Hancock Center, którego szczyt - otoczony obręczą świateł migających irracjonalnym blaskiem - wyglądał jak wartownik strzegący Gold Coast.

Poe skręcił w lewo nabierając wysokości. Włączył mikrofon, podając pozycję i podchodzenie do wieży Meigs. Odpowiedział mu przyjacielski głos. Poe tak często korzystał z lotniska, że jego znak wywoławczy był znany, jak jego nazwisko.

Zobaczył błyskające światła sygnalizujące pas startowy, zmniejszył prędkość helikoptera, który przez moment jakby zawisł w powietrzu, następnie skierował go w stronę budynków znajdujących się w centrum miasta. Jeden z najwyższych należał do niego. Stał przy Alei Michigan, znajdowały się w nim lokale biurowe i mieszkalne. Wyróżniał się czerwoną kopułą, która dzięki błyszczącym światłom reflektorów jarzyła się, jak węgle na tle nocnego nieba. Nie był największy. Właściwie żaden z budynków tworzących panoramę Chicago nie dominował.

Poe zniżył helikopter lecąc wzdłuż środka pasa startowego, i wylądował tuż przed jego końcem. Zgasił silnik, odchylił się do tyłu, rozprostował ramiona i palce, podczas gdy wirnik nośny zatrzymywał się z jękiem i drżeniem.

Jego sekretarka, Mango Bellini, czekała już na polu startowym. Jej długie ciemne włosy rozwiewał podmuch pracujących jeszcze śmigieł. Za nią stał jeden z jego samochodów, wielka czerwona limuzyna z szoferem.

- Cześć, szefie - powiedziała, gdy wysiadł.
- Wszystko w porządku?
- Oczywiście. Dlaczego miałyby nie być?

Poe skinął głową. Diandra nie powiedziała nic do kobiety. Poe wszedł do małego budynku, gdzie mieściło się biuro kontroli lotów, by wpisać się do książki.

- Miły lot, panie Poe? - zapytał mężczyzna za kontuarem.
- Świetny, Jimmy - powiedział Poe, który postarał się wcześniej zapamiętać jego imię. Znakiem wywoławczym Poego były litery MO - rzadko spotykane u bogaczy. Był miłym facetem. Traktował wszystkich jak kumpli i - kiedy to było możliwe - mówił do nich po imieniu.

- Czy leciał pan wczoraj wieczorem?
- Tak, do jeziora Geneva. Jest to w książce lotów. A o co chodzi?
- Miał pan jakieś kłopoty, czy coś w tym rodzaju?
- Kłopoty?
- Ktoś doniósł o helikopterze lecącym bardzo nisko nad jeziorem.

Mysleliśmy, że to może pan miał jakieś kłopoty.

- Żadnych kłopotów Jimmy, czasami nie od razu uzyskuję odpowiednią wysokość.

- Niech pan będzie ostrożny, panie Poe. Pływający po jeziorze skarżą się czasem.

Uśmiechnął się znowu. - Dobrej nocy, Jimmy.

- Dobranoc, panie Poe.

Szofer trzymał silnik na chodzie. Krasowski włożył torby do bagażnika i usiadł obok kierowcy, a Mango na rozkładanym miejscu. Diandra siedziała obok Poego z tyłu, wyglądała na zmęczoną i trochę nieszczęśliwą.

Rzeczywiście chciała zostać nad jeziorem Geneva.

- Najpierw do wieżowca Poego - powiedział. - Następnie odwieziesz Mango do domu.

- Tak, szefie.

Mango rzuciła mu mroczne spojrzenie. Prawdopodobnie liczyła na to, że

wróci z nim do mieszkania znajdującego się na dachu wieżowca i będą do późna pracować. Według świadectwa urodzenia Mango nazywała się Rose Scalzetti, ale przybrała imię Mango Bellini, kiedy zaczęła swą średnio udaną karierę barowej piosenkarki. Imię zapożyczyła od koktajlu, który lubiła i którym została poczęstowana w nowojorskim lokalu, odwiedzanym przez znakomitości.

Nie była zbyt dobrą piosenkarką, ale klienci lubili na nią patrzeć. Poe wynajął ją na sześć tygodni do foyer swego kasyna w Atlantic City, robiąc uprzejmość mężczyźnie, do którego wtedy należała. Po tygodniu weszła w skład jego osobistego personelu. Zwykły tytuł „sekretarka” był zupełnie nieodpowiedni do roli, jaką spełniała teraz w jego życiu i w interesach. Mężczyźnie, do którego należała przedtem, nie bardzo się to spodobało, ale nie było go na miejscu i nie mógł protestować.

Była bystra, elegancka i przystojna. Może trochę za szeroka w biodrach, ale reszta była wspaniała - nogi jak u dziewczyny z pokazów mody, wąska talia, dobre ramiona, wspaniałe piersi, które najbardziej pomogły jej w tym, że została profesjonalną śpiewaczką. Oliwkowa skóra brązowieła w świetle lamp ulicznych. Olbrzymie ciemne oczy i gęste, czarne i skręcone włosy opuszczone na plecy. Gdyby była dziewczyną na telefon - twierdziła z uporem, że nigdy nią nie była - mogłaby stać się naprawdę bogata.

Pracując dla Poego stawała się jeszcze bogatsza.

Mango była kiedyś uzależniona od kokainy. Całe dni piła alkohol, jak wiele innych w jej zawodzie, ale Poe nie miał trudności z przekonaniem jej, żeby skończyła z nałogami.

Za to jego żona zaczynała pić trochę za wcześnie, a kończyła zbyt późno. Niepokoiło go to.

Diandra była prawdziwą damą, absolwentką uniwersytetu stanowego w Michigan. Chciała zrobić karierę w reklamie, dopóki ktoś nie zasugerował jej zajęcia modelki. Miała blisko sześć stóp wzrostu, była bardzo szczupła. Zimna klasyczna uroda. Oczy błękitnoszare, czasami stawały się piwne, a czasami bladezielone, w każdym wypadku harmonizowały z płomiennym kolorem włosów. Nie zawsze wychodziła dobrze na fotografiach, chociaż była ceniona jako modelka. Poe poznał ją na pokazie zorganizowanym w jednym ze swoich hoteli. Pobrali się w ciągu sześciu miesięcy. Początkowo

odrzucała jego oświadczenia i zwracała wszystkie jego prezenty. Potem, zupełnie niespodziewanie, gdy już miał zamiar ją rzucić, zaakceptowała go. Poe nie potrafił jeszcze ocenić, co wpłynęło na to, że w końcu stał się dla niej atrakcyjny. Od czasu do czasu pozwalał jej występować w roli modelki - głównie na spotkaniach towarzyskich - oraz brać udział w pokazach mody organizowanych przez damy z towarzystwa podczas dobrotliwych obiadów. Mimo iż była rozchwytywana, elita towarzyska miasta nie zapraszała jej do ekskluzywnych rad i komitetów dobrotliwych.

Diandra nie lubiła Mango, ale musiała ją tolerować. Obie nauczyły się nie wchodzić sobie w drogę.

Mango zapaliła papierosa. Tego Poe nie był w stanie jej oduczyć.

- Masz gazety?

Krasowski podał mu przez otwartą przegrodę *Tribune* i *Sun-Times*. Były to wczesne wydania gazet, które miały ukazać się następnego dnia.

Poe podziękował i przerzucił je pobieżnie. Przejrzał najpierw główne wiadomości i działy stołeczne. Czytał tylko nagłówki, dopóki nie dojechali do Alei Michigan.

Przy obiedzie w Lake Forest było ich tylko czworo - Matthias, Christian, ich siostra Annelise i jej mąż Paul, podmiejski bankier i prezbiterianin, który nigdy nie pochwałał sposobu życia Curlandów i marnotrawienia przez nich pieniędzy. Był w zasadzie miłym człowiekiem, z godnością znosił dominację Annelise i wydawało się, że na swój pruderyjny, chłodny sposób, kocha ją głęboko. Był partnerem rubasznej, nie przebiegającej w słowach, gwałtownej Annelise. To małżeństwo trzymało się tylko dlatego, że oboje bardzo kochali psy.

Mężczyźni byli w czarnych krawatach, Annelise w długiej czarnej sukni. Przebijanie się do obiadu było zawsze przestrzegane w ich domu, w Lake Forest. Był to zwyczaj zupełnie nie znany u ludzi ich generacji, nawet wśród naprawdę bogatych sąsiadów. Domagał się tego, na tę smutną okazję ojciec, chociaż w końcu nie przyszedł do stołu, pozostając w sanktuarium swojej biblioteki.

Rozmowa przy stole była zadziwiająco wesoła, prowadzona głównie

przez Christiana, który przytaczał nieprzyzwoite, plotkarskie anegdoty o życiu towarzyskim w Chicago w czasie nieobecności Matthiasa. Nie mówili nic o matce ani o pieniądzach, chociaż jasne było, że to najbardziej interesuje Paula.

Daleko bardziej lubił psy niż Matthiasa i Christiana. Pierwszego uważał za nieudolnego, intelektualnego marzyciela, drugiego za egoistycznego hedonistę. Jego zdaniem, obaj byli bezużytecznymi i nieproduktywnymi grzesznikami, którzy powinni to odpokutować. Siedział ponury podczas monologu Christiana, a sprośne historie wyraźnie go zasmucały.

Wino, którego nie pił Matthias, a Annelise i Paul ledwie tknęli, pił Christian i jego opowieści stawały się coraz bardziej niewyraźne i bez sensu. W końcu Christian przestał nagle mówić i utkwiał smutny wzrok w deserowym talerzu. Matthias, z obawy, że może się przewrócić, oparł go o fotel.

Annelise miała typowe dla rodziny blond włosy, szare oczy i była, jak bracia, dość wysoka. Mogłaby być uderzająco ładną kobietą, gdyby dbała o to, ale po poślubieniu Paula straciła wszelkie zainteresowanie swoim wyglądem. Jej życiem były psy, konie, wiejski dom w Barrington i dwoje dzieci. Na jej twarzy było widać całe lata, dzień po dniu, spędzane na powietrzu. Nie dbała o to.

- W porządku Matt, załatwmy to - powiedziała podnosząc się. - Czas pójść do jaskini lwa.

Poprowadziła go do biblioteki i pchnęła uchylone drzwi. Ojciec, przebrany do obiadu w marynarkę, siedział w tym samym skórzanym fotelu stojącym w rogu pokoju, w którym zastał go Matthias po przyjeździe do domu.

- No cóż, ojciec - powiedziała głośno ze względu na jego zły słuch. - Zrobiłeś to znowu.

Lysiejący, stary mężczyzna o białych włosach, siedzący schylony nad wielką księgą spojrział do góry i uśmiechnął się. Miał czarujący, przymilny uśmiech, robiący wrażenie na kobietach, podobnie jak uśmiech Christiana. Używał go odruchowo przy każdej okazji, oszczędzając sobie wysiłku nad wypracowaniem bardziej odpowiedniego wyrazu twarzy.

- Co? Co takiego zrobiłem?

- Nie byłeś na obiedzie - powiedziała Annelise stając obok niego.

Spojrzała z dezaprobatą na duży kieliszek brandy stojący na stole z lampą. - Czy ty kiedykolwiek jesz?

- O, tak. Jadłem obiad. Czuję się dobrze, bardzo dobrze. - Spojrzał ukradkiem na książkę leżącą przed nim, jakby usiłował przeczytać kilka słów więcej. - Przykro mi z powodu obiadu. Byłem roztargniony. Straciłem poczucie czasu. Ale czuję się dobrze.

Zaczął kasłać. W popielniczce znajdowały się niedopałki papierosów, chociaż doktor zabronił mu palenia i picia.

Kaszel niszczył go, wstrząsał jego przygiętym, kruchym ciałem. Wszyscy czekali, aż atak minie.

- Wszystko w porządku? - spytał w końcu Matthias.

- Świetnie, świetnie - wymamrotał niewyraźnie. - Dobrze mieć cię w domu synu. Przykro mi, że nie ma tu twojej matki.

Brat i siostra wymienili spojrzenia. Annelise potrząsnęła głową.

- Nie będziemy ci przeszkadzali ojczu. Matt i ja zamierzamy teraz trochę porozmawiać. Nie kładź się późno. - Pochyliła się, żeby go pocałować.

- Oczywiście, że nie. - Błysnął swoim czarującym uśmiechem i chciwie powrócił do książki.

Matthias położył rękę na ramieniu ojca, ale stary człowiek nie zwrócił na to żadnej uwagi.

- Czy nie powinniśmy położyć go do łóżka? - zapytał, gdy Annelise zamknęła drzwi. Powoli zeszli do hallu.

- Gospodyni zrobi to rano - powiedziała. - On będzie siedział jeszcze w tym fotelu. Kładziemy go do łóżka setki razy, ale rano znajdujemy go zawsze w tym przeklętym fotelu. - Matthias zmarszczył brwi. - Potrafi być całkowicie przytomny, gdy potrzebuje - kontynuowała. - Wiesz, on ciągle prowadzi samochód. Bierze to duże auto, jedzie do miasteczka i idzie do banku. Kupuje alkohol, gdy próbujemy go przed nim chować. Kupuje też inne rzeczy. W zeszłym tygodniu kupił komplet cynowych szachów. Próbuje zwracać te wszystkie przedmioty, gdy o nich zapomni, ale nie zawsze dostajemy z powrotem pieniądze.

- Czy wykazuje jakieś zainteresowanie architekturą?

- Tak wielkie jak Christian. Jak Paul. Tak wielkie jak moje psy.

- Christian mówił, że nie był w biurze od miesiący.
- Dawniej bardzo się tym przejmował. Trzyczęściowy garnitur, klubowy krawat i teczka, ale wszystko co robił sprowadzało się do siedzenia przy biurku i czytania książek.

- On ma siedemdziesiąt pięć lat.

Westchnęła zmęczona. - Wyjdźmy na taras.

Przeszli przez duży salon i wyszli przez francuskie drzwi w ciepłe nocne powietrze. Światło księżyca błyszczało na powierzchni jeziora. Drobne fale cicho uderzały poniżej o podnóże urwiska.

- Boże, jestem tchórzem - powiedziała. - Gdy próbuję sprowadzić rozmowę na temat pieniędzy on kurczy się zaraz, jakbym chciała go uderzyć lub obrzucić najgorszymi wyzwiskami.

Matthias pomyślał, że Annelise była jedynym członkiem rodziny posiadającym dotąd pieniądze. Ich dziadek ze strony matki, Karl Albrecht, zostawił każdemu ze swoich wnucząt po jednym milionie dolarów. Matthias większość z nich włożył w rodzinną firmę architektoniczną. Christian wydał wszystko zadziwiająco szybko. Annelise zainwestowała swoje pieniądze w solidny interes oraz w swoją psiarnię, która dobrze prosperowała.

Wychylił się przez balustradę, patrząc przygnębiony na jezioro. Czuł się jak duch odnajdujący swe dawne życie.

- Nie pamiętałem już tego widoku - powiedział. - Wygląda jak ocean.

- Masz cholerne szczęście, że jezioro jest ciągle tutaj, dla ciebie. - Powiedziała to spokojnie i rzeczowo, ale mógł wyczuć w jej głosie gorycz. - Czy wiesz, że ojciec kupił ziemię w Utah? Cholerną suchą pustynię.

Zobaczył zdjęcia w *National Geographic* i pomyślał, że byłoby miło posiadać jej kawałek. I jest jeszcze rolls-royce w garażu.

- Co? Takie cholerne rzeczy kosztują fortunę.

- Ledwie jeździ. Ojciec uważa, że zrobił wspaniały interes. Powiedział, że kupił go dla matki, kiedy się jej polepszyło. Dobry Boże! Pomyśleć, że był kiedyś członkiem Zarządu Lasów i prezesem Niemiec-ko-Amerykańskiego Towarzystwa.

Ojciec zdobył te stanowiska głównie dlatego, że przedtem piastował je ich dziadek. Matthias potrząsnął głową. Robił to przez cały wieczór.

- Czy Chris powiedział ci szczegółowo, jak stoją sprawy?

- Tak, chociaż nie wyjaśnił, jak dawał sobie radę. - Zarabia trochę pieniędzy malując portrety. Jego klientki są dla niego bardzo szczodre. Myślę, że uprawia również hazard.

- Hazardziści najczęściej przegrywają.

- Szczególnie ci, którzy jednocześnie piją. W tym roku próbował skończyć z piciem. Faktem jest, że przestał pić w styczniu, ale ostatnio zaczął znów popijać. I ten weekend, Boże, zaczyna być jak dawniej. Nie mam nadziei co do Christiana.

Matthias złapał się na tym, że znów potrząsa głową.

- Myślę, że nie mamy żadnych szans, Matt. Jeśli sprzedamy ten dom i ten przy ulicy Schillera, jeśli sprzedamy wszystko - meble, ten przeklęty, wulgarny samochód, odwołamy członkostwo ojca w klubie - to myślę, że po zapłaceniu wszystkich długów powinno nam zostać dość pieniędzy, by wynająć mieszkanie dla ojca i zapewnić mu komfortowe warunki. W jednej z tych rezydencji dla osób takich jak on. Paul błaga mnie, by to zrobić. Uważa, że powinniśmy wystąpić do sądu o ubezwłasnowolnienie ojca i następnie wszystko sprzedać. Zaczynam przyznawać mu rację. Nie mamy wyboru i nie możemy z tym czekać. Christian nie zgadza się na to, ale mogę przypisywać to wódce.

Matthias nic nie odpowiedział. Wsłuchiwał się w szum drzew rosnących powyżej. Dom wybudował ich dziadek jako rocznicowy prezent dla swojej żony. Ojciec, młody wówczas człowiek, był jego projektantem. Duże domy jak ten były jego specjalnością, ale już nikt takich nie budował.

- Jesteś zdziwiony, że nie ratuję niczego - powiedziała. - Że nie włożyłam własnych pieniędzy w tę ruderę?

- Nie, nie jestem. Myślałem w tej chwili o tym, jak tańczyłem kiedyś na tym tarasie.

Tańczył tu ze swą żoną, z Sally i z innymi kobietami.

- Otóż, nie zamierzam tego zrobić - powiedziała Annelise. - Nie chcę też, byś ty dawał jakieś pieniądze, chcę, żebyś wrócił do Francji, do swojego malarstwa. Jeśli sprzedacie dom, a utrzymanie go kosztuje Chrisa mnóstwo pieniędzy, chcę byś korzystał z nich, dopóki twoje obrazy nie zostaną docenione.

Potrząsnął głową. - Moje obrazy.

- We troje możemy pracować nad ojcem. Dajmy mu to do zrozumienia. Jeśli nie będzie chciał iść do takiej rezydencji to dobrze, przygotuję mu pokój w swoim domu. Znajdziemy sposób, by zatrzymać niektóre jego książki. To wszystko czego potrzebuje z wyjątkiem brandy i papierosów.

- Utrata domu mogłaby go zabić.

- Ileż jeszcze zostało mu czasu z tymi jego chorobliwymi przyzwyczajeniami?

Matthias uśmiechnął się łagodnie mając nadzieję, że Annelise nie zrozumie opacznie tego, co chce powiedzieć. - Gdybyśmy wszystko to zrobili, byłby to koniec twojego życia towarzyskiego. Straciłabyś pozycję w Rejestrze Towarzyskim i wszystko inne. Oni dowiedzieliby się o tym i cię odrzucili.

Patrzyli sobie w oczy. Ich twarze były tak podobne, jak jedna, odbita w lustrze.

- Nie wciskaj mi kitu, Matthias, dobrze?

- Jeśli dbasz o to, nie powinnaś w tym tkwić. Czy nie o tym ci mówią? - powiedział.

- Ta twoja żona dałaby wszystko, żeby tu być.

- Ona nie jest już moją żoną.

- Christian martwi się o to wszystko, przekłety snob. Pozbawienie go tego, dobrze by mu zrobiło. Ta myśl sprawia mi cholerną przyjemność. - Odwróciła się. - Muszę się trochę przespać, Matthias. Jutro trzeba wstać o świcie.

- Annelise. Czy pomogłoby, gdybym wrócił na dobre i spróbował postawić firmę na nogi?

Zawahała się. - Myślałam, że nienawidziłeś tego. Co zwykle mówiłeś? W Chicago forma nie podąża za funkcją, podąża za pieniędzmi.

- Pieniądze to jest to, czego teraz potrzebujemy.

- Mówiąc brutalnie szczerze, drogi bracie, to myślę, że jest już na to wszystko za późno. Chicago posiada ciągle mnóstwo pieniędzy, ale rządzone jest przez ludzi pokroju tego okropnego Petera Poe. Widziałeś to jego monstrum w Alei Michigan? Jest to ten rodzaj szmiry, którą tacy jak on budują w ostatnich latach. Nie będą chcieli niczego estetycznego, tego co ty chcesz. Jakie mógłbyś projektować domy? Oni na prawo i lewo wyburzają te

projektowane przez ojca. Wracaj do Francji. Wracaj do malowania. Pomyśl o sobie. Bądź trochę egoistą. Każdy jest. Wszystko to jakoś ułoży się samo.

- Nie jestem pewien.

- Na pewno ułoży się. Paul dopilnuje tego. - Wzięła jego rękę. Jej była szorstka i twarda. - Uważam, że jesteś wspaniałym malarzem, Matthias. Nie zniszcz tego. Nie odrzuć, jak Christian. - Pocałowała go w policzek spierzchnętymi wargami. - Dobranoc. - Odeszła szeleszcząc suknią. Został sam. Czuł się jak pijany, ale po chwili uczucie to minęło. Zaczął spacerować wzdłuż szerokiego tarasu myśląc o rodzinie, zastanawiając się w jaki sposób dojść samemu do takiego tarasu.

Curlandowie w większości byli farmerami - w Niemczech i w Michigan, gdzie osiedlili się w czterdziestych latach ubiegłego wieku. Dziadek Matthiasa był pierwszym, który wstąpił do college'u.

Albrechtowie byli inni - „szczególni”. Nie „lepsi”, ale inni. Bogaci ludzie, którzy przechodzili przez życie, zdobywając wszystko co chcieli. Pierwszy z nich, który przyjechał do Ameryki, Gottfried Albrecht, był porucznikiem huzarii urodzonym w Prusach. Wraz z armią brytyjską brał udział w rewolucji amerykańskiej. Po bitwie pod Monmouth wraz z większą częścią swojego szwadronu przeszedł na stronę amerykańską.

Po wojnie osiedlił się w Pensylwanii. Jego syn, Johannes, przeprowadził się na zachód do Ohio, przejmując małą linię żeglugową na jeziorze Erie. Najstarszy syn Johannes, Rheinhard, przeniósł tę linię do rozwijającego się, małego jeszcze miasta jakim było Chicago. Kupił ziemię na północ od rzeki, a następnie sprzedawał ją już w parcelach niemieckim osadnikom, którzy tu przybywali. Założył browar, firmę budowlaną, spółkę zaopatrzeniową dla okrętów oraz interes bednarski i drzewny.

Syn Rheinharda, Manfred, był najbogatszym i najgorszym z Albrechtów. Pomnożył rodzinne majątki inwestując w koleje żelazne i papiery wartościowe. Bezlitosny i zachłanny zrobił majątek rujnując innych, by w końcu stać się najbogatszym człowiekiem w mieście, w tym „złotym wieku” dla baronów-bandytów. Żeby zaspokoić swe towarzyskie ambicje, przyjął anglofilski styl chicagowskiej elity, wydając córkę za angielskiego arystokratę i posyłając jedyne go syna Karla do Harvardu. Śmierć Manfreda z powodu ataku serca, który dopadł go w domu publicznym w dzielnicy

Levee, wywołała drobny skandal.

Jego syn, Karl, dziadek Matthiasa, był najlepszym z Albrechtów. Z Harvardu pojechał do Paryża studiować malarstwo, a następnie do Lipska uczyć się architektury.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, wrócił do Ameryki i zaciągnął się do wojska jako prosty żołnierz. Pod Belleam Wood odniósł wiele ran.

Zarówno fizyczne jak i moralne rany zadane mu przez wojnę przeraziły go i resztę swego życia poświęcił swoim pasjom. Zlikwidował większość swych majątków, wybudował dom dla ubogich oraz sierociniec, podarował również duży obszar ziemi na parki i leśne rezerwy. Już przed wojną zaczął kolekcjonować dzieła sztuki. Wybudował małe muzeum na Near North Side. Prohibicja i Wielki Kryzys spowodowały bankructwo browaru i tego wszystkiego, co pozostało z rodzinnych majątków, chociaż firma architektoniczna Karla, założona w latach dwudziestych, przeżyła i rozkwitała. Umarł jako ciągle bogaty człowiek, nie licząc wartości muzeum i wspaniałej kolekcji obrazów.

Jego jedyna córka, Hannah Albrecht, poślubiła młodego pracownika firmy, Rudolpha Curlanda. Zostawiając muzeum jej trosce, a firmę architektoniczną Rudolphowi, Karl umarł zadowolony, że te najbardziej ukochane jego dzieła przetrwają. Szczególnie muzeum. Pozostawił dla niego małą fundację, której rada nadzorcza składała się z córki Hannah, zięcia Rudolpha i jego wnuków Matthiasa i Christiana, ponieważ tak jak on niegdyś, studiowali sztukę i architekturę. Annelise nie była zainteresowana muzeum.

Muzeum sztuki, zwane Kolekcją Albrechta, a w przewodnikach dla turystów nazywane również Muzeum Niemieckim, miało fundację, ale jej kapitał został niefortunnie ulokowany i zaczęło brakować pieniędzy na pokrycie bieżących wydatków. Gdy spotykało to inne muzea, sprzedawały część kolekcji, by uzyskać fundusze - często z dużym zyskiem. Testament Karla nie zezwalał jednak na sprzedaż jakiegokolwiek obrazu. Gdyby z jakiegoś powodu muzeum musiało być zamknięte lub jego zbiory naruszone, wówczas wszystko przeszłoby na własność Instytutu Sztuki w Chicago.

Jeśli Christian miał rację, firma architektoniczna mogła zbankrutować lada moment.

Matthias wychylił się znów przez balustradę wdychając głęboko zapach ciepłego, nocnego powietrza. Odchylając głowę do tyłu wpatrzył się w księżyc. W taką noc jak dzisiaj, wiele lat temu, zaproponował małżeństwo Sally Phillips. Był wtedy bardzo młody i posiadał najwyżej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a dziewczyną interesował się bardzo poważnie znacznie starszy od niej mężczyzna, który posiadał sto razy więcej pieniędzy.

Z pocałunkiem i smutkiem odmówiła Matthiasowi.

Gdyby jego dziadek nie był tak ekscentryczny i nie podchodził tak obsesyjnie do spraw związanych z muzeum, gdyby nie włożył w nie wszystkich pieniędzy, Curlandowie nie mieliby tych wszystkich problemów. Mógłby być inną osobą. Mógłby być bogaty.

Próbował być zwyczajnym człowiekiem. Nie udało mu się to, tak jak wiele innych rzeczy. Było śmieszną iluzją, żeby żyć zgodnie z plemiennymi zwyczajami bogaczy i myśleć, że jest się kimś szczególnym. „Szczegółność” jest różna. Może dlatego jego dziadek zrobił to, co zrobił.

Tak myślała Jill Langley. Jill poślubiłaby go i bogatego, i biednego, ale teraz było za późno o tym myśleć.

Zapalając fajkę przeszedł jeszcze raz przez taras, następnie zatrzymał się, oparł plecami o balustradę i popatrzył na ten wielki dom, dumając o jego duchach, wyobrażając sobie, kto stałby za tymi oknami, gdyby odbył podróż cofając się w czasie. Pomyślał o dziadku stojącym rankiem przy oknie swojej garderoby, patrzącym na jezioro, jakby było ono jedną z jego własności.

Jego ojciec projektował ten dom, zatwierdzał każdą cegłę i każdy gzymś.

Rozmyślając o tym poczuł się winny. Annelise i Christian postawili jedną sprawę nadzwyczaj jasno. Decyzja należała tylko do niego. Jeśli ten dom i wszystko to, co sobą reprezentował miałyby być uratowane, to tylko on sam musiałby tego dokonać. Annelise nie zależało na tym, a Christian nie był do tego zdolny. Jeśli Matthias nie podjąłby tego wysiłku i pozwolił temu domowi i historii, jaką w sobie zawierał, zniknąć z obecnego i przyszłego życia rodziny, to byłby za to odpowiedzialny. To nie była rzecz, od której mógł sobie tak po prostu odejść, jak to zrobił z wieloma innymi sprawami. Zaniechanie byłoby świadomą i umyślną, a zarazem bolesną w konsekwencji decyzją. Wina za to spadłaby na niego.

Zniszczyłyby pracę wielu pokoleń. Pomijając muzeum i kilka tablic pamiątkowych umieszczonych w publicznych miejscach, to właśnie dom świadczył o dwuwiekowych osiągnięciach Albrechtów. Niewiele pracy i wysiłku z jego strony było wszystkim, co należało zrobić dla uratowania tego. Zbyt wiele wielkich rodzin zniknęło z miasta z winy własnych potomków, którzy pozwolili wszystkiemu przeminąć.

Nie było jeszcze za późno. Śmierć matki odczytał jako znak, wezwanie do przybycia w odpowiednim momencie.

Ale jak tego dokonać? Sztuka nie była rozwiązaniem - nie jego sztuka, ani żaden otoczony najwyższą czcią obraz z muzeum dziadka. Nie znał się na inwestycyjnych i finansowych grach, którymi zajmował się jego dziadek. Żadne z nich nie znało się na tym.

To musiała być architektura. Chicago uczyniło bogatymi wielu architektów, z wielu zrobiło biedaków lub nawet bankrutów. Bankrutowali z powodu długotrwałej recesji. Słyszał, że Skidmore, Owings i Merrill, największe firmy architektoniczne w mieście musiały zwolnić, z powodu dużych trudności finansowych, około połowę swego personelu.

Musiał chociaż spróbować. Coś mogło się odwrócić. To było życiowe motto jego brata. Czasami rzeczywiście sprawdzało się.

Po powrocie do domu Diandra poszła od razu do łóżka w swoim pokoju. Poe miał oddzielną sypialnię. Temat ten poruszył jeszcze w okresie narzeczeństwa, stawiając oddzielne spanie prawie jako warunek małżeństwa. Chociaż wydawało jej się to dziwne, nie sprzeciwiała się, przypisując wszystko jego dziwactwu i przyzwyczajeniom. Umowa nie miała na celu ograniczenia seksu. Brał to, co mu się należało dość często, tak jak wszystko w swoim życiu. Była to sprawa wygody. Interesy zajmowały mu całe godziny nie tylko w dzień, ale i w nocy. Były również takie przypadki, że chciał uprawiać seks z kimś innym i nie chciał wtedy tracić czasu na wychodzenie z mieszkania.

Kilka pokoi Diandry znajdowało się na szczycie wieżowca Poego. Wychodziły na północ od Gold Coast, powyżej brzegu jeziora. Jego pokoje znajdowały się na parterze, naprzeciw gabinetu, tuż przy hallu, do którego

wchodziło się z szerokiej galerii.

Poe zatrudniał pół tuzina ludzi, którzy załatwiali jego telefony. Do najbardziej prywatnych celów używał jednak automatycznej sekretarki, która uruchamiana była przez komputerowy kod. Usiadł przy biurku, nacisnął odpowiedni guzik w komputerze i odchyliwszy się do tyłu w swoim włoskim, obrotowym fotelu za dziesięć tysięcy dolarów, przesłuchiwał nagrane rozmowy.

Wśród około tuzina były telefony od jego księgowego, wspólnika w interesach z Michigan City i naczelnika banku w Indianie. Te mogły poczekać do rana. Jeden telefon zaniepokoił go. Zanotował wiadomość, używając sobie tylko znanych symboli i korzystając z tej samej prywatnej linii, wybrał następny numer.

Czekał zirytowany, że oczekiwanie trwa tak długo, a nie doczekawszy się, wybrał inny numer ze swego podręcznego komputera.

Odpowiedź była tym razem już po trzech dzwoneczkach.

- Proszę pana Traina - powiedział Poe.
- Kogo?
- Laurence Traina.
- Skąd pan wie, że on jest tutaj?
- Proszę pana Traina.
- Kto prosi?
- On będzie wiedział.

Linia była przez chwilę głucha, dłużej niżby sobie życzył. W końcu nosowy i zarazem ostry głos dotarł do jego ucha.

- Czego ty chcesz Peter? - powiedział niegrzecznie.
- Dzwoniłeś do mnie, Larry.
- Tak. Dzwoniłem. Zdenerwowałem się trochę jedną sprawą. Ale to może poczekać.
- Nie lubię czekać.
- Dałem ci mój inny numer.
- Próbowałem. Nie było odpowiedzi.
- Jak do licha zdobyłeś ten?
- Dzwoniłeś do mnie, Larry.
- Zginął jeden z obrazów. Jeden z Kirchnerów. *Czerwona wieża*. Ten,

który tak bardzo lubieś.

Poe zabębnił przez moment palcami. - Skąd zginął?

- Z galerii. Kirchnera i dwa tańsze obrazy umieściłem w pudle przeznaczonym dla ciebie. Zginęło pudło.

Zginęło.

- Ta dziewczyna, Jill Langley, przychodzi tu czasami w weekendy. Myślę, że mogła wziąć to pudło, by ci je doręczyć. Zaznaczone było, że to na twój jacht. Mogła zrobić to w ramach pracy dodatkowej. Zawsze zostawała długo. Nie mogę jej jednak znaleźć. Może zechcesz przeszukać swój jacht, czy nie zaniósła tam obrazów.

- Nie powinieneś nigdy zatrudniać tej dziewczyny, Larry.

- Nie zaszkodziłoby mieć ją teraz w Muzeum Niemieckim. Mówiliśmy o tym. To był dobry pomysł - wywalić ją z muzeum, ale mieć na oku.

- Co ty niewątpliwie zaniedbałeś.

- Jestem pewien, że pokaże się. Będzie w porządku, ale myślałem, że chciałbyś wiedzieć.

- Robisz zbyt wiele błędów, Larry.

- Robię co mogę, Peter. - Train wydawał się zdenerwowany.

- Staraj się lepiej.

Poe odłożył słuchawkę zanim Train mógł coś powiedzieć. Siedział nieruchomo, a następnie ponownie zaczął bębnić palcami. W końcu przycisnął guzik na desce swego komputera i wybrał nowy numer. Mango odpowiedziała po czwartym dzwonku. Wydawała się również zdenerwowana.

- Coś złego, Peter? Dopiero cię pożegnałam.

- Mam pewną robotę dla chłopców - powiedział Poe. - Chodzi o dziewczynę, która pracuje dla Larry'ego Traina. Nazywa się Jill Langley.

- Jill Langley. Tak.

- Czy znasz ją?

- Rozmawiałam z nią czasami przez telefon. Czy coś złego?

- Prawdopodobnie nic. Ona zginęła. Chcę wiedzieć, gdzie jest. Zginął również obraz z galerii Traina. Był przeznaczony dla mnie. Ona może go mieć. Jeden z tych specjalnych. *Czerwona wieża*, namalowany przez faceta, który nazywa się Kirchner.

- Pamiętam go. Pytałam cię kiedyś, czy przedstawia Nowy Jork. Po-

wiedziałeś, że raczej Berlin lub jakieś inne miasto. Jakim sposobem do niej trafił?

- Train nie jest pewny. Może być na łodzi. Mogła go tam zanieść próbując być pomocna. Niech chłopcy to sprawdzą. Jeśli płótna tam nie ma, chcę by je znaleźli. Dziewczynę również.

- Zaraz im to powiem. Czy coś jeszcze, Peter?

- Nie.

- Chcesz, żebym przyszła?

- Dziś wieczorem, nie.

- A co z tą rzeczą jutro?

- Przemyślałem to. Ciągle chcę, byś przez to przeszła. Chcę to zacząć.

- W porządku. - Zamilkła. Zastanawiał się, czy jest to oznaką niepewności. - Dopilnuję tego. Jestem gotowa. Poradzę sobie.

- Moglibyśmy użyć kogoś innego.

- Nikomu nie możesz zaufać. Nikomu, tak jak mnie.

- Dobrze. Nie spieprz tego.

- Tak mnie cholernie podtrzymujesz na duchu.

- Kocham cię, dziecino.

- Także cię kocham, Peter. Chciałabym być z tobą.

- Mamy dość czasu na to. Dobranoc, Mango.

- Dobranoc.

Nacisnął guzik kończąc rozmowę. Odchylił się do tyłu obracając fotel tak, by móc popatrzeć w okno na rozciągające się w nieskończoność żółtopomarańczowe światła uliczne.

Podszedł następnie do baru i nalał sobie połowę szklanki wyjątkowo drogiej szkockiej whisky, dodając cztery kostki lodu z maszyny zamontowanej w barze. Zabrał szklankę do sypialni, zdjął ubranie i siedząc w łóżku popijał alkohol. Nie czuł się zadowolony. Odstawił pustą szklankę i wyszedł do hallu, w kierunku małej windy obsługującej trzy piętra mieszkania.

Diandra czytała leżąc w łóżku. Spojrzał na okładkę: *Księżyc i miedziak* Somerseta Maughama. Nigdy jej nie czytał. Patrzył bez przerwy na książkę, dopóki jej nie odłożyła, spostrzegając jego nagość.

- Teraz? - zapytała bez wrogości, ale i bez wyraźnego entuzjazmu.

Skinął głową.

Odłożyła książkę i okulary na nocny stolik. Po chwili wahania odrzuciła kołdrę i zsunęła nocną koszulę, rozchylając nieco swoje długie nogi.

Po krótkim czasie Poe zakończył sprawę. Przez moment trzymał ją w mocnym uścisku.

- Jesteś teraz szczęśliwy? - zapytała. Jej głos był miękki i melodyjny, ale zawsze pod doskonałą kontrolą. Mogła mówić do niego w ten delikatny, uprzejmy sposób bez okazywania uczuć.

- Tak.

- A więc, dobrej nocy.

- Dobranoc, dziecino.

Wróciła znów do książki.

Nie był szczęśliwy. Wróciwszy na dół, przygotował sobie następnego drinka i poszedł długą galerią oświetloną z góry reflektorem. Jego światło skoncentrowane było na modelu architektonicznym śródmieścia Chicago, uzupełnionym zieloną murawą Parku Granta. W północno-zachodnim rogu modelu, na granicy centrum miasta, stał wysoki, smukły jasnoszkarłatny wieżowiec, górujący nad innymi budynkami. W przeciwieństwie do nich, nie był jeszcze wybudowany. Ponieważ reszta galerii pozostawała w ciemnościach, czerwony wieżowiec odbijał się w długim oknie galerii, na tle prawdziwej panoramy miasta i jeziora.

Stał jednak w złym miejscu. Poe podniósł model budynku i postawił go z drugiej strony miniaturowej panoramy. Umieścił go na płaskim prostokącie Meigs Field. Stał teraz pewnie, wznosząc się ponad wszystkimi innymi - Hancock Center, Sears Tower, wszystkimi.

Poe spojrział do góry. Przeniesienie budynku spowodowało, że odbijał się teraz w oknie, jakby unosił się z prawdziwego lotniska znajdującego się przy jeziorze. Podszedł do ściany i obrócił gałkę, która skierowała światło reflektora na nową pozycję wieżowca. Wyraźnie górował nad wszystkimi innymi, jak dowodzący generał przed frontem swoich szeregów.

- Jeśli się z tym uporasz - rzekła Mango, gdy powiedział jej o swoim pomysle - będzie to diablo zdumiewające.

To byłoby więcej niż zdumiewające. Każdy człowiek w mieście - każdy na tym całym, cholernym świecie - dowiedziałby się, że może zrobić wszystko.

Łyknął ponownie. Teraz czuł się zadowolony.

ROZDZIAŁ

2

Nabożeństwo za Hannah Curland odbywało na trawniku znajdującym się z tyłu domu w Lake Forest, tuż przy ścianie tarasu. Ustawiono tam, frontem do jeziora, mniej więcej dwa tuziny krzeseł dla członków rodziny, przyjaciół i znajomych. Zarówno Curlandowie jak i Albrechtowie od dawna byli przynajmniej nominalnymi prezbiterianami i pastor z miejscowego kościoła został poproszony o odprawienie nabożeństwa. Uroczystość była jedynie symbolicznym gestem dla wiary Hannah. Pastor był wyjątkowo młodym człowiekiem. Odczytał nieśmiałym głosem odpowiedni werset z Biblii Króla Jakuba, następnie zaczął mówić szczegółowo o miłości nieboszczki do kwiatów ogrodowych, zwierząt, jej miłości do kościoła, męża i dzieci - odmalowując wizerunek kobiety, która niewiele miała wspólnego z tym wszystkim. Utrata urody i złudzeń, w miarę starzenia się, doprowadzały ją do hysterii, wielokrotnej niewierności i skłonności do terroryzowania członków rodziny. Była popularną postacią w swym środowisku dzięki osobistemu czarowi a nie dobroci - używała swego czaru podobnie jak pieniędzy, płacąc za to, co chciała mieć. Jej nietolerancyjne zachowanie się było przyczyną, dla której Matthias zgodził się na żądanie swej żony, żeby wyjechać na wschód a stamtąd na samotną już tułaczkę do Francji.

Wyzbył się wszystkich nieprzyjemnych myśli i wspomnień o matce poprzedniej nocy, kiedy wzruszony chodził po tarasie jak samotny, sentymentalny duch. Teraz myśli te, nieproszone, gwałtownie powróciły. Próbował oderwać się od nich patrząc wokół, przez ramię, na żałobników siedzących za nim w krzesłach. Ciekaw był, czy Jill Langley przyszła na mszę. Christian był pewny, że nie przyjdzie, ale Matthias miał przeczucie, że jednak się pojawi.

Nie było jej. Zamiast tego zaskoczył go widok Sally Phillips siedzącej w ostatnim rzędzie. Była trochę mizerna i zmartwiona, ale miała te same gładkie, ciemne włosy. Starannie ubrana piękność, którą pamiętał nawet wówczas, gdy leżał w ramionach innej kobiety.

Przechwyciła jego spojrzenie i błysnęła sympatycznym uśmiechem. Popatrzył w bok. Pożałował zaraz swej gwałtowności i odwrócił się ponownie, spostrzegł wtedy, że patrzy nie na niego, a na młodego pastora stojącego za nim.

Christian podszedł do niego z drinkiem w ręku. - Widzę, że zauważyłeś Sally.

- Nie trudno było - stwierdził Matthias.
- Nie ma tutaj Jill.
- Mówiłeś, że nie została zaproszona.

Christian spojrzał na niego dziwnie i odszedł.

Po nabożeństwie, kiedy ludzie składający kondolencje wypełnili wnętrze domu, Sally zatrzymała się na tarasie. Matthias odczytał to jako zaproszenie. Podchodził do niej wolno, dając jej szansę umknienia, ale nie skorzystała z tego.

- Cześć, Matthias - powiedziała miękko. - Tak mi przykro.
- Uważamy to za błogosławieństwo.
- Lubiłam ją. Byłyśmy w dobrych stosunkach.
- Miałas szczęście.

Widziana z bliska, chociaż zadbana i starannie ubrana, Sally nie wyglądała najlepiej. Młodzieńcza świeżość przywiedła, a jej piękność stała się ulotna. W kącikach oczu i ust widoczne były drobne zmarszczki. Zastanawiał się co było dla niej gorsze - rozwód, czy małżeństwo.

- Ciągle mieszkasz we Francji?
- Jak gdyby - powiedział. - Nie wiem, kiedy będę mógł tam wrócić.
- A więc, przez jakiś czas, będziesz tutaj?
- Przez jakiś czas. Muszę zająć się rodzinnymi sprawami.

Uśmiechnęła się miło. - Czy mieszkasz tutaj, w Lake Forest?

- W mieście. Mamy ciągle ten dom przy ulicy Schillera, na razie.

Milczenie jej wskazywało, że orientuje się w kłopotach finansowych jego rodziny. Całe Chicago musiało o nich wiedzieć.

- Mieszkam sama w mieście - powiedziała. - Mam małe mieszkanie i pracę. Prowadzę nieduży sklep w Water Tower Place.

- Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Tak. Daję sobie radę. Muszę pracować.

Powiedziała to z takim wstrętem, że aż go to rozbawiło. Był nią jednak zainteresowany. Jej były mąż musiał przyłapać ją w jakiejś jednoznacznie kompromitującej sytuacji lub przekupić skorumpowanego sędziego sądu rozwodowego. Może i to, i to. To ostatnie było zawsze łatwe w Illinois.

Matthias zauważył, że kilka osób czeka na rozmowę z nim. Za nimi Christian, z krwawą Mary w ręku, stał z Annelise przy balustradzie tarasu. Jego siostra trzymała srebrną urnę z prochami matki.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział do Sally. - Możesz poczekać?

- Tylko chwilę. Zostawiłam córkę z opiekunką. Pociągiem długo się jedzie.

- Odwiozę cię.

Powiedział to impulsywnie. Znaczyło to, że musi wziąć śmiesznego rolls-royce'a ojca, ponieważ nie chciał mieć nic do czynienia z jaguarem Christiana pożyczonym mu przez jakąś jego miłość w średnim wieku. Musiał być bardzo ostrożny z rollsem, gdyż samochód, jak i inne rzeczy, miał być sprzedany.

- To byłoby bardzo miłe. Dziękuję, Matthias.

- Daj mi parę minut. - Skinął do brata i siostry. - Musimy dokonać ceremonii.

Odwrociła się i spojrzała na urnę. - Zamierzacie iść na cmentarz?

- Nie. Tylko w dół tego urwiska. Przy brzegu jeziora.

- Czy to było jej życzenie?

- Jej życzeniem było żyć wiecznie jako piękna dziewczyna. Nie. To jest nasza decyzja. Ten brzeg jeziora był jej ulubionym miejscem. - Zamilkł.

- To nie będzie zniknięcie bez śladu. Pozostanie na zawsze taka, jak na portrecie, który namalował Chris.

- Ten, który znajduje się w waszym domu przy ulicy Schillera?

- Tak. Ciągłe tam jest.
- To piękny obraz.
- Jest pomysłowy. - Dotknął jej ramienia. - Idź i weź sobie drinka lub coś do jedzenia. To nie potrwa długo.

Stare, wyłożone palami stopnie wycięte w urwisku nie były w dobrym stanie i droga była miejscami niebezpieczna. Trójka dorosłych dzieci Hannah pozostawiła wątlego i starego ojca, żeby zajął się jak najlepiej gośćmi i zaczęła schodzić w dół. Annelise szła pierwsza radząc sobie doskonale. Matthias z urną w ręku podążał wolno za nią. Christian potykając się wiele razy szedł ostatni. Musieli czekać na niego po dojściu do brzegu. Łagodne fale pluskały pomiędzy dużymi kamieniami, nie zalewając ich jednak. Wiał słaby wiatr. Gdy Christian, kurczowo trzymając prawie pustą szklankę, dołączył do nich, Matthias wszedł na dużą skałę, która głębiej niż inne wchodziła w jezioro. Delikatnie podniósł wieko urny.

- Nie wszystko - powiedziała Annelise.
- Co?
- Nie wysypuj wszystkich prochów do jeziora - powiedziała. - Zostaw trochę w urnie.
- To jest tak, jak przecięcie jej na pół - powiedział Christian.
- Nie. Nie jest - powiedziała siostra. - Część jej powinna być tutaj, ale część powinna pozostać w urnie.
- A co z jej nogami? - powiedział Christian. - Może mają je jeszcze w szpitalu w schowku na część ciała.
- Zamknij się - powiedziała Annelise. Przez moment Matthias myślał, że zamierza go uderzyć.

Chwilę stali w ciszy, zażenowani. Matthias nie potrafił powiedzieć nic uroczystego. Pastor wypowiedział wszystkie rytualne słowa. Cała trójka miała swoje prywatne myśli, ale żadne z nich nie wypowiedziałyby ich głośno. W końcu, w kłębowisku myśli, Matthias odnalazł ślad, czy nawet dwa, wspomnienia swej miłości do matki. Może to wystarczyło.

Pochylił się i wyciągając urnę nad niebieskozieloną wodą, wolno ją przechylił. Popiół rozsypał się obłokiem, a jego cienka warstwa pokryła powierzchnię wody i szybko znikła.

Matthias wyprostował urnę i zajął do środka. Rozsypał około dwie

trzecie jej zawartości. Na dnie urny zobaczył mały trójkątny kawałek kości.

Szybko zakrył wieko.

Annelise, ku jego zdziwieniu, płakała.

Kiedy Matthias zszedł z kamienia, jego miejsce zajął Christian. Uniósł prawie pustą szklankę i spojrział na zamglone niebo. Wylał jej zawartość do wody z cichym pluśnięciem.

- Ofiara została spełniona - powiedział.

Stary silnik rollsa nieprzyjemnie zaklekotał, ale samochód ruszył płynnie z miejsca. Ponieważ dzień był ciepły, Matthias opuścił dach, by w pełni napawać się odzyskanymi widokami. Jechał raczej wolno, nie pozwalając wiatrowi porywać słów. Chciał bardzo rozmawiać z Sally. Nie był pewien, kiedy będzie miał ponowną okazję. Była jego pierwszą miłością. Cokolwiek by się jej i im wydarzyło, ten fakt przetrwał. To, co czuł teraz nie było miłością. Była to prosta lojalność i żal. Wystarczało to, żeby był do tego przywiązany i pogodzony.

Jechali wijącą się Sheridan Road, która ze swoimi wąwozami i stromiznami przypominała park Highland i Winnetkę. Droga do domu, w którym znajdowało się mieszkanie Sally, zajęła im godzinę lub więcej.

Sally oparła się o spłowiały, skórzany fotel odwracając twarz ku niebu i prostując ramiona.

- Ileż razy odbywaliśmy takie przejażdżki, ty i ja? - zapytała.

- Ostatnia nie była najprzyjemniejsza.

- Dla mnie też. Miałam kilka lat, żeby o tym myśleć.

Gałęzie mijanych drzew były tak nisko nad ich głowami, jakby chciały ich dotknąć. Stare drzewa. Matthias zastanawiał się, czy rosły już zanim wybudowano domy.

- Więc rozwiodłaś się - powiedział.

Czekała długą chwilę z odpowiedzią. - Tak się złożyło - powiedziała. - To było najlepsze wyjście.

Mimo wyuczonych manier i eleganckiego ubioru, Sally była ciągle dziewczyną ze średniej klasy ludzi, dojeżdżających codziennie do pracy w mieście. Ojciec jej zajmował kierownicze stanowisko w fabryce wytwarzającej tapety ściennie. Dążył do zdobywania coraz to bardziej odpowiedzialnych i lepiej płatnych stanowisk raczej ze względu na ambicje swojej żony,

niż własne. Sally urodziła się na North Side w Chicago i spędziła dzieciństwo w Lincolnwood. Przypadkowy awans umożliwił jej ojcu przeniesienie rodziny do zachodniej części Lake Forest. Sally miała wtedy czternaście lat i matka podjęła decyzję posłania jej do prywatnej szkoły oraz zadbała o związki z młodymi ludźmi, których pozycja towarzyska była przez nią dokładnie sprawdzana.

Ze względu na wysoką kulturalną i towarzyską pozycję Curlandów w Chicago, początkowo była bardzo podekscytowana, kiedy Matthias i Sally zaczęli się spotykać. Zachowywała się tak, jakby wielki dom Karla Albrechta, znajdujący się nad jeziorem, był jakimś feudalnym zamkiem, a Matthias szlachcicem. Usiłowała dowiedzieć się dokładnie o sytuacji finansowej młodych ludzi, z którymi spotykała się jej córka. Zrobiła to samo z rodziną Curlandów a wiadomość, że mają niewiele pieniędzy, poza tym co było zgromadzone w muzeum, spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Zaczęła więc zapobiegać dalszemu rozwojowi tego związku, stosując niezbyt przyjemne metody. Nie informowała Sally o telefonach Matthiasa i aranżowała towarzyskie spotkania wtedy, gdy mieli umówioną randkę.

Tak jak wszystkie zakazane rzeczy, ich romans rozkwitał. Sally straciła już dziewictwo z jednym z wybranych przez matkę kandydatów na męża, zanim zaczęła spotykać się z Matthiasem, ale Matthiasowi oddała się z całą niewinnością i nieopisaną pasją dziewicy. Patrząc na nią teraz przypomniał sobie pierwszy raz kiedy zdjęła dla niego bluzkę na fotelu otwartego samochodu, takiego jak ten.

Jej małżeństwo z kimś takim, jak jej były mąż, było nieuniknione. Choć rozwiedziony i znacznie starszy, niżby sobie życzyła jej matka - był bogaty, miał dobre koneksje, był także członkiem Klubu Chicago i kasyna. Aktywny republikanin, znał gubernatora i prezydent mówił do niego po imieniu na kolacjach dobroczynnych. Jego nazwisko często pojawiało się w gazetach, zarówno w rubryce towarzyskiej jak i finansowej.

- Przykro mi - powiedział.
- Rzeczywiście? - W głosie jej było powątpiewanie.
- To nie powinno się tak skończyć.

Sally zmarszczyła brwi i spojrzała na niego. Potarła skronie i spojrzała dookoła. W końcu, złożyła ręce i utkwiała spojrzenie w przedniej szybie. -

Nie powinnam go poślubić. Gdybym nie miała córki z tego związku, nienawidziłabym matki za to, że pchnęła mnie do tego. Myślę, że i tak jej nienawidzę.

- Czy przeszłaś z nim dużo złego?
- Tak.
- Czy był gwałtowny? Obawiałem się o to, sądząc po tym, co o nim

wiedziałem.

- Czasami.
- Czy to było powodem, że odeszłaś od niego?
- To nie ja go opuściłam. On mnie rzucił. Dałam mu powód. Powinieneś o tym wszystkim dobrze wiedzieć. Miałam romans.

Pomyślał o kobietach w swoim życiu.

- W naszych czasach to nie powinno być niewybaczalną zniewagą.
- Czy możesz mi to wybaczyć, Matt?
- Co masz na myśli?
- To był twój brat, Christian.

Ręce Matthiasa drgnęły na kierownicy powodując zmianę kierunku jazdy, dopóki nie sprowadził samochodu na właściwy kurs. Wziął głęboki oddech, uspokajając się.

- Nie było cię tutaj - powiedziała. - Byłeś o całe miliony mil stąd. - Chciała mówić coś jeszcze, ale głos ugrzązł jej w gardle i zaczęła szlochać.

Przez dłuższą chwilę nie mówili nic do siebie. Nie mógł wymyślić nic odpowiedniego i rozsądnego. Z kim Christian nie spał? Ze swoją matką? Annelise? Hillary? Wiele razy zalecał się do niej. Również do Jill, chociaż wiedział, że go odrzuci.

- Jak cię traktował? - zapytał.
- Mój mąż?
- Christian.
- Był bardzo miły. Myślę, że dlatego mu uległam.
- Wiesz, że on jest typem maniakalno-depresyjnym. To idzie w parze z twórczością. Tak jak u Van Gogha.

- Nie ma potrzeby traktować Christiana w taki sposób.
- Nie?
- W końcu, cała rodzina Van Goghów była taka. To jest rodzinne.

To była prawda. Uwaga była słuszna i głęboko raniąca.

Sally zadała następny cios. - Ty sam nie byłeś zbyt wierny swej własnej żonie, czyż nie? Christian mówił mi o tobie i o dziewczynie, która pracowała dla ciebie.

Christian. Nie pominął żadnej okazji, żeby to wykorzystać. Nic dziwnego, że Sally nie czuła się niełojalna.

- To już skończone? - zapytał.
- Christian jest ciągle moim przyjacielem.
- Czy teraz to jest skończone?
- Tak. Teraz.

Spojrzała na niego. Próbował włączyć radio, ale było zepsute.

Droga wiała się teraz przez mniej pretensjonalne przedmieścia, przechodząc przez rejon Evanston z rzędami murowanych domów mieszkalnych, prowadząc dalej w kierunku brzegu w północnej dzielnicy miasta i skręcając zdecydowanie w Outer Drive.

Po ich lewej stronie widać było horyzont jeziora nakrapiany żaglówkami. Zatłoczone pola zabaw i tereny piknikowe w Parku Lincolna rozciągały się daleko po ich prawej stronie. Przejeżdżając przez Port Belmonta, zauważył smukły zielony wieżowiec wciśnięty między dwie duże, nie ukończone jeszcze budowle.

- To jest twój budynek - powiedziała tak delikatnie, że ledwie dosłyszał.
- Jestem zdumiony, że ciągle jeszcze stoi tutaj - powiedział.
- Twój budynek jest najpiękniejszy w Chicago - powiedziała. - Powinien być wysunięty w stronę jeziora, gdzie każdy mógłby go widzieć.
- To jest ostatnia rzecz, jaką chciałbym - powiedział. - Żadnych cholernych budynków na brzegu jeziora. To jest Chicago, a nie Miami.

Słowa jego wypowiedziane zostały ostro i brzmiały jak nagana. Odwróciła się. Znaleźli się nagle przy Gold Coast. Mieszkała w jego zachodniej części, blisko ulicy Dearborn. Przy tak małym ruchu ulicznym powinni być szybko na miejscu.

Wziął jej rękę.

- W porządku - powiedział.
- Co jest w porządku? - Była urażona i zła.

Zacisnął palce wokół jej dłoni. - Wszystko. Wszystko będzie w porządku.

Jak mógł tak mówić po wieloletniej nieobecności. Spędził z nią nie dłużej niż dwie godziny. Mogła przecież stracić pracę. Dziecko mogło poważnie zachorować. Jej były mąż mógłby chcieć zrujnować jej życie. A Matthias obiecał kobiecie, z którą rozstawał się we Francji, że wróci. Co on teraz robił?

Podjeżdżali do Alei Północnej. Puścił jej rękę i położył na kierownicy.

- Czy wróciłeś na dobre? - zapytała. Jakiś żalony ton słychać było w jej głosie.

- Nie jestem zupełnie pewien. Będę tutaj przez jakiś czas, być może przez dłuższy czas. Sprawy rodzinne są zagmatwane. Wiele trzeba doprowadzić do porządku, szczególnie firmę ojca.

Dawniej powiedziałby - moją firmę.

- Myślisz, że wrócisz do architektury?

Jadąc z małą prędkością przez zatłoczoną ulicę, Matthias zauważył, że ludzie gapią się na samochód. - Zrobię wszystko co musi być zrobione.

Odpowiedź Matthiasa nie usatysfakcjonowała jej.

- Tak bardzo chciałeś być artystą - powiedziała. - Malarzem. Tak jak Christian.

- Takim malarzem, jakim mógłby być Christian. Nie takim, jakim jest.

- Miałeś sukcesy?

Nigdy nie okłamywał jej przedtem w rzeczach poważnych.

- Nie.

Jej dom był stary i mały, ale posiadał markizę i odźwiernego. Przynajmniej zachowała pozory. Matthias zaparkował samochód na wolnym miejscu przy hydrancie. Nie mógłby przyjąć zaproszenia na górę parkując tutaj, nie był do tego przygotowany.

Wysiadł z samochodu i przeszedł na jej stronę, delikatnie otworzył drzwi i wziął jej rękę, by pomóc przy wysiadaniu.

- Czy sądzisz, że mógłbyś być wolny dziś wieczorem? - zapytała.

- Nie wiem. Muszę uzgodnić to z Annelise.

- Jest przyjęcie u Bitsie Symms. Myślę, że jej nie znasz. Zrobiła się sławna w mieście. Udziela się towarzysko. Mówi się, że będzie to wielkie przyjęcie. Może być na nim burmistrz.

- Zapomniałem już o takich przyjęciach.
- Ja chodzę cały czas.

Zastanawiał się dlaczego. Stare przyzwyczajenia? Dodatkowa okazja do stosowania diety? Szukanie męża? Było mu przykro z jej powodu.

Wyciągnęła z torebki starą kartę telefoniczną i długopis, szybko napisała swój numer telefonu. - Zadzwoń do mnie.

- Dobrze.

Pochyliła się do przodu i z wahaniem pocałowała go w policzek.

Matthias położył rękę na jej ramieniu.

- Tak dobrze było zobaczyć cię znowu - powiedziała. - Byłam smutna dziś rano. Teraz czuję się znacznie lepiej.

Uśmiechnęła się do niego lekko i odwróciła się. Gdy zniknęła w hallu, Matthias zastanowił się, czy mógłby teraz odejść, obiwszy przedtem twarz Christianowi.

Peter Poe wynajmował na stałe trzech prawników. Jeden, z solidnym doświadczeniem w prawie kryminalnym, był w Indianie. Jego głównym zadaniem było pilnowanie wszystkich interesów prowadzonych w kasynie - przynajmniej z pozoru - w granicach prawa stanowego i federalnego. Drugi był napuszonym, ale posiadającym wiele dyplomów, starym facetem, który był jednocześnie starszym partnerem jednej z najbardziej renomowanych firm prawniczych w Chicago. Poe wymagał od niego najczęściej, żeby stawiał czoło elicie miasta, kiedy robił z nią interesy. Lubił również mieć go przy sobie na konferencjach prasowych, gdy ogłaszał swoje nowe projekty.

Trzeci i główny prawnik Poego, Bill Yeats, był od podatków i finansów. Był to człowiek, który znał od podszewki wszystkie układy sił w Chicago. Znał je tak dobrze, jak dobrze śmieciarze znają swoje ścieżki i zakamarki. Ostatnio, pracował prawie wyłącznie dla Poego i stał się jednym z jego najbardziej zaufanych doradców. Poe wierzył mu bardzo, ponieważ opłacał go sownie. Zapłata Yeatsa pochodziła prawie wyłącznie z małego procentu od przychodów z kasyna Poego.

Biuro Yeatsa znajdowało się blisko, na jednym z dolnych pięter Hancock Center a jego mieszkanie, duże i zaniedbane, w tym samym budynku na

jednym z wyższych pięt mieszkalnych. Rano prawie zawsze można było go znaleźć w jednym lub drugim miejscu, ponieważ Poe lubił go mieć pod ręką, gdy wymyślił coś nowego w ciągu nocy. Właśnie z tego powodu wezwał Yeatsa teraz. Prawnik pojawił się w mieszkaniu Poego, na szczycie wieżowca, w jedenaście minut. Poe liczył czas.

Yeats miał rzadkie, rudawe włosy i widoczny brzuch. Zostawił daleko za sobą wspomnienia ze swego dzieciństwa, spędzonego w południowo-zachodniej parafii irlandzkich katolików. Ubrany był w niedzielne poranne ubranie: jasnoniebieską koszulkę polo firmy Lacosta, granatowy blezer, lekkie flanelowe szare spodnie, szare skarpetki i żeglarskie buty firmy Sperry Topsider. Nosił, być może z wyrachowania, połówki szkieł, które nadawały mu wygląd protestanckiego erudyty.

Tak jak żądano, przyniósł z sobą to, co on i Poe nazywali po prostu *książką*. Był to rodzaj taniej książki głównej, jakiej używano zanim wprowadzono komputery, były one powszechnie dostępne w sklepach zaopatrujących biura. Nie było w niej żadnego słowa. Po stronie przychodów znajdowały się wyłącznie liczby i sumy, które były identyfikowane wyłącznie według linii na stronie, którą zajmowały. Zestaw dwóch pierwszych kolumn, na przykład, przedstawiał sprawozdawane i prawdziwe miesięczne przychody z kasyna Poego w Michigan City. Kolejne kolumny były przeznaczone dla jego hazardowych łodzi rzecznych, wypływających z Dubuque w stanie Iowa. Czasami równoległe kolumny cyfr były identyczne. To, czy były zależne, czy też nie, od końcowego przychodu na każdej stronie wskazywało, czy różne operacje finansowe Poego wykazywały całkowity dochód po spłaceniu raty jego olbrzymiego długu, czy stratę. Przez ostatnie pięć miesięcy ostatnia linia wykazywała straty.

- Chcę kupić łódź - powiedział Poe, kiedy jego gospodyni nałapała Yeatsowi kawę i wróciła do kuchni.

- Masz już łódź - powiedział Yeats. - Jedną z największych na jeziorze Michigan.

- Mam na myśli żagłówkę. Dużą z dwoma masztami. - Poe podsunął mu jedno z żeglarskich czasopism, pokazując wskazującym palcem ogłoszenie zajmujące jedną czwartą strony, reklamujące czarnokadłubowy statek dwumasztowy mający sześćdziesiąt pięć stóp, za trzysta pięć tysięcy dola-

rów.

- Chcesz sprzedać tę, którą masz? Ciężko jest wejść na rynek z taką balią. W bankach jest zastój, również w banku Donalda Trumpa.

- W dniu, w którym sprzedam *Queen P* będę splukany. Nie, chcę drugą łódź.

- Żeby płynąć na Florydę lub w inne miejsce?

- Nie. Tutaj.

- Dlaczego?

- Wszyscy wielcy zawodnicy z Yacht Klubu mają swoje własne żagłówki. Włączając ciebie.

- Większość z nich bierze udział w regatach.

- Wiem, chcę brać w nich udział. Jak Ted Turner.

- Peter. Musisz nauczyć się żeglowania.

- Nie. Nie muszę. Wynajmę kogoś, kto za mnie weźmie udział w regatach. Może każę mu, żeby mnie nauczył.

Yeats stuknął obcasami, co było u niego oznaką irytacji. Zaplanował poświęcić następny tydzień na odwiedzenie Poego od zamiaru kupienia White Sox. A teraz znowu to.

- Nie możesz odpisać od podatku dwóch łodzi, tylko jedną. I nawet to jest niełatwe w dzisiejszych czasach.

- Chcę kupić łódź z dwoma masztami. Jest tu parę innych, nawet tańszych. Długie na dwieście stóp. Może dwieście pięćdziesiąt.

Yeats potrząsnął głową.

- To są rejsowe łodzie, Peter. Zbyt wolne na regaty. Jeśli chcesz brać w nich udział, kup mały statek żaglowy.

- Dwa maszty?

- Jeden maszt. Ale one są szybkie. Tutaj jest taki. Pięćdziesięciojednostopowy, wyścigowy. Doskonały. Kosztuje tylko sto czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Komandor mojego Yacht Klubu posiada bardzo podobny.

Poe popatrzył na Yeatsa bez wyrazu. Był teraz podobny do lwa, który sprawdza czy warto zjeść swą ofiarę.

- Jeden maszt i w dodatku mały.

- W końcu, byłaby to łódź dla dżentelmena. Byłoby miejsce na małe przyjęcia. Ta posiada dwie prywatne luksusowe kabiny.

Zapanowała cisza..

- Czy chcesz, żebym znalazł jakąś łódź podobną do tej? - zapytał Yeats. - Czy po to dzwoniłeś po mnie?

- To była jedna z przyczyn - powiedział Poe spokojnie, ale przyjacielskim głosem. Znów był to Peter Poe, miły facet, multimilioner. - Znasz zagłówki. Znajdź jakąś. Dużą, ale szybką. Chcę podpisać akt kupna w tym tygodniu. I chcę wziąć udział w regatach tego lata.

- Tego lata?

- Tak. Może regaty Mackinac.

- Mackinac? To jest bardzo mocna grupa, Peter. Myślę, że nie zdołasz skompletować i wytrenować załogi na czas. Czy planujesz być również na statku?

- Tak, chcę być na zdjęciu na zakończenie.

- Oni nie zrobią ci zdjęcia, chyba że zwycięzysz.

- W porządku, Bill. Chcę zwyciężyć. Chciałbym być w gazecie tego lata jako wielki zwycięzca.

- Mógłbyś wziąć udział w regatach Chicago-Menominee. Odbývają się one w górze jeziora, dookoła półwyspu Door County i w poprzek Green Bay. Jest to ciężki wyścig, ale niewielu wielkich kapitanów bierze w nim udział. Nie tak wiele łodzi. Odbývá się w końcu lipca.

- Zrobię to.

- Czy chcesz, żebym był twoim kapitanem?

- Nie. Masz własną łódź.

Yeats wzruszył ramionami. Gdy Poe nie powiedział nic więcej zaczął sięgać po teczkę, w której była *książka*.

- Wyjmij ją, Bill. Chcę wiedzieć, czy mogę kupić łódź za gotówkę.

- Nie, jeśli zamierzasz upierać się przy kupnie White Sox - powiedział otwierając teczkę. - Zapłata za moje usługi mogłaby się równać cenie łodzi.

- Nie zamierzam kupować White Sox.

Yeats zamrugał oczami. - Co masz na myśli? Przez cały czas w ostatnim tygodniu byłeś w wiadomościach telewizyjnych, zachowując się tak, jakbyś był już jej właścicielem.

Poe spojrział na niego jak na kompletnego osła. - Wszyscy myślą; że zdecydowałem się kupić Sox, Cubs i Bulls. To znaczy, wszystko, co chcę.

Artykuł wstępny w *Tribune* porównuje moją fortunę do fortuny starego A.N. Pritzkersa. Zastanawiają się, w którym miejscu zatrzymam się. Zgadza się?

- Tak.

- To wszystko co chciałem osiągnąć. Teraz mogę pójść do banku na Cabrini Green i załatwić sprawę. Otworzą przede mną skarbiec i dadzą mi całą taczkę. Mam rację?

- Do którego banku pójdziesz? Continental Illinois? First National? Oni nie są w nastroju dawać komuś całą taczkę przy tej recesji. Może małą łopatkę. Może łyżkę.

- Myślę o nowym banku. Inland Empire. Nie są tak wielcy, ale są graczami i mają powiązania z Japończykami. Widzą, że jadę do przodu. Chcą, żeby całe miasto ruszyło się znowu. Chcą być jego częścią. Wygramy. Znaczą to mnóstwo ich jajek w moim koszyku, ale teraz ja tylko działam w tym mieście.

Była to prawidłowa ocena.

- Zamierzałem rozmawiać z tobą o tym - powiedział Yeats - gdyby Continental i First odmówiły ci.

- Bill - powiedział Poe z uprzejmym uśmiechem. - Pieprzysz.

Yeats spojrział na swoje buty. Były całkiem nowe. Kiedy był na łodzi, nosił bardzo stare.

- Chcę wiedzieć, Bill, czy Inland Empire chce moje kasyno lub moje łodzie rzeczne jako dodatkową gwarancję. Wszystko inne, co posiadam, to moje wpływy.

- Na pewno będą chcieli. Oni mogą być graczami, ale są również bankierami.

- W porządku - powiedział Poe wskazując *książkę*. - Zacznijmy teraz. Wszystko co mam wkładam do jednej kasy.

- Wszystko?

- Każdą dwudolarówkę.

- Na jak długo?

- Dopóki nie powiem inaczej.

- A co z obsługą twojego długu?

- Będę dbał o to.

- Jak?

- Nie potrzebujesz tego wiedzieć.
- A co z Bobby Mannem?

Mann był kierownikiem kasyna Poego. Zatrudnił go na prośbę pewnego akcjonariusza, który zainwestował w jego operacje pieniężne w Indianie. Mann prowadził kasyno w Atlantic City. Bał się Yeatsa bardziej, niż ktokolwiek inny z organizacji Poego. Czasami bardziej, niż samego Poego.

- Ja się nim zajmę.
- A twoi partnerzy?
- Oni są milczącymi partnerami.
- Nie będą chcieli zostać takimi.
- Zostaną jeśli będą myśleli, że Urząd Podatkowy węszy coś wokół tego. Znam kogoś w Biurze Prokuratora Generalnego. Poproszę, żeby zadzwonił, gdy będę w kasynie albo przysłał mi oficjalne pismo, które powinno ich uciszyć na jakiś czas.

- Mówisz, że możesz ich powstrzymać?
- Nie martw się o to.
- I ciągle chcesz kupić łódź?
- Będę miał pieniądze - powiedział Poe. - Ty wystaraj się o łódź.
- Co tylko chcesz. - Yeats wstał. Zaczął wkładać *książkę* z powrotem do teczki.

- Nie - powiedział Poe. - Zostaw ją.
- Zawsze ja ją miałem.
- Zmieniło się, Bill. Jak załatwimy sprawy na Cabrini Green, zaczniemy nowy system.

Yeats zmarszczył brwi. - Wydaje mi się, że nie wiem o wszystkim co się tu dzieje.

- Jesteś spostrzegawczym facetem.
- Jeśli nie ufasz swojemu adwokatowi, to komu możesz ufać? - powiedział Yeats. Uśmiechnął się, żeby obrócić to w żart.

Poe nie odwzajemnił uśmiechu. - Jeśli nie będę ci ufał, Bill, nie będzie cię już tutaj.

Odprowadził swego gościa do windy.

- Miłego dnia - powiedział, kiedy otworzyły się drzwi. - Dlaczego nie idziesz pływać? Może płynąc w poprzek jeziora znajdziesz jakąś łódź dla

mnie.

- Przy tej recesji nie powinno być problemów.
- Nie lubię problemów, Bill. - Wypowiedział te słowa na pożegnanie.

Gdy drzwi windy zamknęły się, poszedł do gabinetu i zadzwonił do Mango Bellini. Dzwonek zadzwonił cztery razy i już zaczynał być zły.

W końcu odpowiedziała.

- Już trzeci raz dzwonię dziś rano do ciebie - powiedział Poe. - Dlaczego nie odpowiadałaś na zostawione wiadomości?

- Właśnie wróciłam, Peter. Telefon dzwonił, jak otwierałam drzwi. Mówię uczciwie. Przykro mi.

- Gdzie byłaś.

- W kościele. Na mszy. On tam był. Zawsze chodzi na mszę, gdy staje się niespokojny. Myślę, że oczyszcza w ten sposób swój rejestr. Robi miejsce na nowe grzechy.

- Czy nie jest to trochę ryzykowne?

- To jest duży kościół. Przyszłam późno. Usiadłam z tyłu. Wyszłam zanim to się skończyło. To było dobre, Peter. Myślę, że przyjdzie grać dziś wieczorem.

- Czuję trochę zdenerwowania w twoim głosie. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Nie jestem zdenerwowana. Przygotuję się psychicznie.

- To już wszystko o naszym facecie?

- Są jakieś obrazy na twoim jachcie, ale nie ten, którego szukasz.

- A dziewczyna? Jill Langley?

Przerwała z powodu kaszlu. Musi zmusić ją do rzucenia palenia.

- Jeszcze nie - powiedziała.

- Dobrze.

- Pozwól zająć mi się tą sprawą dziś wieczorem.

- No dobrze, dobrze. Zadzwoni do mnie, gdy będzie po wszystkim.

Zamierzam wyjść wieczorem, ale wrócę przed północą.

- Zadzwonię tak szybko, jak tylko będę mogła.

- Kocham cię, dziecino. Bądź opanowana. Nie pozwól, by cokolwiek cię przestraszyło.

Odwiesił słuchawkę w momencie, gdy Diandra bosą i cicho zeszła w dół

do hallu. Wiatr z tarasu rozwiewał jej włosy i podwiewał długi jedwabny szlafrok.

Spojrzała na Poego i skinęła głową - jak gdyby „dzień dobry” oraz pocałunek i uścisk żony były zawarte w tym prostym, krótkim geście. Wyszła na taras przesuwając leżak w cień, żeby ochronić swą jasną, czystą skórę przed słońcem. Przestrzegwała wszystkich zwyczajów modelki, z wyjątkiem unikania alkoholu. Przyniosła ze sobą drinka - sok owocowy rozcieńczony dżinem lub wódką. Zanim wypila pierwszy łyk, włączyła tarasowe stereo i nastawiła stację nadającą klasyczną muzykę. Ułożyła się wygodnie w pozycji półleżącej, zamknęła oczy i słuchała muzyki.

Poe patrząc na nią przez otwarte okno gabinetu, miał ochotę wyjść, kopnąć krzesło i zniszczyć ten spokojny moment. Spokój był jedną z cech życia, których unikał. Złościło go, że ona mogła urządzić to wszystko z taką łatwością.

Zamiast tego powrócił do telefonu. Przeprowadził wiele rozmów telefonicznych, ale tylko Traina nie znalazł nigdzie. Był z tego ogromnie niezadowolony. Poe lubił, gdy miał możliwość dotarcia do ludzi, których potrzebował, wszędzie i o każdej porze. Zachowywał się jak rozgniewany bóg, który nie lubi być lekceważony.

Zany Rawlings był w środku śniadania - polskie parówki, sadzone jajka, smażone tarte ziemniaki i zimne piwo czeskie - kiedy sierżant Hejmal pojawił się z raportem z sekcji zwłok i z wywołanymi zdjęciami z St. Joseph. Zany rzucił na nie krótko okiem, odsuwając resztę śniadania, sięgnął po piwo i poprowadził Hejmala na werandę osłoniętą siatką. Wypił łyk, odbiło mu się i czekał, aż uspokoi się jego żołądek, zanim powróci do oglądania zdjęć.

- Rzeczywiście piękna dziewczyna.
- Jeszcze raz sprawdziłem zaginione osoby - powiedział Hejmal, chrupiąc jedną z parówek. - Michigan, Indiana, Illinois, Wisconsin. Komunikat mówił o dwóch zaginionych dziewczynach, ale były to nastolatki z Laporte. Nie było nikogo z Chicago.
- Zawsze ktoś ginie w Chicago - powiedział Zany.

- Ale nie dziewczyna podobna do tej.

Zany czytał wolno raport z autopsji. Kąt nachylenia pocisków wskazywał, że były one wystrzelone z góry i z tyłu. Było to już wiadome z dziur po kulach znalezionych w łodzi i z pozycji ciała w chwili znalezienia go przez rybaka. Zany przerwał czytanie i zaczął rozmyślać. Strzelający mógł wypalić do niej prawie zewsząd - może nawet z mostu albo tamy.

Czytał dalej. Przed śmiercią, dziewczyna wypła przynajmniej jednego drinka. Nie jadła nic, ani nie miała stosunku płciowego. Jej jelita i pęcherz były prawie puste.

W brzuchu Zany'ego zaburczało znowu. Oddał raport Hejmalowi.

- Wyślij wszystkie kopie do Lansing - powiedział. - Daj jakieś zdjęcia prokuratorowi okręgowemu, żeby mógł je dać do gazet, ale wytnij nieprzyjemne szczegóły.

- Dobrze, szefie. Czy Straż Nabrzeżna odkryła coś jeszcze?

- Oczywiście, że nie. No, mieli kilka niepokojących telefonów z Illinois, ale nic nie zostało potwierdzone. Powiedzieli mi, że łódź z zapalonym silnikiem, przy takim wietrze mogła łatwo przepłynąć jezioro w sześć godzin, może nawet mniej. To mogło się wydarzyć na naszej stronie.

- Sześć godzin z Chicago?

- Tak.

- Hmmmm. - Wydany dźwięk wskazywał, że mózg Hejmała został przełączony na jałowy bieg.

- Zamierzam pojechać tam samochodem - powiedział Zany. - Chcę, żebyś prowadził sprawę tutaj, w mieście. Jeśli coś zostanie wykryte, dasz mi znać, ale nie wypapłaj tego Moranowi. Powiem mu to sam później.

- Zamierzasz wziąć to glinom z Chicago?

- Zamierzam prosić ich o pomoc. Każ im sprawdzić obraz.

- Myślisz, że został ukradziony?

- Ona doprowadziła kogoś do szaleństwa.

Ruth Anne Mazureski zastanawiała się, czy jest powód do niepokoju. Jill Langley była jedną z trzech lokatorek w jej czteropokojowym mieszkaniu na Starym Mieście. Wszystkie były samotnymi kobietami, zajętymi w dziw-

nych godzinach. Często spędzały piątkowe i sobotnie noce poza domem. Jill była kiedyś taka sama, ale jej styl życia zmienił się, co miało prawdopodobnie związek z zakończeniem się jej romansu. Teraz, kiedy nie pracowała do późna, spędzała prawie każdy wieczór w domu. Czasami spędzała czas z Ruth Anne, oglądając telewizję lub wypijając drinka w barze na rogu. Zwykle jednak przebywała sama, a jej stereo rozbrzmiewało smutną, klasyczną muzyką do późna w nocy.

Przez ostatni weekend była cisza. Ruth Anne pukała do drzwi wiele razy, a raz słyszała nieskończenie długo dzwoniący telefon.

Jill mogła się pogodzić. Mogła spotkać kogoś nowego. Mogła też leżeć martwa, naga i zgwałcona w jakiejś alejce. Tygodniowe zakupy spożywcze musiały być zrobione. Często Jill i Ruth Anne chodziły razem do supermarketu na Treasure Island. Wspomnienie to zasmuciło ją i jeszcze bardziej zaniepokoiło. Włożywszy cienką bluzę od dresu wyruszyła żwawym krokiem, a ładna pogoda poprawiła jej nastrój. Supermarket był zatłoczony i po blisko godzinie wróciła do domu. Uginając się pod ciężarem trzech ciężkich toreb, z trudnością pokonywała schody.

Drzwi Jill uchylone były na cal. Po uwolnieniu się od ciężaru, Ruth Anne zapukała głośno, w końcu popchnęła je, otwierając szerzej. Zawołała głośno Jill po imieniu.

Nie było odpowiedzi. Wchodząc do małego przedpokoju została ogłuszona i oszołomiona widokiem, który ujrzała. W salonie wszystko było przewracane do góry nogami. Zdjęte ze ścian obrazy odrzucone były na bok, dywan ściągnięty. W podobnym stanie była kuchnia i sypialnia. Narzuta na łóżko była również ściągnięta.

Ruth Anne zaczęła rozglądać się, czy nie zginęły jakieś ubrania i biżuteria Jill, ale poczuła, że ogarnia ją strach. Uciekła z mieszkania i zbiegła w dół po schodach. Kiedy wychodziła z Treasure Island widziała dwóch mężczyzn, białego i czarnego, siedzących w samochodzie stojącym przy chodniku. Wzięła ich za policjantów. Widziało się wielu funkcjonariuszy siedzących w samochodach na Starym Mieście, nawet w niedzielne popołudnie.

Nie było ich teraz.

Matthias Curland nienawdził przyjęć koktajlowych bardziej niż innych form spotkań towarzyskich. Z reguły były one tak uroczyste i sprzyjające istotnym rozmowom, jak hałaśliwa w godzinach szczytu ulica Howarda. Jednym z aspektów życia zamożnych ludzi elity, który prawdziwie podziwiał, było to, że większość z nich miała wstręt do pijackiej paplaniny ludzi z całym ich grubiaństwem i bezsensownym gadulstwem. Zamiast przyjęć koktajlowych wolał mniejsze, mniej krępujące okazje towarzyskie, na których ludzie mogli siedzieć razem lub poruszać się wokół swobodnie, znajdując przyjemność w oglądaniu dzieł sztuki i książek gospodarzy oraz cieszyć się całym tym sympatycznym otoczeniem, jak swoim własnym.

Taki był Paryż - przynajmniej intelektualny Paryż. Takie samo było południe Francji, poza sezonem festiwalu filmowych. Swoją Francuzkę spotkał na takim właśnie przyjęciu. Najpierw zobaczył ją, pewnego popołudnia, w stroju topless na plaży w Cannes. Usadowiona wygodnie na tamie czytała książkę. Spojrzała do góry, zmuszając go do odwrócenia wzroku. Odszedł. Gdy wieczorem poszedł na przyjęcie, odbywające się w willi położonej na wzgórzu zwróconej ku Tour de Mont Chevalier, natknął się na nią znowu. W momencie gdy ją zobaczył, stała przy otwartych drzwiach tarasu, patrząc na obraz przedstawiający kąpiących się ludzi na wybrzeżu morskim, namalowany przez amerykańskiego artystę Guy Pene Dubois. Matthias znał tę pracę na tyle dobrze, że mógł dyskutować o satyrycznym wyrazie obrazu. Na przyjęciu było blisko pięćdziesiąt osób i prawie tyleż pokoi było w willi. Tak jak w wielu scenach z filmów Felliniego takich, jak *Słodkie życie*. Przyjęcie zbliżyło ich do siebie. Zakończyli je na kamienistej plaży.

Odwiózł ją do domu taksówką, ale gdy uświadomił sobie, że nie ma pieniędzy, ona musiała zapłacić należność.

Tamten przejazd taksówką przez ulice Cannes wydawał mu się już bardzo odległy. Obecny, z Sally, nie miał w sobie nic niezwykłego. Mijali krzykliwe neony sklepów alkoholowych, barów, stoisk z hamburgerami. Chodniki zapchane były amerykańskimi parami w średnim wieku, idącymi do restauracji lub nocnych barów przy ulicy Rush. Dwukołowy pojazd zatrzymał się, nie wiadomo dlaczego, z tyłu dychawicznego autobusu miejskiego. Odurzony narkotykami młody człowiek, który prowadził pojazd, ubrany był w kapelusz i tenisówki. Obszerna limuzyna zaczęła

trąbić. Taka była Ameryka.

Noc była ciepła, zaparkował więc ekscentrycznego, starego rollsa ojca na ulicy przed domem na Schillera. Miał nadzieję, że razem z Sally przejdą spacerem kilka przecznic do domu Bitsie Symms, znajdującego się na East Lake Shore Drive. Sally nalegała jednak na „przyjazd”, co oznaczało co najmniej taksówkę. Matthias uzmysłowił sobie, że tak jak kiedyś, tamtego romantycznego ranka w Cannes, nie ma przy sobie dość pieniędzy.

U Bitsie nie było żadnych widoków na miłą kontemplację książek i obrazów. Mieszkanie jej było wielkie, zajmowało wysoki parter starego kamiennego wieżowca, z widokiem na brzeg jeziora. Wydawało się, że zaprosiła pół Chicaga. Hałaśliwi, stojący ramię przy ramieniu ludzie tłoczyli się nawet w wejściowym hallu.

- Mój były mąż będzie tu prawdopodobnie - powiedziała Sally, biorąc kieliszek szampana od kelnera, który kręcił się na skraju tego mrowia ludzi. - Przykro mi. Powinnam ci była o tym powiedzieć.

- Czy nie powinniśmy wyjść? - zapytał Matthias, dziękując za drinka. Zmarszczyła brwi. - Nie.

Przeszli dalej, do środka. Sally zatrzymała się prawie od razu, żeby porozmawiać z jakąś kobietą z ufarbowanymi na popielatoblond włosami i toną dużych klejnotów. Wiele kobiet w tym towarzystwie miało taki sam kolor włosów.

Matthias nie znał tej kobiety, ale spostrzegł innych ludzi, których znał - polityków, prawników, prezesów korporacji, ludzi z elity towarzyskiej, dziennikarzy z lokalnej prasy, szefów związków zawodowych, właścicieli galerii, felietonistów z gazet i jednego, czy dwóch dekoratorów wnętrz. Mieli większe brzuchy, byli bardziej siwi i łysi niż wtedy, gdy widział ich ostatni raz, ale w inny sposób nie byli zmienieni. Jeszcze inną obmierzłą rzeczą na przyjęciach koktajlowych było to, że skupiały one grupki ludzi powiązanych ze sobą. W Nowym Jorku byli to literaci, bogacze i artyści. W Waszyngtonie, politycy i dyplomaci. W Los Angeles i Cannes, filmowcy. W Chicago była tylko jedna grupa, a jej przywódcy, jaki by nie był ich zawód, przechodzili przez życie przeważnie razem i tylko śmierć tasowała ich szeregi. Przyjaciele rodziców Matthiasa z Lake Forest nie byłiby zainteresowani uczestnictwem w takim wieczorze, ale ludzie prawdziwie potężni i

mający wpływy w tym mieście uważali je za obowiązkowe. Matthias zauważył nawet architekta, z którym chodził do szkoły, faceta mającego odpowiednie powiązania, którego duża i ważna firma specjalizowała się w budowie drapaczy chmur.

Matthias odwrócił się od niego. Był tylko jeden architekt w Chicago, z którym rozmowa mogła być interesująca - legendarny geniusz, Harry Weese, ale nie było go tutaj.

Sally znalazła więcej przyjaciół. Zanim mogła zawlec Matthiasa i przedstawić go im, zaczął przepychać się przez dum do przyległego pokoju, w którym było mniej ludzi. Przechodząc zobaczył, że kilka osób zamachało do niego. Niektórzy wyrażali wielkie zdziwienie widząc go tutaj, ale on nie zatrzymywał się. Na małej sofie jakaś para szeptała ze sobą. Ich bojaźliwy i ukradkowy sposób zachowania się świadczył, że nie byli małżeństwem. W rogu pokoju trzech mężczyzn w ciemnych garniturach biznesmenów ze swadą rozprawiało o jakimś szczególe handlowym. Obok wygaszonego kominka, wysoka, wiotka kobieta przyglądała się obrazowi. Przedstawiał głowę ludzką podobną do czaszki, nasadzoną na patykowate ciało. Tło obrazu miało intensywny kolor fioletu i czerni. Matthias poznał artystę, ale jakoś nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska.

Kobieta była daleko bardziej fascynująca niż ten obraz śmierci na płótnie. Jej eteryczne piękno było zaprzeczeniem szczerzącej się twarzy. A może były to dwa oblicza tej samej rzeczy. „Piękno jest zapachem róż - napisał F. Scott Fitzgerald - i śmiercią róż”. W każdej pięknej twarzy zawarte były zgnilizna i rozpad. Szczerząca się czaszka ukrywała się za każdym, nawet najpiękniejszym obliczeni. Jego matka też była piękna. Matthias podszedł bliżej. Szczerłość kobiety była zadziwiająca, ale nie miała nic wspólnego z neurotycznym i chorobliwym wyniszczeniem, do którego w desperacki sposób doprowadzały się dziewczęta i kobiety z towarzystwa, wyobrażając sobie, że tak powinny wyglądać. Jej długie, pełne gracji ciało o bladej skórze świadczyło raczej o doskonałej kontroli zarówno zdrowia jak i wagi.

Była tak wysoka jak on - może nawet trochę wyższa w swych czarnych, satynowych pantoflach na wysokim obcasie i w prostej, eleganckiej koktajlowej sukni z czarnej koronki. Nosila prostą złotą bransoletkę i cienki złoty naszyjnik. Gdy podszedł do niej bliżej, poczuł delikatny zapach

świeżych kwiatów - kontrastowy wobec ciężkiego, przesyconego zapachem drogich perfum i dymem papierosowym powietrza wokół.

Spojrzała na niego i zauważyła, że miała szeroko rozstawione, jasnoniebieskie oczy. Dojrzała cieniutkie zmarszczki świadczące o zmęczeniu i kłopotach oraz kilka mało widocznych, głębszych zmarszczek na czole. Wyglądała na około trzydzieści lat, chociaż nie mógłby powiedzieć, ile lat mogła być młodsza od niego.

- To jest bardzo szpetne - powiedział wskazując na obraz. - Jakby nagryzmołone przez rozszlączonego dzieciaka.

- To jest Jean Dubuffet - powiedziała stwierdzając fakt. Jedwabistość i czystość jej niskiego, miękkiego głosu zaskoczyły go tak bardzo, jak jej uroda. Brzmiał jak letnia, wieczorna bryza.

- Próbowałem przypomnieć sobie kto to namalował - powiedział Matthias. - Dubuffet. Oczywiście.

- Nie jestem ekspertem - powiedziała. - Przeglądałam właśnie stary katalog Instytutu Sztuki. Wystawę High i Low. Było tam wiele obrazów Dubuffeta.

- Był karykaturzystą i egzystencjalistą - powiedział Matthias. - Lubił niepokoić.

- Z powodzeniem, prawda?

Matthias rozejrzał się po pokoju. Poza Dubuffetem zobaczył wiszącego na ścianie Rene Magritte.

- Jeszcze nie poznałem naszej gospodyni - powiedział - ale z pewnością jest w posiadaniu wielu dzieł sztuki.

- Wartych trzech mężów - powiedziała kobieta. Odwróciła się do Matthiasa. Jej chłodne, niebieskie oczy oceniały go. Obdarzając go ostrożnym uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

- Jestem Diandra - powiedziała.

- Matthias. Matthias Curland.

W momencie gdy ujął jej rękę poczuł inną na swoim ramieniu. Była to Sally, wyglądała na bardzo przejętą.

- Chodź - powiedziała. - Bitsie chce cię poznać. Skinęła grzecznie truskawkowoblond kobiecie, która odwróciła się.

Matthias pozwolił się odciągnąć. Przebijając się przez tłum, został

wciągnięty w krąg ludzi zebranych wokół błyskającej złotem osoby.

Tak jak się mówi w Nowym Jorku, Bitsie Symms była kobietą gdzieś pomiędzy czterdziestką a śmiercią. Zamiast koloru popielatoblond, jej włosy świeciły jasno dorównując prawie cyrkowej żółci jej paradnej, krótkiej sukienki. Wszystko to nie pasowało do oliwkowego koloru jej skóry, nienaturalnie naciągniętej i napiętej na kościach twarzy, jak folia spożywcza na miseczce z reszką jedzenia. Wielkie piersi wyglądały, jakby miały wypaść ze stanika. U podstawy szczeliny między nimi, miała olbrzymią złotą szpilę z diamentem obrazującą wschodzące słońce. Duże, ciemne, prawie czarne oczy taksowały wszystkich patrzących na nią.

- Bitsie - powiedziała Sally, trzymająca się kurczowo ramienia Matthiasa. - To jest Matthias Curland.

Pani Symms lekceważąc innych gości zebranych wokół, majestatycznie podeszła do Matthiasa biorąc oburącz jego prawą rękę i podnosząc ją w uścisku ku swoim piersiom. - Mój drogi Matthias. To nadzwyczajne, że mógł pan przyjść. Tak dużo słyszałam o panu.

W specyficzny sposób modulowała głos. Jej akcent był jej własnym dziełem, całkowicie znosił silną, nosową wymowę charakterystyczną dla ludzi urodzonych w Chicago.

Opuszczając swą lewą rękę, prawą wysunęła do przodu w kierunku jego ust tak, jakby zamierzał ją pocałować. Pospieszenie przypomniał sobie poprawny pruski zwyczaj i schylił głowę do jej ręki, ale nie dotknął jej ustami. W końcu uwolniła go.

- Było mi tak przykro z powodu śmierci pana matki - powiedziała pani Symms. - Taka przemiła osoba. Tak bardzo interesowała się sztuką.

Matka Matthiasa interesowała się sztuką jedynie wtedy, gdy dotyczyło to jej portretów. Pani Symms nie mogła oczywiście wiedzieć o tym. Matthias nawet nie słyszał o tej kobiecie, aż do dzisiejszego popołudnia. Był ciekaw, czy Sally dzwoniła do niej przed przyjęciem.

Patrzył na nią bez wyrazu i pani Symms podjęła rozmowę.

- Pan jest Matthiasem Curlandem, z tych Curlandów z Lake Forest, czyż nie? Sławny architekt? Dyrektor muzeum? Malarz? Żeglarz?

- Tak, ja... mój ojciec mieszka w Lake Forest.

- No, pan też tam jest. A tutaj jest pan gwiazdą przyjęcia. Teraz proszę

iść ze mną. Jest tu ktoś, kogo musi pan poznać, ponieważ poszukuje on architekta. Czy to nie wspaniały zbieg okoliczności? Właśnie mówił mi, że potrzebuje najlepszego architekta na świecie, a to mogło tylko znaczyć, architekta z Chicago, ponieważ Chicago ma zawsze najlepszych architektów na świecie.

Matthias czuł, że robi mu się gorąco i że się czerwieni. Miał nadzieję, że nikt nie widzi jego zakłopotania. Zobaczył truskawkowoblond kobietę, przechodzącą spokojnie obok, jakby we własnym mieszkaniu szła gdzieś w określonym celu.

Zniknęła mu z oczu. Bitsie Symms wzięła go pod rękę i pociągnęła za sobą. Goście szybko usuwali się z drogi przed pracą do przodu gospodynią. Przeszli do innego pokoju i zatrzymali się przed małym kręgiem mężczyzn stojących przy wielkich oknach, wychodzących na jezioro. Wśród nich było dwóch polityków, których pamiętał z dawnych czasów. Był tam również były mąż Sally, który natychmiast odszedł, gdy podeszli. Gronu temu przewodził, tak jak Bitsie Symms przewodziła ludziom zebranych w salonie, stojący w środku niewysoki, bardzo zadbany mężczyzna. Matthias nie widział jeszcze tak doskonale skrojonego garnituru. Był trochę krępy, z szerokimi ramionami i krótką szyją, ale garnitur i koszula uszyte z drogiego materiału były doskonale dopasowane i układały się na nim bez żadnych zagięć czy wypukłości. Bardzo brytyjski, rypsowy krawat w paski zawiązany był w staranny węzeł, a jego siwiejące sztywne włosy były tak ostrzyżone i wymodelowane jak na jakiejś rzeźbie. Miał szerokie kości policzkowe, duże uszy, silną, kwadratową szczękę i mocne usta. Był typem człowieka dominującego, a jego najbardziej dominującą cechą były niebieskie oczy, prawie turkusowe. Ich spojrzenie było tak samo wyrachowane, jak spojrzenie pani Symms. Oczy te patrzyły badawczo, ale przyciągały również uwagę. Nikt nie chciałby patrzeć w nie zbyt długo.

Posiadał małe ręce i stopy. Spojrzawszy w dół Matthias zauważył buty - oxfordy, wyglądające na bardzo kosztowne, wypolerowane jak buty brytyjskich gwardzistów.

- Peter - powiedziała pani Symms, popychając Matthiasa do przodu - popatrz kogo dla ciebie znalazłam. Najlepszego architekta w Chicago. Brata Christiana Curlanda!

Nigdy, w całym swoim życiu, Matthias nawet nie pomyślał, że dojdzie do takiej sytuacji, kiedy będzie miał ochotę uderzyć kobietę. Dzisiejszego dnia po raz drugi doświadczył tego uczucia. Zanalizowanie przyczyny takich odczuć zajęłoby zbyt dużo czasu.

- Jestem Matthias Curland. Przed laty byłem tu architektem.

Uścisk mężczyzny był zdecydowany, ale ostrożny. Turkusowe oczy zamigotały, spostrzegając swobodnie noszony przez Matthiasa niebieski blezer, szare flanelowe spodnie, trochę zmiętą koszulę w szarobiałe paski, a następnie przeniosły się na jego twarz, wpatrując się bez ceremonii w jego oczy. Matthias czuł się jak rzecz, która ma być zakupiona w sklepie.

- Peter Poe - powiedział.

- To pan jest tym człowiekiem, który zamierza kupić drużynę baseballową.

- Może, może. Który budynek jest pana?

- Słucham?

- Budynek. Pan jest architektem. Co pan zaprojektował?

- Właściwie nic.

Sally stała tuż za Matthiasem. - On zdobył międzynarodową nagrodę - powiedziała.

- Rzeczywiście? - zapytał Poe. - Za co?

- Za budynek mieszkalny przy parku Lincolna.

Tak jak kapitan okrętu obraca się na swoim mostku, tak Poe podszedł do okna, a dwóch innych mężczyzn razem z nim.

- Proszę mi pokazać - powiedział Poe.

- Nie zobaczy go pan z tego miejsca - powiedział Matthias stając przy jego boku. - Budynki przy alei zasłaniają go. Znajduje się blisko zoo. Ma stożkowaty kształt z trójkątną podstawą, która jest tak wydłużona, że nie dostrzega się nachylenia. Dom od strony parku ma szklaną ścianę.

- Rodzaj zieleni.

- Tak, ma zielony odcień.

- Znam ten budynek. Halsman, czy coś tam.

- Wieżowiec Halsmana.

- Ach. Wieżowiec Halsmana. Facet wykorkował, prawda? Centrum handlowe, czy coś w tym rodzaju, jakiś bank.

- Istotnie, to był bank. Z powodu problemów finansowych wycofał się ze zobowiązań w ostatniej minucie. Było to ostrożne posunięcie ze względu na pieniądze.

- Bankierzy są jak wrzód na tyłku. - Poe nagle zamilkł. Prezes jednego z największych banków na Loop stał w pobliżu. - Znam dobrze pana budynek. Zawsze byłem ciekaw, kto go projektował. Nikt, kto pracował dotąd dla mnie, nie potrafiłby zaprojektować niczego podobnego.

Wyglądał dalej przez okno, jakby mógł zobaczyć budynek Matthiasa.

- Wie pan, kupiłem Cabrini Green - powiedział Poe odwracając się do Matthiasa. Spojrzał ostro na Bitsie, odprawiając ją wzrokiem. Zrozumiała sygnał i odciągnęła Sally i innych, rozmawiając z nimi z ożywieniem.

- Rozumiem - powiedział Matthias. - A co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi, którzy tam mieszkają?

- Większości już tam nie ma. Wszystkich wyrzucę jeszcze przed pierwszym lipca. To jest dla nich błogosławieństwem. Miasto posiada dla nich program przesiedleńczy. Będzie ich subsydiować. Istnieją projekty jakichś niewysokich domów na West Side. Będą dla nich dobre. Troszczę się o ludzi. Nie jestem taki, jak ci faceci z Nowego Jorku. Nie jestem taki bezwzględny.

Matthias nie wiedział co powiedzieć.

- Posiadam dużo ziemi wokół North Branch, tutaj nad rzeką - kontynuował Poe. - Chcę zrobić z tym coś wielkiego.

- Wysokie domy na Cabrini - powiedział Matthias. - One nie są do uratowania.

- Nie ma mowy. Muszę to zrobić. Beton jest tam nasycony ludzkim moczem i krwią. Mam zamiar wyczyścić cały teren, począwszy od pierwszego lipca.

Matthias chciał zapytać, co chce postawić na tym miejscu, ale rozmowa zaczynała go denerwować. Poe był przyjacielski, kontrolował się bardzo, ale było w nim coś z rzeźmieszka - coś w ustawieniu ramion, w wyrazie oczu.

Wysoka truskawkowoblond kobieta podeszła spokojnie i stanęła obok Poego. Ten spojrzał na nią, a następnie otoczył ramieniem i przyciągnął bliżej jak swoją własność.

- To jest moja żona, Diandra. A to jest Matthias Curland. Światowej

sławy projektant budynków.

- Już się poznaliśmy - powiedział Matthias. Ze wszystkich mężczyzn na przyjęciu Poe był ostatnim, o którym mógłby myśleć jako o jej mężu. Chociaż może nie. Ich dwoje było tutaj najbardziej nieskazitelnie i starannie ubranymi ludźmi. Zastanawiał się, czy to Poe dbał tak o detale jej sukni, jak dbał o swoje ubranie, czy też może ona dbała o niego.

Oczy Poego wyrażały niepewność.

- Poznaliśmy się kilka minut wcześniej w innym pokoju - powiedziała pani Poe. - Oglądaliśmy obraz.

- Moja żona kocha malarstwo - powiedział Poe. - Pomaga mi w mojej kolekcji.

Diandra patrzyła na Matthiasa. Cała trójka stała przez moment w milczeniu czując się niezręcznie.

- Panie Curland - powiedział Poe. Jego głos był pełen autorytetu, tak jak udziałowca korporacji CEO zamykającego zebranie. - Chciałbym dłużej porozmawiać z panem. Czy może pan przyjść na kolację w tym tygodniu?

- W tym tygodniu?

- Jutro wieczorem. Czy mamy coś ważnego jutro, Diandro?

- Wszystko, co robisz, jest ważne, Peter. - Jej czysty, miękki głos, zabrzmiał nutką sarkazmu. Matthias był ciekaw, czy Poe to zauważył.

- Co byśmy nie robili, może zaczekać. Panie Curland, proszę przyjść na kolację. Jutro wieczorem. O ósmej godzinie.

Matthias pomyślał, że nie daje mu żadnego wyboru. - Dobrze, mam czas jutro. Dziękuję bardzo. - W tym samym momencie chciałby cofnąć wypowiedziane słowa, ale w takim samym stopniu człowiek ten odpychał go i budził lęk, co interesował.

- Zna pan mój budynek w alei Michigan, wieżowiec Poego, taki z czerwonym szczytem?

- Mogę go poszukać.

Poe wyciągnął rękę, żeby pożegnać się po raz drugi. - Dobrze. Proszę nam teraz wybaczyć. Muszę zamienić kilka słów z burmistrzem. W tym mieście nie można prowadzić interesów bez udziału polityków.

Gdy zaczęli odchodzić, Diandra chwyciła na moment rękę Matthiasa w swoje dłonie.

- Dobranoc, panie Curland. - Jej ręce były chłodne i piękne, jak cała reszta. Nieuchwytny zapach świeżych kwiatów pozostał jeszcze po jej odejściu.

Donald O'Rourke, ojciec ośmiorga dzieci, był najważniejszym człowiekiem w swojej dzielnicy. Bogacz. Pośrednik w handlu nieruchomościami, mający powiązania z ubezpieczeniami. Do stanowiska prezesa Wydziału Zieleni Miejskiej w. Chicago doszedł przez Partię Demokratyczną. Był w niej reprezentantem stanowym, radnym miejskim i członkiem komisji okręgowej. Opuścił właśnie swój luksusowy dom położony na Northwest Side - w rozwijającej się części miasta, zamieszkałej przez średnią klasę - żeby wziąć udział w zebraniu politycznym. Jego żona, Mary, ofiara politycznej działalności męża rozumiała, że takie zebranie nawet w niedzielny wieczór było tak przypisane do jego życia, jak jej zakupy w supermarkecie. Nie zapytała, gdzie odbywa się zebranie, ani czego dotyczy. Zapytała tylko, kiedy wróci. Odpowiedział, że niezbyt późno.

Spotkanie odbywało się rzeczywiście daleko, na południowym krańcu dzielnicy. Był na nim mniej niż godzinę. Zrobił tam wielkie widowisko, biorąc na piwo dwóch kierowników z Wydziału Sanitarnego miasta.

Wszystko, co zamówił, to jedno piwo z dwiema wódkami. Był wielkim, białowłosym mężczyzną o różowej twarzy Irlandczyka z trochę za dużym brzuchem i problemami sercowymi, które przyprawiły o zdenerwowanie jego lekarza. Doktor pozwolił mu wypijać do dwóch piw dziennie, ale zabronił picia dwóch wódek. O'Rourke potrzebował ich. Wódka podniecała go i uspokajała nerwy.

Romansowych przyzwyczajęń nabył wtedy, gdy pracował w ustawodawstwie. Okazały się one większym nałogiem, niż piwo z wódką i trzy, do czterech, paczek papierosów dziennie, które wypalał zanim doktor nie zaczął traktować go jak zbrodniarza wojennego.

Niepokoił się trochę o chorobę weneryczną, a jeszcze bardziej o całkiem nową - AIDS, ale zawsze pamiętał o środkach zapobiegawczych. Częste badania lekarskie, którym był poddawany z powodu choroby serca, nie wykazywały nic. Już od dawna przestał niepokoić się policjantami. Na

tablicy rejestracyjnej samochodu miał wypisany numer swojej dzielnicy i inicjały DOR. Żaden policjant na patrolu, ani młodszy detektyw nie zaczęliby go. Gdyby tak się stało, musieliby szybko pożegnać się z pracą w nocnych patrolach w Hegwisch.

Jego żona Mary, jeśli miała jakieś podejrzenia, nigdy nie zrobiła nawet aluzji, a O'Rourke nie zrobił nigdy nic takiego, żeby podsycać jej podejrzenia. Żadnych hoteli, żadnych kart kredytowych, telefonów do swojej obstawy, żadnej stałej dziewczyny, która by później skrzeczała, że chce czegoś więcej. Co do ryzyka ukatrupienia go i wrzucenia do pojemnika na śmieci w jakiejś ciemnej uliczce, po prostu unikał ciemnych zaułków. Miał swoje własne miejsce, które wybrał równie starannie, jak wybierał dziewczyny. A gdyby doszło do tego najgorszego, posiadał magnum, kaliber .44 z czterocalową lufą, ukryte pod siedzeniem samochodu.

O'Rourke znał swoje miasto, uczył się go kawałek po kawałku. Doskonale orientował się w narastaniu i zmniejszaniu się nocnej, przestępczej działalności na ulicach, jak generał orientuje się w ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Stare Miasto było teraz zbyt gorące. Właściciele interesów skarżyli się na ekscesy prostytutek, a policjanci czyścili ulice. Rejony Clark i Diversey były pełne różnych dziwaków, dlatego O'Rourke wybrał część peryferyjną, gdzie Yuppies byli wypierani przez ćpunów i biedaków, ale gdzie jeszcze ciągle był Broadway.

Pomarańczowy blask sodowych świateł ulicznych oświetlał dziewczyny stojące wzdłuż chodnika, jak towar wyłożony w supermarkecie. Jechał powoli jak po pastwisku, obserwując z uwagą te ślicznotki i sortując je na możliwe i takie, o których można od razu zapomnieć. Skręcił w następną przecnicę przyspieszając przy domach Yuppies, na bocznych uliczkach, a następnie wrócił na Broadway, znowu dokonując przeglądu.

Wysoka, z fantastycznymi nogami i dużymi cyckami. Miała duże okulary przeciwsłoneczne i długie blond włosy, które były prawdopodobnie peruką, zauważył jednak, że była prawdziwą pięknoscią. Nie widział takiej od kilku lat. Ujrzała go, gdy podjeżdżał i odpychając inną dziewczynę, zeszła z krawężnika. Uśmiechała się do niego, jakby była małym dzieckiem, a on Świętym Mikołajem. Uśmiechnął się również, ale zgodnie ze swoim starym obyczajem, zrobił jeszcze jedno okrążenie, żeby sprawdzić czy nie ma

policjantów.

Kiedy podjechał ostatecznie, zobaczył inną dziwkę, czarną, w podobnej blond peruce, która użerała się z tą ze wspaniałymi nogami i cyckami. Teraz można było szybko wszystko zakończyć. Nacisnął na hamulec, zatrzymując się przed nimi i skinął na tę w ciemnych okularach, żeby wsiadła. Zrobiła to tak szybko, jakby uciekała przed ulewą.

- Dziękuję - powiedziała. - Myślę, że ta dama nie lubi mnie.
- Ty mi się podobasz.
- Powinnam ci się podobać. Nieczęsto możesz spotkać taką dziewczynę jak ja, na ulicy.

Przejechali przez skrzyżowanie. Z bliska wyglądała jeszcze wspanialej.

- Dlaczego tak jest? - zapytał.
- Co?
- Dlaczego jesteś na ulicy?

Uśmiechnęła się do niego szeroko. Nigdy nie widział tak wspaniałych zębów u prostytutki.

- Człowiek, który płacił za mnie czynsz wyrzucił mnie na tyłek. Potrzebuję szybko jakichś pieniędzy.

- Ile?

Złożyła ramiona poniżej wielkich piersi, unosząc je tak wysoko, że prawie wyskakiwały ze stanika. - Dwieście.

- Dwieście? To nie jest Aleja Michigan.
- To nie musi być szybko.

Było coś w jej głosie. Nie brzmiał jak u dziwki. Ale również nie tak, jak u policjantki, z którą również mógł mieć do czynienia. Zastanawiając się nad tym, przejechał jeszcze jedną przecnicę. Nie miała chicagowskiego akcentu. Ale tak było lepiej. Dzwiki krążą wokół. Mogła pochodzić z Las Vegas lub Miami.

- Mam tylko czas na szybko - powiedział.
- Dobrze. Sto. Podobasz mi się. Nie wyglądasz na zbrojeńca. I nie musi być bardzo szybko.

Przejechał jeszcze jedną przecnicę nie odzywając się.

- Czy coś nie w porządku?
- Czy nosisz bieliznę?

- Dlaczego?
- Jeśli nosisz, to ją zdejmij.
- Moje majtki?
- Tak.

Badała go. - Myślisz, że jestem gliną?

- Lubię być pewny tych rzeczy.
- Nie noszę żadnych majtek. - Wykręciła się na siedzeniu i podniosła do góry spódniczkę. - Do diabła, teraz jesteś pewien. - Spódniczka wróciła szybko w dół. - Ja również lubię być pewna tych rzeczy. Rozepnij rozporek. Chcę zobaczyć z kim będę miała sprawę.

Uśmiechnął się do siebie. Żadna policjantka nie mogłaby eksponować się w ten sposób, gdyby pracowała na wabia, ale wielu funkcjonariuszy męskiego rodzaju nie miałyby takich oporów. To było Chicago, a nie Evanston.

- Zrób to.

Pochyliła się i wolno rozpięła suwak rozporka, wyjmując delikatnie jego penisa i biorąc go w ręce. Szybko zaczęła nabrzmiewać.

- Mmmmm - powiedziała. - Zamierzam polubić ten interes z tobą.

Zapowiadała się dobra noc. O'Rourke skręcił na następnym rogu i skierował się na wschód.

- Gdzie jedziemy? - zapytała.
- Znam pewne miejsce. Możemy czuć się tam bezpiecznie.
- W samochodzie?
- Tak. W samochodzie. Z tyłu. Jest mnóstwo miejsca.
- Ale gdzie? W jakiejś alejce? Pod trasą „E 1”?

Był ciekaw, czy ona pracowała przedtem na ulicy. Prawdopodobnie w barach i hotelach.

- Znam miejsce, gdzie nikt nie będzie nas niepokoił. W parku.
- W parku? Tam jest pełno zboczeńców i bandytów.

Chciał zobaczyć jej oczy ukryte za ciemnymi okularami, ale jeszcze bardziej chciał czegoś innego.

- Mam park - powiedział. Roześmiał się. - Mam dobre miejsce. Wokół jest parkan i nikt tam nie wejdzie. Mam klucz do zamka.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała. - Mój pokój. Przyjemne, duże i wygodne łóżko.

- Myślałem, że cię wyrzucił?
- Tak. Mam pokój w hotelu. Wynajęłam go na weekend. Nie jest zły. I jest blisko parku.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Staję się nerwowo w pokojach hotelowych.

- Sprawię, że nie będziesz nerwowo. Uczynię cię szczęśliwym. Mam butelkę wild turkey. Łóżko jest lepsze. Mogę zrobić ci wiele rzeczy. Mogę zrobić naprawdę wielką rzecz - w łóżku.

Przez moment ta myśl przyprawiła go o męki. Zawsze jednak trzymał się kurczowo swojej zasady i nigdy się nie zawiódł.

- Pojedziemy do parku.

Zbliżali się do Lake Shore Drive. Pozwoliła mu jechać. Wydawało się, że myśli o czymś bardzo intensywnie.

- Czy chciałbyś jakieś towarzystwo? - zapytała.

- Mam towarzystwo.

- Myślę o jeszcze jednej dziewczynie. O tej, która była ze mną na Broadwayu. Wróćmy i zabierzmy ją.

- Po co?

- Zrobiłam jej świństwo. Nie będą witały mnie z radością, gdy spróbuję pracować tam znowu.

- Więc pracuj w innym miejscu.

- Chodź. Nie chcę dostać za to po tyłku. Jej alfons może być artystą noża lub coś w tym rodzaju.

- Nie, dzięki.

- Proszę. To nie będzie kosztować cię nic więcej. Podzielę się z nią po połowie. To jest w sam raz dla niej.

- Nie interesuje mnie tamta dziewczyna.

- Och, zainteresujesz się nią. Dama zna te rzeczy. Czy robiłeś to kiedyś z dwiema?

Przestał myśleć. Nigdy tego nie robił.

- Ujmę to tak - powiedziała. - Jeśli nie wrócisz i nie zabierzesz jej, to daj mi święty spokój, do cholery.

Jego erekcja była tak wielka, że sięgała prawie kierownicy. Robiło się późno.

Czarna dziewczyna była zdziwiona, gdy ich zobaczyła, ale po prostu wzruszyła tylko ramionami, kiedy blondynka w ciemnych okularach zrobiła jej propozycję. Wskoczyła szybko na tylne siedzenie. Czuć ją było trochę potem.

- Jedziemy do parku - powiedziała ta w okularach przeciwsłonecznych.
- To jest noc powrotu do natury.

Mango Bellini opracowała wszystko. Wybrała właściwy hotel, pokój tuż przy windzie, zapłaciła za niego z góry gotówką, wsypała dość benzedryny do butelki z wild turkey, żeby serce starego sukinsyna zaczęło szwankować i żeby zachorował. Gdyby tak się stało, zbiegłaby na dół, żeby poskarżyć się recepcjoniście, że jej facet zasłabł na niej i rozplynęłaby się w nocnych ciemnościach. Potem zadzwoniłaby szybko z automatu pod numer 911 wzywając karetkę pogotowia, a następnie do redakcji miejskiej gazety z pikantną historią. Oni sprawdziliby i opisali tę brudną sprawę w porannych wydaniach. Prezes Wydziału Zieleni Miejskiej zachorował w pokoju hotelowym, do którego poszedł z wysoką blond dziwką. Jeśli wykorkowałby na serce, trudno. W każdym wypadku byłby wakant na ważnym stanowisku we władzach miasta.

Jednak ten sukinsyn spieprzył wszystko i teraz ona stanowiła część tego trójkąta, podążającego do jakiegoś zakątka w środku parku.

Pomysł, żeby zabrać czarną dziewczynę polegał na tym, że podczas gdy dziewczyna i O'Rourke zabawialiby się na tylnym siedzeniu, ona uciekłaby i powiadomiła radiowóz policyjny, że ktoś wdarł się na teren parku.

Teraz pomyślała, że był to głupi pomysł. Co zamierzała zrobić, zatrzymać radiowóz? Jak daleko musiałaby biec do telefonu? Ktoś mógłby ją zobaczyć?

On też ją widział. Jeśli zrobiliby to w pokoju hotelowym, byłoby logiczne, że przestraszyła się i zdradziła współnika, który dostał ataku lub, po prostu, wykitował. Ale jeśli wybiegnie z parku i policjanci zobaczą ją wkrótce po tym, to on domyśli się, że to zmontowała i z pewnością będzie chciał wiedzieć dlaczego to zrobiła, i dla kogo. Skręcił na starą ścieżkę do konnej jazdy i zgasił światła w samochodzie. W końcu podjechali do par-

kanu z siatki z wysoką bramą. Otworzył kłódkę, potem bramę i wjechał do środka. Następnie zamknął bramę i kłódkę, po czym włożył klucze do kieszeni. Przez moment stał nad słuchując. Wrócił do samochodu i ustawił go za dużą ciężarówką.

Nie był usatysfakcjonowany, że Mango robiła to ręką. Chciał normalnego stosunku z prezerwatywą. Robiła co tylko mogła, z obrzydzeniem smakowała lateks, czując zapach jego krocza. Druga dziewczyna zdjęła ubranie i zaczęła rozpinać mu koszulę.

Mango klęczała na podłodze z przodu samochodu.

Wyprostowała się, a jej ręka przypadkowo ześlizgnęła się spomiędzy jego nóg poniżej siedzenia. Poczowała tam twarde, zrobiony z metalu, ciężki przedmiot i natychmiast wiedziała co to było. Wiedziała teraz, co powinna zrobić, co musi zrobić.

- Jesteś gotowy, kochanie? - zapytała. - Rzeczywiście gotowy?
- O, tak. Chodź.

Tylnie siedzenie było już opuszczone. Czarna dziewczyna kucnęła na nim szykując miejsce.

- Chodź do tyłu, kochanie - powiedziała Mango - i pozwól jej zrobić jeden numer. Potem ja zrobię ci takie zakończenie, że nigdy tego nie zapomnisz.

Zamruczał coś ze szczęścia i z opuszczonymi spodniami wgramolił się do tyłu.

Zostawił otwarte drzwi, dzięki czemu paliło się światło w samochodzie. Mango sięgnęła do nich i zamknęła. Czarna dziewczyna w przekrzywionej na bok peruce wdrapała się na niego i zaczęła poruszać się w górę i w dół, wykonując swoje zadanie jak automat na taśmie produkcyjnej. Skóra na siedzeniu zaczęła skrzypieć rytmicznie.

Mango nie mogła czekać ani sekundy dłużej. Musiała wykorzystać sytuację i zrobić to. Chciała mieć to za sobą.

Wyciągnęła wielki rewolwer, uniosła powyżej siedzenia i skierowała lufę w tył głowy dziewczyny. Ostry, dzwoniący odgłos eksplozji w zamkniętym samochodzie zdumiał ją. Poczowała dym i gryzący zapach. Głowa czarnej dziwki sflaczała i opadła. Jej dolna część ciała przycisnęła twarz mężczyzny. Podniósł wściekły wrzask, ale nie słychać było żadnych słów. Walił rękami i

szarpał się, próbując wydostać się spod niej.

Mango nie celowała dokładnie. Strzelała do nich, dopóki całkiem nie opróżniła magazynku.

Leżał teraz spokojnie. Żadne z nich nie ruszało się. Odmówiła pacierz.

Oboje byli ludźmi bezwartościowymi. Oboje byli kurwami.

Prześlizgnęła się przez drzwi i przeszła do tyłu. Ściągnęła z niego zakrwawione ciało dziewczyny. Portfel. Wyciągnęła łatwo z jego kieszeni na piersiach pożądany przedmiot, ale musiała rozerwać kieszeń w spodniach, żeby wyjąć klucze. Boże, co za smród. Obydwa ciała były odkryte. Cofnęła się, żeby uciec, ale powstrzymała się. Odciski palców.

Chwyciła spódniczkę dziewczyny i zaczęła wycierać klamki u drzwi. Nie wiedziała, czy dotykała kierownicy, ale i ją wytarła. Kłódka upadła na ziemię, gdy ją otwierała. Znalazła ją, wytarła do czysta i rzuciła znowu na ziemię.

Na małej ścieżce rosły krzaki sięgające aż do miejsca, w którym stała. Z rewolwerem i portfelem w ręku przedarła się przez nie. Widziała przed sobą światła samochodów, jadących wzdłuż Inner Drive, ale nie słychać było żadnych syren. Nikogo nie było w pobliżu. Rewolwer wyczyściła spódniczką, to samo zrobiła z portfelem po wyjęciu pieniędzy. Wyczyściła dokładnie klucze, jeden po drugim. Następnie zebrała wszystko w spódniczkę i rzuciła tobolek w krzaki.

Zdjęła buty i zaczęła biec. Uda jej były mokre, oleiste. Zdała sobie sprawę, że nie był to pot. Prawie zaśmiała się do siebie. Miała orgazm. Coś takiego zdarzyło się jej już wcześniej.

Trzymając się cienia, skierowała się na południe, żeby być bliżej zachodniego końca parku. W świetle ulicznych świateł zauważyła, że ma krew na wewnętrznej stronie dłoni i ramienia. Znowu do cienia. Zdjęła stanik i kucnęła półnaga, wycierając plamy. Odwróciła stanik na lewą stronę i rozciągając go tak, żeby nie pobrudzić twarzy, włożyła go z powrotem. Nikt nie mógł zauważyć. Przynajmniej nie w nocy.

Do hotelu, w którym wynajęła pokój, była długa droga, ale recepcjonista nie zwrócił uwagi na godzinę.

Nie zostawiła w pokoju niczego, tylko tanią torbę z rzeczami i przyprawioną whisky. W torbie była zmiana ubrania - dłuższa spódniczka, czysta

bluzka i wygodniejsze pantofle. Przebrała się szybko i zebrała resztę swoich rzeczy.

- Zwalniam pokój - powiedziała do recepcjonisty, który czytał *Sun-Times*. Za jego milczenie wsunęła mu dwadzieścia dolarów, razem z kluczem do pokoju.

Spojrzał na ścienny zegar znajdujący się za nim.

- Spokojnej nocy - powiedziała przechodząc do drzwi.

Po wyjściu z przyjęcia u Bitsie Symms, Matthias i Sally szli spacerem wzdłuż Drive biegnącej wokół wybrzeża, mając widok na półwysep Olive Park i miejskie filtry oraz na długą bryłę starego portu marynarki wojennej. Na wodzie było mnóstwo łodzi, a ich poruszające się światła migotały we mgle, przypominając Matthiasowi jego własną żaglówkę.

Nocna mgiełka i odbijająca się luna miasta przyćmiewały większość gwiazd, ale Matthias widział świecącą jasno Wenus i zakrzywiony kawałek wschodzącego księżyca. Sally przyczepiona do jego ramienia szła wolno i blisko niego.

- Myślę, że wywarłeś na nim wrażenie - powiedziała.

- Na kim? Na potężnym panu Poe?

- Tak. Widać to było ze sposobu w jaki patrzył na ciebie. Oceniał cię. Matthias nie zrobił żadnego komentarza.

- On wznosi budynki - powiedziała.

- To jest miłe hobby.

- A teraz zaprosił nas na obiad.

Zaproszenie to, był tego pewien, dotyczyło wyłącznie jego, ale byłby szczęśliwy, gdyby poszła tam z nim. Widać było, jak bardzo zależało jej na tym.

- O czym myślisz, Matthias?

- O niczym szczególnym. Próbuję właśnie oswoić się z myślą, że znów jestem w Chicago. Kilka dni temu siedziałem na plaży w Cap Ferrat, a Chicago mogło być równie dobrze na innej planecie. Ciągle nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

- No, ja mogę. - Ścisnęła go lekko za ramię.

Skręcili znowu na zachód przy ulicy Walton, kierując się ku światłom hotelu Drake'a. Wspomnienie ich ostatniego spotkania, w tym miejscu przyszło i odeszło, pozostawił je bez komentarza. Zostało zastąpione innymi. Dochodząc do Alei Michigan, przecięli ją i skierowali się na południe, przechodząc przy bardzo angielskiej, gotyckiej fasadzie Czwartego Kościoła Prezbiteriańskiego, świątyni uczęszczanej przez ludzi z towarzystwa. Tu jego matka lubiła chodzić w święta Bożego Narodzenia i w Wielkanoc. Obok głównego budynku znajdował się spokojny, zarośnięty trawą dziedziniec, otoczony zabudowaniami kościelnymi i średniowieczną arkadą wyrzeźbioną z kamienia z Bedford. W środku znajdowała się śliczna fontanna. Dziedziniec służył jako świątynia na świeżym powietrzu. Kiedy ktoś wszedł tam, hałas uliczny dochodzący z pobliskiego bulwaru zanikał.

Sally oparła głowę na jego ramieniu, ale nie było to odpowiednie miejsce. Wspomnienia związane z tym dziedzińcem kościelnym dotyczyły Hillary, kobiety, która kiedyś była jego żoną i Jill. Całował tu obie. On i Hillary brali ślub w tym kościele. Delikatnie wypchnął Sally z powrotem na ulicę.

Ale ona oddawała się wspomnieniom coraz bardziej. Doszli do starego Hotelu Tremonta. W krótkiej alejce obok niego, Sally zatrzymała się i następnie poprowadziła go w jej głąb.

- Czy pamiętasz? - spytała.

Patrzył na nią bez wyrazu.

- Milion lat temu - powiedziała. - Jasny, słoneczny dzień. Zabrałeś mnie do kina a potem poszliśmy na spacer. Przyciągnąłeś mnie do siebie i pocałowałeś.

Przypomniał sobie wiersz: „Ze wszystkich dziewcząt, które są tak wytworne, nie ma żadnej podobnej do pięknej Sally. Ona jest wybranką mojego serca i ona mieszka w naszej alejce”.

Powtórzył te wersy głośno. Spojrzała na niego. Wyglądała na absurdalnie szczęśliwą. Zamknęła oczy. Matthias zawahał się i pocałował ją delikatnie. Przytuliła się mocno i pocałunek stał się mocniejszy. Ciągle troszczył się o tę kobietę, a mógłby czuć się okradziony i oszukany, gdy jej matka odebrała mu ją i zmusiła do poślubienia innego. Teraz Sally podawała mu się jak na złotym talerzu. Jeszcze jeden znak?

Wreszcie osłabła i rozluźniła uścisk. Cofnęła się, a jej oczy poweselały.

- Powiedziałam opiekunce do dzieci, że mogę wrócić raczej późno do domu - powiedziała.

Wiedział, co ma na to odpowiedzieć, ale nie zrobił tego.

- Nie jest późno - powiedziała.

- Nie, nie jest.

- Chciałabym napić się czegoś przed pójściem spać.

Spojrzał na szyld baru Tremonta. Za jego czasów było to miejsce spotkań wspaniałych rozwodników z towarzystwa.

- Tutaj? - zapytał.

- Nie. Chodźmy do twojego domu.

Wzięli taksówkę. Miał kłopot ze znalezieniem klucza do drzwi.

- Ciągle żyję w przeszłości - powiedziała. - Zapomniałam, że Christian mieszka tu teraz.

Znalazł klucz. - Niezupełnie. Trzyma tutaj swoje rzeczy, ale wydaje się, że spędza większość czasu gdzie indziej. Dzisiejszego wieczoru jest na North Shore.

- Na szczęście dla nas.

Zapalił jakieś światła, prowadząc Sally do małej biblioteki, gdzie Christian urządził sobie obficie zaopatrzone barek. Nalał jej brandy, a sobie dietetycznej coli. Kiedy podawał jej koniak, zauważył, że zafascynowana patrzyła na obraz wiszący nad biurkiem. Przedstawiał on czerwono włosą kobietę, siedzącą w niedbalej pozie na krześle. Jej ciało było rozwalone, prawie otwarte, rozwiązłe. Bujne łono ogniskowało uwagę, ale wyraz twarzy był twardy i trochę wystraszony. Była to kobieta, która poznała wszystkie tajemnice życia, ale ich nie polubiła.

- Co za niezwykle malowidło - powiedziała Sally ze skrepowaniem.

- To nie jest obraz, to reprodukcja. Oryginał znajduje się w muzeum w Berlinie.

- Nie sądzisz, że jest on niesamowity?

- Obraz namalował Egon Schiele. Był Austriakiem, ale miał charakter Dostojewskiego. Siedział w więzieniu za gwałt i kidnaping, kiedy miał dwadzieścia dwa lata. Niektórzy mówili, że niesprawiedliwie. Następnie, był żołnierzem w czasie pierwszej wojnie światowej i jakoś ją przeżył. Zmarł podczas epidemii grypy w 1918 roku. Miał wtedy dwadzieścia osiem

lat. Po śmierci stał się bardzo sławny.

- Musiał być bardzo nieszczęśliwy.

- Ta kobieta była jego kochanką. Jak widzisz, znał ją bardzo dobrze.

Wiedział to, co ona wiedziała.

Sally wzdrygnęła się. - Szkoda, że nie trzymasz go w szafie. Chodźmy do innego pokoju.

Uśmiechnął się z rezygnacją i zabrał ją z powrotem do salonu, gdzie wisiał inny, nowy obraz.

- To jest wspaniałe malowidło - powiedziała podchodząc bliżej do obrazu. - I to jest obraz, prawda? Nie reprodukcja?

- Namalowany w tym roku.

- Ten mężczyzna na plaży w szortach i blezerze, to ty?

Fakt ten nie był istotny. Był to ładny kawałek roboty, zrobiony w ubiegłowiecznym starym stylu Johna Singera Sargenta lub Thomasa Eakinsa. Mężczyzna, który był centralną postacią obrazu, stał na wąskiej skale na plaży, patrząc w całkowitym skupieniu na gorejący daleko zachód słońca. W tle obrazu widoczny był krąg małych, postrzępionych gór. Młoda kobieta, w białej letniej sukience siedziała na skale obok niego. Spojrzenie jej podążało za jego spojrzeniem. Ich twarze wyrażały zachwyt, jak gdyby byli świadkami narodzin świata - lub śmierci.

- To jest południe Francji - powiedział Matthias. - Wybrzeże niedaleko Cannes. Przynajmniej miało być. Góry nie są zupełnie prawdziwe.

- To jest właśnie fantastyczne - powiedziała odwracając się do niego podekscytowana. - Widzisz, jesteś wspaniałym artystą. Prawdziwie wielkim artystą.

- Namalował go Christian, nie ja.

Zmieszana, jak gdyby coś zepsuła, odwróciła wzrok nie będąc w stanie znaleźć odpowiednich słów, które wybawiłyby ją z kłopotliwej sytuacji.

- On nigdy nie był na południu Francji - kontynuował Matthias. - Namalował go z fotografii, którą mu przysłałem i z własnej wyobraźni.

Wieczorny nastrój zniknął, jakby porwany przez podmuch wiatru. Sally desperacko starała się go przywrócić. Postawiła swój kieliszek, następnie wzięła jego i odstawiła również.

- Obaj jesteście wspaniałymi artystami - powiedziała.

Przysunęła się do niego i pocałowała, zanim mógł coś powiedzieć, przyciskała natarczywie swoje biodra. Odpowiedział tak, jak sobie życzyła.

Potem podniósł ją z podłogi i zgasił światła. Siedzieli w ciemności blisko siebie na kanapie i spokojnie kończyli drinki. Ich nagie ciała dotykały się lekko. Bał się, że może go zapytać o coś. Nie był gotowy udzielić odpowiedzi.

- Muszę iść - powiedziała w końcu. - Zobaczymy się jutro?

- Tak.

Dopuścił do tego, żeby to się stało. Od momentu, gdy kilka dni temu otrzymał telegram od Annelise powiadamiający o śmierci matki aż do tej sceny, której poddał się namiętnie. Pozwolił unosić się swojej przeszłości, jak łódź urwana z cumy. Wrócił do Chicago i szybko został wciśnięty w dawne życie. Teraz musiał coś z nim zrobić.

Peter i Diandra wrócili późno do domu. Poe został na przyjęciu u Bitsie Symms jeszcze długo po tym, jak zaczął mieć go dość, a tylko dlatego, że czekał na burmistrza, który, jak twierdziła Bitsie, powinien przyjść. Przyszedł, ale potraktował je jako jedno z wielu w swojej wieczornej rundzie spotkań - jakieś dwie rocznice, impreza dobroczynna, spotkanie rodziców z nauczycielami w Hyde Parku dla uczczenia zakończenia pierwszego roku nauki w nowej, integracyjnej szkole eksperymentalnej, włosko-amerykańska kolacja z tańcami - wszystkie były rutynowymi występami burmistrza, który zamierzał piastować tę funkcję przez bardzo długi czas.

Na przyjęcie u Bitsie wpadł tylko na chwilę. Powitał ją, uściskał kilka dłoni, wypił trochę bezalkoholowego koktajlu i zrobił parę uwag na temat festiwalu kwiatów na Gold Coast, który był pretekstem do tego przyjęcia.

Poe miał nadzieję na kilka minut prywatnej rozmowy, ale burmistrz nie zrobił nic więcej poza skinieniem mu głową. Za kilka tygodni Poe złożyłby oficjalną prośbę do jego biura w magistracie, żeby formalnie zaprezentować swoje plany dotyczące Cabrini Green. To nie było jednak wystarczające. Potrzebował okazji do pogadania z nim przy wódce, w cztery oczy, żeby móc obserwować jego reakcję, bez wtrącania się bliskich doradców lub

ekspertów. Planował od dawna zrobić pierwszy krok w biurze burmistrza, ale to mogło być trudne. Władze miejskie miały zamiar przeznaczyć Cabrini Green dla Yuppies. Miała to być mieszanina budynków średniej wysokości, takich jak te w miasteczku zaprojektowanym przez Carla Sandburga we wschodniej części Starego Miasta. Budynki te wystawił w pięćdziesiątych latach Arthur Rubloff jako domy dla ludzi o umiarkowanych dochodach. Sandburg wkrótce potem zajął się najbardziej poszukiwanymi nieruchomościami w Near North Side i zlikwidował tam slumsy. Władze miejskie oczekiwały od Poego, że przetrze drogę a potem inni pójdą za jego przykładem. Chciano, by tu również zlikwidowano slumsy i stare składownie na całym obszarze na zachód od północnego odgałęzienia rzeki Chicago.

To nie było to, o czym Poe myślał. Nie miał zamiaru informować burmistrza o swoich prawdziwych planach, ale chciał, żeby nie wchodził mu w drogę, kiedy zacznie je realizować.

Normalnie, Poe sprawdziłby wieczorne rozmowy nagrane na prywatnej linii i wykonałby kilka własnych - do Mango lub Yeatsa, lub do innego bliskiego pracownika, żeby poinformować ich o swoich planach na następny dzień. Miał mnóstwo spraw w toku i musiał coś z nimi zrobić.

Zamiast tego usiadł zestresowany na długiej, przepastnej kanapie i patrzył groźnie na przeciwległą ścianę.

Diandra poszła po coś do kuchni. Wróciła i stanęła na wprost, górując nad jego głową.

- Chciałbyś, żebym została z tobą na górze? - zapytała.

Spojrzał na nią. - Nie, dziękuję, dziecino. Idź przespać się trochę.

- Zamierzam poczytać chwilę. Dobranoc, Peter. - Odeszła stukając eleganckimi obcasami o wypolerowaną, marmurową posadzkę.

Poe gapił się przez długi czas na obraz wiszący naprzeciw niego. Wyglądał jak zwinięte spaghetti, ale wart był pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Poe nie rozumiał kolekcjonerów, którzy traktowali coś takiego, jako najwyższą formę waluty, ale był szczęśliwy biorąc od nich gotówkę. Zarobił mnóstwo pieniędzy kupując i sprzedając dzieła sztuki. Ostatnio, przeważnie sprzedawał je.

Rozległ się dźwięk, który zwrócił jego uwagę. Charakterystyczne, muzyczne dzwonienie, dochodzące z hallu na dole. Był już w pełnym pogo-

towiu. Spojrzał na swego piageta. Mango.

Zdążył wziąć słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. To była Mango, głos jej brzmiał wyżej niż odrzutowiec.

- Zrobiłam to, Peter! Zrobiłam to!

- Uciszyć się, damo - powiedział zniżając głos. - Co, do cholery, zrobiłaś?

- Mam parę sztywniaków. To wszystko, nierozłączną parę. Musiałam to zrobić. Jezu, fruwać. Woouuuuu!

- Powiedziałem, ciszej.

- To jest zrobione, Peter. Koniec z nim.

- Żadnych problemów?

- Zatroszczyłam się o wszystko. Czytaj jutro poranne gazety.

- Dobra.

- Czuję się fantastycznie.

Poe był ciekaw, czy nie zwariowała. - Dobra, dobra. Opanuj się i prześpij się trochę. Bądź tutaj zaraz rano. Tutaj, nie w biurze.

- Będę.

- I skończ z piciem.

- Tak, sir.

- Dobrej nocy, Mango. I dziękuję.

- Dziękuję? Tylko dziękuję? Za wykonanie zlecenia?

- Więcej, niż dzięki. Kocham cię, dziecino. Mam duży dług wdzięczności.

- Dziękuję. - Odwiesiła słuchawkę.

Wierzył tej kobiecie więcej, niż komukolwiek innemu na świecie, ale czasami był ciekaw, czy rzeczywiście ją zna.

ROZDZIAŁ

3

Poranną kawę z płaską bułką z otrąb przyniesiono mu do gabinetu razem z *Tribune* i *Sun-Times*. Czekał, aż jego lokaj wyjdzie, zanim zajrzy do gazet. Czekał na to z wielką niecierpliwością.

Na pierwszych stronach nie było nic o O'Rourke. Nastawił radio na wiadomości w momencie, kiedy program CBS rozpoczął swój codzienny dziennik. Prezydent powrócił z Camp David, żeby ogłosić drobne zmiany personalne w swoim gabinecie. Coraz więcej kłopotów na Środkowym Wschodzie, mogły one wpłynąć na ceny ropy. Ponowne zamieszki w Mexico City. Jakaś podstarzała gwiazda rocka umarła z powodu przedawkowania narkotyku. Nic o Chicago.

Kawa Poego była trochę za gorąca. Wziął bułkę i starannie nasmarował ją masłem, tak jak miał to w zwyczaju robić, następnie usiadł i zaczął ją chrupać, przewracając strony *Tribune*. W wysokim budynku wokół niego, ludzie robili to samo, rozpoczynali tak swój dzień, swój tydzień, resztę swego życia. Był ciekaw, jak wielu mogło sprawować tak doskonałą kontrolę nad wydarzeniami, którym musieli stawić czoła. Jak wielu miało taką zdolność przewidywania i kierowania wszystkim. Burmistrz pewnie też jadł śniadanie w tej chwili.

Tribune, nie pisała nic o O'Rourke - ani na pierwszej stronie w dziale wiadomości, ani w Metro, ani na stronie nekrologów. Żadnego przekłętego słowa. To samo w *Sun-Times*. Poe oparł się o krzesło i obrócił je w stronę okna, siadając twarzą do jeziora i porannego słońca. Może lekarstwo Mango, które wyspała do whisky zaniepokoiło faceta. Wstał i poszedł do domu. Może gazety nie zainteresowały się tą pikantną historią i potraktowały ją jako żart. Może burmistrz domyślił się całej historii wcześniej i ukręcił jej

łeb.

Ale to było w porządku. Burmistrz był jedyną osobą, której Poe chciał uprzytomnić tajemnicze życie szefa Zieleni Miejskiej. Burmistrz tolerował wiele rzeczy w mieście. Musiał, jeśli chciał pozostać na szczycie. Nie można było kierować tym miastem wydając rozkazy. We wszystkim trzeba było manipulować sprawami tak, żeby każdy dostał swój ochłap. Nawet ten głupi festiwal kwiatów na Gold Coast był taką manipulacją. Bogate dziwki dostawały szansę popisania się swoimi domami i sobą, oraz zebrania trochę pieniędzy na cele dobroczynne. Następnym razem, burmistrz będzie potrzebował czegoś od ich mężów i dostanie to.

To, czego burmistrz nie mógł tolerować, działo się wszędzie. Był on wychowany w wierze, że rodzina jest świętością, że żony i matki są tak czcigodne jak Maria Dziewica, że oszukiwanie ich jest najgorszym rodzajem grzechu. Wszyscy z jego ścisłego grona byli ludźmi żonatymi, wielu z nich pochodziło z jego okolicy. Nie było żadnych rozwodników na wyższych szczeblach administracji. Poe przebadał ten punkt dobrze. Jeśli taki człowiek, odpowiedzialny za miejski park i tereny wypoczynkowe, zostałby złapany z dziwką w marnym hotelu, byłby z nim koniec. Tak powiedziała Mango.

Ale co się stało? Mango powiedziała „zrobiłam to”. Co zrobiła?

W tym momencie stacja radiowa zakończyła nadawanie serii handlowej i przeszła do lokalnych wiadomości. Pierwsza z nich spowodowała, że Poe rozlał swoją kawę. Gdy tylko spiker przeszedł do następnego wydarzenia, Poe wyłączył radio i nacisnął guzik w telefonie, który automatycznie wybrał numer Mango. Przerwał jej, zanim zdążyła powiedzieć trzy słowa.

- Zamknij się - powiedział. - Ubierz się, idź na moją łódź i zostań tam. Nie dzwoń do nikogo.

- Ale, Peter...

- Zamknij się. Rano mam spotkanie, później obiad.

- Wiem. Ja to załatwiałam.

- Do diabła z tym, Mango. Powiedziałem, zamknij się. Idź na łódź. Będę tam zaraz po obiedzie. Wtedy pomówimy. Teraz zrób, co powiedziałem.

Odwiesił słuchawkę. Ciała musiały zostać odkryte wcześniej, ale już po

tym, gdy obie gazety poszły do druku. Gdyby było inaczej, wiadomość byłaby na pierwszych stronach.

Poe zastanawiał się, czy facet miał chociaż przyjemność, zanim Mango zrobiła swój numer. Stwierdził, że drży lekko. Nacisnął tylko guzik, pstryk, i jakiś człowiek jest martwy. Nie wydał rozkazu. Nie chciał jego śmierci. Miał przecież zamiar, do cholery, upewnić się, że Mango tego nie zrobi. Ale stało się. Boże. Czuł się jak mafioso.

Matthias wszedł do biura Curland i Spółka trochę jak intruz. Nigdy przedtem nie był w starym biurowym budynku i był zdziwiony różnorodnością jego lokatorów. Byli dziwni. Lewicowa partia sprzeciwiająca się amerykańskiemu imperializmowi, adwokat od rozwodów prowadzący samodzielnie biuro i posiadający wielu klientów, światowa centrala jakiejś zwariowanej sekty religijnej, terapeuta, masażysta.

Martha Heller, sekretarka jego ojca, siedziała przy biurku. Filiżankę kawy i romans Barbary Cartland miała w zasięgu ręki. Zapowiedział się telefonicznie, powitała go więc spokojnie. Prawdopodobnie zachowałyby się tak samo, gdyby zjawił się bez uprzedzenia po tylu latach nieobecności.

Wstała i uściśnęła jego rękę.

- Dobrze pan wygląda, panie Curland.
- Ty także, Martho.
- Zmieniło się od czasu, kiedy pan wyjechał.
- Rozumiem.
- Czy mogę pobiec na dół i przynieść jakąś kawę?

Prawdopodobnie nigdzie nie biegała przez dwadzieścia lat.

- Nie, dziękuję Martho. Chcę właśnie przejrzeć sprawę i zobaczyć, jak stoją.

- Interes idzie słabo, panie Curland.

Rzeczywiście. Firma zatrudniała kiedyś więcej niż trzydzieści osób.

- Tak, rozumiem.
- Nowy współpracownik poluje na pracę poza firmą.

Byłby zdziwiony gdyby tego nie robił. - Nie obwiniam go za to.

Odmierzonymi krokami wyszła zza biurka. Miała coś osobistego do

powiedzenia. - Muszę przeprosić, że nie przyszłam wczoraj na mszę, panie Curland.

- To jest całkiem w porządku.
- Nie sądziłam, żeby ona chciała mnie tam.

Martha była po sześćdziesiątce. W młodych latach była atrakcyjną kobietą. Matthias zawsze podejrzewał ją i swego ojca.

- Będę szczerą. Nie aprobowałam jej.
- To również jest całkiem w porządku.
- Dziękuję, panie Curland.

Usiadła. Siedziała przez moment z założonymi rękami, następnie zabrała książkę.

W obskurnym biurze znajdowały się tylko trzy pokoje - biuro ojca, jeden pokój używany przez współpracowników oraz duży pokój recepcyjny, w którym stało biurko Marthy. Ponieważ były biura, firma ciągle istniała.

Na stole stał model małego pasażu handlowego, który był ostatnim projektem firmy. Było to skupisko wydłużonych bloków bez żadnych ozdób. Ta czystość linii była znakiem firmowym Matthiasa Curlanda, ale podobała się niewielu inwestorom. Na ścianach pokoju recepcyjnego wisiało wiele zakurzonych szkiców innych budynków zrobionych przez Matthiasa - wieżowiec Halsmana wyróżniał się najbardziej. W biurze ojca wisiały fotografie projektów dużych domów, bardzo do siebie podobnych. Frank Lloyd Wright, nie mówiąc już o Harrym Weese, byłiby nimi przerażeni. Były to neoklasyczne monstra, a każdy wyglądał jak czyjaś prywatna świątynia.

Na olbrzymim, starym biurku ojca znajdowała się fotografia matki oprawiona w srebrne ramki. Została zrobiona, gdy matka miała dobrze po czterdziestce, ale ciągle jeszcze była piękna. Miała nieprzytomny, senny wyraz oczu. To była ironia, że ojciec Matthiasa wybrał właśnie tę fotografię na biurko. Dla Matthiasa było oczywiste, że matka myślała wtedy o kimś innym.

Jeśli to zdjęcie znajdowało się na biurku, to równie dobrze mogło znajdować się tam zdjęcie Sally Phillips. Zadzwoiła do niego rano do domu i powiedziała, że go kocha. Odpowiedział jej to samo, niepewny, ale wypowiedział te słowa. Ciekaw był, jak długo będzie to trwało. Na pewno kiedyś

się kochali.

Jak mógłby wyjaśnić to Jill?

Był już czas, żeby wziąć się do pracy. Zaczął przeglądać najświeższe akta firmy, znajdując sprawy mniej więcej tak, jak przedstawił je Christian. Nie było żadnych bieżących spraw, nawet listów proponujących firmie złożenie oferty.

W rogu pokoju stała stalowa szafa, która służyła zawsze jako biurowy sejf. Matthias zapytał brata o szyfr, ale Christian nie mógł sobie przypomnieć. Martha oczywiście pamiętała i otworzyła ją w minutę.

Szuflady były w większości puste. W jednej z najwyższych było to, czego szukał - książki towarzystwa. Ku swemu zdumieniu znalazł tam księgi rachunkowe rodziców, włożone niedbale pod kilka starych egzemplarzy czasopisma *Inland Architect*.

Większość rodzin i z pewnością większość przedsiębiorstw, trzymała obecnie takie zapisy w komputerowych plikach, ale jego ojciec nie ufał takim urządzeniom, obawiając się awarii, która mogłaby wszystko wymazać. Matthias kupił jeden komputer do biura na rok przed przeprowadzką do Nowego Jorku. Prawdopodobnie, został on jednak usunięty natychmiast po jego wyjeździe.

Starannie przeglądał obydwa zestawy książek, następnie jeszcze raz i jeszcze raz. Liczby nie były kompletne. Były jakieś sprzeczności i zagniewania, ale podsumowanie było wystarczająco jasne i wstrząsnęło nim.

Wstał i przejrzał jeszcze raz wszystkie akta.

- Martha - powiedział.

Stanęła w drzwiach, trzymając w ręku książkę oprawioną w papierową okładkę.

- Nie mogę znaleźć zeznania podatkowego. Ani stanowego, ani federalnego.

- Och, myślę, że ma je pana brat.

- On je ma? Dlaczego?

- Trzyma je w sejfie depozytowym. Tak powiedział.

Matthias stał przez moment, pocierając brodę. - Czy Harold Steiner ciągle jest prawnikiem rodziny?

- Och, nie. Umarł ponad rok temu.

- Więc kto zajmuje się testamentem matki?
- Nie jestem pewna, panie Curland. Jakiś przyjaciel męża pana siostry.
- Dziękuję, Martho.

Po tym, jak wróciła do swojego biurka, zamknął spokojnie drzwi i następnie podszedł do telefonu. Potrzeba było około dziesięciu minut, zanim gospodyni dobudziła Christiana i wyciągnęła go z łóżka.

- Co za problem, wielki bracie? Sądziłem, że rozmawialiśmy już dzień wcześniej.

- Przeglądałem książki i mam trochę pytań.
- Jestem pewien, że masz.
- Chciałbym twojej pomocy.
- Jestem tutaj, w dalekim Lake Forest, ledwie mogę stać.
- Mówię poważnie, Christianie. Będę wdzięczny jeśli przyjedziesz tu.

Jest coś, co mnie niepokoi.

- Nie ma nic takiego, żeby się niepokoić, wielki bracie. Już po pogrzebie. Dlaczego nie wracasz do swojego słonecznego rajku nad Morzem Śródziemnym, a mnie nie pozwolisz wrócić do łóżka.

- Jeśli nie możesz prowadzić, przyjedź pociągiem, ale przyjedź. Spotkamy się na obiedzie w moim starym klubie.

- W Klubie Artystów? Nie jestem pewien, czy płacimy składki.
- Płacimy, to jest w książkach. Spotkamy się o dwunastej trzydzieści.
- Dobrze, w porządku. Każ przygotować krwawą Mary.

- Hej, Zany, co ty tu robisz? W taki przyjemny dzień jak dzisiaj powinieneś być na plaży.

Porucznik Frank Baldessari z wydziału zabójstw szóstego okręgu nosił ciągle ciemnofioletowy, dwurzędowy mundur, jak wtedy gdy był detektywem w randze sierżanta. Wpadł do swego biura jak wdmuchnięty przez wiatr i grzmotnął na krzesło nie uroniwszy kropli kawy z filiżanki, którą trzymał w ręku. Oparł nogi o biurko. Z papierosem marlboro w ustach wyglądał dokładnie tak, jak go Zany pamiętał. Linia włosów cofnięta nieco bardziej, oczy może trochę bardziej zapadnięte, ale zawsze ten sam facet, doskonały wizerunek.

- Jest ruch na mojej plaży w tych dniach, Frank - powiedział Zany. - Zabójstwo.

- Zabójstwo? Co się zdarzyło, jakiś rybak puknął swoją starą damę małym łososiem?

Zany otworzył starą, metalową teczkę, którą miał zwyczaj nosić ze sobą, kiedy pracował na parterze we „włamaniach”, i wyjął z niej jedno ze zdjęć dziewczyny z żaglówki, zrobione w kostnicy. Wziął ze sobą dwa.

Następnie dał Frankowi kopię swego raportu.

- Kule rewolwerowe - powiedział. - Dwie. Obie na wylot.

- Fajna dziewczynka - powiedział Baldessari. - Co stwierdziłeś? Przyjaciół? Gwałcicieli?

- Nie wiem. Została wyrzucona na moją plażę razem z żaglówką z Chicago. Dwa dni temu.

Baldessari postawił nogi na podłodze i obrócił krzesło, żeby usiąść przy biurku. Przyglądał się dokładnie fotografii, a następnie przeczytał pobieżnie raport.

- Historia dentysty sprawdzona? - zapytał.

Zany skinął głową. - Miałem trochę pomocy ze strony chłopaków z Chicago. Grał w karty. Wszystko w porządku. Sporo przegrał. Łódź została oczywiście skradziona. Dziwną rzeczą jest to, że kłódka na pokrywie luku nie została wylamana. Była otwarta.

- Może drutem? Tania kłódka?

Zany wzruszył ramionami.

- Dobrze. Co możemy dla ciebie zrobić, Zany? Może mam się do ciebie zwracać naczelniku Rawlings? Mamy wielki, pieprzony kawał roboty. Wszyscy są tym zajęci. Ktoś grzmotnął ostatniej nocy w parku Lincolna prezesa Zieleni Miejskiej i czarną dziwkę, gdy umiłała mu czas z tyłu jego samochodu. Zastrzelił ich oboje. Masakra jak w Dniu Świętego Walentego. Czy wiesz, że każdy strzał przeszył jedno i drugie, a kilka przeszło przez podłogę do ziemi. Pieprzone magnum.

- Słyszałem przez radio. Wiem, że jesteś zajęty. Jestem ci zobowiązany, że znalazłeś czas dla mnie, Frank. To, czego najbardziej potrzebuję, to identyfikacji dziewczyny z żaglówki.

- Przejrzę dla ciebie osoby, które zaginęły. Sprawdzę inne zabójstwa.

Poświęcę temu chwilę. Rzeczywiście mamy pełne ręce roboty. Wydaje ci się, że dziewczyna przyплыnęła na naszą stronę jeziora?

- Jest to bardzo prawdopodobne. Linia stanowa znajduje się dwadzieścia mil stąd. Mogłaby to być twoja jurysdykcja.

- Zrobię, co będę mógł, Zany. Zaangażuję również jednostkę marynarki. Dam do tego dwóch chłopaków stąd. Może Mulroneya i Staceka. Znasz ich?

- Znam Mulroneya.

- Musisz jednak dać mi parę dni. Nie będziemy mieli nawet czasu, żeby pójść do wychodka, dopóki nie znajdziemy jakiejś wskazówki w sprawie tego zabójstwa w parku. Facet był przyjacielem burmistrza. Mam mnóstwo interwencji. Jeśli myślisz, że jesteśmy zajęci, to powinieneś zobaczyć biednych chłopaków z obyczajówki. Już wrzeszczą ze śródmieścia, żeby wymieść wszystkie dziwki. Możesz to sobie wyobrazić? Chicago bez dziwek?

- Czy macie cokolwiek? - zapytał Zany. Porucznik wyrzucił niedopałek papierosa i wstał.

- Tak. Wiemy, że sprawca musiał być w parku pomiędzy dziesiątą wieczorem a północą. Możesz to sobie do cholery wyobrazić? Zbrodnia w Parku Lincolna? Chodź. Pokażę ci to gównno, które tam znaleźliśmy.

Poprowadził Zany'ego do pokoju brygady, gdzie na długim stole rozłożone były osobiste rzeczy ofiary, znalezione na miejscu zbrodni. Z wyjątkiem krwawych plam wyglądało to jak kościelna wenta.

Porucznik wskazał kolekcję małych fotografii zebranych w jedną grupę. - To z jego portfela. Był rzeczywiście rodzinnym człowiekiem. Patrz na te wszystkie dzieci. A to brzytwa pochodząca z jej torby. Jeśli nie zostałyby grzmotnięty z magnum, byłby wykończony przez podcięcie gardła.

- Szczęśliwy facet - powiedział Zany. Spojrzał na broń. Nawet z krótką lufą była to największa ręczna broń, jaką widział do tej pory.

- Jedna rzecz jest dziwna - powiedział Baldessari. - Drzwi od samochodu, broń i klucze faceta. Ze wszystkiego zostały starte odciski palców. Nie słyszałem nigdy, żeby naiwniak z parku zrobił taką rzecz.

- Myślisz, że zrobił to profesjonalista?

Baldessari potrząsnął głową. - Broń była jego. To jest zbyt skompliko-

wane. Powinien zauważyć, że był śledzony przez inny samochód. Droga do miejsca, w którym został znaleziony jest bardzo kręta. Znaleźliśmy jednak jeden czysty zestaw odcisków palców na skórzanym fotelu, tuż poniżej kierownicy. Jest to przedziwne, ponieważ są odwrócone do góry, nie do dołu. Takich śladów nie mógłby zostawić ktoś siedzący na siedzeniu. Ci z medycyny sądowej przypuszczają, że ktoś zabawił się z nim z przerwy tytuł, lub robił robotę ręcznie. Ale odciski nie należą do czarnej damy.

- Inna dziwka?

Baldessari wzruszył ramionami. - Do diabła, kto to wie? Hej, Zany, chcesz zobaczyć zdjęcia miejsca zabójstwa. Tył samochodu wygląda jak sklep rzeźnika.

Znana awersja Zany'ego do oglądania rozlewu krwi nie została zapomniana.

- Może innym razem - powiedział.

Na parterze, w wydziale włamań było spokojnie i detektyw Myron Plotnik miał aż nadto czasu na pogawędkę. Łysy, puciołowaty mężczyzna z krótkimi palcami, rozmiłowany w grubych cygarach, które żuł nerwowo, ale nigdy nie zapalał. Trzymał rozwinięte malowidło dane mu przez Zany'ego, nie zwracając uwagi na namalowaną scenę, jak gdyby był to tylko zwykły przedmiot, jak opiekacz albo lichtarz, lub jakaś inna skradziona rzecz. Spojrzał na odwrotną stronę obrazu i odwrócił go do góry nogami.

- Na pewno nie jest on teraz dużo wart, prawda? - powiedział oddając go Zany'emu. - Chłopcy sprawdzili na nim odciski palców?

Zany skinął głową. - Są na nim odciski ofiary i parę rozmazanych odcisków, nie nadających się do sprawdzenia. - Ostrożnie zrolował obraz i włożył go do kartonowej tuby, którą przyniósł ze sobą.

- Nie wiem, Zany. Nie mamy żadnej kradzieży obrazu w szóstym okręgu, przynajmniej ostatnio. Ale sprawdzę to w komputerze.

Robił to z trudnością. Zany, który potrafił obsługiwać komputerowy system tak, jak włamywacz potrafi otwierać sejfy innych ludzi, chciał mu pomóc, ale zapanował nad tym impulsem. Bał się, by Plotnik nie pomyślał, że go popędza. W końcu detektyw wywołał odpowiedni plik i wyświetlił

pierwszą linię.

Wolno zaczął sprawdzać kolejne informacje.

- Czekaj, tutaj jest jeden w trzecim okręgu - powiedział przyglądając się bliżej ekranowi. - Nie, to nie może być to. To jest sprawa w domu handlowym.

- Dom handlowy pełen malowideł?

- Pełna ciężarówka. Przypominasz sobie, Zany? Były reklamowane w telewizji. „Oryginalne, olejne malowidła”, tylko 29.95 dolarów? Wystawiali je przez weekend w Holiday Inns i sprzedawali ciężarówkami. Tylko ktoś opróżnił tę ciężarówkę na terenie jakiejś firmy przewozowej. Dopiero jak je wysypali, można się było przekonać co tam mieli. Myślisz, że obrazy te mogły być oryginałami?

- Musiały być - powiedział Zany. - Żadna maszyna nie wyprodukuje czegoś tak złego.

Plotnik sprawdził plik raz jeszcze, do samego końca, co nie zajęło mu zbyt dużo czasu.

- Jest jeszcze jedna świeża kradzież w okręgu pierwszym - powiedział.

- Włamanie w Lake Point Tower. Obraz namalowany przez faceta, który nazywał się William de Kooning. Czy to może być ten?

- Willem de Kooning - sprostował Zany. - Nie sądzę.

- Przykro mi więc, że nie mogę ci pomóc. To, które masz, jest jakieś dziwaczne. To jest tydzień dziwnych rzeczy. Dostaliśmy wczoraj jedno włamanie na Starym Mieście, gdzie sprawcy splądrowali mieszkanie jakiejś dziewczyny, gdy gospodyni poszła do sklepu spożywczego. W biały dzień. W niedzielne popołudnie. Porozwalali wszystko w niecałą godzinę i niczego nie zabrali. Żadnej pieprzonej rzeczy. Gospodyni powiedziała nam, że sprawcami mogli być policjanci. Jezu! Ty wiesz, Stare Miasto. Co za miasto.

- Nie może być. Ja rzeczywiście tęsknię za Chicago. - Wręczył Plotnikowi zdjęcie nie zidentyfikowanej ofiary, ostatnie, które miał ze sobą. - To jest ta dziewczyna. Może ktoś ją widział.

- Wprowadzę je do pliku. Dlaczego nie zaniesiesz tego obrazu do Instytutu Sztuki? Jeśli był warty kradzieży, to może mają go w rejestrze, lub coś w tym rodzaju. Pomagali nam wcześniej.

- Spróbuję to zrobić.

- Zadzwoń do nich. Powiem, że to dla nas. Oni są czasem trochę wyniośli. Zagadaj ich, jak impresjonista. Ja nie znam tych mówien impresjonistów. To nie są rzeczy dla mnie. Ale jeśli został ukradziony, usłyszymy o tym wcześniej czy później. Nie możesz złożyć wniosku o odszkodowanie bez raportu policyjnego o włamaniu.

- Pamiętam.

- Przepraszam, Zany. Przebywałeś na tych wydmach tak długo, że zapomniałem już, jak dużo czasu spędziłeś w tym miejscu.

- Nie zapomniałem ani minuty. Szkoda, że nie spędziłem więcej czasu w „zabójstwach”.

- Jak długo tam byłeś? Niedługo, prawda?

- Około trzech tygodni. Do pierwszego morderstwa.

- Tak, teraz masz inne. Zamierzasz przenieść się znowu? - Roześmiał się.

- W departamencie policji w Grand Pier - powiedział Zany - są jedynie przeniesienia na ulicę. Jestem jednak pewien, do diabła, że tutaj nie wrócę.

Peter Poe miał trzech miejskich radnych - zapłacił za nich. Od czasu do czasu wynajmował pół tuzina innych. Tak jak dumny posiadacz drogich przedmiotów, lubił pokazywać ich na zewnątrz i dlatego w tej południowej godzinie miał ich na obiedzie, przy swoim stałym stole u Elisa. Dwóch było już kupionych i opłaconych, a jeden wynajęty. Poe nauczył się już, że siła postrzegana lub wyobrażana, siła strachu, była bardziej skuteczna niż ta, rzeczywiście wywierana.

Pierwszy burmistrz Richard J. Daley zdobył tytuł „bossa” z powodu wydania rozkazu strzelania podczas zamieszek, które wybuchły na West Side w odpowiedzi na zamordowanie Martina Luthera Kinga oraz z powodu brutalnego stłumienia demonstracji przeciw wojnie. Demonstranci przyczynili się do kompletnego fiaska ogólnokrajowego zjazdu Partii Demokratycznej w 1968 roku. Dzięki obu tym akcjom, podjętym w gniewie spowodowanym porażką, zyskał szacunek w okolicy. Nigdy więcej nie było poważniejszych zamieszek w Chicago. Daley wygrał następne wybory na burmistrza ze znaczną przewagą. Jednak w pozostałej części kraju wrogowie

Daley Pierwszego rozkwitali. Zraniony Hubert Humphrey przegrał w Illinois z Richardem Nixonem. W 1972 roku Daleyowi nie tylko nie udało się zapobiec uzyskaniu nominacji przez George'a McGoverna i jego pacyfistów, ale on i cała jego delegacja zostali usunięci ze zjazdu Partii Demokratycznej. Po raz drugi nie został przyjęty, aż do manifestacji poparcia dla Jimmy Cartera w 1976. Cztery miesiące później burmistrz nie żył.

To, co naprawdę zrobiło z Daleya „bossa”, to nie nocne rajdy glin, lecz strach przed jego potęgą i władzą. Strach naczelników policji, że usunie ich ze stanowisk, strach sędziów, że skreśli ich z listy kandydatów na stanowiska rządowe, strach inwestorów, że powie „nie” budownictwu lub zastosuje ograniczenia strefowe, strach bogatych dam w rodzaju Bitsie Symms, że zabroni urządzania głupich festiwali kwiatów lub zrobi cokolwiek innego.

Pierwsza sukcesorka Daleya, energiczna Jane Byrne nigdy nie zrozumiała tej lekcji i próbowała rządzić miastem jak Katarzyna Wielka, ścinając głowy co pięć minut. Przepadła w następnych wyborach. Wszyscy inni sukcesorzy, włączając obecnego burmistrza, dobrze pojęli, o co chodzi.

Poe także. Urodził się w Chicago i studiował politykę bardzo starannie. Po kupieniu wszystkich tych facetów, nie dawał im nigdy bezpośrednich rozkazów, nigdy nie straszył represjami. Od czasu do czasu, gdy potrzebował czegoś, pozwalał, by jego życzenie stało się jasne, a oni zazwyczaj je wypełniali. Ludzie rozumieli, że jeśli takie osobistości są w jego kieszeni, to inni także musieli być. Potwierdzał to przekonanie, zapraszając wielu sędziów i kongresmanów na obiady. Pozwalał im korzystać za darmo ze swoich sezonowych biletów na mecze drużyny Bears i wypożyczał limuzyny ze swoim znakiem. Podejmował gości wspaniale. Burmistrz nigdy nie przyszedł na jego przyjęcie, ale był na nim gubernator. Nigdy o nic nie prosił swoich ludzi bezpośrednio.

Kiedy rozmawiał z Mango, swoim adwokatem Yeatsem i ze swoją żoną Diandrą, mówił o tych trzech radnych miejskich jako o Larrym, Curly i Moe. Larrego kupił dlatego, że należał do ścisłego otoczenia burmistrza. Curly był prezesem Komitetu Okręgowego, dlatego Poe nigdy nie miał problemów ze swoimi projektami. Moe, przewodniczący Komitetu Rady Miejskiej do spraw Lasów, został tylko wynajęty, ale planował kupić go niebawem całkowicie. Zamierzał kupić większość parceli budowlanych na Cabrini

Green, które musiały być ubezpieczone. Brat Moego posiadał agencję ubezpieczeniową. Moe miał zrezygnować z fotela w radzie miejskiej, przejść do Wydziału Zieleni i zrobić tam wszystko, co Poe mu każe.

Czy tak zrobi? Wybrał Moego, ponieważ był przekupny i wypełniłby lukę w tym wydziale, właśnie teraz, kiedy prezes O'Rourke nie żył. Moe rozpoczął swoją karierę na państwowej liście płac jako instruktor sportowy w Wydziale Zieleni Miejskiej. Był parkowym gogusiem, który mimo swego wieku, grał w softball w każdą sobotę. Bronił każdego źdźbła trawy w parku, jak gdyby był to most Concord. Przeciwstawił się nawet planom dotyczącym ekspansji hali wystawowej McCormicka na brzeg jeziora. Był facetem ze zmysłem organizacyjnym i przyjaciele parku oraz inne grupki liberałów kochali go.

Poe zaczął się zastanawiać, siedząc przy stole u Elisa. Mimo całego rozgłosu, facet mógł być praktycznie niczym więcej, jak instruktorem sportowym z dużymi, głębokimi kieszeniami. Był usłużny, ponieważ był głupi. Przedsięwzięcie, które podjął Poe nie mogło być narażone żadnym niezręcznym ruchem. Moe miał trudności z trzymaniem widelca.

Mogły upłynąć dni, może tygodnie, zanim burmistrz zacznie szukać kogoś na miejsce O'Rourke. Poe miał czas, żeby dobrze pomyśleć. Na razie rozmawiali o okolicznościach jego śmierci.

- Sukinsyn - powiedział Larry. - Zawsze wiedziałem, że facet wsadzi kutasa w jakieś kłopoty. Dlaczego, do diabła, nie wziął sobie jakiejś dziewczyny z biura?

- Myślał, że dziwki są bezpieczniejsze.

- Gównu - powiedział Larry. - Facet dostał pięć kul. Pięć kul za kawałek dupy. Dlaczego nie wziął sobie „siostrzenicy”, jak ten stary komisarz pożarnictwa? Jak się nazywał? Bob Quinn?

- To on spowodował, że w całym mieście wyły syreny kiedy Sox zdobyli proporzec w pięćdziesiątym dziewiątym - powiedział Moe.

- W pięćdziesiątym ósmym - poprawił Curly.

- W pięćdziesiątym dziewiątym.

- Tak czy owak, Quinn był kawalerem - zauważył Larry. - O'Rourke miał ośmioro dzieci i żonę.

- Czy coś podobnego zdarzyło się Matthew Danaherowi, kiedy był

radcą hrabstwa?

- Urzędnikiem Sądu Okręgowego - sprostował Larry. - I on nie został zastrzelony. To było pijaństwo z jakąś dziwką w hotelu. Serce mu wysiadło. Nigdy nie znaleźli dziewczyny. Stary Daley był wtedy burmistrzem. Był oburzony. Danaher był dla niego jak syn.

- A George Dunne - powiedział Curly. - Został przyłapany jak pieprzył się gdzieś w parku w krzakach z dwiema dziwkami.

Dla Poeo tylko nazwisko Dunne nie było obce. Był starszym członkiem partii i prezesem rady hrabstwa, a także przewodniczącym partii.

- To nie były dziwki - powiedział Moe. - To były pracownice. I nic mu się nie stało. Odszedł czcigodnie. Spojrzeli na to przez palce, ponieważ był miłym, starszym facetem i nie miał żony.

- To republikanie pieprzą się wszędzie - powiedział Moe. - Mój kuzyn jest komendantem patrolu w szóstym okręgu. Mówi, że policjanci nazywają Gold Coast „rajem dziwek”. Są tam dziewczyny na telefon i utrzymani obsługujące dojeżdżających z przedmieść.

- A kiedy wrócą do domu na swoje przedmieścia, łapią się za żony - powiedział Curly.

Poe uśmiechnął się do siebie. Ci ludzie patrzyli na mieszkańców przedmieść, jak na kogoś z innej planety. Przypomniawsobie członka komitetu miasta z departamentu budynków, który kiedyś powiedział mu, że czuł, jak cierpnie mu skóra, gdy przekraczał linię dzielącą Chicago od czystego, szacownego Evanston.

- Co mówi policja? - zapytał Poe. - Mają jakichś podejrzanych?

- W sprawie O'Rourke? - zapytał Larry. - Nigdy nie złapią nikogo. Nigdy.

- Będą brali wszystkie dziwki - powiedział Curly.

- Zrobią ich przegląd - powiedział Larry. - Nie sądzę, żeby to była jakaś dziwka. Może alfons. Najbardziej jednak prawdopodobne, że to jakiś zboczeniec z parku. Nie znajdą go nigdy.

- Nie wiem - powiedział Curly. - Burmistrzowi cholernie na tym zależy. Myślę, że będzie miał poparcie policji.

Poe zanotował sobie w pamięci, że Moe musi sprawdzić u kuzyna, jakie są postępy śledztwa. Rozglądając się po przepelnionej sali, zauważył przy

sąsiednim stoliku komentatora politycznego z *Sun-Times*. Prawdopodobnie napisze, że Poe był widziany z tymi trzema, uznawanymi za filary rady. Dziennikarz z rubryki towarzyskiej w *Tribune* już zauważył obecność Poego u Bitsie Symms na „przyjęciu roku”, o czym napisał w wiadomościach z ostatniego wieczora.

Mogło to być pomocne z różnych powodów.

Ale nie mogło to pomóc Mango.

Matthias nie lubił większości klubów z ich grupowymi rytuałami i konformizmem. Wiele klubów towarzyskich jego rodziców służyło głównie jako symbole, przejęte przez arystokrację tego miasta, zbudowanego i doprowadzonego do rozkwitu przez ciężko pracujących imigrantów. Matthias znajdował te omszałe instytucje jako ciasne i banalne - małpujące angielski styl życia i archaiczne.

Klub Artystów był inny. Założony w latach dwudziestych był przyczółkiem nowoczesnej sztuki i ideałów, którym przeciwstawiło się kilku bogaczy kontrolujących przez wiele lat Instytut Sztuki. Dla tej grupy reakcjonistów i dla ich wielkich dam historia sztuki zatrzymała się na impresjonizmie. Nie miała dla nich innych funkcji, poza wzmocnieniem ich własnego środowiska i dostarczenia większego wpływu na masy, które pracowały dla nich. Sztuka jako prawda, jako wyrażanie myśli, objawienie, bunt, lęk i seksualizm była dla nich tak niebezpieczna, jak zbiorowe układy związkowe. To oni byli „moralną siłą”, która w 1912 roku wysłała policję, żeby skonfiskować akt Paula Chabasa *September Morn*, jako niedozwoloną nieprzyzwoitość.

Nawet w latach trzydziestych Chicago było rządzone przez rodziny popierające ruch „Czystość Sztuki”. Przyczyniło się to do wyjazdu z miasta wielu najlepszych młodych malarzy, którzy wybrali Nowy Jork lub Europę. Ci, którzy pozostali, założyli sanktuarium w Klubie Artystów, gdzie wystawiali swoje prace, bez względu na to, jakie wywoływały reakcje. Dzisiaj ten nurt wydawał się niewinny i stateczny tylko dlatego, że współczesna sztuka przyswoiła go. Matthias czuł się lepiej tutaj, niż w jakimś innym miejscu w mieście.

Christian przyjechał późno. W czystym niebieskim blezerze, białych spodniach, oksfordzkiej koszuli w paski i krawacie w groszki. Usiadł tak

spokojnie, że Matthias prawie go nie zauważył.

- Pijesz wino, wielki bracie?

- Jedną, małą szklaneczkę? - Matthias wymawiał każde słowo z naciskiem.

- Poproszę więc małe martini, bardzo zimne - powiedział Christian do kelnera. - Z domieszką jakiegoś innego alkoholu.

- Jestem wstrząśnięty - powiedział Matthias.

- Ostatnie parę dni były wstrząsające.

- Powiedziałeś mi, że rodzina jest na krawędzi bankructwa - powiedział Matthias. - Że firma jest bliska wycofania się z interesu. Annelise chce sprzedać wszystko i umieścić ojca w jakimś specjalnym domu.

- Tak. Ona i jej kochający mąż Paul, usiłują to zrobić od kilku lat. Zawsze byłem temu przeciwny.

- Przeglądałem właśnie książki, Christianie.

- Nie było potrzeby. Wszystko jest w porządku.

- Jest w nich nieporządek jak cholera. Nie rozumiem wszystkich przychodów, ale mimo to zrozumiałem dość. Duże zadłużenie, rata pożyczki za dom w Lake Forest jest nie płacona tylko od dwóch miesięcy. Komorne za biuro płacone jest na bieżąco. Martha jest opłacana. Współpracownicy są opłacani. Tu jest wszystko w porządku.

- Zawsze lubiłeś ten klub.

- Do diabła, Chris. Jeśli zrozumiałem przychody z tej książki, to mieliśmy siedemset tysięcy dolarów długu w ostatnim roku. Teraz dług zmniejszył się i wynosi niewiele ponad trzysta tysięcy.

- I to cię poruszyło?

- To nie jest to, co mi powiedziałeś.

- Prawdopodobnie przesadziłem trochę.

- Trochę? Skąd wzięły się te pieniądze? Przychody w księdze głównej nie mówią o tym jasno. Firma nie ma nowych zleceń od ponad roku.

- Czy sugerujesz, że obrabowałem bank? Ograbiłem swoje portretowane klientki?

- Przebywałeś wystarczająco dużo w ich sypialniach.

- Lepiej nie mówmy o sypialniach, Matthias. Zauważyłem ślady twojego gościa w domu, gdzie wstąpiłem, żeby się przebrać w drodze do klubu.

- Jeśli wrócisz do tego ponownie Christianie, uderzę cię. Rozwałę każdy kieliszek, który podniesiesz do ust. I wiesz, dlaczego.

- Po prostu chciałem, żebyś był sprawiedliwy, wielki bracie. A co do mojej przyjaźni z Sally, to wydaje mi się, że to jest przyczyną twojej wściekłości. Nie była twoja, kiedy mieliśmy tę małą schadzkę.

Siedzieli nieruchomo, jak figury w *tableau vivant*. Gniew Matthiasa odpływał. Znał dobrze spryt brata. Prowokacja Christiana była zamierzona, chciał odwrócić uwagę. Wrócił do tematu.

- Skąd wzięły się pieniądze?

Kelner przyniósł Christianowi martini. Zaakceptował to wdzięcznie i ceremonialnie, zwlekając z odpowiedzią.

- Skąd?

- Nie pochwalisz tego, Matthias.

- Kogo obrabowałeś?

- Petera Poe.

- Co?

- Pieniądze pochodzą od Petera Poe, a bardziej precyzyjnie, z jego kasyna w Indianie. Również z kilku partii na jego jachcie. Wśród innych zabaw, uprawiam hazard. Wiem, że Annelise powiedziała ci o tym. Nienawidzi tego. To jest mój ostatni nałóg. Zaczynałem będąc w desperacji, a teraz robię to z czystej przyjemności. I jestem wiele tysięcy dolarów do przodu.

- Tyle, ile znalazłem w książkach?

- Och, znacznie więcej. Znasz mój wybredny gust. Ten jaguar jest mój. Kupiłem go za gotówkę. W każdym razie, chwilowo trzymam wszystko pod kontrolą. Ojciec ma ciągle dom. Do tej pory.

- Dlaczego mnie okłamałeś?

- Nie chciałem cię niepokoić, ani mówić o wielkości długu i o sposobie jego spłaty. Myślałem, że jak zobaczysz matkę w piecu, to wrócisz do życia na Lazurowym Wybrzeżu. Nie sądziłem, że tak bardzo zatroszczysz się o nasze kłopoty finansowe. Po co miałem zawracać ci głowę tym wszystkim, co robiłem? Nie chciałeś się w to włączać.

- Kiedy wyjeżdżałem z Chicago, dług był płacony, a firma była wypłacalna. Miała klientów.

- Twoich klientów, wielki bracie. Ale nie mam do ciebie żalu, że odgrywasz rozrzutnego. Ty masz własne życie, a ja przeżywam właśnie swoje. Muszę zauważyć, sir, że hazard jest teraz całkowicie legalny w Indianie. Płacę podatki od każdego wygranego centa. Czuję się dotknięty, że traktujesz mnie jak zbrodniarza wojennego.

- Jak wygrywasz?

- Gram w ruletkę *vingt-et-un*. Żadna zdeklasowana gra hazardowa w kości.

- Czy masz dowód? Że wygrywasz?

- Oczywiście. Znam dociekliwość Urzędu Skarbowego. Zachowuję dla nich każdy kwit gotówkowy.

- Kwit gotówkowy?

- Kiedy kupujesz za gotówkę chipsy, wydają ci kwit. Każdy jest obowiązany zachować go dla Urzędu Skarbowego.

Badali się nawzajem.

- Co się stanie, kiedy zaczniesz przegrywać? - zapytał Matthias.

- Przegrywać? Okropna myśl. To nie zdarza się często. Czasami zastanawiam się, czy pan Poe nie wykorzystuje mnie jako wabika, gdy wracam do Chicago z kieszeniami pełnymi pieniędzy, kogoś w rodzaju żywej reklamy kasyna.

- Co będzie jeśli, odpukać, zaczniesz teraz tracić? Czy myślisz, że uporaliśmy się z długami wynikłymi z hazardu. I tak mamy dość kłopotów.

- Przypuszczam, że mógłbym zostać poważnym portrecistą. Mógłbym namalować portret panu Poe lub jego wspaniałej żonie. Chciałbym tego. On już kupił jeden z moich obrazów. Zapłacił za niego dziesięć tysięcy dolarów.

Matthias patrzył długo w mętne oczy Christiana. - Chcę, żebyś przestał grać, Chris. Teraz. I nie grał nigdy więcej.

- W porządku.

- Mówię poważnie.

- *Entendu*.

- Mam kolację z Poem dziś wieczorem. Chce porozmawiać o projekcie dotyczącym Cabrini Green.

Wyraz twarzy Christiana stał się bardzo poważny. - Zamierzasz pozostać

tutaj, Matthias? Zamierzasz wrócić do firmy?

- Opowiedz mi o nim.

- Dobrze. Jest nawet miłym facetem. Miłym absolutnie dla wszystkich. Zawsze robi ludziom grzeczności. Zawsze robi coś wspaniałego dla miasta. Nie jest taki, jak ci gówniani nowobogacy z Nowego Jorku, którzy dorobili się na papierach wartościowych. Nie ma w nim nic z arogancji. Żadnej wyższości. Ludzie z gazet i telewizji kochają go. Oczywiście, nie jest człowiekiem naszego pokroju.

- Daj wreszcie spokój tym wielkopańskim śmieciom. Jestem architektem bez pracy i nieudolnym malarzem. Ty stoisz o krok od stania się żigolakiem. Do diabła, tylko jedna Annelise jest wartościową osobą. Opiekuje się zwierzętami.

- Czy ma pan ochotę coś zamówić? - zapytał kelner, który kręcił się koło nich.

- Jeszcze jedno martini - powiedział Christian. - A ty chciałbyś jeszcze jedną szklaneczkę wina?

- Nie, nie chcę. - Kelner odszedł. - Skąd jest Poe? Dlaczego nie słyszałem o nim wcześniej?

- Pochodzi stąd, to znaczy z Northwest Side. Cóż to za okolica? Może pięć ulic? Osiem? Jest Polakiem. Myślę, że nazywał się Poricki lub Poretski, albo coś w tym rodzaju. W każdym razie jego ojciec był robotnikiem budowlanym i sądzę, że umarł, gdy Poe był małym chłopcem. Jego matka przeprowadziła się wtedy z rodziną do Pittsburga, skąd pochodziła. Poe poszedł do jakiegoś college'u, zmienił nazwisko i przeprowadził się do Filadelfii. Czy wiesz, że próbował udawać potomka Edgara Allana Poe? *Quelle absurdite*. Stary Edgar nigdy nie miał dzieci, czyż nie?

- Wydaje mi się, że wiesz bardzo dużo o panu Poe.

- Spędzam dużo czasu w Indianie i poznałem wielu z jego ludzi. Każdy w mieście o nim plotkuje.

- Skąd on wziął pieniądze? - Pytanie to zawstydziło Matthiasa. Był to ten rodzaj rzeczy, o które matka i jej przyjaciele nie zapytaliby i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobili.

- Zaczął od handlu nieruchomościami w Filadelfii i od remontów, zajął się jakimś podmiejskim budownictwem. Zarobił dostatecznie, żeby kupić

jedno z kasyn w Atlantic City. Nie jest to dokładnie to, co nazywasz starą burżuazją.

- Christianie

- Myślę, że był tam sfrustrowany, ponieważ Donald Trump, który był raczej w ciągłym rozkwicie, skupiał całą uwagę. I interesy. Trzy kasyna na jedno Poego. Myślę, że pan Poe ma obsesję na punkcie pana Trumpa. Decydował się na kolejne przedsięwzięcia, tam gdzie Trump doznawał niepowodzeń i ze wszystkim tak robił. Opracował jakiś projekt, żeby postawić w Filadelfii najwyższy budynek na świecie. Możesz sobie wyobrazić? Nie pozwolili mu. Czy można pozwolić na coś o cal wyższego, niż Mellon Bank Center?

Matthias słuchał zafascynowany. - Czy on jest uczciwy?

Christian popatrzył na niego bez wyrazu. - Kiepski z ciebie Diogenes, drogi bracie. Poema uroczą kochankę, która jest również jego sekretarką. Ma niezwykle imię - Mango Bellini. Jego żona jest bardzo piękna, w nowoczesnym stylu, ale to dziwny związek. - Cofnął się nagle z krzesłem do tyłu, kiedy podano mu drugi kieliszek. Nic nie mówił, dopóki kelner nie odszedł.

- I to jest wszystko, co wiem o panu Peterze Poe.

- Dlaczego wrócił do Chicago? Dlaczego nie do Nowego Jorku?

- Tam jest taki bałagan. Wiesz o tym. I większe współzawodnictwo. Chicago jest lepszym wyborem. Uznał, że może robić tu interesy. Brzmi to jak dziewiętnastowieczny slogan, nie sądzisz? I on z pewnością robi interesy. Może nawet zrobi interes z tobą, wielki bracie. Pomyśl o tym.

Zany został potraktowany przez ludzi z Muzeum Sztuki dość grzecznie. Zdecydowali, że najlepiej będzie; jeśli porozmawia z kustoszem zbiorów dwudziestowiecznej sztuki europejskiej. Kustosz był akurat na zebraniu. Gdy się skończyło, musiał odebrać ważny telefon a potem sam zadzwonić. W końcu przyjął Zany'ego z wielką łaskawością, tylko po to, żeby skierować go do archiwistki, z którą Zany mógłby bez wątpienia, rozmawiać natychmiast po przybyciu.

- Mój Boże, co mu się stało? - zapytała, kiedy Zany rozwinął obraz.

- To był wypadek.

- Wypadek?
- Wygląda makabrycznie, prawda? To był wypadek na łodzi, na jeziorze Michigan. Dlatego znalazł się w moim departamencie policji. Sądzę, że jest wartościowy. Chciałbym dowiedzieć się, czyją jest własnością.

Powiedziała niepewnie. - Ludzie na łodzi...?

- Była tylko jedna osoba i ona nie żyje. - Nie chciał sprowadzić rozmowy na morderstwo. Archiwistka i tak patrzyła z lękiem. - Nie udało się nam jeszcze zidentyfikować tej kobiety. Nie jestem jeszcze pewien, czy to był jej własny obraz. Myślę, że pomogłoby, gdybyśmy wiedzieli do kogo należy.

- Dobrze, detektywie...

- Jestem szefem policji spoza Chicago. Ale proszę nazywać mnie Zany. To znaczy, nazywam się Zane Rawlings. Mój ojciec lubił czytać Zane'a Grey a.

Patrzyła na niego, jakby nigdy nie słyszała o Zane Greyu.

- Zobaczę, co będę mogła zrobić, panie Rawlings.

Poprowadziła go do dużej, jasno oświetlonej biblioteki.

- Jeśli jest w prywatnym posiadaniu lub był ostatnio sprzedany, to prawdopodobnie nie będę mogła panu pomóc. Może jednak pochodzi z jednej z głównych kolekcji. Nie potrafię rozpoznać tego malowidła, ale na pewno jest to Kirchner. Ernst Kirchner. Jego historia jest smutna. Niemiecki malarz, krytykowany przez nazistów. Umarł w Szwajcarii przed drugą wojną światową. Popęłił samobójstwo.

- Z powodu tej krytyki?

- Z powodu krytykowania jego obrazów. - Wzięła dużą księgę z półki.

- Myślę, że ten obraz został namalowany przed pierwszą wojną światową, sądząc po ubraniach ludzi.

Poprowadziła Zany'ego do dużego stołu, położyła książkę i zaczęła starannie przewracać kartkę po kartce. Na każdej stronie było około pół tuzina małych obrazków. Sposób ten przypominał Zany'emu kogoś przeglądającego album przestępców

- Patrzcie, tutaj jest. *Das Rot Turm. Czerwona wieża.*

- Czy wiadomo czyją jest własnością?

- Wielkie nieba, jest z Kolekcji Albrechta. Został nabyty w 1933 roku.

Prawdopodobnie ciągle tam jest.

- Kto to jest Albrecht?
- Kolekcja sztuki niemieckiej Albrechta w Chicago. Nazywają ją też Muzeum Niemieckim.

Zany miał niejasno w pamięci to miejsce z czasów, kiedy był w Chicago, zawsze jednak myślał, że jest to prywatna kolekcja, a nie publiczne muzeum. Nigdy tam nie był.

- Czy zna pani adres?
- Tak. Znajduje się ono na Near North Side, blisko rzeki, tam gdzie kiedyś były stare browary. Nie jestem jednak pewna, czy jest otwarte. To bardzo dziwne miejsce. Zostało założone przez Karla Albrechta. Dawno temu był wielkim patronem sztuki w Chicago, nieco ekscentrycznym. Założył muzeum, ale postawił warunek, że obrazy nie będą nigdy sprzedane lub pożyczone. Nawet przeniesione z miejsca, w którym je powiesił. Muzeum było kiedyś otwarte kilka dni w tygodniu, ale myślę, że teraz otwierane jest tylko na zamówienie, jeśli w ogóle jest otwierane. Byłam tam raz, ale nie przypominam sobie, żeby widziała ten obraz lub jakieś inne modernistyczne malarstwo. Albrecht zakupił mnóstwo dzieł sztuki nowoczesnej, ale gdzieś je zmagazynował.

- Czy jeszcze żyje?
- Och, nie. Umarł dawno temu. Jego córka umarłą właśnie w tym tygodniu. Było o tym w gazetach. Są jakieś wnuki. Jeden mieszka w Chicago. Christian Curland. Jest malarzem. Maluje portrety.

Zany uchwycił ton dezaprobaty w sposobie, w jaki wymawiała słowo *portrety*.

- Czy mógłbym dostać również jego adres?
- Sprawdzę.

Motorowy jacht Poego, *Queen P*, miał sto szesnaście stóp długości przy linii wody. Była to tak duża jednostka, jak jakiś stary, wycieczkowy parowiec, pospolity na jeziorze w ubiegłym wieku. Normalnie, *Queen P* posiadała pięć osób załogi, plus stewardów i innych służących, ale była tak zautomatyzowana i miała tyle elektronicznych urządzeń, że mogła być

prowadzona i przez jedną osobę. Czasami, z przekory lub lekkomyślności, Poe to robił. Czerpał tak dużo dumy ze swoich umiejętności żeglowania, jak z pilotowania samolotu i helikoptera. Nie mógł, oczywiście, sam wprowadzić statku do przystani, ale kiedy pływał samotnie, a załoga znajdowała się w porcie, przywoływał ją ogłuszającym dźwiękiem tuby, żeby pomogła mu z liną cumowniczą.

To, że nigdy nie nauczył się żeglowania, wprawiało go w zakłopotanie, ale zamierzał zająć się tym, poczynając od tego wieczoru.

Mango przebywała na górnym pokładzie. Siedziała na brzegu krzesła, paliła papierosa i machała nogami. Wyglądała na podnieconą. Skinął jej, ale poszedł bezpośrednio na mostek, gdzie czekał na niego kapitan. Zapowiedział mu, że *Queen P* ma być przygotowana do rejsu tego popołudnia.

- Wszystko jest gotowe, panie Poe - powiedział. Pływał po morzach jako drugi oficer i miał przyjemny, bardzo uprzejmy sposób bycia. - Mieliśmy mało paliwa, ale napelnilem zbiorniki. Gdzie popłyniemy?

- Popłynę sam - powiedział Poe. - Chcę, żeby wszyscy opuścili statek w ciągu pięciu minut, z wyjątkiem panny Bellini. Zostaw dwóch ludzi w przystani, żeby odrzucili liny.

Kapitan zawahał się tylko przez chwilę. - Tak, proszę pana.

Poe poszedł w kierunku pulpitu kontrolnego i zatrzymał się.

- Zaczekaj minutę - powiedział. - W ten weekend, kiedy byłem nad jeziorem Geneva, ktoś miał przynieść na łódź jakieś obrazy z galerii sztuki Traina. Powinny być w mojej kabinie, w takim płaskim drewnianym pudle. Czy widziałeś kto je przyniósł? Może dziewczyna?

- Nikt nie przynosił niczego podczas mojej służby, proszę pana. Zamknęliśmy łódź na ten dzień, ponieważ pan zamierzał być nad jeziorem. Puściłem ludzi na ląd. Jeden ze stewardów był cały czas na statku i może on położył je w pana kabinie. Czy mam zawołać go na mostek?

Poe zmarszczył brwi. - Zapytam go później. Teraz chcę, żeby opuścili łódź. Wszyscy. Wychodźcie. Chcę przygotować się do drogi.

Kiedy cała załoga zeszła ze statku, Poe włączył dwa potężne silniki dieslowskie i wyszedł na otwarte skrzydło mostka od strony lewej burty, gdzie znajdowały się urządzenia i przyrządy sterownicze. *Queen P* była nowa i wyposażona w skierowane na boki śruby w śródkręciu, umieszczone w

małym tunelu biegnącym od prawej do lewej strony kadłuba, pod linią wody. Z takim wyposażeniem mógł z łatwością manewrować statkiem.

- Przygotować się do odrzucenia! - krzyknął Poe do stojących na nadbrzeżu ludzi.

Dotknął drążka, zatrzymał się i spojrzał do tyłu na pokład, gdzie przy barierce stała Mango. - Mango! Chodź tutaj!

Spojrzała na niego pytająco, ale rzuciła papierosa do wody i skierowała się w stronę zejścia z pokładu. Za chwilę była obok niego.

- Wiesz jak ta rzecz działa - powiedział Poe. - Przejmij to.

- Peter. Na litość boską.

- Uczyłem cię. Zrób to. - Oparł się o barierkę. - Odrzucić!

Mango podeszła do zespołu przyrządów kontrolnych, rozglądając się wokół. Delikatnie włączyła wsteczny bieg, żeby poluzować linę cumowniczą. Gdy mężczyźni odwiązali ją i rzucili na dolny pokład, włączyła śruby śródokręcia i wypłynęła z przystani. Następnie odwróciła statek rufą do kanału. Po wykonaniu tego manewru skierowała łódź na prawą burtę i delikatnie włączyła przedni bieg, kierując się w stronę otwartego jeziora i dając ostrzegawczy sygnał dźwiękowy.

Poe stał oparty o ściankę, obserwując każdy jej ruch. Kiedy minęli port marynarki wojennej i falochron, przeszedł na jej stronę i pocałował w szyję.

- Chciałem zobaczyć, czy potrafisz panować nad nerwami - powiedział.

- Myślę, że jestem w porządku - odpowiedziała. - Ten dzień jest raczej przynębiający.

- Czy musiałas to zrobić? Zastrzelić tego biednego sukinsyna?

Mango nie odpowiedziała.

- Nie prosiłem, żebyś to zrobiła. O nic takiego, co zrobiłaś.

Odwróciła wzrok i przeszła do zamkniętej części mostka. Poszedł za nią, siadając przy kole sterowniczym i regulując przepustnicę.

- Gdzie płyniemy? - zapytała.

- Płynę do Michigan City. Chcę ukryć cię na kilka dni, na wszelki wypadek. Możesz zostać na łodzi, jeśli chcesz. Z powrotem wezmę helikopter. Zrób mi drinka - dżin z tonikiem.

Zareagowała posłusznie. Kiedy wróciła, skinął, żeby usiadła przy oknie

obok niego. Zmarszczył brwi, kiedy zapaliła następnego papierosa.

- Dlaczego to zrobiłaś, Mango - powiedział spokojnie, co nie było dobrym znakiem. Często zniżał głos, kiedy był rzeczywiście zły. - Nie chciałem, żeby ten bękart odwalił kitę, choć można było się tego spodziewać. Facet, który zabawia się alkoholem i dziwkami, z takim chorym sercem, zasłużył sobie na to. Liczyliśmy się z tym, ale ta pieprzona krwawa jatka w samochodzie. Dlaczego to zrobiłaś Mango? Dlaczego to zaważyłaś?

- Nie zaważyłam. Nie miałam wyboru, Peter. On nie chciał iść do hotelu. Znał to miejsce w parku i nie chciał iść gdzie indziej.

- Mogłaś to odłożyć. Mogliśmy spróbować czegoś innego.

- Powiedziałeś mi, że masz plan i że musimy się go trzymać. Zawsze robię, co powiesz, Peter. Zawsze. Zabrałam dla niego inną dziewczynę, ponieważ pomyślałam, że mogłabym go zrobić przy jej pomocy. Był już taki radny do spraw reform, który został w ten sposób wrobiony i przyłapany z czarną dziwką w latach siedemdziesiątych. Pod trasą „E 1”. Policjanci byli jedynymi, którzy czekali tam na niego. Zanim by ona z nim skończyła, dobiegłabym do telefonu. - Zaciągnęła się mocno papierosem. - Zrobiłam więc to, co musiałam.

- Skąd wzięłaś rewolwer?

- Był jego. Pod przednim siedzeniem. Był to doskonały sposób, Peter. Jeśli nawet przewrócą całe miasto do góry nogami, to dowiedzą się tylko, że zabrał dwie dziwki z Broadwayu i że jedna z nich go sprzątnęła. Zabrałam mu pieniądze. Wytarłam wszystkie odciski palców. Nikt nas nie widział. Nie ma żadnego związku z hotelem, w którym wynajęłam pokój. Nie dzwoniłam do glin, więc nie mają zapisu mojego głosu. To jest doskonałe. Ta dziewczyna miała ze sobą ostrą brzytwę. Mogła to zrobić sama. W tym mieście, zdarza się to facetom lubiącym dziwki. To jest jedno z wielu takich wydarzeń.

Poe spojrział na nią. Ubrana była w ciasno dopasowaną dzianą sukienkę i sandały. - Gdzie są twoje śmieci? Twoja peruka i reszta.

- Na dole. W mojej torbie.

- Spal to. Wszystko. Użyj różną do grillu z pokładu słonecznego. Kiedy będziemy trochę dalej, wyrzucimy to, co się nie spali. Rzeczywiście, denerwuje mnie to, Mango.

- Wszystko będzie w porządku, Peter. - Wyglądała na nieszczęśliwą.

Popchnął trochę do przodu zawór przepustnicy. Kiedy panorama Chicago zmniejszyła się, nastawił motor na luz. Mango stała przy małym grillu. Patrzył jak zapala zapalniczką węgiel drzewny. Pokazała się najpierw smuzka dymu, a następnie buchnął płomień. Poe pospieszył do kabiny znajdującej się poniżej.

Wielka kabina mogła być sypialnią w luksusowym apartamencie jednego z jego hoteli. Podszedł do specjalnej szafy. Otworzył drewniane pudło i wyjął prostokątną paczkę zawiniętą w grube płótno. Znajdowały się w niej dwa obrazy. Ale nie było w niej *Czerwonej wieży*. Było tak, jak powiedziała Mango. A Poe miał nadzieję, że coś przeoczyła. Przejrzał opakowanie jeszcze raz. Nic.

Mango weszła do kabiny. - Nie wyglądasz na bardzo szczęśliwego, Peter.

- Chcę ten obraz. Jak to pudło dostało się tutaj? Jeśli ona zamierzała go ukraść, to dlaczego zawracała sobie głowę przychodzeniem tu? Dlaczego zostawiła właśnie te obrazy?

- Może ktoś wziął go od niej. Lub wziął go po tym, jak odeszła. Jesteś pewien, że nie było nikogo z załogi?

- To właśnie nie ma sensu. Czy nasi wysłannicy nie znaleźli niczego przy niej?

- Niczego. Jeszcze nie. Przejrzeli całe jej mieszkanie. Nic.

- Nie podoba mi się to, Mango. Dlaczego muszę martwić się o to gównu, kiedy mam tak dużo innych spraw na głowie?

- Ja zatroszczę się o to, Peter.

- Jedno wszawie malowidło. Mam mnóstwo spraw w toku. Nie mam czasu na to.

- Zatroszczę się o to. Uspokój się.

- Dobrze, ale nie zajmij się tym w taki sam sposób, jak zajęłaś się tym przeklętym O'Rourke.

Wziął jeden z obrazów z namalowanymi owocami, częściowo obranymi. Jego ręce drżały. Zwinął płótno i wrzucił je z powrotem do szafy. Następnie kopnął krzesło. - Gównu.

Mango odeszła od niego, sięgnęła do tyłu i pociągnęła w dół zamek błyskawiczny sukienki pozwalając opaść luźno jej przodowi.

- Peter.

Odwrócił się. Twarz miał zaczerwienioną i trochę dzikie oczy. - Nie teraz, Mango.

Podeszła blisko, przyciskając piersi do jego torsu.

- Musisz uspokoić się, Peter. Pozwól, że pomogę ci w tym.

- Nie. Chcę spalić ten śmieć także. Pudełko i obydwie te malowidła.

Wtedy zadzwonię do Traina i powiem mu, że dziewczyna nie przyniosła ich na łódź.

Christian miał spotkanie wieczorem - jak powiedział, z „obiecującym klientem” - w Oak Brook. Z okna na piętrze, Matthias patrzył z lękiem, rozgoryczeniem i rozbawieniem, jak jego brat śmiga błyszczącym jaguarem przez wąską ulicę, ledwie unikając zderzenia z zaparkowanym samochodem. Alkoholik, jak o nim mówiono, skończy w więzieniu, w zakładzie dla umyślowo chorych lub w przedwczesnym grobie, jeśli nie przystopuje.

Christian wydawał się posuwać szybkimi krokami ku swemu przeznaczeniu, jakiegokolwiek by ono nie było, z obłąkaną gorliwością.

Matthiasowi zostało kilka godzin do obiadu u Poego. Po ubraniu się, powędrował na górę do pokoju, który służył mu kiedyś jako pewnego rodzaju studio. Pełen był teraz nie dokończonych prac brata i służył jako magazyn gratów, włączając jakiegoś obłupanego i zniszczonego, drewnianego Indianina, kupionego dawno temu w jakimś starym sklepie w Wisconsin.

W rogu pokoju, na stole, znajdował się podparty obraz, który zaczął malować całe lata temu i nigdy go nie skończył. Była to żaglówka płynąca ostro pod wiatr na tle wzburzonego morza i rozpryskujących się fal. Obraz był technicznie poprawny. Woda była jak prawdziwa. Kadłub świecił jasno. Żagle falowały z wiatrem. Był bardzo ładny.

Był jednak płytki i bez wyrazu. Nic więcej, niż ładna dekoracja do pokoju rodzinnego lub domu na plaży. Nie taki, jak *Breezing Up* Winsłowa Homera, nie oddawał sensu potęgi morza, ulotności życia żeglarza, płynącego małą łodzią w silnym wietrze.

Usłyszał dzwonek przy drzwiach na parterze. Matthias sądził, że mogła to być Sally lub jej siostra, wracająca ze śródmieścia i mająca zamiar

zatrzymać się w powrotnej drodze do domu.

Zamiast jej, zobaczył potężnego, brodatego mężczyznę w okularach i w źle dopasowanym garniturze. W rękę trzymał tanią, metalową teczkę.

Matthias nie był zainteresowany ubezpieczeniem na życie, modernizacją domu lub nowym wyznaniem religijnym. Miał za złe ludziom, którzy zarabiają na życie, narzucając się innym.

- Pan Curland? Christian Curland?

- Nie ma go w domu. Przykro mi, ale nie przyjmujemy domokrażców.

- Niczego nie sprzedaję, proszę pana, ani też nie zbieram datków. Jestem z policji. - Wyjął odznakę w skórzanej okładce. Policja z Grand Pier, w stanie Michigan. Jestem Rawlings. Zane Rawlings.

Miał zwyczaj mrugania, jakby był nieustannie niepewny.

- Tak, dobrze, jestem bratem Christiana. Czy nie było jakiegoś wypadku lub czegoś takiego? On właśnie wyjechał.

- Nie wiem o niczym takim. Jestem w sprawie obrazu. Instytut Sztuki przysłał mnie do pana. To znaczy do pana muzeum. Byłem tam, ale jest zamknięte.

- Tak, niestety jest. Nie wejdzie pan, panie Rawlings?

Matthias wprowadził go tylko do westybulu, nie dalej.

- Mielśmy wypadek w tym tygodniu w moim okręgu - powiedział Zany. Przerwał. Podobnie jak z kobietą w Instytucie Sztuki, również tu niechętnie poruszał temat morderstwa. Chciał współpracy i pamięci, nie szoku lub paniki. Żałował, że nie nauczył się więcej o prowadzeniu przypadków morderstwa.

- Łódź została wyrzucona na nasz falochron. To był, no, niemały wypadek. Obraz znaleźliśmy na pokładzie. W Instytucie Sztuki powiedzieli, że on może należeć do pana lub do pana muzeum. Mieli rodzaj katalogu, w którym było wykazane, że został zakupiony w 1933 roku.

Matthias uśmiechnął się. - To było troszkę wcześniej nim się urodziłem, a przez kilka ostatnich lat mieszkałem poza krajem. Nie jestem pewien, czy będę mógł panu pomóc.

- No, ja mam go ze sobą. Czy mógłby pan zrobić to dla mnie i rzucić nań okiem?

Matthias poprowadził brodatego policjanta w głąb domu, do długiego

pokoju jadalnego. W jego końcu znajdowały się okna we wnękach wypełniające pokój światłem, ale Matthias zapalił jeszcze elektryczny żyrandol wiszący nad ich głowami. Zany położył na stole teczkę, następnie zawahał się, spostrzegając po przeciwnej stronie, nad kredensem, duży akt stojącej postaci.

- Moja żona nie pozwoliłaby nigdy na coś takiego w pokoju jadalnym lub gdziekolwiek indziej w domu.

- Mój brat jest kawalerem. Jest również artystą. Mieszka w tym domu. Ja tylko jestem tu z wizytą.

- To on malował obraz?

- Nie, ja.

Zany otworzył teczkę i ostrożnie rozwinął obraz, przyciskając dwa jego rogi, żeby leżał płasko. Matthias studiował go z pewnym zainteresowaniem.

- Czy to krew jest na nim?

- Obawiam się, że tak.

- Mogę panu powiedzieć, że namalował go Ernst Kirchner.

- To samo powiedziała mi dama z Instytutu Sztuki.

- Trudno powiedzieć, czy należy do nas. Obrazów w kolekcji jest więcej niż trzysta, a ten wygląda całkiem skromnie. Nic znanego. W domu jest katalog, ale tylko obrazów wystawianych. Nie wystawiamy sztuki modernistycznej. Wszystkie obrazy znajdują się w podziemnym magazynie. Musiałbym pójść tam i sprawdzić kartotekę.

- Czy mógłby pan? Byłoby to bardzo pomocne. Może został pan okradziony.

- Wątpię w to bardzo. Miejsce to jest jak Bastylia. - Matthias spojrzał na zegarek. - Trochę się spieszę.

- Przejechałem długą drogę, żeby dostać się tutaj.

- W porządku. Chodźmy sprawdzić.

Zany był trochę zdumiony niezwykłym, starym rolls-royce'em Matthiasa i jego gotowością do zaparkowania go w tak kiepsko wyglądającej ulicy, przy której było muzeum. Była to kamienna rezydencja pociemniała z wieku i brudu. Okna zaopatrzone w grube żelazne kraty były zasłonięte. Curland otworzył trzy zamki, żeby dostać się do środka, a następnie wyłączył alarm zamontowany w foyer, zanim skierował się dalej. Wojskowa drużyna do

zadań specjalnych nie włamałaby się do tego miejsca.

Poprowadził Zany'ego do biura obok sali wystawowej i zapalił światło. Inaczej niż w innych biurach, w których Zany był kiedykolwiek, w tym nie było oświetlenia neonowego, ale trzy lampy biurowe osłonięte zielonymi abażurami. Dwie znajdowały się na biurkach, dużych i starych, a trzecia na długim stole zawalonym książkami o sztuce, wyglądającymi na zakurzone. Rząd szafek z kartotekami ustawiony był pod ścianą blisko drzwi.

- Mam naprawdę wątpliwości, czy mamy ten obraz - powiedział Matthias idąc do szafki znajdującej się w środku i zatrzymując się, żeby otworzyć szufladę. Przejechał kciukiem po grzbiecie grubego notatnika znajdującego się w środku. - Pod koniec życia, dziadek mój nie lubił Kirchnera. Chociaż próbował kiedyś kupić jego obraz *Street Berlin*, zanim Muzeum Sztuki Nowoczesnej nie położyło na nim ręki.

- Nie rozumiem. Dlaczego chciał kupić coś, czego nie lubił? Jako inwestycję?

- Och, nie. Dziadek gardził ludźmi, którzy traktowali sztukę jako formę gromadzenia akcji. Nie mógł przekonać się do sztuki nowoczesnej. Długo o niej rozmyślał. Tkwiał w nurcie emocjonalizmu modernistycznego. Niektóre obrazy, które kupił, absolutnie niepokoiły go, ale również fascynowały. W końcu doszedł do wniosku, że wyrażały zbyt dużo prawdy, że faktycznie cała ta prawda dotyczyła śmierci. Doszedł do wniosku, że sztuka mogłaby być antidotum na prawdę. Był wtedy całkiem stary. Nigdy nie zniszczyłyby świadomie dzieła sztuki. Myślę, że cenił sztukę więcej niż niejedną istotę ludzką, ale wszystkie te modernistyczne rzeczy - każdą, która nie była ciepła i piękna - zamykał w magazynie na dole. Nie jestem pewien, co tam jest. Nie sądzę, żebym był tam częściej w swoim całym życiu, niż dwa tuziny razy.

Policjant patrzył na niego z ostrożnym zainteresowaniem.

- A co z obrazem Kirchnera? - spytał w końcu.

- Tak, proszę mi wybaczyć. - Matthias wyjął z szuflady duży, zakurzony kołonotatnik i położył go na najbliższym biurku, przerzucając szybko strony. Nagle zatrzymał się i stanął jak wryty.

- Jestem całkowicie zaskoczony - powiedział, kładąc palec na małej fotografii przyklejonej do stronicy. - To jest *Das Rot Turm*, *Czerwona wieża*.

Ernst Kirchner, 1913. Jest w magazynie. Przynajmniej powinien być. Powiedział pan, że znalazł pan ten obraz na łodzi, po wypadku?

- Tak.

- Nie rozumiem jak się mógł tam znaleźć. Pan jest z Grand Pier, w stanie Michigan?

- „Spędź miło czas w Grand Pier.” Tak mówi znak znajdujący się na drodze dojazdowej.

- Ale panie Rawlings. Może pan nie uwierzy, ale nikt, nigdy nie ukradł niczego z tego muzeum. To znaczy, nigdy nie było włamania, pomimo sąsiedztwa. Mieliśmy problemy z wandalizmem. Z napisami na ścianie. Ale nigdy kradzieży.

- No, mogę w to uwierzyć. Ale tutaj jest obraz. W moich rękach.

Matthias stał wyprostowany z ręką przy brodzie, oczy jego zwrócone były na płótno, które trzymał Zany.

- Ciekaw jestem, czy to może być kopia - powiedział.

- Ma pan na myśli fałszerstwo?

- Nie, kopię. Ludzie kopią obrazy przez cały czas. Szczególnie studenci z wydziałów sztuki. Kirchner był naprawdę popularny w niektórych kręgach awangardowych. Ale nie mógł być skopiuwany tutaj. W testamencie dziadka jest postawiony jeden bardzo ścisły warunek. Nikomu nie zezwala się na kopiowanie obrazów z kolekcji, ani na fotografowanie. Kopia ta mogłaby być zrobiona przed zakupieniem obrazu. Chyba że jest to oryginał.

- Panie Curland. To sugestia. Dlaczego nie pójdziemy na dół do podziemi i nie spojrzemy?

- W porządku. Jestem tak samo ciekawy jak pan.

Znalezienie w kartotece kombinacji otwierającej zewnętrzne drzwi zabrało Matthiasowi dużo czasu, a jeszcze więcej wykonanie tej pracy, ale w końcu zasuwka zamka wskoczyła na miejsce. Za drzwiami zostali powitani podmuchem zimnego, wilgotnego i stęchłego powietrza.

Byli w długim pokoju magazynowym wypełnionym metalowymi półkami, na których znajdowały się obrazy, każdy w płaskim, wąskim pudełku. Na rogach pudeł i ramach półek znajdowały się numery każdego obrazu. Matthias podszedł szybko tam, gdzie powinna znajdować się praca Kirchnera.

nera.

Szczelina była wypełniona. Znajdowało się tam wąskie pudło.

- Jest tam coś - powiedział Matthias.
- Czy możemy to wyjąć i zajrzeć? - zapytał Zany.
- Nie cierpię tego robić, ale myślę, że musimy.

Z boku magazynu znajdowała się pracownia. Matthias położył pudełko na ławce, wziął małą sztabkę i zaczął podnosić brzeg drewna znajdującego się wokół obwodu. Kiedy zostało dostatecznie poluzowane, szarpnął je i podniósł. Obraz znajdujący się w środku zawinięty był w materiał.

Była to ulica, ludzie w wieczorowych strojach, kobieta w czerwonym płaszczu, w oddali czerwony wieżowiec.

- *Das Rot Turm* - powiedział Matthias.
- Sukinsyn - powiedział Zany. - Są dwa.
- No?

- Myślę, że ma pan rację. Może to jest kopia. - Spojrzał na płótno trzymane w rękach. Taki, z plamami wody i krwi oraz z dziurami, wydawał się tani i tandetny. - Ciekaw jestem, jak trafił na łódź przy moim falochronie.

- Obrazy, kopie, trafiają w dziwne miejsca - powiedział Matthias. - Jest takie folio Szekspira w Folger Library w Waszyngtonie, które znaleźli w stodole w Szwecji, zawinięte w stary, dziewiętnastowieczny bilet z loterii. - Wziął obraz z łodzi, delikatnie przejeżdżając palcem po tylnej stronie płótna. - Jednak jest to trochę zdumiewające. Trudno powiedzieć, ze względu na stan w jakim się znajduje, ale płótno nie wydaje się być bardzo stare. Oczywiście, ktoś mógł zrobić jego zdjęcie. To zdarza się zawsze. Ale oryginał był tutaj w magazynie od lat. Bardzo dziwne.

- Dziwne, jak cholera.
- Powiedział pan, że był to wypadek.

Zany zawahał się. - Były strzały. Najprawdopodobniej morderstwo.

- Morderstwo?
- Tak. Jakaś młoda kobieta.
- W Michigan?

Zany'emu przyszło na myśl, że powinien pokazać temu mężczyźnie zdjęcie ofiary - na wszelki wypadek, tylko na podstawie przecucia. Ale obie kopie, które wziął ze sobą, dał policjantom w Chicago.

- Nie jesteśmy całkiem pewni, gdzie się to zdarzyło. Żaglówka wyrzucona została na nasz falochron. Była dobrze zakrwawiona.

- Brzmi to strasznie. Myślę, że będzie lepiej położyć obraz z powrotem. W testamencie dziadka było również powiedziane, że obrazy z magazynu nie mogą być ruszane. Staramy się nie przychodzić tu często.

Zany czuł się lekko zakłopotany i oszołomiony. Myślał, że to tylko większa kradzież dzieła sztuki, a teraz był znów w punkcie zerowym. Musiał pomyśleć.

- Kto został zamordowany? - zapytał Matthias zawijając obraz.

- Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze ciała. To była kobieta. Była sama na łodzi. Obraz znajdował się pod nią.

- Kobieta?

- Młoda. Mniej więcej trzydziestoletnia. Wyglądająca miło. Zna pan kogoś podobnego do niej? Kogoś, kto zaginął?

- Musiałbym pomyśleć. To było w Grand Pier? Słyszysz się o takich sprawach na Karaibach. Ale na jeziorze Michigan?

- Cały świat staje się dość niebezpieczny.

Curland skończył robotę i wszedł z powrotem do magazynu. - Mogę gdzieś pana podrzucić? - zapytał, kiedy wrócił i zamknął wielkie drzwi. - Trochę mi się spieszy. Ale jeśli to blisko.

- Dziękuję. Zatrzymałem się w Days Inn, blisko jeziora.

Peter Poe ubierał się jeszcze do obiadu, kiedy Matthias i Sally przyszli do jego mieszkania na szczycie wieżowca, stojącego przy Alei Michigan. Diandra przyjęła gości, wyjaśniając, że mąż był w interesach w mieście i spóźnił się z powodu burzy z piorunami, szalejącej nad Gary, w którą wpadł, kiedy wracał helikopterem. Matthias pomyślał najpierw, że mogła próbować wyrzucić na nich wrażenie - spotkał tylko kilka osób w swoim życiu, które latały własnymi helikopterami - ale powiedziała to tak naturalnie i zmieniła temat tak szybko, że najprawdopodobniej była to po prostu relacja zdarzenia, które często miało miejsce. Bogactwo Poego było tak rzucające się w oczy, że nie było potrzeby, by jego żona opowiadała o nim. Każdy, kto patrzył na panoramę Chicago był świadom jego obecności w tym mieście.

W przeciwieństwie do Sally, która ubrana była w tradycyjną, małą, czarną sukienkę koktajlową, Diandra Poe nosiła długą, ciemnoniebieską letnią suknię z prostą białą górą, odsłaniającą ramiona. Matthias nie miał pojęcia, kto ją zaprojektował, ale bez wątplenia musiała być nadzwyczaj kosztowna. W ciągu pierwszych kilku minut, było oczywiste, że Sally z trudnością odrywała od niej oczy. Poruszała się z większą gracją niż jakakolwiek kobieta, którą widział do tej pory poza sceną baletową. Przez długi czas myślał o tym, że żaden artysta nigdy nie przedstawił odpowiednio piękności ruchu. Koncentrowali się tylko na kompozycji fotograficznej przedstawiającej scenę, ale nie na ruchu.

Był blisko skomentowania tego, ale powstrzymał się. Pani Poe mogła nie docenić odpowiednio rozmowy o jej sposobie poruszania się.

Przeszli za nią przez olbrzymią, współcześnie urządzonej jadalnię i wyszli na długi taras z widokiem na aleję, na szczyty innych budynków i na jezioro. Taras wydawał się turkusowy w wieczornym świetle, tak jak oczy Poego. Po zamówieniu drinków, pani Poe oparła się o balustradę i patrzyła dokoła jak zadowolone dziecko.

- Pan projektuje budynki, panie Curland - powiedziała, odwracając się na chwilę do niego. - Co pan sądzi o tym?

Dobierał starannie słowa odpowiedzi, poszukując odpowiednich eufemizmów. Kiedy jego koledzy artyści nie byli zachwyceni jego obrazem, co zdarzało się często, mówili wtedy coś takiego: „Matthias, to jest najlepsze co zrobiłeś dotychczas”.

- Jest bardzo potężny - powiedział - ale traci z powodu sąsiedztwa.

- Przepraszam?

- Ma zbyt dużo sąsiadów. W Alei Michigan znajduje się zbyt wiele obiektów. Wysoki, mocny budynek jak ten, powinien faktycznie stać sam. Jak Lake Point Tower.

- Och, tak. Kocham ten budynek. Uwielbiam patrzeć na poruszające się wokół niego światła o zachodzie.

- Został zaprojektowany przez Mies van der Rohe w roku 1921, jeśli może pani w to uwierzyć. Była to wtedy czysta fantazja. Brakowało wówczas odpowiednich materiałów budowlanych, systemów klimatyzacyjnych, szybkich wind - wszystkiego, czego wymaga tego typu struktura. Musieli

czekać, aż po drugiej wojnie światowej zostało to wynalezione. Wcześniej, Mies projektował swoje sławne szklane pudła. Lake Point Tower był pracą niektórych z jego młodych protegowanych. Złe w nim jest to, że postawiono go zbyt blisko jeziora. To jedyny budynek, który pozwolono wybudować na wschód od Lake Shore Drive. Zawsze się obawiałem, że inwestorzy będą chcieli potraktować to jako precedens do postawienia swoich budynków na linii brzegowej, jak w Miami Beach. Otwarta przestrzeń przy jeziorze to święta ziemia. Jeśli pozwolą na jej zabudowę, to miasto będzie drugim Milwaukee lub Cleveland.

- Jestem zadowolona, że Peter nie kupił go. Prawdopodobnie postawiłby na jego ścianie wielką, czerwoną literę „P”.

- No, mnie podoba się budynek pani męża, Diandro - powiedziała Sally. - Każdemu się podoba. W tym tygodniu, w Crickett, dziewczęta rozmawiały o tym, jak wiele dodaje Alei Michigan. To jest nasz własny wieżowiec Trumpa.

Matthias skrzywił się zmartwiony, jak pani Poe zareaguje na gafę Sally. Dla architekta takiego jak Matthias, dla każdego ze smakiem i okiem wrażliwym na linię i piękność, wieżowiec Trumpa był błyszczącą, maniakalną groteską. Sally wiedziała o tym. Czy dobrze znał Sally Phillips, czy widział ją tylko w krzywym zwierciadle swych marzeń i nostalgii? Kim się stała?

Pani Poe była opanowana. Skierowała w dół błyszczące spojrzenie, a potem, z potrzeby ruchu, odeszła od balustrady i podeszła do małego szeslonga siadając od niechcenia w pozie, jakby zaaranżowanej do fotografii. Albo podziwiała błyszczący niewypał architektoniczny byłego miliardera stojący na nowojorskiej Piątej Alei, albo tak bardzo nie znosiła budynku swego męża, że wzięła komplement Sally za ironię. Jej rzeczywiste uczucia były tajemnicą.

Poe przyszedł kilka minut później. Ku zdziwieniu Matthiasa nie włożył garnituru, ale ubrany był jak Matthias tamtego popołudnia. Tylko niebieski blezer z doskonale wyprasowanymi, flanelowymi spodniami. Blezer był dwurzędowy i ozdobiony na kieszeniach złotym herbem, w który wkomponowano purpurową literę „P”. Nosił odpiętą pod szyją jedwabną koszulę i duże diamentowe spinki do mankietów, które raczej nie pasowały do wiel-

kiego złotego zegarka.

- Przykro mi, że się spóźniłem - powiedział po przywitaniu się. - Pracowity, bardzo pracowity dzień. - Spojrzał na zegarek z wielką manifestacją. - Ale mamy jeszcze czas na przechadzkę.

Sally wydawała się zachwycona. Pani Poe, w przeciwieństwie do większości gospodyń mających coś do pokazania, nie wykazywała entuzjazmu. Poe poprowadził swoich gości do środka, ona pozostała na szeszlunku.

- Chodź, Diandro - powiedział Poe trochę dosadnie.
- Poczekam tutaj. Chcę popatrzeć na niebo.
- Chodź, powiedziałem.

Podniosła się, reagując profesjonalnie, jak modelka idąca do pracy.

To, co Poe chciał im pokazać, to horrendalnie wielki metraż, niezwykle widoki miasta i mnóstwo ciężkiej pracy drogiego dekoratora wnętrz, wykazującego skłonności do nowoczesnego nadmiaru. On, czy też ona, urządzili prawdopodobnie kilka luksusowych hoteli w Los Angeles.

Poe kontynuował przechadzkę, jak angielski arystokrata wędrujący przez wiekowe dziedzictwo rodzinne, chociaż Poe nie był prawdopodobnie właścicielem obrazów, które pokazywał i które bardzo długo omawiał.

Obrazy były takie, jakich się Matthias spodziewał - współczesne prace, w większości bardzo drogie. Te z dwudziestego wieku, wykazywały tendencje do rozkwitu lub ciągle były żywe. Ku zdumieniu Matthiasa, kilka z nich ukrytych było w kątach lub w pokojach mało używanych. Niektóre obrazy z wczesnych lat dwudziestych reprezentowały „kierunek pojemnika na śmieci”, jak na przykład ten przedstawiający port nowojorski, Josepha Stella, wykonany pastelami w konwencji sztuki dekoracyjnej. Matthias zastanawiał się, czy pani Poe miała coś wspólnego z tymi nabytkami.

Matthias brał mały udział w rozmowie. Poruszył sprawę wizyty policjanta z Michigan i niezwykłego pojawienia się kopii jednego z obrazów dziadka, odkrytej w związku z morderstwem na jeziorze.

- Jestem pewien, że była ona zrobiona dawno temu. Dziadek mój, we wczesnych latach, miał zwyczaj udostępniać swoją kolekcję wielu młodym artystom. Chciał, by w przyszłej sztuce amerykańskiej zaznaczyły się wpływy niemieckie - uważał, że jest zbyt dużo wpływów francuskich i angielskich.

- Czy ktoś został zamordowany z powodu obrazu? - zapytał Poe. Wydawał się podekscytowany.

- Nie jestem tego pewien. Ale było tam morderstwo.

- I to była kopia, nie oryginał?

- Musiała to być kopia. Jak powiedziałem, poszliśmy do muzeum dziadka. Oryginał był ciągle w magazynie.

- Byłoby interesujące obejrzeć ją. Czy ma pan jeszcze kopię, żeby przebadać je razem?

- Och nie, on zabrał kopię ze sobą. Właśnie zostawiłem go przy Days Inn.

Poe skinął głową i przeszedł do innego obrazu. Matthias był zaskoczony poznając, że był namalowany przez jego brata. Przedstawiał panoramę Chicago o zmierzchu, widoczną od strony jeziora, purpurowy szczyt wieży budynku Poego wyróżniał się w środku.

- Ten obraz namalował dla mnie pana brat, Christian.

- Mam nadzieję, że nie w ramach długu wynikłego z hazardu.

- Och, nie. Zapłaciłem za to w dolarach. Myślę, że otrzymałem wszystkie pieniądze z powrotem. Christian jest naszym dobrym klientem w mieście Michigan. Ale wiecie mu się przy stołach. Pan Szczęściarz.

- Powodzi mu się znacznie lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

- Miły facet z pana brata.

Nie wracając już na taras po drinki, przeszli od razu do pokoju stołowego. Stół był stosunkowo mały. Matthias myślał, że kiedy Poe wydawał przyjęcia, to były one zazwyczaj bardzo duże, z wieloma stołami ustawionymi w wielu pokojach.

- Diandro - zapytał Poe po podaniu lekkiej zupy vichy - czy Bill Yeats dzwonił dziś po południu?

- Nigdy nie odpowiadam na twoje prywatne telefony, Peter. A on nie dzwonił na główny numer.

- Kupuje mi żaglówkę - powiedział Poe. - Miałem nadzieję otrzymać relację dotyczącą tej sprawy, zanim porozmawiam z panem, panie Curland. Proszę mi wybaczyć, chcę się dowiedzieć, co załatwił.

Natychmiast jak tylko odszedł, pani Poe wróciła do rozmowy o sztuce.

- Pani Curland - powiedziała, jej głos był opanowany, miękki i zmysłowy oraz skierowany wyłącznie do Matthiasa, można by pomyśleć, że Sally nie ma przy stole. - Co pan sądzi, czy w tym pokoju mógłby wisieć Dubuffet?

Realnie myśląc, mógłby - wielki szczerzący się uśmiech, drwiąca, podobna do czaszki twarz zawieszona tuż przy wejściu do windy, przypominająca przechodzącym tędy ważniakom, że są śmiertelni.

- Nie sądzę, że byłaby to dobra dekoracja - powiedział.

- Sądzę, że zależałoby to od pana nastroju. Czasami, kiedy jestem tu sama, jestem w nastroju Dubuffeta.

Po powrocie Poe wydawał się wzburzony. Powiedział, że Yeats znalazł już doskonałą łódź w Traverse City i jutro rano dostarczy jej zdjęcie i specyfikację. Od tego momentu rozmowa dotyczyła wyłącznie żeglowania. Poe chciał wiedzieć wszystko o doświadczeniu Matthiasa, regatach które wygrał - i przegrał. Jak wielkie nagrody były rozdawane podczas zawodów na Wielkich Jeziorach. Wydawał się zdumiony, że w tak wielu wyścigach wygrywały mniejsze łodzie, kierowane przez entuzjastów, a nie bogatych ludzi.

- To zmieniło się od J.P. Morgana - powiedział Matthias.

- Co ma pan na myśli?

- J.P. Morgan, finansista.

- Wiem, kto to jest Morgan - powiedział Poe lekko rozdrażniony. - Co on miał wspólnego z żeglarstwem?

- Był tym, który powiedział: „Możesz robić interes z każdym. Żeglujesz tylko z dżentelmenem”. Ale to nie jest możliwe. Wielkie zawody światowej klasy, jak Puchar Ameryki, są teraz tak kosztowne, że muszą być finansowane przez syndykaty lub przez cały naród. Poza tym, żeglarstwo staje się raczej demokratyczne. Tutaj, na Wielkich Jeziorach, udział biorą wszystkie rodzaje łodzi. Zwycięstwo przypada najlepszym żeglarzom, a nie facetom przebrany za admirałów.

- A pan, do diabła, jest żeglarzem, prawda?

Matthias nie wiedział, co odpowiedzieć na takie pytanie. - Nie brałem udziału w żadnych poważnych zawodach od dłuższego czasu.

- Ale jest pan dobry. Mój przyjaciel Yeats mówi, że jest pan najlepszy

na jeziorze. Mówi, że pan wygrywał z nim za każdym razem.

- Jeśli pan Yeats jest dżentelmenem, jakiego mam na myśli, to nie sądzę, żebym się z nim ścigał. Nie należę do Yacht Klubu. Nie stać mnie na to.

Sally spojrzała na niego dziwnie.

Poe kontynuował dalej ten temat. Sprowadził rozmowę na swoje własne zasługi, podkreślając, że zdobył licencję kapitana i że nabył dość umiejętności, żeby prowadzić samemu *Queen P* kiedy jest poza portem. Ubolewał jednak, że z powodu braku czasu nie nauczył się jeszcze żeglowania, że to jest coś, co bardzo chce zrobić.

- Wokół Chicago jest wiele dobrych szkół żeglarskich.

- Nie chcę chodzić do szkoły. Chcę uczyć się na swojej łodzi z doskonałym facetem.

Było oczywiste, co będzie chciał potem. Rozczarowanie Matthiasa było prawie namacalne. Przyszedł na kolację spodziewając się, że Poe będzie rozmawiał o swoich wielkich planach zabudowy Cabrini Green. A Poe nie powiedział jeszcze ani słowa o Cabrini Green. Po podaniu deseru, Matthias niedwuznacznie próbował skończyć temat żeglarstwa mówiąc, że dużo myślał o zmienionej architektonicznie panoramie miasta od strony jeziora, oraz jaką przyjemność sprawiłaby mu realizacja zagospodarowania obszaru na zachód od Parku Lincolna. Poe zapytał, czy Matthias uważa port Belmonta za lepsze miejsce dla postoju łodzi, niż port w śródmieściu przy ulicy Monroe. Matthias odpowiedział, że to jest mała różnica i wlepił oczy w swoją kawę, pozwalając Sally na opisanie mieszkania jej bliskich znajomych, znajdującego się przy Lake Shore Drive z widokiem na port Belmonta.

- Nie chcę być staromodnym - powiedział Poe, odsuwając swoje krzesło do tyłu, kiedy Sally skończyła. Zrobił na Matthiasie wrażenie najmniej staromodnego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkał. - Ale myślę, że jest czas dla dżentelmenów na wycofanie się na brandy i cygaro.

Staromodny zwyczaj dotyczył oczywiście dam, które powinny się wycofać, kiedy dżentelmeni będą oddawali się przyjemności palenia przy stole. Jeśli Poe nie zdawał sobie z tego sprawy, to jego żona tak.

- Chodź Sally - powiedziała. - Pokażę ci naszą kuchnię. Jest tak mała,

jak powierzchnia ośrodka w Houston.

Sally uśmiechnęła się uprzejmie i poszła za nią.

Poe nie pozostał jednak przy stole. Poprowadził Matthiasa przez szereg pokoi, w dół do swego gabinetu. Matthias zobaczył, że w przeciwieństwie do reszty mieszkania, gabinet umeblowany był staromodnie - w stylu starej, angielskiej biblioteki z dużą domieszką technologii komputerowej.

Poe nalał brandy do dwóch zbyt dużych kieliszków. Matthias nie miał ochoty, ale przyjął go, trzymając z trudnością kielich. Czuł się jeszcze niespokojny po szklaneczce wina wypitego przy obiedzie. Poe poczęstował go następnie cygarem z oprawionego w skórę pudełka z nawilżaczem.

- Nie, dziękuję - powiedział Matthias. - Praktycznie nie palę. Okazjonalnie fajkę.

- Kocham je - powiedział Poe. Podszedł do biurka i wziął czasopismo z dużym keczem na okładce i podał je Matthiasowi, po otwarciu strony wypełnionej reklamami sprzedawanych jachtów. Wskazał palcem zdjęcie długiego na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp jachtu wyścigowego w pełnym ożaglowaniu.

- On jest właśnie taki, jak ten - powiedział Poe. - Jacht, który znalazł dla mnie Yeats. Czy pływał pan kiedyś na podobnym?

- Tak. Chociaż mój jest znacznie mniejszy.

Poe usiadł na dużym, skórzanym fotelu, wskazując Matthiasowi, żeby zajął identyczny, stojący po przeciwnej stronie. Po ich prawej stronie znajdowały się okna z widokiem na zachodnią stronę miasta i długą linię latarni ulicznych zbiegających się w oddali.

Zapalił cygaro.

- Czy zamierza pan pozostać przez jakiś czas w Chicago? - zapytał.

- Nie wiem. Wróciłem z powodu śmierci w rodzinie. Są jakieś sprawy do załatwienia.

- Czy będzie pan przez lato?

- Prawdopodobnie. Firma mojego ojca ma trochę problemów i powinienem pomóc.

- Wiem. Wiem prawie wszystko o panu. Ktoś sprawdził pana dziś rano. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu. Zawsze lubię wiedzieć z kim mam do czynienia. A oprócz tego, jak powiedziałem, znam pana brata.

Matthias nic nie odpowiedział.

- Panie Curland. Matthias. Zamierzam mówić do ciebie Matthias. Mów do mnie, Peter. Nie znoszę formy „Pete”, ale lubię Peter.

- Peter.

- Matthias. Chcę, żebyś nauczył mnie żeglować. Chcę zacząć, jak tylko dostarczą mi łódź.

- Nie jestem instruktorem żeglarstwa, panie Poe. Peter. Jestem malarzem jak mój brat. I architektem.

- W porządku. Więc „nie ucz” mnie. „Doradzaj” mi. Zapłacę dużą zaliczkę.

Matthias nie mógł pozwolić, żeby kontynuować to dłużej. - Panie Poe, myślałem, że zaprosił mnie pan tutaj, żeby pomówić o Cabrini Green.

- To prawda. I zrobimy to. Ale najpierw rzeczy najważniejsze. Jeszcze nawet nie zdecydowałem się, co zamierzam tam postawić. Regaty Chicago-Menominee są w czerwcu. Chcę wiedzieć, jak kierować moją nową łodzią w wyścigu Chicago-Menominee. Zamierzam wziąć udział w tych regatach i zwyciężyć.

- Panie Poe, nie mogę nauczyć pana żeglowania na tyle dobrze, żeby zwyciężył pan w wyścigu żaglówek na jeziorze Michigan. Nie w tak krótkim czasie. W najlepszym razie mogę pana nauczyć tyle, żeby nie wstydził się pan, gdy wypłynie łodzią samodzielnie.

- To już dość. Nie planuję być kapitanem. Chcę, żebyś ty nim był.

- Ja?

- Tak. Ty będziesz kapitanem, a ja będę na pokładzie jako właściciel. Sam wykonam parę manipulacji wtedy, kiedy to niczemu nie będzie mogło przeszkodzić, i trochę posteruję. Podobnie może zrobię na linii mety.

Matthias spojrział na niego ze zdziwieniem.

- To tylko kilka tygodni, Matthias. Zapłacę ci dwa tysiące dolarów tygodniowo z dużą gratyfikacją jeśli zwyciężymy. Co powiesz na to?

- Czy ty zawsze załatwiasz sprawy w ten sposób?

- Lubię działać szybko, Matthias. Jak George S. Patton.

- Moje ostatnie regaty Chicago-Menominee były sześć lat temu.

- Ale zwyciężyłeś.

- Tak.

- Powtórz to.
- Tak.
- Zgoda. Teraz chodź ze mną.

Pokój, do którego go zaprowadził zawierał niewiele więcej, poza długim stołem, na którym wzniesiony był model makiety przedstawiającej centralną część miasta i śródmieście od strony jeziora, włączając całą przestrzeń Parku Granta. Poe obrócił wiszący nad głowami reflektor i tak nim manipulował, że oświetlił obszar, który Matthias rozpoznał jako Cabrini Green. Nie było tam jednak domów mieszkalnych zbudowanych według znanego projektu. W miejscu tym stały modele dwóch wysokich, nieokreślonych bliżej bloków. Jeden z nich, o wysokości niemal połowy drugiego - obydwa pomalowane na jasnoczerwono.

- Firma Cudahy-Brown zrobiła dla mnie ten model, według moich wskazówek - powiedział Poe. - Znasz ich? Oni projektowali budynek, w którym jesteśmy.

- Znam ich - powiedział Matthias bez komentarza.

- Co myślisz o tej koncepcji? Jeden wysoki mieszkalny, drugi biurowiec. Jeśli byłoby to bliżej Loop, mógłbym je zamienić.

- No...

- Powiedz otwarcie.

- One nie zaskakują i nie są interesujące. Cała otwarta przestrzeń, którą masz tutaj, jest stracona. Mógłbyś postawić tu coś bardzo dramatycznego, czego nie da rady zbudować w śródmieściu.

- Dokładnie. Teraz to, co chcę ci pokazać, pozostanie tylko pomiędzy nami. Dżentelmen dżentelmenowi, jak J.P. Morgan. W porządku?

- W porządku. Rozumiem.

- Mówię poważnie, Matthias. Jestem lojalny, jeśli ludzie są lojalni w stosunku do mnie. Ale dla tych, którzy nie są, potrafię być naprawdę nielojalny. Rozumiesz mnie?

- To nie jest moja wada.

- Jest tak, jak mi mówili. Dobrze, Matthias. Spójrz na to.

Wziął mniejszy model i trzymał go prowokacyjnie przez moment w górze, następnie postawił ostrożnie na szczycie drugiego modelu budynku.

Matthias był oszołomiony.

Poza skupiskiem domów śródmieścia, wysokość dwuczłonowego wieżowca sprawiała nawet mocniejsze wrażenie - otoczona przestrzenią tak, jak to sobie wyobrażał Frank Lloyd Wright w projektach budynków o wysokości jednej mili, którymi chciał zabudować Południowy Zachód. Absolutnie nadzwyczajnie i w środku tego wielkiego, rozprzestrzenionego miasta.

- Co myślisz? - zapytał Poe.
- Myślę, że będziesz miał najwyższy budynek w Chicago.
- Matthias, daj spokój. Najwyższy w świecie. Wyższy niż ten, który planują ci nowocześni faceci z Nowego Jorku. My zdobędziemy ten tytuł.
- Czy Cudahy-Brown podsunęli ci tę myśl?
- Cudahy-Brown nie mają żadnych pomysłów. Oni próbują tylko podobać się klientom.

Matthias obszedł stół dookoła patrząc na makietę z różnej perspektywy.

- Są ogromne problemy z budynkami tej wysokości - powiedział w końcu, schylając się, żeby spojrzeć z ukosa na model na poziomie jego postawy. Po pierwsze, przepisy Agencji Kontroli Przestrzeni Powietrznej. Kolidowałyby to z regulaminem lotniska O'Hare dotyczącym lądowania.

- To nie przystopowało wieżowca Searsa.
- Będziesz potrzebował wszystkich rodzajów pozwoleń budowlanych i strefowych.

- Można zadbać o to.
- Bałbym się o szybkość zasiedlania. Szczególnie przestrzeni biurowej. Prawnicy lubią być blisko sądu i innych prawników. Handlowcy blisko Izby Handlowej.

- Nie zajęta przestrzeń biurowa może być zmieniona w mieszkalną, w razie potrzeby. To mógłby być prestiżowy adres w Chicago, w kraju. Moglibyśmy wybudować wokół całe miniaturowe miasto - sklepy, szkoły, teatry, park. Byłby to rodzaj tworzenia całkiem nowego miasta to, co budują cały czas w hrabstwie DuPage, z tą różnicą, że nasze stanie w samym mieście i że pójdzie do góry.

- Problemy budowlane będą ogromne. Twoje kolumny szkieletowe zajęłyby zbyt dużo wewnętrznej przestrzeni. Musiałbyś poświęcić mnóstwo przestrzeni w górnych partiach na ogromne przeciwwagi, żeby poradzić sobie z podmuchami wiatru.

- Można to zrobić?
- Nie mógłbyś doprowadzić wody do górnych pięter. Nie bezpośrednio. Na najwyższych, ciężar wody w rurach mógłby je rozerwać. Potrzebowałbyś szeregu zbiorników na wodę i stacji pomp.

- Można to zrobić?

Był to moment, w którym Matthias zdał sobie sprawę, że wszystko to, czego chciał było w zasięgu ręki, że ojciec nie musiałby iść do domu starców, że brat nie skończyłby życia jako człowiek opuszczony, że jego rodzinna firma nie zniknęłaby z rejestru miasta.

- Tak.

- To moje ulubione słowo.

- Będziesz potrzebował fantastycznych inżynierów, jak Fazlur Kahn, który budował wieżowiec Searsa. Pech, że teraz wyjechał.

- Inżynier, koniecznie. I portier. Ale najbardziej potrzebuję artystów. Cały świat będzie na to patrzył. To powinna być sztuka. Wielka sztuka. Co sądzisz o Cudahy-Brown, czy poradzą sobie z tym tak, że zadziwią świat?

- Budynek jak ten, w którym jesteśmy. Z wielką czerwoną literą „P” na szczycie.

Poe zwałił te dwa modele budynków, efekt był tak wstrząsający jak wtedy, gdy postawił jeden na drugim.

Uśmiechnął się. - Są jak zabawki. Chcę sztuki. Nie oferuję ci nic od razu. Nie obiecuję ci niczego. Ale, do cholery, chciałbym zobaczyć, na co cię stać. Kiedy wyszedłem z tej burzy, wracając dzisiaj do domu, poleciałem helikopterem w kierunku miasta od strony jeziora, żeby popatrzeć znowu na twój budynek. Do diabła, on jest wspaniały. Tylko jedna rzecz jest w nim zła, jest zbyt mały.

Matthias zatrzymał ironię dla siebie. Całą zaletą tego budynku było to, że potrafił być czymś specjalnym na stosunkowo małej przestrzeni.

- Moja firma, firma mojego ojca zatrudnia tylko dwóch pracowników. Cudahy-Brown zatrudnia trzystu. Potrzebujesz mieć zespół taki, jak ich, dla projektu takiej wielkości.

- Ja nie mówię o planach i ocenach obciążeń, o wszystkich tych gównach. Chcę tylko rysunku. Ty go zrobisz. Zrób mi jeden. Dam ci tydzień. Wtedy porozmawiamy.

- Panie Poe...

- Na imię mi Peter. Jak powiedziałem. Nie oferuję ci niczego, chociaż zapłacę ci za twój czas. I czy to się powiedzie, czy nie, odpowiedź będzie tak czy nie, to umowa odnośnie nauki żeglowania stoi.

Matthias wpatrzył się w blat stołu, jego umysł wypełniony był wizją obecnego miasta. Potrzebował na to mniej niż godzinę lub coś koło tego, żeby wykonać taki szkic. Już przychodził mu pomysł czegoś, o czym myślał od lat tak, jak Miesowi van der Rohe przychodziła do głowy wizja dziesiątki lat wcześniej, zanim zrealizowanie jej było w ogóle możliwe.

- Spróbuję.

- I pamiętaj. Ani słowa nikomu. Ani tej czarującej damie, która jest tu z tobą. Nawet twojemu bratu. On jest miły, ale mówi za dużo.

Matthias nie zwrócił na to uwagi. - Nie mogę uwierzyć jak, wiele wydarzyło się w ostatnich kilku dniach.

- Ruszaj się szybko, Matthias. Jak George S. Patton.

W rollsie, w drodze do domu, Matthias zapytał Sally, co myśli o wieczorze.

- Nie są dokładnie tacy, jak ci z North Shore, ale on jest rzeczywiście ekscytujący.

To samo czuł Matthias. Ekscytację. Pierwszy raz od lat.

Poe, z następnym cygarem w ręku, wyszedł na taras i patrzył na jezioro. Diandra podeszła do niego i stanęła z tyłu.

- Czy chcesz żebyś została, Peter?

- On cię lubi.

- Ja też go lubię. Różni się bardzo od większości twoich współników w interesach.

- On lubi sztukę.

- Jest malarzem.

- Diandro. Zadzwon do niego kiedyś w tym tygodniu i poproś, żeby zabrał cię do muzeum. Może do Instytutu Sztuki.

- Dlaczego?

- Zrób to, Diandro. Bądź miła dla niego.
- W porządku, Peter. Jeśli zyczysz sobie tego.

Po powrocie do hotelu Zany zadzwonił do żony. Powiedziała mu, że zepsuła się zmywarka i że jej brat dzwonił z Wyoming, żeby powiedzieć, że wraz z rodziną przyjedzie znowu do nich w sierpniu z dwutygodniową wizytą. Telefon do sierżanta Hejmala przyniósł wiadomość, że radio zniknęło z jednego z aut policyjnych i że policja stanowa przeszukuje niektóre letniskowe miejscowości na północ i na południe od miasta, szukając jakiegoś maniaka, który mógł zabić dziewczynę z łodzi. Ponadto prokurator okręgowy dzwonił trzy razy pytając, czy Zany znalazł coś w Chicago.

- Powiedz mu, że nie aresztowałem jeszcze nikogo - powiedział Zany, ale Hejmal nie rozumiał jego sardonicznego humoru.

Potem wziął prysznic, włożył czystą koszulę i wyszedł na spacer oraz na obiad. W sąsiedztwie było dużo restauracji, ale na niewiele z nich było go stać. Usiadł w pizzerii i zjadł więcej niż powinien, wypił dwa piwa zamiast jednego i ponownie wyruszył na spacer. Jakaś myśl kołatała się w jego podświadomości, ale nie mógł jej wydobyć. Żałował, że nie miał swojego komputera. Używał go w swojej pracy, wprowadzając do niego wszystkie myśli, pomysły i podejrzenia, a następnie kojarzył to wszystko z dowodami. W ten sposób zlokalizował i zlikwidował marihuanową aferę w Grand Pier.

Po powrocie do hotelu znalazł w swojej skrzynce wiadomość od detektywa Plotnika z wydziału włamań szóstego okręgu. Poszedł natychmiast do automatu telefonicznego w hotelowym westybulu.

- Myślę, że mam coś dla ciebie, Zany - powiedział Plotnik, po tym jak inny policjant wywołał go z łazienki. - Myślałem, że minie kilka tygodni zanim coś odkryjemy, ale czasami masz szczęście. Wiesz, że życie jest niezwykle kurewskie.

Było to ulubione powiedzonko Plotnika.

- Jak kurewskie jest teraz?
- Pamiętasz ten telefon o tajemniczym włamaniu na Starym Mieście, o którym ci mówiłem. Kobieta, która sądziła, że dokonali tego policjanci. No więc, zadzwoniła do działu zaginionych osób dziś wieczorem. Chodziło o jej

lokatorkę. Przepadła od ponad dwudziestu czterech godzin. Chodzi mi o to, że czymś takim byśmy się w ogóle nie przejęli. Gówny by nas to obchodziło. Nie ma jej od dwudziestu czterech godzin? Samotna dziewczyna? Na Starym Mieście? Też mi coś. Ale podała jej rysopis. Jej lokatorka pracuje w galerii sztuki i podobno jest bardzo atrakcyjna. Pomyślałem o przypadku, nad którym pracujesz. Próbowałem wziąć do tego Mulroneya i Staceka, ale oni zajęci są sprawą O'Rourke, szukają dziwek. - Roześmiał się dudniąc.

- Czy pokazałeś jej fotografię, którą ci zostawiłem? - zapytał Zany. - Dziewczyne, która może być tą zaginioną osobą?

- No wiesz, minęła jakaś chwila zanim raport dotarł do nas. Zadzwo- niłem do mieszkania tej babki natychmiast, jak tylko skojarzyłem sobie fakty, ale nie było odpowiedzi. Wysłałem patrol pod ten adres, ale było to samo. Nikogo w mieszkaniu. Może zniknęła jak duch lub coś w tym rodzaju. Kto to, do cholery, wie. Ty wiesz, to jest Stare Miasto. W każdym razie pozwól, że ci to dam. Możesz tu wpaść rano.

Zany zanotował nazwisko, numer telefonu i adres. Ruth Anne Mazureski. Nazwisko zaginionej dziewczyny brzmiało Jill Langley. Pracowała w galerii Laurence'a Traina w alei Michigan i pani Mazureski widziała ją ostatni raz, kiedy wychodziła do pracy.

- Czy masz jeszcze tę fotografię? - zapytał Zany.

- Oczywiście. Właśnie tutaj na moim biurku.

- Zamierzam ją pożyczyć - powiedział Zany. - Przyjadę tam zaraz.

Prowadził szybko, zastanawiając się, czy jeden z jego starych kolegów miałby śmiałość wystawić go do wiatru. Nie wszyscy policjanci z Chicago byli jego przyjaciółmi. Plotnik nic więcej nie powiedział. Włożył fotografię, ozdobioną teraz plamą z ketchupu do koperty z nadrukiem departamentu policji w Chicago i wręczył ją staremu kumplowi.

- Będę do północy. Czy chcesz zrobić przerwę na coś zimnego?

- Lepiej nie - powiedział Zany. - Mam mnóstwo do zrobienia i chęć, żebym wrócił jutro rano do Grand Pier.

- Może następnym razem.

Mulroney i Stacek zajęci byli ciągle tym wielkim przypadkiem. Zany zadzwonił z telefonu Mulroneya próbując połączyć się znowu z Mazureski, ale nie było odpowiedzi. Przyspieszając znowu, pojechał pod adres na

Starym Mieście. Pomyślał o popracowaniu nad zamkiem, żeby dostać się do środka, ale nie zdecydował się na to. Z wszystkiego co wiedział, to pani Mazureski mogła siedzieć w ciemnym pokoju z rewolwerem w ręku, niezmiernie przestraszona. Mogła również wrócić do domu i zastać go w środku, a on skończyłby wtedy na rozmowie w departamencie policji w Chicago z powodu włamania i wniesionego oskarżenia.

Następnie pojechał do domu Curlanda przy ulicy Schillera, chcąc by facet spojrzął na fotografię, ale nikt nie odpowiedział, a światła były wygaszone. Gdy zawrócił w stronę Lake Shore Drive, na pół świadoma myśl, która chodziła mu po głowie, nagle olśniła go. Zatrzymując się pod światłami wyciągnął fotografię z koperty. To była ona. Dziewczyna z fotografii była dziewczyną z obrazu wiszącego w pokoju jadalnym Curlanda. Akt. Malowany przez Matthiasa Curlanda.

Skręcił ponownie w kierunku domu, ale zatrzymał się. Mógł spędzić na czekaniu pod drzwiami Curlanda całą noc. Facet, który maluje akty musi spędzać noce w różnych miejscach. Zamiast tego pojechał do galerii Traina, ale tam zdał sobie sprawę, że był kompletnym głupcem. O tej godzinie była zamknięta. Pogapił się na jakieś obrazy wystawione w oknach, a następnie z westchnieniem skierował się do hotelu. Wszystko mogło poczekać do rana, dlaczego nie? Nikt z tych ludzi nigdzie nie wyjedzie, a na pewno nie Jill Langley, jeśli to ona jest tą dziewczyną w kostnicy.

Był bardzo zmęczonym człowiekiem, kiedy otwierał drzwi swego pokoju hotelowego, ale długoletni policjant odezwał się w nim natychmiast. Rzeczy były porzucane. Drzwi od łazienki otwarte. Pamiętał, że zamknął je kiedy wychodził. Jedna z szuflad ubraniowych była otwarta.

Teczka, którą tam zostawił była również otwarta.

Magnetofon i polaroid zniknęły. Zginął również kieszonkowy kalkulator i drogi komplet składający się z pióra i ołówka, który dostał na prezent urodzinowy od żony. Zawsze trzymał go w teczce z obawy, że zgubi.

Zabrano zaplamiony krwią obraz - *Das Rot Turm*.

ROZDZIAŁ

4

Sally pozostała na noc, tłumacząc wynajętej opiekunce do dzieci, żeby zrobiła to samo w jej domu. Leżała wtulona w ramiona Matthiasa i mówiła długo o przyszłości. Widziała w Peterze Poe możliwość zwrotu w ich życiu. Matthias nie zwrócił na to uwagi, ale podczas wieczoru Poe zasugerował jej, że powinna skończyć z butikiem i przejść do pracy w fundacji, którą powołał do życia niecały rok temu. Była w stadium tworzenia się, ale powiedział jej, że ma wielkie plany z nią związane i potrzebowalby kogoś takiego jak Sally do pomocy w organizacji różnych imprez charytatywnych, które miały być prowadzone pod jego auspicjami. Wspomnił o zarobkach, trzy razy wyższych niż osiągała w swoim sklepie. Matthias pogrążył się we śnie, gdy mówiła o tym, jak razem będą mogli odzyskać odpowiednie dla nich miejsce w kręgach towarzyskich Chicago.

Jego własna wizja dotyczyła budynków i - przez krótki moment przed zaśnięciem - Diandry Poe. Piękność w ruchu. Piękność jako ruch.

I to wspomnienie, myśli chłodne i czyste jak jej słowa, myśli dzielone tylko z niebem, które tak wspaniale odbijało się w jej jasnoblękitnych oczach.

Sally zostawiła go krótko po wschodzie słońca, budząc delikatnie, żeby się pożegnać. Matthias zapadł z powrotem w sen, nie poruszając się aż do późnych godzin. Kiedy wstał, był spocony i stwierdził, że nadchodzący dzień będzie gorący. Był podпиты i kręciło mu się w głowie. Wypił jeszcze dwie brandy po tej, którą wypił u Poego. Nie była to żadna zbrodnia, z wyjątkiem tego, że obiecał sobie wypić tylko jedną, ale kiedy szedł do łóżka miał ochotę na jeszcze jedną.

Zany dzwonił do domu przy ulicy Schillera wiele razy, zanim ktoś w końcu podszedł do drzwi. Był to jasnowłosy starszy brat, z którym rozmawiał poprzedniego dnia. Wyglądał na tak zadowolonego jak ktoś, kto otwiera swoje drzwi rojowi os.

Stali przez krótki moment patrząc na siebie i mrugając oczami.

- Przepraszam, że niepokoję pana znowu, panie Curland - powiedział Zany - ale obawiam się, że muszę porozmawiać z panem dłużej.

- Nie rozumiem. Nie wiem, co mógłbym panu jeszcze powiedzieć.

- Myślę, że dużo. Czy mógłbym wejść?

Oczy jego powędrowały ku nie ogolonej twarzy, ku zmiętemu płaszczowi kąpielowemu i bosym stopom gospodarza.

- Jeśli to jest ważne. - Otworzył szeroko drzwi i wpuścił Rawlingsa, zapraszając skinieniem ręki do pokoju jadalnego.

- Dziękuję.

- Pozwoli pan, że doprowadzę się do porządku - powiedział Matthias. - Będę za chwilę.

Zany wszedł do jadalni, żeby spojrzeć jeszcze raz na akt wiszący na ścianie. Curland dołączył do niego po chwili, teraz już ogolony, ubrany w białą koszulę i szorty koloru khaki. Na nogach miał znoszone buty żeglarskie. Jego nogi i kostki były bardzo opalone jak u martwej dziewczyny. Każdy by pomyślał, że dużo żeglowała.

Zany wyjął dużą, białą kopertę ze swojej teczki.

- Ta dziewczyna na obrazie - powiedział Zany. - Czy nie nazywa się przypadkiem Jill Langley?

- Tak. Skąd pan wie?

Rawlings wyjął zdjęcie z koperty i podał je Matthiasowi.

- Czy to jest Jill Langley? - zapytał.

Curland wpatrywał się w fotografię. Wydawał się prawdziwie przerażony.

- Tak - powiedział. Łzy pokazały się w jego oczach.

- Chyba się pan domyśla. To jest dziewczyna, którą znaleźliśmy w łodzi.

Ręce Curlanda drżały. - Wczoraj, po tym, jak pan powiedział, że zabita została młoda kobieta, miałem dziwne przeczucie, że to mogła być ona.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Dzwoniłem do niej. Nie było odpowiedzi. Powiedziałem sobie, że jestem śmieszny. Pomyślałem, że jeśliby się coś zdarzyło, to byśmy usłyszeli. Pracowała u przyjaciela mojego brata. Kiedyś, u nas.

- Wygląda pan bardzo blado. Czy wszystko z panem w porządku, panie Curland?

- Nie.

- Może powinien pan usiąść.

Curland usiadł niezdarnie na kanapie, a następnie udało mu się położyć zdjęcie na stoliku do kawy, stojącym przed nim.

- Znał pan ją dobrze?

- Tak. Gdzie... gdzie ona jest?

- W kostnicy w Michigan. Jest to część miejscowego szpitala.

- Czy chce pan, żebym ją zidentyfikował? Oficjalnie?

- Już pan dokonał pewnego rodzaju identyfikacji, panie Curland. W każdym razie, skontaktowałem się z jej rodziną dziś rano. Przyjedzie ojciec.

- Byli pewnie zdruzgotani. Była ich jedynym dzieckiem. Bardzo wyjątkową dziewczyną. Kochaną.

- Jestem bardzo zajęty, panie Curland - powiedział w końcu. - Dowiedziałem się, że panna Langley pracowała w galerii sztuki, należącej do kogoś, kto nazywa się Laurence Train. Czy on jest przyjacielem pana brata?

- Tak.

- Widocznie poszła tam w noc, kiedy została zabita. Train nie wie dlaczego przyszła, ani gdzie poszła potem. Powiedział, że nic nie wie o żadnym zaginionym obrazie lub kopii obrazu. Jak długo pracowała u pana?

- Więcej niż pięć lat.

- Czy miała dostęp do magazynu, w którym byliśmy wczoraj?

- Tak. Kiedy u nas pracowała.

- Czy pan posiada żaglówkę, panie Curland?

- Tak, praktycznie tak. Podczas gdy byłem w Europie, mój brat wynajął ją komuś z opcją kupna. Nie mam nad nią żadnej kontroli.

- Czy była nazwana *Hillary*!

- Tak.

- Mamy ją w Grand Pier. Jest przestrelona, ale pływa. Ustaliliśmy, że

śmierć nastąpiła po północy w piątkową noc. Czy był pan wtedy w Chicago, panie Curland?

- Nie, nie byłem. Byłem w Nowym Jorku. Zatrzymałem się tam, żeby zobaczyć się z moją byłą żoną. Dotarłem tutaj dopiero wczesnym popołudniem.

- Czy ma pan bilet z samolotu, żeby mi pokazać?

- Tak. Przyniosę go, jeśli pan chce.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Curland, ciągle roztrzęsiony, wstał i poszedł do biblioteki wygrzebując bilet z szuflady biurka.

Zany zbadał go starannie i następnie zwrócił. - Pana brat, Christian Curland. Czy pan wie gdzie był tamtej nocy?

Matthias patrzył na fotografię. - Nie jestem pewien. Możliwe, że u jakiejś przyjaciółki. Panie Rawlings, proszę. Byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi z Jill, kiedy byłem w Chicago.

- W porządku. Czy panna Langley miała klucz do łodzi lub coś takiego? Pokrywa luku nie była zamknięta, ale i nie uszkodzona.

- Miałem zwyczaj trzymać zapasowy klucz na dnie statku, w jednej z takich plastikowych skrzynek z magnezem. Wiedziała o tym. Używała łodzi kiedy wyjechałem. Zostawiłem ją tutaj, żeby mogła z niej korzystać, dopóki mój brat jej nie wynajął.

- Czy ona była z Wisconsin?

- Tak. Jej ojciec jest lekarzem. Studiowała historię sztuki tutaj, w Northwestern. Przyszła do nas do pracy po uzyskaniu dyplomu. Mogła trafić lepiej. Byliśmy bardzo wdzięczni, że ją mieliśmy, ale marnowała swoje życie z nami. Była mądra i powinna się przenieść. Byłoby lepiej, gdyby wyjechała z Chicago.

- Na to wygląda.

- Dlaczego poszła pracować do Traina?

- Myślę, że dla pieniędzy. Moja rodzina przeżywała pewien kryzys.

- Wydaje się pan rzeczywiście roztrzęsiony, panie Curland. Jak dobrze znał pan tę dziewczynę?

- Bardzo dobrze. Jak powiedziałem, byliśmy bardzo blisko.

- Jak blisko?

Oczy Curlanda powędrowały z powrotem do obrazu. - Powiniennem być z panem szczerzy. Byliśmy kochankami. To zdarzyło się w innym czasie, w lepszym czasie... lubilem ją. Bardzo ją lubilem. - Otarł oczy. - Ale nie rozmawiałem z nią od dłuższego czasu. Korespondowaliśmy trochę, ale to nie jest całkiem to samo.

Zany wziął notes i coś zapisał. - Dobrze, panie Curland. Jestem trochę ciekaw tego wszystkiego. Znaleźliśmy ją na pana łodzi. Miała jeden z pana obrazów. Ustaliliśmy, że obraz zawinięty był wokół jej ciała, jakby go ukradła lub chciała ukryć.

- Ale to była tylko kopia. *Czerwona wieża* ciągle jest w magazynie muzeum. Sam pan widział.

- Nie może być. Ciekawe jak cholera. Najbardziej interesujące jest to, że ktoś włamał się do mojego pokoju hotelowego, podczas gdy wyszedłem ostatniego wieczora. Wzięli garstkę śmieci, ale zabrali także obraz.

- Dlaczego ktoś go chciał?

- Nie wiem. Zazwyczaj, kiedy złodzieje pracują w hotelu, obrabiają wiele pokoi. Ryzyko jest takie samo. Ale facet z ochrony hotelowej powiedział mi, że nie było żadnego innego incydentu - i rzadko to się zdarza. Jakaś osobliwość. Gdzie pan był ostatniej nocy, panie Curland?

- Poszedłem na obiad do pewnych ludzi. Do państwa Poe. Peter Poe.

- Ten milioner?

- Sądzę, że nim jest.

- Kto jeszcze tam był?

- Właśnie Poe i jego żona. I moja przyjaciółka, Sally Philips.

Zany coś zapisał. - Czy nie zdarzyło się panu wspomnieć komuś o naszej rozmowie. Że miałem obraz? I gdzie mieszkam?

- Co się tyczy tego, to myślę, że tak.

- Jak długo pan tam był?

- Nie jestem pewien. Wyszedłem chyba po północy.

- Czy ktoś wyszedł wcześniej? Podczas gdy pan był tam jeszcze?

- Nie, absolutnie nie.

Zany studiował przez moment swój notatnik, następnie odłożył go i wstał. - Dziękuję. Sądzę, że to wszystko na teraz. Czy pana brat szybko wróci?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest.
- Chciałbym bardzo z nim porozmawiać.
- Czy może gdzieś zadzwonić, żeby pana złapać?
- Jestem w ciągłym ruchu. Ja zadzwonię do niego.
- Czy powinienem wrócić z panem? Do Michigan.
- Nie ma takiej potrzeby. Prawdopodobnie nie jest to dobra myśl. Jej ojciec nie mówił zbyt dobrze o waszej rodzinie.

Curland patrzył przez moment w podłogę, a następnie wstał i odprowadził Rawlingsa do drzwi.

- To jest śmieszne - powiedział Zany, patrząc znowu na Matthiasa. - Jest pan ubrany dokładnie tak samo, jak ona była ubrana, kiedy ją znaleźliśmy.

- Nie rozumiem.

- To nic. Tylko obserwacja. Zwracam uwagę na takie rzeczy. Nabrał pan nawyków. Dobrze, dziękuję jeszcze raz, panie Curland. Pan rzeczywiście nie wygląda dobrze. Może powinien się pan położyć lub coś w tym rodzaju.

Kiedy Rawlings poszedł, Matthias zrobił to, co mu zasugerował. Opadł na kanapę, ale sen nie nadchodził. Przygnębiała go konieczność rozmowy z Christianem, ale szansa znalezienia go była bardzo mała. Mógł wrócić dość szybko z jakiegokolwiek miejsca, gdzie oddawał się swojemu nałogowi. O tej bolesnej wiadomości nie chciał rozmawiać z Sally. Niezliczone mnóstwo pytań bez odpowiedzi przekraczało jego możliwości pozostania przy zdrowych zmysłach.

Potrzebował ruchu, oderwania uwagi. Rozważał długi, szybki spacer wzdłuż jeziora, ale było na to zbyt ciepło. W przeszłości, kiedy był zdeenerwowany, mógł rzucić się w wir pracy, ale teraz nie miał żadnej.

Czy nie miał? Poe wypisał mu czek na dwa tysiące dolarów, jako tygodniową zapłatę za nie wykonaną jeszcze pracę. Nie był jeszcze pewien, czy chce być instruktorem żeglarstwa u tego człowieka. Ale projekt nowego budynku zainteresował go głęboko. Umysł pełen był wyimaginowanych linii i form nawet wtedy, kiedy szedł do drzwi, żeby odpowiedzieć na dzwonek Rawlingsa. Miał tydzień na zrobienie rysunku. Miał pracę.

Dźwignął się z kanapy i poszedł na górę do małego pokoju zamienionego

w gabinet. Po wygrzebaniu szkicownika z rozgardiaszu panującego na stole kreślarskim, sięgnął po ołówek. Uspokoił rękę i narysował linię. Przerwał, następnie narysował drugą.

Pijąc kawę, zapominając o jedzeniu, paląc fajkę próbował odepchnąć wszystkie myśli i wspomnienia o Jill. Pracował do popołudnia z narastającą desperacko frustracją. Wiedział, że nie może znaleźć pomysłu, który mógłby wyglądać wspaniale. Próbował, ale z jeszcze mniejszym skutkiem.

Wrócił znów do oryginału. Wszystko, co szkicował, nie było niczym innym, jak wizją śmierci, oczami Jill patrzącymi na niego obojętnie z fotografii. Linie stawały się zagmatwane. Wrywał kartkę po kartce, każda była bardziej zniszczona od poprzedniej. Szkicownik skończył się, znalazł drugi i próbował znowu. I znowu, i znowu.

W końcu, zmusił się do długiego momentu absolutnego bezruchu i położył delikatnie ołówek na papierze. Błysnęła mu całkiem nowa myśl. W końcu znalazł ulgę. Zaczął rysować żaglówki.



Diandra Poe pozostała w łóżku długo. Normalnie wstawiała wcześniej - przyzwyczajenie to pozostało jej z dni, kiedy pracowała jako modelka, ranki wymagały tak dużo starannego przygotowania. Chciała być sama ze swymi myślami, nie chciała uczestniczyć w rozpoczynaniu kolejnego, zwariowanego dnia jej męża. Spała jak zwykle nago, a po przebudzeniu się leżała z odrzuconą z pleców kołdrą, ciesząc się łagodnym ciepłem słońca na gołej skórze, analizując bez pośpiechu wspomnienia z ostatniego wieczoru.

Polubiła bardzo Matthiasa Curlanda - za jego piękne maniery i za respekt, jaki okazywał jej inteligencji. Nie miała żadnych obiekcji, żeby wykonać instrukcje męża i być miłą dla tego człowieka. Zawodem jej było teraz bycie żoną Petera Poe, a rzeczy tego rodzaju były częścią jej pracy. Pozostawił do jej uznania i interpretacji, do jakiego stopnia ma być „miłą” i ta perspektywa intrygowała ją. Była bardzo ciekawa jak i dlaczego, Peter miał zamiar wykorzystać tego dobrze urodzonego, wrażliwego człowieka, czy miał jakiś szybki zamiar, czy chciał trzymać Curlanda w rezerwie dla jednego z nieokreślonych, przyszłych zamierzeń. Peter myślał zawsze z wyprzedze-

niem wielomiesięcznym. Żaden z sukcesów nie zaskakiwał go.

Musiałoby to być coś więcej, niż wieżowiec przewidziany przez jej męża w nowych planach rozwojowych. Curland nie działał teraz jako architekt i nie miał zbyt wiele sukcesów. Stylem Petera Poe było ukrycie tego co najlepsze - na koniec. Miał już wynajętą największą i najbardziej prestiżową firmę architektoniczną w mieście.

Kiedy Diandra w końcu wstała, długi czas spędziła w kąpielni, poświęcając tyle samo uwagi na rozmyślenia, co na codzienne przygotowania. Ubrała się zwyczajnie - jak dla niej - letnia zielona sukienka, dobrane do niej pantofle na niskim obcasie, strój dostatecznie dobry, jak zdecydowała, żeby pójść na zakupy w aleję, na jedną z jej licznych ucieczek od nudy. Następnie weszła do swego gabinetu, który chociaż mniejszy o połowę od gabinetu męża, zawierał znacznie więcej książek.

Wśród nich był egzemplarz Rejestru Towarzyskiego, który dał jej Peter, ale do którego zaglądała rzadko. Znajdowało się tam nazwisko Rudolpha Curlanda z Lake Forest z nazwiskami i adresami jego trojga dorosłych dzieci: pani Annelise Blucher, Barrington; Matthias Curland, Cannes, Francja; Christian Curland, ulica Schillera, Chicago.

Ten ciemnowłosy brat był w apartamentach Poego tylko dwa razy, ale nigdy na kolacji lub jakimś formalnym przyjęciu towarzyskim. Był nadzwyczaj przystojny i flirtował z nią. Wydawało się jej, że to było jego przyzwyczajenie i w żadnym przypadku nie była tym zainteresowana. Jego spojrzenia były kpiące, sugerujące, że wiedział bardzo dobrze, że nie była prawdziwą, wytworną damą, ale tylko córką brygadzysty z fabryki z Dearborn, w stanie Michigan, Casimira Derwskiego, że była tylko przebrana za damę.

Diandra miała kilka prawdziwych przyjaciółek w Chicago, chociaż wiele kobiet chciało nimi zostać. Większość z nich była w rodzaju Bitsie Symms i Sally Phillips, nie pochodziły z żadnej starej linii arystokratycznej, którą można by znaleźć w Rejestrze Towarzyskim.

Jeśli zadzwoniłaby do Bitsie i zapytała o Matthiasa Curlanda, kobieta ta mogła powiedzieć jej wszystko to, co Diandra chciałaby usłyszeć, nawet wymyśliłaby część rzeczy. A potem rozplotkowałaby dookoła o zasięgnięciu informacji przez Diandrę. Nie mówiąc już o tym, jak zareagowałaby Sally na

jakieś pytania dotyczące jej „beau” - tak nazywała go, kiedy były same po kolacji. Mogłaby pomyśleć, że Diandra poluje na niego - chociaż było to oczywiste, że będąc żoną Petera Poe, nie miała na to więcej szans niż żona Henryka VIII.

W Chicago wychodziło wiele małych czasopism, wśród nich podupadający, ale bardzo elitarny miesięcznik, opisujący wszystkie przyjęcia odbywające się na Gold Coast i North Shore. Peter rozważał kupienie go, zanim Bill Yeats nie odradził mu, przestrzegając, iż ludzie mogliby poczytać to za próbę wspinania się po drabinie towarzyskiej, co zresztą było jedną z ambicji Petera.

Redaktorem naczelnym i głównym reporterem była bardzo miła, choć trochę afektowana dama, przyjazna i uczynna w stosunku do Diandry, dotrzymywała jej towarzystwa w kilku przerażających aferach towarzyskich. Nigdy nie opublikowała żadnej plotki, która by im zaszkodziła.

Telefon Diandry zastał ją przy pisaniu artykułu o przyjęciu u Bitsie. Przez kilka minut rozmawiały o nim, aż wreszcie Diandra z wahaniem wyjawiała swój rzeczywisty cel.

- Spotkaliśmy pewnego mężczyznę na przyjęciu - powiedziała. - Architekta, który nazywa się Matthias Curland. Mój mąż zainteresował się nim. Myśli o zaangażowaniu go do pomocy przy swoim projekcie, ale ja nic o nim nie wiem.

- Matthias Curland? Jest jednym z najsympatyczniejszych mężczyzn w tym mieście - czy też był takim, kiedy tu mieszkał. Załamał się trochę po rozwodzie, *la vie boheme*, jeśli wie pani, co mam na myśli. Czy on przeprowadził się tu znowu? Myślałam, że przyjechał tylko na pogrzeb matki.

- Nie jestem pewna. Czy Curlandowie są starym rodem chicagowskim?

- No, Curlandowie nie tak bardzo, nie ze strony ojca. Ale ze strony matki on jest Albrechtem - to oni łupili różnych Fieldsów i Potter Palmerów, nie mówiąc już o wszystkich innych rodzinach drobnych przedsiębiorców. Rzeczywiście, byli dawniej bardzo sławni. Ale jest dużo miłych rodzin, którym zdarzyło się mieć niemieckie pochodzenie. Albrechtowie byli prawdziwymi Niemcami, jeśli wie pani co mam na myśli. Ciągłe są. Oni mają taką cechę. Nie, żeby byli obłąkani lub coś takiego, ale są trochę

dziwni.

Diandra nie chciała tego drażyć - jeszcze nie. Jej mąż nie zdobył Curlanda dlatego, że był dziwny.

- Ale oni są tym, co pani nazywa starą burżuazją?

- Nie tylko to. Oni zawsze mieli duże poczucie obywatelskie. Albrechtowie i Curlandowie zawsze zajmowali ważne miejsca w komitetach charytatywnych. Poza tym, w ochronie lasów i w Wydziale Zieleni, i Bóg wie gdzie jeszcze. Kiedyś zamierzano nazwać park imieniem dziadka Matthiasa, ale nie pozwolił im na to. Sądzę, że myślał, iż chodzi tylko o jego pieniądze. Powinien być prezesem Instytutu Sztuki. Każdy to mówił. Ale miał ten zbiór sztuki niemieckiej i nie mógłby dać niczego ze swoich zbiorów. Trzymał to wszystko w tym ich małym muzeum - zna pani Kolekcję Albrechta?

Diandra udała, że zna.

- Zalicza się więc do establishmentu - powiedziała. - Matthias. Pan Curland.

- Tak. Mogłby być. Oni wszyscy by mogli. Ale... pozwoli pani, że ujmę to w ten sposób. Stare rodziny w Chicago odnoszą się ciągle z rewerencją do ich nazwiska, szczególnie w Lake Forest. Gdyby stali się znowu aktywni towarzysko, mogliby być na szczycie. Ale, pani Diandro, oni nie mają ani centa. Wszystkie pieniądze są w muzeum, a oni nie mogą tego dotknąć. Nie wiem jak dają sobie radę, chociaż krążą jakieś historie o bracie Matthiasa, Christianie. No, nie chcę w to wchodzić.

- Matthias Curland przyszedł na przyjęcie u Bitsie z kimś, kto nazywa się Sally Phillips.

- Sally jest bardzo miła. Nie pochodzi z prominenckiej rodziny. Nie sądzę nawet, że zadebiutowała towarzysko, chociaż jej matka pragnęła tego bardzo. Wie pani, ona musi pracować. Prowadzi butik. Bardzo miła, ale... no, jest bardzo dużo innych kobiet, które mogłyby bardziej uszczęśliwić Matthiasa. Rzuciła go dla naprawdę okropnego człowieka. Jeśli oni widują się znowu... no, przypuszczam, że można podejrzewać, że ona chce do niego wrócić. Jest bardzo słodka i to jest bardzo romantyczne, że są znowu razem. Nie sądzę, że będzie to trwać, chyba że on dojdzie do jakichś pieniędzy. Ona lubi ładne rzeczy, jeśli wie pani, co mam na myśli.

- Tak, byłam właśnie ciekawa - powiedziała Diandra.
- Czy mogę wydrukować, że pani mąż wynajął go jako architekta?

Peter nie byłby z tego zadowolony. Wszystkie takie wiadomości lubi ogłaszać na wielkich pokazach.

- Może po prostu napisze pani, że rozmawiali o architekturze?
- Zrobię tak. Diandro, czy zamierza pani wystąpić znowu jako modelka na pokazie organizowanym na rzecz szpitala?
- Tak sądzę, chociaż nie poproszono mnie o to jeszcze.
- No, jestem pewna, że to zrobią. Chciałabym widzieć panią bardziej aktywną towarzysko, Diandro. Pamięta pani, co powiedziałam. Niech pani nie wpadnie w jedno z tych schorzeń. Każdy wtedy może rzucić kamieniem. W Chicago tylko towarzystwo się liczy.

Towarzystwo. Establishment. To, co Matthias Curland, chociaż może zrujnowany, w pełni reprezentuje. Nic dziwnego, że Peter jest nim tak zainteresowany. Miał wystarczająco dużo kłopotów w znajdowaniu takich ludzi, którzy zapraszaliby go do swoich klubów, nie mówiąc już o pracy dla niego.

Podstawową obsesją Petera były pieniądze i polityczna potęga. Nie wydawało się, żeby Curland to reprezentował.

Diandra podziękowała za rady i informacje, mówiąc, że zobaczy się z nią na festiwalu kwiatów na Gold Coast, o ile nie wcześniej. Po odłożeniu słuchawki siedziała przez moment przy biurku, następnie wzięła jedną ze swoich wizytówek z Instytutu Sztuki zaopatrzoną w krajobraz Moneta. Jej mąż wolałby, żeby użyła jednej z domowych kart z wytłoczoną szkarłatną literą „P”, ale ona nienawidziła ich.

Napisała na niej *Mr. Curland*, chociaż poprzedniego wieczoru mówiła do niego Matthias. Napisała, że chciałaby pójść do jego muzeum, a następnie zaprosiła go na obiad. W apartamentach na szczycie wieżowca. Jeśli poprosiłaby go do restauracji, on nalegałby na zapłacenie. Czy podobałoby się to Peterowi? Nigdy nie była pewna.

*
**

Zany spędził większość dnia w Chicago w okolicach śródmieścia, nad brzegiem jeziora, pokazując fotografię martwej dziewczyny kilku żeglarzom i wędkarzom, którzy spędzali tam ten powszedni dzień. Dało to niewiele. Pracował tam przez wiele godzin, dopóki pojawili się nowi żeglarze - było oczywiste, że wielu z nich urwało się wcześniej z pracy. Żaden nie rozpoznał Jill Langley, ale jeden powiedział, że widział dziewczynę biegnącą wzdłuż basenu portowego w noc morderstwa. Ubrana była w szorty i białą bluzkę.

- Wskoczyła do żaglówki i uruchomiła silnik bez podnoszenia żagli - powiedział mężczyzna. - To było dziwne, że tak się spieszyła.

- Czy ktoś ją gonił?

- Nie, kilka minut później przybiegł facet. Stał tam, patrząc na puste miejsce po żaglówce, i odszedł. On także się spieszył. Czy łódź została ukradziona?

- Można tak powiedzieć. Czy dobrze mu się pan przyjrzał?

- Nie, proszę pana. Było zbyt daleko. Widziałem tylko, że ubrany był w białe szorty i koszulę. Noc nie była taka gorąca.

- Nie było żadnych strzałów lub czegoś takiego?

- Strzałów? Nie. Zaraz, czy to ma coś wspólnego z... Mówiono o tym w wiadomościach... Czy to była ta zamordowana dziewczyna?

- Tak.

- Do cholery. Morderstwo w Parku Lincolna. Morderstwo tutaj. Strach przychodzić nad jezioro.

Zany wziął nazwisko i adres mężczyzny, i podziękował mu, następnie poszedł do klubu jachtowego. Starszy kelner, zmarszczywszy brwi powiedział, że nie widział tutaj nikogo podobnego do dziewczyny. Nie widział również żadnego z braci Curlandów, cicho dodając, że oni nie są członkami klubu.

Dzwoniąc z automatu portowego, Zany próbował znowu złapać Christiana, ale bez powodzenia. Matthias Curland obiecał mu, że przypilnuje Christiana, żeby zadzwonił do niego do hotelu.

Akurat, dopilnuje! Zany był ciekaw, czy Peter Poe miałby coś interesującego do powiedzenia o kolacji, podczas której padła nazwa Grand Pier w stanie Michigan i nazwa jego hotelu. Numer telefonu do biura Poego dostał w informacji. Kobieta, która odebrała telefon, przedstawiła się jako sekre-

tarka i przełączyła go na inny numer, gdzie powiedziano mu, że Poego nie ma w mieście, że jest w Indianie i wróci późno.

Zany wypił dwa piwa w barze przy ulicy Rush, decydując, że czas już na zakończenie dnia. Ostatnim miejscem, które odwiedził, był wydział zabójstw w szóstym okręgu.

Baldessari nie był zachwycony widząc go.

- Jak mogłeś, do cholery, zauważyć - powiedział, gdy Zany wszedł do jego biura - mamy tu dziwek po dziurki w nosie. Musiałem sam przesłuchać ze dwa tuziny.

Cały pokój brygady wypełniony był kobietami ubranymi w krótkie spódniczki, niektóre z nich wyglądały bardzo wojowniczo.

- Major chce aresztowania - kontynuował Baldessari. - Mógłbym zatrzymać jedną z tych dziwek, żeby powiedzieć, że zrobiliśmy jakiś postęp - jeśli znajdziemy taką wysoką blondynę z rzeczywiście dobrymi nogami. Jedna z prostytutek powiedziała, że widziała taką na Broadwayu, jak wsiadała do samochodu O'Rourke. Nikt jej nie znał. Oni wrócili później, za kilka minut i zabrali czarną kurwę, która została ukatrupiona razem z O'Rourke. Musiał być niezłym ogierem.

- Czy możesz dać mi pięć minut? - zapytał Zany. - Mam pewien postęp w moim przypadku.

Baldassari spojrzął na zegarek.

- Okay, Zany. Daję ci dziesięć.

Porucznik łyknął trochę kawy i zapalił marlboro.

Tak szybko, jak to było możliwe, Zany zrelacjonował mu, czego się dowiedział.

- Nabrałem rzeczywiście podejrzeń co do tego faceta, Matthiasa Curlanda - powiedział. - Zbyt dużo tu powiązań. Coś tam było między nim i Langley, zanim wyjechał z miasta. Powiedział mi sam, że spał z nią. Do diabła, namalował jej akt, który powiesił nad stołem w pokoju jadalnym. To jest silny związek. I wydawał się przerażony, gdy rozmawiałem z nim. Prawdziwie przerażony.

Baldessari patrzył na niego przez dym papierosowy. - Mówiłeś, że pokazał ci bilet z samolotu.

- Tak, zrobił to. Ale... Nie mogę sam sobie z tym dać rady, Frank.

Obiecałeś mi Mulroneya i Staceka, ale dałeś ich do roboty przy morderstwie w Parku Lincolna. Chciałbym przejrzeć dokumenty galerii. Chciałbym porozmawiać z Peterem Poe i z Christianem Curlandem. Ale nie mam tutaj jurysdykcji i muszę wracać do Grand Pier. Miałem nadzieję, że będziesz chciał...

Baldessari pochylił się do przodu tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, głośno zaskrzypiało.

- Zdajesz sobie sprawę, Zany, jak trudno byłoby mi sprowadzić tu na przesłuchania takich ludzi jak Curlandowie lub Peter Poe? Czy wiesz, jakiego potężnego kopniaka w tyłek dostałbym od nich, gdybym im powiedział, że wszystko co robię w tej sprawie wynika z twoich dziwnych podejrzeń? Chodzi mi o to, co dotychczas ustaliłeś, Zany. Gównno! Nie ustaliłeś nawet miejsca zbrodni. Nie masz narzędzia zbrodni. Nie masz świadków. Jedyne przestępstwo, o jakim wiemy, to dokonana w Chicago przez tę dziewczynę kradzież łodzi. Czyś przynajmniej zdjął z łodzi odciski palców?

- Zrobiła to policja stanowa. Poza śladami palców tego dentysty, który wypożyczył łódź, znaleźli jedynie odciski dziewczyny.

- Słuchaj, Zany. Zaczynam podejrzewać, że spędziłeś zbyt dużo czasu na plaży. A co z tym włamaniem do twojego pokoju? Czy wydział włamań nie mógłby ci pomóc w tej sprawie?

- Plotnik wysłał tam kilku specjalistów od dowodów rzeczowych. Wszystko było czyste. Brak świadków. Robił to prawdziwy fachowiec. Albo fachowcy.

- Ale nie twój przyjaciel architekt.

- Już ci mówiłem, że był wtedy z Poem. Była tam też żona Poego i jeszcze inna kobieta.

- Czy myślisz, że postanowili wdepnąć do twojego hotelu i zwinąć twoje gówniane rzeczy tylko dla zabawy? - Baldessari zgrywał się, Zany nie zawsze wiedział kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie.

- Frank, proszę cię.

- Zany, twoje dziesięć minut dobiega końca, a czas biegnie dalej. Gdybyś mógł mi dostarczyć dowodu, że to zabójstwo miało miejsce gdziekolwiek w stanie Illinois, mógłbym to kontynuować, a tak muszę

jeszcze wysmażyć coś dla władz miasta w sprawie tego O'Rourke. W tej chwili ledwie znajduję czas, żeby zadzwonić do żony. Gdybyś chciał pogadać z Poem albo z bratem Curlanda, to nie widzę przeszkód - żyjemy w wolnym kraju. Ale nie mogę ci w tym pomóc. A nawet gdybym mógł, to i tak myślę, że wspinasz się nie na to, co trzeba, pieprzone drzewo. - Wstał. - Przepraszam cię, Zany.

- W porządku, Frank, rozumiem twoją sytuację.
- Czy chciałbyś posłuchać rozmowy z resztą tych dziwek?
- Nie, dziękuję. Wolę mieć do czynienia z ludźmi wyższej klasy.
- Oni są tacy sami, Zany. To pierwsza rzecz, jakiej się nauczysz.

Z siedmiu hoteli jakie posiadał Poe, cztery stały w Chicago. Poe siedział w hallu jednego z tych tańszych i czytał czasopismo żeglarskie, rzucając okiem na każdego wchodzącego.

Hotel ten, stojący na północ od Loop, nie cieszył się szczególną renomą. Jego klientami byli drugorzędni biznesmeni, turyści z tanich wycieczek i od czasu do czasu pary na godziny. Poe ustalił z zarządcą hotelu, że o ile tanie prostytutki z ulicy nie miały tu wstępu, drogie dziewczyny na telefon mogły w nim pracować, pod warunkiem, że nie będą sprawiały kłopotów. Siedział w hallu od niespełna godziny, a przeszły już tędy trzy takie damy. Było zaledwie po dziewiątej wieczorem.

Pracownicy hotelu sądzili, że Poe przyszedł po prostu, żeby sprawdzić jak tu wszystko działa, w związku z czym byli nadzwyczaj sprawni i uprzejmi. Zwracano na niego znacznie większą uwagę, niż na wchodzące kobiety.

Kolejna dziewczyna otworzyła drzwi. Była wysoka, pięknie zbudowana i ładnie ubrana, chociaż to, co miała na sobie, wyglądało na tanią odzież z przeceny.

Była blondynką, lub nosiła znakomitą perukę.

Poe pomyślał, że ma szczęście. Sądził, że będzie musiał poświęcić temu wiele nocy.

Patrzył na jej ruchy, kiedy przechodziła. - To ta - powiedział.

Mężczyzna, który siedział obok opuścił gazetę. - W porządku. Jest pan pewien, że to dziwka?

- Nie przysłała tu na zbiórkę harcerską. Kiedy załatwi sprawę, proszę ją

śledzić. Aż do jej domu. Chciałbym, żeby dał mi pan znać jutro rano.

- Czy to wszystko?
- Na razie tak.

Zany postanowił jeszcze coś załatwić przed udaniem się do hotelu. Poprosił detektywa Plotnika z wydziału włamań, żeby pojechał z nim do mieszkania Jill Langley. Nie mieli nakazu rewizji, ale właścicielka mieszkania przypomniała sobie Plotnika i wpuściła ich, spojrzawszy przedtem na policyjną odznakę i identyfikator Zany'ego. Wydawało się, że wiadomość o zabójstwie dziewczyny spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Musiała wypić sporo wina przed ich przyjściem.

- Będę pływał w gównie po dziurki w nosie, Zany, jeśli mój porucznik przyłapie mnie na pracy nad zabójstwem - powiedział Plotnik, jak już byli w mieszkaniu dziewczyny i zamknęli drzwi.

- Nie pracujesz nad zabójstwem. Ciągle jeszcze prowadzisz śledztwo w sprawie włamania do tego mieszkania i do mojego pokoju hotelowego. Skradziono tam nieznaczenie uszkodzony obraz lub jego kopię, będącą poprzednio w posiadaniu lokatorki tego mieszkania.

- Ale myśmy wszystko to przebadali z kolegą - powiedział Plotnik, pokazując przewrócone do góry nogami mieszkanie - nie znaleźliśmy absolutnie niczego. Na podstawie tego, jak włamywacze rozerwali tu wszystko na strzępy, nie można wnioskować, czego szukali. Popatrz na ten bałagan. A jeśli znaleźli to, po co przyszli, nic dla nas nie zostało.

- Zawsze można coś znaleźć - powiedział Zany.

W garderobie znaleźli pełne listów pudło po butach. Było przewrócone a jego zawartość ciągle leżała rozsypana na podłodze.

Niektóre listy pisane były dawniej. Większość była od rodziny. Na dwóch przyklejone były zagraniczne znaczki. Figurowało na nich nazwisko M. Curland, wraz z adresem zwrotnym w Cannes. Zany rzucił okiem na jeden z tych listów.

- Popatrz w drugą stronę, Maurice - powiedział, wsuwając oba listy do kieszeni swojego płaszcza.

- Nic nie widziałem.

- Mam nadzieję.

Zatrzymał się na chwilę w drogerii przy ulicy Clarka, żeby zadzwonić jeszcze raz do domu Curlandów. Postanowił, że nie wspomni na razie o listach, dopóki nie przemyśli ich treści i nie będzie miał okazji porozmawiać z Christianem Curlandem. Telefon odebrał Matthias mówiąc, że jego brat jeszcze nie wrócił. Lekko zirytowanym głosem obiecał, że skłoni Christiana, aby zadzwonił do Zany'ego. Po chwili zapytał, czy są jakieś nowe szczegóły.

- Nic istotnego, panie Curland.
- Czy na pewno nie mógłbym jakoś pomóc? - Głos Matthiasa złagodniał.
- W tej chwili nie.
- Wobec tego, proszę dać mi znać.

Po skończonej rozmowie Zany zaczął iść w stronę hotelu, lecz zmienił zamiar, kierując się ku domowi Curlandów, przy ulicy Schillera. Był zadowolony, że zostawił samochód w hotelowym garażu, gdyby tego nie zrobił, teraz na próżno szukałby miejsca do parkowania.

Nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi, chociaż światła na górze były zapalone. Zadzwonił powtórnie. Gdy znów brak było odpowiedzi, Zany przeszedł na drugą stronę ulicy, stając w zacienionym wąskim pasażu, aby widzieć jego wejście do domu Curlandów. Po godzinnym oczekiwaniu, kiedy głód i pęcherz moczowy dały o sobie znać, Zany zrezygnował z dalszego oczekiwania. Gdyby to Frank Baldessari wkroczył do akcji, Christian Curland byłby już z pewnością przymknięty.

W hotelu czekały na Zany'ego trzy wiadomości od Hejmala, jedna od prokuratora okręgowego Morana i jedna od żony. Zany poszedł do toalety, lecz poprosił przedtem, żeby nie łączyć rozmów do pokoju, dopóki sam nie odpowie na telefony.

Hejmal był niezwykle wzburzony. - Najlepiej by było szefie, gdyby mógł pan zaraz tu wrócić. Mielśmy napad z bronią w ręku - powiedział.

- Co takiego?
- W supermarkecie 7-Eleven, tym przy autostradzie. Sterroryzowali tam wszystkich.
- Nie ma rannych?
- Tylko trzy osoby były w sklepie. Kasjer i dwóch klientów. Napast-

nicy kazali im położyć się na ziemi i zaczęli strzelać. Zabrali 127 dolarów w gotówce i dwa kartony z piwem.

- Czy wiadomo, jak wyglądali? Czy zostawili odciski?
- Nie, szefie. Mieli na sobie maski narciarskie i rękawiczki.
- Maski i rękawiczki? Żeby obrobić supermarket?
- Aha. Była tam na miejscu policja stanowa, ale Moran chce, żeby pan

tu przyjechał.

Zany zaklął. W Grand Pier nigdy nie było rozbojów z bronią w rękę, a on sam w ciągu piętnastu lat nie miał do czynienia z tego typu przestępstwem.

Dwa kartony piwa. Musieli naprawdę mieć pragnienie.

Matthias pracował przez cały dzień, robiąc przerwę jedynie na lekką drzemkę, w czasie której był niepokojony ciągłymi telefonami jednego ze stanowych policjantów. Matthias sądził, że ten glina wykonywał tylko swoje obowiązki, jednak chyba nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Nie mógł przecież zdobyć wielu informacji samym tylko nękaniami, chyba że chodziło mu wyłącznie o to. Matthias zauważył nawet Rawlingsa ze swojego okna na górze, lecz gdy ten dzwonił do drzwi, nie otworzył mu, mając nadzieję, że policjant po prostu sobie pójdzie, co wreszcie zrobił.

Matthias próbował o nim zapomnieć. Po urazach i zawodach, jakich doznał w tym długim dniu, wreszcie zaczęło mu coś wychodzić. Dzięki szkicom żaglówek, które robił z nudów, zaświtał mu w głowie pewien pomysł.

Jego pierwsza koncepcja budynku dla Poego była cudownie prosta: idealna igła o okrągłej podstawie i równie okrągłych ścianach, wznoszących się stożkowato przez sto pięćdziesiąt pięter, aż do szpiczastego wierzchołka. Można było dostrzec w tym projekcie podobieństwo do obelisku, stanowiącego część symbolu Światowych Targów w Nowym Jorku w 1939 roku, lecz niezwykła wysokość projektu Matthiasa sprawiała, że był on znacznie okazalszy. Stanowił tak radykalne odejście od przyjętych norm architektonicznych, że mógłby dominować na tle nieba przez całe dziesięciolecie. Mógłby być znakiem rozpoznawczym tego miasta w tak samo dramatyczny sposób, jak łuk na rzece Missisipi identyfikował St Louis. Zwłaszcza że

stałyby daleko od skupiska drapaczy chmur, które wyrastały wokół Loop.

Wyjątkowość sylwetki projektu i wrażenie jakie sprawiał, pomimo cudownej prostoty linii, powinny zaspokoić takiego nienasyconego egoistę ja Poe. Każdy, kto miał zmysł estetyczny musiał się z tym zgodzić. W tej strukturze była prawda - duchowa prawda, która miała uwiecznić Poego w tym mieście.

Kłopot w tym, że projekt nie mógłby być zrealizowany. Żeby uwzględnić nacisk stu pięćdziesięciu pięter, podstawa musiałaby być zbyt szeroka, natomiast wyższe partie budynku - zbyt wąskie. Najwyższe piętra miałyby tylko tyle przestrzeli, ile wystarczyłoby na jedno lub dwa małe mieszkania, ściśnięte wokół kolumny centralnej, wind, rur i wewnętrznego uzbrojenia. To nie byłoby ekonomiczne.

Wykonał ponad tuzin szkiców, stopniowo zwiększając podstawę, skracając wieżę, poszerzając strukturę - desperacko usiłując zrównoważyć pierwotny zamysł z kubaturą konstrukcji. Ale nie można było ich pogodzić - jedno było przeciwieństwem drugiego.

Dla odprężenia wziął się za szkicowanie żaglówki. Przyniosło mu to ulgę. Rysunki przychodziły tak łatwo, że linie niemal same wychodziły spod jego ołówka. Pomysł narodził się prawie jak boskie objawienie. Narysował zewnętrzne linie żagla. Zawahał się, trzymając ołówek zawieszony w powietrzu, a następnie przerwał pracę, odchylając się w krześle do tyłu. Zapatrzył się w zwykłe połączenie trzech linii, potem podparł szkicownik, wstał i cofnął się.

To było to - budynek, jakiego jeszcze dotąd nie wybudowano, ani nie zaprojektowano - płynący, złożony z zakrzywionych linii trójkąt równoramienny, budynek w kształcie żagla. Prawy kąt łączący podstawę z prostopadłą będzie jego bazą, a zwężający się koniec - zamocowaniem żagla. Cała konstrukcja będzie zakrzywiona - zapewniając w ten sposób lepszą stabilność przeciw uderzeniom wiatru - dokładnie jak żagiel wygięty przez boczny wiatr. Gdyby użyć szkła na obie boczne ściany, budowla lepiej odbijałaby światło niż wieżowiec Lake Point.

Matthias, rozmyślając, potarł ręką policzek. Poe chciałby na pewno, aby wieżowiec jakąś falliczną erekcją przebijał niebo. Oni zawsze chcą czegoś w tym stylu.

W porządku, może to mieć. Matthias mógłby dodać cylindryczną wieżę, coś w rodzaju obelisku, montując ją z przodu żagla, co sugerowałoby maszt. Na niemal całej długości musiałyby to być idealnie proste, ale przedni brzeg podstawy mógłby być rozszerzony, natomiast fragment wyrastający ponad wierzchołek masztu mógłby się ostro, punktowo zwężać.

Matthias powrócił pospiesznie do stołu kreślarskiego, mobilizując rękę do szybkiej pracy. Gdy skończył wstępny szkic, odchylił się do tyłu, aż krzesło zaskrzypiało.

Nie całkiem miał rację. Projekt przypominał maszt i żagiel zbyt dosłownie. Przysuwając się ponownie do stołu, wytarł pospiesznie kilka linii i zastąpił je nowymi. Linia żagla od przodu wybrzuszenia biegła teraz ostro do góry - sięgnęła do wierzchołka wieży, zmiękczając w ten sposób jej połączenie z żaglem i wyrównując je.

Ponownie usiadł. Rysunkowi daleko było do ostatecznej wersji. Brakowało jeszcze wielu szczegółów, myślał jednak, że nie wprowadzi żadnych zasadniczych zmian. Pomysł był zakończony. Udało mu się to osiągnąć, pomimo tego nieszczęsnego dnia. Czy Jill podobałby się ten projekt? Pokazywał jej kiedyś wszystkie swoje projekty. Gdy zaczął o tym myśleć, naszły go wątpliwości. Przypomnił sobie, że Jill miała kiedyś podobny pomysł. Było to w czasie wieczornej żeglugi o zachodzie słońca, kiedy płynęli kursem równoległym do brzegu jeziora, patrząc na sylwetki żaglówek, rysujących się na tle horyzontu Chicago.

Nadal rozmyślał. Jeśli jego projekt pozostanie niezmieniony i Poe będzie chciał, żeby budowla była superwysoka, potrzebna będzie większa parcela - długa, prostokątna posiadłość rozciągająca się znacznie dalej niż Cabrini Green.

A cóż tam takiego było? Całe ulice gruzów i niskie slumsy. Poe był miliarderm. Z pewnością mógłby nabyć dodatkową ziemię. Ale to można będzie rozważyć później. Najważniejsza była w tej chwili sprzedaż pomysłu.

Matthias przestraszył się hałasu, jaki rozległ się na dole. Po nim usłyszał następny, potem trzaśnięcie drzwi wejściowych i głuchy łoskot. Coś przewróciło się.

Był to Christian. Matthias usłyszał, jak zaklął, uderzając o coś z hukiem, i jak, pozostawiony samemu sobie, od przekleństw przeszedł do szalonego,

pijackiego i niezrozumiałego monologu. Matthias nie zwracał na niego uwagi, nawet gdy słyszał rumor kolejnych kolizji. Pozostał z rękami na stole kreślarskim, zachowując spokój i czekając, aż hałasy ustaną.

Cisza, która nastąpiła miała w sobie coś irracjonalnego. Matthias bawił się ołówkiem, a potem go odłożył. Nie było już sensu kontynuować. Miał teraz do wyboru: iść prosto do łóżka, zejść na dół, żeby zobaczyć brata, a nawet mu pomóc, lub wyjść z domu, może nawet spędzić noc z Sally. Mógłby też pojechać do Lake Forest.

Rozległ się ciężki, odbity echem huk eksplozji. Potem następny. Matthias od razu wiedział, że to strzały. Nie miał pojęcia, że Christian ma w domu broń.

Znalazł brata w jadalni. Rozejrzał się po pokoju, żeby zobaczyć, do czego Christian strzelał. Nie do siebie. Brat był oszołomiony, lecz nie ranny. Stał przy długim stole i trzymał się kurczowo krzesła, żeby nie upaść, a z jego prawej ręki zwisał rewolwer. Wpatrywał się w akt Jill namalowany przez Matthiasa. Spozstrzegł, że wystrzelił dwie kule w jej klatkę piersiową.

- Nie mogłem jej tak zostawić. Takiej jaką ty miałaś, wielki bracie - wybełkotał Christian. - Doskonały obraz. Pełnia miłości. Zrobił ją Matt. Jakiś sukinsyn ją zabił. Zastrzelił. Zastrzelił na twojej żaglówce. Odeszła. Umarła i odeszła. Już nie możesz jej mieć, Matt. Nie tak, jak ją miałaś. Nie mogłem zostawić jej tak pięknej i doskonałej na twojej ścianie. Już nie, wielki bracie. Ona nie żyje. Słyszałeś o tym przez radio? Zabił ją. Zastrzelił ją. Dziewczynę na twojej łodzi. To była Jill.

Gdy Matthias próbował chwycić go za rękę, Christian oswobodził ją, jednak pistolet udało się wyrwać. Christian zdawał się tego nie zauważać.

Chwiejąc się, poszedł do ściany, zerwał obraz i rzucił na ziemię.

- Ona nie żyje! - krzyknął dygocząc.

Razem z tym ostatnim, wywrzeszczanym słowem, uszła z niego cała wściekła energia, która go dotąd wypełniała. Jego głowa pochyliła się do przodu, a ramiona zwisały luźno po obu stronach tułowia. Matthias wziął go za rękę i poprowadził do sofy w salonie. Christian osunął się na plecy.

- Chcę się napić, wielki bracie - wymamrotał. - Whisky, gin, cokolwiek. Wszystko jedno co.

- Zrobię ci kawy.

- Chcę pić! Piłem przez cały ten pieprzony dzień. Od kiedy usłyszałem to przez przeklęte radio. Była tak cholernie urocza. Pierwsza klasa. Kłasy czna i wspaniała, lepsza niż my, wielki bracie. Lepsza niż którakolwiek z... Nie mogę jej mieć, ty też nie. Nie w ten sposób. Naga, według Ingresa. Nie mogę. Nie mogę.

Matthias stał bezradnie widząc, jak jego brat zaczyna szlochać. Łzy obficie płynęły mu po policzkach. Nie widział go w takim stanie od czasów dzieciństwa. Popatrzył przez chwilę na Christiana, potem poszedł do kuchni i nalał im obu whisky. Przyniósł ze sobą butelkę. Christian znajdował się w stanie bliskim utraty przytomności. Jeden drink więcej mógł zakończyć dla niego ten dzień i przynieść sen. Matthias zamierzał też się napić. To pewnie nie przyniesie ulgi, lecz pomoże jakoś przetrwać noc.

Christian pochylił się do przodu, żeby przysunąć szklanekę do ust. Znowu zaczął bełkotać.

- Kochała cię, Matt.
- Wiem.
- Nie powinieneś być tak wyjeżdzać, wielki bracie, do tej pieprzonej Francji. Nie powinieneś być. To dlatego ona nie żyje. Dlatego żeś ją zostawił.
- Zamknij się, Christian.
- Pieprz się, wielki bracie.

Matthias nabrał głęboko powietrza.

- Dowiedziałem się o tym od jednego policjanta - powiedział spokojnie. - Policjanta z Michigan, gdzie ją znaleźli. Znaleźli też obraz, kopię obrazu z naszego muzeum.

Christian zapatrzył się w swoją szklanekę, potem nagle spojrzął na brata.

- Obraz.
- Kopia obrazu. Oryginał jest ciągle w muzeum. Widziałem. Policjant zadał mi kilka pytań. Chce także z tobą rozmawiać. Musi wiedzieć, gdzie wtedy byliśmy.
- Gdzie byliśmy? A gdzie ty byłeś?
- W Nowym Jorku.
- W Nowym Jorku, z tą zadzierającą nosa Hillary.
- Powiedziałem mu, że do niego zadzwonisz, zatrzymał się w hotelu Days Inn, koło jeziora.

- Days Inn? Kto zatrzymuje się w Days Inn?
- Wielu ludzi. Ma najwyższą w mieście liczbę gości. Chciałby wiedzieć, gdzie wtedy był.
- Grzeszyłem, wielki bracie. W hazardowej spelunie. Grzeszyłem i wygrywałem. W spelunie należącej do Petera Poe. W Indianie. Potem byłem z kobietą, najbardziej czarującą kobietą. Ale nie mogę ujawnić jej nazwiska. Dżentelmen tego nie robi.

Spojrzał na swoje stopy, wkładając ręce do kieszeni kurtki, a następnie wyciągnął je z powrotem.

- Mam rachunki - powiedział. - Wydruki kasowe. Mam ich kilka. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy mi dobrze szło. Muszę je znaleźć. Jak się nazywa ten policjant?

- Rawlings. Zane Rawlings. Jest tam naczelnikiem policji.
- Naczelnik Rawlings.

Ze szklanką w ręku, Christian chwiejnym krokiem poszedł do hallu.

Matthias słyszał jak czegoś tam szuka, a potem, jak rozmawia przez telefon. Nie było go przez dłuższą chwilę.

Pojawił się ponownie w drzwiach. - Już opuścił hotel - powiedział. - Pojechał z powrotem do tego zdeprawowanego Michigan.

- Usiądź, Christian.

Posłuchał siadając niezdarnie. Łyknął trochę whisky. Wydawało się, że zamiast zwalić go z nóg, alkohol przywraca go do życia.

- W jaki sposób Jill mogła wejść w posiadanie kopii tego obrazu? - zapytał Matthias. - To jest płótno Kirchnera *Czerwona wieża* z naszego magazynu. Nie wolno nam nawet oglądać tych rzeczy. Nigdy nie pozwalaliśmy niczego kopiować, dziadek zabronił.

Christian zamrugał, jakby próbując widzieć ostrzej.

- Jill miała klucz. Nigdy go nie oddała.
- W podziemiu jest zamek szyfrowy.
- Kombinacja znajdowała się w dokumentach dziadka.
- W jaki sposób mogła zrobić kopię? Rawlings pokazał mi to. To było bezbłędne. Jill nigdy nie była malarką, nie malarką profesjonalną. Nie była wystarczająco dobra.

- Ale Kirchner to nie Rembrandt. To byłoby łatwe. Mógłbyś zrobić coś

takiego nawet z pamięci. - Mowa Christiana stała się wyraźna. Przestał bełkotać, a jego oczy były mniej dzikie.

- Po co jej była kopia Kirchnera? Jill nie przepadała za niemieckim ekspresjonizmem. Lubiła impresjonistów, Johna Singera Sargenta, George'a Bellowsa, Winslowa Homera.

- Być może, powinniśmy zapytać o to Larry'ego Traina?

- Dlaczego Larry'ego?

- Bo sprzedaje dużo obrazów, wielki bracie. Nie wszystkie wystawia we frontowych oknach. Wielu jego klientów z pewnością nie odróżniłoby kopii Kirchnera, od prawdziwego Normana Rockwella. On ma klientów w Port Lauderdale, Palm Springs, wszędzie - ludzi, do których nigdy nie dotrzemy.

- Czy sugerujesz, że Larry ma opracowany sposób sprzedaży sfałszowanych obrazów? Kopii? I Jill miałyby brać w tym udział?

Christian wzruszył ramionami. - Larry mógł nie znać źródła, ale Jill... Nie rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie - przez ciebie.

- To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką usłyszałem - powiedział Matthias. - Uważam, że to obrzydliwe, co sugerujesz.

- Ona zaczęła cię naprawdę nienawidzić, Matt. Jak niektóre najlepsze wina, które kwaśniejają.

- Jesteś pijany Christianie.

- Nie do tego stopnia, nie na tyle. Muszę na to uważać. - Wypił duży łyk whisky. Był bardzo blady, lecz wydawał się znacznie bardziej zrównoważony. Znowu wstał i wypił do końca.

- Wychodzę, Matthias.

- Nie było cię przez cały dzień.

- Idę się przejść. Gdziekolwiek. Muszę przemyśleć pewne sprawy.

Ruszył w stronę drzwi. - Nie czekaj na mnie. Mogę nie wrócić na noc.

Miejsce przestępstwa, ostrzelany supermarket 7-Eleven koło autostrady, było zamknięte i ciemne, kiedy Zany tamtędy przejeżdżał. Drzwi zaklejone były na krzyż żółtymi taśmami policyjnymi, tak jak zarządził Zany. Pojechał prosto do komisariatu. Hejmal, jedna z policjantek Zany'ego oraz nocny

dyspozytor siedzieli w biurze zewnętrznym, popijając kawę.

- Piekielny dzień, szefie - powiedział Hejmal. - Mamy tu raport i zeznania ofiar. Wszystko inne ma policja stanowa.

- Mamy świadka, który widział samochód sprawców - powiedziała policjantka, mocno zbudowana blondyna, która nazywała się Barbara Vaclav. - Szara furgonetka bez oznaczeń. Prawdopodobnie zarejestrowana w Indianie. Policjanci stanowi ustawili posterunki przy wszystkich wyjazdach, ale nikogo nie zatrzymali.

Zany kiwnął głową i poszedł do siebie nalać kawy.

- Gdzie jest Moran?

- W telewizji - powiedział Hejmal. - Był w ostatnim wydaniu wiadomości w programie lokalnym. Powiedział, że to wszystko jest skutkiem obciążenia przez Waszyngton funduszy przeznaczonych dla kierownictwa Sił Przestrzegających Prawa.

- Nie wiedziałem, że coś takiego jeszcze istnieje - powiedział Zany, instalując się z raportem przy biurku Hejmala.

- Jakiś facet z Chicago dzwonił do pana, szefie - powiedziała Barbara. - Christian Curland. Mówił, że pan go szukał.

Zany postawił kawę na biurku. - Czy zostawił numer telefonu?

- Nie. Powiedział, że jeszcze zadzwoni.

- Próbowałem złapać tego faceta przez cały dzień. - Zany spojrzął na zegarek, a potem zabrał się za czytanie raportu. Kawa była ohydna, jak zwykle.

Kiedy młodszy z Curlandów zadzwonił ponownie, Zany właśnie wychodził do domu. Christian mówił wolno i bardzo starannie - tak jak to robią pijani kierowcy, którzy próbują udawać trzeźwych.

- Mój brat poinformował mnie, że chciałby pan wiedzieć, co robiłem w piątek wieczorem, kiedy panna Langley została... została zamordowana?

- Zgadza się.

- Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Jestem policjantem. To właśnie robimy, kiedy ktoś zostaje zamordowany. Pracowała dla was. Znaleźliśmy przy niej obraz z waszego muzeum. Najwyraźniej kopię. Chciałbym więc czegoś się dowiedzieć.

- Domyślam się podtekstu pańskiego pytania.

- Dlaczego mi pan po prostu nie odpowie? Będziemy to mieli za sobą.
- Byłem w kasynie gry w Indianie. W Pałacu Poego. Na dowód mam kwity kasowe.

- Czy był pan tam całą noc?

Curland nie odpowiedział od razu. - Nie. Wróciłem potem do Chicago i spędziłem noc z kimś zaprzyjaźnionym.

- Kto to był?

- Przyjaciółka.

- Kto to jest?

- Musi pan zrozumieć, że mogłoby to przysporzyć jej wielkich kłopotów, gdyby sprawa wyszła na jaw.

- Panie Curland. To mi niewiele pomaga.

Curland nic nie powiedział. Zany odchylił się w krześle do tyłu, machając ręką na dobranoc Hejmalowi i Barbarze Vaclav.

- Proszę chwilę zaczekać - powiedział Curland. - Poproszę ją do telefonu.

Zany czekał, słysząc jak rozmawiają w głębi.

- Halo? - W głosie kobiety słychać było zdenerwowanie.

- Tu mówi naczelnik Rawlings z komisariatu policji w Grand Pier. Pan Curland powiedział, iż może pani potwierdzić jego... gdzie spędził noc w ostatni piątek.

- Tak, tak, mogę.

- Spędził tę noc z panią?

Milczenie.

- Tak, spędził.

- Czy mógłbym poprosić panią o podanie nazwiska?

- Czy to konieczne?

- Tak.

- Christian nie ma absolutnie nic wspólnego z tym, co się stało. Nie mógłby mieć. Był ze mną.

- Tak jest, proszę pani. Ale potrzebne mi jest pani nazwisko do dokumentacji. Inaczej to nie ma sensu.

- Czy przyrzeknie mi pan, że nie ujawni go nikomu, chyba że to będzie absolutnie konieczne?

- Jestem policjantem, a nie reporterem z gazety. Postępujemy według przyjętej procedury. W sądzie, gdyby to wniosło coś do sprawy, nazwisko pani mogłoby być ujawnione, tego pani nie mogę obiecać. Ale proszę się zastanowić. Pan Curland nie jest o nic podejrzany. Jeśli to, co pani mówi jest prawdą, nie ma się o co martwić. Nie jest podejrzanym. Na razie nie mamy żadnego podejrzanego. Po prostu muszę sprawdzić wszystko i wszystkich. A teraz, proszę, jak się pani nazywa?

- W porządku. Sally Phillips.

ROZDZIAŁ

5

Poe skupiwszy się nad wieloma nie załatwionymi dotąd sprawami, dopiero po kilku dniach zjawił się w porcie na pierwszą lekcję żeglugi, której miał mu udzielić Matthias Curland. Poe odnalazł Curlanda o umówionej godzinie przy basenie portowym, gdzie czekał gotów do rozpoczęcia lekcji. Był ubrany w szorty koloru khaki, granatową koszulkę polo i buty żeglarskie. Poe miał na sobie białe spodnie, podobną koszulę, jasnoniebieską kurtkę sportową i mokasyny - rzeczy, które zwykle nosił na pokładzie swego jachtu.

- Dzień dobry - rzekł Curland. Jego głos zabrzmiał pogodnie, choć on sam wyglądał nieco mizernie, jakby był chory.

- Cześć. Gdzie łódka?

- Oto ona.

Curland stał przy małej zagłówce, której dziób i rufa przywiązane były do brzegu. Nie miała więcej niż dwadzieścia stóp długości.

Poe skrzywił się. - Spodziewałem się czegoś większego. Co to ma być, do diabła?

- To jest Rhodes 19. Wyprodukowana przez spółkę O'Day. Można na niej naprawdę polegać. Ma szeroką pokładnicę. Pierwszej klasy łódka do nauki.

- Twoja?

- Wypożyczyłem ją.

Poe rzucił okiem na port. Co pomyśleliby ludzie, gdyby zobaczyli go w czymś, co wygląda jak trochę większa łódź ratunkowa?

- No to chodźmy. - Poe podszedł do brzegu basenu portowego i wskoczył do kokpitu łódki. Pośliznął się, lądując na siedzeniu z głuchym

odgłosem - żaglówka zakołysała się.

- Następnym razem proszę założyć lepsze buty - rzekł Curland odwiązując cumę rufową. - Takie jak moje albo nawet tenisówki. Coś, co nie ślizga się po mokrym.

- Dobra - odburknął Poe. Nie był zachwycony ani łódką, ani pouczeniami Curlanda.

- Powinien pan zdjąć również kurtkę i schować ją do kajuty.

- Gdzie?

- Do tego pomieszczenia z przodu. Można ją wepchnąć do jednego z worków żeglarskich.

- Chyba jednak w niej zostaną.

- Może zacząć padać. Wiatr wieje tam z prędkością ponad piętnastu węzłów.

- W porządku.

- A nie jest panu za zimno?

- Nie jest mi zimno.

Poprzedniej nocy przeszedł sztorm, który wywiał deszczowe chmury daleko za jezioro. Było jasno i czysto, a ze złej pogody pozostał jedynie chłodny i rześki wiatr północny. Poe widział grzywiaste fale rozbryzgujące się poza falochronem. Nie czuł się zbyt pewnie. Był napięty, ale miał nadzieję, że Curland tego nie zauważył.

Wyjmując z kieszeni uchwyt korby, Matthias postawił grota, który natchmiast zaczął hałaśliwie furkotać i trzepotać. W chwilę później dał wiatr na żagiel. Szybkim szarpnięciem uwolnił cumę dziobową z kołka nabrzeża, a następnie przedostał się z powrotem do steru.

W tym samym momencie żaglówka, pchana wiatrem, zaczęła się obracać.

- Będę przy sterze dopóki nie opuścimy portu - powiedział, ściągając nieco grota, łódka przechyliła się trochę. Poe złapał się za poręcz.

- Mocno kiwa.

- Proszę się nie przejmować - powiedział Curland - Nie wypłyniemy dziś poza falochron.

- Ale nie płyniemy zbyt blisko portu.

Curland spojrzał na niego badawczo. - Wolałby pan, żeby nikt nas nie

zobaczył?

Poe spojrział spod oka.

- Nie ma obawy - rzekł Curland. - Jesteśmy po prostu jedną z łódek. Nikt nie zauważy, kto jest na pokładzie.

Halsowali wśród flotylli statków przycumowanych w porcie. Poe nie był zadowolony, że musiał przesiadać się z jednej burty na drugą przy każdej zmianie kursu, ale posłusznie to robił. Curland manewrował łódką bez wysiłku - widać było, że czyni to całkiem automatycznie, manipulując jednocześnie grotem i kliwrem. Jednocześnie tłumaczył Poemu, że sznury trzymające żagle nazywają się szotami, podczas gdy inne - linami. Przez cały czas wyjaśniał wszystko, co robił.

Przepełnęli obok wewnętrznego falochronu ze sporą prędkością. Woda była tu dość wzburzona, co spowodowało mocne kołysanie dziobu. Poe poczuł mdłości. Na *Queen P* ledwie odczuwa się bujanie, nawet przy burzliwej pogodzie, ze względu na jej poziome stabilizatory, znajdujące się tuż pod linią zanurzenia.

- Chyba jesteśmy już dość daleko? - zapytał Poe.

- Też mi się tak wydaje. Tu jest dużo miejsca do żeglowania. Niewiele jest innych łódek.

Poe zastanawiał się, czy jest tak pusto tylko z powodu pogody. Piętnaście węzłów, to brzmiało znacznie lepiej, niż wskazywała wzburzona woda. Miał nadzieję, że nie było widać jego strachu.

- Chciałbym przejąć ster, to znaczy rumpel - powiedział.

- Jeszcze nie teraz. Najpierw będzie pan musiał opanować zasady żeglugi. Zaczniemy od najprostszego pływania.

Zaczął od lekcji pływania z półwiatrem, na wiatr i ostro na wiatr, wybierając grot coraz bardziej z każdym manewrem. Wydawało się, że ostatni z manewrów skierował ich dziobem do wiatru, chociaż Curland twierdził, że byli o 45 stopni od takiego położenia łodzi. Dziób unosił się i zanurzał, zderzał się z nacierającymi nań falami, rozbryzgując fontanny wody. Żaglówka przechyliła się gwałtownie. Curland wyluzował trochę grotu i wrócili do bardziej stabilnego położenia.

- Wcale nie musiałem tak luzować grotu - powiedział. - Nadburcie nie jest całkiem pod wodą. Ale chyba będzie się pan czuł teraz lepiej.

- Nie chcę się czuć lepiej. Chcę się nauczyć.
- Jak pan sobie życzy.

Po jedenastym podejściu, Curland pozwolił łodzi pójść bez sterowania z łagodniejszym pełnym wiatrem, a następnie pozwolił, aby zamienili się miejscami.

- Proszę wziąć ster i spróbować samemu.

Poe szybko się uczył. Wprawdzie bał się podejść za ostro do wiatru, ale potrafił zapanować nad żaglem i sterem. Curland był tym zaskoczony, ale sprawiło mu to przyjemność.

- Dobrze zagrane, panie Poe.
- Co?!
- Dobra robota. Bardzo ładnie panu idzie.
- Czy mógłbym już sam wypłynąć?
- Jeszcze nie, ale widzę, że już załapał pan, o co chodzi. Następnym razem poćwiczmy ratowanie ludzi za burtą.
- Czy będę wyrzucany za burtę?

Matthias uśmiechnął się uprzejmie. - Będziemy używać kamizelki ratunkowej.

- Jutro rano.
- W porządku.
- Podoba mi się to.
- To świetnie.
- Jak ci idzie rysunkiem, o którym mówiliśmy?
- Już skończyłem. Są w samochodzie.
- Są?
- Zrobiłem ich kilka. Przyszły mi do głowy dwa pomysły. Jeszcze nie są skończone, ale zobaczy pan, co mam na myśli.
- No to chodźmy rzucić na nie okiem.

Curland przejął ster. Zręcznie zawrócił łódkę i skierował ją w stronę wejścia do przystani.

Poe zdziwił się, gdy zobaczył, że Curland miał rolls-royce'a comiche. Spodziewał się raczej sedana jakiejś amerykańskiej, bliżej nieokreślonej marki - jednego z tych, jakie mają przedstawiciele starej chicagowskiej burżuazji. Nigdy im nie zależało na tego rodzaju manifestacji statusu spo-

łecznego.

- Ładny samochód - rzekł Poe.
- To mojego ojca. Jest bardzo stary. - Otworzył bagażnik i wyciągnął z niego dużą, płaską i trochę popękaną, skórzaną teczkę. Wyjął pierwszy rysunek przedstawiający wieżowiec w kształcie obelisku.
- Bardzo ciekawe - rzekł w końcu Poe.
- To tylko wstępny szkic - powiedział Curland. - Jeszcze surowy, ale zawarłem w nim zasadniczą koncepcję.
- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.
- Ma jednak niedociągnięcia.
- Podoba mi się ten ostry wierzchołek. Jest jak czubek miecza, który ostrzega: „Lepiej ze mną nie zaczynaj”.
- No wie pan, niezupełnie to miałem na myśli.
- Jak to nie? Przecież ja to właśnie miałem na myśli i ty to rozumiałeś. Curland odwrócił się.
- To o co chodzi? - zapytał Poe.
- To nie będzie opłacalne. Byłoby tu zbyt wiele niemieszkalnej przestrzeni, więc musiałby pan brać strasznie wysoki czynsz za wynajmowane w nim mieszkania.
- Coś ty! Każdy dałby wszystko, żeby mieszkać w najwyższym budynku na świecie.
- Gdyby stał nad jeziorem, to może rzeczywiście by tak było, ale nie w Cabrini Green.
- Pozwolisz, że ja się tym zajmę. - Poe wyciągnął drugi szkic i popatrzał na niego zdziwiony. - Co to jest? Żaglówka?
- Chciałem, by to kojarzyło się z żaglówką. To budynek. Ma niezwykłą wysokość, tak jak pan chciał, ale ma jednocześnie bardzo obszerny fronton na parterze, przez co nie traci dramatycznego profilu. Boki byłyby szklane. Zależnie od tego, gdzie by go pan postawił, dawałoby to świetny efekt przy wschodach i zachodach słońca.
- Mhm.
- Wygląda na bardziej skomplikowany, ale ten projekt jest znacznie wydajniejszy niż poprzedni. Miałby pan tu wiele mieszkań i przestrzeni biurowej. Ale problemem jest długość podstawy budynku. Musiałby pan być

właścicielem większej powierzchni, dłuższego kawałka ziemi. Należałoby poszerzyć pana posiadłość Cabrini Green przynajmniej o jedną przecznicę. Obliczyłem to.

- Ma też taki ostry wierzchołek, jak poprzedni projekt.

Poe jeszcze raz zaczął przyglądać się pierwszemu rysunkowi. - Naprawdę zaprojektował pan wszystko w ciągu ostatnich kilku dni?

- Tak.

- A nie są to pomysły, które ktoś inny odrzucił?

- Nie.

- Niewiarygodne. Nie rozumiem, dlaczego porzuciłeś projektowanie.

- Obawiam się, że realizacja moich pomysłów kosztowałaby więcej, niż większość inwestorów chciałaby kiedykolwiek wydać. Poza tym nie można stawiać takich budynków na Michigan Avenue.

- Nie martw się o pieniądze.

Matthias zaśmiał się sam do siebie.

- Dam ci znać - powiedział Poe, zwijając rysunki.

- Czy chce pan, bym opracował dokumentację? Potrzebowałbym pomocy od Cudahy-Brown.

- Wolałbym, żebyś jeszcze się za to nie zabierał i nie chcę, byś kontaktował się z nimi. Jeżeli zdecyduję się, chciałbym nadać temu wielki rozgłos.

- Panie Poe, płaci mi pan dwa tysiące dolarów tygodniowo. Powiniennem coś jeszcze robić za tę sumę, oprócz uczenia pana, jak unikać wywrotek na wodzie.

- Zarabiasz uczciwie te pieniądze i jeśli postanowię to ciągnąć dalej, to będziesz zarabiał dużo więcej. - Poe spojrział na zegarek. - Czy chcesz, żebym zatrudnił w fundacji twoją przyjaciółkę, Sally? Poradzi sobie z akcjami charytatywnymi?

- Myślę, że ona jest dobra w tych sprawach.

- Wystarczy. Załatwione. - Poe zawahał się. - Chciałbym się jeszcze poradzić w jednej sprawie. Zasiadałeś w radzie Wydziału Zieleni Miejskiej, prawda?

- Nie. Robiłem kiedyś dla nich projekt nowego basenu jachtowego w Parku Lincoln, i to wszystko. To mój dziadek był członkiem tej rady. Mój

ojciec, z kolei, zasiadał w radzie Ochrony Lasów.

- Będzie im potrzebny nowy prezes - teraz, kiedy ten O'Rourke został zabity. Mam trochę wpływów w mieście. Jak myślisz, kogo powinienem poprzeć?

- Nie mam zielonego pojęcia. Niestety, nie bardzo znam się na polityce.

- Nie chciałbym, by ta pozycja trafiła się jakiemuś figurantowi, który został wynajęty za pieniądze. Za bardzo jestem przywiązany do tego miasta. Znasz może Aarona Coopermana? On jest członkiem tej rady.

- Jest dobrym architektem. Chodziłem z nim do szkoły.

- Jest twoim przyjacielem?

- Był nim kiedyś, ale w ostatnich latach nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu.

- Prawdziwy liberał, co? Przyjaciele Zieleni? Aktywny w żydowskich akcjach charytatywnych? Należy do Świątyni Shalom?

- Tak, o ile sobie przypominam.

- Równy z niego facet, prawda? Uczciwy, szczerzy, nie da się przekupić? Nie jest podatny na wpływy?

- W dużym stopniu taki właśnie jest. Ale czasami bywa nadgorliwy. Jak już przejmie się jakąś misją, to potem bez końca rozważa sprawę ze wszystkich możliwych stron.

- Lubisz go?

- Tak.

- Świetnie. Poprę go.

- Tak po prostu?

- Staram się wszystko robić tak po prostu, Matthias. Stale działać. Jak George S. Patton.

- Rozumiem.

- Diandra wspomniała, że będziesz u niej jutro na lunchu.

- Tak. Miałem panu o tym powiedzieć. Chciała zobaczyć nasze muzeum.

- Oprowadź ją po wszystkich muzeach. Ona nie ma z kim tego zrobić. - Poe zawahał się. - Może mógłbyś ją namalować.

- Christian się tym zajmuje.

- Nie, dzięki. Słyszałem o jego, hm, bohomasach. Ale mówię poważnie. Mógłbyś zrobić jej akt. Christian mówi, że robisz świetne akty.

Matthias zarumienił się.

- Diandra jest trochę chuda - kontynuował Poe. - Ale mógłbyś namalować coś takiego, jak ten, no, co to był za jeden, Botticelli?

- Sandro Botticelli. *Narodziny Wenus*.

- Baba w muszli. Nie bądź taki zakłopotany. Pozowała już do obrazów. Modelka pierwszej klasy, wiesz? Przemyśl to. Do zobaczenia jutro.

Poe, niosąc pod pachą zrolowane rysunki, oddalił się szybko ku swej czerwonej limuzynie. Był zdziwiony, że tak łatwo udało mu się zdobyć zaufanie Curlanda. Za parę tygodni będzie posiadał każdą komórkę tego człowieka. A poza tym, naprawdę spodobały mu się te projekty - oba cholerne projekty. Był zaskoczony, że Curland okazał się tak świetnym architektem. Najlepszym. Był wdzięczny Bitsie Symms za tego faceta. Może teraz pozwoliby jej zostać najlepszą przyjaciółką Diandry? Wiedział, że Bitsie tylko o tym marzy, chociaż Diandra na pewno nie.

Poe uśmiechnął się do Krasowskiego, gdy ten otworzył mu drzwi samochodu. Gdyby załatwił jeszcze parę innych spraw, to mógłby uznać ten dzień za wspaniały.

Matthias siedział przez pewien czas w samochodzie nie zapalając silnika. Oswajał się z myślą, że może wkrótce znowu będzie w biznesie architektonicznym, i to na ogromną skalę. Miał kopie rysunków, które oddał Poemu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Tak jak kompozytor ma w głowie każdą nutę dzieła, nad którym pracuje, tak Matthias pamiętał dokładnie każdą linię obu swoich rysunków. Były to jednak tylko zewnętrzne linie. Inaczej niż portrecista, architekt musi zaprojektować kościec i muskulaturę, które będą podtrzymywać przyszlą konstrukcję, musi rozplanować złożoną sieć nerwów i naczyń krwionośnych, które sprawią, że jego dzieło będzie funkcjonować. Im więcej mógł w ten projekt włożyć swojej własnej myśli, tym mniej okazji dawał przeciętniakom z Cudahy, żeby tę myśl wypaczyli, ograniczyli i zepsuli. Będzie miał teraz dużo pracy, jeśli tylko Poe przyjmie jego projekt.

Nie miał ochoty pracować w domu, gdzie Christian zaglądałby mu przez ramię, a biuro ojca w tym obskurnym, starym budynku przygnębiało go. Postanowił, że będzie pracował nad projektem w pomieszczeniach muzeum należącego do rodziny, których z pewnością nikt nie używał. Christian zwolnił stamtąd ochroniarzy wkrótce potem, jak odeszła Jill. Od czasu jego powrotu do Chicago nie było ani jednej prośby o umożliwienie zwiedzenia muzeum. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

Zatrzymał swojego rollsa za zardzewiałym, powyginanym i pozbawionym kół samochodem. Gdyby stale chciał tu parkować, musiałby albo sprawić sobie jakiś tani samochód, albo poruszać się taksówkami. Na ulicy nie było nikogo. Był jasny i słoneczny dzień, więc postanowił zaryzykować zostawienie tutaj auta na godzinę lub dwie.

Nie szło mu dobrze. Kiedy już się zainstalował w biurze muzeum i próbował skoncentrować się nad pustą kartką szkicownika, wzrok powędrował do pustego biurka, które niegdyś zajmowała Jill Langley. Zostawiła na nim dwa oprawione obrazki. Jeden z nich był reprodukcją jej ulubionego obrazu przedstawiającego wybrzeże morskie pędzla Winslowa Homera. Drugi był zdjęciem ich trojga - Jill stojąca pod rękę z nim i Christianem na pokładzie jego żaglówki. Wszyscy troje byli uśmiechnięci.

Zastanawiał się, dlaczego nie wzięła obrazków ze sobą, ale szybko znalazł odpowiedź. To zdjęcie miało wagę symbolu. Zostawiając je, Jill odrzucała jego i Christiana.

Matthias kiedyś tak właśnie z nią postąpił.

Obrócił się na krześle i smętnie zapatrzył w zasłonięte okno. Pomyślał znowu o podejrzeniach brata, który uważał, że Jill mogła być zamieszana w tę bardzo złożoną kradzież dzieł sztuki lub w jakieś przestępstwo związane z kopiowaniem obrazów znajdujących się w podziemnym magazynie. To, przynajmniej, mogłoby wyjaśnić jej gwałtowną śmierć, lecz wydawało się to nieprawdopodobne. Jill zawsze była kryształowo uczciwa.

Matthias odłożył szkicownik, zszedł do magazynu i otworzył ciężkie drzwi. Nie wydawało się, aby ruszono cokolwiek, od czasu kiedy był tu z policjantem. Pudło w którym znajdowała się *Czerwona wieża* było dokładnie tam, gdzie je zostawił.

Gdy on i policjant z Michigan po raz pierwszy oglądali obraz Kirchnera,

zaniepokoiła go pewna myśl. Nie wypowiedział jej wtedy, ale teraz nie dawała mu spokoju. A jeśli znalezione przez policjanta z Michigan, przestrelone płótno było oryginalne, a to zamknięte w magazynie, tylko kopia? Komu przyszło by do głowy to sprawdzać?

Bardzo ostrożnie wyjął obraz z zabezpieczającego opakowania i zaczął dokładnie badać płótno. Wyglądało na oryginał. Zarówno kolory, jak faktura i tkanina wydawały się być wystarczająco, stare. Ekspertyza chemiczna i badanie mikroskopowe powinny być w stanie to potwierdzić - przynajmniej powinny wykazać, czy były powody do podejrzeń.

Włożył obraz z powrotem do opakowania, następnie do skrzynki, ale nie odłożył jej na półkę. Zamiast to zrobić, zaczął przeszukiwać zbiór, wyciągając kilka podejrzanych skrzynek z zadrapaniami, które wydawały się świeże.

W końcu wybrał 4 obrazy: jednego Kirchnera, dwóch niemieckich ekspresjonistów szkoły „Blue Rider” i akt Eгона Schiele. Po ostrożnym ułożeniu ich na stole, wrócił na górę i zadzwonił do znajomego, który pracował w dziale konserwacji i renowacji Instytutu Sztuki.

- Matthias? Myślałem, że jesteś w południowej Francji.
- Wróciłem na trochę. Potrzebna mi jest przysługa typu: muzeum dla muzeum - powiedział Matthias. - Chodzi o ekspertyzę. Sprawdzaliśmy nasze zbiory. Mam wątpliwości co do autentyczności niektórych prac.
- Nie sądzę, by Karl Albrecht kupował falsyfikaty.
- Ja też nie, ale rejestry są niejasne, a ja muszę ustalić ich autentyczność po to, żeby je wycenić.
- Czy dla agencji ubezpieczeniowej?
- No, mniej więcej. Chodzi mi o cztery obrazy.
- Przepraszam, że pytam, ale czy cię na to stać?
- Fundacja za to zapłaci. Tak było w testamencie.
- Dobrze, oczywiście, Matt, ale nie natychmiast. Zajmujemy się teraz czyszczeniem prac, które będą pokazywane na zapowiadanej włoskiej wystawie. Poza tym, mamy nowe nabytki, które są w dość oplakany stan.
- „Nie natychmiast”, to znaczy kiedy?
- Za parę tygodni - trzy, może więcej.
- Jeżeli ci to nie przeszkadza, to przywiozę je teraz. Może znajdziesz

wolną chwilę.

Włożył cztery pakunki do bagażnika rolls-royce'a i usiadł za kierownicą. Przez długą chwilę samochód nie chciał zapalić. Wreszcie, dzięki ostatnim kilku iskrom energii ze starego akumulatora, silnik zaskoczył, gdy Matthias był już bliski załamania. Parę razy nacisnął pedał gazu i ruszył.

Zany potrafił bardzo długo pracować w swym małym komisariacie - czasami nawet wychodził dobrze po północy. Jednak tego popołudnia wrócił do domu wcześniej. Miał ze sobą teczkę z aktami i dowodami rzeczowymi ze sprawy Jill Langley, włącznie z ekspertyzami laboratorium policji stanowej i biura FBI w Detroit. Jego żona była jeszcze w swoim sklepie. Była już zmęczona całą tą sprawą, a zwłaszcza ciągłymi telefonami od Morana - prokuratora okręgowego. Jeżeli nie on dzwonił do Zany'ego, to robił to jakiś dziennikarz prasowy albo radiowy. Sprawę tę podchwyciły chicagowskie media, włącznie z miejscową redakcją jednego z tygodników. Moran zachowywał się tak, jakby jego zdjęcie miało się znaleźć na okładce *Time'a*.

Rzucił teczkę na kanapę stojącą w jego małym pokoiku, który wygospodarował z dodatkowej sypialni i poszedł do kuchni nalać sobie piwa. Postanowił najpierw zrelaksować się, nie robiąc nic. Przyniósł sobie dwa krzesła kuchenne: na jedno runął wykończony, na drugim zaś oparł nogi. Zdążył wypić trzy łyki piwa, gdy zadzwonił telefon.

To był Hejmal.

- Co się dzieje? - zapytał Zany.
- Nic, szefie. Wszystko w porządku. Dlaczego miałoby się coś dziać?
- Zastanawiam się, dlaczego dzwonicz.
- Ten dentysta. Meyerson? Powiedział, że nie chce z powrotem swojej łodzi, że przestaje wynajmować ją od Curlandów i że to my powinniśmy im ją oddać.

- Nie mam zamiaru oddawać jej komukolwiek. Mamy nakaz sądowy skonfiskowania jej.

- Czy mam do niego zadzwonić i mu o tym powiedzieć?
- Nie.
- Czy mam zadzwonić do Curlandów i powiedzieć im?

- Nie.
- Czy mam iść do domu?
- Zajmij się tym jeszcze przez parę godzin. Pojedź na tę drogę i wróć z powrotem.
- Dobrze. Tak jak mówiłem, szefie, wszystko w porządku.

Zany wrócił do swojego piwa i dokończył je na stojąco. Przyniósł sobie drugie z lodówki, poszedł do swojej kryjówki i włączył komputer.

Była to Omega 500 z 2 megabajtami pamięci RAM i z 65 megabajtami twardego dysku oraz modemem 9600. Nie był on wprawdzie z tej klasy komputerów, jakie mieli w jednostkach CRAY stacjonujących w Górach Cheyenne, ale potrafił robić dość niezwykle rzeczy. Zany zainstalował w nim dodatkową pamięć i szereg specjalistycznych programów, na przykład zestaw umożliwiający podłączenie go do magnetowidu. Wykorzystał ten program w taki sposób, że wkładał do magnetowidu kasetę, na której sfilmowana była pod różnymi kątami ostrzelana łódka, a komputer określał tory kul. Kąty ich trajektorii wahały się od 40 do 80 stopni, co oznaczało, że niektóre z pocisków zostały wystrzelone prawie całkiem pionowo z góry.

Tak jakby strzelano z samolotu - być może, z helikoptera.

Otworzył swą walizkę i wyjął z niej małą kwadratową kopertę, z dyskietką komputerową. Zawierała ona teksty dwóch listów Matthiasa Curlanda do Jill Langley. Oryginały tych listów dał Plotnikowi, żeby je oddał rodzinie dziewczyny.

Zany czytał je już kilka razy, ale ciągle nie bardzo wiedział, o co w nich dokładnie chodzi.

Moja najdroższa Jill,

Twój list zadał mi taki ból. Gdybym uważał, że to, o co prosisz jest możliwe, gdybym uważał, że takie życie, jakie sugerujesz, mogłoby być kiedykolwiek dla nas realne, to zrobiłbym [NIECZYTELNE], żeby do tego doprowadzić. Żebrałbym, pożyczałbym, kradłbym, by zdobyć pieniądze, by sprowadzić Cię tutaj i stworzyć dla nas to, o co prosisz.

Ale, jak Ci już wiele razy mówiłem, nie jest to możliwe. Ledwie starcza mi tu na przeżycie. Mam do wyboru: albo żyć z hojności kilku moich zamożnych znajomych albo malować coś z pogranicza porno-

grafii dla tego tłustego, arabskiego wieprza, który jest teraz moim klientem. Gdy zaczynają mieć mnie dosyć, albo kiedy ja mam ich dosyć, nie mam nic. Przez pewien krótki okres w zeszłym roku mieszkałem dosłownie na plaży. Jak włóczęga. Nie ma tu niczego dla Ciebie.

Maluję teraz wyłącznie dla siebie. To znaczy, że maluję dla nikogo. Nie wiem dlaczego jeszcze to robię. Kiedyś myślałem, że zmierzam do jakiegoś celu - sukcesu, prawdy, odkrycia. Do czegokolwiek. Ale doszedłem donikąd. Po prostu donikąd. Idę dalej tylko dlatego, że zatrzymanie się byłoby ostateczną porażką.

Zawiodłem swoją rodzinę - ojca, matkę, brata, dziadka. Zawiodłem architekturę, którą [NIECZYTELNE]. Zawiodłem Sally Phillips. Zawiodłem moją żonę. Zawiodłem Ciebie. Nie chcę robić tego więcej.

Żegnaj. Matthias.

List bardzo płomienny i namiętny, może nawet rozpaczliwy. Drugi list był bardziej zwięzły.

Droga Jill,

Rozumiem Twój gniew, ale nie wiem, dlaczego chcesz narobić kłopotów ludziom, którzy nie zrobili Ci krzywdy. Jestem z Tobą w Twym żalu. Chciałbym wynagrodzić Ci szkody, jakie poniosłaś. Bardzo długo nad tym myślałem i zdecydowałem, że najlepszą rzeczą, jaką mogę dla Ciebie zrobić, to przekonać Cię, byś odeszła od nas, uwolniła się od naszej rodziny i zaczęła życie od nowa.

Mówisz, że Larry Train oferuje Ci pracę. Nie podejmuj jej. Porzuć muzeum, na miłość boską zrób to, ale nie zostawaj w Chicago. Jedź do Nowego Jorku, Waszyngtonu, tam, gdzie Twój wspaniały talent zostanie doceniony, nagrodzony i zrozumiany. Nie marnuj dłużej z nami swego życia. Znajdź kogoś, kto zasługuje na Ciebie. Bóg jeden wie, że ja nim nie jestem.

Żegnaj. Matthias.

Zany wpatrywał się w ekran przez długi czas, mrugając prawie tak szybko, jak kursor na ekranie. Potem położył palce na klawiaturze i odesłał

dokument do katalogu.

Zdobył coś jeszcze dzisiaj - numer telefonu w Pleasantville, w stanie Nowy Jork, okręg Westchester na północ od miasta. Właścicielką telefonu była niejaka pani Hillary Van Winkle. Próbował się tam wielokrotnie dodzwonić, ale ciągle nikt nie odpowiadał. W końcu odebrał jej mąż i powiedział, że nie ma żony w domu. Zany wyjaśnił po co dzwoni, podkreślając, że musi sprawdzić, co Matthias Curland robił tego piątkowego wieczoru. Dodał, że dotyczy to dochodzenia w sprawie o zabójstwo. Poprosił również, by jego żona zadzwoniła do niego jak najszybciej.

Nie zadzwoniła. Była teraz dziesiąta piętnaście czasu nowojorskiego. Nakreślił numer jeszcze raz.

Odebrał jej mąż i powiedział, że już wróciła. Poprosił ją do telefonu z ociąganiem. Odebrała z innego aparatu.

Nie była specjalnie sympatyczna. - To trochę późno jak na telefon, nie uważa pan? Chyba, że to jakaś nagła sprawa?

Zany od razu przeszedł do sedna sprawy. - Pani Van Winkle, pani mąż, mmm... były mąż, Matthias Curland mówił, że był z panią w Nowym Jorku w piątek wieczorem. Ma to duże znaczenie w pewnym dochodzeniu, które prowadzimy i chciałbym wiedzieć, czy może to pani potwierdzić.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza. Zany słyszał tylko oddech, nie był jednak pewien, czy była to pani Van Winkle.

- O co chodzi? Powiedział pan mojemu mężowi, że to w sprawie jakiegoś morderstwa?

- Tak, to dochodzenie w sprawie zabójstwa. Próbujemy się dowiedzieć, gdzie pewne osoby były tej nocy. Ofiara była znana pani mężowi, to znaczy panu Curlandowi.

- Kto to był?

- Była pracownica. Młoda kobieta o imieniu Jill Langley.

- Jill Langley? - Wydawała się zaszokowana.

- Czy pani ją знаła?

Znowu nastąpiła długa cisza. - Tak, znałam ją. Można powiedzieć, że była główną przyczyną rozpadu naszego małżeństwa.

- Rozumiem.

- Co się z nią stało?

- Została zastrzelona.

- O Boże!

- Czy pan Curland był z panią wtedy? W ten piątek?

- Nie - rzekła w końcu - Nie przyjechał tu.

- Nie był w Nowym Jorku?

- Nie wiem, gdzie był. Zadzwoił do mnie jakiś dzień wcześniej i powiedział, że jest w Nowym Jorku, więc pewnie był. Czy chce mi pan powiedzieć, że podejrzewa go pan o zamordowanie Jill? Mówi pan, że w stanie Michigan?

- Nic takiego nie mówię, pani Van Winkle. Ja tylko próbuję się dowiedzieć, gdzie pan Curland był w ostatni piątek wieczorem.

- Na pewno nie był ze mną. Zadzwoił do mnie chyba w środę. Powiedział, że umarła jego matka, a on właśnie wrócił z Francji i chciał tu przyjechać, żeby się ze mną zobaczyć. Był całkiem rozklejony - bardzo nieszczęśliwy. Powiedziałam mu, że nie uważam tego za najlepszy pomysł. Obawiam się, że byłam dość stanowcza. To był ostatni raz, kiedy z nim rozmawiałam. Mam nadzieję, że nie wrabiam go mówiąc to panu, ale to był mój ostatni z nim kontakt.

- Czy jest pani pewna?

- Całkowicie pewna.

- Czy pani pochodzi z Chicago, pani Van Winkle?

- Nie, jestem stąd. Mieszkałam w Chicago przez parę lat, ale załuję tego. Czy jeszcze coś?

- No...

- No to dobranoc.

Zany zagapił się bezsensownie w słuchawkę, którą trzymał w ręku, a następnie powoli odłożył ją na miejsce. Telefon dzwonił bez przerwy, jakby go ktoś nakręcił. Zany, zadumany, podniósł wreszcie słuchawkę.

Był to jego dyspozytor. - Dostałem telefon z wydziału zabójstw w Chicago, szefie. Dzwonił niejaki porucznik Baldessari. Chce się z panem pilnie skontaktować.

- W porządku. Dzięki. Ciągle spokojnie?

- Tak. Była jakaś impreza na plaży, która zaczęła wymykać się spod kontroli, ale wysłałem tam Załuskiego i Meyera, żeby im trochę przemówili

do rozsądku.

- To dobrze. Na razie.

Baldessari wydawał się być bardzo podniecony.

- Słuchaj, Zany, mamy tę dziwkę ze sprawy O'Rourke. Super dziewczyna - wysoka blondynka. Nazywa się Margaret Kozak.

- Chciałeś, żebym pierwszy się o tym dowiedział?

- To jest dobra nowina. Zgadnij, jaka jest ta zła?

- To nie ona to zrobiła?

- Na pewno ona. Znaleźliśmy rulon banknotów dolarowych i wizytówkę O'Rourke w szufladzie w jej mieszkaniu. Jej odciski palców były na jednym i drugim. Odciski O'Rourke też były.

- Jak ją znaleźliście?

- Dostaliśmy informację. Anonimowy telefon. Dzwoniła kobieta. Chyba też dziwka. Wsyłała tamtą, żeby trochę ostudzić nastroje na mieście.

- A jaka jest ta zła nowina?

- Ktoś ją porządnie trzasnął, zanim dojechaliśmy. Zrobił jej nową twarz. Cholera, prawie obciął jej głowę.

- Twarde miasto.

- Ta zbrodnia wygląda na strasznie zagmatwaną.

- No, to skończyły się twoje problemy - poza tym, że masz nowe morderstwo.

- Tym razem nie musimy przeprowadzać śledztwa w pośpiechu - no wiesz, możemy zrobić to bardzo dokładnie. W centrali myślą, że załatwił ją jej alfons, albo alfons jakiejś innej dziwki. Przymknijcie jej za oskubanie tak wysoko postawionego faceta, wywołałoby zbyt wiele kłopotów w mieście.

- A co ty o tym myślisz?

- Wydaje się to prawdopodobne.

- Gratuluję ci, Frank. Miałem nadzieję, że zadzwonisz z czymś, co by mi pomogło.

- Zany, muszę ci to powiedzieć. Znalezione u niej parę rzeczy - cennych, jak mi się wydaje. Aparat fotograficzny typu Polaroid, magnetofon, pióro i komplet ołówków. To wszystko pasuje do wykazu rzeczy, które zginęły w czasie pewnego włamania.

Zany utknął wzrok w migającym kursorze na monitorze komputera. Jego

mózg funkcjonował mniej więcej tak samo.

- Pióro i komplet ołówków - powtórzył. - Czarnozłoty, firmy Montblanc?

- Właśnie taki.

- Nie zrobiłem tego, Frank. Dostałem ten komplet od żony. Gdybym ja to zrobił, na pewno bym go zabrał.

- Na miłość boską, Zany, nikt nie chce cię w to wrobić. Zastanawialiśmy się jednak, kiedy tu byłeś, czy zabawiasz się z jakimiś dziewczkami w swoim pokoju hotelowym?

- Daj spokój, Frank.

- Ale poważnie.

- Mówię poważnie. Pracowałem nad tą sprawą. Byłem tej nocy z wami.

- Gdzie jeszcze?

- Przechadzałem się. Jeździłem samochodem.

Baldessari nic nie odpowiedział.

- Nikogo nie było w moim pokoju, Frank. Nawet z obsługi hotelowej - powiedział Zany. - Tylko włamywacz.

- Wierzę, że mnie nie nabierasz, Zany, ale załatwimy tę sprawę czyściutko i elegancko. Czy mógłbyś przyjść jutro i zidentyfikować ciało tej dziewczki? Może ją widziałeś gdzieś w okolicy twojego hotelu? Będę miał też oświadczenie pod przysięgą, a ty odzyskasz swoje główniane rupiecie.

- Dzięki, Frank.

- Wiem, jak reagujesz na umarlaków, Zany. Zakryjemy jej gardło.

- Nie znaleźliście tam zrolowanego obrazu? Był podziurawiony przez kule.

- Nie mieliśmy takiego szczęścia.

- Będę tam jutro rano, Frank.

Żona weszła dokładnie w momencie, gdy odłożył słuchawkę. Postawiła mu na biurku zimne piwo i położyła rękę na jego ramieniu.

- Coś nie w porządku? - zapytała.

- Dzwonił Frank Baldessari. Chce, żebym wpadł do niego jutro i spojrział na ofiarę morderstwa. Odzyskali rzeczy z mojej teczki. Włącznie z piórem, które od ciebie dostałem.

- To graniczy z cudem.
- To naprawdę zabawne. - Zany położył rękę na jej dłoni. - Będę musiał jutro znowu tam pojechać. Nie masz nic przeciwko temu, Judy?
- Nie, dopóki nie będziesz stale tego robić. Podoba mi się tutaj.

ROZDZIAŁ

6

Diandra podała obiad na północnym tarasie przybudówki Poego, lokując Matthiasa w miejscu, z widokiem na Jezioro Michigan. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Była idealnie ubrana: bardzo stosownie, a zarazem wyjątkowo modnie i kobieco. Miała na sobie szykowną, białą, szytą na miarę suknię z błękitną apaszką na szyi oraz białoniebieskie pantofle na wysokich obcasach, które sprawiały, że była od niego wyższa o cal lub dwa. Gdy siadali, Matthias dostrzegł kawałek jej małej piersi odsłoniętej przez głęboki dekolt, zdążył jednak odwrócić wzrok, zanim to zauważyła.

W menu była zupa na zimno i sałatka z krewetek. Lokaj przyniósł butelkę wina Bordeaux. Matthias wypił mały łyk, zostawiając resztę, natomiast Diandra wypila znacznie więcej.

- Trucizna - rzekła.
- Słucham?
- Alkohol to trucizna. Muszę o tym pamiętać. Ciało nasiąka truciznami jak wodą. Kiedyś bardziej zwracałam na to uwagę.
- Kiedy była pani była modelką.
- W dalszym ciągu nią jestem, panie Curland. Z tą różnicą, że teraz nie robię tego dla pieniędzy.

Matthias zmieszał się. Uśmiechnęła się i zamilkła, chcąc zmienić temat rozmowy. Nie o tym zamierzała dyskutować.

- Jak udała się lekcja żeglowania? - spytała.
- Wiatr jest dziś słaby. Nie mieliśmy żadnych problemów. Pani mąż szybko się uczy.
- On mówi, że jest pan dobrym nauczycielem.
- Jestem lepszy jako architekt.

Znów się uśmiechnęła, tym razem ciepłej. - Dał pan Peterowi projekty jego nowego budynku.

- Nie jestem pewien, czy mu się podobały. Pani mąż zachował raczej rezerwę.

- Nie rozmawiał ze mną na ten temat. W każdym razie nie opowiadał mi o szczegółach. Rzadko rozmawia ze mną o interesach. Zwykle jestem z tego zadowolona, ale w tym wypadku chętnie przekazałabym panu jakieś nowiny. Wiem, że jest bardzo podekscytowany perspektywą postawienia tego budynku.

- Obawiam się, że moje projekty są nieco niekonwencjonalne, a nawet dziwaczne.

- Mówił, że jeden z nich wygląda jak żaglówka.

Matthias spojrział w jej oczy, spodziewając się w nich szyderstwa. - Tak, pewnie bardziej odpowiadałby mu taki budynek jak ten, tylko trochę wyższy.

- Może będzie pan zaskoczony, panie Curland. Peter uwielbia zaskakiwać. - Odwróciła się na swoim krześle. Lekki wiatr zdmuchnął jej włosy na policzek. - Ma stanąć tam, nad rzeką?

Potwierdził ruchem głowy.

- Nie rozumiem, dlaczego chce je postawić wśród takich slumsów.

- Nie zawsze będą tam slumsy, i o to właśnie chodzi w tym projekcie.

- Czy nie zarobiłby więcej pieniędzy, gdyby coś takiego zbudował bliżej jeziora?

- Oczywiście, że tak. Ale nad jeziorem jest już wystarczająco dużo budynków, włącznie z tym, który już tam postawiłem. Proszę popatrzeć na nie wszystkie. Stanowią jednolitą ścianę. Gdyby nie park i brzeg jeziora, byłoby to koszmarne - jak Manhattan. Budynek pani męża musi stanąć w Cabrini Green. Musi tam stać on jeden, inaczej nie miałyby to sensu. Jeśli w ogóle ma być zbudowany, to tylko w ten sposób.

- Najchętniej przebudowałby pan to miasto po swojemu, prawda?

- Chciałbym przebudować wszystkie miasta.

- Peter też myśli w ten sposób.

- Jeśli chodzi o mnie, to są tylko marzenia. Nie jestem podobny do pani męża.

- Wiem. Od razu to zauważyłam.

Prawie nie ruszyła jedzenia, ale naląła sobie drugi kieliszek wina. On też nie był głodny. Nie miał ochoty jeść od czasu, gdy policjant przyniósł mu wiadomości o Jill.

- Czy chce się pan napić kawy, panie Curland? A może już pójdziemy? Naprawdę chcę zobaczyć pana muzeum, a poza tym chcę już stąd iść. Spędzam tu za dużo czasu.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Jasnoniebieskie oczy pociemniały.

- Przygląda mi się pan, panie Curland.

- Przepraszam. - Wstał i podszedł do niej, żeby odsunąć jej krzesło.

Matthias zapalił wszystkie światła w głównych salach muzeum. Był niezadowolony, że w tylu lampach brakuje żarówek. Jednakże tylko kilka obrazów pozostawało w cieniu. Nie przypuszczał, by chciała je wszystkie oglądać.

Szła przed nim. Ponownie zachwyciło go piękno jej ruchów - były w niej idealna równowaga, samokontrola i wdzięk.

Zatrzymała się i odwróciła - był to niemal taneczny obrót.

- Tak wspaniałe obrazy - rzekła - w tym mrocznym i starym budynku.

- Rzeczywiście, szkoda. W czasach, kiedy mój dziadek nabył tę posiadłość, otoczenie było tu zupełnie inne.

- Czy ktoś przychodzi oglądać te obrazy?

- Prawie nikt. Ta okolica jest bardzo nieprzyjemna.

- Dlaczego nie przeniesie pan kolekcji do centrum?

- Nie mogę. Zgodnie z testamentem dziadka, wszystko ma zostać na swoim miejscu.

Szła dalej, zerkając na kolejne obrazy. - Ile one wszystkie są warte?

Matthias pomyślał, że staje się podobna do swojego męża.

- Trudno powiedzieć - rzekł. - Kiedyś robiono ich wycenę jeszcze przed moim wyjazdem z Chicago. Obrazy, które są na wystawie warte są około trzydziestu, czterdziestu milionów. Te w magazynie na dole, pewnie połowę tego.

Diandra uśmiechnęła się. - Może jest pan bogatszy od mojego męża.

- On jest miliarderem.
- To są aktywa. Wydaje mi się, że jego zadłużenie jest tej samej wysokości. Ale proszę mu nie mówić, broń Boże, że panu o tym powiedziałam. Nie mam prawa wiedzieć niczego na temat jego finansów.

Matthias wzruszył ramionami. - Obrazy nie należą do mnie ani do żadnego z nas. Są własnością fundacji rodzinnej. A poza tym to dzieła sztuki, a nie gotówka. Mój dziadek chciał, byśmy sami zapracowali na życie, a nie korzystali z cudzego talentu czy geniuszu. Niektórzy z tych malarzy umarli w nędzy.

- Ale nie pański dziadek.
- No, nie.
- Stawianie wzniosłych celów nic go nie kosztowało.
- Istotnie.

Odwróciła się. - Mój ojciec wszystko stracił przed śmiercią - rzekła. - Pełnił kierowniczą funkcję w fabryce samochodów. Przez pewien czas bardzo dobrze zarabiał. Wystarczająco dużo, żeby wysłać mojego brata i mnie na uczelnię - studiowałam przez parę lat. Ale potem zaczęto masowo zwalniać z pracy, zamykać zakłady i ojciec stracił robotę. Znalazł sobie inną, u producenta samochodowych części zamiennych. To był jeden z tych zakładów, nie zrzeszonych w związkach zawodowych, które wyrosły jak grzyby po deszczu, kiedy załamał się przemysł samochodowy. Większość ludzi pracowała tam za nieco więcej niż płaca minimalna. Nie było żadnych zasiłków, żadnych ubezpieczeń zdrowotnych. Pewna kobieta pracowała przy prasie do metalu. Wie pan, kładzie się płaską blachę stalową i prasa idzie w dół, potem podnosi się i wtedy trzeba sięgnąć po wygiętą część i wyjąć ją spod prasy. Ta kobieta robiła każdego dnia tylko to, aż kiedyś prasa poszła w dół, nie w tym momencie co trzeba i obcięła jej obie ręce. Kobieta nie miała pieniędzy, żeby za cokolwiek zapłacić, nie miała ubezpieczenia, dosłownie nic. Mój ojciec postanowił, że nie będzie dłużej pracował w takim zakładzie i odszedł. Znalazł kolejną pracę u handlarza samochodów, w dziale napraw. Płacono mu mniej więcej trzecią część tego, co zarabiał w fabryce samochodów.

Zawahała się i zrobiła głęboki wdech. Zorientował się, że wcale nie chciała opowiadać o tych przykrych sprawach.

- To było szlachetne z jego strony, nieprawdaż? - powiedziała. - Ale nie mógł sobie na to pozwolić.

- Pani ojciec musiał być bardzo honorowym człowiekiem.

- Przestrzegał zasad starego kraju. Był Polakiem. Ja sama jestem pół Polką, pół Niemką, raczej Polką. Tata był z Krakowa, przyjechał tu z rodzicami jako mały chłopiec. Jego ojciec był robotnikiem w fabryce.

Podeszła do jednego z obrazów.

- Hans von Aachen - beźlędnie przeczytała podpis. - Nigdy o nim nie słyżałam.

- Był szesnastowiecznym malarzem dworskim. Malował dla władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego - Rudolfa Drugiego, tego, którego historycy obarczają odpowiedzialnością za wojnę trzydziestoletnią.

- O tym też nie słyżałam.

- Czy jest pani katoliczką?

- No, mniej więcej.

- Ja jestem protestantem. W tej wojnie katolicy walczyli z protestantami. Tysiące ludzi zostało zabitych. Wielu spalono na stosie.

- Kogo przedstawia ta naga kobieta? Dlaczego trzyma ten miecz? Czy uderzyła nim mężczyznę leżącego na ziemi?

- Większość obrazów Aachena to alegorie. Ta kobieta reprezentuje Prawdę albo Sprawiedliwość, a może Obfitość. Zapomniałem. W każdym razie symbolizuje Cesarstwo. Ta zraniona postać symbolizuje Niezgodę. Rudolfowi Drugiemu nie podobała się wojna, do której się przyczynił. Obraz został namalowany na warstwie miedzi. I dlatego jest taki błyszczący, tak dobrze zakonserwowany.

- Myślę, że ta kobieta symbolizuje Obfitość. Jest bardzo szeroka w biodrach.

- Taki był ideał ówczesnej kobiety. Ludzie często bywali niedożywieni, więc otyłość była w cenie. Ludzie w tamtych czasach żyli krótko i nie dbali o zdrowie. Chyba w ogóle mało wiedzieli o zdrowiu. Pani smukłość byłaby uważana wówczas za anomalię u arystokratki.

Uśmiechnęła się rozbawiona. - Pan bierze mnie za arystokratkę, panie Curland?

- Tak, i to w najlepszym znaczeniu tego słowa.

- Pochlebia mi pan.
- Pani mąż zasugerował, że mógłbym panią namalować.
- Tak, wiem. Mówił mi o tym.
- Nie byłem pewien, czy mówi poważnie. - Matthias poczuł się trochę zażenowany, ale dokończył myśl. - Wspominał coś o... mhm... akcie.

- Wiem - powiedziała krótko, podchodząc do kolejnego obrazu.

Przeszli przez trzy główne sale wystawowe, ale jej zainteresowanie zdawało się stopniowo maleć. - Są bardzo ładne - powiedziała - ale chyba wolę sztukę współczesną.

- Dzieła dwudziestowieczne są na dole, w magazynie. Ale nie powinniśmy tam schodzić.

- Z pewnością, panie Curland.

- Nie wolno nam tam wchodzić, chyba że zmuszałaby do tego sytuacja lub interes fundacji. Ale sam złamałem wczoraj ten zakaz.

- Jak pan sobie życzy.

Matthias zawahał się. - A właściwie, dlaczego nie? Tylko na kilka minut.

Szła za nim w odległości kilku kroków, gdy schodzili w dół po schodach. Stała w drzwiach, czekając aż zapali wszystkie światła.

- Tak właśnie wyobrażam sobie Fort Knox - powiedziała.

- No, niezupełnie, ale mury tych podziemi są nie do zdobycia i całkowicie ognioodporne. Czy chciałaby pani obejrzeć dzieło jakiegoś określonego malarza? Mamy tu jeden obraz Kandinskiego.

- Po prostu coś nowoczesnego. - Zatrzymała się za nim, kiedy otwierał drzwi magazynu.

- Obawiam się, że płótna z lat trzydziestych to wszystko, co mamy z malarstwa nowoczesnego. - Zapalił światła w magazynie. - Zobaczą, co da się znaleźć.

Rzucił okiem na półki, a następnie wyciągnął jedno z pudeł. Z trudnością otworzył zabezpieczenia. Po chwili wydobył jakieś odrażające malowidło. Ukazano na nim mężczyznę o dzikich oczach, brnącego poprzez piekielny, ciemny pejzaż. Połowa jego twarzy była we krwi. Diandra podeszła bliżej i spostrzegła drut kolczasty i karabin. Wydawało się, że mężczyzna na obrazie krzyczy.

- Przepraszam - powiedział Matthias. - Chyba wyjąłem obraz Otto

Dixa.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Był jednym z „degeneratów”, to znaczy tych, których naziści nazywali degeneratami - czyli artystów nie akceptowanych z różnych względów: dlatego że byli dekadentami lub Żydami albo nie byli patriotami lub wreszcie dlatego, że gloryfikowali rzeczy zakazane, jak na przykład kulturę amerykańską. Dix nie był, według nich, patriotą. To malowidło jest jednym z serii *Der Krieg - The War* - pierwsza wojna światowa. Jak pani widzi, nie najlepsze miał o niej zdanie. Natomiast Hitler uważał ten okres za najwspanialszy w swoim życiu i lubił, kiedy tę wojnę przedstawiano w stylu heroicznym, wagnerowskim. - Matthias nakrył obraz ochronnym płótnem. - W roku 1937 naziści nałożyli zakaz na sztukę „degeneratów”. Spalili część obrazów, a resztę skonfiskowali. Zorganizowali nawet wystawę tych obrazów w Monachium: *Entartete Kunst*, „Zdegenerowana sztuka”, aby pokazać swoim wyznawcom, jaka była ohydna. Myślę, że Goering, który był znawcą sztuki, zachował dla siebie kilka płócien, które mu się podobały.

Matthias zamknął pudło. Diandra była w niego zapatrzona.

- Oczywiście, większość artystów uciekła z Niemiec, zabierając z sobą liczne dzieła. Na przykład jeden z moich ulubionych malarzy, Ernst Kirchner, udał się do Szwajcarii. Nie mógł znieść nazywania go degeneratem i popełnił samobójstwo. Mój dziadek bardzo się tym przejął. Nienawidził nazistów i kupił tyle tych obrazów, ile tylko mógł. Mamy tu kilka, z czego jestem bardzo dumny. Ale co z tego? Wszystkie są tu w podziemiach, zamknięte na klucz i muszą tu pozostać, bo taka była wola dziadka. Równie dobrze mogłyby być pozostawione nazistom.

- Czy umieściłby pan na wystawie jakiś obraz w tym stylu?

- O, tak. Jest w nich prawda, zgodzi się pani ze mną.

Wepchnął skrzynkę na swoje miejsce, a następnie odwrócił się ku mDiandrze. Stała bardzo blisko.

- Chcę pana pocałować, panie Curland.

Nie był w stanie się poruszyć. Zdał sobie sprawę, że pragnął tego od czasu, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Ale była przecież Sally. Był też Peter Poe. W tym cała bieda. To szaleństwo.

- Niech mnie pan źle nie zrozumie - powiedziała przysuwając twarz

bliżej.

Próbował myśleć o Sally, o tym jak bardzo pomagała mu odnaleźć poprzednie życie. Diandra zamknęła oczy. Ich usta połączyły się miękko, łagodnie. Objął ją, lecz nie przyciągnął ku sobie.

Odsunęła się, patrząc na niego bardzo poważnie.

- W ten sposób wzięłam w objęcia całą tę sztukę i podziękowałam pańskiemu dziadkowi za uratowanie jej. Czy myśli pan, że mam bzika?

- Trochę.

- Czasami postępuję w ten sposób, panie Curland. - Odwróciła się i poszła na górę. Podczas gdy zamykał magazyn, Diandra czekała w hallu wejściowym.

- Proszę nie mówić mojemu mężowi - powiedziała.

- Oczywiście że nie.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

Matthias zgasił wszystkie światła.

- Bardzo panu dziękuję, panie Curland - rzekła.

- Chciałbym, żeby mówiła mi pani po imieniu. Tak się pani do mnie zwracała, gdy byłem u pani na obiedzie.

- Peter chciałby, żebym zwracała się do ludzi po imieniu. Ale mnie to trochę deprymuje. - Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. - Myślę, że nie będzie mnie to już deprymowało z tobą, Matthias.

Wracając, skierowali się w stronę jeziora wzdłuż Alei Północnej. Przejżdżali obok małych domów z cegły, ze sklepami i barami na parterze - mieszkaniach o zaciemnionych oknach. Wysokie budynki stojące wzdłuż jeziora, zdawały się należeć do zupełnie innego miasta, podobnie jak wieżowce w oddali. Lecz prawdziwe Chicago było tutaj, na tych nierównych i piaszczystych ulicach, które ciągnęły się całymi milami we wszystkich kierunkach. Poe był zaangażowany w rozbiórkę tych domów. Pradziadek Matthiasa uczestniczył w tworzeniu tej dzielnicy. Gdyby Poe zbudował swój nowy wieżowiec, ta część miasta mogłaby zniknąć i Matthias brałby w tym udział.

Diandra - tak nazywał ją teraz Matthias - prawie nie odzywała się w drodze powrotnej. Po przejechaniu przez Gold Coast skręcili na południe w Inner Drive. Gdy zatrzymali się pod światłem powiedziała, że uważa Sally

Phillips za bardzo miłą osobę. Matthias mruknął coś w odpowiedzi, lecz rozmowa znów zamarła, dopóki nie dotarli do podjazdu.

- To było wspaniałe - powiedziała Diandra. - Chciałabym pojechać tam jeszcze raz.

- Kiedy tylko zechcesz.

Wysiadła z samochodu, zamknęła drzwi i pochyliła się. - Myślę, że upłynie pewien czas, zanim Peter da ci o sobie znać.

- To jego przywilej.

- Czy chciałbyś, żeby jego odpowiedź była twierdząca?

- Myślę, że tak.

- Po prostu postaraj się, żeby nauczył się żeglować. - Znow uśmiechnęła się. - I postaraj się, żeby wygrał ten wyścig.

Zany czuł się jak jojo, przemieszczając się nieustannie z jednej strony jeziora Michigan na drugą. Znajdował się w chicagowskiej przestrzeni powietrznej w drodze powrotnej do wybrzeża, od strony stanu Michigan. Gdy przelatywali nad starą stalownią w Indianie, zastanawiał się, kiedy znów odeślą go do Chicago.

Na prośbę Baldessariego zidentyfikował przedmioty, które zostały mu skradzione i podpisał oświadczenie, że zostały zabrane w czasie jego nieobecności z jego pokoju hotelowego oraz że nigdy przedtem nie widział, ani nie słyszał o zabitej prostytutce, która weszła w posiadanie tych przedmiotów. Kilku zaprzyjaźnionych z nim dawniej funkcjonariuszy robiło na ten temat spróśne aluzje, jednak nie wydawało się, aby policja chicagowska miała zamiar dłużej zawracać mu głowę tą sprawą. Istotnie, Baldessari nie był wcale zaciekawiony okolicznością znalezienia jego rzeczy w mieszkaniu tej kobiety. Franka interesowała jedynie wizytówka O'Rourke, którą traktował, jakby była rzadkim i bezcennym klejnotem - jego biletem powrotnym do spokoju rutynowych przypadków.

Zany zatrzymał się jeszcze raz przed domem Curlandów przy ulicy Schillera, lecz nie zastał tam nikogo. Pojechał następnie do biura Poego, ale tylko po to, by dowiedzieć się po raz kolejny, że nie ma go w mieście.

Kiedy ogromny samochód z przyczepą zajechał mu drogę, Zany zmu-

szony był ostro hamować. Znak przy autostradzie informował o wjeździe do stanu Indiana. Nieobecność Poego w mieście mogła oznaczać, że udał się do swego kasyna w Michigan City. Postanowił, że tam pojedzie. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nawet gdyby go tam nie zastał, wizyta w pałacu gier hazardowych mogłaby przynieść korzyść. Jeśli rzeczywiście Christian Curland był w kasynie przed wizytą u Sally Phillips, Zany chciał dowiedzieć się czegoś na ten temat od krupierów i od kelnerek roznoszących koktajle.



Odszukał szefa dziennej zmiany. Krępy i spocony ciemnowłosa mężczyzna w dwurzędowym garniturze starannie przejrzał policyjną legitymację. Zany nie miał tu takich kompetencji, jak w Chicago, jednakże mężczyzna tego nie zakwestionował.

- Przykro mi - powiedział zwracając legitymację - tego dnia nie pracowałem na nocnej zmianie.

- A czy jest tu ktoś, kto pracował?

Mężczyzna wzruszył ramionami. - Będzie pan musiał ich zapytać.

Zany podszedł do dwóch pracowników prowadzących grę w kości, a następnie do jednej z kelnerek noszących koktajle. Ta ostatnia powiedziała, że wprawdzie zna Christiana Curlanda, ale tego wieczora nie miała służby w kasynie. To samo usłyszał od barmana.

Zamówił piwo i zastanawiał się, co robić dalej. Zaledwie zdążył się napić, gdy ponownie zjawił się obok niego szef dziennej zmiany.

- Pan Poe chciałby z panem rozmawiać - powiedział. - Niech pan idzie ze mną.

Wypił jeszcze jeden spory łyk piwa i wstał ze stołka.

- Proszę iść ze mną - powiedział szef zmiany kładąc nacisk na „proszę”.

- Dobrze. Już idę.

Mężczyzna poprowadził go z powrotem do głównego hallu, a następnie do wind na zapleczu. Wjechali na najwyższe piętro do apartamentów biurowych. Sekretarki ostentacyjnie ignorowały Zany'ego.

Poe powitał go przy drzwiach olbrzymiej sali, która stanowiła jego prywatne biuro. Podał mu rękę i wskazał obitą skórą kanapę, zwróconą ku rozciągającemu się szeroko widokowi jeziora Michigan za ogromnym oknem. Nocą mogły być stąd widoczne światła Chicago. Poe nie miał biurka, lecz długi stół o szklanym blacie, a na nim dwa telefony i trochę papierów. Na ścianach wisiały liczne obrazy malowane w stylu modernistycznym, ale żaden z nich w najmniejszym stopniu nie przypominał płótna, które zostało znalezione w żaglówce. W kominku płonęły polana drewna, chociaż temperatura na zewnątrz wynosiła dwadzieścia parę stopni. Zany zawsze myślał, że takie biura zdarzają się tylko w Hollywood.

- To miło z pana strony, że pan tu wpadł, naczelniku Rawlings - powiedział Poe, siadając powoli na krześle obok. - Miałem zamiar powtórnie do pana pojechać, ale wie pan, jak to jest - praca, praca, praca. Nigdy nie mam dla siebie chwili czasu.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, jak już mówiłem pańskim ludziom.

- Tak, mówił pan. Pewno też macie tam teraz dużo roboty. Którym zabójstwem się zajmujecie? Czy może tutaj się coś wydarzyło?

- Ta dziewczyna z Chicago. Znaleziono ją w moim mieście przy brzegu, w żaglówce. Było o tym w gazetach.

- A, tak. Pracowała w galerii Traina. Prowadzę z nimi interesy. Ładna dziewczyna.

- Czy pan ją znał?

- Być może ją poznałem, ale poznaję miliony ludzi. Na ogół jednak nie bywam w galerii Traina, to raczej on do mnie przychodzi. Tej nocy, kiedy popełniono morderstwo, nie było mnie tutaj. Byliśmy z żoną w naszej posiadłości nad jeziorem Geneva.

- Właśnie dlatego tu jestem, panie Poe. Sprawdzam alibi jednego z pańskich klientów - Christiana Curlanda. Zamordowana dziewczyna pracowała kiedyś dla niego. On twierdzi, że spędził tu część tej nocy.

- Chris Curland. Przyjemny facet. Regularny klient. Wolałbym, żeby nim nie był. Ma cholernie szczęśliwą passę.

- Czy był tutaj?

- Jeśli on tak twierdzi, to jestem pewien, że był. Tak jak powiedziałem,

byłem wtedy w Wisconsin. Ale poproszę tu kogoś, kto tu był. - Wstał tak zwawo, jak zawodnik powracający na boisko z ławki kar. Podszedł do telefonu i nacisnął guzik.

- Proszę mi tu przysłać pana Manna - powiedział. - I pannę Bellini.

Po chwili wszedł zadbany i dobrze ubrany mężczyzna o antypatycznej i ponurej twarzy, a tuż za nim najbardziej atrakcyjna kobieta, jaką Zany widział tego dnia, a może nawet w ciągu roku. Mężczyzna nosił taki sam uniform, jak szef zmiany, był jednak znacznie wyższy i przystojniejszy. Włosy czarne, długie i kręcone - mógł to być przeszczep.

Włosy kobiety były też czarne, kręcone, spadały na plecy. Miała na sobie robioną na drutach, obcisłą sukienkę mini.

- Naczelniku Rawlings - rzekł Poe - to jest moja sekretarka administracyjna, panna Bellini, a to pan Mann, który prowadzi moje kasyno. Słuchajcie, naczelnik Rawlings chce wiedzieć, czy Chris Curland był tu w ubiegły piątek. Dziewczyna, która dla niego pracowała została zamordowana i można to wiązać z Chrisem. Prawda, naczelniku?

Zany pokiwał głową.

- Owszem, był tu - rzekł Mann nie zmieniając wyrazu twarzy. - Był duży tłok, ale pamiętam go. Zgarnął dwa tysiące w ruletkę.

- Ja też go widziałam - rzekła kobieta. Wpatrywała się w Zany'ego. Nie wydawało się, że coś ukrywa. Mężczyzna też sprawiał takie wrażenie. - Za dużo wypił. Nawet bałam się o jego powrót do domu.

Było w niej coś znajomego - głos, budowa ciała. A może po prostu to taki typ?

- Pani pracuje tu, w kasynie? - spytał Zany. - W piątki wieczorem?

- Pracuję wszędzie, gdzie sobie tego życzy pan Poe. Mam tu mieszkanie w hotelu. Często wyjeżdżam w weekendy.

Poe uśmiechnął się, wyciągając ręce. - Proszę bardzo, naczelniku. Czy chce pan jeszcze z kimś porozmawiać? Nocna zmiana przyjdzie za parę godzin. Jestem pewien, że będzie wtedy ktoś, kto go widział.

- Czy ktoś z państwa pamięta, o której wyszedł pan Curland?

- Koło dwunastej. Mówił, że ma randkę.

- Czy nie za późno na randkę?

- Na pewno nie dla niego.

- Czy chciałby pan jeszcze z kimś porozmawiać, naczelniku Rawlings? Mógłbym sprawdzić obsługę parkingu. Oni powiedzieliby panu dokładnie, o której wyjechał.

- Chyba nie będzie to konieczne - rzekł Zany. Wiedział, że byłaby to jedynie strata czasu.

- Może chciałby pan jednak zostać tu jeszcze jakiś czas? Pograłby pan w kości. Czy mogę panu czegoś nalać? Filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję. Powinienem już wracać do Grand Pier. Nie wiadomo dlaczego, ale tego lata mamy wiele przestępstw. Parę dni temu było włamanie z bronią w rękę.

- Nigdzie już nie jest bezpiecznie. Chcę tu zainstalować dodatkowe zabezpieczenia. Niech pan tu przyjeżdża, kiedy tylko pan zechce. Proszę przyjechać kiedyś na weekend z żoną. Załatwię panu apartament. Na mój koszt. Mamy tu piękną plażę.

Zany wstał nie odpowiadając. Kiedy Poe prowadził go do drzwi, zapytał od niechcienia:

- Curland ma brata, Matthiasa. Nie było go tu przypadkiem tamtego wieczoru?

Panna Bellini zrobiła przeczący ruch głową.

- Poznałem go dopiero w niedzielę, dwa dni później - rzekł Poe. - Był za granicą, w Europie. Jest artystą, jak jego brat, ale nie jest tak dobry.

- Oglądałem jego prace - powiedział Zany. - Dziękuję panu za poświęcony mi czas.

*
**

- Nie będę cię już potrzebował, Bobby - rzekł Poe, gdy Rawlings wyszedł.

- Muszę z panem pogadać - rzekł Mann.

- Rozmawialiśmy dziś rano.

- Niezupełnie. Odebrałem telefon i słuchałem, co ma mi pan do powiedzenia. Teraz ja chcę coś panu powiedzieć.

Usiadł, rozpierając się, z rozciągniętymi na boki rękami. Poe podszedł do stolika ze szklanym blatem, zmuszając Manna, by się odwrócił.

- No to mów, Bobby - powiedział. - Zawsze chętnie słucham co masz do powiedzenia.

Mango stała przy oknie ze wzrokiem utkwionym w jezioro. Mann rzucił na nią okiem, a potem przesunął się wraz z krzesłem tak, aby być na przeciwko Poego.

- Znowu odezwali się inwestorzy.

- Masz na myśli swoich przyjaciół z Atlantic City?

- Pracuję dla pana, nie dla nich, panie Poe. Gdybym dla nich pracował, nie mówiłbym tego panu.

- Czego byś mi nie powiedział? Że nie lubią spadku obrotów, nieoficjalnych obrotów? Mówili mi o tym, Bobby. Dwa razy w tym tygodniu. Powiedziałem im to samo, co tobie. Urząd Skarbowy siedzi mi na karku, węsząc w ubiegłorocznych sprawozdaniach. Przesłali mi list, który ci pokazałem. Wysłałem fax do twoich przyjaciół w Atlantic City.

- Ludzie z Urzędu Skarbowego już przeglądali te sprawozdania. Nie mogli się tam do niczego przychylić. W każdym razie ten list przyszedł z Prokuratury Generalnej.

- Ciągłe to samo. Co chcesz, żebym zrobił? Mam im powiedzieć, żeby się odpięprzyli? Musimy przez jakiś czas lecieć prosto i nie zmieniać wysokości. W zbyt wiele rzeczy się teraz zaangażowałem, żeby ryzykować wywleczenie tego wszystkiego przed sąd podatkowy.

- Inwestorzy nie przejmują się listem, panie Poe. Ma pan wielu przyjaciół w różnych miejscach. Inwestorzy myślą, że ma pan przyjaciela w urzędzie federalnym. Myślą, że nakręca pan obroty, żeby mieć więcej pieniędzy na handel nieruchomościami. Prosilili mnie, żebym to sprawdził. Zamiast tego, przychodzę z tym do pana. Proszę mi powiedzieć, co mam im przekazać.

- Powiedz im, że nie wezmę stąd ani centa, że nie mam do tego prawa. Nie mogę tego robić w taki sposób, jakbym brał dywidendy z akcji. Powiedz im, że wszystko leci w dół, tylko że zyski spadają szybciej niż straty. Na razie próbuję utrzymać w ruchu czysty interes, jak to jest powiedziane w zezwoleniu na działalność naszego kasyna.

Mann spojrział na niego nieprzyjaźnie, a potem westchnął z irytacją.

- Przejrzyj wszystkie rachunki, Bobby, wszystkie sprawozdania. Ni-

czego nie ukrywam. Sprawdź to wszystko.

- Usiłuję panu tylko powiedzieć, że będzie pan miał z nimi kłopoty, panie Poe.

- Zajmę się tym w ten sam sposób, w jaki rozwiązuję wszystkie moje kłopoty. Weź się po prostu za robotę i przestań się martwić - mówiąc to obdarzył Manna uśmiechem, który pasowałby idealnie do nocnej reklamy telewizyjnej.

Mann wstał, pragnąc jak najszybciej wyjść.

- Powiedziałem, co o tym myślę, panie Poe. Przypuszczam, że oni się odezwą, niezależnie od tego, co się zdarzy.

- Taak, dobrze. Dzięki.

Drzwi cicho się zamknęły.

- Przekłęty gonsel - powiedziała Mango.

- Czy wiesz, co to znaczy gonsel, Mango? To znaczy kutas, w języku jidysz.

- Tak, wiem. On taki jest. Kutas pierwszej klasy. Nigdy nie powinienes się był zgodzić, żeby go zatrudnić, Peter. Powinienes być zachować dla siebie pieniądze, z jakimi tu zaczynałeś.

- Czy wiesz, jaką część obrotu chcą ci chłopcy z Chicago? Byłaby to wyciśnięta ze mnie siłą pożyczka. Poznałem kiedyś ich prawnika. W dobrych czasach był facetem z ulicy LaSalle, który zahaczył się u nich, kiedy potrzebował trochę szmalu na karmienie swych koni. Lubił na nie patrzeć, jak przechadzają się w Hawthorne. Pokazał mi swój zegarek firmy Rolex, większy od mojego piageta. Z tyłu był wygrawerowany napis: „Dla Boba od Sama, żeby wiedzieli, że byłem twoim przyjacielem, gdy znajdą cię kiedyś w bagażniku samochodowym”.

- Czy znaleźli go w bagażniku?

- Nie, zmarł na atak serca, prawdopodobnie od zbyt częstego patrzenia na zegarek.

- Myślę, że powinienes rozważyć zmianę inwestorów. Jeszcze nie jest za późno, żeby się związać z miejscowymi ludźmi.

- Tego typu powiązania mogłyby mi zaszkodzić tutejszym towarzystwie, dziecino. Nie mówiąc już o naszych notowaniach w Biurze Dobrych Interesów. Poza tym, chłopcy Bobby'ego z Atlantic City w ciągu godziny

przysłaliby tu typów uzbrojonych w kije baseballowe, gdyby się dowiedzieli, że pomyślałem o czymś takim. Nie powinniśmy o tym mówić.

- Gdyby to już było załatwione, przestaliby nawet śnić o zadzieraniu z tobą. Nie są na to wystarczająco wielcy, żeby przejąć chicagowską grupę.

- Zawsze doceniam twoje rady, Mango, ale czasami chciałbym, żebyś przez chwilę pomyślała, zanim coś powiesz.

- Ja tylko chciałam pomóc - rzekła i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Poczekaj chwilę - rzekł Poe. - Mamy przecież sprawy, o których musimy porozmawiać.

Zatrzymała się. Spodziewała się tego przez cały dzień, on jednak nie powiedział na ten temat ani słowa, pomimo wielu okazji, by porozmawiać w cztery oczy.

- Wyjdźmy na balkon - rzekł.

Wyszli, stając jak najdalej od okien biura. Poe oparł się o barierkę. Mango zrobiła to samo, stając tak blisko, że czuł w podmuchu wiatru zapach jej perfum.

- Chłopcy mieli właśnie zostawić coś w mieszkaniu tej dziwki - powiedział Poe. - Pieniądze, wizytówkę, a następnie zadzwonić i przekazać informację. To były moje polecenia. Znalezione ją z poderżniętym gardłem.

- Rozmawiałam z nimi. Powiedzieli, że na nich weszła.

- Nie wierzę w to. Powiedziałem ci, że mają poczekać, aż zajmie się gdzieś jakimś klientem i wtedy do niej pójść, żeby to podrzucić. To było bardzo proste. I tak to zaplanowałem.

- Sprawa się skomplikowała, Peter. Ona tam weszła.

- Powiedziałaś im, że mają poczekać, aż ona wróci, prawda? Tak było ustalone. Kolejne pieprzone morderstwo.

Mango objęła go. Nie odtrącił jej, co było dobrym znakiem. - To było konieczne, Peter. Pozwoliło związać ze sobą wszystkie ogniwa. Zamkną teraz śledztwo i przestaniesz się martwić. Nie przemyślałeś tego do końca. Mogła wskazać jakiegoś faceta, który by zeznał, że był z nią tego wieczora, kiedy O'Rourke został załatwiony. Mogła spędzić tę noc w areszcie przy Chicago Avenue. Nie wzięłaś pod uwagę żadnej z tych możliwości.

- Jestem zajęтым człowiekiem.

- Bez wątplenia nim jesteś i dlatego nie powinieneś przejmować się

takimi drobiazgami.

- Drobiazgami? Powiedziano mi, że połowa dywanu była zalana krwią.
- To musiało mieć taki przebieg, Peter. Zająłam się tym w taki sam sposób, w jaki Bill Yeats i ja zajmujemy się dziesiątkami spraw, których załatwienie każdego dnia oczekujesz lub potrzebujesz.

- To morderstwo, Mango. Jestem wymieniany w pieprzonym czasopiśmie *Fortune*, a Kuba Rozpruwaczka jest moją sekretarką administracyjną.

- Czy naprawdę tak bardzo cię martwi to, co się stało? Dwoje zabitych?

- O'Rourke, w porządku. Ale ta dziwka... nie wiem sam. Gdybym zobaczył jej ciało, chyba nie mógłbym tego znieść.

- Każdego dnia morduje się ludzi w Chicago. Gównu cię to obchodzi. Nikt się tym nie przejmuje, chyba że to małe dziecko, albo coś w tym rodzaju. Kogo więc obchodzi jakiś stary, oszukańczy irlandzki polityk, który i tak by się wkrótce przekręcił. Czy ta tleniona na blond dziewczyna, która co noc kotłowała się z frajerami?

- Oni żyli, dziecinko. I to się liczy.

Zrobiła głęboki wdech, wypuszczając jego rękę.

- Kiedyś zabiłeś kogoś - powiedziała. - Mówiłeś mi o tym. Na Filipinach.

- To było dawno temu - odpowiedział. - Służyłem w marynarce będąc młodym chłopakiem. To było za oceanem, podczas walki. Nie zamierzałem tego zrobić.

- Wykręciłeś się z tego, prawda?

- Taak. Miałem szczęście.

- Czy w dalszym ciągu nie możesz spać z tego powodu?

- Nie. Nawet go nie znałem. To był sprytny chłopak, i to on wyciągnął nóż.

- To niech cię nie gnębi bezsenność z powodu tych dwojga.

Następnego ranka Zany wszedł do swego biura bardzo wcześnie, żeby zdążyć z papierkową robotą jeszcze przed umówionym śniadaniem z prokuratorem Moranem. Nie był jeszcze w połowie pierwszej filiżanki kawy,

kiedy weszła jego żona Judy, zdecydowanie zamykając za sobą drzwi. Jej sklep z pamiątkami był pierwszym w Chicago miejscem, gdzie można było dostać poranne wydania miejscowych gazet. Judy trzymała pod pachą złożony egzemplarz *Tribune*.

Wielki tytuł na pierwszej stronie obwieszczał znalezienie zwłok prostytutki, którą policja wiązała z morderstwem prezesa Wydziału Zieleni Miejskiej - O'Rourke.

- Czy to jej zwłoki pojechałeś zidentyfikować?
- Tak.

Judy powiodła swym wyprostowanym oskarżająco palcem w dół długiej kolumny artykułu, zatrzymując się na jednym z końcowych akapitów. Była w nim mowa o tym, że przedmioty osobiste należące do naczelnika policji z Grand Pier, w stanie Michigan, Zane'a Rawlingsa, znaleziono w mieszkaniu zamordowanej prostytutki. Z przytoczonej wypowiedzi przedstawiciela policji wynikało, że przedmioty te skradziono z jego pokoju hotelowego kilka dni wcześniej.

Judy cofnęła się z założonymi rękami.

- Czy to prawda? - zapytała.
- Aha.
- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?
- Było tak, jak tu napisali. Znaleźli moje rzeczy. Mówiłem ci o tym przedwczoraj wieczorem.

- Ale nic nie mówiłeś o żadnej prostytutce.

Zany utkwił wzrok w gazecie, wytrzeszczając oczy. - Nie mogę zrozumieć, skąd *Tribune* dostała ten materiał. Frank Baldessari by im nie powiedział. Żaden z chłopaków też nie.

- Każdy reporter ma swoje źródło. Ty też kiedyś byłeś czymś źródłem.
- To jest przeciek. Całkiem rozmyślny. Zastanawiam się, kto mi podłożył tę świnię.

- A co powiesz o tej blond damie?

- Blond dama. Nigdy jej przedtem nie widziałem. - Odsunął się z krzesłem do tyłu, żeby móc lepiej spojrzeć żonie w twarz. - Nie miałem żadnej dziwki w pokoju hotelowym. Wydałem dietę na parę nędznych posiłków i kilka piw. Ograbiono mnie, to jasne i oczywiste. A obrazu, który

wtedy wzięli, jeszcze nie odnaleziono.

Opuściła ramiona. - Jesteśmy małżeństwem od tak dawna. Jeśli mamy jakiś problem, możemy próbować go rozwiązać. Ja po prostu muszę wiedzieć, na czym stoimy.

- Stoimy całkiem pewnie, kochanie. Jedyny problem jaki mamy to ten, że ktoś próbuje wywierać na mnie nacisk. I robi to od czasu, kiedy zająłem się sprawą Jill Langley.

- W porządku, wierzę ci - powiedziała Judy - choć wyglądasz, jakbyś czuł się winny. No, może nie winny, ale wydajesz się zdenerwowany.

- Bo jestem zdenerwowany.

Kiedy był młody, pracował w ekipie obsługującej detonatory w kopalni odkrywkowej w Wyoming. Nauczył się tego fachu od doświadczonego, starego górnika. Wiedział, że jeśli będzie wykonywał wszystkie czynności powoli i ostrożnie, nic złego się nie przydarzy. Nawet wtedy gdy brał udział w zasadzkach był spokojny, ponieważ postępował ściśle według regulaminu, nie ryzykował. Zawsze wiedział, czego może się spodziewać przechodząc przez próg lokalu, w którym znajdował się podejrzany. Spodziewał się wtedy najgorszego.

A teraz nie miał pojęcia, co może zdarzyć się za chwilę.

- Rzeczywiście - powiedział. - Trochę się boję.

ROZDZIAŁ

7

Jedno z okien sypialni Matthiasa w domu przy ulicy Schillera wychodziło na zachód. Widać było z niego dachy Starego Miasta i niskie sylwetki domów na tle nieba. Gdyby Poe wykorzystał projekt w kształcie obelisku dla budowli mającej stanąć w Cabrini Green, wówczas jej szpiczasta iglica zdominowałaby tę panoramę. Jeśli wybrałby koncepcję żaglówki wraz z wieżą, widok ten przedstawiałby się inaczej. Teraz, żeby zobaczyć niebo, Matthias musiałby podejść do okna. Był wczesny wieczór. Sally stała odwrócona plecami do słońca, a jej naga sylwetka odcinała się ostro od tła. Matthias zmrużył oczy, aby widzieć ją lepiej i zastanawiał się, dlaczego do niego nie wraca. Wstała już jakiś czas temu, poszła do toalety i zabawiła tam dobrą chwilę. Kiedy zjawiła się ponownie w sypialni, stanęła przy oknie.

Odwróciła się nieco, a słońce podkreśliło zarys jej piersi. Jej ciało nie zmieniło się wiele od czasu, gdy miała dwadzieścia parę lat. Było wysmukłe i jędrne, lecz bardzo kobiece. Nigdy nie namalował jej aktu. Wtedy gdy oboje byli młodzi, byłoby to niestosowne, a nawet nieprzyzwoite. Jej matka mogłaby się o tym dowiedzieć, a i bez tego sprawiała mu wystarczająco dużo kłopotów. Nie miała artystycznej duszy.

Matthias malował akty wielu kobiet, z którymi sypiał. Stanowiło to niemal rytuał w jego zalotach, umizgach, uwodzeniu, chociaż zwykle one to proponowały. Malowanie ich uważał za wzniosłą formę aktu miłosnego. Wszyscy - Modigliani, Picasso, Goya, malowali swe kochanki nago. Artyści renesansu ukazywali kobiety w swych dziełach o tematyce religijnej, z wyjątkiem tych, którzy jak Michał Anioł, woleli chłopców lub, jak Veronese, który chyba nie widział obnażonej kobiety. Na jego płótnach zbudowane są, jak piłkarze grający w obronie.

- W przyszłym tygodniu zaczynam pracować dla Petera Poe - powiedziała Sally.

- Ja już chyba zacząłem to robić.

Na razie, Matthias zatrudniony był tylko jako instruktor żeglarski. Poe miał jeszcze wypowiedzieć się na temat projektu budynku.

- Dziwnie się czuję w związku z tym - rzekła Sally.

- Dlatego że obydwójce będziemy mieli tego samego szefa?

- Dlatego że... No nie wiem, to taka poważna praca, jakbym nagle zaczynała stawać się kobietą robiącą karierę. Nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób. Wiesz, praca w sklepie zawsze była dorywcza. Była tylko sposobem na przetrwanie.

- Twoja pozycja u Poego nie ma być chyba taka poważna, co? Organizowanie przyjęć?

- Będę zarządcą do spraw specjalnych. Będę miała trzyosobowy personel. Poe chce urządzić wielki bal, na którym będzie zbierał pieniądze na Muzeum Holocaustu. Nigdy nie zajmowałam się niczym podobnym.

Matka Sally była zagorzałą antysemitką. Czy Sally też nią była?

- Czy masz coś przeciwko Żydom?

Słońce świeciło tak mocno, że nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ale wyczuł, że to pytanie rozdrażniło ją.

- Nie o to chodzi - powiedziała - Chicago się zmieniło. Żydówki, Murzynki, katolicy. Zasiadają teraz w różnych radach i komitetach. Stanowią część społeczeństwa i nie mam nic przeciwko temu.

- No to, o co chodzi?

- Nie jestem pewna, jak zostaną teraz przyjęta. Czuję się, jakbym straciła moje miejsce w tym mieście, jakbym stała się częścią wielkiej maszyny Poego. Ludzie będą mnie traktować jak jedną z jego kochanek.

- To nie bierz tej pracy. Po to, żeby twoje własne „ja” stało się prawdziwe, Sally.

- Nie mam zbyt dużego wyboru. Nie sądzę, abym mogła pozostać w tym sklepie o jeden dzień dłużej i nadal wdzięczyc się do klientów. - Odwróciła się ponownie ku niemu, zginając ramiona. - Domyślam się, że będę sporo pracowała z panią Poe nad pokazem mody. Czy ona ci się podoba?

- Jest naprawdę na poziomie. Powiedziałbym, że on na nią nie zasłu-

guje. Prawdziwa dama. I ma dużą wiedzę o sztuce.

- Jej ojciec był robotnikiem.
- Pracował na kierowniczym stanowisku. A twój handlował tapetami.
- Tylko na początku. - Wyczuł w jej głosie chłód. Ta rozmowa kierowała się w niewłaściwą stronę.
- Sądziłem, że te sprawy nie mają żadnego znaczenia - powiedział.
- Chyba już nie. Ona cię lubi. Widziałam ją na obiedzie któregoś dnia.

Pytała o ciebie.

- Jestem pewien, że to wszystko jest częścią wywiadu, jaki przeprowadza pan Poe na mój temat.

- Czy jeśli przyjmie twoją koncepcję, to zaprojektujesz ten budynek?
- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Dlaczego kłamał? Ten budynek byłby dla niego kluczem do wszystkiego.

- Jeśli się zdecydujesz, to ta inwestycja postawi twoją firmę z powrotem na nogi.

- Na pewno.
- A jak już skończysz, będziesz mógł zająć się innymi sprawami. Ob- oje będziemy mogli. Chociaż, jak przypuszczam, chciałbyś znowu opuścić Chicago.

- Budowa tego domu zajmie, co najmniej, dwa lata. - Tyle by to trwało, gdyby zaczął jutro.

- Czy to oznacza, że budowa będzie się długo ciągnąć?
- Tak. Wystarczająco długo.

- Wydaje mi się, że jesteśmy w miejscu, z którego nie ma odwrotu. To nasza ostatnia szansa wyrwania się z tego.

Słońce dotarło do horyzontu, a jego światło stało się bursztynowe.

- Czy chciałabyś tego?
- Matt. Czy my się pobierzemy?

Chciałby lepiej zobaczyć jej twarz. Było mu równie przykro, jak z powodu Jill. Jednakże w przypadku Sally mógłby jeszcze coś zrobić, mógłby w jakiś sposób odwrócić to, co im obojgu uczyniła jej matka. Jej szczęście zależało teraz od kilku zaledwie słów.

- Sally. Myślę, że los naznaczył to już dawno temu. Twoja matka po prostu weszła nam w drogę.

Podeszła do niego, zatrzymując się blisko łóżka. - Czy jesteś pewien?

A co z jego szczęściem? Co z Diandrą Poe?

To było zupełnie niemożliwe. Musiał to sobie w tej chwili zdecydowanie uświadomić, żeby mieć pewność, że to, co zaszło muzeum, nie zdarzy się nigdy więcej.

- Tak - wymówił to słowo.

- Naprawdę?

- Sally, gdyby było inaczej, pojechałbym natychmiast z powrotem na Lazurowe Wybrzeże, gdzie rysowałbym, żeby mieć na drinka w jakiejś kafejce.

Weszła do łóżka i podczołgała się w jego ramiona, odpychając go na poduszkę. Jej skóra była bardzo ciepła.

- Nie chcę, żebyś to jeszcze kiedykolwiek robił - powiedziała.

- Ja też nie chcę.

- Koniec z sypianiem na plażach.

- Koniec.

- Matt?

- Słucham.

- Czy z twoją żoną już skończone?

- Hillary? Tak. Jest bardzo szczęśliwa ze swoim nowym mężem. Nie jestem ciekaw...

- A Jill Langley?

Zawahał się.

- Nie mogę przyjść do siebie po jej zabójstwie.

- Chyba tak jak my wszyscy.

Nagle na parterze rozległ się hałas zatrząskiwanych drzwi.

- Christian - powiedział Matthias. - Znika na dwa dni i wraca akurat w tym momencie.

- Dowie się, że tu jestem, bo zostawiłam na dole torebkę.

- Nie wydaje mi się, żeby się specjalnie zdziwił.

- Powinniśmy się ubrać.

Matthias mógłby powiedzieć, że widok nagiej Sally nie powinien zaszkodzić brata, lecz westchnął tylko z rezygnacją. Zaczęła zbierać swoje ubranie.

Zastali Christiana w kuchni, miksującego martini.

- Wielki bracie! - powiedział - Sally! Mam dla was bulwersującą nowinę.

Uśmiechał się z rozbawieniem, a zarazem cynicznie. Matthias patrzył na niego czekając, aż odegra swoje przedstawienie.

- Aaron Cooperman został mianowany prezesem Wydziału Zieleni Miejskiej - powiedział Christian, z trudem powstrzymując radość.

Kolejna wygrana Petera Poe.

- To nie takie znowu bulwersujące. To było do przewidzenia.

- Tak, wielki bracie, ale zgadnij kogo wybrali, żeby zapełnić to drugie miejsce?

- Opowiedz nam o tym.

- Twojego ojca. Oznajmili to dziś po południu.

Matthias utkwił wzrok w złośliwie iskrzących się oczach brata. - Czy to żart? Drobną zgrywa jako podkład do twojego ginu?

- Mówię zupełnie poważnie, Matthias. To najprawdziwsza prawda. - Christian napił się i podniósł kieliszek, jakby wznosił szydery toast. - A dlaczego nie? Wepchnęli do Sądu Okręgowego sędziów, którzy nie potrafią myśleć tak jasno, jak nasz kochany, stary tatuś. Jeśli wystarczająco dużo razy zaśnie w czasie pracy, zrobią z niego radnego miejskiego.

Zany usiadł na progu letniego domu, rozkoszując się zimnym piwem i słońcem zachodzącym nad jeziorem. Czekał na telefon już od wielu dni. Miał znajomego policjanta w Nowym Jorku, w wydziale włamań na Manhattanie. Był to detektyw, który specjalizował się w kradzieżach dzieł sztuki, zdarzających się w tym mieście znacznie częściej niż w Chicago. Był życzliwym facetem jak Baldessari. W pracy opierał się, jak inne gliny, na sieci przyjaciół i informatorów, w większości szanowanych handlarzy dziełami sztuki. Niektórzy z nich, choć byli oszustami i kapusiami, zawiadamiali go o każdym przypadku nielegalnego handlu.

Zany próbował opracować listę kolekcjonerów i pośredników handlujących tego rodzaju dziełami sztuki, jakie Curlandowie trzymali pod kluczem, czyli obrazami niemieckich malarzy sprzed drugiej wojny światowej.

W jej sporządzaniu pomógł mu komputer, czasopisma poświęcone sztuce i zamiejscowe książki telefoniczne. Niewiele to jednak dało. Detektyw z nowojorskiego oddziału włamań mógłby mu pomóc. Może słyszał o handlu obrazami Kirchnera w ostatnim czasie? Obiecał sprawdzić to w swoich źródłach.

Zany słuchał nagrania Anne Murray z płyty kompaktowej. Celowo robił to cicho, by nie zagłuszać rozmów dochodzących z policyjnego odbiornika, którego ostatnio w ogóle nie wyłączał.

Właśnie otwierał kolejną butelkę piwa, gdy nagle usłyszał ostry głos, a raczej krzyk Hejmala.

- Zane! - zawołała Judy. - Coś się dzieje!

Stał słuchając przez chwilę policyjnego odbiornika, a następnie podszedł do telefonu, nie chcąc przerywać radiowej rozmowy policjantów. Funkcjonariuszka Vaclav, która odebrała telefon, wydawała się jeszcze bardziej podniecona niż Hejmal.

- Kościół Świętego Stanisława, naczelniku! - powiedziała. - Obrabowali go! Związali ojca Dubinina!

- Czy znowu mężczyźni w maskach narciarskich?

- No, myślę, że tak.

- Wezwij tam wszystkich! Hejmala też! Bądź gotowa w każdej chwili! Już tam jadę! - Zastanawiał się, co zrobił ze swoim służbowym rewolwerem. Nie nosił go przy sobie przez całe miesiące, a może nawet lata.

- Naczelniku! Czy mam wezwać oddziały stanowe?

Zany zaklął. Jak mógł o tym zapomnieć? - Tak.

- Dobrze, zresztą już to zrobiłam, zanim pan zadzwonił.

Wyobraził sobie pełen satysfakcji uśmiech na jej szerokiej twarzy.

- Dzięki - powiedział.

ROZDZIAŁ

8

Wielka żaglówka Poego, o nazwie zmienionej na *Lady P* i kadłubie pomalowanym poniżej linii wody na jaskrawy szkarłat, była jedną i chyba najpiękniejszą z dwudziestu siedmiu łodzi biorących udział w regatach z Chicago do Menominee. Matthias dobrał sobie świetną załogę, w większości młodą - czterech mężczyzn i jedną kobietę, którzy brali z nim udział w poprzednich zawodach. Poe zażądał najlepszej załogi, lecz Matthias odpowiedział na to enigmatycznie, że powinna w jej składzie znaleźć się Jill Langley i że nawet Peter Poe nie umiałby wskrzesić zmarłej. Zauważywszy jednak jak bardzo ta uwaga zdenerwowała Poego, Matthias powiedział mu, żeby się nie martwił. Młodzi żeglarze byli w dobrej formie fizycznej, zgrani i pełni zapału.

Poe nie martwił się zbyt. Załogi, które zdaniem sprawozdawcy żeglarskiego *Tribune*, Billa Recktenwalda były najlepsze, płynęły na łodzi dowodzącego flotyllą oraz na jachcie Billa Yeatsa. Prawnik żeglował tak świetnie, że wygranie wyścigu nie powinno stanowić dla niego problemu. Od niego również zależało, czy poradzi sobie z komandorem. Poe jednakże nie powtórzył tego Matthiasowi.

Wielkim i zwracającym uwagę gestem Poego było ustalenie nagrody w wysokości stu tysięcy dolarów, którą tradycyjnie otrzymywał zwycięzca regat tylko w postaci trofeum. Wiadomo było jednak, że zwycięzca musiał przekazać pieniądze na wybrany przez siebie cel dobroczynny. Ten warunek nie zachwycił pozostałych uczestników regat. Niezależnie od tego, Matthias otrzymałby od Poego premię, gdyby jego załoga wygrała regaty.

Wystrzelony z rewolweru sygnał, oznaczający, że start nastąpi za dziesięć minut, przestraszył Poego, który w tym momencie przesiadał się na

wygodniejsze miejsce obok steru. Matthias uśmiechnął się rozbawiony, widząc potentata przyłapanego na chwili słabości, ale nic nie powiedział. Poe miał już dość tego uśmiechu z pozoru miłego i przyjaznego, lecz tak irytująco demonstrującego wyższość. Za parę dni Curland będzie tak głęboko tkwić w jego kieszeni, że Poe każe mu przestać się uśmiechać, z równą łatwością, jak wydaje polecenia swej służącej lub Krasowskiemu, a jeśli będzie chciał, to każe Curlandowi nawet stanąć na głowie.

Łodzie manewrowały i zajmowały pozycje na linii startowej, czekając na następny, a zarazem ostatni, wystrzał z pistoletu. Jakiegokolwiek zderzenia lub nieprzepisowe ruchy były teraz liczone jako punkty karne, toteż kapitanowie byli bardzo ostrożni i, jeśli zachodziła potrzeba, luzowali żagle, aby zachować wymaganą odległość pomiędzy statkami.

Matthias był ciągle przy kole sterowym, chociaż przyrzekł Poemu, że pozwoli mu je przejąć i pozostać przy nim, dopóki łódź nie oddali się od linii brzegowej centrum miasta. Ustawił *Lady P* z tyłu flotyli żaglówek. Poe miał do tego zastrzeżenie ze względu na możliwość straty czasu i większy dystans do pokonania, lecz Matthias przekonał go, że będą w ten sposób mogli lepiej ocenić zarówno taktykę kapitanów pozostałych łodzi, jak warunki atmosferyczne, co pomoże im obrać właściwą strategię. Zachodni wiatr nie był silny, lecz przewidywano, że do wieczora ochłodzi się i zmieni kierunek na północny. Matthias planował wysunięcie się na czoło w czasie zmiany kierunku wiatru.

Spory tłum widzów zgromadził się wzdłuż wybrzeża i przystani Yacht Klubu, a wśród nich stały gdzieś Diandra Poe i Sally Phillips. Kierowca Poego, Krasowski, miał zawieźć Diandrę do Menominee, gdzie miała czekać na zakończenie regat. Poe zaprosił Sally, żeby pojechała razem z nimi, ale odmówiła. Pragnęła spędzić ten weekend z córką, którą, jak się obawiała, nieco zaniedbywała. Matthias nie martwił się zbytnio z tego powodu, gdyż nie był pewien, czy pani Poe i Sally specjalnie się lubią.

Matthias spojrzął na zegarek. - W porządku, panie Poe, zamieńmy się miejscami. Czas na wzięcie steru w ręce.

- Mówiłem ci, Matt, mów mi Peter.
- Dobrze, Peter. Przejmij ster.

Poe wstał, kładąc ręce na kole sterowym. Niedaleko od nich znajdowała

się łódź prasowa, wypełniona fotoreporterami. Odwrócił się ku nim i z szerokim uśmiechem na twarzy pomachał do nich ręką. Byli wyposażeni w teleobiektywy, więc nie miał wątpliwości, że uchwycą jego gest.

- Czy dobrze ustawiłeś główny żagiel? - zapytał Poe, starając się, żeby nie słyszały go załogi sąsiednich łodzi. - Wiatr wieje z zachodu. Czy nie powinniśmy płynąć półwiatrem?

- Masz rację, Peter. Wyrównamy to po wystrzale startowym. Gdybyśmy zrobili to teraz, wjechałibyśmy na tę łódź w przystani. Ma tendencję do lekkiego skrętu w prawo.

- Czy oddasz dowodzenie?

- Poczekam na zmianę żagla. Nikt nie usłyszy nas z brzegu. Po prostu trzymaj kurs. - Zawahał się, po czym dodał: - Kapitanie.

Poe uśmiechnął się.

Znowu zaskoczył go wystrzał z pistoletu, lecz mocno trzymał ster. Matthias wydał komendę i krzepki młody człowiek przy głównym żaglu z ręcznie ustawił grotę we właściwej pozycji. Jednocześnie jasnowłosa dziewczyna pilnująca wyciągu na prawej burcie wyrównała odpowiednio wielki genueński kliwer. Jacht ruszył do przodu, pozostawiając szeroki ślad na wodzie. Dość mocny przechył umożliwił przybliżenie się do znajdującej się przed nimi łodzi.

- Odpadnij trochę i wyprzedzimy go - powiedział Matthias. - Chciałbym lepiej widzieć prowadzących.

- Odpadnij?

- Odsuń się trochę od wiatru, Peter. Na prawą burtę. Na prawo. Pamiętaj?

Poe przytaknął ze złością, po czym ostro skręcił koło sterowe.

- Za dużo, Peter - rzekł Matthias. - Odbij trochę z powrotem.

Poe wykonał polecenie zaciskając zęby.

- Bardzo dobrze. Nie zmieniaj kursu.

- Aj, aj, aj - wymamrotał Poe.

Spojrzał przez ramię. Łódź prasowa płynęła za nimi. Odwrócił się i pokazał jej pasażerom uniesiony w górę kciuk.

Siedziba władz miejskich Grand Pier znajdowała się w tym samym budynku co komisariat Zany'ego, nie musiał więc daleko chodzić, żeby stawić się na spotkanie, na które go wezwano. Pokonanie tej odległości wydawało mu się jednakże tysiącmilową podróżą. Od dawna wiedział, że w jego pracy kryło się niebezpieczeństwo uwikłania w miejscowe rozgrywki polityczne, jednakże dotychczas udało mu się tego uniknąć. Z powodu statusu dawnego detektywa policyjnego z Chicago, oraz niskiej przestępczości, jaką notowano w obwodzie w czasie jego pracy, nikt nigdy nie sprawiał mu kłopotu. Chyba jedynie prokurator okręgowy Moran, pragnący wielu przestępstw po to, żeby móc nimi zainteresować miejscowe środki masowego przekazu.

Teraz wszystko się zmieniło. Moran miał na głowie przestępstwo tak pogmatwane, o jakim mu się nie śniło, a Zany tkwił po dziurki w nosie w rozgrywkach politycznych. Zastanawiał się, czy po tym spotkaniu zachowa swoją pracę.

W ratuszu była duża sala zaopatrzona w długi pulpit, przy którym urzędnicy miejscy wydawali zezwolenia na handel placowy, zajmowali się podatkami i innymi sprawami municypalnymi. Za pulpitem znajdowało się kilka małych pomieszczeń biurowych, a dalej wchodziło się przez krótki korytarz do sali będącej jednocześnie salą sądową i miejscem posiedzeń rady miejskiej.

Rada była w komplecie, a przewodniczyła jej burmistrz - Genevieve Braunmeister. Obecni byli także Moran, oraz prezes miejscowej izby handlowej. Braunmeister siedziała na honorowym miejscu za stołem, a z obu stron - pozostali członkowie zgromadzenia. Zany wziął sobie rozkładane krzesło i usiadł na końcu. Skinął przyjaźnie głową do dwóch członków rady miejskiej, którzy byli jego przyjaciółmi, lecz oni patrzyli w inną stronę.

Przed panią burmistrz leżała sterta gazet. - Czy pan to widział, naczelniku Rawlings? - Uniosła stronę tytułową jednej z gazet w sposób, jakby to było coś obrzydliwego.

- Tak, pani burmistrz - powiedział Zany. - Bardzo interesująca lektura.
- To straszna hańba - powiedział Moran.

Zany rzucił na niego okiem z pewnym rozbawieniem. Zdjęcie Morana figurowało na większości pierwszych stron gazet.

Jeden z członków izby handlowej chrząknął, a następnie powiedział: - W

motelach nie ma w lipcu kompletów.

- To na czym stoimy z tą sprawą? - zapytała Braunmeister. - Żadnych aresztowań? Żadnych podejrzanych? Nie wiadomo, do diabła, o co w tej sprawie chodzi?

- Nie ma aresztowań, nie ma podejrzanych - odpowiedział Zany. - Ale mam naprawdę dobrą koncepcję, o co w tej sprawie chodzi.

Ta wypowiedź była dla większości obecnych zaskoczeniem. Moran zmarszczył brwi. Zany nie wtajemniczał go w swoje podejrzenia.

- Czy chciałby pan podzielić się nią z nami? - zapytała Braunmeister, pochylając się do przodu. Była to nieduża i szczupła kobieta w za dużych okularach. Jej mąż był właścicielem miejscowej przystani żaglówek.

- Myślę, że włamania stanowią odpowiedź na prowadzone przeze mnie śledztwo w sprawie zamordowania Jill Langley. Wydaje mi się, że są ludzie, którzy chcą odsunąć mnie od tej sprawy, którzy próbują mnie zrobić w te jednocentowe napady.

- Jednocentowe? - zapytał Moran. - Rozwalili supermarket 7-Eleven na kawałki. Napadli na księdza!

- Dlaczego kilku bandytów miałoby się przejąć tym, że prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa? - zapytała Braunmeister.

- Nie myślę, żeby byli zawodowymi bandytami. Myślę natomiast, że byli to wynajęci przestępcy, którzy zrobili to na zamówienie. Zamówienie wydane przez kogoś, kto chce mnie odsunąć od sprawy Jill Langley.

- A któż to miałby być?

- Nie wiem.

Popatrzyli na siebie.

- Nie zrobił pan żadnego postępu w tej sprawie - powiedział Moran. - Nie otrzymałem od pana niczego, czemu mógłbym nadać bieg. Prawie wcale się pan ze mną nie porozumiewał, wyjąwszy prośbę o pozwolenie na przeprowadzenie rewizji w jakimś muzeum sztuki w Chicago.

- Więc jaki postęp pan osiągnął, naczelniku? - zapytała pani burmistrz.

- Mam podstawy, aby sądzić, że zamordowana dziewczyna była wplątana w kradzież lub fałszerstwo dzieł sztuki i że obaj bracia, którzy prowadzą to muzeum w Chicago, mogą być w to wmieszani - jeśli nie jako przestępcy, to jako ofiary. Poza tym myślę, że galeria sztuki, w której

pracowała ta dziewczyna, może mieć coś z tym wspólnego.

- Myśli pan, że prowadzący muzeum i handlarze dziełami sztuki dokonali rabunku w 7-Eleven?

- Tego nie mówiłem.

- Czy ma pan jakiegokolwiek dowody na to, że są oni zamieszani w tę sprawę?

- Nie. Dowód, jaki miałem został skradziony z mojego pokoju hotelowego.

- Taak, czytaliśmy o tym - powiedział inny członek rady, będący właścicielem największej w mieście stacji obsługi samochodów. Zaczął się śmiać. Po chwili wszyscy, poza Zany, śmiali się.

Pogodził się z tym upokorzeniem w nadziei, że poprawi ono nastrój zebranych.

- Więc nie ma pan w ogóle żadnych podejrzanych? - zapytała Braunmeister poważniejąc.

- Nie mam podejrzanych. Tylko podejrzenia.

Prezes izby handlowej ponownie chrząknął. - Czy myśli pan, że te włamania będą trwały tak długo, jak będzie pan prowadził śledztwo w sprawie morderstwa?

Zany wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie. Biuro szeryfa pomaga nam przy pomocy dodatkowych patroli. A policja stanowa ma pod obserwacją skrzyżowanie z autostradą międzystanową.

Mała piąstka pani burmistrz uderzyła w stół. - Do diabła, Zane, o to właśnie chodzi! Wydajemy dolary podatników na utrzymanie komisariatu policji, a musimy prosić innych o pomoc w ochronie naszych sklepów i kościołów? Na miłość boską, musieliśmy zamknąć miejski basen kąpielowy z powodu recesji. Ludzie już dłużej tego nie zniosą.

- Ile razy był pan w Chicago w związku z tą sprawą, Zany? - zapytał właściciel stacji obsługi.

- Dwa razy.

- Gdzie się pan zatrzymywał? Czy w Ambassador East?

- Pokwitowania moich wydatków znajdują się w dokumentacji. Zatrzymywałem się w jednym z hoteli Days Inn.

- Jednak w Days Inn.

- Słuchajcie, przecież nie prosiłem o to, żeby ta żaglówka przypląnęła tu i tłukła się o falochron.

- Wiesz co, Zany? - odezwał się inny członek rady, który był przedsiębiorcą pogrzebowym. - To było tylko zrządzenie losu, że tu przypląnęła. Gdyby wiatr wiał w inną stronę, mogłaby znaleźć się przy brzegu w New Buffalo lub w Union Pier, albo może w St. Joe.

- Nie wiemy, gdzie zostało popełnione morderstwo - powiedział Zany. - Ciało znalazło się tutaj, więc zgodnie z prawem, to my babrzemy się w tym przypadku.

- Policja stanowa zajmuje się nim, prawda? Ich jednostka śledcza?

- Tylko w stopniu, w jakim pozwoli im na to tutejszy prokurator okręgowy. Oni mają roboczą teorię, że to był rabunek, że być może mamy piratów, albo kogoś w tym rodzaju na jeziorze Michigan. Nie są specjalnie zainteresowani moją teorią. Policja chicagowska też nie.

- A nie ma to związku z narkotykami?

- Ani śladu czegoś takiego na łodzi. Jak wynika z sekcji zwłok, w ciele ofiary stwierdzono obecność alkoholu, i to w niedużych ilościach.

Członek izby handlowej znów chrząknął. - Nie doszedł pan do żadnego wniosku w sprawie włamań, Zane? Żadnego, najmniejszego tropu?

- Brak było odcisków palców, ale znaleźliśmy sporo łusek. Mamy opis samochodu. Posterunki graniczne w czterech stanach są postawione na nogi.

- I to wszystko?

- Pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nad włamaniami czy nad zabójstwem?

- Nad jednym i drugim.

- Już nie - powiedziała pani burmistrz. - Chcemy, żeby pan zrezygnował ze śledztwa w sprawie morderstwa i przekazał je policjantom stanowym. Pan Moran zgadza się na to.

Teraz Moran mógł się na to zgodzić, po zrobieniu sobie dzięki tej sprawie takiej reklamy, jakiej nie miał nigdy przedtem w całej dotychczasowej karierze.

- Czy przeprowadziliście głosowanie? - zapytał Zany.

- Teraz to zrobimy.

Wszyscy, poza Moranem i członkiem izby handlowej, podnieśli ręce.

- To, w jaki sposób komisariat policji prowadzi będące w jego gestii sprawy, zależy ode mnie - rzekł Zany.

- Ale kto wykonuje tę pracę, zależy od nas - powiedziała pani burmistrz. - Naprawdę, Zane. Daj spokój tej sprawie morderstwa, a jak nie, to George Hejmal obejmie kierownictwo komisariatu policji. Przynajmniej nie uważa się za Sherlocka Holmesa. - Opuściła wzrok i ściszyła głos. - Przykro mi. Wiem, że próbuje pan wykonywać swoje obowiązki, tak jak pan je widzi, ale my widzimy je inaczej. I tak mieliśmy zamiar poprosić pana o wycofanie się ze sprawy. A to, co pan powiedział o włamaniach, że w ten sposób ktoś chce panu dać coś do zrozumienia, czyni naszą decyzję bardziej stanowczą.

- Chyba wszystko zostało już powiedziane. - Zany zaczął się podnosić.

- Wie pan - powiedział prezes izby handlowej, ten jedyny raz nie chrząkając. - Byłoby dobrze, żeby pan wpadł przejazdem do różnych firm w mieście i podniósł ich na duchu, mówiąc, że trzyma pan wszystko w rękę.

- Żaden problem. - Zany i tak to robił przez cały czas, wyłączając jedynie przedsiębiorstwo pogrzebowe.

Tym razem Moran chrząknął. - Chciałbym pojeździć z panem przez kilka nocy samochodem patrolowym.

- Załatwione. Powiem o tym George'owi. Może pan z nim pojechać.

Zany powrócił na posterunek policji przygnębiony. Wszyscy spojrzeli na niego, kiedy wszedł, lecz nie odezwał się w drodze do gabinetu. Na biurku znalazł kilka wiadomości, wśród nich pismo od nowojorskiego detektywa z wydziału włamań. Zany zmiął je i wrzucił do kosza. Nie trafił i zmięty papier znalazł się przy jego stopie. Patrzył na nie przez chwilę, następnie rozprostował na biurku i podniósł słuchawkę telefonu.

Detektyw nowojorski niewiele miał do powiedzenia. Sprawdził wszystkie swoje źródła i informatorów, ale nikt nie słyszał o handlu dziełami sztuki w rodzaju tych, o jakich wspominał Zany, a już na pewno nie o obrazach Kirchnera. Jednakże detektyw powiedział mu, że sporządził listę kolekcjonerów, o których wiedział, że skupują takie obrazy. Zapytał, czy mógłby mu tę informację przesłać faxem. Kolekcjonerzy ci mieszkali głównie w Nowym Jorku i okolicy, chociaż był też jeden w Baltimore i dwóch w Filadelfii.

- Nie wysyłaj faxem - powiedział Zany. - Po prostu wyślij pocztą.

Podał mu swój adres domowy.

Wiatr rzeczywiście się zwiększył, osiągając w podmuchach ponad dwadzieścia pięć węzłów, lecz zamiast zmienić się na północny, oscylował z zachodniego na północno-zachodni i z powrotem na zachodni, co sprawiało, że Matthias był stale zajęty zmianami żagla. Przejął ster od Poego, jak tylko przepłynęli obok przystani Montrose. Zarówno Matthias jak reszta załogi założyli sztormiaki, aby ochronić się przed rozbryzgami fal i frontem atmosferycznym, który się do nich zbliżał. Zachęcał Poego, żeby zszedł na dół, lecz ten wolał pozostać na pokładzie, siedząc obok Curlanda i starając się nie przeszkadzać. Nalał sobie mocnej whisky z wodą, proponując Matthiasowi, by też się napił, lecz kapitan odmówił.

Dobry humor Poego zniknął i ustąpił miejsca milczącej złości i frustracji. Yeats wykonał niezręczne przejście, próbując zmniejszyć prędkość łodzi komandora. Ściął przed samym jej dziobem, lecz nie wszedł zbytnio w drogę. Teraz, jakby umyślnie, znalazł się za nią. Jednostka komandora prowadziła, a Yeats był na drugim miejscu, o kilka długości w tyle. *Lady P* była szósta - niezła pozycja, zważywszy ostatnie miejsce na starcie, lecz nadzieje na prowadzenie słabły. Matthias zmienił kurs, idąc lekko prawą burtą, co skierowało łódź w prawą stronę, spychając ją ku środkowi jeziora. Gdy trwało to dłużej niż kilka minut, Poe pociągnął Matthiasa za rękaw.

- Co ty robisz, do cholery? - zapytał.
- Robię to, co ty byś nazwał hazardem.
- Hazardem? W jakim sensie?
- Chodzi o wiatr. Nie zmienił kierunku, jak przewidywała prognoza pogody. Czy widzisz tę linię chmur wzdłuż wybrzeża?

Poe spojrzął i przytaknął.

- To front słabego sztormu - powiedział Matthias. - Nie myślę, żeby niósł ze sobą naprawdę złą pogodę. Może nawet wcale nie padać. Wygląda na to, że ten front się na razie utrzyma, ale dopiero kiedy przejdzie, wiatr zmieni się całkiem na północny.

Turkusowe oczy Poego były pełne niecierpliwości.

- Jeśli inne łodzie pozostaną tak blisko siebie, będą musiały zacząć

halsować, żeby zachować odstęp. Gdybyśmy utrzymali się tutaj wystarczająco daleko od nich, moglibyśmy pójść prosto na wiatr północny, bez halsowania. Przynajmniej przez dobrą chwilę. Powinniśmy w ten sposób sporo zyskać na czasie. Może nawet wysuniemy się na prowadzenie.

- Rozumiem.

- Jak mówię prosto na wiatr, to dokładnie o tym właśnie myślę. Będzie ciężko, a ja będę cały zmoczony. Naprawdę uważam, że powinieneś zejść na dół.

Poe wypił trochę whisky. - Ciągle to powtarzasz. Nie ruszę się stąd.

- To chociaż załóż jakiś sztormiak. Nawet w nim będziesz przemoczony do suchej nitki.

Matthias nosił szorty koloru khaki, żeglarskie buty i czerwoną, nieprzemakalną kurtkę. Poe ubrany był w białe spodnie, czerwoną koszulkę polo i marynarskie buty. Myślał, że będzie w tym dobrze wyglądał.

- Za chwilę. - Poe napił się znowu. Naprawdę nie znosił, kiedy mówiono mu, co ma robić.

Spojrzał w górę na olbrzymie, napięte żagle, a potem rzucił okiem przez ramię na resztę żaglówek biorących udział w regatach. Inne łodzie wysuwały się do przodu.

- Nie martw się. Jak zaczną halsować, to zobaczysz jak w tym pośpiechu tracą prędkość.

- Będzie mi potrzebna lornetka, tak bardzo oddaliliśmy się na wschód.

- To jest zgodne z naszym planem.

- A co będzie, jeśli wiatr nie zmieni kierunku?

- Mówiłem już panu, że to hazard.

Płynęli w dalszym ciągu ukośnym kursem przez około godzinę. Na ile mógł ocenić Poe, przy ich zwiększającej się odległości od pozostałych łodzi, spadli na dwunastą lub trzynastą pozycję. Inna żagłówka z tej dalekiej grupy próbowała naśladować manewr Matthiasa, lecz zdecydowała się na to zbyt późno. Kiedy po jakimś czasie z niego zrezygnowała i wróciła do kursu północnego, znalazła się znacznie dalej z tyłu, niż wtedy kiedy podjęła manewr.

Poe patrzył na inną żagłówkę, przepływającą przez zachodni horyzont.

- Może powinniśmy pomyśleć o powrocie do innych? - zapytał.

- Teraz jest na to za późno. Wiatr wieje z północnego zachodu, więc musielibyśmy halsować, żeby do nich dołączyć. Prawdopodobnie dopłynęlibyśmy do mety jako ostatni.

Poe zapatrzył się na zachód. Linia chmur wydawała się teraz potężniejsza, bliższa. - Chyba wypadniemy z tego interesu.

Diandra mówiła Matthiasowi: „Musisz zrobić wszystko, żeby on wygrał te regaty”.

Pomyślał, że sam także wypadłby z tego interesu i to na dobre.

- Jeśli jest cokolwiek, na co zawsze możesz liczyć na tym jeziorze, to zmiana pogody - rzekł Matthias.

Linia chmur rzeczywiście szybko się przesuwała. Wierzchołki dużych, skłębionych cumulusów były wysokie i w ciągu kilku minut mogły zasłonić słabnące popołudniowe słońce. Grzywiaste fale wznosiły się coraz wyżej. Sztagi masztowe szumiały na silnym wietrze.

- Cindy! - wrzasnął Matthias, przekrzykując hałas. - Idź na dół i przynieś panu Poemu jakiś sztormiak.

Blondynka pobiegła do luku. Ktoś inny zajął jej miejsce przy wyciągu. Matthias poprzednio zmienił wielki kliwer dziobowy na mniejszy żagiel. Teraz wydał komendę wyluzowania głównego żagla o parę obrotów.

Łódź przechyliła się z ostrym szarpnięciem. Poe nalał sobie ponownie i bezmyślnie postawił swój kubek, żeby wziąć sztormiak od pospiesznie wracającej Cindy. Kubek przeleciał w poprzek kokpitu, jak wystrzelony z broni palnej. Fala, która chlusnęła o kadłub, oblała Poego, zanim zdołał założyć nieprzemakalną kurtkę. Zaklął. Chmury rozdierały się nad ich głowami.

Matthias, trzymając mocno koło sterowe, patrzył to na niebo, to na wodę. Na zachodzie zaznaczyła się cienka linia błękitu pomiędzy podstawą chmur a horyzontem. Biegła nieprzerwanie z północy na południe i powiększała się w oczach.

- Tam jest czyste niebo - powiedział Matthias. - To szybko przejdzie.

Poe kucnął, chwytając oburącz barierkę i zastanawiał się, czy nie powinien założyć kamizelki ratunkowej. Jeden z członków załogi zrobił to już wcześniej. Wzburzone fale pieniały się ponad przeciwległą barierką. Wydawało się, jakby bom i wydęty żagiel główny miały się za chwilę w nich

zanurzyć.

Nagle, z gwałtownym przechylem, łódź naprostowała się, a główny żagiel ogłuszająco załopotał.

- Mamy wiatr w żaglach! - krzyknął Matthias. Popatrzył w górę na wskaźnik kierunku wiatru umieszczony na małym maszcie z tyłu. - Wieje z północy! Świetnie!

Poe nic nie rozumiał. Blondynka znalazła się z powrotem przy wyciągu, patrząc wyczekująco na Matthiasa. Inni członkowie załogi popędzili do przodu.

- Przygotować się! - wydał komendę Matthias.
- Gotowi! - odezwała się chóralna odpowiedź.
- Ster na zawietrznię! - Matthias zakręcił kołem sterowym.

Poe zrobił unik, gdy wielki bom obrócił się ku niemu. Dziewczyna i inny członek załogi zajmujący miejsce obok, wściekle kręcili korbami. Dziób obrócił się ponownie w stronę wybrzeża. Żagle huczały wypełnione wiatrem, który wiał teraz od strony prawej burty. Matthias przesiadł się gwałtownie na przeciwległe miejsce. Poe chciał zrobić to samo, ale jego but pośliznął się na pokładzie ze szklanego włókna, więc gramolił się niezdarnie, a następnie podciągnął na siedzenie. Przechył był teraz większy niż przedtem; maszt pochylał się w stronę wybrzeża. Dziób uderzał o każdą kolejną falę.

- Świetnie! - krzyknął ponownie Matthias.

Poe założył na głowę kaptur swojego sztormiaka. Chciałby teraz znajdować się na swoim dużym jachcie motorowym i przyglądać się temu wszystkiemu.

Wydawało się, że żeglują prosto do brzegu, jednakże rzuciwszy okiem na linię dzioba, mógł dostrzec, że zbliżali się do niego pod wydłużonym i ukośnym kątem. Pozostałe łodzie żeglowały to w przód, to w tył, jakby kręciły się w kółko. Tak, jak Matthias przewidział *Lady P* ciągnęła równo, najpierw na ich trawersie, a potem na czele.

- Sukinsyn - powiedział Poe. - Jesteś geniuszem.
- Musimy jeszcze przepłynąć wzdłuż całego wybrzeża Wisconsin - rzekł Matthias. - Jeszcze daleka droga do mety.
- Ale będziemy prowadzić!

- Na razie. Będziemy jeszcze żeglować w ten sposób przez dwadzieścia, do trzydziestu minut. Potem trzeba będzie skierować się dokładnie na północ i halsować pod wiatr jak pozostali.

Poe klepnął go w ramię. - Nabrałem ogromnej wiary. - Spojrzał ponad poprzeczną belką ku tyłowi na łódź komandora, która znajdowała się za nimi w odległości równej dwóm lub trzem długościom boiska piłki nożnej. Kolejna żagłówka halsowała za nią. - Idę na dół.

- Suszy cię?

- Nie. Muszę porozmawiać z paroma osobami przez radio. Interesy.

„Możesz robić interesy z byle kim, ale żeglować możesz tylko z dżentelmenem” - powiedział kiedyś J.P. Morgan. Cóżby ten starszy pan zrobił z Poego?

- Ten wiatr będzie wiał z północy przez całą noc - powiedział Matthias.
- Będziemy mieli pełne ręce roboty z tym halsowaniem.

- Będę w mojej kajucie. Daj mi znać, jak ten sukinsyn znowu znajdzie się przed nami.

- Na pewno się znajdzie.

Poe patrzył na Cindy. Była ładniutka, z zadartym nosem, długimi nogami i świetną opalenizną. Gdyby była to jego łódź motorowa, mógłby poprosić ją, żeby zeszła z nim na drinka. Zastanawiał się, czy Curland miał z nią do czynienia. Według jego brata Christiana, miał romans z panną Langley. Pewnie obaj byli takimi samymi podrywaczami.

- Tylko tego nie spieprz, kapitanie - powiedział Poe.

Po omacku odnalazł drogę do pokrywy luku.

Zany spędził popołudnie, tak jak obiecał, jeżdżąc po Grand Pier, a po kolacji ponowił patrolowanie miasta. Zadowolony, że znalazł wszystko w porządku, udał się drogą międzystanową do St. Joseph, gdzie zatrzymał się przed biurem szeryfa hrabstwa. Nie zastał go, lecz znalazł zastępcę, z którym często chodził na ryby. Zastępca szeryfa pochodził stąd. Pracował przez kilka lat w siłach policyjnych Detroit, jednakże powrócił w rodzinne strony, kiedy miał tam dosyć horrenalnych i paskudnych przypadków.

- Kawy? - zapytał zastępca szeryfa, gdy Zany siadał na starym dREW-

nianym krześle obok biurka.

- Tak, proszę - odpowiedział Zany. - Zanosi się na kolejną długą noc.

- Ciągłe pracujesz nad sprawą tego morderstwa? - zapytał zastępca, przynosząc dwa plastikowe kubki.

Zany wypił mały łyk. Kawa była jeszcze gorsza niż w jego własnym komisariacie.

- Nieoficjalnie - rzekł. - Ojcowie miasta dali mi dziś reprimendę. Życzą sobie, żeby policja stanowa przejęła ten przypadek, a mnie chcą przydzielić do drobniejszych przestępstw, które się ostatnio u nas posypały.

- Nie możemy wam już przysłać więcej ludzi, teraz, kiedy mamy na głowie całą tę gównianą sprawę narkotyków w Benton Harbor.

Zany wzdygnął się na wzmiankę o tym chyłącym się ku upadkowi, sąsiadującym z St. Joseph mieście. Było tam równie dużo przestępstw jak w zachodniej części Chicago.

- Ktoś dziś zwrócił uwagę na to, że gdyby wiatr wiał w innym kierunku, ta łódź z martwą dziewczyną mogłaby przyplłynąć tutaj. Jak byście wtedy postąpili?

- To proste, do diabła. Zawiadomilibyśmy gliny z Chicago i próbowalibyśmy ustalić, gdzie dokonano morderstwa.

- Zrobiłem jedno i drugie. Chłopcy z Chicago niewiele mi pomogli. Są ostatnio bardzo zajęci. Koroner ustalił, że dziewczyna została zabita około północy. Prosiłem Straż Przybrzeżną, żeby mi opracowali prawdopodobny kurs łodzi - z Chicago jako punktem wyjściowym. Biorąc pod uwagę kierunek wiatru i tym podobne, doszli do wniosku, że przepłynęła ona prawdopodobnie dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil pomiędzy północą, a momentem, kiedy znalazła się w Grand Pier. Oznaczałoby to, że dziewczyna została zabita dość daleko na jeziorze.

- Ale nie wiesz, gdzie?

- Mogło się to stać w wielu miejscach, ale prawdopodobnie po jednej lub drugiej stronie linii oddzielającej wody stanu Illinois i Indiany. Wiesz, Indiana ma całkiem duży kawał jeziora.

- Masz zamiar wezwać chłopców z Indiany, żeby ci pomogli?

- Nie mam prawa wzywać nikogo. Mam rzec się tej sprawy, bo w przeciwnym wypadku... A to może oznaczać dla mnie utratę pracy.

- Co jest, do diabła? Mamy w naszej dokumentacji wiele nie wyjaśnionych przypadków morderstw i nikt ich do tego stopnia nie żyłuje.

Zany domyślał się, że chodziło głównie o sprawy z Benton Harbor.

- Do tej pory nic podobnego mi się nie zdarzyło. To nie o to chodzi, że oni się na mnie mszczą za dostanie po piętach. Przestępcy chcą wyrzucić na mnie nacisk, próbują powiązać moją osobę z pewną zamordowaną dziwką.

- Czytałem o tym. Chyba ją nieźle załatwili. Robota z podejrzeniem gardła i tak dalej. Czy chicagowskie gliny ustaliły coś w tej sprawie?

- Specjalnie jej nie badali. Zidentyfikowali tę kobietę, jako winną zabójstwa w ich wielkiej sprawie O'Rourke. Wszystko im ładnie pasowało. Nie wydaje mi się, żeby byli zainteresowani w węszeniu za czymkolwiek, co zagmatwałoby im to szczęśliwe rozwiązanie sprawy.

- Czy znasz policjanta, który ją prowadził?

- Taak. Frank Baldessari. To mój stary kumpel.

- A jakbyś się tam wybrał i spróbował coś zrobić, żeby ruszył tyłek? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to wydaje mi się, że gdybyś rozwiązał sprawę tej dziwki, miałbyś dobry trop na tego, kto załatwił tę twoją damę na jeziorze.

Zany wlepił wzrok w swą kawę. - Prawdę powiedziawszy, nawet o tym nie pomyślałem.

- Nie tylko naczelnicy policji są rozgarnięci.

- Kłopot w tym, że nie mogę się podjąć kolejnej podróży do Chicago. Przynajmniej oficjalnie.

- No cóż, chciałbym ci pomóc, Zany. Ale nie wiem, jak moglibyśmy się w to włączyć.

- Jest coś, co moglibyście zrobić, chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Co to takiego? Nie możemy delegować do was więcej ludzi.

- Nie o tym myślałem.

Bobby Mann spędził w kasynie większą część wieczoru, w pewnym momencie zerknął na zegarek, wrócił do gabinetu i włączył telewizor. Musiał poczekać dwadzieścia minut, zanim w wiadomościach o dziesiątej

podano sprawozdanie z regat żeglarskich. I nareszcie: wielkie, piękne zdjęcie jeziora Michigan w jasnym blasku słońca, skupisko łodzi na tle chicagowskiego nieba i ludzie zgromadzeni wzdłuż wybrzeża. Wiele miejsca poświęcono nowemu jachtowi Poego. Zakończono reportaż migawką ukazującą go przy kole sterowym, machającego ręką w momencie przekraczania linii startowej.

Mann przy pomocy pilota wyłączył telewizor, następnie przesunął swoje krzesło do okna, aby spojrzeć za czerń jeziora, rozciągającego się bezkresnie ku północy. Poe i jego łódź byli teraz daleko stąd, ale upłynie co najmniej jeden dzień, zanim dopłyną do Menominee. Powrót do Michigan City nastąpi o wiele później. Po regatach miało się odbyć wielkie przyjęcie w Menominee. Poza tym, Poe planował przyplłynąć z powrotem do Chicago na pokładzie swej łodzi.

Mango Bellini była w Chicago na starcie regat. Gdyby powróciła do Michigan City, nie pilnowałaby go. Mann prowadził ostatnio kasyno na własną rękę.

Powtórnie spoglądając na zegarek, otworzył szufladę swego biurka i z metalowego pudełka wyjął garść drobnych monet. Miał zamiar skorzystać z automatu telefonicznego, żeby odbyć parę rozmów międzymiastowych, lecz nie chciał, aby było to zarejestrowane na jego karcie kredytowej.

Włożył monety do kieszeni, zamknął pudełko i szufladę a następnie opuścił gabinet. Zatrzymał się na chwilę w barze na dole, gdzie wypił drinka i zapalił papierosa, po czym wszedł do hallu.

- Wychodzi pan na noc, panie Mann? - zapytał portier.
- Idę tylko odetchnąć świeżym powietrzem.

Wiatr był chłodny, wiał w stronę jeziora. Mann skręcił na promenadę, gdzie zobaczył parę obejmującą się przy barierce. Nie zwrócili na niego uwagi. Idąc wolnym krokiem, doszedł w końcu do drewnianych schodków prowadzących na parking. Z drugiej strony, blisko ulicy, znajdował się automat telefoniczny.

Znał numer telefonu w Atlantic City na pamięć. Cała rozmowa trwała niespełna minutę.

Po numer kolejnego telefonu musiał sięgnąć do kieszeni, skąd wyciągnął złożony kawałek papieru. Po szóstym sygnale odwiesił słuchawkę, a na-

stępnie natychmiast nakręcił numer ponownie.

- Taak?
- To ja. Jesteście na miejscu?
- Tak.
- Mam pozwolenie. Teraz wasza kolej.
- Dobra.
- Zróbcie to dobrze.

ROZDZIAŁ

9

Prognoza pogody zapowiadała silny front atmosferyczny, który miał nadejść tej nocy. Sztorm rozpełtał się krótko po północy, wzniecając nawałnicę ogromnych fal; *Lady P* zaczęła się gwałtownie kołysać, a jej dziób uderzał w odmęty z głuchym łoskotem i pluskiem.

Poe stoczył się ze swej koi. Wymiotował dwukrotnie tej nocy i bał się, że zrobi to jeszcze raz zanim zdąży dotrzeć do umywalki w małej łazience. Próbując to opanować, przesunął się ku tyłowi koi i czekał, aż poczuje się na tyle dobrze, żeby móc znowu się poruszyć.

Kiedy nudności minęły, stanął na nogi, jednakże nie umiał znaleźć lepszej pozycji niż skulenie się w tym ciągłym kołysaniu i balansowaniu. Trzymając się uchwyty, przebrnął do głównej kabiny, gdzie nie bacząc na hałas, spokojnie spali członkowie załogi. Poe chwiejnym krokiem dotarł do drabiny i podciągnął się do pokrywy luku. Była zamknięta ze względu na sztorm. Po otwarciu pokrywy wychylił głowę i natychmiast został zalany przez falę, która przewaliła się nad kabiną.

Matthias siedział przy sterze, wykrzykując komendy do znajdujących się na pokładzie członków załogi. Cindy wpychała żagiel do wielkiego worka. Jeden z młodych ludzi zaciekle ciągnął za sznur. Wszyscy nosili kamizelki ratunkowe, założone na sztormiaki.

Kolejna fala zalała Poego od tyłu.

Curland spostrzegł go, lecz jego uwaga natychmiast powróciła do sterowania łodzią.

- Co się dzieje? - wrzasnął Poe.
- Mamy sztorm i pełne ręce roboty. Niech pan lepiej zostanie na dole.
- Czy damy radę?

- Ustawilem sztormowy żagiel i wyluzowałem grotą do połowy! Przetrywamy to! Proszę się nie martwić! Niech pan zejdzie na dół!

- Czy płyniemy z kursem?

- Jestem trochę zajęty, panie Poe. Proszę wrócić na dół. Za chwilę do pana przyjdę.

Poe wytarł oczy, aby usunąć z nich wodę. Czując się niezbyt bezpiecznie, wszedł z powrotem do kajuty, aby także założyć kamizelkę ratunkową. Po chwili zawahał się. Nie wiedział, czy to pomoże złagodzić jego nudności, czy też je pogłębi, w każdym razie uznał, że przyszedł czas na kolejnego mocnego drinka. Udało mu się wyjąć butelkę Cutty Sark, nie tłukąc jej. Próbował nalać alkohol do plastikowego kubka, lecz rozlał go, napił się więc prosto z butelki. Po wypiciu dwóch dobrych łyków poczuł się pewniej i w chwilę później zaczął powtórnie się wspinać. Nie chciał, żeby któryś z członków załogi dał znać do prasy, że potężny Peter Poe przesiedział cały sztorm skulony w swojej kajucie. Poza tym nie był pewien, czy chciałby przebywać na dole w przypadku, gdyby łódź odwróciła się do góry dnem.

Zanim Poe zdążył wspiąć się po drabince, spostrzegł schodzącego w dół Matthiasa, który go przepuścił i bardzo zręcznie skierował się do małego stolika. Pochylając się nad nim, zapalił małą lampkę i wyjął zrolowaną, plastikową mapę.

- Czy zabłądziliśmy? - zapytał Poe.

Curland zignorował jego pytanie. Po odłożeniu mapy na miejsce, skierował się do drabinki i wspiął się z powrotem do pokrywy luku.

- Daj bardziej na prawą burtę i wyluzuj grotą! - krzyknął do kogoś przy sterze. - Zmień kurs o dwadzieścia stopni!

Po zatrzaśnięciu pokrywy, ześliznął się ponownie w dół i usiadł na małym taborecie przymocowanym do podłogi.

- Chcesz się napić?

Matthias spojrzał na niego z pobłażaniem.

- Przepraszam - powiedział Poe. - Jesteś na służbie. Jaka jest sytuacja?

- Sztorm jest silniejszy niż zapowiadały prognozy - odpowiedział Matthias łapiąc oddech. - Określam siłę wiatru na trzydzieści pięć węzłów. Wieje z północnego zachodu.

- Myślałem, że z północy.

- To jest jezioro Michigan, panie Poe. Pogoda zmienia się szybko. Panujemy nad naszą łodzią, ale trochę się martwię o te mniejsze. Nie chciałbym, żeby powtórzyła się historia z Fastnet Rock.

- Co to, do diabła, było?

- Organizowano coroczne regaty wzdłuż wybrzeży Anglii do małej wyspy o nazwie Fastnet Rock. Kiedyś, w latach siedemdziesiątych, straszliwy sztorm rozpuścił się w czasie tych zawodów w połowie drogi. Rozbiło się chyba około tuzina łodzi. Wiele osób utonęło. Ted Turner wygrał te regaty. Przymocował się do swojej łodzi, związując się ze sterem. Ludzie z jego załogi opowiadali, że trzymał się go kurczowo przez całą drogę, wykrzykując na wietrze kursy, jakie należało brać.

- Turner to zrobił?

- Są różne opinie o nim, jako o kapitanie, ale nikt nie wątpi w jego odwagę.

- Czy ciągle prowadzimy?

- Zanim rozpoczął się sztorm, łódź komandora znajdowała się około pięćdziesięciu jardów za nami i w takiej samej mniej więcej odległości od lewej burty. Inne, które mogłem dostrzec, były znacznie bardziej z tyłu.

- Jak mógł nadrobić taki kawał drogi?

Matthias uśmiechnął się. - Ma w swej załodze ludzi, którzy brali udział w Olimpiadzie.

- Czy naprawdę są o tyle lepsi od naszych?

- Są cholernie dobrzy. Poza tym on ma lepszą łódź.

- Gównol! Zabiję tego Yeatsa!

- *Lady P* to dobra żaglówka. Musieliśmy halsować w prawo i w lewo przez całą noc, a komandor wraz z załogą są w tym nie do pobicia. Jeśli wiatr znowu się zmieni po przejściu tego frontu, a myślę, że to wkrótce nastąpi, będziemy mogli powrócić do stabilnego żeglowania i do prowadzenia. Komandor jest bystry i bardzo doświadczony, ale nie ma w nim tego, co nazwałbyś diabelską przebiegłością. Jest zbyt konserwatywny, żeby podejmować duże ryzyko.

- Hej, a kto prowadzi naszą łódź? - zapytał Poe.

- Cindy jest przy sterze. Niech się pan nie martwi. Jest najlepsza z naszej załogi. Prawie tak dobra jak Jill. Wie pan, one były przyjaciółkami.

Poe zmarszczył brwi. - Może powinieneś wrócić tam na górę?

- Mam zamiar, jak tylko skorzystam z toalety. A pan może spokojnie wrócić na swoją kaję.

Poe potrząsnął głową, po czym podniósł butelkę i pociągnął z niej spory łyk.

- Jesteś pewien, że nie chcesz ani kropli? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Poe odstawił butelkę do szafki i skierował się do drabinki.

- Gdzie pan idzie? - zapytał Matthias.

- Do góry. Chcę widzieć to wszystko.

- To niebezpieczne, wie pan.

Poe uśmiechnął się szeroko. - Przywiążę się do czegoś, jak Ted Turner.

O świcie sztorm ucichł, pozostawiając kryształowo czyste niebo. Odległe wybrzeże Wisconsin rysowało się ostro, jak wygrawerowane w bladej poświacie. Wiatr nie wiał już z taką wściekłą mocą jak poprzednio, lecz był ciągle silny. *Lady P* płynęła bardzo szybko, pozostawiając na wodzie spieniony ślad.

Poe zeszywniał z zimna. Gdy odwrócił głowę w tył, aby zobaczyć inne łódzie, odczuł ból w karku.

Łódź komandora miała chyba jakieś kłopoty, ponieważ została daleko w tyle, zachowując jednak ciągle drugie miejsce. Znajdowała się teraz o dobrą milę na zachód od jachtu Poego. Kierując wzrok na południe, mógł rozróżnić pięć lub sześć innych żaglówek.

- Mam nadzieję, że żadna nie poszła na dno - rzekł Poe tak, jakby właśnie to wypadało powiedzieć.

- Myślę, że wszyscy są w porządku - powiedział Matthias. Cindy siedziała obok niego. Pomimo zimna spała z głową opartą o jego ramię. - Nie słyszeliśmy żadnych apeli o pomoc. Pozostałe łódzie rozciągnęły się prawdopodobnie za nami wzdłuż całego wybrzeża. Pewnie niektóre z nich musiały zatrzymać się, żeby przetrwać burzę.

- Dlaczego łódź komandora tak się wlecze?

- Może pękła mu lina, albo rozdarł lub zgubił żagiel. Niech pan się nie martwi. Zaraz nas dogoni. Zmienił żagle i teraz postawił z powrotem swój wielki grot.

- A co z nami? - Poe spojrział do góry na napinające się płótno.
- Zmienię żagiel za parę minut. Chcę jeszcze trochę zaczekać przy tym wietrze. Mimo wszystko mamy doskonały czas, ale wiatr opada i zmienia się na południowo-zachodni. Jeśli w dalszym ciągu będzie wiał od tyłu, postawię spinaker.

- Czy to taki wielki żagiel, podobny do balona?
- Jest bardzo piękny.
- Czy jesteś pewien, że wiatr nie wieje za mocno? Kiedy dotrzemy do Green Bay?

- Jutro w ciągu dnia. Proszę się odprężyć, panie Poe.

Utrzymali prowadzenie w ciągu tego całego długiego dnia, lecz łódź komandora stopniowo się do nich zbliżała. O zachodzie słońca płynęła już równo z nimi, a potem powoli zaczęła wysuwać się do przodu.

- Zostajemy z tyłu - powiedział Poe.
- Na razie - odrzekł Matthias. Siedział na belce poprzecznej, trzymając mocno koło sterowe przy pomocy stopy. - Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić. Płyniemy dobrym kursem, wiatr wieje od tyłu. Postawiłem każdy cal żagla, jaki miałem w zasięgu rąk. Spinaker jest znakomicie ustawiony. Faktem jednak jest, że ten dżentelmen ma najlepszą łódź na jeziorze.

- Gdyby to były wyścigi samochodowe, moglibyśmy uderzyć go zderzakiem w bok.

- Ale najpierw musielibyśmy go dogonić. Poza tym nie byłoby to uznane za sportowe zachowanie. Dostałby pan lekcję. Prawdopodobnie zostałby pan zdyskwalifikowany. A gdyby pan wygrał, zabraliby panu nagrodę.

Poe wlepił wzrok w pokład kokpitu. Jego nudności ustąpiły miejsca głodowi.

- Czy dziś wieczorem znów powierzysz wachtę tej dziewczynie? - zapytał w końcu.

- Powiedziałem już, że Cindy jest najlepsza z naszej załogi.

- Lubisz ją?

- Bardzo.

- Ona też na pewno cię lubi.

- Panie Poe, ona jest córką mojego starego przyjaciela.

- Chciałbym, żeby Diandra mogła nas zobaczyć. Chyba nie uwierzyłyby, że tak sobie radzę.

- Jestem pewien, że ma do pana całkowite zaufanie. Ja mam. Poradził pan sobie bardzo dobrze tej nocy.

- Pomogła mi butelka.

- Mnie alkohol nadmiernie rozluźnia. To mąci umysł, panie Poe.

- To twój umysł tu się liczy. I na imię mi Peter, do cholery. Daj spokój i przestań nazywać mnie panem Poe.

Matthias spojrział w stronę zachodzącego słońca i wysłał kogoś z załogi, żeby zapalił światła pozycyjne. Komandor zapalił już swoje.

- Czy podoba ci się Diandra? - zapytał Poe.

- Ma pan uroczą żonę.

- Mówiłem poważnie o namalowaniu jej portretu.

- Byłbym szczęśliwy, malując jej portret, ale mój brat robi to znacznie lepiej.

- Chcę ciebie i chcę, żeby to był akt.

- Nie jestem pewien, czy byłoby to właściwe.

- Jest modelką. Pozowała nago fotografom. To była reklama balsamu do ciała.

- Panie Poe... Peter. Sally i ja mamy się pobrać.

- Taak? Czy to prawda?

- Nie uzgodniliśmy jeszcze daty, lecz to prawda.

Czerwone światło odległej boi zamigotało ku nim na znak, że zbliżali się do brzegu.

- To będzie zależało od twojej sytuacji finansowej, prawda? - zapytał Poe.

- Częściowo. Ale nie myślę, żebyśmy zmienili zdanie. To tylko kwestia ustalenia terminu.

- Naprawdę chcesz zaprojektować mój budynek?

- To dla mnie fantastyczna okazja. Poza tym, postawienie takiej budowli w tej dzielnicy byłoby bardzo korzystne dla miasta.

- Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji.

- No to biorę się w garść.

Poe, zeszywniały, podniósł się, żeby lepiej widzieć łódź komandora. -

On chyba śmieje się z nas w kułak.

- Dam głowę, że jest z siebie bardzo zadowolony. Wygrywał te regaty przez trzy lata z rzędu, od kiedy ma tę łódź.

- Czy nie możemy nic zrobić, żeby go trochę przyhamować?

Matthias już wiedział, że trzeba zapłacić za wszystko, co się wzięło w życiu. Nigdy tylko nie było wiadomo, kiedy nadejdzie rachunek, ani na jaką sumę będzie wystawiony.

Właśnie otrzymał taki rachunek i to bardzo wysoki. Jeśli go nie zapłaci, jeśli teraz nie zrobi tego, co przyczyni się do wygrania regat przez Poego, to nie będzie żadnego budynku. W każdym razie, nie będzie to jego budynek. Wszystkie jego nadzieje i plany znikną bezpowrotnie, jak ślad łodzi pozostawiony na wodzie.

- Jest pewien sposób - powiedział Matthias, marszcząc brwi. - Nie jest to niedozwolone, lecz zrobiłbym to niechętnie.

- Ja jestem zapisany w książce portowej, jako kapitan, więc co ci zależy?

- Ja mam dobrą opinię, Peter. Wielu moich przyjaciół bierze udział w tych regatach.

- Niewiele ci pomogli, jak mieszkałeś na tej plaży we Francji.

- Nie prosiłem ich o pomoc.

- To o co chodzi? Co miałeś na myśli?

Matthias westchnął. - On będzie w dalszym ciągu płynąć przed nami. Jak już znajdzie się w bezpiecznej odległości od naszego dziobu, będziemy mogli ustawić się za nim i skrać mu wiatr. Będzie musiał wtedy zboczyć z kursu, żeby się nas pozbyć, a my odzyskamy prowadzenie. Na jakiś czas.

- Zrób to.

- To trochę trudne. Jeśli nie będziemy dość ostrożni, możemy najechać mu na rufę i spowodować zderzenie. Nawet jeśli łodzie nie zostałyby poważnie uszkodzone, wyeliminowano by nas z regat.

- Zrób to.

- Może się do mnie więcej nie odezwać.

- Ja się będę odzywał.

Matthias powtórnie westchnął. - Jesteś twardym kapitanem, Peter.

Odczekał około pięciu minut, do momentu, kiedy dziób *Lady P* dzieliła

wystarczająca odległość od rufy łodzi komandora. Wtedy Matthias skręcił koło sterowe i zarządził wyluzowanie grota i kliwra. Dziób skierował się na lewo i w krótkim czasie *Lady P* znalazła się dokładnie za wyprzedzającą ją łodzią. Matthias ponownie wypuścił bom. Wkrótce grot wrzynał się w prawą wantę masztu.

Poe przeszedł do przodu i schylając głowę, spojrzął spod kliwra. Łódź komandora zmniejszyła prędkość. W gasnącym świetle dnia zobaczył, że jej grot obluzował się.

- Będziemy szybko zbliżać się do niego - ostrzegł Matthias.
- Nie zmartwię się, jeśli podpłyniesz na tyle blisko, żeby pocałować go w tyłek.
- Będzie chciał kopnąć w nasze tyłki.
- Zbliżamy się, Matt.

Podpłynęli tuż tuż do łodzi komandora, która wydawała się teraz większa. Jej sternik próbował utrzymać prowadzenie. Poe spostrzegł członków załogi, biegających po pokładzie.

Nagle spinaker ich jachtu załopotał, po chwili wydał się znowu, a następnie poluzował się i opadł.

- To wszystko, na co mogliśmy liczyć - powiedział Matthias. - Zabierze mu trochę czasu, zanim nadrobi tę stratę.

Poe uśmiechnął się. To zaczęło mu się podobać. I to on powziął decyzję. Był naprawdę kapitanem tej łodzi.

Lady P sunęła do przodu. Dzieliły ich tylko sekundy od zderzenia, kiedy Matthias mocno zakręcił kołem sterowym i ich łódź obróciła się w lewo. Wydawało się, że uderzy jacht komandora w jego tylną część, jednak przemknęła tuż obok.

Przez pewien czas obie żagłówki płynęły obok siebie, przy czym *Lady P* znajdowała się nieco ku tyłowi. Załoga jachtu komandora była zajęta, lecz on sam, stojąc przy sterze, patrzył na nich i wygrażał im podniesioną pięścią. Słysząc było jego ochryply, podniesiony głos.

- Przeklęte lotry!

Poe roześmiał się na całe gardło. Kilka minut potem mieli już znaczną przewagę.

Jednak po chwili jego twarz sposepniała. - Matt, a jeśli on spróbuje zrobić

nam to samo?

Matthias miał nadzieję, że jego odpowiedź nie dotknie Poego.

- Komandor - powiedział - jest dżentelmenem.

Komandor był poza tym uparty. Dwukrotnie w ciągu nocy dogonił *Lady P* i wyprzedził ją, zmuszając Matthiasa do powtórzenia manewru z blokowaniem wiatru. Komandor posunął się nawet do wyłączenia lamp pozycyjnych, narażając Matthiasa na ryzyko zderzenia. Migotliwe światło gwiazd wystarczało jednak w zupełności, aby rozróżnić w półmroku zarysy ogromnego żagla i Matthias, przyklejony do łodzi komandora czuł się zażenowany swym postępowaniem. W końcu komandor, mając dosyć halsowania, które zniosło go daleko na prawą burtę, zostawał coraz bardziej w tyle, i przesunął się ku środkowi jeziora, gdzie *Lady P* nie mogła już wchodzić mu w drogę.

- To mamy go z głowy - powiedział Poe.

- Nie licz na to - odrzekł Matthias. - Jak dopłyniemy do półwyspu Door County, linia brzegowa skieruje się na wschód. Będziemy musieli sterować tam na prawą burtę. Jestem pewien, że rano znowu będziemy rywalizować z komandorem, nie mówiąc już o tym, co nas czeka w Menominee.

Obaj mężczyźni byli bardzo zmęczeni.

- Będę się o to martwić jutro - powiedział Poe. - Idę się położyć. A ty?

- Jeszcze nie. Chyba zostaną trochę z Cindy w czasie jej wachty. Na wypadek, gdyby komandor próbował znowu nas wyprzedzić.

- Jesteś całkowicie oddany tej sprawie, Matt. Chciałbym, żeby pracowało dla mnie więcej ludzi takich, jak ty.

- Jeśli nie oddasz się całkowicie regatom żeglarskim, nie powinieneś w nich uczestniczyć. - Matthias zamilkł.

- Czy jeszcze coś cię trapi, Matt?

- Tak. Od wielu dni. Nie bardzo wiedziałem, kiedy o tym powiedzieć.

- Coś o twoim bracie, Christianie? Czy może ma to związek z Diandrą?

- Nie. Zastanawiałem się, czy masz coś wspólnego z umieszczeniem mojego ojca w Radzie Wydziału Zieleni Miejskiej.

- Dlaczego pytasz? Czyż to nie jest dobry pomysł?

- On jest już dość starym człowiekiem i nie cieszy się najlepszym zdrowiem.

- Vito Marzullo pracował w Radzie Miejskiej mając ponad dziewięćdziesiąt lat.

- Po prostu obawiam się, że mój ojciec nie będzie szczególnie energicznym członkiem Rady, jeśli w ogóle się do tego nadaje. Rozmawiałem z nim o tym. Muszę powiedzieć, że liczył na powtórny wybór do rady Ochrony Lasów.

- Jest człowiekiem wyróżniającym się. Po całej tej aferze O'Rourke, Wydział Zieleni Miejskiej musi odzyskać trochę poważania w oczach ludzi. Wybór twojego znajomego, Coopermana, na prezesa pomoże mu w tym. Nie rozumiem, dlaczego się skarżysz.

- Nie skarżę się. Po prostu się zastanawiałem, w jakim stopniu brałeś w tym udział.

- Nie pociągałem żadnych sznurków, ani nic takiego. Zasugerowałem to jednemu facetowi i to wszystko. To było dość powszechnie akceptowane. Nawet burmistrz się na to zgodził. Twoja rodzina cieszy się cholernie dobrą reputacją w Chicago.

- No to dobranoc, Peter.

- Dobranoc, Matt. Pomyślnych wiatrów.

*

**

O wschodzie słońca łódź komandora była ciągle za nimi po prawej stronie, lecz nie znajdowała się już daleko. Kursy obu żaglówek zdążyły ku sobie, zatem wchodził w grę kolejny pojedynek, z którego komandor prawdopodobnie wyszedłby zwycięsko. Wiatr wiał teraz od zachodu, lecz jego siła znacznie się zmniejszyła. *Lady P*, lżejsza od jachtu komandora miałyby większe szanse przy dobrej pogodzie, lecz łódź rywala i tak miała przewagę. To, co mogło zadecydować o zwycięstwie, znajdowało się przed nimi: było to przepłynięcie wokół cypla półwyspu Door County i wejście do zatoki Green Bay. Gdyby *Lady P* miała wygrać te regaty, musiałyby to stać się tutaj.

Na południowym horyzoncie za nimi były widoczne trzy żagłowki, lecz nie stanowiły dla nich zagrożenia.

Matthias wyszedł z powrotem na pokład po zaledwie czterogodzinnym

śnie. Pozostawił Cindy przy sterze, lecz zajął miejsce obok niej, przynosząc dla nich obojga jagodzianki i kawę. Inni członkowie załogi, którzy przyszli zmienić wachtę, przeciągali się i ziewali. Niewiele w tej chwili mieli do roboty, żeby utrzymać kurs łodzi.

Poe wstał dopiero późnym rankiem. Pomimo że się umył, ogolił i zmienił ubranie, ciągle wyglądał mizernie. Matthias zastanawiał się, czy nie dlatego, że wypił przed snem jeden lub dwa kieliszki. Wydawało się całkiem nieprawdopodobne, żeby ten człowiek tak zaniedbał swą dyscyplinę wewnętrzną. Być może próbował zachowywać się jak Ted Turner, który po wygraniu Pucharu Ameryki robił miny do kamer telewizyjnych z butelką whisky w ręku.

- Gówno! - krzyknął Poe, patrząc na wschód. - Ten sukinsyn ciągle tam jest.

- Myślę, że znowu nas wyprzedzi - rzekł Matthias. - W każdym razie mam nadzieję, że zostawimy go z tyłu na dobre, gdy skręcimy na zachód. Obawiam się, że będziemy zmuszeni podjąć kolejne ryzyko.

- A cóż to takiego?

Matthias zawołał kogoś z załogi, żeby przyniósł mu mapę. Rozłożył ją na kolanach i wskazał ich obecne położenie koło miasteczka Bailey's Harbor leżącego na półwyspie Door County.

- Tutaj, pomiędzy końcem półwyspu i tą dużą wyspą - Washington Island - znajduje się le Strait des Mortes, droga do zatoki Green Bay. W tłumaczeniu znaczy to: Cieśnina Śmierci. Po angielsku nosi nazwę Przejścia Bramy Śmierci. Jest bardzo niebezpieczna dla takich dużych łodzi jak nasze. Na dnie leży mnóstwo wraków. Kilka wieków temu setki Indian utonęły tutaj, gdy rozpętał się sztorm nad ich wojennymi canoe.

- W jakim stopniu jest niebezpieczna?

- Nie byłoby problemów, gdyby wpłynąć w środek i żeglować zgodnie z mapą, ale to trwałoby długo. Gdybyśmy natomiast ścięli ostro na południowy zachód i płynęli blisko brzegu tutaj, koło Gill's Rock, moglibyśmy zapewnić sobie prowadzenie i to z dużą przewagą, chyba że się po drodze wpakujemy na skały i utoniemy. Nie wyobrażam sobie komandora, próbującego takiego kursu. Jego łódź ma większe zanurzenie od naszej, a poza tym on naprawdę ją kocha.

- Myślisz, że ja nie kocham *Lady P*?
- Ledwie ją znasz.
- Ale na pewno kocham mój własny tyłek i nie mam doprawdy ochoty podzielić losu tych potopionych Indian. A w jaki sposób unikniesz tych skał i mielizn?

- Już tutaj żeglowałem. Pięciokrotnie brałem udział w tych regatach. Mapa jest całkiem dobrze oznaczona. Poza tym mam zamiar wystawić na dziobie czujkę, która będzie pilnie obserwować wodę przed nami. Pozostaje jeszcze modlitwa, co może nie byłoby najgorszym pomysłem, jeśli w ogóle to robisz.

- Świetnie!
- Już tu żeglowałam - powiedziała Cindy. - Płynęłam blisko wybrzeża obok Gill's Rock.

Poe popatrzył na nią. Nie pozostawiała mu wyboru. Peter Poe nie mógł okazać się facetem, który ma mniej ikry niż jakaś dwudziestoparoletnia blond Yuppie.

- Chcę wygrać te pieprzone regaty, kapitanie - powiedział Poe. - Pozwól jej pruć.

Matthias wolałby, żeby Poe użył odpowiedniejszego słowa.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, odbijając się w falach migocącym światłem, gdy płynnie skręcił koło sterowe, kierując dziób żaglówki ku szerokiej przestrzeni wodnej oddzielającej stały ląd od wyspy. Łódź komandora, znajdująca się przed nimi z prawej strony, zmieniła właśnie kurs i kierowała się wyraźnie ku środkowi cieśniny. Matthias płynął potulnie za nią, co bez wątplenia czyniło komandora całkowicie pewnym siebie. Sosny, rosnące wzdłuż urwistego wybrzeża z szarego łupku, wyznaczały ich drogę. Wiatr ochłodził się nieco i wiał teraz z północnego zachodu. Poe dostrzegał fale rozbijające się u stóp ułożonych warstwowo skał wybrzeża.

- Kiedy masz zamiar to zrobić?
- Jak tylko znajdziemy się na wysokości tego cypla - powiedział Matthias, wskazując przed siebie. - Zaraz tam będziemy.

Matthias zarządził, żeby wszyscy założyli kamizelki ratunkowe, więc Poe także ubrał się w swoją. Zastanawiał się, gdzie najlepiej stanąć w czasie tej trudnej przeprawy i postanowił, że ustawi się obok ściany kabiny. Był

tam uchwyt, którego można by się złapać w niezbyt widoczny sposób, a poza tym, stanowisko to znajdowało się obok poręczy, co byłoby korzystne w razie konieczności opuszczenia łodzi. Woda tutaj, tak daleko na północy, jest zimna, lecz nie lodowata.

Jego punkt obserwacyjny zapewniał dobry widok na dziób łodzi. Poe pomyślał, że to, co go czeka, nie może być dużo gorsze od tego, co przeżywał prowadząc samolot podczas burzy. Dokonywał tego sam jeden i z pewnością wychodził z tego cało.

Słyszał, jak Matthias zarządził zmianę kursu. Dziób obrócił się ponownie, a grot i kliwer wydeły się bardziej na bok. Młody człowiek, siedzący na dziobie patrzył przez lornetkę. Inni członkowie załogi także ich używali.

Matthias nie patrzył przez lornetkę. Jego wzrok utkwiony był w łodzi komandora, ale Poe miał nadzieję, że tylko chwilowo.

- Trzymaj się twardo swojego kursu - powiedział Matthias. Uśmiechnął się szeroko. - Chyba myślisz, żeśmy powariowali.

Poe też się uśmiechnął. Miał ochotę na kolejnego drinka, lecz odpędził od siebie tę myśl. Był na siebie wściekły za koszmarnego kaca, który psuł mu teraz taki dzień.

Lady P mknęła żwawo naprzód. Jeśli to się zdarzy, pomyślał Poe, zdarzy się to nagle i niespodziewanie. Aż do tego momentu wszystko będzie przebiegać tak gładko, jak na niedzielnej przejażdżce statkiem. Zastanawiał się, czy załoga nie powinna wyluzować żagla, żeby posuwać się wolniej i ostrożniej, ale, do licha, w tym śmiałym manewrze chodziło właśnie o to, żeby płynąć szybko.

Poe był wściekły, że nie zabrał ze sobą kamery video. Tak czy inaczej, te regaty przejdą do historii.

Za pierwszym wystającym cyplem pojawił się następny, większy. Wydawało się, że Matthias prowadzi łódź prosto na niego. Wybrzeże zbliżyło się. Poe usłyszał szum fal.

Jak szybko płynęli? Dwanaście, piętnaście węzłów? Próba, która ich teraz czekała, miała być szczególnie uciążliwa i długotrwała. Borowanie zęba u dentysty wydawało się przy tym dziecinną igraszką.

Jak Diandra zniosłaby coś takiego? A jak zachowałaby się Mango? Wyobraził ją sobie stojącą na dachu kabiny, z rękami na biodrach, śmiejącą

się z odrzuconą do tyłu głową. Ta dziewczyna była kompletnie zwariowana. Czasami.

Mewy krążyły nad ich głowami i Poemu wydawało się, że to sępy. Widział kiedyś mewy dziobiące martwe ryby na plaży blisko kasyna. Czy jadłyby również zwłoki ludzkie wyrzucone na brzeg? Żywiły się przecież odpadkami. Zjadłyby wszystko.

Poe był tak zamyślony, że krzyk czuwającego na dziobie członka załogi zaskoczył go. W pierwszej chwili nie wiedział co się dzieje. Nikt się nie poruszył poza Matthiasem, który szarpnął kołem sterowym w stronę prawej burty. Pozostali patrzyli na lewą.

Poe rzucił się na drugą stronę i chwycił poręcz. W pierwszej chwili zobaczył tylko wodę, lecz potem spostrzegł zarys ciemnoszarej skały tuż pod jej powierzchnią. Przypominała grzbiet ogromnego wieloryba.

Przepełnęli obok tej przeklętej skały w odległości nie większej niż dziesięć stóp. Poe spodziewał się ulgi i radosnego uniesienia, gdy niebezpieczeństwo minęło, lecz ponure milczenie załogi trwało nadal. Czekala ich jeszcze daleka droga.

Czuwający na dziobie chłopak znowu krzyknął.

Do czasu, kiedy opłynęli drugi cypel i po lewej stronie ukazał się mały port rybacki Gill's Rock, zmienili kurs chyba ze sześć razy, przeciskając się pomiędzy przeszkodami to w prawo to w lewo. Jedna ze skał znajdowała się tak blisko, że Poe mógłby wychylić się i dotknąć jej ręką. Dwukrotnie kil otarł się o dno. Poe poczuł drżenie pokładu pod stopami, lecz zgrzytliwy dźwięk szybko ustąpił.

Powierzchnia wody przed nimi usiana była punkcikami kutrów rybackich. Blask zachodzącego słońca oblewał wszystko jasnym i złocistym światłem. Teraz dopiero załoga zaczęła się cieszyć. Uśmiechnięty Matthias przekazał ster Cindy. Wstając wyprostował plecy i przeciągnął się.

ROZDZIAŁ

10

Lady P przepłynęła linię mety ponad siedem minut przed łodzią komandora. Mając kiedyś Jill Langley w swej załodze, Matthias wygrał te regaty o prawie pół godziny przed innymi. Tym razem, chociaż nie było tego po nim widać, cieszył się w nie mniejszym stopniu. Dla Poego ta siedmiominutowa przewaga była równie ważna, jak wyprzedzenie Rosjan w lądowaniu na Księżycu.

Matthias przekazał mu ster, jak tylko przebili się przez mnóstwo kutrów rybackich za nabrzeżem Gill's Rock. Komandor podjął ostatnią, desperacką próbę, płynąc wzdłuż zachodniej strony wyspy Chambers szybkim wiatrem bocznym, podczas gdy *Lady P* żeglowała ostro pod wiatr wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy. Manewr ten jednak został podjęty zbyt późno. Poe, kierując swój jacht do ujścia rzeki Menominee, wyglądał jak Krzysztof Kolumb powracający do Hiszpanii.

Zakończenie regat nie odbywało się z takim rozmachem, jak finisz Pucharu Ameryki. Znajdowali się przecież na południowym krańcu Górnego Półwyspu Michigan, a nie w Newport lub San Diego. Było tu jednak sporo małych, zakotwiczonych łodzi, czekających na ich przybycie i znaczna liczba widzów na nabrzeżu. W basenie portowym przygrywała nawet pięcioosobowa orkiestra.

Ogromną satysfakcję sprawił Poemu widok czekającej na nich przy ujściu rzeki łodzi prasowej zatłoczonej fotoreporterami i operatorami telewizyjnymi, wśród których znajdowało się z pewnością wielu dziennikarzy z Chicago. Poe był tak zajęty pozowaniem im przy sterze, że Matthias był zmuszony zwrócić mu ostro uwagę, by manewrował na lewą burtę, gdyż ich łódź mogła osiąść na mieliźnie.

Po spuszczeniu kotwicy w miejscu wyznaczonym przez statek eskortujący, Poe i Matthias weszli na jego pokład. Cindy i reszta załogi pozostali na *Lady P*, żeby sprzątnąć żagle i zejść na ląd później. Przedstawiciele komitetu regat, którzy czekali w basenie portowym, powitali Poego gorąco, ale prezentacja nagród oraz przedstawienie zwycięzców zostały odłożone do osiągnięcia mety przez inne łodzie i określenia oficjalnego czasu przepływu dla każdego z zawodników.

Nie przeszkodziło to reporterom tłoczyć się wokół Poego, który przybierał pozę bohaterskiego zdobywcy i przytaczał szczegóły niebezpiecznej przeprawy, podkreślając łatwość, z jaką odniósł zwycięstwo. Zręcznie wplótł w swą wypowiedź rewelacje, że żeglowanie spodobało mu się do tego stopnia, iż stracił zainteresowanie prowadzeniem drużyny baseballowej, w związku z czym prawdopodobnie zrezygnuje z kupna zespołu White Sox. Powiedział jednak, że ma zamiar nabyć większą łódź i poważnie myśli o wzięciu udziału w kolejnych regatach o Puchar Ameryki.

Diandra, stojąc z brzegu tłumu, ociągała się z podejściem do Poego. Był niezadowolony, że nie podbiegła, aby mu pogratulować. Wezwał ją krótkim ruchem ręki. Spełniła to polecenie, poruszając się z wdziękiem wśród zgromadzonej publiczności. Pocałowała Poego na użytek fotografów, a następnie stanęła otaczając go ramieniem. Wyglądała trochę jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych w białych, luźnych spodniach oraz granatowej bluzce z apaszką w tym samym kolorze.

Zdjęła okulary słoneczne do zdjęcia. Gdy Poe skończył z nią pozować, założyła je z powrotem i odeszła, zbliżając się do Matthiasa.

- Dokonałeś tego - powiedziała spokojnie.
- Nie było to łatwe. Jestem zdumiony, że nam się udało.
- Czy Peter robił tam cokolwiek?
- Widziałś go na starcie, jak rozpoczynał zawody. Pozostał ze mną na pokładzie w czasie silnego sztormu, a potem przejął ster na ostatnim odcinku.
- Po tym, jak ty wygrałeś regaty.
- Biorąc pod uwagę okoliczności, spisał się dzielnie. To jego łódź. Ma prawo przeżywać chwilę tryumfu.

Komandor zjawił się na brzegu z kwaśną miną. Zignorował tłum zebrany

wokół Poe'go i skierował się prosto do budynku sąsiadującego z basenem portowym, który służył za pomieszczenie dla komitetu regat. Poe rzucił na niego okiem, po czym odłączył się od tłumu i podszedł do Matthiasa i Diandry.

- O co mu chodzi? - zapytał.
- Mogę się tego domyśleć.
- Protest?
- Tak.
- Czy możesz się tym zająć? - zapytał Poe. - Mam parę telefonów do załatwienia.

Matthias skinął głową.

- Czy może zrobić z tego użytek? - zapytał Poe.
- Nie. Nie podpłynęliśmy do niego tak blisko. Lecz cokolwiek teraz powie, znajdzie się to w gazetach.
- Niekoniecznie. Zaprosiłem wszystkich dziennikarzy do hotelu na małe przyjęcie. Zamówiłem dwa apartamenty i pokoje, dla ciebie i załogi.
- Czy chcesz, żebym poszła z tobą, Peter? - zapytała Diandra.
- Chcę, żebyś odegrała rolę gospodyni na przyjęciu dla pismaków z gazet. - Spojrzał na Matthiasa. - Chcę, żeby załoga też tam przyszła. Może ta twoja Cindy zajmie się dziennikarzami, żeby odwrócić ich uwagę od biadolenia komandora.

Matthias ponownie skinął głową. Załoga, bez wątplenia, pragnęła najbardziej gorącego prysznica i snu. On sam chciał dokładnie tego samego.

- Zobaczmy się niebawem, Matthias - powiedziała Diandra.

Coś zmieniło się w niej, intonacja głosu, ostrość spojrzenia. Matthias zastanawiał się, czy Poe nie wdał się w jakąś sprzeczkę tego wieczora. Przypuszczał, że raczej nie.

Patrzył, jak wsiadali do wielkiej czerwonej limuzyny, żeby przejechać krótki odcinek do hotelu, po czym skierował się do komitetu regat. Zaczynał te zawody mając wielu przyjaciół wśród innych załóg. Teraz mógł mieć ich znacznie mniej.

Poe zadzwonił najpierw do Mango Bellini, która zgodnie z poleceniem,

czekała w jego chicagowskim biurze.

- Dosłownie wszyscy do ciebie dzwonili, Peter. Odebrałam telefony od ustawodawców stanowych, radnych miejskich, dwóch banków, Bitsie Symms i od faceta z Cudahy-Brown.

Poe siedział w sypialni swego apartamentu, za drzwiami zamkniętymi na klucz. - Czy oni, do cholery, nie wiedzą, że przez trzy dni byłem na żaglówce?

- Chyba chcą, żebyś do nich zadzwonił w pierwszej kolejności.

- Czy któraś z tych spraw jest istotna?

- Nie sądzę.

- Czy jest coś innego, o co powinienem się martwić?

- Jest, do jasnej cholery. Bobby Mann.

- Mango. Ta rozmowa idzie przez hotelową centralę.

- Rozumiem, ale posłuchaj uważnie. Bobby miał gości - trzech facetów, których gęby naprawdę mi się nie podobały. Poza tym dzwonił z automatu telefonicznego. Automatu telefonicznego! Mann wychodzi ze swojego biura i idzie do automatu telefonicznego koło deptaka, myśląc, że nikt tego nie widzi.

- Skąd o tym wiesz? Przecież jesteś w Chicago.

- Kazałam dwóm chłopakom od nas, żeby go śledzili. Mann poznał tych trzech typów w pewnej pijackiej melinie w Valparaiso. To takie miejsce, z którego trudno wyjść żywym, rozumiesz?

- Porozmawiam z nim, jak wrócę. Żeglowanie z powrotem potrwa dalsze trzy dni albo więcej, bo nie będziemy musieli już tak zapieprzać tym gratem.

- Nie mogę tak długo czekać, Peter.

- Obiecałem Diandrze podróż powrotną na jachcie. Wiesz, taki mały rejs. Ona naprawdę cieszy się na to.

- Bobby zachowuje się jakoś dziwnie. Na przykład zrobił się dla mnie taki miły. Byłam tam wczoraj wieczorem. Zwracał się do mnie jak do damy albo prawdziwej królowej. Zwykle, jak cię nie ma, on traktuje mnie jak szmatę.

Poe zdjął buty i skarpetki. Zamyślony, zapatrzył się w swoje boscie stopy.

- Jak myślisz, dziecinko, o co mu chodzi? - zapytał.

- Myślę, że twoi partnerzy, przyjaciele Bobby'ego z Atlantic City planują zrobić coś szybkiego w związku z twoją nową metodą księgowania. Być może nawet zmiany w zarządzaniu. Myślę, że te trzy kundle są przedstawicielami ich interesów. Nie mów później, że cię nie ostrzegałam.

- W porządku, ostrzegałaś mnie.

- Przy okazji, ci zasrani ustawodawcy stanowi zrobili się strasznie pracowici, Peter. Przedłużyli sesję, żeby zająć się projektem twojej ustawy dotyczącej muzeum, ale nie było w pobliżu nikogo, kto by dał im znak. Izba zajmie się tym projektem jutro w drugim czytaniu. Cholernie głupio wybraliście z Billem Yeatsem czas na to żeglowanie.

Poe spojrział przez okno. Inne łodzie żaglowe zbliżały się do małej przystani. A on po prostu wygrał te regaty. Dlaczego miałby dawać się tak zastraszyć?

- Rozluźnij się, Mango. Wynajmę samolot, zgoda? Polecę nim sam. Będzie tu dziś wieczorem uroczysta kolacja z wręczaniem nagród. Nie pozwolę Bobby'emu Mannowi, żeby mi to spieprzył.

- Gratuluję ci, Peter. Musisz czuć się wspaniale po pokonaniu wszystkich tych konkurujących z tobą sukinsynów. Ale ta sprawa jest poważna. Im wcześniej przylecisz, tym lepiej. Będę na ciebie czekać na lotnisku Meigs w jednej z twoich limuzyn. Daj mi znać przez radio, kiedy przylecisz. Myślę, że powinniśmy mieć w pobliżu parę zycziwych osób.

- Dobra. Czy, poza tym, jest spokój?

- Tak. Względny spokój.

- Utrzymaj taki stan. Nie wychodź do parku na żadne spacerki, dobra?

- Kocham cię, Peter.

- Ja ciebie też, dziecinko.

- Czy zabierzesz ze sobą Diandrę?

- Zobaczymy.

- Może nie, co? Będziemy mogli się trochę zabawić.

- Do zobaczenia, Mango.

Po odłożeniu słuchawki usiadł na chwilę. Krasowski miał dwa pistolety w samochodzie. Do tego doszło! Najpotężniejszy człowiek w Chicago poci się ze strachu przed kilkoma kanałiami! Przejmuje się strzelaniną!

Jak wreszcie skończy z tymi szujami, to będzie miał spokój. „Możesz

prować interesy z byle kim, lecz żeglujesz tylko z dżentelmenami”, jak to powiedział Curland. Od tej chwili, wyłącznie z dżentelmenami.

Komandor wniósł dwa protesty: jeden przeciwko *Lady P* i drugi, przeciwko łodzi Yeatsa. Komitet regat wstrzymał się z rozpatrzeniem skarg do czasu, kiedy przybyła i złożyła zeznania większość kapitanów innych jednostek. Gdy zostało to dopełnione, szybko ogłoszono werdykt. Skarga przeciwko *Lady P* została oddalona. Łódź ta w żadnym stopniu nie zakłóciła żeglowania jachtu komandora, jako że podbieranie wiatru było taktyką powszechną i dopuszczalną, chociaż nie stosowaną przez dżentelmenów. Yeatsa natomiast potraktowano surowo. Trzech kapitanów innych łodzi widziało, jak sterował prosto na jacht komandora. Yeats został zdyskwalifikowany, a jego czwarte miejsce przekazano kolejnej łodzi. Komisja zignorowała zarzut komandora, że Poe skłonił Yeatsa do podjęcia podstępnych manewrów. Oczywiście komandor nie mógł tego udowodnić, a okoliczność, że Yeats jest prawnikiem Poego, nie stanowi wyjątku. Liczni żeglarze biorący udział w regatach wchodzą w skład zarządów korporacji, w których zasiadają członkowie innych załóg. Nawet osobisty lekarz komandora uczestniczył w tych zawodach.

Wściekły komandor zapowiedział usunięcie Yeatsa z jego Yacht Klubu. Ponadto wyraził się bardzo nieprzychylnie na temat złożonego przez Poego wniosku o przyjęcie do klubu.

Komandor wciągnął żagle i wyruszył bez zwłoki w drogę powrotną do Chicago. Kapitanowie innych łodzi wraz z załogami, jak również wielu żeglarzy z Door County, którzy oglądali finisz regat ze swoich jachtów lub motorówek, wzięli udział w przyjęciu. Przemówienia i żarty trwały znacznie dłużej niż zniecierpliwiony Poe by sobie tego życzył, lecz w końcu nastąpiło wręczanie nagród. Trofeum Poego - pozłacany puchar - był znacznie mniejszy, niż się tego spodziewał. Poe skomentował regaty krótko, lecz ku zdumieniu wielu obecnych, przypisał Matthiasowi duży udział w ich zwycięstwie, mówiąc o nim jako o swym sterniku i nawigatorze. Przez chwilę celebrował podpisanie czeku na sumę stu tysięcy dolarów na rzecz jego fundacji, lecz nie wypowiedział się na temat, jak te pieniądze będą spożyt-

kowane.

Poe postanowił zwołać w tym celu kolejną konferencję prasową w Chicago. Da mu to okazję, by ustosunkować się do zarzutów komandora i wykazać, że ten stary zrzęda nie umie pogodzić się z porażką. Mógłby nawet zasugerować, że gdyby komandor wygrał regaty, przekazałby sto tysięcy dolarów na cele „charytatywne”, czyli Partii Republikańskiej. Burmistrzowi spodobałoby się to.

Rozpoczęły się tańce. Poe pochylił się ku Diandrze, lecz nie poprosił jej do tańca.

- Dzwoniłem do Chicago - powiedział. - Niestety, mam mnóstwo pilnych spraw do załatwienia. Zarezerwowałem lot learem ze Sturgeon Bay. Wracam tej nocy - za chwilę. Czy chcesz polecieć ze mną?

Dobrze wiedział, że odmówi.

- Jeśli nalegasz, Peter.

- Nie nalegam. Chciałaś wracać na pokładzie *Lady P*. Dlaczego miałybyś z tego rezygnować? Curland, tak czy inaczej, musi ją odprowadzić z powrotem. Jest tam przyjemna kajuta. Jakiś alkohol. Miło spędzicie czas.

Spojrzała przez stół na Matthiasa, który rozmawiał z tą blondynką z załogi.

- Jak sobie życzysz - powiedziała Diandra. Zastanowiła się przez chwilę. - Chciałabym w drodze powrotnej zatrzymać się w Door County. Nigdy tam nie byłam.

- Świetnie, jeśli tylko sobie tego życzysz.

- Będzie mi tam potrzebny samochód. Chciałabym przejechać się po okolicy.

- Powiem Lenny'emy, żeby zaprowadził tam samochód. Gdzie ma na ciebie czekać?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Może w Ephraim? Tam jest dobra przystań. Dobrze?

- Przyjemnej podróży, Peter.

Pocałował ją w policzek, wstał i biorąc w ręce złoty puchar, poklepał Diandrę po ramieniu.

- Matt - powiedział - będziesz miał jutro jednego pasażera, dobrze? Panią Poe. Ja wracam samolotem.

- Wraca pan?
- Interesy.
- Postaram się, żeby ta podróż była bardzo przyjemna.
- Jestem pewien, że ci się to uda. Ona chce zatrzymać się w Door County. Wyślę samochód do Ephraim. Do widzenia wszystkim. Świetnie się spisaliście.

Poe pomachał do członków załogi i skierował się szybko do wyjścia. Nagle zatrzymał się i skinął na Matthiasa. Curland niepewnie się podniósł i podszedł do niego.

- Daję ci tę robotę - powiedział Poe. - Chcę, żebyś zaprojektował mój budynek. Czy cię to urządza?

- Bardziej niż urządza.
- Na pewno?
- Ten budynek stał się dla mnie prawie obsesją.
- Znakomicie. - Poe klepnął go po ramieniu. - Nic nikomu nie mów.

Nawet Sally. W dalszym ciągu chcę zapowiedzieć to z wielkim szumem, dobra?

- Oczywiście.
- Twój kosztorys będzie okazały, wiesz? Około miliona, gdy już wszystko będzie ustalone i zrobione.

- Nie mam pojęcia.
- A ja mam.

Poe ruszył powtórnie ku wyjściu.

- Przepraszam, a który projekt pan wybrał? - zapytał Matthias. - Wieżowiec, czy ten kompleks?

- Jeszcze się nie zdecydowałem - powiedział Poe przez ramię, nie zatrzymując się.

Cindy poprosiła Matthiasa do tańca i zatrzymała go na parkiecie przez dwa kolejne kawałki. Kiedy powrócili, Diandra siedziała samotnie, znużona i nieszczęśliwa. Muzyka była za szybka dla Matthiasa, lecz mimo to podszedł do Diandry i zapytał, czy nie zechciałaby zatańczyć. Znużona, zgodziła się z ociąganiem.

Tak jak się spodziewał, tańczyła przepięknie, chociaż ceremonialnie zachowując pewną odległość od Matthiasa. I tym razem, nosząc wysokie

obcasy była od niego o cal lub dwa wyższa.

- Czy dobrze się bawisz? - zapytał.

Odwrociła ku niemu głowę i spojrzała w jego oczy. - Teraz już lepiej, ale jeszcze nie całkiem.

- Przykro mi.

Diandra powiodła wzrokiem po sali. - Czy moglibyśmy wyjść?

- Jeśli sobie tego życzysz.

- Chciałabym się trochę przejść. Może wzdłuż rzeki.

Pomimo wysuniętej na północ szerokości geograficznej tego miejsca, noc była ciepła. Diandra utrzymywała między nimi pewną odległość, dopóki nie doszli do promenady wiodącej wzdłuż wybrzeża rzeki. Wtedy wzięła go pod rękę.

- Peter wydawał się opanowany - powiedziała. - Sądziłam, że będzie kręcił młynki, skakał w górę, krzychał.

- Domyślam się, że jest czymś zaabsorbowany.

- Zawsze jest czymś zaabsorbowany. Jediną rzeczą, jaka odwiódłaby jego myśli od interesów, byłaby lobotomia, a i to chyba nie poskutkowało.

Znaleźli się pod drzewami, a następnie znów wyszli na otwartą przestrzeń. Światła statków migotały w łagodnej ciemności.

- Dlaczego go poślubiłaś? - zapytał Matthias.

Odwrociła ku niemu głowę, patrząc w jego oczy.

- Przepraszam - powiedział - to była impertynencja.

- Nie o to chodzi. Wiesz, to śmieszne, ale ja zadaję sobie to samo pytanie. Z tą różnicą, że zadawałam je sobie wiele razy, włączając moją noc poślubną.

- Jestem bezczelny.

- Przestań być taki oficjalny, Matthias. Zaczyna mnie to już drażnić.

Szli dalej. Muzyka orkiestry dochodziła do nich z oddali.

- Myślę, że wyszłam za niego głównie z ciekawości - powiedziała w końcu, a jej głos ponownie nabrał miękkości. - Miałam duże powodzenie jako modelka i zarabiałam pięćset dolarów za godzinę na nowojorskich pokazach. Ta praca jest ciężka. Nie można odrzucić żadnej propozycji. Czas biegnie, jeśli rozumiesz, co mam namyśli. Propozycji, którą odrzucisz mając dwadzieścia lat, nigdy powtórnie nie otrzymasz po trzydziestce. Ale ta praca

dawała mi satysfakcję. Lubiłam ten tryb życia, podróże. Nie miałam zamiaru wychodzić za mąż, przynajmniej nie wtedy. A na pewno nie za takiego patologicznego egoistę jak Peter. Gdy mi się oświadczył, powiedziałam „nie”. Odrzuciłam go wtedy.

- W końcu jednak powiedziałaś „tak”.

- Ale nie dla jego pieniędzy, jak pewnie myślisz, chociaż przyznaję, że to jest przyjemne. Oświadcza mi się bogaci mężczyźni przed nim, większość z nich to głupcy, którzy mają bzika na punkcie swych finansów. Znasz ten typ. Na przyjęciu u Bitsie Symms było pełno takich facetów.

Zwolniła krok. Szli teraz bliżej siebie.

- Wszyscy chcieli po prostu kupić piękną kobietę. Trochę tak było z Peterem. Możesz być tego pewien. Ale było w tym coś więcej. Uważał, że jestem zdolna i że poza pełnieniem roli dekoracji mogę być także pożyteczna. On był trochę inny niż pozostali. Nie wystarczało mu być bogaczem i być z tego zadowolonym. Peter prowadzi wielką rozgrywkę ze światem, zawody, wojnę, jeśli tak to wolisz określić i zależy mu na wygranej. Zafascynowała mnie myśl, żeby być przy nim do końca, żeby zobaczyć, czy odniósł zwycięstwo. Byłam ciekawa, jak to jest, być panią Poe.

- Teraz już wiesz.

- Wiem.

- No i?

Obróciła się ku niemu i spojrzała na niego w słabym świetle, jakby szukając oparcia. - To nie to, czego oczekiwałam. Brak mi podniety, brak wyzwania. On trzyma mnie z dala od swoich spraw, ale myślę, że byłabym przerażona tym, co odkryłam, gdyby mnie w to wciągnął. Pomimo to ciężko mi tak żyć, poza nawiasem. Moje życie jest na ogół rozpaczliwie nudne. Czuję się bardzo samotna.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Wszyscy mamy jakieś zmartwienia. Moje nie są jeszcze takie najgorsze.

- Czy go kochasz? - Zaskoczyła go jego własna śmiałość. Ten nie całkiem czysty chwyt, jaki zastosował wobec komandora, w jakiś sposób go zmienił, wydobyl na powierzchnię coś, co dawno ukryte było w nim głęboko.

- A czy ty kochasz Sally Phillips?

Śmiałość za śmiałość. Nie znalazł odpowiedzi.

- Nie odbierz tego źle, Matthias, ale ja zawsze miałam nadzieję, że pokocham kiedyś kogoś takiego jak ty - kulturalnego, romantycznego, bardzo inteligentnego. Kogoś, kto mógłby napisać dla mnie wiersz lub namalować mój portret.

Wyciągnęła rękę spod jego ramienia. - To było jeszcze na uczelni, dawno temu. - Zatrzymała się nagle, patrząc w górę. - A cóż to za niezwykłe zjawisko?

Podłużny, opalizujący, przejrzysty obłok poruszał się nad ich głowami, bardzo wysoko w górze. Było to zdumiewające zjawisko atmosferyczne na bezchmurnym i pokrytym jasnymi gwiazdami niebie.

- Jest całkowicie niezwykłe - odrzekł Matthias. - To zorza polarna. Skupisko gazów tysiące mil stąd, które załamuje światło słoneczne.

- To piękne. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Zwykle nie jest widoczna tak daleko na południe, ale czasem umożliwiają to szczególne warunki atmosferyczne.

- Boże, to cudowne.

Znów pochyliła się ku niemu. Stali obok siebie z głowami odchylonymi do tyłu. Zrobiła głęboki wdech, potem następny i kołysząc się lekko, zamknęła oczy.

Nie mógł się oprzeć. Podejrzywał, że właśnie tego od niego oczekiwała.

Jej wargi rozchyliły się lekko, gdy ją całował. Łagodnie przyciągnął ją bliżej. Poddała się temu, lecz potem stężyła i wyswobodziła się z jego ramion.

- Przysporzy to nam obojgu niemałych kłopotów.

- Przepraszam.

Wzięła jego rękę w swe dłonie. - Nie trzeba, nie przepraszaj mnie. Ja się po prostu nie zastanowiłam.

- Może powinniśmy wrócić.

- Tak. Musisz być zmęczony po tym żeglowaniu.

- Nie za bardzo. Odnoszenie zwycięstwa jest zawsze pobudzające.

- Peter często to powtarza. Będziesz mógł jeszcze potańczyć z twoją przyjaciółką, Cindy. Jest dziś w świetnej formie. Ja idę do łóżka. Chcę trochę

poczytać. - Zatrzymała się i odwróciła. - Tam, po przeciwnej stronie zatoki jest Door County?

- Tak. Mały kawałek stanu Maine, tutaj, na Środkowym Zachodzie.
- Czy moglibyśmy tam zjeść obiad?
- Oczywiście. Jest tam taka skandynawska restauracja w Sister Bay z prawdziwymi kozami na dachu.
- Mam nadzieję, że ten dach jest solidny.

Skierowali się w stronę hotelu. W hallu, koło wind, Matthias pocałował Diandrę w rękę i powiedział jej dobranoc. Po chwili rzekł: - Twój mąż powiedział mi, że chce budować ten dom według mojego projektu.

Diandra uśmiechnęła się nieco cynicznie. - Matt, on podjął tę decyzję w momencie, kiedy spojrzał na twój projekt.

Pozostał na przyjęciu tylko tyle czasu, ile wymagało pogadanie z paroma starymi znajomymi i upewnienie się, że jego załoga ma wszystko, czego trzeba i że się dobrze bawi. Miał zamiar sprawdzić łódź, lecz zmęczenie po zawodach zaczęło dawać o sobie znać. Usprawiedliwiwszy się więc przed samym sobą, poszedł na górę. Miał nadzieję, że nie stracą zbyt dużo czasu na dodatkową podróż do Door County. Był tak niecierpliwy, żeby jak najszybciej zacząć pracę nad projektem, jak niecierpliwe jest dziecko oczekujące gwiazdkowych prezentów.

Wszedł do swego pokoju i stwierdził, że pokojówka pościeliła mu łóżko, zostawiając zapalone światła. Na komodzie stały dwie butelki: ginu oraz whisky, a koło nich lód i parę naczyń do mieszania drinków. Prezent od Poego. Matthias zignorował to, lecz obok zauważył kopertę, na której widniały słowa: „Matthias Curland, architekt”. Wewnątrz znalazł czek od Poego na sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Miał dostać jeszcze więcej. Milion dolarów, jak powiedział Poe. Byłoby to dosyć pieniędzy, żeby na dobre skończyć z wszystkimi kłopotami, żeby zadośćuczynić zobowiązaniom, jakie miał wobec swoich przodków. Żeby kupić sobie wolność, która umożliwiłaby mu wyprostowanie życia i znalezienie innej perspektywy.

Usiadł na łóżku patrząc na czek, następnie złożył go i schował do portfela. Włączył telewizor. Po kilku końcowych minutach komedii sytuacyjnej rozpoczęły się wieczorne wiadomości nadawane z Green Bay. Ku zdziwie-

niu Matthiasa, migawki z regat żeglarskich zostały pokazane na samym początku programu, nie musiał więc na nie czekać do części sportowej dziennika. Na wstępie znalazło się długie ujęcie *Lady P* dopływającej do mety, a potem migawka ze zbliżeniem promieniejącego Poego przy sterze - w głębi widać było jego samego oraz Cindy.

Więcej było ujęć Poego w basenie portowym. Matthias zastanawiał się, w jaki sposób, chicagowskie stacje telewizyjne przedstawiały te regaty. Tutaj Poemu robiono taką reklamę, o jakiej mógłby tylko marzyć. Dziennikarz komentujący zawody ani słowem nie wspomniał o proteście złożonym przez komandora. Matthias uśmiechnął się. Nad tym człowiekiem czuwała opatrność albo zawarł on pakt z diabłem.

Kolejnym punktem wiadomości było doniesienie o wraku jakiegoś samochodu na autostradzie między stanowej. Matthias wyłączył telewizor i skierował się do łóżka, myśląc o tym, jak błogi będzie jego sen tej nocy, w przeciwieństwie do tyłu poprzednich. Wtedy zauważył, że migocze czerwone światełko przy aparacie telefonicznym, oznaczające, że jest dla niego jakaś wiadomość.

Wiadomość pochodziła od Diandry i była krótka. Podawała mu numer swojego apartamentu, który znajdował się tuż obok, przy hallu. Matthias podniósł słuchawkę telefonu, ale po chwili ją odłożył. Nie prosiła, żeby do niej zadzwonił.

Przysiadł na moment, żeby się zastanowić. Jedyne, czego w tej chwili potrzebował, to zanurzyć się w poduszce i natychmiast zapaść w sen. Mógłby porozmawiać z Diandrą jutro rano. Mógłby usprawiedliwić się zmęczeniem lub późną porą. Lub wreszcie skłamać, że przeoczył wiadomość.

Delikatnie zapukał do jej drzwi, mając niejasną nadzieję, że Diandra już śpi i nie usłyszy jego pukania. Miał już odejść, gdy drzwi otworzyły się.

W pokoju panował mrok.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała. - Nie chcę być sama tej nocy.

Zamknęła za nim drzwi. Miała na sobie jedwabny szlafrok. Pociągnęła za pasek, rozchylając go, i bez wahania padła w jego ramiona. Jej pocałunki były twarde i wygłodniałe, zęby ostre, język gorący. Żar promieniował z nich i spowijał oboje. Szlafrok zsunął się z niej. Ręce wędrowały po całym

jej ciele. Szarpała jego ubranie. Odsunął się o krok i razem z nią, niezgrabnie i nerwowo zdjął je z siebie. Wtedy zaczęli poruszać się, wirować, aż padli na łóżko. Pościel była chłodna, potem gorąca, wreszcie nieważna. Matthias czuł jej wilgotne ciało obok swego, jej nogi, brzuch, piersi i jej ramiona otaczające go ciasno. Jego twarz w jedwabistych włosach, głowa odurzona cudownym zapachem jej szyi. W pewnym momencie wyczuł, że jej mięśnie sztywnieją; zatrzymała się nagle.

Oddychała ciężko. - Czy... masz... coś?

Przerwał, niezdarnie unosząc się nad nią. Po chwili zorientował się, co ma na myśli. Wygramolił się do swego ubrania i po omacku wyjął z niego portfel.

Kiedy wrócił, Diandra leżała prosto i nieruchomo. Odwróciła się ku niemu, wygięła i unosząc nogi, rozchyliła je. Ta przerwa kosztowała ich trochę, chociaż teraz Matthias zaczął myśleć. Czy był szalony? Co mogło wyzwolić to szaleństwo w nim, w niej? To było coś więcej niż samotność, zauroczenie i namiętność. To był gniew. Oboje byli własnością Petera Poe i buntowali się przeciwko niemu. Do diabła z tobą, Peterze Poe. Pieprzę cię. Matthias nigdy tak nie mówił, lecz powtarzał to wiele razy w myślach, a teraz wypowiadał to na głos.

Uciszyła go pocałunkiem, obejmując go ciasno swym ciałem. Słowa znikły i zostały zapomniane. Ogarnęło go niezwykle, przyprawiające o zawrót głowy poczucie szczęścia, tłumiące wszystko inne, wszelkie dźwięki, wszelki ruch.

Usnęli obejmując się ramionami. Obudził się później i zobaczył, że przeniosła się na drugą część łóżka. Wydawało mu się, że słyszy jak płacze, lecz miał jedynie niejasne poczucie, że to złuda. Sen czał się obok i po chwili powrócił.

Kiedy obudził się powtórnie, pokój wypełniało miękkie, szare światło płynące z okien. Diandra leżała odwrócona do niego plecami. Zastanawiał się kiedyś, jak ona wygląda nago. Teraz był zdziwiony widząc jej, jakże kobiece okrągłości, zmiękczające kontury długiego i smukłego ciała. Botticelli malował takie właśnie kobiety, Modigliani też. A on sam ją namaluje. Tę kobietę.

Usiadł, czując pulsujący ból w tylnej części głowy. Był całkowicie roz-

budzony i odczuwał dziwny chłód. To był już następny dzień. Wiedział, że drogo zapłaci za to szalone zapomnienie i że wkrótce się o tym przekona.

ROZDZIAŁ

11

Zarówno Zany, jak i miasto odetchnęli z ulgą, gdy przestępczość w Grand Pier obniżyła się do poprzedniego poziomu, to znaczy, jedynie przypadków pijaństwa i drobnych wykroczeń. Uczyniło to obecność zastępców szeryfa oraz oddziałów policji stanowej nieco krępującą. Pomimo to Zany w dalszym ciągu robił wszystko, aby widziano go, gdzie się tylko da. Wpadał do sklepów, restauracji i kawiarni, i patrolował osobiście ulice miasta oraz główną drogę dojazdową, co najmniej dwukrotnie w ciągu nocy. Jego działaniem dodatkowym, wymierzonym w ściśle określonym kierunku było polecenie funkcjonariuszom, aby częściej zatrzymywali kierowców. Każdy, kto wjeżdżał do miasta szarą furgonetką, był automatycznie kontrolowany.

Nie miał wątpliwości, że traci tylko czas. Doszedł do irracjonalnego, lecz absolutnie pewnego wniosku, że tak długo, jak nie zajmie się powtórnie zabójstwem Jill Langley, będzie trwał ten spokojny i błogi stan. Przeczuwał, że w momencie kiedy pojedzie do Chicago, żeby znowu tam węszyć, ponowi się atak na Grand Pier, pomimo obecności zastępców szeryfa i oddziałów stanowych. To było tak, jak w jednej z jego diabelskich gier komputerowych, tylko że to, tutaj, działa się naprawdę.

Pierwsza wizyta, jaką odbył tego ranka miała miejsce w plażowym sklepie żony, gdzie wziął sobie wydanie *Chicago Tribune*. Czytał, popijając kawę przy małym bufecie. Kiedy dotarł do rubryki sportowej, rzuciło mu się w oczy ogromne na cztery kolumny zdjęcie zamieszczone na pierwszej stronie działu. Dotyczyło zwycięskiego zakończenia wielkich regat żeglarskich na jeziorze Michigan i przedstawiało Poego, Matthiasa Curlanda i jakąś ładną dziewczynę stojącą przy sterze, która uśmiechała się do niego tryumfalnie z gazety. Zany odpowiedział jej takim samym uśmiechem, a

następnie wylał trochę kawy na zdjęcie. Jego żona, spojrzała na niego tak, jakby zwariował. Być może w pewien sposób frustracja mąciła mu umysł.

Nie jeździł do Chicago, lecz parokrotnie dzwonił do Franka Baldessari, mówiąc mu o powiązaniach pomiędzy Jill Langley, braćmi Curland, Laurencem Trainem i Peterem Poe i prawie błagając przyjaciela, żeby poszedł tym tropem. Jednakże porucznik nie wykazał zainteresowania. Sugestia Zany'ego, żeby porównać odciski palców zdjętych z siedzenia samochodu O'Rourke z odciskami dziewczyny znalezionej z podejrzanym gardłem, zdenerwowała Baldessarięgo.

- Czy myślisz, że tego nie zrobiłem? - zapytał. - To nie były jej odciski. No i co z tego wynika? O'Rourke miał z pewnością połowę chicagowskich dziwek w swym samochodzie.

- Czy nie sprawdziłeś ich w komputerze FBI?

- Nie wtrącaj się do mojej roboty, dobrze, Zany? Chyba masz dość własnych kłopotów na głowie.

Baldessari jednak w małym stopniu pomógł Zany'emu, polecając swym detektywom, żeby pogadali z tyloma przyjaciółmi i znajomymi Jill Langley, ilu będą mogli znaleźć. Zlecił im także, aby dotarli do posiadaczy żaglówek w przystani, gdzie po raz ostatni widziano Jill Langley. Przesłał Zany'emu obszerny raport, lecz żadne z tych działań nie okazało się użyteczne. Uśmieł się z sugestii, żeby zaprowadzić podsłuch u Traina i Curlandów.

Były też inne sposoby robienia postępów w tej sprawie. Zany poinformował zaprzyjaźnionego z sobą od dawna reportera z Chicago o wszystkim, co wiedział w tajemniczej sprawie obrazów, jak również o interesującym fakcie, że kopia płótna *Czerwona wieża* została skradziona wraz z jego rzeczami osobistymi, które znaleziono następnie w mieszkaniu prostytutki podejrzananej o zamordowanie O'Rourke. Dziennikarz ten, Marty Kileen z *Tribune*, wydawał się tym, co najmniej, zainteresowany.

Zany zaczął również dzwonić do jednostek policji z innych miast, których wydziały włamań mogły zarejestrować kradzież dzieł sztuki lub znać szczegóły w sprawach fałszerstw obrazów. Początkowo sporządził sobie listę dużych miast, lecz potem skoncentrował się na tych, w których znaczny odsetek stanowiła populacja pochodzenia niemieckiego, jak Milwaukee, Baltimore i oczywiście Filadelfia. Obietnica pomocy, jaką uzyskał w paru

miastach, wydawała się szczerą.

Zaświtało mu w głowie, o czym powinien zresztą już dawniej pomyśleć, że jego domowy telefon mógł być na podsłuchu i że międzymiastowe połączenia mogłyby sprowokować nową falę miejscowych przestępstw. Później więc zaczął używać automatów telefonicznych, posługując się kartą kredytową kompanii A.T.T. Miał nadzieję, że Judy nie będzie zbyt głośno lamentować z powodu wysokich rachunków telefonicznych.

Po wylądowaniu na lotnisku Meigs Field, Poe udał się do swych chicagowskich apartamentów wraz z Mango, która wyłożyła mu ponure szczegóły kłopotliwego położenia jego kasyna, a potem dała mu jedną z najbardziej wyrafinowanych nocy w jego życiu. Następnego rana polecieli razem helikopterem do kasyna w Michigan City. Znaleźli tam Bobby'ego Manna przygotowującego sobie grunt pod nogami w rozmowie z kierownikiem kasyna. Gdy zobaczył wchodzących Poego i Mango, upuścił kieliszek, który trzymał w ręku. Poe był teraz pewien, że coś poważnego tu się święci i że Mango referując mu sprawy, nie przesadzała. Widok Manna pijącego alkohol o tak wczesnej porze, zaskoczył Poego, gdyż ten prawie nigdy tego nie robił.

- W porządku - powiedział Poe, gdy znalazł się z Mango sam na sam w swym gabinecie. - Nie mam więcej wątpliwości. Co z tym zrobimy?

- Mam zamiar zorganizować ci spotkanie - odrzekła. - Z pewnymi ludźmi, którzy staną się być może twymi nowymi partnerami i którzy będą cię, do cholery, traktować o wiele lepiej.

Diandra nie wyszła ze swego apartamentu hotelowego przed śniadaniem, przesyłając Matthiasowi wiadomość, że dołączy do nich na łodzi. Przybyła późnym rankiem, mając na sobie białe, luźne spodnie, koszulkę bawełnianą projektu któregoś z wielkich domów mody, okulary słoneczne i wielki kapelusz.

- Nie lubię wystawiać się zbyt mocno na słońce - powiedziała, gdy pomagał jej wejść na pokład. - Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym została przez jakiś czas w kabinie?

- Diandro, to twoja łódź - odpowiedział Matthias. - Zostań, proszę, tam, gdzie tylko zechcesz. Twoja kabina jest z przodu, na lewo od drabinki. Ta druga jest moja.

- Na lewo. Dziękuję ci bardzo.

Odwróciła się do niego plecami, jakby był recepcjonistą hotelowym.

Po ustawieniu się na kursie większość załogi również udała się na dół, potrzebując snu. Bawili się przez prawie całą ostatnią noc, włącznie z młodym człowiekiem, którego Matthias poprosił o sprawdzenie łodzi.

Żeglowali przez Green Bay bez problemu, płynąc stałym pełnym wiatrem. Diandra wyszła na pokład dopiero wtedy, kiedy zbliżali się do przystani Orła Efraima, zaznaczającej się na horyzoncie wysoką wieżą kościoła.

Znajdując w kokpicie cień, jakiego poszukiwała, zdjęła z głowy kapelusz i przyglądała się uważnie linii brzegowej w kierunku południowym.

- Żeglowanie nie jest ciekawe, gdy siedzi się w kabinie - powiedziała.

- Czy jesteś pewna, że chcesz płynąć do Chicago? Mogłabyś polecieć samolotem ze Sturgeon Bay.

- Sama nie wiem. Głupio by wyglądało, gdybym tak się spieszyła z tym powrotem. Peter pomyślałby, że coś się stało. Coś pomiędzy nami.

- A czy się stało? Wyglądasz na nieszczęśliwą.

- Nie chcę o tym mówić.

Cindy siedziała przy korbie na prawej burcie. Podniosła się i poszła w kierunku dziobu.

Było już dobrze po południu, gdy spuścili kotwicę, wzywając statek pilota z portu trzykrotnym sygnałem dźwiękowym. Kierowca Krasowski czekał już w zabawnie długiej czerwonej limuzynie Poego. Matthias wątpił, czy któryś z mieszkańców widział kiedykolwiek taki dziwaczny samochód w miasteczku.

Szklana przegroda oddzielająca pomieszczenie kierowcy od części przeznaczonej dla pasażerów była podniesiona, lecz zarówno on, jak i Diandra milczeli. Podróż do Sister Bay nie była długa. Rzeczywiście na dachu restauracji stała koza, spokojnie żując słomianą strzechę.

- To skandynawski zwyczaj - powiedział Matthias - przeznaczony dla turystów.

Uśmiechnęła się, nic więcej.

Krasowski został w samochodzie. Zajęli stolik w rogu głównej sali jadalnej. Diandra zamówiła wino i sałatkę. Matthias był głodny, więc poprosił o szwedzkie klopsiki. Czując wyraźną potrzebę, zamówił dla siebie również kieliszek wina.

- Przykro mi - powiedział w końcu, kiedy zaczęli jeść.
- Przykro ci?
- Z powodu ostatniej nocy.
- Dlaczego? Czy źle się bawilesz? - W jej głosie wyczuwało się sarkazm.
- Nie było to specjalnie rozsądne.
- Z powodu Petera? Boisz się go?
- Boję się go ze względu na ciebie. Co on by zrobił, gdyby się dowiedział?

Westchnęła. - Nie wiadomo, jakby zareagował. Mógłby nas zabić, ale równie dobrze mógłby odczuć niezmierną radość.

- Radość?
- On cię lubi. Bardzo pragnie zatrzymać cię, żebyś dla niego pracował. Prosił mnie, żebym była dla ciebie miła.

- Nie aż taka miła.

- Z Peterem nigdy nic nie wiadomo. Nie jest człowiekiem, którego nazwałbyś moralnym, prawda? Sam nieźle się zabawia. Ma wiele kobiet, których nie znam i ma takie, które znam. Robi, co chce i myśli, że ma do tego prawo. On jest Peterem Poe, panem całego świata, góruje nad wszystkim.

- To nie oznacza wcale, że byłby zadowolony. - Myśl, że Diandra kochając się z nim tej nocy, spełniała po prostu życzenia swojego męża, głęboko go zraniła.

Spojrzała na niego ponuro. - Nie martw się, Matthias. On się nie dowie, poza tym, to się już nie powtórzy.

Opuścił wzrok na swój talerz. Diandra zamówiła drugi kieliszek wina.

- Wyglądasz na bardzo nieszczęśliwą - powiedział.
- Jestem, po prostu, wytrącona z równowagi.
- Przed chwilą powiedziałaś, żebym się nie martwił.
- Martwię się o ciebie, Matthiasie Curland. Zastanawiam się, czy jesteś osobą bardzo moralną.

Matthias osłupiał.

- Twój brat jest takim mężczyzną, przez którego słowo romansowanie nabiera złego znaczenia - powiedziała. - Nie lubię przebywać z nim w jednym pokoju. Zastanawiałam się, w jakim stopniu jesteś do niego podobny.

- Nie jestem do niego podobny.

- Peter opowiadał mi o was obu. Dużo o was wie. Twoja żona cię rzuciła, bo ją zdradzałeś z tą dziewczyną, która została zamordowana. Zostawiłeś kobietę we Francji, a mimo to, zaledwie po dwóch dniach od powrotu do Chicago odnawiasz romans ze swoją dawną dziewczyną. Prosisz ją, żeby za ciebie wyszła, a potem wskakujesz mi do łóżka.

Starał się coś powiedzieć, lecz zanim znalazł odpowiednie słowa, Dian-dra ciągnęła dalej.

- Nie wiem, co o mnie myślisz - powiedziała - ale nie miewam romansów na prawo i lewo. Nigdy nie zdradziłam Petera. Zdobyłam się na dużą odwagę i zgromadziłam w sobie wiele gniewu, musiałam też sporo wypić, żeby zostawić dla ciebie tę wiadomość i żeby otworzyć ci drzwi, kiedy wreszcie przyszedłeś. Zrobiłam to, gdyż właśnie tego chciałam, dlatego że jestem zmęczona ciągłą niemożnością robienia tego, co chcę. I dlatego że zrobiłeś na mnie duże wrażenie i, powiem ci zupełnie szczerze, że tak było już pierwszego wieczoru, gdy cię poznałam. Myślałam, że jesteś inny, w pozytywny sposób, tak jak Peter jest inny w sensie, który większość ludzi uznalaby za negatywny. Różnisz się od wszystkich mężczyzn, których dotychczas spotkałam. Przynajmniej tak myślałam. Teraz, nie jestem pewna. Nie jestem ani trochę pewna, Matthias. Kiedy leżałeś obok mnie, już potem, myślałam tylko o tym, która kobieta będzie następna. Prawdopodobnie ta Cindy, sądząc po sposobie, w jaki na ciebie patrzy.

Kelnerka przyniosła karafkę. Matthias nalał sobie następny kieliszek winą.

- Nie jestem taki, jak mój brat - powiedział, obawiając się, że brzmi to jak zeznanie w sądzie. - On jest w taki sam sposób uzależniony od kobiet, jak od alkoholu. Same rzucają się w jego ramiona. Seks był częścią jego życia od momentu, kiedy ukończył piętnaście lat. Wcześniej nauczył się nim posługiwać, osiągać przy jego pomocy to, czego potrzebuje. To jedyna

rzecz, która naprawdę dla niego pracuje. Ja nie jestem taki. Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym mówimy. Jestem dość zakłopotany, powiem ci jednak całkiem uczciwie, że niewiele było kobiet w moim życiu. Ale z tobą spotkałem się w trudnym momencie.

- Trudnym? To bardzo proste. Ty oszukujesz.

Chciał jej powiedzieć, że nie oszukiwał. Że tylko szukał, ale nie „kobiety idealnej”, lecz kobiety dla niego, kobiety podobnej do tej, którą widział dawno temu na obrazie i którą, tak się złożyło, Diandra bardzo przypominała. Jednak nie powiedział tego z obawy, że zabrzmiał idiotycznie.

Wypił trochę wina. Diandra patrzyła na niego swymi jasnoniebieskimi oczami, pełnymi niepokoju i smutku.

- Zostaw to, proszę - powiedziała spokojnie - chcę już iść.

Położył na stole pieniądze. - Czy chcesz wrócić na jacht?

- Chcę się jeszcze przejechać po okolicy. Podoba mi się tutaj.

Pojechali wzdłuż wybrzeża aż do Gill's Rock, na końcu półwyspu Door County, a następnie w poprzek, do Northport nad jeziorem Michigan. Woda w cieśninie Wrota Śmierci była bardzo niebieska, podczas gdy tutaj miała kolor mieniającej się zieleni.

Powiedziała Matthiasowi, żeby został przy samochodzie i poszła samotnie ku końcowi długiego betonowego mola w Northport. Pozostał na brzegu i patrzył, jak oddala się jej tajemnicza postać - sama na tle bezkresu wody i nieba. To mógłby być obraz, chociaż on sam nie byłby w stanie tego dobrze namalować.

- To bardzo przyjemne - powiedziała, gdy w końcu wróciła do niego, odgarniając z twarzy rozwiane przez wiatr włosy. - Pragnęłabym tu jeszcze przejechać. Myślę, że chciałabym kiedyś zamieszkać w tym miejscu. - Rzuciła okiem w stronę samochodu. - Peter nigdy by tego nie zniósł. Chciałabym mieć tu moje własne miejsce, gdzie mogłabym przyjechać i pozostać sama.

- Ja też czasami myślałem o zamieszkaniu tutaj. Można by zarabiać tu na życie, malując obrazy na plaży. Ludzie kupowałyby je do swoich letnich domów.

- Byłby to szczególny rodzaj życia.

- Czy chcesz wrócić na łódź? A może wolisz złapać samolot ze

Sturgeon Bay?

- Wracam z tobą - odpowiedziała rzeczowo. - Tak jak powiedziałam, wyglądałoby to dziwnie, gdybym zrezygnowała z podróży, której tak bardzo pragnęłam.

- Będziemy płynąć przez, co najmniej, dwie noce.

- Moja kabina jest zamykana na klucz.

Nic na to nie odpowiedział.

Gdy wrócili, załoga była gotowa podnieść żagiel. Diandra pozwoliła Matthiasowi podać jej ramię, gdy wchodziła na pokład. - Nie mam ochoty siedzieć na dole - powiedziała. - W tej kabinie. Takie jest właśnie moje życie, jak jazda w pudle bez znajomości celu podróży.

- Możesz się zasłonić. Zostało tylko parę godzin do zachodu słońca. Gdy będziemy na otwartym jeziorze, temperatura znacznie się obniży.

- Czy mamy coś do picia?

- Całkiem sporo. Twój mąż zapewne myślał, że będziemy potrzebowali balastu.

- To dobrze.

Matthias prowadził łódź na północ od przystani, a następnie, po przejściu obok wielkiego urwiska od strony prawej burty, zmienił kurs na północno-wschodni. Żeby zyskać na czasie, płynął tak blisko brzegu, jak to było możliwe. Chciał naprawdę jak najszybciej powrócić do Chicago.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy to się zdarzyło. Matthias patrzył ku dziobowi na stawianie grota, kiedy usłyszał z przodu głuchoe grzmotnięcie. W pierwszej chwili pomyślał, że wjechali na jakąś skałę, lecz zrozumiał, że się mylił, gdy z łuku dziobowego wystrzeliła gęsta chmura oleistego dymu, pełznąca następnie ku nim, do tylnej części łodzi i obejmując prawą burtę. W ułamek sekundy później pojawiły się płomienie. Matthias zobaczył jednego z członków załogi skaczącego ku tyłowi przez barierkę do jeziora. Cindy szła po omacku w stronę kokpitu, łapiąc się uchwytów przegrody. Jej bluzka była w płomieniach.

Koło sterowe szarpnęło rękę. Dziób opuszczał się, nabierając wody. Łódź przechyliła się na prawą burtę. Matthias dał grota na wiatr, ujął oburącz koło sterowe i obrócił nim ze zgrzytem, kierując płonąca łódź z powrotem ku brzegowi. Znajdowali się w odległości około stu jardów od płytkiej wody.

- Cindy! - krzyknął. - Skacz!

Patrzyła na niego, osłupiała. Jej bluzka nadal płonęła. Członkowie załogi opuszczali w popłochu pomieszczenia pod pokładem. Matthias musiał działać, i to szybko.

- Wszyscy za burtę! - wrzasnął. - Spieszcie się! Skaczcicie!

Przeskoczył przez pochylony kokpit ku Diandrze. - Umiesz pływać?

- Tak!

Wepchnął jej w ręce poduszkę zdjętą z siedzenia. - Skacz! Szybko!

Pomógł jej wspiąć się na poręcz i spojrzął gdzie skacze, aby być pewnym, że nie ma tam skał. Następnie skierował się do przodu, ku Cindy. Zmiana kursu sprawiła, że dziób zajął się ogniem, a duszący dym wydobywał się teraz od nawietrznej. Wiatr dmuchał płomieniami i kłębamii dymu ku przodowi od miejsca, gdzie się znajdowali, lecz pomarańczowe języki ognia, pożerając farbę, pelzły także w stronę rufy. Widział, jak dosięgają stóp Cindy. Dziewczyna krzyczała.

Matthias posuwał się ku niej z trudem. Łódź miała teraz silny przechył na prawą burtę, więc pokład uciekał mu spod stóp. Utrzymawał się na nim tylko dzięki uchwytom. Krzyki dziewczyny przeszywały go bólem.

Jill, martwa na łodzi, na jego łodzi. Teraz Cindy. Szybko. Wytrwaj.

Jeszcze tylko sięgnąć, jeszcze jeden chwyt. Wiatr zmienił kierunek i Matthias miał pełne usta dymu. Pochylił głowę, jeszcze jeden ruch do przodu. Był już blisko niej. Dach kabiny płonął. Przez jedno z okien widział płomień buchające z kabiny głównej.

W końcu dosięgnął wyciągniętej ręki Cindy. Ciągnąc ją ku sobie z niebywałym wysiłkiem, mocno zaklinował swą stopę o podporę pokładową i pochylił się, aby stłumić płomień na jej plecach. Czuł jej lepkie ciało na swej skórze, a potem palenie i odrętwienie lewej dłoni i palców.

Próbując przyciągnąć ją bliżej, spostrzegł, że jej stopa była zaklinowana. Gdyby teraz skoczył, żeby się uratować, równałoby się to zastrzeleniu Cindy, z tą różnicą, że umierałaby wolniej, straszliwiej, w najokrutniejszy sposób, jaki istniał.

Jeszcze jeden ruch do przodu. Matthias rzucił się na Cindy, chwytając ją za udo, a następnie za łydkę. Wyciągając rękę w stronę płomieni, złapał pętlę owiniętą wokół jej kostki i oswobodził Cindy ze zwojów liny, która ją dotąd

więzła.

ROZDZIAŁ

12

Matthias wyszedł z Cindy na skalistą plażę, trzymając ją ramionach. Cindy straciła przytomność, lecz oddychała. Czuł każdy jej oddech, chociaż nie słyszał bicia serca. Gdy była małą dziewczynką, a on nastolatkiem, nosił ją na ramionach. Położył swą zdrową rękę na jej gołej nodze. Była lodowato zimna. Jej ojciec znienawidziłby go na zawsze, gdyby Matthias dopuścił, żeby jej się to przydarzyło, tak jak nienawidził go ojciec Jill Langley. Jednakże, w przeciwieństwie do pana Langley, ojciec Cindy miałby całkowitą rację.

- Panie Curland? - Dwóch członków załogi stanęło przed nim. - Czy z nią jest wszystko w porządku?

Matthias powoli uniósł głowę. *Lady P* osiadła na mieliźnie z rufą sterującą do góry pod kątem, paląc się wściekle. W ciągu jednej chwili zbiorniki paliwa na dnie łodzi eksplodowały, tworząc olbrzymią i brzydką pomarańczową kulę.

- Wezwijcie lekarza. Karetkę - powiedział. Ledwie rozpoznał swój własny głos.

- Ludzie z tego domu już wzywają - powiedział jeden z młodych ludzi.
- Do szpitala jest daleko, ale ten człowiek powiedział, że doktor mieszka tam, przy drodze. Będzie tu wkrótce.

- Czy wszyscy żyją?

- Tak.

- A pani Poe?

- Jest tutaj.

Matthias rozejrzył się dokoła. Diandra siedziała na skale po lewej stronie, z utkwionym w niego wzrokiem, osłupiała z przerażenia.

- Czy Cindy z tego wyjdzie? - zapytała.
- Jest fatalnie poparzona - odrzekł Matthias.
- Nie bardzo rozumiem, co się stało, panie Curland.
- Ja też nie. Ale ustalę to dokładnie, do cholery.

Minuty mijały z przerażającą powolnością. Matthias nie odstępował Cindy, zanim nie przyszedł lekarz. Był to starszy człowiek o miłej i sympatycznej, lecz zatroskanej twarzy. Powiedział, że jest ginekologiem, ale wie, co trzeba zrobić. Matthias rozluźnił uścisk. Lekarz, wspomagany przez dwóch członków załogi, delikatnie odebrał mu Cindy.

- Musimy zabrać ją do tego domu na górze - powiedział lekarz. - Muszę zastosować terapię przeciwwstrząsową. Przyniosłem koce. Możemy z nich zrobić nosze.

Matthias próbował stanąć, lecz jego osłabione nogi były jak z waty. Ponowił wysiłek i w końcu wyprostował się.

- Czy poparzenia są poważne? - zapytał.

Lekarz klęczał nad dziewczyną. - W niektórych miejscach bardzo poważne - odpowiedział. - To mogło się skończyć dużo gorzej. Nie wiem, jakim cudem uszliście z życiem.

Ostrożnie położyli Cindy na złożonym kocu, a następnie dwaj członkowie załogi chwycili jego końce z obu stron. Trzeci pobiegł w górę, aby im asystować.

- Chciałbym pomóc - powiedział Matthias.
- Proszę im pozwolić to zrobić - odparł doktor. - Nie są ranni.

Matthias spojrzął na swą lewą rękę. Na dłoni i palcach były rozległe, szare pęcherze, otoczone czerwoną, miejscami czarną obwódką. Odwrócił dłoń. Tu także był pęcherz, a jeszcze jeden na przedramieniu. Nie zwracał uwagi na pulsujący ból. Zrobiło mu się słabo. Zaciśnął zęby, czekając, aż opanuje chwilową słabość, a gdy to nastąpiło, zaczął wspinać się za innymi po drewnianych schodkach, prowadzących z plaży do domu na górze.

Diandra szła za nim. Kiedy doszli na górę do szerokiej, drewnianej platformy, Matthias zatrzymał się, łapiąc oddech. Łysy mężczyzna w szortach, prawdopodobnie właściciel domu, spychał z drogi krzesło, żeby zrobić przejście dla niosących ranną.

- Matthias!

Diandra stała przy nim. Jej głos znowu był łagodny i czysty. - Twoja ręka - powiedziała.

- Nic mi nie będzie.
- Powinieneś iść do szpitala - rzekła.
- Pójdę. Z Cindy. Mam zamiar z nią pozostać. Wracaj natychmiast do Chicago.

Skinęła głową. Dostrzegł łzy w jej oczach.

- Powiedz mężowi, że mam zamiar pociągnąć go za to do odpowiedzialności.
- O Boże, Matt. To nie była jego wina.
- To nie był wypadek. Nie było na łodzi niczego, co mogłoby spowodować taką eksplozję.

Diandra potrząsnęła głową. - Nie rozumiem tego.

- To była bomba.
- Przeznaczona dla Petera?
- To całkiem możliwe, do cholery.

Spojrzała przed siebie na jezioro. - Gdybyśmy nie zatrzymali się tam dzisiaj, bylibyśmy o wiele mil stąd na jeziorze Michigan.

- Tak.
- Wszyscy byśmy się potopili.
- Możliwe. Cindy na pewno by z tego nie wyszła.
- Gdyby nie ty, ona by zginęła.

Patrzył na nią ponuro. - Zadzwoń do męża, Diandro. Wracaj do domu.

- Kiedy wrócisz?
- Nie wiem. Teraz chcę tam iść i zobaczyć, co z Cindy.

Chciał, żeby już sobie poszła. Dziś rano stanął na pokładzie łodzi raczej z uczuciem rozpaczki i osamotnienia niż miłości.

- Dobrze. Zadzwoń do mnie, jak będziesz mógł.

Nie odpowiedział.

- Proszę cię - powiedziała.
- W porządku.

Zrobiła krok i zatrzymała się. - Chciałam ci tylko coś powiedzieć, Matt. Wycofuję wszystko, co powiedziałam. Jesteś wyjątkowy. Całkiem wyjątkowy.

Poe odwiesił telefon, patrząc na niego, jakby był zakażony. Oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach.

- Czy nic jej się nie stało? - zapytała Mango. W jej głosie była troska, lecz Poe nie miał pojęcia, jaka odpowiedź by ją zadowoliła.

- Nie, ale niewiele brakowało. Cholera jasna! Przekłête, pieprzone dranie.

Opuścił dłonie i przysunął się na krześle, żeby na nią spojrzeć.

- Próbowali mnie zabić, Mango. Te sukinsyny próbowały mnie zabić. Wysadzić mnie w powietrze, na mojej własnej łodzi.

- Nie martw się, Peter.

- Mam się nie martwić?

- Zginą w przeciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Wszystko już załatwiłam.

- O czym ty mówisz?

- To właśnie będzie tematem spotkania, na które się wybieramy. Oni tylko czekają na hasło. Chcą przedtem porozmawiać z tobą w cztery oczy. Muszą być pewni, że doszli z tobą do porozumienia, zanim to zrobią.

- Nie chcę iść na żadne zasrane spotkanie, szczególnie nie z tymi facetami.

- Jest już za późno na cokolwiek innego. I musimy szybko działać.

- Szybko działać? Co oni mają zamiar zrobić? Polecieć nad Atlantic City i spuścić tam bombę atomową?

- Wszystko jest załatwione. Wszystko przygotowane. Czekają tylko na twoje słowo.

- Jak to, wszystko jest przygotowane? O czym ty mówisz?

- Zadzwoiłam do nich zaraz po tym, jak przestraszyłam się Bobby'ego Manna. Nie chciałam ani trochę ryzykować.

- A jeśli powiem „nie”?

- Nadstawiasz swój własny kark. Nie mam zamiaru stać z założonymi rękami i czekać, aż cię znowu dopadną. Jeśli powiesz „nie”, to wyjdę stąd natychmiast i odejdę od ciebie jak najdalej.

Poe powrócił ze swoim krzesłem do biurka. Nic tu nie znalazł, co mogłoby mu się przydać.

- Chcesz postawić ten budynek, Peter? Chcesz zostać panem Chicago?

Być królem tłumów? Musisz o to walczyć. Zrobić to lub umrzeć. Daj spokój. Chodźmy. Nie będzie im się podobało, gdy się spóźnimy.

- Wstrzymaj to, do cholery. Muszę polecieć do Wisconsin po Diandrę. Powiedziała mi, że Curland z nią nie jedzie. Ta dziewczyna, którą miał na łodzi, jest w szpitalu z powodu poparzeń.

- Zadzwoń, że nie przyjedziesz i chodźmy. Masz większe zmartwienia.

- A co z Bobbym?

- Na razie zostawimy go w spokoju.

- Dlaczego?

- Chyba nie chcesz, żeby wydarzyło się teraz coś, co bardziej zwróci na ciebie uwagę. Szczególnie w tym momencie, kiedy ludzie zaczną odwälać kitę w Atlantic City. Teraz musimy dać Bobby'emu powody do zmartwienia.

Zajęła się wszystkim. Podjęła już wszystkie poważne decyzje. Zatwierdzenie ich przez niego było tylko formalnością. Trzeba będzie położyć temu kres. Lecz jego własny umysł przestał sprawnie pracować. Zupełnie wysiadł, tak jakby wyczerpały się zasilające go baterie. Czy to był strach? Nigdy przedtem, w całym jego życiu to się nie zdarzyło.

Restauracja wyznaczona na spotkanie znajdowała się w dzielnicy West Side w Chicago, niedaleko campusu Uniwersytetu Illinois. Była to tania włoska knajpa ze stolikami pokrytymi laminatem. Przyszli wspólnicy przedsięwzięć Poego czekali w narożnym saloniku. Większość stolików w głównej sali była zajęta, lecz te, które sąsiadowały z wydzielonymi salonikami, pozostawały puste, bez wątplenia zgodnie z poleceniem.

Było ich trzech, wszyscy w średnim wieku. Dwóch nosiło garnitury, a jeden powypychaną sportową kurtkę i fioletową koszulkę polo. Przywitali się i podali ręce przybyłym z przesadną uprzejmością. Kiedy usiedli, zabrał głos ten, który miał na sobie koszulkę polo.

- Czy panna Bellini powiedziała panu o naszych rozmowach? O faktach i liczbach, o całym tym gównie?

Poe przytaknął. Miał rozpaczliwą nadzieję, że jego zdenerwowanie nie jest widoczne. Tych ludzi znał tylko ze słyszenia. Patrząc im prosto w oczy myślał, że tak ich sobie właśnie wyobrażał.

- Tak - powiedział Poe.
- No i? - zapytał ten w koszulce polo.
- Wynika z tego, że chcecie jedną trzecią.
- Ani trochę więcej i ani trochę mniej.
- To dużo.
- Pańscy przyjaciele biorą połowę.
- Ich stawką są pieniądze.
- Naszą stawką jest pańskie życie.

Co się do diabła z nim działo, że tak się targował, jakby chodziło o handel nieruchomościami? Jakby rozmawiał z bankierami. Myślał nawet, żeby przyprowadzić tu Billa Yeatsa. Teraz dopiero zrozumiał, jaką by to było ogromną pomyłką. Bawienie się w przepisy prawne tam, gdzie chodziło o dobicie targu. Ci faceci chcieli mieć wszystko albo nic. Stawiasz albo wypadasz z gry.

Mango patrzyła na niego niecierpliwie. Sam zaczynał się denerwować. Załatwić to. Mieć już wszystko za sobą. Zacząć realizację swoich własnych planów. Ci faceci nie byli prawdopodobnie ani trochę gorsi niż inni. Poza tym byli stąd. Nie będzie pierwszym znaczącym człowiekiem w Chicago, który przeprowadza z nimi transakcję. I nie będzie to niczym więcej niż zwykłym interesem. Oni go osłonią. Włożą w to swój kapitał.

- W porządku - powiedział. - Jedna trzecia. Ale...
- Jest jakieś „ale”?

- Ta umowa nie może wejść w życie przed upływem roku. Czy Mango postawiła tę sprawę jasno? Wszystkie zyski będą się kumulować przez jeden rok. Taki czas jest niezbędny. To kasyno stanowi dużą część zabezpieczenia, jakie jest mi potrzebne do uzyskania pożyczki na postawienie nowego budynku. Wiele zaangażowałem w to ogromne przedsięwzięcie. Władze miasta też zostały w to wciągnięte. Nie można się już z tego wycofać. Banki wynajmą prawników i kontrolerów do przejrzania moich ksiąg rachunkowych. Wszystko musi być superczyste.

- Panna Bellini wyjaśniła nam to. Zgadzą się. We wszystkich punktach. Twoje kasyno wyjdzie z tej kontroli z doskonałym świadectwem zdrowia. Tym lepiej dla przyszłości.

- Umowa dotyczy tylko tego kasyna. Łodzie pływające po rzece Mis-

sisipi to odrębna sprawa. Ci głupcy, którzy tam siedzą, nawet i bez tego się o nie boją. Poza tym, one nie przynoszą takich dużych zysków. Jedna z nich poniosła straty finansowe w zeszłym roku.

Człowiek w koszulce polo spojrzął na jednego ze swoich kolegów, który skinął głową, potem jego wzrok powrócił do Poego. - Dobra. Ale może porozmawiamy o nich później.

- Może.

Trzeci człowiek z tej trójki wychylił się do przodu. Miał wąską twarz i duży nos, co sprawiało wrażenie, że jego ciemne oczy są osadzone zbyt blisko siebie.

- Jak się czuje pańska żona? - zapytał zaskakując Poego.

- Czuję się dobrze.

- Nie będzie pan opowiadał glinom o tym wypadku, prawda? Niech to pozostanie dla pana zagadką. Nic pan o tym nie wie. Wielki człowiek ma wielu wrogów. Ktoś po prostu chciał wysadzić w powietrze pana łódź. Ale nikt z Atlantic City, zgoda? Nie wiesz o Atlantic City.

- Nie jestem głupcem - powiedział Poe.

- Absolutnie nie - rzekł człowiek w koszulce polo. - No więc, wszyscy są zadowoleni? - Jego koledzy skinęli głowami. - Opijmy to.

Nalał wina do kieliszków. Trącili się. Według Poego wino miało kwaśny smak, ale był to chyba skutek jego zdenerwowania. Czuł w ustach przykrą suchość.

- Co do tego, co się ma wydarzyć dziś wieczorem - powiedziała Mango. - Żeby się nic nie stało Bobby'emu Mannowi.

Ci trzej osłupieli. - O czym pani mówi? To ten kutas, który próbował was wykołować.

- Nic nie wydarzy się w Chicago - powiedziała Mango. - Żadnych powiązań. Żadnych zbiegów okoliczności. Niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby dotyczyć pana Poe.

- W porządku, ale może by tak Mann odebrał telefon od zyczliwego przyjaciela, zaraz po tym jak... jak uregulujemy zaliczkę?

Zastanowiła się przez chwilę. - Dobrze. Tak. Zesra się w portki. Podoba mi się to.

- On ciągle mnie martwi - powiedział Poe. - Czy możecie dać kogoś,

kto będzie miał na niego oko? On zna wszystkich moich ludzi.

- Jasne. Wyślę tam rano dwóch chłopaków. Będą, na przykład, pańskimi nowymi kelnerami.

- W porządku - rzekł Poe. Miał wielką ochotę już stamtąd wyjść. - Wyjeżdżamy z panną Bellini z miasta. Jedziemy do Springfield. Mamy tam do załatwienia sprawę ustawodawczą. Wrócimy za parę dni.

- Oczywiście. Czy chce pan, żebyśmy zadzwonili, gdy to będzie zrobione?

- Nie, dziękuję. Sprawiacie wrażenie takich, co znają się na robocie. Zakładam, że wasza ekipa wykonawcza również. Dowiem się o tym razem z wszystkimi innymi.

Znowu podali sobie ręce. Poe wstał.

- To prawdziwa przyjemność załatwiać z panem interesy - powiedział mężczyzna w koszulce polo.

J.P. Morgan powiedział, że możesz robić interesy z byle kim.

Wracali do śródmieścia bocznymi ulicami. Mango siedziała bardzo blisko Poego w jednej z jego limuzyn. Ta była rzadko używana i kierowca zapomniał zaopatrzyć ją w alkohol.

- Yeats spotka się z nami w Springfield - powiedziała. - Powinniśmy wkrótce wyjechać.

- Chcę poczekać na Diandrę.

- Mówiłeś, że nie jest ranna.

- Jest prawdopodobnie w szoku.

- Zacznie zadawać ci pytania, na które nie będziesz chciał teraz odpowiedzieć. Lepiej wyjedź.

- Przypuszczam, że już się spakowałaś. Chyba wszystko przewidziałas.

- Włącznie z miejscem, w którym będziemy dziś jedli kolację. Ale muszę się najpierw czymś zająć. Dzwonił Larry Train. Powiedział, że jakiś dziennikarz z gazety dowiadywał się o skradziony obraz.

- Myślałem, że gliniarze już o tym zapomnieli.

- Gliniarze z Chicago tak, ale nie ten brodaty sukkinsyn z Michigan.

- Mówiłem ci, że trzeba go zwolnić. Doprowadził do tego, że jego plażowe miasteczko wygląda jak miejsce zjazdu policjantów. W każdym

razie on jest nikim. Nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

- On nie rezygnuje. Nie martw się. Jeszcze jedno uderzenie i wysadzi się go z tego interesu na dobre.

Samolot, który wynajął Poe dla Diandry był ciasny i niewygodny. Przelot zajął kilka godzin. Jego kurs prowadził nad szeroką wstęgą otwartych wód jeziora Michigan. Miał tylko jeden silnik, a pilot był bardzo młody. Nikt z załogi *Lady P* nie przyjął zaproszenia Diandry do odbycia z nią podróży powrotnej. Woleli zostać przy rannej dziewczynie, więc była zupełnie sama. Siedząc na tylnym siedzeniu, nie bardzo mogła rozmawiać z pilotem. Była zmęczona, smutna, samotna i bardzo zdenerwowana. Zanim w gasnącym świetle dnia ujrzała lotnisko Meigs Field, miała ochotę krzyknąć. Kiedy samolot wysunął kółka i włączył bieg lądowania, krzyknęła. Pilot odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, chociaż błyskawicznie zbliżali się do pasa startowego.

- Pilnuj tego przeklętego samolotu! - krzyknęła.

Musiała nim potrząsnąć, ale nie wylądował dobrze: samolot dwukrotnie odbił się od ziemi, zanim koła wreszcie osiadły na pasach lotniska.

Jedna z limuzyn Poego, z nieznanym kierowcą, czekała na nią. Poego nie było.

- Gdzie jest mój mąż?

- Powiedział, żeby pani przekazać, że pojechał do Springfield, pani Poe. Mówił coś o głosowaniu w sprawie jakiejś uchwały. Wróci jutro. Mówił, że ma pani dziś nie wychodzić.

- Czy to rozkaz?

- Nie wiem, proszę pani. Ja tylko powtarzam to, co mi powiedział.

W hallu budynku mieszczącego apartamenty Poego przy Alei Michigan zobaczyła dwóch uzbrojonych ochroniarzy. Trzeci siedział na krześle w przedsionku obok wind na górze. Były tam drzwi, które mogła zamknąć na klucz, aby się od niego odizolować i zrobiła to.

Czekała na nią służąca; wyglądała na zmęczoną. - Czy podać pani kolację, pani Poe?

- Nie, dziękuję. Nie będę cię dziś potrzebować.

Diandra wiedziała, gdzie Poe zatrzymywał się zwykle, gdy przebywał w stolicy stanu Illinois. Chciała zadzwonić do niego, ale po namyśle zrezygnowała. Gdy konfrontowała go z jakimś wydarzeniem, które miało wcześniej miejsce, wołała stanąć z nim twarzą w twarz, w cztery oczy, tak aby nie mógł uciec.

Odczuwała teraz potrzebę porozmawiania z kimś, po prostu, żeby usłyszeć jakiś przyjazny ludzki głos. Ale z kim? Nie miała w Chicago prawdziwych przyjaciół. Nie rozmawiała od przeszło roku ze swymi dawnymi przyjaciółkami - modelkami. Matka nie zrozumiałaby jej, byłaby tylko przygnębiona.

Nalała sobie kieliszek wódki, po czym przeszła do ogromnego salonu i z wyrazem rezygnacji usiadła na kanapie. Utkwiła wzrok w jeziorze i w budynkach stojących za oknem. Miasto żyło swoim własnym życiem - bez niej.

Najbardziej pragnęła rozmowy z Matthiasem, lecz obawiała się, że nie podszedłby do telefonu. Nie знаła nawet nazwy tego szpitala, nie wiedziała w jakim mieście się znajdował. Powinna była z nim zostać. Bardzo tego pragnęła, lecz jej mąż nalegał, aby wróciła natychmiast. Poza tym, jej pozostawanie w szpitalu mogłoby tylko zirytować Matthiasa.

„Wracaj natychmiast.” A potem nagle wyjeżdża do Springfield.

Wypiła. Wódka chłodziła trochę i uspokajała, lecz niewystarczająco. Diandra dopiła alkohol w pośpiechu. Potem wzięła długi, gorący prysznic, mając nadzieję, że to pomoże, ale nie pomogło. Włożyła jedwabny, lekki szlafrok, przygotowała sobie kolejnego drinka i wyszła na jeden z tarasów.

Na ciemniejszej, intensywnie niebieskiej powierzchni jeziora widoczne były małe światełka łodzi. Spojrzała ponad balustradą prosto w dół, wyobrażając sobie siebie, jak wiruje w szalonym pędzie ku odległej powierzchni betonu. Gotowa do skoku, była teraz równie blisko śmierci, jak wtedy, na łodzi.

Śmierć. Stwierdziła, że po przekroczeniu trzydziestki, coraz częściej rozmyśla o tej nieuchronnej perspektywie, chociaż jedynie od czasu do czasu i tylko abstrakcyjnie. Teraz czuła jej niewidzialną, lecz realną obecność. Nie miała pojęcia, jak poważne były oparzenia dziewczyny. Czy mogłaby umrzeć tej nocy?

Gardziła profesjonalnymi pięknosciami wychodzącymi za mąż dla pieniędzy. Znała je w Nowym Jorku i traktowała, w zasadzie, jak kurwy. Sprzedawały swoją urodę i ciała za wspaniałe, bogate życie i wątpliwy przywilej pokazywania ich w rubrykach „Przyjęcia” magazynów *Women's Wear Daily* i *W*. Uważała jednak, że nie postępuje w ten sam sposób wychodząc za Petera. Mówiła sobie, że to nie jego kusząca, ogromna fortuna sprawiła, iż mu w końcu uległa. Przekonywała samą siebie, że była nim rzeczywiście zafascynowana - jego osobowością, energią i inteligencją, a także tym, co brała za niezwykłą odwagę - był mężczyzną pragnącym władać całym światem, kopnąć go w tyłek. Tak jak powiedziała Matthiasowi, była zafascynowana myślą o życiu, jakie będzie wiodła u boku takiego człowieka. Poza tym, był z pochodzenia Polakiem jak jej ojciec.

Ani przez chwilę nie myślała, że jest w nim zakochana. Lubiła Petera i cieszyło ją przebywanie z nim wtedy, kiedy był w dobrym nastroju. Nigdy jednakże nie było w ich związku prawdziwej namiętności, zbliżenia, ani ciepła. Przestało sprawiać jej przyjemność sypianie z nim. Odczuwała tylko ulgę, gdy miała to już za sobą.

Jedyną ceną, jaką będzie musiała zapłacić za poślubienie najbogatszego człowieka w Chicago, było życie z nim, mężczyzną, którego nie kochała. Jego niewrażliwość i brak troski, terroryzująca otoczenie agresywność, stanowiły dodatkowe i nieprzewidziane koszty, które nauczyła się jednak ponosić.

Teraz cena wydawała się nieporównanie wyższa - wyższa niż kiedykolwiek mogła to sobie wyobrazić. Małżeństwo z Poem okazało się niebezpieczne - śmiertelnie niebezpieczne - i Diandra zaczęła się bać.

Chyba że... Jeśli to była bomba, która wznieciła ogień na łodzi, a wiedziała, że oszukuje samą siebie, próbując wierzyć w cokolwiek innego, to czy musiała być przeznaczona dla Petera? Nic podobnego nie zdarzyło się nigdy przedtem w ich wspólnym życiu. Jedyne, co towarzyszyło jej, od kiedy była z Peterem, to poczucie bezpieczeństwa.

Lecz Matthias to zupełnie inna sprawa. Na jego łodzi została zamordowana kobieta, jedna z tych, które kochał. Od samego początku wyczuwała, że żył na krawędzi istnienia, że pomimo manier i spokojnego sposobu bycia, pomimo tradycji rodzinnych, jego życie było prawdopodobnie dość prze-

rażające. Jego brat był niepokojąco dziwny.

Czy krawędź, po której chodził była ostra? Czy ona sama była rozsądna, przebywając blisko niego?

- To już się stało - powiedziała jedna z przyjaciółek, modelek, w dniu jej ślubu. - Jesteś załatwiona na zawsze.

Boże!

Zmusiła się, żeby obejrzeć ostatnie wydanie dziennika telewizyjnego. Mówiono o „wypadku”, chociaż nie pokazano zdjęć z Wisconsin. Na tle migawek z przekroczenia przez Poego i Matthiasa linii startowej regat Menominee, komentatorka podała kilka szczegółów dotyczących pożaru i rannej kobiety, wspominając, jakie „szczęście” miał Poe, wracając do Chicago samolotem. Nie było ani słowa o bombie. Diandę wspomniano raz, wśród osób, które przeżyły wypadek.

Wyłączyła telewizor przy pomocy pilota, a następnie usiadła na kilkanaście minut, wpatrując się w jezioro. Być może rano zobaczy wszystko w innym świetle. Podeszła do barku, żeby nalać sobie kolejnego drinka i z wahaniem wzięła butelkę do ręki. Myślała o tym, jak wielki żal, jaką nieważność czuła do Petera za to, że nie było go na lotnisku Meigs, aby ją podtrzymać na duchu. Potem, zabierając zarówno kieliszek jak butelkę, udała się na górę do swej sypialni.

ROZDZIAŁ

13

Planowali cztery uderzenia w Atlantic City i piąte w Filadelfii. Lista obiektów została ustalona, spierano się tylko o to, co ma być mniejszą, a co poważniejszą operacją. W końcu jednak zgodzono się, że ten plan ma załatwić główne problemy Poego i dodatkowo, dla pewności, paru takich, którzy mogliby sprawiać kłopoty. Trzeba było przeprowadzić konsultacje z pewnymi ważnymi osobami w Nowym Jorku, Miami i Las Vegas, lecz sytuacja była jasna i nikt nie wniósł zastrzeżeń. Zlecenie tego typu roboty uważano za lokalną specjalność Chicago, a poza tym liczone na otwarcie się nowych możliwości w Atlantic City.

Zlecenie wykonywano naprędce, ale nie po raz pierwszy dostali takie zadanie. Mieli ludzi w wielu użytecznych miejscach w Atlantic City, poza tym sprowadzili tam innych, znanych z umiejętności szybkiego działania. Podstęp polegał na zwołaniu spotkania w Filadelfii, rzekomo po to, aby ustalić, dlaczego na tak potężną osobę jak Peter Poe, dokonano tak nieudanego zamachu i dlaczego się nie powiódł.

Przypuszczano, że wszyscy czterej z Atlantic City odbędą podróż wspólnie, lecz jeden z nich pozostał na miejscu, usprawiedliwiając się chorobą.

Cierpiał jedynie na odciski. Po wyjeździe kolegów kazał sprowadzić sobie prostytutkę do apartamentu hotelowego - nie na krótko, ale na całą noc. Obiecał jej, że dostanie dodatkową zapłatę. Została załatwiona razem z nim. Nie mogła wyjść z tego cało.

Główne uderzenie zaplanowano na drodze szybkiego ruchu z Atlantic City, która wiodła z tego hazardowego kurortu przez Intracoastal Waterway do lądowej części stanu New Jersey. Była to autostrada międzystanowa,

nocą słabo uczęszczana. Bomba została umieszczona w starej oponie opartej o barierkę wiodącą wzdłuż wzniesienia drogi. Sto jardów przed tym miejscem jeden z wynajętych ludzi udawał kierowcę, któremu zepsuł się samochód - podniesiona maska, uruchomione światła alarmowe. Stał na samym środku lewego pasa. Kiedy duża biała limuzyna wioząca tych trzech przejeżdżała obok opony, skręcając na prawy pas, aby uniknąć zderzenia z unieruchomionym samochodem, jego kierowca nacisnął guzik. Limuzyna obróciła się w kupę złomu.

Ten piąty z Filadelfii, rzekomo zwołujący spotkanie, nie był oczywiście o nim poinformowany. Także postanowił spędzić noc z panienką. Ale pomylił się. Właśnie ona go sprzątnęła.

Koszty operacji były wysokie - wliczając kierowcę limuzyny i przypadkową prostytutkę - siedem trupów. Lecz w ostatecznym rachunku zwróci się to stokrotnie. Tak jak większość biznesmenów ze Środkowego Zachodu, nowi wspólnicy Poego byli dość konserwatywni. Grali na długi dystans.

Byli zdumieni, że tych pięciu sprzątniętych facetów nie podjęło żadnych środków ostrożności, nie ukryli się gdzieś po nieudanym ataku na Poego. Chyba wzięli go za durnia i mięczaka, który nie jest w stanie zrobić im krzywdy. Liczyli, że będzie robił ze strachu w portki, że będzie błagać ich o przebaczenie. Prawdopodobnie obmyślali już, kiedy uderzyć kolejny raz. Osły. W każdym razie, banda amatorów. Każdy wie, że kiedy masz zamiar wysadzić łódź, umieszczasz ładunek na jej dnie, obok zbiorników paliwa.

Zany Rawlings usłyszał o spaleniu i zatopieniu łodzi Poego przez radio. Często włączał swą ulubioną stację nadającą muzykę country, kiedy siadał w domu przed swym komputerem. Prezenter przeczytał dwa zdania na temat tego wypadku w wiadomościach. Kiedy Zany nie usłyszał nowych informacji w kolejnym wydaniu dziennika, zadzwonił do swego przyjaciela Killeena, który pracował na drugiej zmianie w redakcji gazety. Killeen wywołał korespondencję na ten temat z końcówki komputera w pokoju doniesień agencyjnych i przeczytał ją Zany'emu. Miał przy tym pewne trudności, ponieważ ich reporter przerwał przekazywanie korespondencji, z pewnością z powodu przedłużającej się przerwy kolacyjnej.

- Co tam było na temat podpalenia? - zapytał Zany.

- Mówią, że „przyczyna pożaru nie jest znana, lecz rozważa się możliwość podpalenia”.

- Kto się tym zajmuje?

- Biuro szeryfa Door County. I Straż Przybrzeżna, myślę.

- Czy tylko jedna osoba została ranna?

- Dwie. Kobieta o nazwisku Cynthia Ellison, znajdująca się w poważnym, lecz ustabilizowanym stanie z powodu poparzeń i kapitan, Matthias Curland z lekkimi oparzeniami.

- Sukinsyn.

- Co?

- Nic takiego. Jakie macie postępy na temat tej historii O'Rourke? Czy Baldessari mówił coś o związku pomiędzy tymi sprawami?

- Mówił, że to sprawdzał. Poza tym, nie mam żadnych wyników. Dzwoniłem do galerii Laurence'a Traina i do paru innych, lecz potraktowano mnie jak szaleńca. Tak samo zareagowali gliniarze od włamań.

- Którzy gliniarze?

- Detektyw Plotnik.

- Więc masz zamiar napisać o tym do gazety?

- Rozmawiałem o tej sprawie z redaktorką działu miejskiego, ale powiedziała, że chce więcej faktów.

Do czego doszła ta cała prasa?

- W porządku, Marty. Jeśli dowiem się czegoś więcej, dam ci znać. Jak zrobi się głośno o tej sprawie, będziesz mógł powiedzieć twojej pani redaktor, że przegapiła znakomity materiał.

- Nadal będzie chciała mieć fakty.

Zany długo jeszcze się nie kładł po tym, jak jego żona poszła do łóżka. Popijając piwo, wielokrotnie przeglądał na komputerze materiały związane ze sprawą, lecz poszukiwania jego były bezowocne. Historia zatopionej żaglówki wprowadziła go w diabelne zakłopotanie. Curland i inni ludzie mogliby tam zginąć - taki los miał ich prawdopodobnie spotkać. Poe mógł również utonąć, gdyby z nimi pozostał.

Zarówno Curland, jak Poe zostali poprzednio umieszczeni przez Zany'ego w komputerowej rubryce „złych facetów”.

Teraz znaleźli się obaj pośród ofiar lub mieli stać się ofiarami. Czy byli „dobrymi facetami”? A może były dwie grupy „złych facetów”, albo wiele grup? Czy ten wypadek miał coś wspólnego z obrazem? Czy cokolwiek miało coś wspólnego z czymkolwiek? Czy też Zany Rawlings powoli tracił rozum, kręcąc się jak głupi wokół tej sprawy, wyobrażając sobie dziwaczne machinacje i powiązania, jak ten, kto próbuje rozwiązać zagadkę zabójstwa Johna F. Kennedy'ego?

Kręciło mu się w głowie. Być może zbyt mocno, zbyt długo starał się popychać tę sprawę. Chyba postąpiłby mądrzej, gdyby zostawił to na jakiś czas i pozwolił się wszystkiemu ułożyć. Kiedy pracował w wydziale włamań szóstego okręgu, często zdarzało mu się w ten sposób odkładać na bok po kilka przypadków, żeby się odleżały. Niejednokrotnie, po wielu miesiącach wracał do nich, kiedy jakiś kapuś o czymś doniósł lub kiedy sprawcy dokonali ponownego przestępstwa. Wszyscy znajomi, włączając jego żonę, chcieli, żeby dał spokój temu śledztwu.

Lecz ten przypadek nie był włamaniem lub jakąś grą, którą się bawił na swym komputerze. Zginęły dwie kobiety. Trzecia była poparzona. Mogło być jeszcze więcej ofiar w dwóch bandyckich napadach w Grand Pier. Nie mógł przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

Jego żona poruszyła się i obudziła, gdy rozbierając się upuścił z hałasem buty na podłogę.

- Już po drugiej w nocy, Zane.
- Przepraszam. Trochę pracowałem.
- Myślę, że powinniśmy się przeprowadzić - powiedziała.
- Co takiego?
- Do Detroit, albo do Południowego Bronxu. Tam gdzie będzie trochę więcej spokoju.

Zaspał następnego rana, lecz nie spieszył się z codzienną toaletą. Włączył radio w łazience i słuchał wiadomości biorąc prysznic i goląc się, a następnie bez pośpiechu wyrównał brodę.

W dzienniku mówiono o łodzi Poego, lecz podana informacja pokrywała się dokładnie z tą, którą słyszał poprzedniego wieczora. Zany przeczytał gdzieś, że większość ludzi czerpie informacje z telewizji i radia. Chyba gwizdzą sobie na to, co się dzieje na świecie, troszcząc się jedynie o swoje

miasto.

Przestawił na stację, dającą wyłącznie wiadomości. Nadawali akurat wywiad z kobietą, która napisała książkę o macierzyństwie lesbijek.

Już w samochodzie włączył radio policyjne i słuchał go jednym uchem. Gdy zgłoszono przypadek włamania będącego w toku i podano lokalizację, serce Zany'ego zabiło mocniej. Nacisnął pedał gazu do dechy i złapał mikrofon.

- Mówi Rawlings. Co się dzieje?
- To sklep pana żony, naczelniku! Sterroryzowali ją. Przed chwilą to zgłosiła.

A więc nie było to już włamanie „w toku”. Chyba nic jej się nie stało?

- Czy macie opis pojazdu sprawców? - krzyczał Zany do mikrofonu.
- Niestety nie, naczelniku.
- Zawiadomcie biuro szeryfa i oddziały stanowe! Zablokujcie drogę przy autostradzie międzystanowej! Zatrzymujcie wszystkich!

- Dziesiąta cztery, naczelniku.

Dwa z jego patroli i samochód szeryfa pojechali prosto na miejsce przestępstwa i byli tam szybciej od niego. Rozmawiali już w sklepie z jego żoną. Była roztrzęsiona, nie tyle ze strachu, ile ze złości.

- Byli w kostiumach kąpielowych - powiedziała. - W kostiumach i bluzach od dresów. Z gołymi stopami. Czekali, aż załatwię klienta, a kiedy ten opuścił sklep, wyciągnęli broń z toreb plażowych i kazali opróżnić kasę.

- Co zabrali, Judy?
- Chyba było niecałe sto dolarów, na miłość boską.
- Opisz ich.
- Jeden był czarny, drugi biały. Nosili okulary słoneczne. Sama nie wiem. Wyszli tylnym wyjściem. Szybko.

Policjantka Barbara Vaclav weszła przez tylne drzwi ze służbowym rewolwerem w ręce.

- Prysnęli, naczelniku.

Za sklepem plażowym Judy znajdowała się mała wydma, a po jej drugiej stronie parę letnich domków i droga o utwardzonej nawierzchni.

- Zostawili ślady stóp - dodała Vaclav.
- Niczego nie dotykali? - zapytał Zany.

- Tylko pieniądze - powiedziała jego żona.

Zany wyszedł przez tylne drzwi, a drugi policjant ruszył za nim. Dwa rzędy śladów stóp, nieprzydatne w suchym piasku do sporządzenia odcisków, prowadziły w górę wąskim szlakiem. Stojąc na wydmie, Zany widział miejsce, gdzie prawdopodobnie zaparkowali samochód. Mogli wyglądać na dwóch facetów, idących sobie rano popływać.

- Przeszukajcie te domy - powiedział Zany. - Chcę mieć opis samochodu.

Wrócił do sklepu. Judy, ze złożonymi rękami przechylała się przez ladę i patrzyła na podłogę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Zany.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego, jakby wymierzała działo w okręt wroga.

- To przesądza sprawę, Zane. Ani słowa więcej na ten temat. Dasz spokój tej przekłętej sprawie.

- Judy...

- Albo dasz jej spokój, albo wracam do Chicago. A może do Wyoming.

- Właśnie doszły nowe okoliczności. Ktoś podpalił wczoraj łódź Poego. Był na niej Matthias Curland, dawny chłopak tej zamordowanej dziewczyny.

Jej oczy odrzucały każde słowo, które wypowiadał. - W tej chwili, Zany. Skończone.

- Dobra, dobra. Zostawię to.

- Obiecujesz mi?

- Obiecuję.

- Jeśli mnie nabierasz, to wezmę siekierę i załatwię twój komputer.

Zadzwonił telefon. Zany nie miał wątpliwości, że to prokurator okręgowy Moran. Jeśli to nie był on, to z pewnością dzwonił burmistrz.

Poe, Yeats i Mango usiedli w pierwszym rzędzie galerii przeznaczonej dla publiczności. Mieli stamtąd widok na salę Senatu stanu Illinois. Niewielu widzów siedziało tam na starych drewnianych krzesłach: para emerytów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty; jakiś dziwak straszący izbę usta-

wodawczą w obronie nieokreślonej sprawy oraz liczni lobbyści pełniący tu dyżury. Ci ostatni pilnowali ustawodawców do momentu, kiedy po raz ostatni stuknął młotek podczas tej przedłużonej letniej sesji, żeby któryś z nich nie spróbował czasem przemyścić innego projektu ustawy lub doczepić jakiejś paskudnej poprawki do rozważanego aktu prawnego. Chodziło o podjęcie kroków zezwalających miastom liczącym więcej niż dwa miliony mieszkańców, czyli również miastu Chicago, na emisję obligacji dochodu ogólnego i nałożenie na usługi podatku w wysokości 0,25 procent, w celu zbudowania nowych muzeów.

Projekt został zaanonsowany, jako „po prostu projekt ustawy”. Jak to zreferował Poemu główny rzecznik Senatu: „Ten projekt po prostu zezwala władzom miejskim powołać te instytucje do życia, jeśli sobie tego życzą. Ani cent nie wpłynie na ten cel z funduszy stanowych, i ani jeden cent nie będzie mógł być wydany bez zgody rady miasta oraz Wydziału Zieleni Miejskiej. Projekt ten ma charakter czysto lokalny i nie dotyczy absolutnie nikogo poza granicami miasta Chicago”.

Burmistrz dość dawno zgodził się poprzeć projekt, widząc w nim rodzaj wsparcia dla parlamentarzystów w ich pracach na następnej sesji ustawodawczej na temat zwiększenia podatku od hoteli miejskich. Doskonale wiedział, że projekt stał się rodzajem świętej krucjaty dla tych, którzy popierali ideę powołania Muzeum Holocaustu. W Chicago mieszkało około ćwierć miliona Żydów, jednak wydali oni masę pieniędzy na sprawy publiczne, a wpływ, jaki wywierali na politykę był znacznie większy niż wynikałoby to z ich liczby. Stanowili trzon „Liberałów Wybrzeża Jeziora”. Byli cierniem w ideologicznym chaosie wczesnych lat siedemdziesiątych, podczas kadencji burmistrza Daleya. W dzisiejszych czasach politycznego pojednania w mieście siedzieli wprawdzie spokojnie, lecz lubili walkę, więc prowokowanie ich nie miałyby sensu.

Republikanie byli podzieleni. Niektórzy z nich byli gotowi pozwolić miastu Chicago opodatkować się na śmierć, jeśli tego chciało. Inni sprzeciwiali się wzrostowi podatków jakiegokolwiek rodzaju, w jakiegokolwiek formie, z jakiegokolwiek powodu, nawet jeśli ten podatek miałby być pobierany od istot z innej planety.

Większość przeciwników projektu nie przejmowała się nim specjalnie,

choć paru z nich skorzystało z okazji żeby zgodnie z zasadą „ręka rękę myje”, oddać głosy na jego korzyść po to, by w przyszłości inni parlamentarzyści zrewanżowali się tym samym.

Zainteresowanie Poego dla projektu ustawy było szeroko znane i uznawane za dziwne. Większość uważała Poego za protestanta. Niektórzy wiedzieli o jego polskim pochodzeniu. Najczęściej sądzono, że zainteresowanie to wynikało z próby pozyskania żydowskich bankierów, z którymi prowadził tyle interesów, chociaż bank, z którym negocjował swój projekt Cabrini Green miał głównie japońskie powiązania. Jeden z kongresmanów wprowadził niezgodną z prawem poprawkę, dopominając się, aby do projektu ustawy włączyć pozwolenie na utworzenie muzeum Pearl Harbor. Poprawka uzyskała jeden głos.

Izba Reprezentantów przyjęła już ten projekt wystarczającą większością, lecz Poe martwił się o bardziej konserwatywny Senat. Głosowanie tego ranka miało przyjąć przygotowany przez komisję raport, który łączył projekt przedstawiony przez Izbę z nieznacznie różniącą się od niego wersją senacką. Gdyby projekt został zatwierdzony, reszta byłaby zwykłą formalnością. Gubernator nie wyraził chęci zgłoszenia veta.

Pomimo to, kiedy urzędnik Senatu oznajmił kolejny punkt porządku dziennego, Poe zaczął się kręcić i pocić. Włożył w to masę pieniędzy. Dziewięciu kluczowych parlamentarzystów Senatu i ponad dwa razy tylu w Izbie zostało w związku z tym opłaconych - każdy z nich starannie dobrany i nastawiony przez Yeatsa oraz jego lobbystów. Jednak Poe martwił się, że za mało im zapłacił i że za bardzo sobie pofolgował, poświęcając tyle czasu regatom żeglarskim oraz innym sprawom. Ustawodawcy mogli zrujnować jego plany tak samo doszczętnie, jak zrobili to bankierzy.

Ogłoszono przystąpienie do głosowania. Zamiast odpowiadać na wezwanie słowne według listy obecności, jak w Senacie Stanów Zjednoczonych, senatorzy po prostu włączali przycisk na pulpitych, co natychmiast ukazywało się w postaci świateł obok ich nazwisk wypisanych na ogromnej elektronicznej tablicy umieszczonej w przedniej części sali. Zielone światło oznaczało „tak”, czerwone - „nie”, żółte - wstrzymanie się od głosu.

Wszystko razem zajęło dziewięć minut, łącznie z oczekiwaniem na powrót senatorów, którzy poszli do toalety.

Wynik końcowy był zdumiewający. Oddano tylko sześć głosów na „nie” - z tej liczby pięć padło ze strony konserwatywnych republikanów i jeden od wściekłego ideologa, który w publicznym komentarzu wyraził wątpliwości, czy w ogóle był jakiś Holocaust.

- Wygrał pan - powiedział Yeats. - Znowu.
- To obsunięcie się gruntu. Lawina. Jak to zrobiłeś?

- Nie było trudne nakłonienie tych poważnych facetów, którzy chcą być świadomi tego, co ustanawiają. Przekonałem ich, że zrobią to dla dobrej sprawy, że dotyczy to tylko Chicago i że hotele miejskie nie są dostatecznie opodatkowane. Nowy Jork ściąga z rachunków hotelowych cztery różne podatki. W porównaniu z tym Chicago jest bardzo ostrożnym graczem. Faceci, których kupiliśmy, zostali dobrze opłaceni. A inni, no cóż, jest lipiec. Gorąco tu jak w piekle. Myśl, że sesja miałaby się przedłużyć, była dla nich straszna. Chcieli po prostu wrócić do domu. Teraz my też możemy to zrobić.

Na lotnisku, w czasie gdy napełniano paliwem zbiorniki ich samolotu, Mango wzięła Poego na stronę.

- Sprowadziłam gazety filadelfijskie, żeby na ciebie czekały, kiedy wrócisz do domu. Myślę, że się ucieszysz, jak je przeczytasz.

Zanim powiedziała to Poemu, poczekała, aż Yeats się oddali, żeby załatwić jakieś telefony. Nic nie wiedział o umowie Poego z dzentelmenami z West Side i o jej cenie. W końcu i tak się o tym dowie, lecz Poe postanowił mówić mu tylko to, co niezbędne. Razem z Mango mogli przecież załatwić sprawę na własną rękę. Mieli z tym całą kupę roboty.

- Czy zdobyłaś mi także gazetę z Atlantic City?
- Lepiej nie przedobrzyć tego, Peter.

Służąca położyła gazety w gabinecie Poego. W drodze z lotniska wysadził Yeatsa przy Hancock, lecz Mango pozostała z nim.

- Zrób mi drinka - powiedział, sadowiac się w fotelu. - Lekką whisky. Sobie też weź.

W *Philadelphia Inquirer* pisano o tej historii wewnątrz, w dziale miejskim. *Philadelphia Daily News* zamieściła wielki tytuł : „ZABÓJSTWO GANGSTERA W ŁÓŻKU”.

Mniejszy tytuł dotyczył pozostałych zabójstw. Szczegóły podane wewnątrz gazety były dość niesamowite. Poe przejrzał je pobieżnie i sięgnął z

powrotem po *Inquirer*. Podawano tam te same fakty.

Zdał sobie sprawę, że tym razem przekroczył jakąś linię. Wtedy, z O'Rourke, a potem z prostytutką, którą sprzątnęli w związku z jego morderstwem, Poe zaakceptował, to co zrobiła Mango, zatwierdzając jej działania, przymykając na nie oczy. Jednak wówczas nie wydał polecenia zabicia żadnego z nich, nie chciał tego. Jego dawni partnerzy z wschodniego wybrzeża to było coś innego. Gdyby nie powiedział „tak” w tej restauracji w West Side, żyliby jeszcze. Równie dobrze mógłby sam pociągnąć za spust - nacisnąć przycisk, który spowodował eksplozję bomby umieszczonej w oponie.

Odczuwał słabe wyrzuty sumienia, mniejsze niż po zabójstwie O'Rourke i tej chicagowskiej dziwki. Nie miał wyrzutów sumienia. Odczuwał nawet ulgę. Wszyscy ci faceci z pewnością zabijali lub wydawali takie rozkazy. Nie byli nic warci, zerowali na ludzkich słabościach, zajmując się terroryzowaniem ludności i oszukiwaniem państwa. Naprawdę odczuł pieprzoną ulgę.

Zrobił to w obronie własnej. Mieli zamiar go zabić. Już to prawie zrobili z jego żoną i tym architektem, i poparzyli tę śliczną dziewczynę. To było tylko wymierzenie sprawiedliwości. Gdyby kiedykolwiek był sądzony za to, co zrobił, miałyby duże szanse na uniewinnienie.

Ale oczywiście nigdy nie będzie sądzony. Tylko niewielu ludzi wiedziało o jego partnerstwie z Atlantic City, teraz doszczętnie zlikwidowanym, a wszyscy oni pracowali albo dla niego, albo dla nich.

Po raz pierwszy od wielu dni czuł, że znowu dowodzi, że w pełni wszystko kontroluje. A na dodatek, wygrał te regaty. Był szczęśliwy.

- Na zdrowie - powiedział podnosząc szklankę. - Za przyszłość.

Mango podniosła swoją w odpowiedzi, a po chwili zeszytywniała. W drzwiach stała Diandra w szlafroku kąpielowym z przerażającym wyrazem twarzy.

- Peter - powiedziała monotonnym głosem. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Za chwileczkę - odpowiedział. - W porządku, panno Bellini. Proszę wrócić do pracy. Chcę zwołać konferencję prasową na czwartek. Chcę też wysłać telegram do ojca tej dziewczyny. Jak ona się nazywa, Cindy Ellison.

Proszę napisać, że naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało i że pokryję koszty leczenia szpitalnego, wszystko. Proszę dodać, że mam zamiar pomóc odpowiednim służbom w każdy możliwy sposób, żeby wyjaśnić przyczyny wypadku.

Mango wypila swego drinka kilkoma szybkimi łykami. - Zajmę się tym, panie Poe. Do zobaczenia w gabinecie.

Diandra odsunęła się trochę, żeby ją przepuścić, ale nie zrobiła tego przez grzeczność, ani w sposób wyrażający szacunek. Uczyniła to tak, jakby chciała uniknąć kontaktu z czymś odrażającym.

Usiadła na fotelu stojącym przy oknie, zmuszając Poego, aby odsunął się od swojego biurka. Zaczął się podnosić.

- Nie podchodź do mnie, Peter. Nie chcę, żebyś mnie całował.

Oczy miała zaczerwienione - od alkoholu lub płaczu, albo od jednego i drugiego. Twarz jej była kredowobiała, a włosy w nieładzie. Nigdy przedtem nie widział jej w takim stanie.

- Niewiele brakowało, kochanie - powiedział. - Dobrze się czujesz?

- Nie ma chyba odpowiedniego słowa na określenie, jak się czuję.

Szlafrok był rozpięty, chyba nie miała na sobie nic poza nim. Była prawie piąta. Czy rzeczywiście spędziła cały ten czas w łóżku?

- Nie wyglądasz dobrze. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Nie mów, że cię to obchodzi.

- Oczywiście, że mnie obchodzi. Czy myślisz, że jest inaczej?

- To dlaczego nie przyjechałeś, by się ze mną spotkać, a zamiast tego pojechałeś do Springfield?

- Musiałem, dziecinko. Mój projekt ustawy był dziś w ostatnim czytaniu. To była dodatkowa sesja, wiesz? Nie mieli zamiaru siedzieć tam i czekać na mnie. Poza tym Krasowski powiedział mi, że nic ci się nie stało. Że tylko się trochę zamoczyłaś.

- Matthias mówił, że to była bomba. To nie mogło być nic innego.

- Czy on naprawdę tak myśli? Może rzeczywiście to była bomba. Przykro mi, że zostałaś w to wplątana. Powinienem był zabrać cię z sobą.

- Większość żon nie musi walczyć z bombami, Peter.

- Słuchaj, przykro mi. Jestem przygnębiony. Jestem diabelnie wściekły z tego powodu. Zrobię wszystko, do cholery, żeby nic podobnego się więcej

nie zdarzyło.

- Czy ktoś próbuje cię zabić, Peter? Dlaczego? Co ty takiego zrobiłeś?

- Nie zrobiłem niczego. Nie wiem, kto podłożył tę bombę, jeśli to była bomba. Może to miało coś wspólnego z Curlandem. To na jego łodzi znaleziono tę martwą dziewczynę.

- Myślałam o tym przez bardzo krótką chwilę. Ale to śmieszne. Matthias Curland nawet nie zna takich ludzi, którzy podkładają bomby. Jedyną znaną mu osobą, która mogłaby być zamieszana w coś takiego, jesteś ty.

- Co masz na myśli, Diandro?

Podniosła się, zaciskając pięści. - Do jasnej cholery, co się dzieje, Peter? Powiedz mi, albo zacznę wrzeszczeć.

- Uspokój się, dziecko. Uspokój się. Usiądź, proszę. Powiem ci wszystko, co wiem. Czy potrzebny ci pas? Wyglądasz, jakbyś chciała go użyć.

Widział jak walczy z sobą. W końcu usiadła, chociaż nie wiadomo było, jaką podjęła decyzję. - Nalej mi trochę wódki - powiedziała.

Poe napełnił kieliszek, dodając nieco lodu z automatu.

- Mam wielu wrogów, Diandro. Wiesz o tym. Jest paru takich typów, którzy ponieśli straty w interesach, bo odsunąłem ich na bok. Ludzie ci figurują na Liście Towarzyskiej i traktują mnie jak dorobkiewicza. Myślę też, że są jeszcze inni, jacyś dziwacy, którzy chcą mi zrobić coś złego, tylko dlatego że piszą o mnie codziennie w gazetach i pokazują w telewizji. Jeśli odniesie się taki sukces jak ja, znajdą się natychmiast ludzie, którzy nie mogą się doczekać, żebym poniósł klęskę, gotowi nawet to przyspieszyć. Przypomnij sobie, w jaki sposób rzucili się na Trumpa.

Wyrzała przez okno. Nie mógł odgadnąć, czy słucha go, czy nie.

- Myślę, że to może być coś poważniejszego - kontynuował. - Nie przypominam sobie, co ci o tym mówiłem, ale paru gangsterów interesowało się moim kasynem w Michigan City - to ci sami faceci ze Wschodniego Wybrzeża, z powodu których opuściłem Atlantic City. Trzymałem ich na dystans. Użyłem całej mojej siły, żeby utrzymać funkcjonowanie tego kasyna i żeby przynosiło coraz większe zyski. Kasyno dla tych typów, to tak jak śmietnik dla szczurów.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że muszę żyć w strachu przed wy-

sadzeniem mnie w powietrze, bo ty jesteś właścicielem kasyna?

- Nie mogę się go pozbyć. Potrzebuję go jako zabezpieczenia kredytu na budowę w Cabrini Green. Wszystko inne jest zastawione, wyżyłowane do ostatnich granic. Ale nie musisz się martwić. Udałem się do władz. Współpracuję w każdy możliwy sposób. Wydaje mi się, że kiedy te kutasy będą pod presją, to odczepią się i dadzą mi spokój. Jestem tego pewien.

- Nie mogę tego znieść, Peter.

- Naprawdę nie wydaje mi się, żeby było o co się martwić. Nie mogę pozwolić, by stało się jawne, że jeden z tych gangsterów planuje zamach na moje kasyno. Jestem pewien, że nie wpłynęłoby to korzystnie na naszą reputację towarzyską. Więc nie mów o tym nikomu. Nikomu, nawet Matthiasowi Curlandowi.

- Matthiasowi Curlandowi?

- Tak. À propos, jak on się ma?

- Nie był ciężko zraniony.

- Nie o to mi chodzi. Jak się czuje? Czy jest do mnie uprzedzony?

- Jest na ciebie strasznie wściekły.

- Chyba nie powinno mnie to dziwić, prawda? Ale mu to przejdzie. I ty możesz w tym pomóc.

- Ja?

- Tak, ty. Lubi cię, nawet bardzo, czyż nie? Dla mnie to jest zupełnie oczywiste.

- I tylko o to ci chodziło?

- Teraz chcę czegoś więcej. Chcę, żebyś go uspokoiła. Muszę odzyskać jego przychylność.

- Co sugerujesz?

- Nie wiem. Czegokolwiek to będzie wymagało. Bądź miła. Byłaś dla niego miła tam w Wisconsin, nieprawdaz? Po moim wyjeździe.

- O co ci chodzi?

Wyglądała rzeczywiście na wyczerpaną. Zastanawiał się, co tam mogło zajść.

- Czy cię przeleciał? Pieprzyłaś się z nim?

Otworzyła szeroko oczy i wykrzywiła usta. Żałował, że nie ma jej zdjęcia z takim grymasem na twarzy. Powiększyłby je i oprawił w ramki, żeby mieć

na następny raz, kiedy będzie wprowadzona z równowagi.

- Nienawidzę cię, Peter.

- W porządku. Możesz mnie nienawidzić. Odejdź albo złóż pozew rozwodowy. Ale pamiętaj, podpisałaś umowę przedmażeńską. Odejdziesz ode mnie z niczym. Mógłbym nawet zatrzymać twoje ubrania, ale tego bym nie zrobił.

- Słuchaj, ty egocentryczny sukinsynu. Poszłam do mojego pokoju po twoim wyjeździe i tam zostałam. Matthias tańczył z tą Cindy. Jak myślisz, dlaczego on tam jeszcze siedzi?

Przyglądał się jej. Wyglądała tak, jakby chciała go zabić. Lecz zamiast wpaść w szal, skończyła swojego drinka.

- Słuchaj - powiedział łagodnie. - Nie miałbym nic przeciwko temu. Jestem wyrozumiałym facetem. Żyjemy w nowoczesnych czasach. Do diabła, nie chcę, żebyś ode mnie odeszła, Diandro. Cieszę się, że jesteś moją żoną. Nie mogę sobie wyobrazić siebie jako męża jakiejś innej kobiety. Wierzę we wszystko, co mi mówisz. Ta dziewczucha dawała jasno do zrozumienia, że na niego leci. Jest diabelnie ładna. Byłbym zdziwiony, gdyby jej nie przeleciał. On jest dla niej jak brat. To nie ma znaczenia, że jest zaręczony z tą nadętą panią Phillips. Nawinie mu się dobry kawałek dupy i bach.

Diandra wstała i ponownie napełniła swój kieliszek.

- Nie masz chyba zamiaru mi się tu urznąć, prawda? To całkiem inny problem.

- Do jasnej cholery, Peter, moje nerwy są napięte do ostatnich granic. Upiłam się idiotycznie wczoraj wieczorem po powrocie do pustego domu, kiedy cię potrzebowałam. Tymczasem pojechałeś sobie do Springfield z tą twoją sekretarką - diabolicą. W tej chwili cierpię na najgorszego kaca w życiu i próbuję powrócić do normalnego stanu. Daj mi święty spokój, dobrze?

- W porządku, dziecinko, w porządku. Proszę cię tylko o to, byś była dobrą żoną i pomogła mi w tej sprawie. Potrzebuję Curlanda. Potrzebne mi są jego pomysły, jego znajomości. To największe przekłete przedsięwzięcie w całym moim życiu. Przykro mi z powodu tych sukinsynów, którzy próbowali być twardzi, ale to już minęło i wszyscy wyszliśmy z tego cało. Ale nie chciałym, żeby moje plany diabli wzięli tylko z powodu humorów

mojego architekta z wyższych sfer.

- Nie mówił nic na temat rezygnacji z udziału w twoich planach. Twój cholerny budynek jest chyba rzeczą, która najmniej go w tej chwili obchodzi. Jest zawiedziony i wściekły. Chciałby wiedzieć co się zdarzyło, kto to zrobił i dlaczego.

- Kiedy przyjdzie na to czas, usatysfakcjonuję go. Teraz chciałbym, żebyś się uspokoiła i uczyniła go szczęśliwym. Dowiedz się, kiedy on wraca. Wyjedź po niego na lotnisko. Idź do niego do domu. Nie będę miał pretensji. Doprowadź go do nastroju, kiedy będę z nim mógł porozmawiać. Powiedz mu, że zrobię wszystko, co można dla tej dziewczyny. Spotkam się z nim, kiedy tylko zechce i gdzie zechce.

Osunęła się z powrotem na fotel, patrząc na swoje stopy. Część włosów opadła jej na twarz.

- Moja ustawa została przyjęta - powiedział. - Przeszła w Senacie, jak dobrze nasmarowana kula armatnia.

- Gratuluję - mruknęła.

Poe wstał. - Doprowadź się do normalnego stanu, nieważne w jaki sposób. Potem się umyj. Zabieram cię na kolację dzisiaj wieczorem. Do Bice'a, do sali Cape Cod. Albo gdzie indziej. Idę teraz do mojego gabinetu. Mam przejrzeć materiały pięciu spółek. Całymi tygodniami nie poświęciłem im chwili uwagi.

Podszedł i położył rękę na jej ramieniu. Nie poruszyła się.

- Kocham cię, dziecinko - powiedział.

ROZDZIAŁ

14

Matthias powrócił do domu z Wisconsin tak zmęczony, jakby przyszedł pieszo, a nie przyleciał samolotem. Pozostał przy Cindy przez całą noc i snuł się po szpitalnej poczekalni przez cały następny dzień, chociaż jej ojciec natychmiast po przybyciu usilnie nalegał, aby Matthias wyjechał. Po spędzeniu kolejnej nocy w obskurnym motelu i po niepotrzebnych telefonach do szpitalnego oddziału oparzeń, gdzie dowiadywał się, że stan jej zdrowia się nie zmienia, doszedł do wniosku, że równie dobrze mógłby powrócić do Chicago. Jego obecność nie przynosiła pożytku ani jej, ani jemu.

Matthias złożył zeznanie dla zastępcy szeryfa, a dla Straży Przybrzeżnej wypełnił długi formularz dotyczący wypadku. Nikt więcej nie interesował się Matthiasem.

Ekipa ratowników wydobyła szczątki *Lady P* z płycizny, a paru nurków, na polecenie biura szeryfa, zeszło na dno, szukając fragmentów bomby, lecz niczego nie znaleziono. Ministerstwo Transportu miało podobno przeprowadzić śledztwo w sprawie wypadku, ale nie wydawało się, żeby miało coś z tego wynikać.

Samolot doleciał do Chicago późnym popołudniem. Z lotniska Matthias udał się prosto do domu przy ulicy Schillera. Tak jak przypuszczał, Christiana nie było w domu. Liczne wiadomości czekały na niego przy telefonie kuchennym - prawie wszystkie pochodziły sprzed dwóch lub więcej dni. Nawet nie chciało mu się na nie spojrzeć.

Poszedł na górę do swej sypialni i runął na łóżko w ubraniu. Dostał od lekarza jakieś środki przeciwbólowe z powodu poparzonej ręki i zażył je, chociaż pruska tradycja obowiązująca w jego rodzinie nakazywała unikać tego typu leków. Dziadek powiedział mu, kiedy był jeszcze małym chłop-

cem, że należy nauczyć się nie zwracać uwagi na ból. Prusacy nie płaczą.

Było ciemno, kiedy się obudził. Pomyślał, że po prostu już się wyspał i że zbliża się świt, lecz było dopiero parę minut po dziewiątej. Zdał sobie sprawę, że obudził go jakiś dźwięk. Przekłęty dzwonek do drzwi.

Nie miał ochoty teraz oglądać Sally. A jeśli to był Christian, to mógłby sobie znaleźć inne miejsce do spędzenia tej nocy. Miał wystarczająco dużo przyjaciółek w tej okolicy.

Matthias usiadł na krawędzi łóżka. Biorąc pod uwagę jego pecha, pewnie był to znowu naczelnik policji ze stanu Michigan, chociaż właściwie był on jedyną osobą, którą Matthias chciałby zobaczyć.

Z impetem otworzył drzwi i zdziwił się, gdy ujrzał za nimi eteryczną postać Diandry w długiej białej sukni, ze splecionymi dłońmi i z lekko opuszczoną głową.

- Dzwoniłam do Door County. Powiedzieli mi, że dziś stamtąd wyjechałeś. Zaryzykowałam, mając nadzieję, że już będziesz w domu.

- No i jestem.

- Czy mogę wejść? Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

Zaprowadził ją do salonu. Z ciekawością rozejrzała się dookoła.

- Właśnie tak wyobrażałam sobie twój dom.

- Usiądź, proszę. Chcesz się czegoś napić?

Zawahała się. - Tak. Wódkę z tonikiem. To mi pomoże.

Wrócił z dwiema szklankami, które niezręcznie trzymał w zabandażowanych dłoniach.

- Jak twoja ręka?

- Nie daję mi o sobie zapomnieć. Lekarz powiedział, że będzie w porządku za parę tygodni. Natomiast Cindy będzie miała blizny na plecach i nodze do końca życia.

- Teraz chirurgia plastyczna może zrobić cuda. Peter prosił, by ci powtórzyć, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

- Jak miło.

Z wdziękiem założyła nogę na nogę i zagłębiła się w kanapie, podnosząc szklankę i patrząc na niego ponad jej brzegiem. - Jest naprawdę przygnębiający.

- Z pewnością. To była droga łódź.
- Jesteś niesprawiedliwy. On chce zrobić wszystko, co może.
- A co z dostarczeniem jakiegoś wytłumaczenia?

Popatrzyła w drugą stronę, na obraz jego matki, a potem z powrotem na niego. - Chciałby, żebyś uwierzył, że to był tylko wypadek.

- Sam chciałem w to uwierzyć, ale to nie był wypadek.

Westchnęła. - Powiem ci, co on mi mówił. Ja mu wierzę. Mówił, że ma rywali w interesach. Domyślam się, że nie są to ludzie o zbyt twardej zasadach moralnych. Poe nie jest pewien, że to zrobili oni, ale udał się do władz w tej sprawie. W każdym razie mi tak powiedział. Nie myśli, żeby ponownie próbowali zrobić coś takiego.

- Brzmi to bardzo ładnie. - Był zły, ale nie na nią. Żałował grubiaństwa w stosunku do niej w Wisconsin.

- Już słyszałam o takich przypadkach - powiedziała. - Projektantowi, w którego rewiach brałam udział, podłożono kiedyś bombę w sali pokazów i do dziś nie wiadomo dlaczego. W każdym razie nie wydaje się, żeby Peter specjalnie się tym przejmował, więc myślę, że wszystko jest w porządku.

- Jasne. Jednym słowem wszystko jest *ticketyboo*.

- Słucham?

- To kolokwializm używany w brytyjskich wyższych sferach. Przepraszam.

- Czy jesteś na mnie zły?

- Jestem po prostu zły i chciałem wiedzieć na kogo.

Popatrzyli na siebie. Zaledwie parę dni wcześniej obejmował jej nagie ciało, a jego ręce przesuwały się po niej całej. Niejasno przypominał sobie, jak mówiła, że go kocha i jak on mówił jej to samo. Lecz ta noc była tak odległa, że wydawało mu się, jakby nigdy jej nie było.

- Gdzie nas to zaprowadzi, Matthias?

Wzruszył ramionami - Chciałbym to wiedzieć.

- Czy w dalszym ciągu chcesz projektować ten dom dla Petera?

Prawdziwa odpowiedź brzmiała „tak”. Nie mógł nawet przestać o tym myśleć. Kiedy jego samolot zbliżał się do Chicago, spojrzął ku slumsom skupionym wzdłuż północnej odnogi rzeki i wyobraził sobie w tym miejscu wydęty żagiel ze strzelistą wieżą wznoszącą się ku niebu. Powiedział sobie

stanowczo, że nie powinien teraz brać udziału w tym projekcie, ale po chwili zastanowienia zawahał się: właściwie dlaczego nie? To nie sprawi Cindy żadnej różnicy, czy ten budynek zostanie wzniesiony, czy nie. Poe i tak wzniesie coś w tym miejscu. Dlaczego nie według jego projektu?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Chciałbym jeszcze się nad tym zastanowić, jeśli przedtem uda mi się dobrze wyspać.

- Czy cię obudziłam? Powinnam była pomyśleć o tym, że możesz odpoczywać.

- Nie przejmuj się.

- Czy przynajmniej mówiłeś o tym Peterowi? Chciałby z tobą o tym pomówić.

- Nie wydaje mi się, że się zdecydował, który projekt wybrać.

- Wydaje mi się, że jednak wybrał ten z wydętym żaglem. Ale nie mów mu, że ci to powiedziałam. Proszę cię, nie powtarzaj mu niczego, co mówiłam.

- Lub co zrobiłaś.

- Matt, proszę cię.

- Chyba nie powinnaś była przychodzić.

- Musiałam. Nie mogłam tak zostawić tej sprawy.

- Może po prostu zapomniliśmy o tamtej nocy?

- Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

Szukała oczyma jej wzroku, lecz ona unikała jego spojrzenia.

- Dobrze, zadzwonię do niego. Być może jutro.

- Czy spotkasz się z nim jutro?

Czy Poe wysłał ją, by ich umówiła?

- Nie. Może zadzwonię do niego jutro.

- W czwartek zwołuje konferencję prasową, która, jak mi się wydaje, będzie dotyczyła tej budowli.

- Zadzwonię do niego.

Skończyła swój drink i postawiła kieliszek na tacy leżącej na stoliku obok. Potem usiadła sztywno z rękami złożonymi na kolanach.

- Powinnam już chyba pójść.

- A co z nami?

- Chciałabym być twoją przyjaciółką, Matthias.

- Moją przyjaciółką.

Zadzwonił dzwonek. Jak mawiał jego ojciec, kulturalni ludzie nie przychodzą o tej porze.

Była to kolejna niespodzianka - Sally. Rzuciła mu się w ramiona.

- Matt! Zobaczyłam światła i pomyślałam, że jesteś w domu. Tak się martwiłam o ciebie, kochanie. Cały czas do ciebie dzwoniłam. Nie mogłam znaleźć Christiana. Nic ci się nie stało? Bardzo się tym wszystkim przejęłam.

Przyścięgnęła go do siebie i nadstawiła twarz, oczekując pocałunku. Zrobił to, na co czekała, lecz sztywno i z zażenowaniem.

- O Boże! Twoja ręka. Czy sprawiłam ci ból?

Cofnęła się i ujrzała kobietę siedzącą w salonie.

Diandra uśmiechnęła się z przymusem. - Dzień dobry, Sally.

- Pani Poe. - Twarz Sally zachmurzyła się. - Nie myślałam, że tu panią spotkam.

- Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam się upewnić, że pan Curland dobrze się czuje.

- Oczywiście. - Rzuciła na Matthiasa zgaszone spojrzenie i wycofała się ku wyjściu. - Widzę, że przyszłam w nieodpowiednim momencie. Dobranoc państwu.

- Sally, proszę, zostań.

Otworzyła drzwi. - Może porozmawiamy jutro.

- Sally, na miłość boską.

- Do widzenia, Matthias.

Usłyszeli ostry stukot jej obcasów na chodniku.

Diandra podniosła się.

- Teraz naprawdę muszę już iść - powiedziała.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Dotknęła jego ręki, ale tylko przez chwilę. - Nie musisz nic mówić. Ale spotkaj się z Peterem. Zastanowimy się nad wszystkim później.

Christian wpadł do domu wczesnym rankiem, zastając Matthiasa robiącego sobie krwawą Mary.

- Jak widzę, żeglarz wrócił do domu z dalekich mórz - powiedział wesoło. - Masz zamiar znów się pogrążyć, wielki bracie?

- To z powodu mojej ręki. Boli jak diabli. To terapia alkoholowa, obawiam się.

- Dziadkowi by się to nie podobało.

Christian wstawił czajnik z wodą i wyjął z szafki słoik kawy rozpuszczalnej.

- Nie przeszkadza mi to - powiedział Christian. - Cieszy mnie trochę to odwrócenie ról. Mam przed sobą dzień pełen zajęć. Larry Train obiecał mi, że zorganizuje samodzielną wystawę moich obrazów, więc muszę ich trochę zgromadzić. Nasz przyjaciel Poe od razu powiedział, że kupi jeden. Wszystko dobrze się układa, wielki bracie.

- Czy będziesz miał dosyć płócien pod ręką? Myślałem, że malujesz tylko portrety.

- Mogę ich kilka wypożyczyć na wystawę, żeby ją zapelnąć. Napiszemy na nich „sprzedane”. Ale mam kilka płócien tu i tam. Schowałem parę w muzeum, a dwa są w domu w Lake Forest. No i oczywiście Larry ma kilka nie sprzedanych. To podsunęło mu myśl o wystawie. Pomyślał, że mogliśmy zrobić na tym dobry interes.

- Życzę ci powodzenia - Matthias powiedział to szczerze.

Christian nalał trochę wrzątku do filiżanki i z energią wszystko wymieszał.

- Tobie też życzę szczęścia. Czy ustaliliście z Sally datę?

- Nie została jeszcze dokładnie postanowiona.

- Będę szczęśliwy, jeśli zostanę drużbą. Jestem najlepszy, nie wiedziałeś?

Wypił kawę kilkoma szybkimi łykami. - Muszę się trochę ochlapać, wielki bracie. Piekielnie potrzebny mi prysznic i golenie. Chcesz iść ze mną do muzeum? Pokręcić się tam trochę i spojrzeć na moją produkcję?

- Nie wiedziałem, że masz tam jakieś swoje płótna.

- Odłożyłem je do magazynu.

- Naprawdę nie bardzo mi to pasuje. Muszę odpowiedzieć na te wszystkie telefony.

- W porządku, rób jak chcesz. Powinieneś uważać na to picie, sta-

ruszku. To może znowu cię wciągnąć.

Zaczął się zbierać, ale stanął w progu. - Nie dałeś Sally pierścionka zaręczynowego?

- Nie, nie dałem.

- Wiem, że to strasznie drobnomieszczańskie, wielki bracie. Ale taka właśnie jest Sally. A jakbyś jej dał pierścionek zaręczynowy matki? Sally by się to podobało.

- Ale nie duchowi matki.

- Matka miałyby to w nosie, Matt. Tak samo mało jej na tym zależało, jak na jej małżeństwie.

Wśród wiadomości telefonicznych, które czekały na Matthiasa, jedna była zaskakująca. Pochodziła od Douglasa Gibsona, jednego z najdawniejszych przyjaciół, z którym od paru lat rzadko się widywał. Ostatnie ich spotkanie było przypadkowe i miało miejsce na nowojorskiej Piątej Alei. Teraz Gibson chciał się z nim pilnie zobaczyć. Kiedy Matthias do niego zadzwonił, tamten natychmiast zaproponował spotkanie w Klubie Chicagowskim. Matthias nie postanowił jeszcze niczego w sprawie Sally, więc nie miał ochoty siedzieć w domu i ryzykować następne z nią spotkanie, dopóki nie podejmie decyzji, jak postąpić. Przyjął propozycję Gibsona.

Gibson był prawnikiem i chyba najbardziej bystrym człowiekiem, jakiego Matthias znał w Chicago. Spotkali się po raz pierwszy, kiedy obaj rozpoczynali karierę. Gibson pracował jako radca prawny przy inwestycji budowlanej, dla której firma Curlandów robiła projekt architektoniczny. Był chłopakiem ze wsi, synem dobrze prosperującego farmera uprawiającego soję i kukurydzę pod Sycamore. Jego rodzina posiadała także małą fabrykę konserw i stację benzynową. Absolwent wydziałów prawa uniwersytetów Północno-Zachodniego i Yale, po odejściu z przedsiębiorstwa budowlanego zainteresował się papierami wartościowymi, przenosząc się z jednej firmy prawniczej do drugiej. W chwili obecnej, w zdumiewająco młodym wieku był już partnerem do spraw administracyjnych w największej takiej firmie w Chicago. Jednym z jego klientów był bardzo ważny bank. Matthias miał mgliste pojęcie o tym, co miało być tematem rozmowy i dlatego Gibson tak pilnie chciał się z nim zobaczyć.

Dostali stolik z boku, poza zasięgiem słuchu innych gości w całkowicie

wypełnionej sali restauracyjnej. - Martini - powiedział Gibson do kelnera, a potem spojrzał na Matthiasa. - Dwa?

- Tylko kieliszek białego wina. - Gadanie Christiana o odwróceniu ról zirytowało go.

- Oczywiście - rzekł Gibson. - Jesteś teraz artystą. Wino, chleb i ser, prawda?

- Po prostu przestałem dużo pić.

Gibson badawczo mu się przyjrzał. Był zawsze świetnie poinformowany o interesach, polityce, skandalach i sprawach osobistych wielu osób. Gdyby nie zaangażował się tak bardzo w zdobywanie pieniędzy, byłby znakomitym dziennikarzem.

Jego wygląd zewnętrzny mógł wprowadzać w błąd. Miał twarz wiejskiego chłopca, a jego garnitury, chociaż teraz kosztowne, wyglądały zawsze niechlujnie. Krawat, który miał na sobie, wisiał trochę krzywo, a jeden z rozków kołnierzyka koszuli był załamany. Gibson przeprowadzał transakcje, których wartość sięgała stu milionów dolarów. Jego dochód roczny wynosił prawdopodobnie około trzech milionów dolarów. Ożenił się z bogatą kobietą, ale w tej chwili jego fortuna przekraczała wartość majątku jej rodziny. Ruth była profesorem na uczelni, poza tym prowadziła sporo spraw cywilnych, oraz pełniła funkcję przewodniczącej jednej z komisji obywatelskich przy burmistrzu. Komisje te reprezentowały nową klasę rządzącą, która przejęła ster od starych rodzin sprawujących władzę w mieście jeszcze za czasów dzieciństwa Matthiasa. Gibsonowie nie znajdowali się w Rejestrze Towarzyskim - Ruth była Żydówką, a snobistyczny Rejestr nie akceptował tego, lecz Gibsonowie nie przejmowali się takimi błahostkami. Głęboko kochali miasto, w którego sprawy tak bardzo byli zaangażowani.

- Słyszałem, że wróciłeś do Chicago - powiedział Gibson - ale myślałem, że przyjechałeś tylko na pogrzeb matki. Byłbym na nim, gdyby nie mój wyjazd do Waszyngtonu. Miałem do załatwienia pewną sprawę w Komisji Bezpieczeństwa i Wymiany. Nie mogłem tego odłożyć. Żałuję, że nie było mnie na pogrzebie. Przepraszam cię, Matt.

Matka Matthiasa była nieprzychylnie nastawiona do Gibsona. Nikt nie był w stanie zmienić jej przekonania, że jego ojciec zarabiał na życie pro-

wadząc traktor, podczas gdy w rzeczywistości robił to czasem dla rozrywki.

- Doceniam twoje intencje, ale dobrze się stało, że cię tam nie było.

Przykra impreza. Byliśmy zadowoleni, gdy się skończyła.

- Słyszałem, że pomagasz ojcu postawić waszą firmę z powrotem na nogi, zanim wrócisz do Francji.

- Coś w tym rodzaju.

Brązowe oczy Gibsona sprawiały niewinne wrażenie, co podkreślały jeszcze wielkie okulary w rogowej oprawce. Nie doceniający go przeciwnicy, którzy sądzili, że mają do czynienia z naiwnym, wiejskim prostaczkiem, często łądownali na dnie rynsztoka.

- Złowiłeś potężnego klienta - powiedział Gibson.

- Petera Poe.

- To jest dopiero kumpel.

Przyniesiono drinki. Gibson uniósł swój kieliszek, a następnie szybko wypił łyk. - Widziałem twoje zdjęcie przy sterze jego łodzi w *Tribune*. Domyśliłem się, że jesteś z nim w zażyłych stosunkach.

- Jest tylko moim klientem.

Gibson uśmiechnął się. Ponownie się napił i odstawił kieliszek. Jak przypomniał sobie Matthias, Gibson nie dopijał alkoholu do końca.

- Naprawdę chciałem do ciebie zadzwonić - kontynuował Gibson. - Nawet jeszcze zanim usłyszałem o tobie i Poem. Byłem tak cholernie zajęty. Połowę czasu spędzam poza Chicago. Ale kiedy przeczytałem o tym pożarze na jego jachcie, nie chciałem już dłużej czekać. - Spojrzał na zabandażowaną lewą rękę Matthiasa. - Może czekałem zbyt długo.

Curland uniósł rękę i pokręcił nią, poruszając palcami. - Nie jest tak źle, jak wygląda.

- Mówi się o poparzeniu palców przy robieniu interesów. Po raz pierwszy widzę, żeby tak się naprawdę stało.

Uśmiechnęli się obaj. Gibson odchylił się do tyłu, puszczając oko do Matthiasa. Pod pewnym względem przypominał Curlandowi naczelnika policji z Michigan - Rawlingsa.

- Matt - powiedział po chwili - myślimy, że Poe ma powiązania z mafią. Dlatego też bank, który reprezentuję, nie wejdzie z nim w żadne interesy. Ja na to nie pozwolę.

Matthias zapatrzył się w swój kieliszek, potem się napił. On sam żywił takie podejrzenia. Myśl ta powracała nieustannie, kiedy siedział godzinami w poczekalni szpitala w Wisconsin, gdzie leżała Cindy i szukał logicznego wyjaśnienia tego, co się stało z łodzią Poego.

Lecz podejrzenia to jeszcze nie dowód. Czy jego przyjaciel Douglas dostarczył mu teraz takiego dowodu? A jeśli tak, cóż to za różnica? Pieniądze gangsterów spotykało się w Chicago na każdym kroku. Mógłby wskazać tuzin budynków wznoszących się jak pomniki, które poświadczały tę prawdę.

- Mój brat został czymś w rodzaju przyjaciela Poego - powiedział w końcu. - I nie powiedział mi słowa o niczym takim. Nie przypuszczam, byś uważał Christiana za człowieka o wysokich zaletach moralnych, lecz nie zadaje się on jednak z kryminalistami. Zerwałby natychmiast znajomość z Poem, gdyby to o czym mówisz, było prawdą.

- Christian mógłby o tym nie wiedzieć. Niewielu ludzi wie. Nie mam na myśli gangsterów z Chicago. To grupa ze Wschodniego Wybrzeża. Nie mamy żadnego dowodu. Nic takiego, z czym mógłbym pójść do władz. Ale wystarczy, aby trzymać się od niego z daleka. Kiedy usłyszałem, co stało się na tej łodzi, zacząłem się bać o ciebie.

- Rozmawiałem o tym z jego żoną. Powiedziała mi, że Poe posądza o tę robotę swoich rywali finansowych. Dodała, że nie przejmuje się tym zbyt wiele.

- Nie było go na łodzi.

- Ale mógłby tam być. Gdyby to był syndykat zbrodni, czyż nie lękałby się, czy nie wyjechałby z miasta, czy wreszcie zrobiłby cokolwiek, co czyni się w takiej sytuacji?

- Nie mówię, że facet nie ma tupetu. Z pewnością ma, jak można sądzić ze sposobu trwonienia cudzych pieniędzy.

- Współdziała z nim wielu poważnych obywateli.

- Łącznie z tobą. Czy masz zamiar się z nim związać?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. - Ciągle to powtarzał. Za każdym kolejnym razem znaczyło to coraz mniej.

- Matt, nie mam zamiaru wtrącać się do twoich spraw lub wtykać nos w twój układ z klientem, jeśli ciągle jeszcze takowego masz. Poe planuje

wznieść potworny drapacz chmur przy szlaku Cabrini Green, prawda? To w tym projekcie bierzesz udział?

- Nie podpisałem umowy, ale sporządziłem już dla niego parę rysunków.

- Ja zawieram umowy, Matt. W ten sposób zarabiam na życie. Od lat nie byłem w pobliżu sali sądowej. Zawieram umowy wielkie i małe, z wygrywającymi i z przegrywającymi. Ale nigdy nie widziałem tak wielkiej przegranej, jaką wydaje się zapowiadać realizacja tego projektu. Nie ma to naprawdę żadnego sensu. Nie włożyłbym w to złamanego centa.

- Postępowanie Poego pewnie nazwałbyś ekstrawaganckim i lekkomyślnym. On lubi podejmować ryzyko.

- Stanie na krawędzi przepaści jest rzeczywiście podejmowaniem ryzyka. Ten facet daleko mierzy. Niezależnie od tego, co będzie chciał potem zrobić z tą budowlą, w tej okolicy może liczyć na wynajęcie najwyżej dziesięciu procent powierzchni, nawet jeśli zechce ją rozdawać za darmo. To miejsce cieszy się złą sławą. Prędzej można by tam wybudować domy miejskie, niskopiętrowe zespoły mieszkalne. Ale wzniesienie monstrualnego wieżowca przeznaczonego na biura i luksusowe mieszkania, to całkiem poroniony pomysł.

- On widzi ten projekt jako samospełniającą się wizję. Postawi budynek i zmieni się cała okolica. Już zaczyna się zmieniać. Taka koncepcja byłaby wspinałym początkiem. Przybyliby inni inwestorzy. W ten właśnie sposób dzielnica Sandburg Village przyciągnęła do siebie Near North Side. Tu byłoby dokładnie tak samo. Cokolwiek myślisz o nim, jest na pewno wizjonerem. Tacy jak on i mój pradziadek zbudowali Chicago.

- Sandburg Village to była dzielnica mieszkaniowa, głównie z niską zabudową i położona tuż obok Gold Coast. Artur Rubloff nie był głupcem. Był jednym z najbardziej konserwatywnych inwestorów, jakich widziało to miasto. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego plan dotyczący Sandburg Village powiedzie się.

- Jestem tylko architektem, Doug. Mój poprzedni wielki klient zbankrutował, ale ten budynek ciągle stoi. W każdym razie nie wydaje się, aby pan Poe przewidywał rychłe bankructwo.

- Słyszałem, że pieniądze na jego inwestycję mają nadejść z Japonii.

Matthias wzruszył ramionami.

- Oni także nie są głupcami - rzekł Gibson. - Wszystkim innym tak, ale nie tym. O czym, do cholery, oni wiedzą, o czym my nie mamy pojęcia?

- Wiedzą o tym,, że Peter Poe zarobił masę pieniędzy na wszystkim, za co się brał.

Gibson zawsze wiedział, w jakim punkcie powinien ustąpić. Zaatakował z innej strony. - To nie są najlepsze czasy dla architektów. Wiele dużych przedsięwzięć zwolniło personel. Ale ty jesteś jednym z najlepszych, jakich znam. Mówię to nie dlatego, że jesteś moim przyjacielem. Mamy klientów, którzy ciągle budują, Matt. Powstają zupełnie nowe miasta na peryferiach. Oni biorą w tym udział. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł cię zetknąć z niektórymi z tych ludzi, jeśli tylko odstępisz od decyzji wiązania się z Poem.

- Nieskazitelne parki przy biurowcach i rozrastające się domy towarowe nie czynią miast, Douglas. Chicago jest szczególnym miastem.

- No, cóż. Rozważ moją ofertę. I pamiętaj, Matt, jeśli wpadniesz przez tego faceta w jakieś kolejne tarapaty, natychmiast do mnie zadzwoń, dobrze?

Zany, tak jak przewidywał, został bez pracy. Po krótkiej i niefortunnej wymianie zdań z panią burmistrz Braunmeister, zostawił swój samochód policyjny przed budynkiem władz miejskich z kluczami w stacyjce i powędrował do domu pieszo. Rewolwer, którym się dotąd posługiwał, był jego prywatną własnością, miał go więc nadal w swojej teczce. Odznakę policyjną położył na swoim biurku, należącym teraz do Hejmala. Ten dawny sierżant Zany'ego zaproponował mu, jak już wszystko ucichnie, podjęcie próby ponownego zatrudnienia w charakterze detektywa. Żaden z nich jednak nie wiedział, kiedy to może nastąpić, więc Zany nie liczył zbytnio na taką perspektywę.

Jego żona, po zamknięciu sklepiku plażowego na kilka dni, czekała na niego w domu. Przyniosła zimne piwo dla niego i siebie. Usiedli na otoczonym ochronną siatką ganku i patrzyli na jezioro. Wokół znajdowało się wszystko, jak myśleli, czego mogli pragnąć lub potrzebować.

- Zachowali się jak świnie, nasi ojcowie miasta? - zapytała po dłuższej

chwili.

- Byli bardzo hojni. Dostałem sześciomiesięczną pensję.
- Sześć miesięcy przeleci w oka mgnieniu.
- Mogło być gorzej.
- Co zamierzasz robić?
- No cóż, myślę, że zawsze mogę wrócić do pracy w policji w Chicago.

Zostałbym tam tak długo, aż będzie mi się należała emerytura. Wtedy moglibyśmy wrócić tutaj.

- Nie zniósłbyś tego. Ja też.

Zany wypił łyk piwa. Był zdumiony tym, jak było mu dobrze, jak pewnie się czuł. To mogło być tylko złudzenie, lecz miał cudowne poczucie wolności.

- Wiesz - powiedziała jego żona - są jeszcze inne rzeczy poza pilnowaniem przestrzegania prawa. Mamy dość gruntu na to, aby do sklepu plażowego dodać motel czy coś takiego. A może prawdziwą restaurację. Albo sklep z akcesoriami żeglarskimi.

- To jest jakieś wyjście. A może bar?
- Nie, nie bar. Ale czy ty naprawdę chciałbyś zrezygnować z pracy w policji?

- Niezupełnie.
- Co to oznacza?

Wzruszył ramionami.

- Czy ciągle myślisz o tym przeklętym morderstwie? - zapytała.
- Tylko trochę.
- No więc, nie myśl.

Zany uśmiechnął się. - W każdym razie, mam dziś wolny dzień. Gdybym nie był tak bardzo zmęczony, poszedłbym na ryby. - Wstał i skończył swoje piwo.

- A może byś się zdrzemnął?
- Może. Ale na razie pójdę pobawić się trochę komputerem.

Matthias pojechał prosto do mieszkania Sally, spodziewając się, że zastanie ją w domu. Nie chciał odkładać tego ani chwili dłużej. Sally przygo-

towywała kolację dla swej córeczki. Podczas gdy była zajęta w kuchni, Matthias bawił się z dziewczynką w salonie, pomagając jej wycinać lalki z papieru. Mała była już tak piękna, jak jej matka i bardzo urocza. Dziecko to stanowiło jeden z wielkich plusów tego związku. Żona Matthiasa nigdy nie chciała mieć dzieci. Jill Langley wprawdzie chciała, lecz to była całkiem inna sprawa, inny żal.

Sally zabrała córkę do kuchni, następnie wróciła.

- Nie mam dla ciebie zbyt wiele czasu - powiedziała. - Wybieram się na przyjęcie wieczorem.

- Czy chcesz, żebym poszedł z tobą?

Usiadła w fotelu. Ostatnio kupiła trochę mebli. Kilka z nich wyglądało na kosztowne antyki.

Jej nieruchome i zgaszone spojrzenie było odpowiedzią na jego pytanie.

- O co chodzi, Sally?

Patrzyła w drugą stronę, marszcząc mocno brwi. - Zapytam bez osłonek. Czy masz romans z Diandrą Poe?

- Sally, na miłość boską. Byliśmy razem w czasie pożaru na łodzi. Po prostu przyszła, żeby zobaczyć, jak się czuję.

- Nie mówię tylko o jej wizycie wczoraj wieczorem. Mam na myśli twój wyraz twarzy za każdym razem, kiedy na nią patrzysz.

- Jest bardzo niezwykła i pełna wdzięku. Fascynuje mnie sposób, w jaki się porusza.

- Nie wątpię.

- To nie ma nic wspólnego z nami, z tym co nas łączy.

- Czy spałeś z nią tam, w Wisconsin? To była pierwsza okazja, żeby to zrobić, prawda?

- Sally...

- Bądź ze mną uczciwy, do cholery! Ja byłem uczciwa i powiedziałam ci o Christianie. Zadałeś mi to upokarzające pytanie i ja na nie odpowiedziałam. Przez całe życie mówiliśmy sobie prawdę.

- W porządku - powiedział patrząc na swoje ręce. Nienawidził swojego tchórzostwa. - Odpowiedź brzmi „tak”. Ale to się więcej nie powtórzy.

- Nie licząc wizyt późną nocą w twoim domu przy ulicy Schillera.

- Miała właśnie wyjść, kiedy ty przyszedłeś. Była u mnie tylko przez

kilka minut.

Próbował na wszelkie sposoby dać jej możliwość pozostania z nim. Nie chciał wypychać jej z powrotem w jej samotną niedolę. Był jednak całkowicie pewien, że małżeństwo z nią nigdy nie byłoby i nie mogło być tym, co sobie kiedyś wyobrażali. I że on go nie chciał. Że okrutnie się oszukiwał i ją także, myśląc, iż mogliby razem powrócić do przeszłości. Nie chciał już więcej mieć poczucia winy. Tym razem będzie szlachetny w tym wszystkim, będzie bezinteresowny.

- Byłam nieprzytomna ze strachu o ciebie, a ty nawet nie zadzwoniłeś. Ani z Wisconsin, ani po powrocie do domu.

- Byłem wykończony, zupełny wrak. Bardzo przejąłem się Cindy Ellison. Nie chciałem z nikim rozmawiać. Nie zaprosiłem jej do siebie. Spałem, kiedy przyszła.

- Matt, wiem kim jest Christian. Wybrałam go do mojej rozpaczliwej przygody pozamałżeńskiej, ponieważ wiedziałam, że to nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia, że nie będzie z nim żadnych problemów. Dla niego było to dokładnie to samo, co zaprosić mnie na kolację. Ale nie mogłabym wyjść za mąż za takiego mężczyznę, jak on. Raz już to zrobiłam i znenawidziłam to. Nie dam się już więcej zrobić w konia, Matt. Nie w moim mieście. Dostyc już byłam upokarzana.

- Nie jestem taki, jak mój brat - znowu to powiedział. Powtarzał to sobie przez cały dzień. Christian w takiej sytuacji zostawiłby Sally natchmiast, zgodnie ze swym kaprysem. Przede wszystkim nigdy nie poprosiłby jej, żeby za niego wyszła, na pewno nie z poczucia obowiązku. Christian żył tylko dla siebie.

Sally założyła ręce. - To wszystko, co miałam do powiedzenia.

- A ja miałem cię zapytać, czy nie zechciałabyś pierścionka zaręczynowego mojej matki.

- Uważam, że byłoby to bardzo niewłaściwe w tej sytuacji.

- Czy jesteś tego absolutnie pewna?

- Będę znowu uczciwa. Nie jestem tego absolutnie pewna. Kocham cię. Zawsze cię kochałam. W tym świecie fantazji, w którym spędziłam tyle czasu, chciałabym być twoją żoną. Chciałabym, żebyśmy mieli wszystko to, co powinniśmy mieć na samym początku. Ale rzeczywistość jest inna. Nie

mam już szesnastu lat, prawda? Prawdziwa odpowiedź jest taka, że istnieje możliwość, iż kiedyś, być może, zmienię zdanie. Lecz jest to mało prawdopodobne. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że go nie zmienię. Nie jestem zła. Dużo płakałam ostatniej nocy, ale to już przeszło. Powinnam była wiedzieć, że to, co się zdarzyło, musiało się zdarzyć. W ten sam sposób ludzie kupujący losy loteryjne powinni wiedzieć, że nie wygrają. Czuję się pusta, jak balon z którego uszło powietrze. Jeszcze raz oszukana przez życie. To cena, jaką stale muszę płacić za to, że ustąpiłam mojej matce i zostawiłam cię.

Wstał i chciał się do niej zbliżyć.

- Nie, Matt, nie rób tego.

Stał zażenowany. - Czy chcesz, żebym sobie poszedł?

- Tak. Myślę, że nie powinniśmy się widywać przez jakiś czas, przez cholernie długi czas, chyba że to będzie nieuniknione. Wytlumaczę to jakoś moim przyjaciołom.

- Myślę, że popełniasz błąd. Taki sam błąd, jak wtedy, kiedy mnie odrzuciłaś za pierwszym razem.

- Nie mówisz prawdy, Matt. Mogę spojrzeć prawdzie w twarz. Jestem teraz znacznie mądrzejsza niż byłam dawniej, kiedy pozwalałam mojej matce decydować o tym, co jest najlepsze. Po jakimś czasie można nauczyć się paru rzeczy. Wiem, że nie popełniam błędu.

- Przynajmniej przemyśl to. - Da jej jeszcze jedną, ostatnią szansę. Zostawi za sobą drzwi otwarte na jeden maleńki cal. Lecz już teraz pragnął, żeby zatrzaskała je za nim, tak jak on zatrzaskał je za Jill, co było jego największym błędem od czasu, kiedy opuścił Chicago.

- Pomyślę o tym. Będę o tym myśleć do końca życia. - Wstała, jak gospodyni mająca zamiar odprowadzić gościa do drzwi- Jest jeszcze jedna rzecz, której chcę, Matthias. Chcę zatrzymać tę pracę u Petera Poe. Nie wiem, gdzie mnie ona zaprowadzi. Nie jest to z pewnością praca na dłuższą metę. Ale wyciągnęła mnie ona z tego koszmarnego dołka, w którym byłam i do którego nie chcę z powrotem wpaść. Nie chcę wracać do tego sklepu.

- Jestem pewien, że on będzie z ciebie bardzo zadowolony.

ROZDZIAŁ

15

Bobby Mann wyglądał jak trup. Poe nigdy nie widział tak poszarzałej skóry u żywego człowieka. Podniósł się, wskazując Mannowi krzesło przy biurku.

- Hej, Bobby.

Mann usiadł, jego oczy wyglądały jak oczy złapanego w świetle szczura. Nic nie odpowiedział na przywitanie.

- Byłem zdumiony, że ciągle jesteś tutaj, Bobby. Myślałem, że wybrałaś się na urlop, gdzieś daleko stąd.

- Powiedziano mi, że nie mogę - odrzekł prawie szeptem. - Twoi przyjaciele.

- Miło jest mieć przyjaciół, nieprawdaż? Zawsze czuwają nad tobą. I mają rację. W samym środku naszego gorącego sezonu nie ma czasu na odpoczynek. Jesteś bardzo potrzebny tutaj.

- Jestem co?

- Potrzebny tutaj. Zawsze robiłeś dobrą robotę prowadząc kasyno. Teraz Mango i ja będziemy spędzać więcej czasu w Chicago. Przynajmniej do końca lata. Mam dużo spraw na głowie. Polegam na tobie, że będziesz dobrze kierował tym miejscem. Jesteś odpowiedzialny za każdy cent. Tak jak ci przykazałem. Czułbym się wkurzony, gdybyś powiedział mi teraz „do widzenia”.

Poe usiłował nadać koleżeński ton tej rozmowie. Nie pomagało nawet to, że Mango siedziała w drugim końcu pokoju, wpatrując się w Manna, jakby rzeczywiście był trupem.

- Nie rozumiem, o co chodzi, panie Poe.

- Na pewno rozumiesz. Jesteś bystrym facetem. Myślę, że w tym stanie

rzeczy mogą liczyć na ciebie, jak na najbardziej lojalnego pracownika.

- Czy tego pan właśnie oczekuje?

- Oczywiście, że właśnie tego. Posłuchaj, Bobby, nie mam nic przeciwko tobie. Serio. Wiem doskonale, że tkwiłeś w samym środku tej sprawy. Przyszedłeś do mnie i ostrzegłeś mnie, że ci faceci mają zamiar być brutalni. Powiniennem lepiej cię słuchać. Ale człowiek ciągle się uczy, prawda?

Mann nic nie odpowiedział. Wyglądał, jakby chciał zapalić papierosa, tylko bał się zapytać o pozwolenie.

- Śmiało, Bobby. Zapal sobie. Mango kopci jak komin stalowni.

Mann wyciągnął niezgrabnie z kieszeni paczkę cameli.

Guzik na konsoli telefonu zaczął błyskać. Poe spojrzął na Mango i ta odebrała telefon w swojej części pokoju.

- To Matthias Curland - powiedziała. - Mówi, że chce się z tobą spotkać.

Sprawy nabierały tempa. Pociąg Poego był znowu na szynach, nabierając prędkości. Spojrzął na zegarek. Nie chciał jeszcze puścić Bobby'ego, ale nie chciał także rozmawiać z Curlandem w jego obecności.

- Powiedz mu, że spotkam się z nim o drugiej. Wrócę helikopterem z powrotem. Przekaż mu, że zabiorę go z jego domu.

Mango przyłożyła ponownie słuchawkę do ucha. Poe czekał, aż skończy.

- Co za cholerny facet z tego Curlanda - powiedział Poe. - Uratował wszystkich z tej łodzi. Byłbym rzeczywiście wściekły, gdyby ktokolwiek został wtedy zabity. Całkiem niewinni ludzie, nie mający nic wspólnego z moimi interesami. I moja żona, Bobby. Gdyby znalazła się po drugiej stronie łodzi... gdyby to się zdarzyło, wydałbym każdy cent z tego co mam, aby tylko być pewnym, że wszyscy zamieszani w to tracą życie w najbardziej nędzny ze wszystkich możliwych pieprzonych sposobów. Mam mnóstwo pieniędzy, Bobby. Doszłoby do tego, wierz mi.

Mann wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami. Wyglądał, jakby wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

- Tak.

Żeby tylko dobrać właściwe słowa.

- Jeżeli cokolwiek stanie się jej znowu, jeżeli cokolwiek przydarzy się Curlandowi czy też komukolwiek, z kim jestem związany... Jeżeli będą

skrzywdzeni w jakikolwiek sposób... No, Bobby, jeżeli zrobisz sobie wakacje w Tybecie, to i tak nic ci nie pomoże. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Tak jak już powiedziałem, potrzebuję cię tutaj. Ale ty masz wielu przyjaciół w całym kraju. W każdym razie paru z nich już nie ma. Jeżeli zobaczysz się wkrótce z tymi, którzy pozostali, możesz im o tym wspomnieć. Przedstawiłem już jasno całą sprawę moim przyjaciołom.

- Rozumiem.

- Oczywiście, że rozumiesz. Jesteś przecież bystrym facetem.

- Czy to znaczy, że ma pan nowych partnerów?

Poe zaczerwienił się. Ten sympatyczny chłopaczek zaczyna się stawiać. - Mam dla ciebie dwie odpowiedzi, Bobby. Numer jeden - to nie jest twój zafajdany interes. Numer dwa - w żadnym razie nie twój. Firma Poego jest sterowana przez jednego człowieka. Mogę mieć mnóstwo wierzycieli. Mam mnóstwo aktywów. Ale nie mam żadnych partnerów. Nigdy nie uważałem twoich przyjaciół za swoich partnerów. A teraz nie mam żadnego. - Mann rzucił spojrzenie na Mango. Wpatrywała się w niego twardym wzrokiem.

- A więc, Bobby, masz obraz całości. Czy wszystko jest już krystalicznie jasne?

- Tak, panie Poe.

- W porządku. Wracaj zatem do pracy. Chciałbym, abyś coś zrobił w końcu z kelnerkami roznoszącymi koktajle. Za bardzo się grzebią. Powiedz im, by wzięły się do pracy, bo w przeciwnym razie zaczną obcinać im napiwki.

Mann wstał. - Dopilnuję tego.

- I sprawdz toalety. Docierają do mnie głosy, że są strasznie zaniedbane. -

- Jesteś cholernym szczęściarzem, że nie posyłamy cię do stajni ze szczoteczką do zębów, Bobby - powiedziała Mango.

- Tak - odpowiedział Mann.

Curland czekał przed domem, gdy Poe podjechał w jednej ze swoich czerwonych limuzyn. Gdy Krasowski otworzył drzwi, Poe przesiadł się na

siedzenie za szklaną przegrodą tyłem do kierunku jazdy, tak żeby mogli patrzeć na siebie podczas rozmowy.

- Myślałem, że pojedziemy do mojego klubu - powiedział Matthias zajmując swoje miejsce na tylnym siedzeniu. - Jest tam bardzo spokojnie o tej porze.

- Już jadłem lunch - odpowiedział Poe. - Pojedźmy, po prostu, na przejażdżkę.

Jechali na północ wzdłuż jeziora. Curland wyglądał bardzo mizernie. Siedział spokojnie czekając, aż Poe rozpocznie rozmowę.

- A więc, co cię gnębi, Matt?

- Cholernie dobrze wiesz, co mnie gnębi. Pożar na jachcie.

- Jesteś bardzo zdenerwowany, prawda? Ja cię nie winię. Czy Diandra nie mówiła ci, o co w tym wszystkim chodzi? Wiem, że miała się z tobą zobaczyć.

- Jestem pewien, że nie zdradziła żadnej tajemnicy, ale nie jestem głupcem, panie Poe. Mam pewne pojęcie o niektórych pana kłopotach. Chciałbym wiedzieć, czy będzie ich jeszcze więcej.

- Z całą pewnością nie.

- Ciężko przeżyłem to, co przydarzyło się Cindy.

- Ja także. Będę z tobą całkiem szczerzy, Matt. Jestem prawie pewny, że zrobili to gangsterzy. Dzięki Bogu nie było to dobrze wykonane.

- Nie chcę mieć żadnych powiązań z kimkolwiek, kto musi obawiać się gangsterów, panie Poe. Cindy będzie przestraszona do końca życia.

- Zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, ale chcę, byś to zrozumiał, Matt. Nie mam żadnego powiązania ze zorganizowaną przestępczością. Absolutnie żadnego. Ludzie wiele o mnie gadają - o wielu sprawach związanych ze mną - w większości nieprawdziwie. Trudno jest im uwierzyć, bym był w stanie zarobić taką górę pieniędzy, działać z takim powodzeniem, bez robienia podejrzanych interesów. Jest wiele draństwa. Nie mógłbym nawet pomyśleć o robieniu interesów z takimi ludźmi. A szczególnie, jeśli dotyczy to moich inwestycji, włączając w to naszą budowlę. W forsie przeznaczony na ten projekt nie ma ani centa, który byłby w jakikolwiek sposób powiązany z działalnością przestępczą.

- Powinienem ci powiedzieć, że osoba, do której mam całkowite zau-

fanie, powiedziała, że tak wcale nie jest.

- A więc twoje źródło informacji podaje mylne wiadomości. Będę z tobą szczerzy, Matt. Wszystko, co jest związane z moim projektem, zwycięży. Finanse na mój projekt dadzą Japończycy, najwięksi i najbardziej poważani gracze na świecie. Nie zbliżyłbym się z czymś takim do nikogo splamionego w jakikolwiek sposób. Matt, gdybym miał powiązania z gangsterami, nie byłoby żadnej bomby. Chodzi o coś innego. Usiłują dobrać się do mnie, od kiedy otworzyłem kasyno w Michigan City. Powiedziałem im, by poszli do diabła, że planuję prowadzić uczciwy, legalny interes. Zagrozili, że jeśli się z nimi nie podzielę, rozprawią się ze mną. Myślę, że nie wzięłem ich na serio. To nie byli ludzie z Chicago. Oni...

- Oni byli ze Wschodniego Wybrzeża.

Poe wpatrywał się badawczo w szare oczy architekta. Miał lodowate spojrzenie. - Kto ci to powiedział. Twój informator?

- Czy to prawda?

- Tak. Byli to faceci z Atlantic City, powiązani z Las Vegas.

- Czy to właśnie oni podłożyli bombę na twoim jachcie?

- Mogę się o to założyć. Nie przychodzi mi na myśl ktokolwiek inny, kto mógłby to zrobić. Wątpię, by to mógł być nasz przyjaciel, komandor.

- Diandra wspomniała, że zgłosiła o tym władzom.

- To prawda.

- I?

- Nie wolno mi mówić o tym - nikomu. Trwa śledztwo. Jeśli zrobili to ci faceci, o których myślałem, są już martwi. Ktoś dobrał się do nich. Zostali zabici w rejonie działania gangu.

- Kto to zrobił?

Poe wzruszył ramionami. - To są sprawy, których nigdy nie wyjaśnimy. Według mojej teorii była to prawdopodobnie grupa z Chicago. Zwietrzyli, co się dzieje i położyli temu kres. Sądzę, że nie chcieli mieć tutaj żadnych zamiejscowych gangsterów. Ponieważ nie mogli dostać udziałów w moim kasynie w Indianie, nie mieli zamiaru pozwolić tym rzeźmieszkom spoza miasta wdziierać się tu siłą. - Matthias wyjrzał przez okno samochodu. Mijali właśnie port Belmonta, pełen małych łodzi. - Czy pan wie, panie Poe, że do tej pory morderstwo było dla mnie jedynie czymś, o czym czytywałem w

gazetach?

- Dla mnie też, Matt. Cholernie mnie przstraszyło.
- Dlaczego więc nie wycofasz się z interesu z kasynem?
- Zamierzam to zrobić. Ale jeszcze nie teraz. Biznes z kasynem ma pewne wątki uboczne. Nie ma kasyna, nie ma i wieżowca. Ale myślę, że ta „nieprzyjemność” jest już za nami.

- Jest pan tego pewien?
- O tym zostałem poinformowany - „przez władze”.
- Ale dla Cindy ta „nieprzyjemność”, jak to pan nazywa, jest jeszcze ciągle aktualna.

- Ona wyjdzie z tego, Matt. Pożegluje razem z nami następnego lata. Mam zamiar kupić nową łódź i być może wziąć udział w regatach Mackinac.

Curland spojrział na niego, jakby stracił rozum.

Zbliżali się do portu Montrose. Poe odsunął przegrodę.

- Skręć tutaj, Lenny.
- Dokąd właściwie jedziemy? - zapytał Curland.
- Poza falochron. Często tu przyjeżdżam. Stąd jest wspaniały widok na miasto.

Krasowski dojechał do końca, zaparkował i pospieszył otworzyć drzwi.

- Pospacerujemy sobie trochę - powiedział Poe. - Spójrz na ten widok.

Panorama miasta na tle nieba nie miała tutaj dobrej perspektywy. Budynki układały się wzdłuż wybrzeża w wielkie skupisko wieżowców, wytyczających centrum miasta. Trzy najwyższe wznosiły się ku górze jak strzeliste iglice; wieżowiec Lake Point stał samotnie, jak gdyby siedział w wodzie - ten efekt był bez wątpienia zamierzony przez jego twórców. Zielona piramida Matthiasa ginęła wśród nich - zacieniony, geometryczny kształt, pomniejszony przez swoich sąsiadów, zlewający się w jedną całość z zielenią parku.

Poe prowadził, weszli na falochron mijając wędkarzy i przytulonych młodych kochanków w kostiumach kąpielowych. Nikt z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na dwóch dobrze ubranych spacerowiczów. Czy to niepokoiło Poego, że nie był rozpoznawany? Przypuszczalnie nie bardziej niż Matthiasa niepokoił fakt, iż jego własne, małe dzieło było aż tak niezauważalne.

Doszli do końca, wokół rozciągała się niebieskozielona przestrzeń wody. Poe pochylił się nad balustradą, biegnącą wzdłuż falochronu.

- Czy możesz opisać teraz nasz budynek? - poprosił.

- Nasz budynek?

- Tak, nasz. Chcę, abyś to zrobił, Matt. Pragnę mieć twój projekt. Wielkie dzieło. Wieżowiec ten będzie wyższy niż wszystkie pozostałe, niż wszystkie inne na świecie, ale Diandra ma rację. Byłaby to tylko jeszcze jedna igła. Podobnie jak te wieżowce w Seattle i Toronto. Jednak z tym swoim skrzydłem będzie on niepowtarzalny, wyjątkowy. I olbrzymi. Będzie można go widzieć z lotniska O'Hare, czy też z mojego kasyna w Indianie. Także stąd. I z księżycą. Będzie cholernie wspaniały. I będzie czerwony. Cudownie, płomiennie czerwony.

- Zdziała to wschód i zachód słońca. Nie będziesz potrzebował go malować.

- To jest właśnie to, czego potrzebuję. Czerwień to mój kolor. To jest moja budowla. Do diabła, stworzyłeś przecież zielony wieżowiec. Co za różnica? Nie musi być jasnoczerwony. Wystarczy tylko odpowiedni odcień, jak w przypadku twojego wieżowca Halsmana.

- Zawsze znajdą się przeciwnicy takiej koncepcji.

- Pieprz ich. Rada Miejska nie będzie się sprzeciwiać. Rada Gospodarki Przestrzennej także nie. Podobnie Komisja Planowania i Wydział Zieleni Miejskiej. Agencja Kontroli Przestrzeni Powietrznej też nie będzie.

- A co Wydział Zieleni Miejskiej ma do tego?

- Mówiłem ci, że chciałbym, aby tam był mały park. - Odwrócił się patrząc bezpośrednio na Matthiasa. - W skrzydle tego budynku mają być muzea. Na całym głównym piętrze. I to nie tylko Muzeum Holocaustu. Chcę stworzyć kompleks muzeów, które będą poświęcone wszystkim grupom etnicznym naszego miasta. Irlandzkiej, polskiej, niemieckiej, hiszpańskiej, ten cały chłam. Ich historii, kulturze, udziałowi w naszej cywilizacji. Nie znajdzie się niczego podobnego w naszym kraju, nawet Smithsonian mu nie dorówna.

- Muzea potrzebują personelu, kuratorów, dyrektorów, fundacji, eksponatów. Czy zamierzasz temu wszystkiemu podołać?

- Istnieją już przecież etniczne muzea w naszym mieście - tu i tam.

Muzeum litewskie i polskie. Wystartujemy z nimi i z Muzeum Holocaustu. Będziemy mieli pieniądze z kontraktów i nowych miejskich podatków od hoteli. Nie martw się o to. Wszystko jest już ustalone. To, co chcę wiedzieć teraz, to czy jesteś ze mną w tym przedsięwzięciu? Czy to zrobisz? Teraz lub nigdy, Matt. Wchodzisz czy nie. Jaka jest twoja odpowiedź?

Matthias ponownie podniósł wzrok na horyzont. Wyobraził sobie olbrzymią, zakrzywioną strukturę wyrastającą z zachodnich obrzeży Near North Side - niskim krańcem sięgającą do Loop, zaś wierzchołkiem śmiało skierowanym ku północy. Prawie mógł to zobaczyć, chociaż miał trudności z wyobrażeniem go sobie nawet w najbledszym odcieniu czerwieni.

Jego spojrzenie powędrowało potem na wschód, gdzie głębszy błękit jeziora łączył się z bladym błękitem nieba. Tam był Nowy Jork, a także południe Francji. Pustka była wręcz symboliczna. Tak jak jego przyszłość, gdyby powiedział nie.

- Zgadzam się.
- A więc wszystko w porządku? Zgrabna odpowiedź na zgrabne pytanie, dotyczące zgrabnego projektu.
- Nie należę do wylewnych osób.
- W porządku. Biorę na siebie całą wylewność. Od ciebie oczekuję jedynie obrazów, nie tylko rysunków. Chodzi mi o duże architektoniczne szkice. Przestrzenny widok. Coś podniecającego. Chcę mieć także plany zagospodarowania parteru. Użyj swojej wyobraźni na muzea. Na wszystko. Zrób, żeby wyglądało wspaniale. Zwołałem konferencję prasową na czwartek. Zamierzałem ogłosić tam, że przekazuję moją nagrodę na fundusz Muzeum Holocaustu. Chciałem także odpowiedzieć na pytania dotyczące wyścigu z komandorem i tego, co przydarzyło się mojej łodzi. Ale pójdę na całość. Dokonam odsłonięcia dzieła. Czy do tego czasu zdołasz coś przygotować?
- Nie będzie to łatwe.
- Daję ci na to tydzień, poczynając od soboty.
- Zgodna.
- Jeszcze jedna rzecz, Matt. Gdy skończysz już z budynkiem, chciałbym, byś zaczął ten portret Diandry. Akt naturalnej wielkości.

Matthias wziął głęboki oddech. - Mówiłem ci to już wcześniej, nie sądzę,

by to był dobry pomysł. Nie myślę, by czuła się dobrze, pozując.

- Ona to robi. Nie martw się. Chcę tego. Chcę, byś zaczął wkrótce.

Matthias oszukiwał sam siebie z pewną dozą niechęci. Pragnął stworzyć to dzieło prawie tak mocno, jak nowy wieżowiec. Chciał jednak dać Poemu możliwość zmiany zdania, powiedzenia, iż nie chce stawiać żony w takich okolicznościach. Pragnął być dżentelmenem w każdym calu.

- Wolałbym raczej nie.
- Ale czy chcesz stworzyć ten wieżowiec?
- Tak.
- A zatem zrób portret Diandrze. Nie ma portretu, nie ma i budynku.
- Peter, jeżeli namaluję portret twojej żony, to nie ma to przecież nic wspólnego z projektem. Nie zamierzam dać się przekupić czy zastraszyć.

Czy to jasne?

Poe zawahał się. Facet podkreślał, że stoi mocno na własnych nogach. Nie ma żadnego Larry'ego, Carly'ego, czy Moego w Lake Forest. Pozwólmy mu zatem, by miał, czego chce.

- W porządku. Niech będzie budynek, z obrazem czy bez obrazu.
- Bardzo dobrze. - Dlaczego Poe tak nalega na ten obraz?
- Zrobisz to? Namalujesz ten obraz.
- To zależy tylko od niej.
- Zgoda.

Curland zawahał się. - Czy zamierzasz zatrzymać Sally jako dyrektora do zadań specjalnych, czy też jak to nazwać?

A więc jednak było trochę kręactwa w tym facecie. To było w każdym. Poe zbudował całą swoją karierę na tej zasadzie.

- Oczywiście. Dlaczego by nie?
- A co będzie, gdybym ja nie dotrzymał słowa?
- Dotrzymasz, ale w każdym razie będzie pracować tak długo, jak długo będzie tego chciała. Potrzebuję jej przecież, do cholery. - Poe wyciągnął rękę. Matthias powoli odwzajemnił ten gest. Uścisnęli sobie mocno dłonie.

- Gdy w City Hall ubija się interes - powiedział Poe - to mówi się zwykle „jestem z tobą”. W zasadzie mówią raczej „wchodzimy w to”. Teraz powtórz.

- Jestem z tobą.
- Nie. Powiedz to w inny sposób.

Matthias pragnął już zakończyć tę gadaninę. - W porządku. Wchodzę w to.

Poe potrząsnął mu rękę jeszcze raz i w końcu zwolnił uścisk. Zaczął iść z powrotem wzdłuż falochronu, tym razem o wiele szybciej niż poprzednio. - Czy mam cię podrzucić do domu?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym raczej pójść do Instytutu Sztuki.
- Chcesz obejrzeć sobie jakieś dzieła?
- Tak, kilka.
- Tylko nie zapomnij o tych, które masz zrobić dla mnie.

W Instytucie Sztuki jego przyjaciel z wydziału renowacji zabytków ustawił wszystkie jego cztery płótna obok siebie na ścianie. Widok *Czerwonej wieży* Kirchnera wzbudził w nim uczucie żalu i skierował myśli na obraz martwej twarzy Jill Langley na zdjęciu, które pokazał mu policjant z Michigan. Na obrazie śmierć widniała na twarzach ludzi spieszących ulicą. Może o to w tym wszystkim chodziło. Jego dziadek był już bardzo starym człowiekiem, gdy zdecydował o zamknięciu tych dzieł w podziemiach.

- Chciałbym bardzo zagłębić się w szczegóły, Matt, ale myślę, że wszystko, co chciałbyś wiedzieć, to to, że według opinii eksperta one wszystkie są oryginałami. Taka jest także moja opinia.

- Włączając w to Kirchnera?

- Z całą pewnością. Czy widzisz te plamy szarości na ścianie budynku? To nie są rozjaśnienia dodane przez autora. On pierwotnie nałożył purpurowe tło i dopiero na nim malował budynek. Eksperci poddali obraz działaniu promieni X. Odkryli na nim co najmniej trzy warstwy farby. Ktoś, kto kopiuje obraz, nie robiłby tego.

- Czy są absolutnie pewni?
- Byli bardzo dokładni. Rachunek jest w tej kopercie. Obawiam się, że będzie to dla ciebie trochę drogo.
- Muzeum może sobie na to pozwolić, ja z pewnością nie.

- Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego z tego werdyktu.
- Wprost przeciwnie. Jestem ci wdzięczny, że poświęciłeś tej sprawie tyle czasu.

- Przykro mi, że trwało to tak długo. Jak już ci mówiłem, byliśmy okropnie zajęci. A tak na marginesie, to dlaczego wątpiłeś w ich autentyczność?

- Ktoś poinformował mnie, że widziano w obiegu *Czerwoną wieżę*.
- Jeżeli tak, to falsyfikat. To musi być kopia. Ten tutaj, to oryginalny Kirchner.

- Jak myślisz, ile on jest teraz wart?

Jego przyjaciel zawahał się. - Słyszałem o Kirchnerze, który poszedł za czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów u Sotheby'ego w Genewie. To niezłe, jak na dzisiejszy rynek sztuki.

Zany spędził trochę czasu z szeryfem w St. Joseph i pojawił się późno w domu. Spojrzał na potrawkę, którą żona zostawiła dla niego na piecu i wzięła piwo z lodówki, zanim usiadł przy stole.

- Nie byłeś chyba zajęty swoją policyjną robotą, prawda? - powiedziała wkładając potrawkę do pieca. Zany poczuł zapach tuńczyka i sera cheddar.

- Niezupełnie. Po prostu muszę połączyć kilka luźnych wątków w jedną całość. A także poukładać je tak, by pasowały do kilku starych spraw.

- No dobrze, to miło, że to robisz, ale musisz teraz pamiętać, że nie jesteś już gliną.

- Tak jest, proszę pani.

Co prawda nie zdecydowali jeszcze ostatecznie, co zamierzają robić w przyszłości, lecz coraz poważniej brali pod uwagę możliwość założenia sklepu z artykułami plażowymi i sprzedaży przyborów żeglarskich oraz sprzętu wędkarskiego. Miejscowy bankier zgodził się na pożyczanie im pieniędzy. Sklep nie byłby gotowy do następnego sezonu turystycznego, lecz burmistrz zaoferowała mu pracę na przystani jachtów na okres przejściowy. Nie dał jej jeszcze odpowiedzi.

- Był do ciebie telefon. Z Chicago. Dzwonił Matthias Curland. Prosił, by ci powiedzieć, że sprawdził autentyczność tego obrazu i że to oryginał.

Ten, który znalazłeś na łodzi jest fałszywy.

- Tak?

- Powiedział, że sprawdził jeszcze kilka innych i że to są także oryginały. Mówił, że nie musisz już dzwonić do niego. Po prostu uznał, że powinieneś o tym wiedzieć. Obiecałam mu, że przekażę ci tę wiadomość. Omal o tym nie zapomniałam.

- To interesujące wiadomości. O ile mówi prawdę. - Poderwał się do telefonu.

- Nie dzwoń do niego, Zane. Nie wąż się dzwonić.

- Nie dzwonię do niego. Chcę zadzwonić do jego byłej żony.

- Po co, do cholery?

- Nadszedł czas, bym się przekonał, czy mówi prawdę.

- A wtedy co?

- Po prostu chcę zaspokoić swoją ciekawość...

ROZDZIAŁ

16

Matthias wykluczył wszystko inne ze swojego życia, oprócz pracy, która go czekała, i codziennych rozmów telefonicznych z Cindy Ellison, do której się w końcu dodzwonił. Jej stan zdrowia poprawiał się. Pracował całymi dniami, a także nocami. Nie była to obsesja. Jeszcze nie. Po prostu chciał tę część pracy zakończyć, mieć ją już za sobą, aby móc przejść do jakiegokolwiek następnego zadania. Zraniona ręka nie była przeszkodą. Wręcz przeciwnie, pobudzała go do działania.

Nie tworzył wprawdzie arcydzieł, lecz ilustracje. Wszystko, czego od nich wymagano, to to, by były utrzymane w jasnej tonacji oraz były wielkie i okazałe. Musiały jedynie zadowolić Petera Poe.

Ale inwestor chciał dokonać olbrzymiego wstrząsu. Obrazy Matthiasa były na to zbyt małe. Aby wzmóc wrażenie, jakie Poe pragnął wywołać, zamierzał wystąpić z propozycją, by projekt przedstawiający główną ideę przedsięwzięcia został sfotografowany, a potem przedstawiony w olbrzymim powiększeniu jako tło dla zapowiedzianej konferencji prasowej. Zazwyczaj, gdy większe plany inwestycyjne miały pozostać w ukryciu, prezentowano model w zmniejszeniu, lecz Poe nie był tym zainteresowany. Może po prostu bardzo się spieszył lub też chciał uniknąć kłopotliwych pytań o to, jak duży obszar ziemi zajmie jego budynek. Teren Cabrini Green nie w pełni bowiem odpowiadał ich olbrzymim zamierzeniom.

Ku własnemu zdziwieniu Matthias ukończył pracę w ciągu kilku dni, ale powstrzymał się od powiadomienia o tym Poego. Jedyne, co zrobił, to fotograficzne powiększenie głównej ilustracji.

Matthias pragnął, aby ktoś, czyje zdanie on sam cenił, mógł spojrzeć na projekt. Ten niezwykły budynek mógłby stać się jego głównym zawodowym

osiągnięciem jako architekta. Zdawał sobie sprawę, że sfuszerował tę robotę. Niektórym z największych, światowej sławy architektów, też zdarzało się od czasu do czasu zaprojektować prawdziwie okropne budynki, choć nadal byli pełni wiary, iż cokolwiek by nie stworzyli, musi być olśniewające. Christian miał celne oko i wydawał znakomite sądy. Mógłby zdobyć świetną reputację w kraju jako dyrektor muzeum, gdyby pozwolono im zrobić coś więcej z Kolekcją Albrechta, niż tylko wypełnić wolę dziadka.

Udało mu się złapać brata wczesnym rankiem, gdy wpadł do domu wziąć prysznic i zmienić ubranie. Zaniepokoiło Matthiasa to, że Christian powrócił do zwyczaju rozpoczynania dnia od krwawej Mary, ale stłumił w sobie to uczucie. Sam zadowolił się filiżanką kawy. Ich stosunki powróciły z powrotem do normy.

- Skończyłem wstępne projekty - powiedział. - Czy znalazłbyś chwilę czasu, by na nie spojrzeć?

- Zawsze mam czas dla ciebie, wielki bracie. Tyle czasu, ile tylko sobie życzysz.

Dwie akwarele stały na sztalugach. Inne rozłożył na stole opierając je o ścianę tak, by padało na nie światło z okna.

Christian uśmiechnął się. - Poe będzie pełen zachwytu.

- Wiem, co Poe myśli o tym. Ale, co ty sądzisz?

- Myślę, że jest to cholernie dobre.

- Koncepcja?

- Koncepcja, obraz, *le tout ensemble*.

- Rzeczywiście? Nie uważasz, że zeglujący wieżowiec to już za wiele?

- Gdyby Chicago martwiło się o to „za wiele”, Matt, nigdy nie powstałyby takie budowle jak Sears Tower, Merchandise Mart, czy też drapacz chmur Louisa Sullivana. Wielkie i wyraziste. To jest nasze miasto, po którym przyjemnie jest się przechadzać, *n'est ce pas?*

- Christian, ogromna świnia też mogłaby być wielka i wyrazista. Ale co myślisz o tym jako o budynku? Zapomnij o skali.

- Myślę, że jest to niezwykle, wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju, czyste i w pełni wykończone. Żaden inny architekt by tego nie dokonał. Odnalazłeś siebie, Matthias. Zapomnij o sztuce, zapomnij o muzeum. To jest twoje prawdziwe powołanie.

- Jesteś pewien?
- Bardziej niż pewien. Jestem twoim bratem.
- Ale czy jesteś dość krytyczny? Czy nie znalazłeś niczego złego?

Christian przyjrzał się bardziej uważnie projektowi budynku.

- No cóż, nie chciałbym mieć go tutaj na ulicy Schillera. Zasłoniłby nasze cudowne światło poranka, nie uważasz. Zabrałby światło każdemu. Ale tam na obrzeżu rozrastającego się miasta mógłby być absolutnie cudowny. - Umilkł i spojrział z ukosa na obraz. - Nie podoba mi się podstawa budynku. Nie sądzę, że potrzebne jest aż takie wybrzuszenie. Wolałbym raczej, by wystrzeliwał w powietrze wprost z ziemi.

- Poe życzy sobie, by na parterze było ogromne wejście i olbrzymie okna wystawowe, więc muszę umieścić tu poprzeczną oblicówkę, wychodzącą z głównej struktury - fasadę lub ścianę czołową, jak wolisz. On chce umieścić tu muzea. Muzeum Holocaustu i wiele innych kolekcji etnicznych, kulturalnych i historycznych.

- Nasz pan Poe wykazuje się obywatelskim myśleniem. Jak to przemawia do wybranych reprezentantów narodu! Co za ironia, że my z Niemieckiego Muzeum mamy być związani z Muzeum Holocaustu.

- Christian!

- Przepraszam, mój wielki bracie. Zapomniałem o twojej wrażliwości na idee egalitaryzmu. W każdym razie to jest genialne. Jestem z ciebie dumny. - Odwrócił się patrząc na zegarek. - Obawiam się, że muszę już iść. Larry Train wydaje dzisiaj wczesny obiad na moją cześć. Dla kilku swoich najbliższych przyjaciół - i najlepszych klientów.

Zeszli schodami w dół. Christian zatrzymał się w kuchni, by wysączyć resztki drinka.

- Jesteś ostatnio dość blisko z Larrym Trainem - powiedział Matthias.

- On jest księciem - tak samo dobrym dla mnie, jak Peter Poe dla ciebie.

- Nigdy nie myślałem, że handluje tak współczesnymi dziełami sztuki, jak twoje. Wyobrażałem sobie, że postępuje zgodnie z regułą - żyjąc jak abstrakcyjni artyści.

- Ale ja jestem tylko miejscowym chłopcem, posiadającym w dodatku fantastyczny talent. A ponadto, twój związek z Poem wydaje się nadawać

nazwisku Curland nowe piętno w tym mieście. Jesteśmy, jak można by to określić, „na szczycie”.

Opróżnił szklankę i odstawił ją. Matthias nie zamierzał jednak pozwolić mu wyjść.

- Sprawdziłem autentyczność *Czerwonej wieży* Kirchnera i paru innych płócien - powiedział.

- Czy to znaczy, że poszedłeś do magazynu w podziemiach i zabrałeś obrazy?

- Kazałem je odświeżyć podczas ekspertyzy. Jest to dozwolone w testamencie. Teraz są znowu w magazynie, bezpieczne i w dobrym stanie.

- I co?

- Sprawdzili. Wszystkie są autentyczne. Same oryginały.

- Tak? A więc?

- Podejrzewałeś kiedyś Jill, że mogła być zamieszana w rodzaj handlu fałszywymi dziełami sztuki - sprzedając podrabiane dzieła na czarnym rynku. Sugerowałaś nawet, że Train mógł być w to zamieszany i ona mogłaby mu je sprzedawać.

- Pijackie gadanie, mój wielki bracie, nic więcej. Wysondowałem Larry'ego na ten temat - bardzo dyskretnie. On rzeczywiście czuje odrazę do niemieckich ekspresjonistów, a w szczególności do tych ciemnych, zamysłonych, makabrycznych facetów, których mamy w podziemiach. Larry jest miłośnikiem ładnych obrazów. Sprawdź listę jego klientów, a przekonasz się, że ich gusta są takie same. Naprawdę nie wiem, dlaczego tak myślałem. Byłem bardzo zdenerwowany. Ty zresztą także.

- I jeszcze ciągle jestem, Christian.

- Domyślam się, że to wyjaśnia twoją skłonność do alkoholu, którą ostatnio obserwuję. Musimy uważać na to w naszej rodzinie, Matt. Prosta droga do ruiny. - Zrobił krok w stronę drzwi.

- Nadal nie znamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jill miała ze sobą kopię *Czerwonej wieży*, gdy została zamordowana.

- To nie da nam spokoju do końca naszych dni, lecz obawiam się, że prawdopodobnie odpowiedź na to pytanie zabrała ze sobą do grobu.

Matthias podążył za nim w kierunku drzwi wejściowych. - Annelise i Paul przychodzą dziś wieczorem na kolację - powiedział. - Może przyłą-

czysz się do nas?

- Niestety nie. Mam wcześniejsze zobowiązania. Z zapalem uczestniczę ostatnio w tych wszystkich towarzyskich spotkaniach. Muszę wzbudzić zainteresowanie moim pokazem.

- Zamierzamy dyskutować nad finansami rodziny.

- Strasznie przygnębiające. Przecież nie ma już nad czym dyskutować, prawda? Dzięki tobie, mnie i Peterowi Poe.

Po wielu latach pracy w wydziale włamań szóstego okręgu, Zany nauczył się tak wielu zawodowych trików, że sam mógłby już dokonać niezłego włamania. Dawno temu, w latach sześćdziesiątych, grupa gliniarzy z okręgu Summerdale uległa pokusie zaprezentowania takiej wiedzy. Zdemaskowanie łańcucha włamań, a następnie publiczne ich potępienie wywołały gruntowną reformę całego departamentu policji, od góry do dołu.

Tej nocy Zany zamierzał postąpić podobnie - nie dla dóbr czy pieniędzy, lecz by zdobyć informację.

Train posiadał w swojej galerii drogi alarmowy system antywłamaniowy, ale nie było to nic takiego, czego doświadczony złodziej - czy też dobry detektyw, specjalista od włamań - nie mógłby rozpracować. Zany zapoznał się w swoim czasie z działaniem setek wymyślnych, skomplikowanych urządzeń alarmowych - wiedział doskonale, jak pracują i jak je należy rozłączyć.

Chicago było diabelnym - przeklętym miastem dla policji - z prawie taką samą ilością alei jak i ulic. Zany poczekał, aż minęła dziewiąta wieczorem - trzy godziny po zamknięciu galerii - i skierował się do jednej z nich, znajdującej się za galerią Traina. Udało mu się niezauważenie dotrzeć do tylnych drzwi. Wyłączenie alarmu zajęło mu niespełna trzy minuty. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie w stanie podłączyć alarmu ponownie, kiedy będzie wychodził, tak więc trzeba będzie sfingować prawdziwe włamanie, co oznaczało, że będzie musiał coś stamtąd zabrać. Nie miał nic przeciwko temu. Włamanie do sklepu jego żony przeważało poczucie winy, które mógłby odczuwać, ale którego wcale nie odczuwał.

Podczas poprzedniej wizyty w galerii dowiedział się, że większość do-

bytku Traina trzymano w magazynie w podziemiach. Pomieszczenie to było oświetlone umocowanym na stałe górnym światłem fluorescencyjnym. Nie miało żadnych okien, włączył więc światło.

Pokój był pełen obrazów, niektóre z nich starannie zapakowane w skrzyniach i koszach, większe ustawiono po prostu pod ścianą. Poszukiwania nie były łatwe. Musiał przejrzeć więcej dzieł sztuki niż kiedykolwiek oglądał podczas wizyt w muzeum. W końcu jednak znalazł to, czego szukał.

Był to drewniany kosz odstawiony na bok. Nie był zapieczętowany, ale miał zasuwkę i zamek. Otworzył go w kilka sekund.

Cieszył się swoim nieprawdopodobnym szczęściem. W koszu znajdowało się bowiem dziewięć obrazów - każdy z nich potwierdzał jego podejrzenia. Wszystkie niemieckich ekspresjonistów, całkiem podobne do *Czerwonej wieży*. Jeden z nich był zidentyfikowany jako Kirchner. Ale niepotrzebnie.

Cyniczna kobieta w jasnej czerwieni, centralny obiekt tego obrazu, była prawie taka sama, jak kobieta na płótnie *Czerwonej wieży*.

Każdy z obrazów wyglądał na oryginał - oryginały czy też kopie wykonane były tą samą doświadczoną ręką, prawdopodobnie poddane działaniu jakiegoś czynnika chemicznego, powodującego starzenie się płótna. To można będzie określić później.

Rozpoczął odkładanie obrazów do kosza, gdy nagle zamarł w bezruchu. Dobięły go z góry czyjeś głosy - jeden zabarwiony afektowanym, niemal angielskim akcentem, drugi - Christiana Curlanda.

Zmuszając się do zachowania zimnej krwi włożył resztę obrazów do kosza i zamknął go na zamek. Zgasił górne światło i włączył kieszonkową latarkę, którą miał przy sobie - jak każdy dobry włamywacz - przeklinając się za to, że zapomniał wymienić na nowe wyczerpane baterie.

Schodzili schodami w dół. W rogu stało kilka bardzo dużych płócien opartych o ścianę. Zany pospieszenie ukrył się za nimi, żałując, że nie ma tylko pięciu stóp wzrostu.

Ci dwaj nieśli coś ze sobą, jeden z nich chrząkał co chwila. Usłyszał odgłos stawianego na podłodze drewna.

- Czy to już ostatnie? - zapytał głos, który przypominał Zany'emu Traina.

- Myślę, że to wystarczy - powiedział Christian Curland. Obydwaj posługiwali się wyraźnym akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer - Train afektowanym, a Curland brzmiącym całkiem autentycznie.

- Chciałem zabrać je z podziemi- powiedział Curland. - Nie sądzę, by Matthias był zachwycony, że tutaj myszkowałem.

- Chodź, przyjrzyjmy się im teraz.

Słysząc było jakieś poruszenie, zgrzytające dźwięki, a potem znowu zapadła cisza.

- One rzeczywiście są całkiem dobre - powiedział Train. - Powinniśmy byli to zrobić już dawno temu.

- Kiedy ja tego chciałem, ty nie byłeś wcale zainteresowany.

- Odpowiedziałem ci wtedy, kochany chłopcze, że nie przyniosą ci prawdopodobnie takiej ilości pieniędzy, jakiej oczekiwałeś. Teraz można to rozważyć.

- Tak przypuszczam.

- Wiesz, one są urocze, po prostu urocze.

- Dziękuję ci.

- Urocze, Christianie. Tak jak ty.

Zany usłyszał ciche, stłumione dźwięki, których pochodzenia nie był w stanie rozpoznać. Opierając się na łokciach wychylił się ostrożnie z drugiej strony swojego schronienia, lecz natychmiast cofnął się z powrotem.

To, co zobaczył, wystarczyło. Dwóch mężczyzn obejmowało się - i to nie po męsku, koleżeńsko. Train całował Christiana prosto w usta. Zany poczuł się bardzo zażenowany.

- Robi się późno - powiedział Train. - Co powiesz o fantastycznym obiedzie?

- O obiedzie i o mocnym drinku.

- Powinniśmy to uczcić. Może pójdziemy do Les Nomands?

- Lepiej nie, Larry. Wybierzmy bardziej dyskretne miejsce.

- A zatem u mnie. Możemy posłuchać Vivaldiego.

- Niech będzie Vivaldi.

To były ostatnie słowa, które wypowiedzieli. Światła zgasły ponownie. Zany pozostał w bezruchu przez dłuższy czas, nasłuchując w ciszy. Potem powoli wynurzył się ze swej kryjówki. Gdy tym razem zapalił latarkę,

ledwie się żarzyła.

Najpierw podkraść się schodami do góry, aby się upewnić, że Train i Curland opuścili galerię. Dopiero potem powrócił do kosza.

Musiał się spieszyć. Czekala go długa droga powrotna do Michigan. Powiedział żonie, że zamierza obejrzeć jakieś artykuły morskie, oferowane przez hurtowników w Chicago, aby zobaczyć, jakie proponują warunki. Rzeczywiście zatrzymał się u jednego z nich, by zaopatrzyć się w kilka prospektów na dowód, że istotnie zrobił to, co zapowiedział. Zostawił je na przednim siedzeniu w samochodzie, by o nich nie zapomnieć.

Zabrał ze sobą dużą, ciasno zwiniętą, plastikową torbę na zakupy. Zdecydował się na zabranie dwóch małych malowideł ze skrzyni i jednego z tych, które leżały w koszu. Gdyby Train chciał zgłosić jego zaginięcie wraz z innymi, byłoby to nader interesujące - o ile, w co trochę wątpił, był to duplikat jednego z dzieł należących do Niemieckiego Muzeum Curlanda.

Zatrzymał się. Czy Train i Christian Curland przynieśli więcej takich płócien? Curland wspominał coś o podziemiach.

Obrazy, które przynieśli, stały przy ścianie odwrócone tyłem. Zany był pewien, że gdy odwróci je przodem, to znajdzie więcej niemieckich ekspresjonistów. Używając chusteczki, by nie pozostawić odcisków palców, odwrócił pierwszy obraz z brzegu, potem następny i następny, aż w końcu odwrócił je wszystkie.

To nie byli niemieccy ekspresjoniści - prawdziwi czy też podrabiani. Po prostu były to malowidła, regularna praca Christiana Curlanda. Dwa z nich były portretami kobiet, bardzo udanymi i oddającymi podobieństwo z niemal fotograficzną dokładnością. Były to portrety z rodzaju tych, jakie ludzie z towarzystwa wieszają sobie nad kominkiem. Pozostałe przedstawiały sceny uliczne z Chicago - świetnie wykonane - i wszystkie bardzo współczesne. Czy to możliwe, że Curland był niewinny w tym wszystkim? Czy inny artysta mógłby rozprowadzać jego dzieła? A może to tylko Train, w porozumieniu z Jill Langley, to robił?

Po wyjęciu Kirchnera z kosza i włożeniu go do swojej torby, Zany sprawdził dokładnie kosz raz jeszcze. Nie znalazł na nim żadnego napisu, ale zauważył coś, czego nie dostrzegł poprzednio. Na boku ktoś namalował markerem litery „P”.

Co one mogły oznaczać? Poe? Pittsburgh?

Miał teraz duży problem do rozwiązania. Nie mógł udać się na policję - nawet do swoich dobrych przyjaciół w wydziale - musiałby przyznać, że sam popełnił przestępstwo: dopuścił się przecież włamania. Nie było sposobu, by przedstawić jego przedsięwzięcie jako anonimowe poszukiwania. I nie był już nawet szefem policji w Grand Pier, w stanie Michigan.

Potrzebował pomocy. Na szczęście miał właśnie kogoś, komu mógł zaufać.

Ale na początek najważniejsze. Musiał wydostać się z tej przeklętej galerii. Pochwycił dwa inne płótna - małe widoczki - i włożył je do torby obok Kirchnera.

Jego latarka zgasła zupełnie, gdy tylnymi drzwiami opuszczał galerię.

Annelise i jej mąż byli niezwykle ostrożni przy obiedzie, chętni do rozmowy o błahostkach - Paul Blucher w ogóle niewiele się odzywał. Później, przy kawie, poruszyli w końcu temat, który zgromadził ich razem po raz pierwszy, od pogrzebu matki.

- A więc stan majątku rodzinnego poprawia się - powiedziała Annelise.
- Myślę, że bezpieczniej powiedzieć, że nie ma już bezpośredniego zagrożenia - stwierdził Matthias. - Ojciec może pozostać w domu w Lake Forest w najbliższej przyszłości, ponieważ nie jesteśmy jeszcze na dnie. Pracuję nad tym.

- To znaczy, o ile ojciec nie zrobi z siebie głupca na spotkaniu w Wydziale Zieleni.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Ale czy ty i Christian rzeczywiście macie pieczę nad wszystkim? Czy naprawdę nie mamy się o co martwić?

- W tej chwili, rzeczywiście.

- Brzmi to zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe - powiedziała Annelise.

Jej mąż chrząknął zakłopotany. - Czy nie mielibyście nic przeciwko temu, bym przejrzał księgi?

- To nie jest konieczne, Paul - stwierdziła Annelise. - Gdybyśmy nie mieli zaufania do Matta, nie byłibyśmy tutaj razem. To oczywiste, że

rachunki są płacone.

Blucher rozejrzał się z zażenowaniem. Pomimo wszystkich nieporozumień istniejących w rodzinie Curlandów, nigdy nie będzie tak bliski Annelise, jak jej bracia.

Strząsnął kilka okruszyn z krawata. W domu przy ulicy Schillera nie przestrzegano rytuału przebierania się do obiadu. Potężna Annelise, która potrafiła być nawet elegancka w czarnej wieczorowej sukni, nosiła teraz rodzaj roboczej sukienki, która mogłaby stanowić strój kobiety, zajmującej się hodowlą psów w Barrington. Mąż jej ubrany był w ciemnoniebieski bankierski garnitur. Matthias nosił, jak zwykle, stary blezer.

- Czy wszystkie te pieniądze pochodzą od Petera Poe? - zapytała Annelise.

- Obecnie jestem rzeczywiście przez niego zaangażowany. Ale także Christian jest bardzo pomocny, o wiele bardziej niż myślisz. On rzeczywiście robi kawał dobrej roboty swoim malowaniem.

- Powiedziałeś „obecnie”. Czyż nie pracujesz nad tym monstrualnym nowym budynkiem Poego?

- Zrobiłem kilka szkiców. Podoba mu się moja koncepcja. Nie wiem czy pozostanę przy tym projekcie... chociaż już w zasadzie doszliśmy do porozumienia. Jeśli wycofam się teraz z tego projektu, to złamię słowo. Spodziewam się, a raczej jestem tego pewny w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, że będę to robił, o ile oczywiście on dotrzyma słowa odnośnie kilku spraw.

- Czy nie przeszkadza ci świadomość, że jest to jedyny rodzaj pracy, jaką możesz dostać jako architekt? - zapytał Paul.

Matthias zaczerwienił się. - Ta „praca” jest prawdopodobnie najszerszym projektem rozwojowym, jaki Chicago kiedykolwiek widziało - przynajmniej jeśli chodzi o pojedynczą strukturę. Budynek ten mógłby stać się najślawniejszy na świecie. Wcale się go nie wstydzę. Pozwólcie, że wam przypomnę, iż budynek Opery Miejskiej zbudowany był przez jednego z czołowych oszustów. Poego nie można nawet z nim porównać.

- Nie byłabym tak szybka z tym stwierdzeniem - odpowiedziała Annelise. - Niektórzy mówią, że współpracuje z fałszerzami.

- Też to słyszałem. On sam mi o tym wspomniał. Powiedział, że tego

typu ludzie usiłowali wejść do jego interesu z kasynami, ale on im na to nie pozwolił. Z tego powodu wzniecił pożar na jego jachcie, przynajmniej on tak sądzi.

- Czy ty w to wierzysz?

- Jest to najbardziej logiczne wytłumaczenie tego zajścia - podane w formie przypuszczenia, oczywiście. Miał przecież zamiar wracać z nami tym jachtem.

- To dowodzi, że jesteś zupełnie zwariowany na punkcie współpracy z tym człowiekiem.

- W każdym razie, nie będę już nigdy więcej z nim żeglował.

- Czy odseparujesz się od niego, gdy tylko budowla zostanie ukończona?

- Do tego jeszcze daleka droga.

- Po prostu nie wiem, co o tym sądzić, Matt. Cieszę się, że znowu pracujesz, ale ten człowiek... Czuję to w kościach. On jest zły. Do cna zepsuty. Jest takim typem człowieka, do którego nasz dziadek czułby wstręt, którego oskarżałby o wszystkie kłopoty tego świata.

- Człowiekiem bardzo podobnym do naszego Wielkiego Dziadka, któremu powinniśmy dziękować za prawie wszystko, co posiadamy - włączając w to Kolekcję Albrechta. O młodości przyprawia mnie to niedorzeczne gadanie o „wielkich rodach z Chicago”, gdy pomyśli się o całej tej chciwości, korupcji i bezwzględnym okrucieństwie, które nastawione było głównie na robienie pieniędzy. Manfred Albrecht zrujnował setki ludzi. Nikt nigdy nie oskarżył Poego o coś takiego. On raczej daje ludziom pracę.

Siedzieli nic nie mówiąc, jak troje obcych w miejscu publicznym.

- Mamy długą drogę przed sobą - odezwała się w końcu Annelise.

- Lepiej już chodźmy.

- Mam do ciebie prośbę - powiedział Matthias patrząc na siostrę, jak gdyby wyłączał jej męża z tego zaproszenia. - Chciałbym, abyś rzuciła okiem na moje dzieło - budynek dla Poego.

- Po tym wszystkim, co ci nagadałam?

- Potrzebuję tylko uzyskać od ciebie uczciwą opinię. Przynajmniej tego mogę od ciebie oczekiwać.

To nie była całkowita prawda. Annelise często zachwycała się nawet

tymi obrazami, o których Matthias wiedział, że były zaledwie mierne.

Miała taką minę, jakby ją poprosił o pozmywanie naczyń.

- Zabierze ci to tylko minutę - obiecał. - Wstępne projekty są na górze.
- W porządku.

Przyglądała się każdemu z nich z natężeniem i uwagą, powstrzymując się od jakiegokolwiek komentarza, zanim nie zlustrowała wszystkich. Odgadł, że oceniła je bardzo szybko, a czas potrzebny był jej na dobranie odpowiednich słów, by wyrazić opinię.

- Muszę ci przyznać, Matt - powiedziała w końcu - że jest to bardzo piękna, cudowna i oryginalna koncepcja. Widzę to, co i ty widzisz - jak odbija zmieniające się światło. Jest to ten rodzaj dzieła, o którym będzie się pisało w podręcznikach dla architektów, jeszcze długo po naszej śmierci. Być może dorównuje ono klasie dokonań Franka Lloyda Wrighta, czy Harry'ego Weese'a.

Znów nie była szczera.

- No i?
- Ale mnie się to nie podoba.

Ubodły go te słowa. - Dlaczego?

- Jak wysoki ma być ten wieżowiec?

- Sto pięćdziesiąt pięter. Chociaż to nie zostało jeszcze ogłoszone publicznie.

- A jakie, w takim razie, byłoby boczne skrzydło - też długie na sto pięćdziesiąt pięter?

- Coś koło tego.

- Sądzę, że to wygląda groteskowo, Matt. Wszystko inne w tym mieście będzie przy tej budowli sprawiać wrażenie karłowatego.

- Ale to ma stać przy Cabrini Green. Tam nie ma nic wokół.

- Tym niemniej jest to cholernie duże. To jest Godzilla. Jest to ten rodzaj gmachu, który mógłbyś napotkać w tym przeklętym Houston czy w Los Angeles. To jest Chicago, pamiętaj, bardzo szczególne miejsce - jak sam zwykle powtarzasz.

- Dzięki - powiedział Matt drewnianym głosem. - Doceniam twą szczerość, lecz myślę, że jesteś po prostu uprzedzona, bo jest to budynek Poego.

Gdy sobie poszli, Matt siedział przez dłuższą chwilę w salonie, poszukując racjonalnego sposobu, by nie brać pod uwagę przykrego werdyktu. Poza jej niechęcią do Poego, mógł mieć znaczenie fakt, że była kobietą. Przy całej swojej gracji, byłaby to potężna, męska struktura. To będzie przemawiało do Poego. Christian uznał ten projekt za zdumiewający. Chicago było męskim miastem. Jak to napisał Carl Sandburg? „Miasto o dużych plecach”.

On ujął tę awanturniczą siłę i przekształcił ją w piękną strukturę, która będzie aż drżała z mocy i potęgi, i nie będzie miała ani jednej ciężkiej i szpetnej krawędzi.

Ze szklanką w ręku Matthias wstał i przemierzał pokój myśląc o wszystkim, o czym kiedykolwiek usłyszał na wykładach z architektury, czy też przeczytał w książkach na ten temat. Miasta świata były pełne kwadratowych, ponurych pudełek. Wiele z nich zdobywało nagrody i pochwały. On stworzył coś zupełnie odmiennego. Annelise, tak jak i wielu innych z jej środowiska, była po prostu zbyt konserwatywna, zbyt pełna uwielbienia dla przeszłości.

Przeszedł do swojego gabinetu, pełen nieoczekiwanych planów. Jedna biblioteczka poświęcona była w całości dziełom i tekstom z dziedziny architektury. Wydobył jeden ze swoich ulubionych tomów, otwierając rozdział traktujący o budowlach, które zrewolucjonizowały architekturę, przekształciły miasta wykraczając daleko poza najśmielsze wizje szacownego Daniela Burnhama, pobudziły wyobraźnię współczesnego człowieka o wiele silniej, niż najbardziej pomysłowe dzieła pełnego obsesji na punkcie kształtu prostokąta Franka Lloyda Wrighta.

Od dawna fascynowały go dzieła światowej sławy architektów. Podziwiał trójkątny Flatiron Building Burnhama, godna pamięci sylwetka - projekt z 1903 roku, który w rzeczywistości był inspiracją dla jego własnego projektu piramidalnego drapacza chmur - wieżowca Halsmana. Ponadto takie budowle, jak Empire State Building, Chrysler Building, czy też Art Deco Palmolive Building w Chicago, który był niegdyś głównym wieżowcem rysującym się na tle nieba nad Chicago.

Te właśnie budowle należały do jego najbardziej stałych faworytów, ale to, co pobudzało wyobraźnię teraz, to była struktura, o której już nie pamiętano we współczesnej erze gładkich i połyskliwych, sięgających nieba

wieżowców - chociaż ona właśnie była ich prekursorem.

Chodzi o nowojorski budynek Woolwortha, mistrzowskie dzieło w dziedzinie sztuk pięknych zaprojektowane przez Cassa Gilberta. Ukończony w 1913 roku, nadal stoi w centrum miasta poniżej Broadwayu, wzbudzając respekt pośród tych wszystkich współczesnych gigantów, które wyrosły wokół niego. Podstawa w kształcie litery U, sięgająca do połowy wysokości, zwieńczona była przesuniętą lekko ku tyłowi wieżą, zakończoną gotyckim szpicem. Dla tego pokolenia był to największy budynek na Manhattanie. Był masywny, nawet na współczesne czasy; pomimo ogromu i obowiązkowych gargulców, które inkrustowały jego wierzchołek i brzegi, stanowił największy, szczytowy wyraz przeżyć artystycznych architekta, jaki można sobie wyobrazić w naszej epoce. Strzeliste, złobkowane linie wieżowca unosiły jego majestat aż do samego szczytu. Była to prawdziwa wieża, wyrażająca sobą nie tylko wysokość, ale także wielkość, okazałość i grację, podobnie jak czyniły to katedry w Europie od wielu stuleci.

Wielu wyśmiewało się z niego, gdy powstawał, nazywając go groteskowym i - podobnie jak Annelise - za dużym. Karykatury zamieszczane w gazetach w tym czasie ośmieszały go, przedstawiając wizję Nowego Jorku przyszłości, jako dżunglę poskręcanych, skłębionych, wyolbrzymionych wieżowców.

Przewidujący satyrycy posunęli się może zbyt daleko, rozważając, co się kiedyś stanie z Manhattanem. Krytyka osiągnięcia Gilberta była za ostra. W tamtych czasach wieżowiec ten mógł stać zupełnie samotnie, mógł zdobyć uznanie jako coś nieskończenie wyjątkowego. Budynek Woolwortha był symbolem triumfu, symbolem cywilizacji, wspaniałym i dostępnym dla wszystkich.

To było właśnie to, czego Matthias życzył sobie dla Chicago, realizując swój projekt ogromnej żaglówki i wcale nie zawaha się wcielić go w życie - mimo wyobrażeń jego rodziny o poszanowaniu biznesu, mimo jego własnych wątpliwości, co do charakteru Petera Poe, a także mimo opinii wyrażanych przez przyjaciół i elitę towarzyską Chicago. Chciałby to już mieć za sobą. Budynek był wspaniały. On go stworzył. A teraz musi sam się przekonywać do własnego dzieła. Pozwolił, aby wydarzenia, obawy i jego własne pogmatwane emocje poszły swoją drogą i dotarły prawie do punktu,

w którym je porzucił. Nie mógł sobie pozwolić, aby to się znowu wydarzyło.

Czy jako malarz, czy też architekt, był autentycznym artystą. Nie miało znaczenia, z czego powstało dzieło sztuki - wiele z największych dokonań w historii ludzkości zrodziło się na podłożu nędzy, niedoli i grozy. To, co miało znaczenie, to była sztuka sama w sobie. I tylko sztuka.

Zadzwoił telefon. Nie było nikogo, z kim chciałby porozmawiać właśnie teraz, w tym nadzwyczajnym momencie, gdy po raz pierwszy od lat - prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu - wszystko całkowicie przemyślał, czuł się stanowczy i pewny siebie.

- Tak, słucham?

- Pan Curland ? Mówi Zane Rawlings, z Michigan.

- Tak, o co chodzi? - Od wielu dni miał zamiar zadzwonić do tego policjanta, by przy jego pomocy dowiedzieć się, kto umieścił Cindy w szpitalu. Teraz jednak to wszystko wydawało mu się zupełnie bez znaczenia. Jeżeli Poe miał rację, osoby odpowiedzialne i tak za to zapłacą.

Obchodziło go tylko, czy Cindy wyzdrowieje, nic więcej.

- Muszę się z panem zobaczyć, panie Curland. Mam coś, co mogłoby pana zainteresować. Twierdził pan, że ten Kirchner w pana podziemiach jest autentyczny. Ale mam powody, by sądzić, że więcej obrazów z pana muzeum - kopii czy też oryginałów - można znaleźć w galerii Laurence'a Traina. W zasadzie jeden z nich dostał się w moje ręce. Dlatego dzwonię.

To znowu to. Jill Langley jako złodziej dzieł sztuki.

Niech ta koncepcja, jak sugerował Christian, zostanie pogrzebana wraz z nią w grobie.

- Sprawdziłem obrazy w moim podziemnym magazynie, panie Rawlings. Kilka z nich poddałem ekspertyzie. Wszystko jest w porządku. Już panu o tym wspominałem.

- Ale to jest Kirchner. Ten sam typ uśmiechniętej kobiety. Chciałbym go panu pokazać.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet jeżeli jest to Michał Anioł.

- Panie Curland. To jest dochodzenie w sprawie zabójstwa.

- Cały czas pan to powtarza. Ale prowadzi to pana donikąd. Wszystko, co pan robi, to prowadzenie irytujących rozmów telefonicznych.

- Myślę, że powinien pan wstąpić do galerii Traina i rozejrzeć się tam.

- Dlaczego pan tego nie zrobi? Pan przecież jest policjantem. Ja jestem teraz strasznie zajęty. Nie mam czasu do stracenia. Jeśli pan chce nadal upierać się przy swoich teoriach o fałszerzach dzieł sztuki, to niech pan idzie zobaczyć się z Larry Trainem, niech pan idzie na policję w Chicago. Ja nie mogę nic dla pana zrobić.

- W porządku, pomyślę o tym. A jeśli zmieni pan zdanie, to proszę do mnie zadzwonić.

- Zgoda.

Matthias odłożył słuchawkę. Stał w milczeniu przez kilka minut, a potem wszedł na górę po schodach. Miał pomysł na jeszcze jeden wstępny szkic - wizję nowego budynku, takiego jaki Poe opisywał na falochronie Montrose; jaki Jill powołała do życia tego długiego wieczoru, gdy żeglowali wzdłuż jeziora przy zachodzie słońca.

Przedstawił na rysunku ten nowy budynek tak, jak mógłby być widziany z daleka, z jeziora. Nad cienką linią horyzontu wyrastały jak ołówki trzy superwieże. A tam, ku północy, wznosiło się wspaniałe skrzydło, którego szklana ściana płonęła odbitym światłem słonecznym.

Taki projekt każdy mógłby zaakceptować.

ROZDZIAŁ

17

Poe zaniedbywał zwykle swoje domowe rachunki. Brutalnie przypomniano mu o tym podczas porannej rozmowy telefonicznej z Yeatsem, który zadzwonił, jak tylko skończył przeglądanie prasy codziennej.

- Mamy mały problem, Peter - powiedział głosem pełnym prawniczego taktu. - Miałem właśnie wiadomość z banku. Chcą pieniędzy.

- Twierdziłeś przecież, że wszystkie należności związane z obsługą długu zostały już uregulowane. Trochę późno, ale zapłacone.

- To prawda, ale nie mówią o milionach, tylko o tysiącach. Chodzi o twój prywatny rachunek w banku. Było kilka przelewów ponad stan konta i teraz przekroczyłeś limit karty kredytowej o dwadzieścia osiem tysięcy.

- Ależ to śmieszne.

- Irytujące, bez wątpienia, ale nie śmieszne. Znając sposób w jaki wydajesz pieniądze, wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby powiedzieli, że chodzi o dwieście osiemdziesiąt tysięcy. Mam wszelkie dowody przed sobą. Miałem wspomnieć ci o tym dużo wcześniej, lecz przy wszystkich twoich innych kłopotach, wydawało mi się to bez znaczenia. Ale teraz oni z kolei zaostrzyli swoje stanowisko.

- Bez znaczenia? Cholera jasna! - Przyszła mu na myśl możliwość, że ktoś z elit bankowych chce go szantażować. - W porządku, przelej fundusze z innego rachunku. Masz moje pełnomocnictwo, aby to zrobić.

- W tym miesiącu twoje inne rachunki są także blisko czerwonej kreski. Jedyńy, który zwyżkował, to rachunek kasyna.

- Nie chcę go nawet tknąć.

- Wolisz, by ci faceci zaczęli plotkować podczas lunchu w swoich klubach o paragrafie jedenastym?

- Nic mnie to nie obchodzi.
- To ich nie powstrzyma.

Poe zabębnił palcami po stole. - W porządku. Weź z konta kasyna. Wkrótce to wyrównam. W ciągu kilku dni.

- Mogę spytać, skąd weźmiemy gotówkę?
- Rzucę na sprzedaż kilka płócien.
- Musisz mieć niewyczerpany zapas.
- Po prostu rób, co mówię, Bill. Nie płacę ci przecież pieprzonej fortuny za twoje bystre uwagi.
- Tak jest, szefie.

Poe pierwszy przerwał połączenie. Gdyby ten drań nie wiedział tak wiele o jego interesach, to by go zwolnił. Rzeczywiście, wiele domowych rachunków leżało w dużej kopercie na biurku. Na jego polecenie przesyłali mu okresowo z banku wyciągi, żeby mógł sprawdzić wydatki Diandry. Znowu zaczęła robić szalone zakupy - zachowywała się tak zawsze, gdy czuła się nieszczęśliwa.

Rachunek z Neiman Marcus był astronomiczny. Ta sfiksowana kobieta kupowała suknie Boba Mackie. Co prawda wyglądała w nich szalowo, ale o Jezu!

Małpując Donalda Trumpa, powiedział jej kiedyś, że może sobie kupić wszystkie suknie, jakich tylko zapagnie. Początkowo takie chełpienie się swoimi możliwościami podobało mu się, lecz z czasem stawało się to coraz bardziej bolesne. Z pewnością nie będzie się jej to podobało, ale miał zamiar zahamować jej wydatki. Mógłby nawet nakłonić ją do sprzedaży starych rzeczy - ubrań, które nosiła tylko raz lub dwa. Wiele z nich nie założyła na siebie ani razu. A buty! Zupełnie jak Imelda Marcos.

Przejrzał kilka rachunków. Zalegał nawet z opłatą za subskrypcję tych przeklętych dzienników. Co by było, gdyby *Tribune* ogłosiła to w swojej kolumnie towarzyskiej - albo poinformowała o tym tego szatańskiego pismaka, Mike'a Royco.

Dreszcz przeszedł mu po grzbiecie. Czy nie doprowadził tego wszystkiego na kraniec przepaści? Dlaczego Yeats nie wspomniał mu o tym wcześniej? Być może, coś mówił, gdy poprosił go o zakup łodzi.

Poe nacisnął odpowiedni guzik na konsoli telefonu, by połączyć się z

Larrym Trainem. Odezwała się dziewczyna z galerii, chociaż była to prywatna linia do biura Traina.

Poinformowała go, że Train jest na dole w magazynie. Oznajmił jej, że ma kilka sekund na przywołanie go do telefonu.

- Słucham, Peter. O co chodzi? - W głosie Traina brzmiało niezadowolenie.

- Potrzebuję trochę gotówki. Chcę, byś rzucił na rynek kilka obrazów. Wiesz, chodzi o coś w rodzaju spaghetti, co wisi u mnie w salonie, ten, o którym mówiłeś, iż wart jest sto pięćdziesiąt tysięcy? Zacznij od niego.

- Myślałem, że ci się podoba?

- Nienawidzę tego cholernego obrazu. To Diandrze on się podobał.

- Czy ją to nie zmartwi, że się go pozbędziesz?

- Powiem jej, że oddałem go do odświeżenia czy coś w tym stylu. Możesz zresztą zlecić zrobienie kopii.

- Jesteśmy teraz bardzo zajęci, Peter. Pracujemy z Curlandem nad jego pokazem.

Poe obniżył głos. - Larry, jeżeli ja czegoś potrzebuję, to nikt nie jest zajęty.

Westchnienie. - Rozumiem.

- I życzę sobie, byś ruszył tę ostatnią przesyłkę Niemców.

- Już teraz? Tak wcześnie?

- Tak. Najszybciej, jak to tylko możliwe. Postaraj się uzyskać najwyższą cenę, ale zgadzam się na prawie każdą, o ile pójdzie to szybko.

- Nie jestem pewien, czy możemy jednocześnie sprzedać wszystkie osiem obrazów. Mamy tylko jednego poważnego kupca, ale on jest zainteresowany głównie dziełami Emila Nolde'a i Ernsta Kirchnera. Połowa z tego, co mamy, to obrazy Franza Marca.

- Larry, czy ty rozmawiasz z publicznego telefonu?

- Przepraszam.

- W każdym razie to oznacza, że możemy sprzedać pięć, prawda?

Cztery Noldy i jeden Kirchner.

- Tak, ale...

- Powiedziałeś „osiem”. A przecież powinno być dziewięć. Czy coś jest nie tak, Larry? Nie było jakiejś innej wpadki?

- Nie, oczywiście, że nie.
- Ostrzegałem cię, co zrobię, gdy coś takiego wydarzy się ponownie.
- Nie masz się o co martwić, Peter. Musiałem się przejęzyczyć. Jestem dzisiaj trochę wzburzony. Wszystko jest w porządku. Ale rzeczywiście nie sądzę, abyś mógł sprzedać więcej niż cztery lub pięć w takim pośpiechu.
- Zrób, co będziesz mógł.
- Zawsze to robię.
- Czy zadbałeś o ich autentyczność?
- Tak, mam certyfikaty przed sobą.
- I jesteśmy kryci, rozumiem, jeśli chodzi o oryginały i źródła?
- Zajmiemy się tym w najbardziej sprzyjającym momencie. Jest jeszcze ten drugi, o którego trzeba się martwić. Od czasu do czasu pracuje w muzeum. Wszelkie ruchy są obecnie trochę utrudnione.
- Nie przejmuj się tą inną sprawą. Zamierzam sprawić, by był rzeczywiście zajęty. Będzie mnóstwo sprzyjających momentów.
- Tak.
- W niedzielę o drugiej po południu organizuję konferencję prasową na temat projektu Cabrini Green. Wszyscy zainteresowani tam będą, włącznie z tymi od tej innej sprawy.
- Wygląda na to, że nie będę mógł w niej uczestniczyć.
- Musisz tam być, Larry. Jeżeli będziesz mógł zakończyć naszą transakcję do końca miesiąca, to podniosę ci twój udział do piętnastu procent.
- Jesteś hojny do przesady.
- Lecz chciałbym mieć pięćdziesiąt tysięcy na koncie.
- Pięćdziesiąt tysięcy? Peter, zdajesz sobie sprawę, co to znaczy rynek sztuki. Obawiam się, że nie zdołam uzyskać takiej ceny.
- Dlaczego nie? Będziesz miał przecież to cholerne malowidło ze spaghetti.
- Sztuka to nie pieniądze, Peter. Przynajmniej do czasu, aż ktoś jest gotów za nią zapłacić.
- To ile możesz dostać?
- Dwadzieścia?
- Niech będzie dwadzieścia osiem. I niech potwierdzony czek dotrze

do mnie tutaj, przez posłańca, jeszcze dzisiaj.

- Nie sądziłem, że jesteś aż tak zainteresowany takimi marnymi sumami.

- Larry, jestem tym, kim jestem, tylko dlatego że interesują mnie wszystkie sumy.

Poe odłożył słuchawkę. Był ciekaw, czy Train miał zamiar przykręcić mu śrubę. Chyba nie ośmieliłby się próbować?

Spojrzał w kalendarz. Miał trzydzieści dni na przygotowanie wszystkiego dla japońskiego bankiera z banku Inland Empire. Jak ten interes doprowadzi do końca, to znowu będzie obracał milionami.

Pieniądze innych ludzi. Tak nazywała się ta gra.

Zany wiedział, że będzie to cholernie kosztowne, ale pozostał na noc w Chicago, w tanim motelu przy drodze szybkiego ruchu. Zadzwoił do Judy i powiedział jej, że zamierza napić się z kilkoma kumplami z policji i jeżeli przekroczy swój limit, to da dymisję jednemu z nich. Nie wyglądało na to, że mu uwierzyła, ale to i tak niczego nie zmieniło. To oczywiste, że nie chciał wracać do domu z trzema drogimi obrazami przy sobie. Byłoby mu o wiele trudniej to wyjaśnić, niż nocowanie poza domem.

W drodze powrotnej zatrzymał się na kilka piw. Może nawet rozleje trochę na ubranie.

Zany zasnął późno, zapominając zadzwonić do recepcji z prośbą o obudzenie go, chociaż i tak nie był wcale pewien, czy pijany recepcjonista pamiętałby o tym. Długie godziny, które spędził na poszukiwaniach w ostatnich tygodniach, wycisnęły na nim swoje piętno. Nie zawracał sobie głowy porannym prysznicem, ale zatrzymał się jednak na tłuste śniadanko w małej kawiarence po drugiej stronie ulicy. Przypomniało mu to dni spędzone w chicagowskiej policji.

Na początek wstąpił do domu Curlanda na ulicy Schillera. Matthias Curland zainteresuje się na pewno znalezionym przez niego Kirchnerem, gdy Zany wepchnie mu go prosto w ręce.

Gdy Curland otworzył mu drzwi, wyglądał na rozeźlonego widokiem Zany'ego. Musiał wstać bardzo późno.

- Dlaczego pan nie przestaje mnie niepokoić - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Nic już nie mogę dla pana zrobić.

- Czy mogę wejść?

- Nie, do cholery! Pracowałem prawie przez całą noc.

- Powiedziałem panu, że natrafiłem na Kirchnera. W galerii Traina.

- A ja mówiłem, że nic mnie to już nie obchodzi.

Zany otworzył plastikową torbę. Płótno zrolował uprzednio dla lepszego zabezpieczenia. - Proszę - powiedział - niech pan przyjrzy się temu w dogodnej chwili. Proszę tylko nie wspominać nikomu, skąd pan to ma czy też, skąd ja to mam.

Curland rozwinął płótno. Spojrzał na obraz tak, jak mógłby popatrzeć na przysyłane pocztą ulotki reklamowe. - I to ma być obraz z mojego muzeum?

- Spodziewam się, że właśnie pan to stwierdzi.

- I pochodzi on z galerii Traina?

- Tak.

- Jakim sposobem wszedł pan w jego posiadanie?

- Tego nie zamierzam panu wyjawiać.

Iskra zainteresowania błysnęła w przekrwionych oczach Curlanda i szybko zniknęła ustępując miejsca zamglonemu spojrzeniu. - W porządku, obejrzę go. Ale nie teraz. Później.

- Kiedy pan zechce. Ma pan przecież mój numer. Będę czekał na telefon. Proszę tylko nie rozmawiać z nikim innym na ten temat. Nawet z bratem. Ani z panem Trainem. Niech pan wybaczy to wyrażenie, ale spartaczy pan wówczas sprawę.

Cofnął się do tyłu, powoli zamykając drzwi.

- Dzwoniłem do pana żony. Pana byłej żony.

Matthias zawahał się. - I ją także pan niepokoi, naczelniku Rawlings?

- Sprawy formalne. Powiedział mi pan, że był pan z nią w Nowym Jorku. Gdy rozmawiałem z nią po raz pierwszy, stwierdziła, że to nieprawda. Zadzwoniłem do niej ponownie. Tym razem jej męża nie było w domu. Przebywał poza miastem. Przyznała wtedy, że skłamała. Powiedziała, że była z panem tej nocy, w hotelu na Manhattanie.

Curland spojrział na ulicę. Wolałby nie prowadzić tego typu konwersacji na progu domu.

- Mówiła mi, że był pan wtedy w złej formie, że pił pan. Powiedziała, że została z panem na tak długo, by pomóc panu wydobyć się z tego stanu, ale że jej mąż nie rozumiałby motywów jej postępowania.

- Byłem zdenerwowany śmiercią matki i także perspektywą powrotu.

- To mnie nie dziwi. Też przeżywałem podobne stany.

Architekt zignorował tę uwagę.

- Panie Curland, czy chciałby pan ująć ludzi, którzy zabili Jill Langley? Ludzi, którzy są prawdopodobnie odpowiedzialni za wszystkie te kłopoty, które tu mamy?

- Oczywiście, że tak.

- A więc, jest nas dwóch. Wygląda na to, że wszyscy inni są przeciwko mnie albo ich to nie interesuje. Musi pan mi pomóc. Niech pan sprawdzi ten obraz. Proszę.

Curland utkwiał wzrok w ziemi. - Zobaczę, co da się zrobić. Jeśli będę miał czas. Do widzenia, naczelniku Rawlings.

- Jeszcze jedno, panie Curland. Pańska łódź. Wydział policji w Grand Pier już ją sprawdził. Jest wolna. Może pan przyjechać i zabrać ją, kiedy tylko pan zechce. Gdy pan się tam wybierze, proszę wstąpić do mnie, do domu. Napijemy się kilka drinków i porozmawiamy sobie. Wierzę, że do tego czasu sprawdzi pan ten obraz.

- Wybiorę się po łódkę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Dziękuję panu, naczelniku Rawlings.

Cicho zamknął drzwi.

Zany odchodził z poczuciem większej pewności siebie. Miał coraz więcej dowodów na to, że Matthias Curland był uczciwym człowiekiem. Nazywał go ciągle „naczelnikiem Rawlings”. Gdyby był jednym z podejrzanych facetów, musiałby wiedzieć, że Zany został wyrzucony z pracy.

Matthias stał w foyer usiłując skupić myśli. Ponownie rozwinął płótno i utkwiał w nim znużone oczy. To był Kirchner, bez wątplenia. Ale, jeżeli Rawlings znalazł go w galerii Traina, to tylko Jill mogła go tam ukryć. Nie miał ochoty myśleć o żadnych złych czynach, których mogła się dopuścić. Nie chciał w ogóle teraz myśleć o Jill.

W jaki sposób Rawlings wy dostał obraz z galerii? Jeżeli stanowił on oficjalny dowód przestępstwa, to dlaczego mu go przekazał? Gdyby poszedł z tym do Larry'ego Traina, to doprowadziłyby tylko do straszego zamieszania, niezależnie od tego, czy Rawlings miał rację, czy nie.

Ale to nie była właściwa pora na rozstrzygnięcie takich problemów. Matthias podszedł do szafy i umieścił płótno na górnej półce, pomiędzy rozrzuconymi w nieładzie kapeluszami.

Po powrocie do salonu usiadł na kanapie i wpatrywał się ponuro w stolik do kawy, na którym leżały rozpostarte arkusze papieru ze szkicownika. Pokryte były robionymi w pośpiechu rysunkami i szkicami.

Zdał sobie sprawę, że popełnił duże głupstwo. Opuścił coś w swoim projekcie, coś prostego, oczywistego i niezbędnego, a mianowicie garaż. Przecież ten budynek będzie zajmowany przez niezwykle dużą liczbę ludzi a więc i garaż będzie musiał być ogromny. Ale nie miał pomysłu, gdzie mógłby go umieścić.

Zany rzeczywiście chciałby już wrócić do domu. Czekala go jednak jeszcze jedna wizyta - w Instytucie Sztuki.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, w szczycie sezonu turystycznego olbrzymie muzeum było przepełnione ludźmi. Stanął w kolejce za parą dzieciaków z college'u z plecakami na plecach. Gdy wręczył szatniarce plastikową torbę na zakupy z dwoma zwędzonymi obrazami w środku, nie spojrzała nawet na niego, tylko rzuciła na ladę numererek. Włożył go do kieszeni i wszedł do sali muzealnej, spędzając wśród malowideł niespełna pół godziny, a potem wyszedł leniwie na zewnątrz.

Nikt nie zwrócił na niego większej uwagi niż na gołębice przechadzające się na stopniach. Wiedział, że jego torba na zakupy zostanie tutaj przez kilka dni, a następnie zostanie przekazana do biura rzeczy znalezionych, gdzie pozostanie przypuszczalnie przez tygodnie czy miesiące, zanim ktoś się nią naprawdę zainteresuje.

A potem? No cóż, będzie mógł się uważać za jednego z dobroczyńców Instytutu Sztuki.

Wrzucił numererek do pojemnika na śmieci.

Zbliżając się do granic stanu Michigan, Zany skręcił w następny wyjazd z autostrady i podjechał do baru w stylu „country and western” - z olbrzymią liczbą starych samochodów stojących przed nim.

Klienci wpatrywali się w ekran telewizora, gdzie nadawano właśnie jeden z seriali, typu mydlana opera. Szybko wypił cztery piwa, poszedł do łazienki i pojechał do domu.

Judy spojrzała tylko na niego i kupiła historyjkę w całości.

- O, Boże, Zany, ale cuchniesz.
- Przepraszam, zaraz wezmę prysznic. Jak tylko się trochę prześpię.
- Czy to było konieczne?

Zatopił się w myślach, jakby to było rzeczywiście bardzo głębokie pytanie.

- Tak - odezwał się po chwili. - Po tym, co przeszedłem? Sądzę, że tak.
- W porządku. Nie będę ci tego wypominać tym razem. Ale żeby to był tylko ten jedyny raz. Jadę teraz do sklepu. Mam zamiar otworzyć go jutro ponownie. Jestem już zmęczona tym siedzeniem w domu. A jak ci poszło z tymi silnikami do łodzi?

Przyniósł ze sobą plik broszur z samochodu. Pokazał jej kilka prospektów. - Nie jestem pewien, czy rzeczywiście chcę zajmować się sprzętem żeglarskim. Wygląda mi to na nieciekawe zajęcie. Wolałbym raczej prowadzić bar.

- Oczywiście, tego jestem pewna.

Gdy usłyszał jej odjeżdżający samochód, podszedł do telefonu. Co robi złodziej dzieł sztuki po wykonaniu dobrej roboty? Dzwoni na policję.

Detektyw Myron Plotnik tkwił przy swoim biurku, tak jak powinien. - Cześć, Zany. O co chodzi?

- Ciekaw jestem, czy nie wydarzyło się nic nowego w sprawie tego mojego zaginionego obrazu.

- Nie. Nadal pieprzona cisza. Myślę, że to długo potrwa. Ale uczepliłeś się tej sprawie. Słyszałem, że straciłeś posadę. Czy nadal pracujesz nad tą sprawą?

- W zasadzie nie. Jestem po prostu ciekawy.
- No, dobrze, nie mamy nic nowego.
- A czy nie trafiliście na jakiś inny przypadek kradzieży dzieł sztuki?

Coś, co mogłoby być podobne.

- Nie, nie było nic takiego.
- Ani jednego?
- Biała karta, Zany. Ale zaraz, poczekaj chwilę. Tu mam coś, co przyszło ubiegłego wieczoru.

Zany wstrzymał oddech.

- Taak - powiedział. - Kobieta z Gold Coast. Ktoś ukradł jej statwę z ogrodu. Nazywała się *Afrodyta*. Wysoka na siedem stóp rzeźba nagiej kobiety. Jak myślisz, co ktoś mógłby chcieć od tej rzeźby, gdy można z łatwością mieć jedną z tych nadmuchiwanych do normalnych rozmiarów lalek?

ROZDZIAŁ

18

Konferencja prasowa Poego, odbywająca się w sali balowej największego z jego hoteli, miała tak dużą frekwencję, jak tylko mógłby sobie życzyć. Oprócz lokalnych mediów, byli tam także korespondenci dwóch sieci telewizyjnych oraz dziennikarze z ukazujących się w Chicago tygodniówek. Był nawet ktoś z magazynu *People*. Nie było żadnych zagranicznych reporterów, a co szczególnie zauważył Poe, żadnego reportera z Japonii. Lecz był pewien, że wkrótce się pojawią.

Zaraz za Poem stało w szyku tyłu ojców miasta i innych notabli, ilu tylko mógł zgromadzić razem w środku lata. Wśród wielu polityków był tam Larry Aldermen, Curly i Moe. Obecni byli zarówno Yeats, jak i jego personel, wetknięci w tłum prawników, a także Matthias i Diandra, i cała armia architektów z Cudahy-Brown. A najważniejszy ze wszystkich, promieniujący Aaron Cooperman był centrum zgromadzenia. Ojciec Matthiasa stał niepewny za nim i wyglądał na trochę ogłuszonego.

Nie było nikogo z banku Inland Empire, lecz to była ostatnia rzecz, której by sobie Poe życzył. Oni mieli być w to zaangażowani później, kiedy projekt stanie się już czymś całkiem innym.

Poe rozpoczął konferencję długim peanem na cześć Chicago i jego nadzwyczajnej architektury, a także jego wiodącej roli we wskrzeszaniu starych, dużych miast Ameryki, chylących się ku upadkowi od dziesiątków lat. Nakreślił obraz miejskiego rajy, jaki powstanie za dziesięć lat w Near North Side i zarzucił Matthiasa gradem pochwał za jego geniusz, którym wykazał się w swoim wyjątkowym projekcie. Nazwał go największym architektem Chicago, od czasów Franka Lloyda Wrighta. Następnie wyjawiał głęboką i trwałą miłość, jaką żywił do swego rodzinnego miasta, wspomi-

nając, jak nieszczęśliwy i sfrustrowany był w czasach, gdy usiłował zrealizować swoje marzenia w mniej fantastycznych miastach, takich jak Filadelfia i Nowy Jork.

Gdy dostrzegł, że u audytorium dojrzała ochota na dyskusję, zachęcił zebranych do zadawania pytań. Prezes Wydziału Zieleni Miejskiej, Cooperman, obiecał otwarcie Muzeum Holocaustu oraz innych muzeów etnicznych, i czekał niecierpliwie na zabranie głosu. Ale Poe zamierzał trzymać go w rezerwie aż do momentu, gdy będzie go najbardziej potrzebował.

- Panie Poe, nie powiedział pan nam jeszcze, jak wysoka ma być ta budowla? - zapytał jeden z reporterów. - Czy to prawda, że planuje pan dać naszemu miastu znowu największy budynek na świecie? I pobić rekord tego wieżowca w Nowym Jorku?

- Chicago powinno zawsze mieć najwyższy wieżowiec na świecie - odpowiedział mu Poe. - Ale rozmiary tego projektu nie są jeszcze ściśle określone. Na razie jest to koncepcja. Chciałem przedstawić państwu ten projekt, zanim posuniemy się o krok dalej.

- Nie powiedział nam pan jeszcze, ile to ma kosztować?

- Jeśli to określimy, to będziemy także wiedzieć, jakiej ma być wysokości.

Rozległy się wybuchy śmiechu. Poe uśmiechnął się. Całkowicie kontrolował sytuację.

- Czy pan zamierza pokryć wszystkie wydatki związane z tym projektem z własnej kieszeni?

- Rzeczywiście zamierzałem, dopóki nie przejrzałem rachunków sklepowych mojej żony. - Zawiesił głos, czekając na następne wybuchy śmiechu. - Proszę się nie niepokoić. Zamierzenie to będzie solidnie sfinansowane. Podobnie jak wszystkie moje projekty.

Następnie, inny reporter zmienił temat. - Panie Poe, czy może nam pan wyjaśnić, dlaczego podłożono bombę na pańskim jachcie, i czy domyśla się pan, kto mógł to zrobić?

Poe zmarszczył brwi z niezadowoleniem. - Straż Przybrzeżna i ja sądzimy, że w dochodzeniu prowadzonym przez Wydział Transportu bierze się pod uwagę podpalenie, lokalna policja też tak myśli, ale nie ma na to

dotąd żadnych dowodów. Posyłali nawet nurków, ale oni też niczego nie znaleźli.

- A co pan sądzi o doniesieniach, że to syndykat zbrodni chce pana dopaść?

- Słyszałem o tych raportach, wszystko to plotki. Osobiście myślę, że ogień był wynikiem niefortunnego wypadku. Nie było mnie na jachcie, ale mogę oświadczyć, że nie mam i nie będę miał żadnych interesów z tymi mętami. Myślę, że każdy człowiek biznesu, który chce mieć z nimi do czynienia, nie jest od nich lepszy. I niech państwo pozwolą powiedzieć mi coś o moim koledze, Mattcie Curlandzie. Dzięki jego sztuce żeglowania i odwadze wszyscy wydostali się z łodzi żywi. Ta wspaniała młoda kobieta, Cindy Ellison, wszyscy członkowie załogi, najlepszej załogi, jaką kiedykolwiek miałem - wszyscy mogliby być zabici. Moja żona mogłaby być zabita. Matt powinien dostać medal.

- Czy pan nie wziął pod uwagę możliwości, że ktoś usiłował przesłać panu wiadomość?

- Jaką? Żebym trzymał się z daleka od żaglówek?

- Panie Poe, wniesiono przeciw oskarżenie, że pan mógł dopuścić się oszustwa, aby wygrać regaty żeglarskie.

Teraz Poe pozwolił sobie na ujawnienie gniewu. - Młody człowieku, to jest absolutnie oburzające. Tak, istotnie, został wniesiony protest do komitetu organizacyjnego regat, ale został jednogłośnie odrzucony. My walczyliśmy fair od startu do mety. Wygraliśmy ten wyścig, bowiem mieliśmy odwagę wykorzystać kilka sprzyjających okoliczności. Ponieważ mieliśmy tak dobrych żeglarzy na pokładzie jak Matt, czy też Cindy Ellison, a nie garść nieudaczników z elity towarzyskiej, którzy myślą, że żeglowanie to zajęcie dobre tylko dla arystokratów.

Matthias drgnął z niepokoju. Ktoś mógłby słusznie zauważyć, że zarówno on, jak i Cindy, figurowali w Rejestrze Towarzyskim.

- W każdym razie - kontynuował Poe znowu odprężony - przeznaczyłem sto tysięcy dolarów nagrody z tego wyścigu na cele dobroczynne. Sądzę, że ten drugi facet bardzo się wkurzył, ponieważ nie dostał pieniędzy. Myślę, że zamierzał przekazać je partii republikańskiej.

Tym razem eksplozja śmiechu. Moe prawie skręcał się ze śmiechu.

- Jeśli jesteśmy przy tym temacie - powiedział Poe - chciałbym dzisiaj ogłosić, że przekazuję te sto tysięcy - każdy cent - na fundusz Muzeum Holocaustu. A teraz najlepiej będzie, gdy oddam mikrofon prezesowi Coopermanowi, by mógł powiedzieć o tym kilka słów.

Cofnął się, jak artysta zaraz po świetnym wykonaniu roli.

Cooperman przemawiał przez dobre piętnaście minut, dając lekcję historii brzmiącą jak kazanie. Kiedy skończył, jeden z pomocników Poego podszedł do mikrofonu i zaprosił przedstawicieli prasy do przyległego pokoju przyjęć, ucinając tym dalszą dyskusję.

Gdy dziennikarze przemieszczali się w kierunku drzwi, Poe odciągnął Matthiasa i Diandrę na bok.

- Co o tym myślicie? - zapytał.

- Pokaz siły, Peter - chłodno oceniła Diandra. - Zresztą nie spodziewałam się niczego innego.

- Nie chciałbym, by zabrzmiało to impertynencko - powiedział Matthias tonem, który tak właśnie brzmiał - ale minął się pan kilka razy z prawdą.

- Umiejętność sprzedania towaru, po prostu, Matt. Tak nazywa się ta gra.

- Ale dlaczego nie możemy zdradzić wysokości wieżowca? To przecież istota rzeczy.

- Wszystko w swoim czasie. Zrobimy to krok za krokiem. - Spojrzał na olbrzymi, błyszczący zegarek. - Muszę wracać do biura. Spotkać się z pewnymi ludźmi. Może odwiózłbyś Diandrę do domu? Dołączę do was później. Prawdopodobnie wieczorem, po kolacji.

- Pójdę raczej zobaczyć się z ojcem - odrzekł Matthias. - Boję się, że spotkanie to było dla niego wyczerpujące.

- Polecę Lenny Krasowskiemu, by odwiózł go do domu limuzyną. Będzie mu wygodnie. Wyglądał, jakby chciał uciąć sobie drzemkę.

W salonie Poego Diandra poczęstowała Matthiasa drinkiem. Sobie przyrządziła także i usadowiła się w pewnej odległości na kanapie stojącej tyłem do okien, twarz jej pogrążona była w cieniu. Trudno byłoby mu

powiedzieć, co też sobie teraz myślała.

Spojrzał na zegarek, staromodny, sportowy czasomierz, który był w jego rodzinie od 1940 roku. - Jest dziesięć po trzeciej. Twój mąż obiecał dołączyć do nas nie wcześniej niż po kolacji.

- Nareszcie to do ciebie dotarło, Matthias?

Poczuł, że się czerwieni. - A co chciałabyś robić? Pójść na spacer? A potem może zjemy gdzieś obiad?

- Matt, czy zdajesz sobie sprawę, dlaczego on nakłonił nas do przyjścia tutaj, dlaczego zostawia nas razem na tak długo. On chce tego przekłętego obrazu, jego trofeum - mojego portretu.

- W niedzielę?

- Wolałbyś raczej pójść do kościoła?

- Skąd ta jego obsesja posiadania tego portretu?

- To nie to. Zależy mu raczej na tym, aby nakłonić nas do zrobienia tego. To jego sposób, aby nałożyć na nas swoje piętno, tak jakby już tego nie zrobił.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co sądzisz o moim projekcie.

- Nie jestem jeszcze pewna mojej opinii. Nie jest piękny, przynajmniej nie tak, jak twoje inne dzieło, myślę o wieżowcu Halsmana. Nie jest także groteskowy. Właściwie chcę ci powiedzieć, że nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego. Jest taki inny, taki olbrzymi. Jeżeli będzie zbudowany, jeżeli zdobędzie się na jego budowę pieniądze, to zmieni on nasze miasto. Będą wszystkie inne budynki i będzie właśnie ten. - Skrzyżowała nogi, odchylając się ku tyłowi. - To jest to, czego on zawsze pragnął. Muszę ci powiedzieć, Matthias, że odniosłeś błyskotliwy sukces.

- Jutro usłyszymy pewnie głosy krytyczne.

- Nie przejmuj się nimi. Peter na pewno nie będzie się nimi martwił.

Minęło kilka minut.

- Diandro, czy chcesz to zrobić?

- Pozować ci nago, do portretu? Nie, nieszczególnie. Ale nie mam nic przeciwko temu. A ty?

- Chcę cię malować. Bardzo tego pragnę.

Diandra wstała. - Przygotował nam pokój do tego celu. Czyż to nie uroczko z jego strony?

Podążył za nią do windy. Stali blisko siebie, nie dotykając się, podczas gdy winda unosiła ich na trzecie piętro. Przyglądał się jej skórze, rozmyślając, czy będzie w stanie oddać jej miękkość i przejrzystość. Szukał śladów niedoskonałości, znajdując jedynie kilka białych, niewielkich piegów. Jej ręce zaczęły zdradzać wiek. Nie zauważył tego nawet.

Drzwi otworzyły się. Poprowadziła go wzdłuż wyłożonego dywanem hallu przez liczne drzwi do narożnego pokoju na końcu. Jego okna wychodziły na północ i wschód. Większość mebli usunięto, oprócz dwóch krzeseł, pluszowej, staromodnej kanapy oraz sztalug i stołu do pracy, pokrytego niezbędnymi przyborami do malowania, włączając w to duże, drewniane pudełko wypełnione tubami olejnej farby. W pokoju umieszczono ponadto trzy stojące lampy, co nasuwało przypuszczenie, że można tu pracować także nocą.

Na sztalugach umocowane było olbrzymie płótno, rozmiaru cztery na sześć stóp. Matthias zauważył czerwoną draperie rozwieszoną na ścianie za kanapą.

- Wygląda na to, że już zaplanował ten cały cholerny obraz.
- On zawsze tak wszystko załatwia. Możesz przecież pracować na zamówienie, prawda? Zrobiłeś to samo z wieżowcem.
- To nie jest to samo.
- Nie zamierzam się przed tobą rozbierać, Matthias. Przepraszam cię na moment.

Powoli, spacerowym krokiem opuściła pokój. Matthias przyjrzał się przyborom do malowania, które Poe tu zgromadził. Więcej niż kompletny sprzęt malarski. Były tam setki tubek z farbami olejnymi, trzy różne palety, oraz tuzin lub nawet więcej pędzli. Wybrał jeden z nich i pomacał palcami. Musiał kosztować dwadzieścia lub trzydzieści dolarów. Paleta zaś była olbrzymia, z zaokrąglonymi brzegami. Pomyślał, że mógłby utrzymać ją całkiem wygodnie w lewej ręce, mimo oparzeń i bandaży.

Chciał namalować ją w pozycji leżącej. Była piękną kobietą i Poe pragnąłby, by była pięknie namalowana. Jeszcze na zajęciach w Akademii Sztuki w Filadelfii Matthias nauczył się, że modelki, które muszą stać przez dłuższy okres czasu mają tendencję do osuwania się. Te natomiast, które pozują w pozycji siedzącej, nadmiernie się rozluźniają - ich piersi wiotczeją,

nawet płaskie brzuchy troszeczkę się uwypuklają.

- Jestem gotowa, Matthias.

Diandra weszła do pokoju mając na sobie jedynie jasnoniebieski, jedwabny szlafrok i nic poza tym. Podeszła do krzesła, wyslizgnęła się ze szlafroka i przewiesiła go na oparciu krzesła.

- Połóż się - powiedział. - To będzie akt w pozycji półleżącej. Tak będzie ci łatwiej.

Usiadła ostrożnie na brzegu kanapy, a następnie, w jednym, pełnym gracji ruchu, odchyliła się ku tyłowi, przyjmując doskonałą pozę.

- Czy powinnam być bardziej przyzwoita? - zapytała. - Gdzie mam ułożyć ręce?

Podpierała się na jednym łokciu. Druga dłoń spoczywała na krzywiźnie biodra. Jej owłosienie łonowe było wyraźnie widoczne.

- Jest dobrze, tak jak teraz. Skromność powinna malować się raczej na twojej twarzy.

- Chcesz, abym była skromna?

- Tak. To będzie Dürer, a nie Goltzius.

- Goltzius.

- Był mistrzem holenderskim. Goltzius stał się bardziej sławny, jako twórca bachanaliów, Dürer zaś poszukiwał wzniosłości. Jedną z jego modelek była prawdopodobnie najbardziej bezwstydną dziewczyną w Amsterdamie. Czasami spacerowała nago po ulicach - w siedemnastym wieku. Ale na obrazach Durera była wręcz majestatyczna.

- W porządku. Niech będzie wzniosłość.

- Nie rób nic na siłę. Po prostu się odpręż.

Zgodnie ze swoim zwyczajem, rozpoczął od surowego szkicu, dobierając właściwe proporcje i perspektywę. Nauczył się tego studiując prace Thomasa Easkinsa. Dopiero potem koncentrował się na szczegółach twarzy, sylwetkę modelki malując na końcu, tak aby ciało odzwierciedlało nastrój, który odnalazł w twarzy.

Szkicował, wymazywał, i szkicował ponownie przez prawie godzinę, a w końcu wymazał wszystko, co narysował.

- Co się dzieje?

- Nie mogę zrobić tego tak, jak trzeba - odpowiedział. - Ta twoja twarz.

Wszystko, co widzę, to twoje oczy. Wpatrujesz się we mnie.

- Czy nie powinnam? Czy nie powinnam spoglądać z portretu?
- Tak, ale

Odłożył ołówek. Jej oczy były nadal w nim utkwione. Gdy tak stał w miejscu, podniosła się i wolno zbliżyła do niego. Pomyślał, że zamierza obejrzeć wstępny szkic na płótnie, ale zignorowała go zupełnie.

- Myślę - powiedziała - że powinniśmy poddać się temu, co nieuniknione.

Stała tuż przed nim. Przeniósł wzrok z jej twarzy na małe, krągłe piersi. Brodawki sterczały wyprostowane.

Diandra przysunęła się bliżej i pocałowała go, najpierw miękko, potem coraz zarliwiej. Objął ją ramionami. Przymknął oczy, czując oszołomienie, roztrzęsienie, mrowienie w całym ciele i jeszcze coś więcej.

Oderwała usta od jego ust. Cofnęła się o krok, trzymając obie jego ręce w swoich dłoniach.

- Jest ci bardzo ciepło - powiedziała.
- Tak.
- Zdejmij więc ubranie, Matthias, i chodź na kanapę.

Kiedy było po wszystkim, leżeli patrząc na siebie, z ramionami oplecionymi wokół swoich ciał, każde z nich doskonale uspokojone. W końcu wyciągnął rękę i pogłaskał jej twarz oraz włosy. To było coś więcej, niż ich pierwsze spotkanie, coś więcej niż uprawianie miłości. Zdał sobie sprawę, że to, co łączyło go z Sally, z Marie-Claire we Francji, ze wszystkimi innymi kobietami, minęło bezpowrotnie. Wiedział o tym od pierwszej chwili, gdy na nią spojrział, ale ona uosabiała sobą wtedy jedynie niemożliwość. A teraz była tu naga, obok niego. Cała jego.

- Czekam, by ziemia się rozstąpiła i płomień piekielny nas pochłonie - powiedział.

- Nie myślałeś raczej o niebiosach, Matthias? Ja tak. Myślałam, że byłam tak daleka od śmierci, jak nigdy. - Ucałowała jego rękę.

- A teraz? - zapytał.

- Teraz powinniśmy zabrać się do malowania - odpowiedziała, odsuwając się lekko od niego. - Światło się zmieniło. Robi się późno.

Matthias usiadł. - To zabierze nam wiele godzin.

Jego ubranie było w nieładzie. Zaczął je sortować.

- Co by było, gdyby Peter wszedł tutaj? - zapytał wciągając spodnie.
- Nie sądzę, by to zrobił. Myślę, że nie zamierza nas niepokoić do czasu, aż obraz będzie gotowy.
- Ale czy on nie...?
- Peter Poe bierze pod uwagę wszystkie możliwości. Jestem pewna, że rozważał i to.
- Nie rozumiem.

Jej jedyną odpowiedzią było przyjęcie pozy.

Matthias pracował bez przerwy. Z łatwością przychodziło mu naszkicowanie pierwszych linii. W ciągu kilku minut Diandra na kanapie przeistaczała się w Diandrę na płótnie.

- Czy teraz idzie ci lepiej? - zagadnęła.
- Zdecydowanie.
- Co widzisz na mojej twarzy?
- Coś wzniosłego.
- Co?
- Jestem zbyt zażenowany, by to wyznać.
- Nie możesz czuć się zażenowany przy mnie, Matt. Nigdy więcej. Powiedz mi.

- Widzę miłość.

Uśmiechnęła się.

- Peter będzie zachwycony - powiedziała. - Będzie mu się podobało, że patrzę na niego w ten właśnie sposób.

Zany spędził większość dnia na wędkowaniu z kilkoma kumplami na łodzi przyjaciela. Sprawa zbrodni w Grand Pier osiągnęła punkt zerowy, a George Hejmal wziął sobie w końcu wolny dzień, by móc do nich dołączyć. Wszystko, co mógł powiedzieć Zany'emu o sprawie Langley, to to, że policja stanowa przejęła w pełni śledztwo, ale nie uczyniła żadnego postępu. Curland przyjechał i zabrał swoją łódkę, żeglując na niej sam w drodze powrotnej, mimo wietrznej pogody. Nie wstąpił do Zany'ego.

Opalili się i wypili za dużo piwa, ale Zany bawił się dobrze. Jego połów

składał się z czterech niewielkich okoni oraz niewymiarowego łososa. Wyrzuciłby je wszystkie, ale chciał po powrocie do domu udowodnić Judy, że nie przebywał nie wiadomo gdzie, odgrywając ponownie policjanta.

Spojrzała na niego, jakby go rzeczywiście o to podejrzewała.

- Miałeś znowu telefon z Chicago - powiedziała. - Od kobiety.

- Jakiej kobiety?

- Nie przedstawiła się. Nie była zbyt sympatyczna. Powiedziała, że powinieneś zwrócić obrazy.

Zany'ego zmroziło. - Nie mogę zwrócić obrazu. Ukradziono mi go.

- Nie powiedziała „obraz”. Powiedziała „obrazy”. Użyła liczby mnogiej. O co, do cholery, w tym wszystkim chodzi?

Wzruszył ramionami. - Niech się ode mnie odczepią. Nie mam żadnych obrazów. Nie zostawiła nazwiska, ani numeru telefonu?

- Nie.

- Czy nie mówiła, że jeszcze zadzwoni?

- Nie. Po prostu prosiła, by ci przekazać, że popełniłeś pomyłkę. Dużą pomyłkę.

ROZDZIAŁ

19

Zamierzenie Poego stało się hitem. Doniesienia i komentarze o projekcie ukazywały się przez cały tydzień, jak to ktoś ocenił, reakcja ta mogła być uznana za duży aplauz. Było kilka drobnych zastrzeżeń, dotyczących głównie braku szczegółów projektu. Komentatorzy stacji CBS prześcigali się w kpinach na temat budowli, która będzie tak wielka, jak ego Poego, ale on sam był raczej z tego zadowolony.

Mniej zadowolony był z opinii recenzenta działu architektury z *Tribune*, który zachwalał projekt, ale twierdził, iż pogłoski o tym, że Poe planował stworzenie budynku tak ogromnych rozmiarów, by pretendował do miana najwyższego wieżowca w Chicago, były nieprawdziwe. Zgodnie z jego opinią, byłby to zamysł problematyczny i ekstrawagancko rozrzutny w czasach, gdy agencje handlu nieruchomościami miały kłopoty finansowe z powodu recesji i nadmiernego rozwoju budownictwa w przeszłości.

Poe spodziewał się raczej rzeczywiście przykrych ataków i niejednoznaczna oraz wyważona krytyka recenzenta działu architektury wydawała mu się najgorsza, jaką mógłby uzyskać. Poe najbardziej obawiał się kolegów redakcyjnych dwóch gazet i wytrwale zabiegał o ich przychylność. Ale obie z końcem tygodnia poparły projekt, kupując jego argumenty w całej rozciągłości.

Dlaczego nie? To była przecież ekscytująca, nowa budowla dla Chicago. Ogromnie zwiększyłaby przecież wpływy z podatków do kasy miasta i przyczyniłaby się do całkowitej cywilizacji dzielnicy Near North Side. Włączenie do projektu obszaru parkowego i kompleksu muzeów spotkało się z olbrzymim aplauzem - szczególnie dotyczyło to Muzeum Holocaustu.

Był przekonany, że nigdy nie poparliby jego prawdziwych planów, ale z

pewnością by ich zmiękczył. Cokolwiek by mogli ewentualnie myśleć o jego usiłowaniach umiejscowienia tego projektu nad jeziorem - to przynajmniej wiadomo, że teraz powiedzą, iż jest to cudowny budynek.

Nie docenił jednak problemu rasowego. Lokalne ugrupowania obrony praw obywatelskich, o których Poe nigdy nie słyszał i które prawdopodobnie powstały dla tego szczególnego celu, wniosły zastrzeżenia do jego projektu. Nazwały wieżowiec „monstrum białego człowieka”, który zaatakował afrykańsko-amerykańską społeczność, usuwając czarnych z Near North Side. Grupa ta uważała, że skoro ma się w nim mieścić Muzeum Holocaustu, to powinien stanąć w sąsiedztwie Żydów. Kilku protestujących zorganizowało demonstrację przed budynkiem Poego w Alei Michigan, lecz media ją zignorowały. Poe był tym zirytowany. Wydał mnóstwo pieniędzy, pomagając miastu w przeniesieniu pozostałych mieszkańców z Cabrini Green i mógł bez przesady powiedzieć, że każdy z nich ma teraz lepsze warunki. Przesłał notatki na ten temat do Coopermana i Matthiasa - wraz z kopiami dla prasy - mówiące o tym, że kolekcja afrykańsko-amerykańską będzie oczywiście włączona do kompleksu muzeów etnicznych. Ogłosi to na swojej następnej konferencji prasowej, gdy tylko protestujący odejdą. Nie chciał, by wyglądało, iż ulega naciskowi. Obiecał sobie jednak, że wśród pierwszych muzeów na pewno nie będzie kolekcji afrykańsko-amerykańskiej.

W każdym razie był gotowy do swojego następnego, wielkiego kroku - audiencji u burmistrza miasta, na którą szybko został zaproszony.

Burmistrz był trochę zawiedziony, że Poe nie przyszedł do niego przed konferencją prasową. Wydawał się jednak usatysfakcjonowany jego prośbami i zaproszeniem, by stał przy nim w chwili odsłonięcia modelu projektu i ujawnienia jego właściwych rozmiarów. Poe powiedział mu, że planuje zrobić to już wkrótce, lecz z radością odłoży tę konferencję, gdyby burmistrz akurat wyjechał na urlop, lub pojawiły się inne powody zwłoki.

Poe przyprowadził ze sobą do biura burmistrza Yeatsa, Aarona Coopermana i Matthiasa. Okazało się, że to właśnie Curland zadał ostateczny cios. Pokazał burmistrzowi serię powiększonych fotografii drapaczy chmur z innych miast - Nowy Jork z jego wyjątkowymi, bliźniaczymi wieżowcami World Trade Center; San Francisco i jego Transamerican Pyramid oraz most Golden Gate; Sydney w Australii z egzotycznym gmachem opery patrzącym

na port; Londyn z katedrą Świętego Pawła i gmachem parlamentu; Paryż z wieżą Eiffla.

Już miał zamiar wspomnieć o obwodzie Columbia i monumencie Waszyngtona, lecz burmistrz skinął ręką.

- Mam pomysł - powiedział.

- Chicago posiada kilka charakterystycznych struktur architektonicznych - wtrącił Matthias. - Oprócz tych trzech wielkich budynków, które nie wyróżniają się niczym szczególnym poza wysokością, mamy Water Tower, gmach Wrigleya, Tribune Tower, pomnik Picassa przy Centrum Administracyjnym Daleya. Ale one wszystkie są raczej niewysokie i tworzą ogólną panoramę miasta. Nie chciałbym choć przez chwilę pomniejszyć ich znaczenia, ale jeśli patrzy się na miasto z pewnego dystansu, nie są one szczególnie widoczne - nie tak jak gmach opery w Sydney, nie tak jak World Trade Center, nie tak jak...

- Wieża Eiffla - wpadł mu w słowo burmistrz. - Czy można ocenić przybliżoną wartość tego przedsięwzięcia?

Członek Izby Handlowej, który także towarzyszył Poemu, szybko podał odpowiednią liczbę.

- Na jakie strefy podzielone jest miasto? - zapytał burmistrz.

- Na mieszkaniową i handlową, a także na strefę wysokiej zabudowy - powiedział jeden z jego doradców.

- To jest pierwsza sprawa, którą sprawdziłem przed rozpoczęciem tego projektu, panie burmistrzu - powiedział Poe. - Nigdy nie przystępowałem do realizacji moich inicjatyw niezgodnie z prawem.

Burmistrz patrzył na niego tym swoim przenikliwym spojrzeniem, a następnie pojawił się na jego twarzy mały uśmieszek. - Czy pan rzeczywiście planuje postawienie najwyższego na świecie wieżowca?

- Bardzo bym chciał. Oczywiście, o ile uzyskam aprobatę Agencji Kontroli Ruchu Powietrznego i zdobędę wystarczające fundusze. Duże pieniądze otrzymam z Japonii. Czy pan się na to zgadza?

- Nie mam nic przeciwko temu, by Japończycy wydawali pieniądze w Chicago. A czy przewidział pan w swoich planach miejsce dla Muzeum Irlandzkiego?

- Oczywiście. Nie znam ludzi, którzy zrobiliby więcej dla naszego

miasta. Mam zamiar stworzyć także Polskie Muzeum. Nie wiem, czy już panu wspomniałem, że jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia. Urodziłem się tutaj, dorastałem w okręgu kongresmana Rostenkowskiego. Mój ojciec pracował w sztabie wyborczym. - To ostatnie było niewielkim kłamstwem, ale nie sądził, by burmistrzowi chciało się to sprawdzać.

Burmistrz uniósł do góry obraz Matthiasa, przedstawiający projekt wieżowca widziany z jeziora.

- Żaglówka - wymamrotał, ale nie pejoratywnie.

- Cóż mogłoby stanowić lepszy symbol Królewskiego Miasta Wielkich Jezior, panie burmistrzu? - odezwał się Yeats.

- Muzea i nabycie otaczających budowlę terenów parkowych wymagają zgody Rady Miejskiej - powiedział Poe - i oczywiście pańskiej zgody. Będziemy potrzebowali upoważnienia do wystawienia umowy i miasto będzie musiało pobierać dwadzieścia pięć procent podatku hotelowego. Ustawa w tej sprawie właśnie została zatwierdzona. Pokornie proszę o rozważenie tej sprawy.

W tym „pokornie” było trochę przesady. Poe żałował, że powiedział to, tak jak jakiś płaszczący się poszukiwacz pracy biurowej. Mógłby stracić szacunek burmistrza, gdyby utrzymywał nadal ten ton.

- Nie ma problemu. Potrzebny nam jest przecież wyższy podatek hotelowy. - Burmistrz odłożył obraz i zaciął usta. - Nie sądzę, bym się temu sprzeciwił. Ale życzę sobie, by każdy dalszy krok był konsultowany z moim biurem.

- Oczywiście, panie burmistrzu. Bill Yeats będzie moim łącznikiem. Myślę, że zna pan jego wujka, sędziego Sądu Najwyższego, Yeatsa?

- Fajny gość. Zasłużył na wdzięczność miasta. Proszę mi dać znać, kiedy będzie gotowy model w skali. Tylko zróbcie to szybko. Mam zamiar spędzić w sierpniu dużo czasu na półwyspie, na jeziorze Michigan. Trochę sobie powędkuję. Ale najpierw zajmijmy się tym projektem.

- Dziękuję panu, panie burmistrzu. Sądzę, że pracujemy nad dużą sprawą dla naszego miasta.

Powstał. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie. Poe nie zapytał o pozwolenie na budowę. Przypuszczał, że nikt nie będzie zadawał pytań. Ludzie, którzy postawili gmach Pierwszego Banku Narodowego w czasach burmistrza

Deleya rozpoczęli budowę w ogóle nie pytając nikogo o zdanie. Bankierzy to aroganccy faceci.

Następnym krokiem była wizyta w Wydziale Finansowym Rady Miejskiej. Zaświadczenie, którego Poe potrzebował było raczej proste. Autoryzowało ono wystawienie umowy oraz podatek dla muzeów i upoważniała Wydział Zieleni Miejskiej do ich ustanowienia. Mając poparcie burmistrza oraz kupionych i opłacanych członków komitetu, inicjatywa ta nie napotka zdecydowanego oporu - chyba że komuś będzie się chciało przeczytać to, co jest napisane drobnym drukiem. Pomiedzy klauzulami ukryta była pojedyncza linijka: „Wydział Zieleni Miejskiej w Chicago jest upoważniony do wydawania zezwoleń na prywatną zabudowę komercyjną na terenach będących własnością Wydziału, dla ułatwienia budowy oraz utrzymania nie przynoszących dochodów instytucji kulturalnych”.

Poe wyjaśnił głównemu doradcy prawnemu burmistrza, że taki właśnie język był konieczny, ponieważ muzea należałyby do Wydziału Zieleni Miejskiej, ale zajmowałyby tereny prywatne. A także dlatego, że obszary parku, na które uzyskałby pozwolenie Poe, przeznaczone by były na podziemne parkingi, niezbędne przy tak dużym budynku. Cooperman, który nie był prawnikiem, zgodził się z tym.

Klauzula ta stwarzała, oczywiście, niezwykle precedens w Chicago, zezwalając na prywatne budowy w obrębie terenów parkowych. Ponadto, ponieważ sformułowania były raczej ogólne i nie dotyczyły specjalnie Cabrini Green, upoważniało to Wydział Zieleni Miejskiej do wydawania zezwoleń na komercyjną budowę w każdym parku w mieście, pod warunkiem, że budowa ta będzie obejmowała instytucje kulturalne.

Gdyby Poe chciał umiejscowić swój budynek w samym środku Parku Lincoln czy Granta, wszystko, co byłoby do tego niezbędne, to zwykła większość w głosowaniu Rady Wydziału Zieleni.

Nikt jeszcze tego nie zauważył, ani nie zakwestionował, lecz Poe bał się, że kilku prawników z ugrupowania Przyjaciół Zieleni czy im podobnych, mogłoby coś wywęszyć. Szczególnie obawiał się dziennikarzy politycznych i felietonistów, którzy w przeszłości wykazali wiele sprytu w wynajdywaniu spraw ukrytych w zwykłych ustawach.

Larry i Curly nie przegapili szansy. Zamiast umieścić proponowane za-

zarządzenie jako odrębny punkt porządku dziennego spotkania komisji, tak aby było ono wyjaśniane i dyskutowane oddzielnie, wstawili go na długą listę pozornie rutynowych spraw, które były zwykle aprobowane w jednym głosowaniu. Każdy z członków komisji mógł oczywiście prosić o wyjaśnienie zarządzenia i zażądać oddzielnego głosowania. W komitecie zasiadała pewna niezależna, liberalna radna, która mogłaby tak właśnie postąpić, ale na szczęście przebywała teraz na wakacjach we Francji i nie mogła wziąć udziału w spotkaniu.

Zarządzenie zostało zatem zaakceptowane bez mrugnięcia okiem.

Poe trzymał się z daleka od posiedzenia komisji, pragnąc, by nikt nie zauważył, jak bardzo zainteresowany jest tą małą klauzulą, ale zaraz potem spotkał się z Larrym, Curlym i Moem w Urzędzie Miejskim, w biurze Larry'ego.

- Chłopcy, byliście wspaniali - pochwalił ich Poe.

Przyprowadził ze sobą Yeatsa, jego „skarbnika” dla radnych.

- Robienie z tobą interesów, to sama przyjemność.

- Kiedy dojdzie do głosowania tego rozporządzenia przez całą radę?

- Z technicznego punktu widzenia - odpowiedział Larry - za pięć dni.

Ale nie wiem, czy wtedy będziemy mogli mieć quorum. Wiecie sami, to jest środek pieprzonego lata.

- Musicie do tego doprowadzić. Nie obchodzi mnie, czy będziecie musieli ściągać tych ludzi znad jezior w stanie Wisconsin czy też z plaży, ale musimy mieć ich tutaj. Burmistrz sobie tego życzy. Chcę, aby wszystko zostało zakończone, zanim wyjedzie na urlop. Wszyscy powinni o tym wiedzieć.

- Ale jest coś, o czym powinniśmy być poinformowani. Kiedy my...

- Pan Yeats się tym zajmie. Tak jak obiecałem. Ale nie wcześniej niż uzyskam głasy całej rady.

W końcu, po siedmiu dniach odbyło się spotkanie Rady Miejskiej, na którym wspomniane zarządzenie przeszło zdecydowaną większością głosów 39 do 0, z jednym głosem wstrzymującym się. Wstrzymał się od głosu czarny radny, który w swoim długim przemówieniu porównał wysiedlanych Afrykano-Amerykanów do Izraelitów w Biblii. Adresował je głównie do swoich wyborców i po jego wygłoszeniu usatysfakcjonowany usiadł, nie

drążąc głębiej tego tematu.

Gdyby do tego czasu powróciła niezależna radna, to i tak niczego nie mogłaby dokonać, nawet po dokładnym przestudiowaniu zarządzenia.

To było genialne posunięcie, decydowanie się na przeprowadzenie całej tej sprawy w samym środku lata.

- Nalej sobie drinka, Bill - powiedział Poe do Yeatsa, gdy gospodyni wprowadziła prawnika do jego gabinetu kilka dni później. - Dzięki za przybycie.

- Potrzebowałeś mnie, Peter, i dlatego jestem.

- Myślałem, że może wybrałeś się na żagle.

- Koniec z żeglowaniem tego lata - odrzekł Yeats, nalewając sobie szkockiej whisky do szklanki. Dodał lodu i odwrócił się do Poego, spoglądając na niego żałośnie., - Obrzucono mnie ponurymi spojrzeniami, gdy wszedłem do Yacht Klubu. Komandor zbiera podpisy, by mnie wyrzucić.

- Bardzo mi przykro.

- Wygrałeś regaty, prawda? To tylko się liczy. Kłopot w tym, że wygrałbyś je niezależnie od tego, co ja zrobiłem. Niepotrzebnie naraziłem się na gniew moich przyjaciół żeglarzy.

- Powinienem mieć więcej zaufania do Curlanda. Okazał się być cholernie dobrym żeglarzem. Najlepszym. W każdym razie zawsze możesz wstąpić do innego Yacht Klubu.

- Gdzie? W Grand Pier, w stanie Michigan?

Poe badawczo wpatrywał się w Yeatsa, nie zwracając uwagi na obawę widoczną w jego spojrzeniu. - Dlaczego to mówisz, Bill?

- Dlatego, że prawdopodobnie wyląduję z łoskotem w tym zrujnowanym Yacht Klubie po tym, co się stało z moją reputacją.

- Nie przejmuj się tym. Gdy skończę z moim projektem, stworzę mój własny klub, właśnie tutaj, w Chicago.

- A gdzie go zlokalizujesz?

- Wiesz przecież doskonale, gdzie. A teraz zajmijmy się interesami. Chcę ustalić małą strategię działania. A konkretnie, czy najpierw powinienem doprowadzić do głosowania nad projektem w Wydziale Zieleni Miejs-

skiej, tak jak to był z Cabrini Green? Uzyskać ich zgodę na piśmie? Czy też poczekać, aż miasto zamknie Meigs Field i uczynić to wszystko jednym trzaśnięciem bata?

Yeats pochylił się wygodnie w fotelu, strzepując pyłki kurzu ze swoich wypolerowanych butów. - A gdzie jest Diandra?

- A co cię obchodzi, gdzie ona jest? Nie martw się o nią, Diandra jest zajęta na górze. Curland maluje jej portret.

- Czy nie powinien raczej pracować nad planami twojego wieżowca?

- Tamto może poczekać kilka tygodni. A to jest moim specjalnym zamówieniem - wielki akt do salonu.

Yeats wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami, jakby był katolickim księdzem, któremu właśnie przed chwilą coś takiego oznajmiono. - To znaczy, że ona jest z nim tam na górze zupełnie rozebrana?

- Nie ma się czym tak przejmować. Oboje są jakby mi poślubieni, nieprawdaż? Wszystko będzie lepiej, jeśli on będzie zadowolony. Potrzebujemy wszystkich Curlandów do mojego przedsięwzięcia. Więc co sądzisz? Czy już teraz powinienem przeprowadzić głosowanie nad projektem.

Yeats sączył powoli drinka, a następnie bawił się obracaniem kostek lodu w szklance przez denerwująco długi czas. - Nie robiłbym tego, Peter. Oni są teraz ostatecznym autorytetem dzięki zarządzeniu, które właśnie zatwierdzono. Jeśli teraz nakłonisz ich do głosowania, a potem powrócisz do nich z wszystkimi tymi interesującymi zmianami, które zamierzasz wprowadzić, niektórzy mogliby poczuć się zdradzeni - zwłaszcza Cooperman.

- On będzie głosował za wszystkim, byleby tylko powstało Muzeum Holocaustu.

- Może tak. A może nie. Nie ma powodu, by wyzywać los. Nawet z jego głosem mógłbyś znaleźć się nad przepaścią. Nie, Peter. Zrobiłbym to raczej w jednym rzucie. W międzyczasie zaś, możesz trzymać się z tyłu i udzielać poparcia budowie.

- Nigdy nie doszedłbym do niczego w życiu, trzymając się z tyłu, Williamie.

- Prosiłeś mnie o radę. To jest to, za co mi płacisz.

- To prawda. I sądzę, że moje pieniądze mają odpowiednią wartość, myślę bowiem, że chyba masz rację. Wszystko zależy od Coopermana.

Jeżeli uzyskamy zaprotokołowaną zgodę Rady Wydziału Zieleni, a potem zmienimy kurs, będzie się czuł oszukany. A my chcemy, by był tylko rozczarowany - skruszony - gdy okaże się, że taki wieżowiec nie może stanąć na Cabrini Green, że nie możemy uzyskać wsparcia finansowego na tak duże przedsięwzięcie. A więc, jeżeli on chce dostać swoje Muzeum Holocaustu, musi być ono przeniesione gdzie indziej.

- To prawda.

- Ale nie możemy siedzieć i czekać. Musimy wykorzystać całą tę energię, cały entuzjazm. Nie chcę tego roztrwonić, musimy utrzymywać ten nastrój do czasu, aż miasto ogłosi, że zamierza zamknąć Meigs Field.

- Och, Peter. Nie jestem taki pewien, że do tego dojdzie.

Wydawało mu się, iż czas się zatrzymał. Bomba, która zniszczyła jego łódź nie mogła wstrząsnąć nim bardziej niż to co usłyszał. - Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, że nie jestem pewien, czy Meigs Field będzie zamknięte.

- O czym ty mówisz? To właśnie jest istota tego interesu! Kiedy skończą budowę nowego lotniska na południu, Midway i Meigs są skończone. Liczyliśmy na to, odkąd zaczęliśmy całą tę sprawę.

- Midway jest skończone, to pewne. Ale co do Meigs, to nie jestem pewien. Wielu biznesmenów i polityków korzysta z tego lotniska. Potrzebne jest miejsce na komunikację powietrzną. Wiele, wiele powodów przemawia za tym, by pozostało otwarte.

- Ale usiłuje się je zamknąć od lat. Już kilka razy do tego doszło. Jak to się stało, że moi ludzie w Radzie Miejskiej nic mi o tym nie powiedzieli?

- Prawdopodobnie o tym nie wiedzą. Moje źródło informacji jest w biurze burmistrza.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Wczoraj.

Turkusowe oczy Poego pociemniały z gniewu i złości. Jego głos obniżył się. - Dlaczego dopiero teraz o tym słyszę?

- Byłeś w takim dobrym nastroju. Nie chciałem ci go zepsuć.

- Mam gdzieś dobry nastrój! Powinieneś mnie natychmiast zawiadomić.

- To nie jest jeszcze wyryte na kamieniu, Peter. To jest tylko możliwość. Coś, o czym powinno się pomyśleć.

- Do cholery, Bill. Mój wieżowiec musi stanąć w Meigs. Nie ma dla niego innego miejsca.

- To są przedmieścia.

- Pieprz przedmieścia! To jest dla Chicago. Musimy coś zrobić. Czy możemy kogoś przekupić?

- Możesz przekupić niemal wszystkich, ale nie burmistrza. A poza tym kończy ci się już ten zielony towar. Musiałem opłacić naszych przyjaciół radnych z mojego konta. Nie dostaniesz ani centa od Inland Empire i Japończyków, zanim nie będziesz miał na piśmie oficjalnej zgody na rozpoczęcie budowy.

- Gówno. Gówno do kwadratu.

- Popracuję nad tym, Peter.

- Zrób to. - Poe rzucił okiem na obramowanie kominka. Stał tam zmniejszonych rozmiarów model jednego z jego helikopterów - wielki, powlekany złotem, wyglądał jak trofeum.

- Właśnie wpadłem na pewien pomysł.

- Masz nowe pomysły co pięć minut.

- To jest dobry pomysł. Moglibyśmy mieć lądowisko dla helikopterów w pobliżu budynku. Spełniałoby ono pomocnicze funkcje komunikacyjne w powiązaniu z wielkimi lotniskami. W ciepłe dni wchodziłyby w grę nawet hydroplany. Rozwiązałyby to komunikację lotniczą dla biznesmenów. Prawda? Co o tym myślisz?

Yeats wzruszył ramionami. - Porozmawiaj o tym z twoim architektem.

- Nie bądź głupi. Dziwiłby się, w jaki sposób hydroplany mogą latać na Cabrini Green. Byłby ciekaw, co do diabła miałem na myśli i dlaczego.

- Będzie się musiał dowiedzieć wcześniej czy później.

- Zrobmy to tak, by nastąpiło to raczej później. Idź już, Bill. Chcę, żebyś się już tym zajął.

Gdy Yeats wyszedł, Poe zdał sobie sprawę, jak bardzo był wstrząśnięty. Ręce nadal mu drżały. Musiał koniecznie coś zrobić, gdzieś pójść, wyjść z tego pokoju, wyjść z domu. Zadzwoił na górę do Diandry, zauważając, jak nieskończenie długo to trwało, zanim odpowiedziała na telefon.

- Czy skończyliście już na dzisiaj? - zapytał, mając nadzieję, iż zabrzmiało to spokojnie.

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała. - Jeżeli sobie tego życzysz, Peter.

- Nie, w porządku. Bawcie się dobrze. Wychodzę na chwilę. Muszę pomówić z kimś o projekcie, prawdopodobnie wrócę późno.

- Zdążysz na kolację?

- Nie sądzę. Jak długo jeszcze Curland zamierza pracować nad portretem?

- Dlaczego nie zapytasz jego o to. Stoi obok mnie.

Poe w to nie wątpił. - No dobrze. Może oczywiście pracować tak długo, jak tylko chce. Do zobaczenia później. Nie czekaj na mnie. Pa, dziecino!

Wybrał teraz swoją zewnętrzną linię, naciskając guzik, który automatycznie łączył go z Mango. Jej głos brzmiał sennie. O której położyła się spać poprzedniej nocy?

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - Mam wielki problem. Jadę do mojego hotelu w Alei Michigan. Spotkamy się w apartamencie na ostatnim piętrze i nie pozwól, aby twoja wspaniała dupcia porosła mchem, zanim tam dotrzesz.

- Czy chcesz rozmawiać, czy też...

- Bądź tam.

Nie trwało to długo, zanim dotarła do hotelu, a on już kończył dużą szklankę whisky. Spojrzała na niego początkowo ze zrozumieniem, a potem przybrała swoją zwykłą pozę. - Wielki problem, powiedziałeś.

- Taak.

- Czy chcesz o tym najpierw pomówić, czy też wolisz pozbyć się tych ubrań?

- Nie wiem, nie mogę się zdecydować.

- Wyglądasz na wstrząśniętego czymś głęboko. - Wyglądał raczej na szalonego.

- Bo jestem wstrząśnięty.

Jej ręka powędrowała do suwaka. Sukienka była bardzo obcisła i musiała ją mocno ciągnąć, by zsunąć ją w dół z bioder. Jej olbrzymie piersi wyskoczyły uwolnione z okrycia. Po zdjęciu sukienki była kompletnie naga. Musiała zdjąć bieliznę bezpośrednio przed przyjściem tutaj. Zawsze gotowa,

ta Mango.

- Skończ swojego drinka - powiedziała udając się do łazienki. - Przygotuję wszystko. Być może uda nam się uspokoić cię troszeczkę.

Mango знаła prawie wszystkie sztuczki, które mogły spowodować, że mężczyzna czuł się rzeczywiście dobrze i stosowała je - przy końcu niemal desperacko. Po prostu usiłował dać z siebie wszystko, ale nie mógł zupełnie skupić się na seksie. W jakiś sposób udało jej się wywołać u niego erekcję i nawet doprowadzić do uzyskania pełnego zadowolenia, ale mało brakowało, by do tego nie doszło, a to nie zdarzyło się jej nigdy przedtem. Cokolwiek go trapiło, musiało to być coś rzeczywiście istotnego. Kiedy skończyła, leżał bezwładnie jak nieżywy.

- Dobrze się czujesz, Peter?

Odezwał się dopiero po chwili.

- Ze mną wszystko w porządku.

Uniosła głowę i spojrzała w jego twarz. Oczy miał utkwione w suficie.

- Jesteś pewien?

- Byłaś dobra, Mango. Jak zwykle.

Usiadła. Była cała pokryta potem. Czowała przyjemny chłód, gdy parował. - Teraz możemy porozmawiać. Zrobię ci następnego drinka.

Gdy wróciła, on nadal leżał bez ruchu. Postawiła szklankę na nocnym stoliku i pociągnęła duży łyk ze szklanki, którą przygotowała dla siebie. Chciało jej się papierosa, ale to mogłoby go zirytować.

- No dobrze, Peter - powiedziała, siadając przodem do niego. - Co się dzieje? Czy nadal martwisz się tym zaginionym płótnem Kirchnera, które miał Train? Mówiłam ci już, nie przejmuj się tym. Moi ludzie nad tym pracują. Odzyskamy je.

- Nie to mnie martwi. To tylko trzysta tysięcy dolarów. Ja mam problem wartości dwustu milionów dolarów. Burmistrz zechce, być może, utrzymać Meigs Field.

- On ci to powiedział?

- Nie. Yeats. Ma swojego człowieka w biurze burmistrza.

- Yeats nie jest pewien połowy tych rewelacji, o których ci opowiada.

Tak jakby czasami rzucał kośćmi do gry.

- Nie lubię szczególnie tej właśnie kości. To mogłoby zrujnować całą

tę pieprzoną sprawę. Przeraża mnie to, Mango.

- To miał być pewnik. Poinformowali Agencję Kontroli Ruchu Powietrznego, że chcą zamknąć Meigs. Stąd się właśnie o tym dowiedziałem. Stąd powstał pomysł budowy wieżowca.

- Czy ktoś dotarł do burmistrza, czy też on sam zmienił zdanie?

- Nie wiem. - Poe usiadł sięgając po drinka. - Po prostu nie wiem.

Gorzej, że nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

- Zawsze znajdzie się jakieś wyjście.

- Nie, w tym przypadku nie ma. Ten facet jest nieprzekupny. A nawet, gdyby dał się przekupić, to nie mam niczego, czego by pragnął.

Spojrzała na jego nagie ciało. Stawał się lekko zwiotczały. Prawdopodobnie nie ćwiczył od tygodni.

- To do ciebie niepodobne, byś tak łatwo rezygnował.

- Wcale nie rezygnuję. Po prostu jestem pod ścianą. A nawet nie wiedziałem, że jest taka ściana!

Westchnęła. - Peter, masz mnóstwo czasu. Jest tyle różnych rzeczy, które powinieneś zrobić najpierw. Jesteśmy jeszcze daleko od decydującego uderzenia. Musisz skłonić burmistrza, by podchwycił twój pomysł. A teraz musisz go złowić. Jak długo zamierzasz trzymać swój projekt w tajemnicy? Ten najwyższy na świecie budynek.

- Już niedługo.

- Zrób, aby to stało się naprawdę wkrótce. Wywołaj u niego jakąś lokalną ambicję.

- Właśnie to robię.

- Musisz go rzeczywiście mocno złapać. Tak aby czuł się jak dureń, jeśli się wycofa.

- Ale w jaki sposób, do cholery, mam go złapać?

- Być może obawia się po prostu utraty znacznej liczby miejsc pracy wraz z zamknięciem lotniska. Twój wieżowiec oznacza przecież zatrudnienie dla wielu ludzi.

- Nie rozumiesz, Mango.

Do diabła. Ona rzeczywiście nic nie rozumiała, ale Poe nie mógł rozumować trzeźwo w obecnym stanie. Był cholernie przestraszony, a kiedy to się wydarzyło, to nawet sparaliżowany.

Mango będzie musiała zająć się tą sprawą po swojemu i była do tego gotowa. - Przestań się teraz tym przejmować, Peter. Pomyślmy o czymś. Zawsze znajdujemy jakieś rozwiązanie.

- Tak, to prawda.
- Zawsze coś wymyślimy.

Zany wybrał się na nocną przejażdżkę. Wpatrywał się długo w ekran komputera, aż poczuł znużenie i potrzebę ucieczki.

Odruchowo, jakby stale jeszcze był na nocnym policyjnym patrolu, pojechał przez miasto aż do międzystanowej autostrady, następnie z powrotem, i znowu w górę ulicą przy plaży. Jakiś pojazd jechał w ślad za nim od centrum miasta, ale zniknął na bocznej drodze, zanim Zany wjechał w długi zakręt, który prowadził wokół olbrzymiej wydmy stanowiącej główny punkt orientacyjny w Grand Pier.

Z pomocą wydziału policji opracował listę dealerów dzieł sztuki ze Wschodniego Wybrzeża, którzy wykazywali zainteresowanie sztuką ekspresjonistów. Gdy ją ukończył, spróbował zająć się Europą. Sam opłacał wszystkie rozmowy telefoniczne i Judy zrobi pewnie piekielną awanturę, gdy zobaczy rachunek, ale nie miał zamiaru martwić się tym teraz.

Kłopot w tym, że absolutnie niczego się nie dowiedział.

Nikt nie słyszał, by na rynku pojawił się jakikolwiek Kirchner. Jak powiedział jeden z dealerów dzieł sztuki, istnieją zestawienia wszystkich sławnych na świecie obrazów. Jeżeli jeden z nich zmienia właściciela, to wszyscy o tym wiedzą. Miał przecucie, że natrafi na pewien ślad w Filadelfii z powodu litery „P” na skrzyni odkrytej przez niego w podziemiach galerii Traina. Co prawda miasto było pełne Niemców i zapalonych zbieraczy dzieł sztuki, ale od kilku już lat nikt nie widział tutaj na rynku Kirchnera.

Dotarł do małego parkingu na końcu drogi i siedział przez moment ze zgaszonymi światłami samochodu, patrząc na jezioro.

Zany zdał sobie sprawę, że coś przeoczył. Cokolwiek to było przeczuwał, że jest to coś olbrzymiego i oczywistego, coś, co powinien odkryć natychmiast, a jednak to przeoczył.

Uderzyła go nagle oczywista myśl.

Jeżeli ktokolwiek kupował kradzione dzieła sztuki na czarnym rynku, to Zany nie powinien go poszukiwać wśród nabywców, którzy aktywnie kolekcjonują dzieła ekspresjonistów, pojawiające się na rynku. Powinien poszukiwać kogoś, kto się tym zajmował i nagle przestał.

Zapalił przednia światła i z impetem zawrócił samochód rozpryskując piasek spod kół. Na szosie nie było praktycznie żadnego ruchu więc rozwinął znaczną prędkość, zwalniając jedynie na długim zakręcie wokół wydmy.

W chwili gdy z niego wychodził usłyszał stłumiony dźwięk *bang*, po którym natychmiast nastąpiło uderzenie.

Jechał dalej nie słysząc nic więcej. Oczywistym wyjaśnieniem był strzał w gaźnik lub uderzenie kamieniem odbitym od opon.

Lecz teren tutaj był raczej piaszczysty, a nie pokryty żwirem. I nie było wokół żadnego samochodu, któremu strzelałoby w gaźnik. Odgłos mógł też nie pochodzić z jego pojazdu. Jego silnik nie zacząłby się tak nagle jękać.

Zany przyspieszył jeszcze bardziej nie zwalniając aż do momentu, gdy znalazł się z powrotem w jasnych światłach głównej ulicy miasta. Następnie dotarł do parkingu w pobliżu banku. Wysiadł nie wyłączając silnika.

W masce samochodu była dziura. Cokolwiek było jej powodem, to weszło po przekątnej robiąc o wiele większy otwór podczas wychodzenia z prawego zderzaka zaraz z przodu prawego tylnego koła.

Cofnął się w ciemności rozglądając się dookoła. Stało tam kilka zaparkowanych samochodów i wałęsających się nastolatków przy Diary Quinn w dole ulicy; w każdym razie nic się nie poruszyło.

A więc to tak. Ktoś strzelał do jego samochodu. Coś takiego nie przydarzyło mu się nigdy dotąd, choć wiele z przypadków włamań, nad którymi pracował, zaprowadziło go w o wiele gorsze dzielnice Chicago.

Nie był to przypadkowy strzał. Nie przypominał sobie, by ktokolwiek strzelał z pistoletu w Grand Pier, poza uzbrojonymi włamywaczami, którzy zresztą byli przyczyną utraty przez niego pracy. To był bardzo przemyślany pojedynczy strzał.

Na tym zakręcie jechał całkiem powoli. Gdyby ktokolwiek zaczął się tam na piasku z zamiarem zabicia go, byłoby to całkiem łatwe. Mieli mnó-

stwo czasu na złożenie się do strzału. Był w pełni widocznym celem. Strzał ten nie był nawet celny. Był rozmyślnie wystrzelony nisko, na prawo i ku tyłowi. Celem był zatem jego samochód, a nie on sam. Nie było następnego strzału, żadnej próby skorygowania błędu i dosięgnięcia celu.

Prawda była zatem prosta i oczywista. Przesłano mu wiadomość. Chcieli uzyskać z powrotem swój obraz. I Matthias Curland nie mógł mieć z tym nic wspólnego, ponieważ płótno było właśnie w jego posiadaniu.

Zany pośpiesznie wsiadł do samochodu i ruszył ulicą z piskiem opon. Był w domu w ciągu pięciu minut.

Judy już wróciła. Poszła na dół, by zamknąć sklep. Zany usiłował przypomnieć sobie, czy pomyślał o tym, by wyłączyć komputer. Nie byłoby dobrze, gdyby spostrzegła nazwiska tych wszystkich handlarzy dziełami sztuki.

Wyglądała całkiem normalnie. - Napijesz się piwa, Zane? Ja właśnie mam ochotę na jedno piwo.

Objął ją i delikatnie usadowił na krześle pochylając się z oczami utkwionymi w jej oczach.

- Mamy poważny problem - powiedział. - Pamiętasz, jak odgrażałaś się, że wrócisz do swojej matki do Wyoming? Chcę, abyś to teraz zrobiła. Spakuj zaraz kilka toreb. Odwiozę cię na lotnisko O'Hare. Dziś wieczorem.

- Czyś oszalał, Zane?

- Judy. Byłem na przejażdżce na drodze wzdłuż plaży. Ktoś strzelał do mojego samochodu. Nie sądzę, by to był wypadek lub jakiś szalenciec kręcił się w pobliżu. Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale to musi być coś związanego ze sprawą Langley. Jednego jestem pewien: musisz stąd wyjechać i pozostać tam tak długo, aż nie uznam, że możesz bezpiecznie wrócić do domu.

- Zane. Powiedziałeś przecież, że wycofałeś się z tej sprawy.

- To prawda, ze wszystkich moich spraw.

- A co ze sklepem?

- Zaopiekuję się nim. Wynajmę kogoś do pomocy.

- A co z tobą?

Wyprostował się. - Sam się sobą zaopiekuję, byłem przecież gliną, pamiętasz?

ROZDZIAŁ

20

Tytuły w gazetach były tym razem większe i pełne aprobaty. Nie tylko w dziennikach w Chicago, ale także na czołowych stronach działów nieruchomości w Nowym Jorku, Filadelfii, Waszyngtonie i w całym kraju: „POE ZMIERZA NA SAM SZCZYT”, „INWESTOR W CHICAGO BUDUJE NAJWYŻSZY WIEŻOWIEC ŚWIATA”, „MONSTRUALNA ŻAGŁÓWKA SPUSZCZONA NA WODĘ W CHICAGO”.

Zgodnie z obietnicą, burmistrz dołączył do Poego w akcji reklamowej „najwyższego na świecie”. Podobnie jak Poe był fotografowany razem z olbrzymim modelem budowli, który w pośpiechu stworzył Cudahy-Brown na podstawie rysunku Matthiasa. Na burmistrza, oczywiście, przeznaczono więcej atramentu i czasu antenowego. Komentarze koncentrowały się na rywalizacji z Nowym Jorkiem, którego burmistrz, republikanin, skapitulował natychmiast:

- Jeżeli myślą, że mogą temu podołać, pozwólmy im to robić. Ale jestem przekonany, że są szaleńcami.

Mimo tak rozdmuchanej kampanii prasowej Japończycy i bankierzy w Inland Empire nie ustąpili na krok ze swoich pierwotnych postanowień. Ani centa bez poświadczenia przez miasto zgody na budowę nad jeziorem - i niech Poe lepiej się z tym pospieszy.

Zaczął pospiesznie poszukiwać Billa Yeatsa przez telefon, znajdując go w końcu w jego klubie. Oderwał go od gry w squasha.

- Wygrywałeś? - zapytał Poe.
- Tak. Wygrywałem.
- To tylko gra, Williamie. Mam pewien pomysł. Zadzwoń do mnie natychmiast z bezpiecznego telefonu.

Yeats zgłosił się po czterech minutach.

- O co chodzi, Peter? - zapytał, pozwalając sobie na nutę niecierpliwości w głosie.

- Kiedy uzyskam oficjalne pozwolenie na budowę wieżowca na terenie Cabrini Green?

- Teraz to już w każdej chwili. Ale co to za różnica? Przecież nie zamierzasz go tam budować?

- Chcę, abyś zdobył inne pozwolenie, in blanco. Chcę, aby było podpisane, opieczetowane, z całym tym gównem, byle tylko miejsce na lokalizację pozostało puste. Czy możesz to zdobyć?

- Jeżeli zamierzasz zrobić to, o czym myślę, to istnieje odpowiednie słowo na określenie takiego działania. To fałszerstwo. Podrabianie oficjalnych dokumentów.

- Nie będziemy tego wykorzystywać do żadnych oficjalnych posunięć. Chciałbym ten dokument przesłać tylko do pewnych urzędów, jak, na przykład, do banku na ulicy LaSalle i do pewnego biura w Tokio.

- To szaleństwo, Peter.

- Zrób po prostu to, co mówię. Uzyskaj podpisane pozwolenie. Puste miejsce wypełnij słowami „Trakt Solidarności”. Następnie zrób kserokopię i wyślij ją do Inland Empire. Zaznacz, że to pismo jest tylko do ich wiadomości, aby im pokazać, że Urząd Miejski jest z nami.

- A co to, do diabła, znaczy „Trakt Solidarności”?

- Wstydzę się za ciebie, Williamie. Długoletni mieszkaniec Chicago, prawnik z najlepszymi koneksjami w mieście, i nie zna „Traktu Solidarności”?

Yeats odpowiedział milczeniem.

- Jest to ulica, która prowadzi od Planetarium i Meigs Field - wyjaśnił mu Poe. Już dawno temu przemianowali ją tak, by uczcić ruch „Solidarności” w Polsce. To będzie adres naszego nowego budynku. Podoba mi się ta nazwa. Zwłaszcza, że mamy tam mieć te wszystkie nasze etniczne muzea.

- To może powinniśmy ją przemianować na Aleję Holocaustu.

- Nie bądź złośliwy, Bill. Rób, co ci każe.

- Ale oni nadal nie zechcą się w to włączyć, o ile nie dostaniesz zgody z Wydziału Zieleni Miejskiej na wzniesienie wieżowca nad jeziorem.

- Być może nie zechcą. Ale może zechcieliby wpłacić kilka milionów na początek. Zbliżam się coraz bardziej do Tap City.

- W zasadzie pukasz do bramy.

- A więc ruszaj się. Chcesz przecież dostać swój udział, prawda? A teraz powiedz mi, co z zamknięciem lotniska?

- Przeprowadziłem dyskretny wywiad z naszymi przyjaciółmi z Departamentu Transportu w Waszyngtonie. Oni pozostaną neutralni w sprawie Meigs, o ile cała komunikacja powietrzna będzie stamtąd przeniesiona na jedno z innych lotnisk.

- Coś jeszcze?

- Powiedzieli mi, że nie powinieneś mieć żadnych problemów z uzyskaniem zgody na uruchomienie wahadłowej komunikacji powietrznej przy użyciu helikopterów.

- Czy odkryłeś już, skąd wzięło się hasło „uratować Meigs”? Czy to idea samego burmistrza, czy też ma on może przyjaciół wśród pilotów?

- Ma przyjaciół w liniach lotniczych. Ale pewien nacisk wywierany jest przez linie lotnicze, które obsługują Springfield. Mnóstwo polityków z nich korzysta.

- A dlaczego nie mogą odlatywać z O'Hare lub z nowego lotniska South Side?

- Bo lubią Meigs.

- Czy jest coś, co możemy zrobić dla tych linii? Zmienić ich nastawienie?

- Nie.

- A czy jest coś, co możemy im zrobić?

- Nie.

- Owszem, jest. Agencja Kontroli Ruchu powietrznego ma odpowiednie formularze zgłoszeń, prawda? Więc my powinniśmy zgłosić chęć założenia firmy proponującej wahadłowe loty helikopterami. Linie Lotnicze Poego. Bezpośrednie połączenia.

- Nie mamy teraz czasu na wchodzenie w interes obejmujący komunikację lotniczą, Peter.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić, podobnie, jak nie zamierzałem nigdy kupować White Socks. Ale chcę, żeby sądzili, że myślę o

tym poważnie. Upewnij się, że zobaczą kopię. Gdy powrócą do ciebie, powiedz im, że jest jedyna rzecz, która jest w stanie spowodować moje wycofanie się - transfer ich działań na inne lotnisko. Wyjaśnij im, że moim zdaniem, byłoby to korzystne działanie na rzecz miasta.

- Nie spodziewam się, by to zadziało.
- Spróbuj. Linie lotnicze mają w obecnych czasach dużo kłopotów, a szczególnie te niewielkie firmy. Nie sędzę, by chcieli przeciwstawić się miliarderowi z kupą pieniędzy do stracenia.
- Ha-ha-ha.
- Nie ma się z czego śmiać, Wiliam.
- Wszystko jasne.
- W porządku. Czy przyjdiesz na wernisaż Christiana Curlanda w galerii Traina?
- Jestem zbyt zajęty, Peter. W szczególności tymi wszystkimi sprawami, którymi mnie obarczyłeś.
- A masz czas na te pieprzone gry w squasha. Bądź tam. Chcę, by były tłumy.
- Tak jest, Peter.
- I przyprowadź ze sobą swoją nową dziewczynę. Jak ona się nazywa?
- Znasz jej nazwisko. Pracuje dla ciebie.
- Racja. Sally Phillips. Dobrze wygląda. Ma prawdziwą klasę. Nie rozumiem, dlaczego Matthias Curland mógł z niej zrezygnować.
- On ma ostatnio rozproszoną uwagę.
- Co przez to rozumiesz?
- Nic, Peter. Po prostu ciężko pracuje, podobnie jak my wszyscy.
- Zrób wszystko, byś mógł pojawić się u Traina. Za te pieniądze, które z tego wyciągniesz, możesz sobie pozwolić na kupienie kilku obrazów.

Wystawa prac Christiana Curlanda w galerii miała trwać przez tydzień. Zaczęła się wieczornym koktajlowym przyjęciem. Train zaprosił większość ze znanych w mieście kolekcjonerów dzieł sztuki. Załedwie kilku z nich przybyło, ale razem z tymi wszystkimi ludźmi, których Poe nakłonił do przyjscia - a także z kilkoma przyjaciółkami Christiana - galeria była cał-

kiem przepelniona. Obecność Bittie Symms była wyraźnie zaznaczona, z powodu jej wysokobrzmiącego śmiechu, zagłuszającego mieszaninę odgłosów równoczesnych konwersacji.

Matthias przyszedł z Diandrą. Pracowali nad jej portretem przez całe popołudnie. Zaczęła odczuwać zmęczenie ciągłymi sesjami. Ich miłość była tego warta, ale przedłużała też proces powstawania obrazu z powodu częstych przerw w pracy - pójścia na spacer, zwiedzania muzeów, wyjścia do kina od czasu do czasu. Przeżywała wspaniały okres swojego życia. W jego towarzystwie jej inteligencja i intelektualna ciekawość świata ujawniły się, jak więzień uwolniony z lochu. Wszystko, czego się po niej spodziewał i co sobie o niej wyobrażał, okazało się być prawdą. Pojawiły się także inne objawienia, jak jej pełne pasji zamiłowanie do znakomitych, cudownych, lecz boleśnie drogich przedmiotów - ubrań, szklanych rzeźb, biżuterii. Nie mógł sobie wyobrazić tej kobiety jako żony ubogiego malarza.

Być może nie miał racji. Prawdopodobnie miała po prostu taki zwyczaj, nawyk wypracowany podczas długiego małżeństwa z Peterem Poe. Matthias nie doceniał jej kiedyś. Odrzucił te smutne myśli. Obecnie żył terazniejszością. Najważniejszy był wieżowiec i intymne chwile, spędzone z Diandrą.

Zbliżali się już do końca pracy nad portretem. Matthias chciał jeszcze poświęcić trochę czasu twarzy i zarysowi ciała. Do wykończenia zostałoby tylko tło, a to mógł namalować w swoim małym studio. Te spotkania w apartamencie Poego kosztowały Matthiasa wiele nerwów. Diandra wyznała mu, iż odkryła obecność Poego w domu dwukrotnie, w czasie gdy się kochali. Przeszkadzało to Matthiasowi, że Poe tak łatwo zaakceptował tę sytuację, że nigdy ich nie sprawdził. Wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko ich intymnym spotkaniom, że nawet ich do nich zachęca.

W każdym razie Matthias był nieszczęśliwy, gdy znajdował się z dala od niej, rozdrażniony i niepocieszony, gdy mijał dzień, a on nie trzymał jej nagiej w swoich ramionach.

Był zadowolony z portretu, lub przynajmniej pełen wiary, że Poe będzie usatysfakcjonowany końcowym rezultatem jego pracy. Gdyby malował ten portret dla siebie, byłby on całkiem inny, ale nie podobałby się Poemu.

Dlatego też Matthias chciał popracować jeszcze nad twarzą. Musiał

usunąć miłość z jej oczu. Poe domyśliłby się, że to nie była miłość do niego.

W żadnym razie jego akt nie był tak znakomitym dziełem, jak magiczne portrety dam z towarzystwa chicagowskiego, namalowane przez Christiana, które wisiały teraz, roztaczając wokół blaski, na jednej ze ścian galerii. W prospekcie wystawy Train ogłosił Christiana „Johnem Singerem Sargentem naszych czasów” i to była prawda. Portrety pędzla Christiana dorównywały mistrzowskim dziełom dziewiętnastego wieku. Christian nasycił każdą z malowanych kobiet, niezależnie od jej prawdziwego wieku, nadzwyczajną gracją, czarem i wdziękiem. Spowodował, że każda z tych kobiet cieszyła oczy.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Diandra.

- Są cudowne. Nie sądzę, by zapłacili mu za nie tyle, ile są warte.

- Być może nie ma to dla niego znaczenia.

- Nie znasz Christiana.

- A któż to mnie nie zna? - Christian przystanął obok nich, obejmując ich w pasie ramionami. - Dobry wieczór, wielki bracie. Bardzo mi miło panią widzieć, pani Poe. Czy plotkowaliście o mnie?

- Ale z najwyższym uznaniem - odrzekł Matthias. - Są rzeczywiście dobre, Chris. Nadzwyczajne.

- Tak jak twój projekt wieżowca.

- Nie widziałem ich przedtem.

- Już ci mówiłem, że dużo pracuję w muzeum.

- Widzę napisy „sprzedane” tylko na niektórych z nich - powiedziała Diandra.

- Oczywiście są sprzedane - odpowiedział Christian. - Były zamówione, sprzedane jeszcze zanim je zacząłem. Po prostu pożyczyłem kilka z nich, by ożywić wystawę. Naklejki są podstępem, rodzajem nacisku na ludzi, by kupili te jeszcze nie sprzedane, podobnie jak klaka na przedstawieniu operowym. Gdy o tym pomyśleć, to interes związany ze sztuką nie różni się od handlu używanymi samochodami.

- Pewna jestem, że wszystkie będą sprzedane - oznajmiła Diandra.

- Mam nadzieję - odrzekł Christian. - To jest mój finał, moje pożegnanie z Chicago - przynajmniej na chwilę.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Matthias.

- Zamierzam przenieść się na Bahamy. Powiedziałbym ci o tym wcześniej, ale zdecydowałem się dopiero dzisiaj wieczorem. Larry Train ma tam dom i zamierza mi pozwolić na zamieszkanie w nim. Tropikalna bryza, kolory, tropikalne światło. Zupełnie jak Paul Gauguin w Marquesas, tylko zamierzam pominąć opium.

- A więc nie będziesz już malował więcej portretów.

- Och, tak. W pobliżu znajduje się kurort. Będę robił portrety gości i prowadził kursy malowania.

- Kto, do diabła, za tym stoi?

- Nasz stały dobroczyńca, wielki bracie. Mąż twojej uroczej towarzyski. Pan Poe jest właścicielem części tego kurortu.

Poe sięga wszędzie - nawet na Karaiby.

- Wyjeżdżasz już wkrótce?

- Pod koniec lata, może wcześniej. Nie żałuj mi tego, Matt. Ty miałeś swoje lata na południu Francji. Teraz twoja kolej na opiekowanie się nobliwym klanem Curlandów w Chicago. I nie sądzę, byś miał coś przeciwko posiadaniu domu przy ulicy Schillera tylko dla siebie.

Rzucił szybko porozumiewawcze spojrzenie na Diandrę, które odwzajemniła.

- Naprawdę cieszę się, że przyszedłeś, Matt - powiedział Christian. - Ale musicie mi teraz wybaczyć. Idę przypochlebić się bardzo bogatej pani Symms. Train mówił mi, że ona myśli o kupieniu tego mojego olbrzymiego obrazu. Jest okropny, ale nie będzie sobie z tego zdawać sprawy.

Uścisnął ramię Matthiasa i oddalił się pospiesznie.

- Jest tutaj twoja przyjaciółka, Sally - oznajmiła Diandra.

Matthias spojrział w kierunku tłumu. Sally zobaczyła go i oschle skinęła głową, następnie poszła dalej, z bolesnym wyrazem twarzy.

- Jest tutaj z prawnikiem twojego męża - rzekł Matthias.

- Czy to ci przeszkadza?

- Nie, nie w tej chwili. Myślę, że on jest bardzo bogaty.

- Poe mu w tym pomaga.

- Ciekawy jestem, czy znajdzie się tutaj ktoś, kto nie miałby zobowiązań wobec twojego męża.

- Ta rozmowa mnie przygnębia, Matt.

Matthias przerwał. - Przepraszam. Po prostu mam za dużo Petera Poe w moim życiu.

- To teraz już wiesz, jak to jest.
- Chodźmy stąd.
- Nie mogę. Peter będzie sobie życzył, bym tu była, gdy on przybędzie.

I ty także.

Przyjechał bardzo późno, holując swoją hożą sekretarkę, o ile to było właściwe określenie. Rzucił Matthiasowi i Diandrze domyślne spojrzenie, i uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Niezły tłum - powiedział.
- Jestem pewna, że to nie jest dla ciebie niespodzianką, Peter - stwierdziła Diandra.
- Czy ukończyłeś już wstępne projekty muzeów? Czy wszystkie zmieszczą się w budynku?
- Obawiam się, że nie poczyniłem znacznych postępów. Byłem zajęty malowaniem Diandry.
- Być może nie byłeś tym jednak zanadto zajęty. Ile czasu ci jeszcze potrzeba?

Matthias wzruszył ramionami. - Niezbyt dużo. Jeszcze tylko kilka sesji.

Poe spojrział na zegarek, a potem, przelotnie, na Diandrę. - Może zatem powinniście teraz wrócić tam z powrotem i trochę popracować.

- Jestem okropnie zmęczona, Peter - powiedziała Diandra.
- Zmęczona? Całym tym leżeniem? Daj spokój, chyba przesadzasz.
- Jeżeli tak sobie życzysz, Peter. Kiedy wrócisz do domu?
- Dzisiaj nie wrócę. Zaraz jak stąd wyjdziemy, panna Bellini i ja wyjeżdżamy do Michigan City. Mój tamtejszy pracownik, Bobby Mann, już za długo był zdany tylko na siebie. Wracam jutro. Przypuszczalnie późno.

Diandra i Matthias spojrzeli na siebie.

- A zatem, dobranoc - rzekła Diandra. Pocałowała męża w policzek a następnie poszła w stronę drzwi, a Matthias w ślad za nią. Gdy wyszli, Train pospieszenie podszedł do Poego.

- Wystawa odniosła absolutnie wspaniały sukces, Peter - powiedział ze wzrokiem utkwionym w Christiana, który właśnie obejmował ramieniem Bitsie Symms.

- Wspaniały sposób odbierania zapłaty. Ile masz zamiar mu dać za ostatnią partię Niemców?

- Dwieście tysięcy. Taka była umowa.

- Mamy już mało płócien.

- Jest ich tyle, na ile się umówiliśmy, Peter. Mówiłeś przecież, że nie chcesz go już nigdy więcej widzieć w twoim kasynie. To będzie jego ostatnia zapłata.

- W porządku. Nie będę się z tobą spierał. Mamy dosyć forsy z tego interesu.

- Czy Mango powiedziała ci o obrazie? O brakującym Kirchnerze?

- Powiedziałam mu, że się tym zajmiemy - odrzekła.

- Ukradziono go, Peter - odpowiedział Train. - Dwa inne płótna zniknęły z magazynu galerii. Mango jest pewna, że to ten policjant z Michigan. On był kiedyś detektywem, specjalistą od włamań.

- A teraz został złodziejem?

- Zajmuję się tą sprawą, Peter - oznajmiła zwięźle Mango.

- Czy reszta tej przesyłki została doręczona? - zapytał Poe.

- Tak. Klient jest bardzo zadowolony. Zapłacił, jak zwykle, gotówką.

- A sprzedałeś mój obraz spaghetti?

- Tak. Ale nie jemu. Komuś w Fort Lauderdale. Za sześćdziesiąt pięć tysięcy. To nie jest dobry rynek.

- W porządku. Przekaż pieniądze Yeatsowi. Nie zamierzam martwić się o tego Kirchnera. Poza tym, nie chcę już nic więcej słyszeć o żadnym pieprzonym obrazie. Mam o wiele więcej innych spraw na głowie.

- Zostaw to mnie, Peter.

- Ten facet z Michigan nie poszedł do glin w Chicago, prawda?

- Nie słyszeliśmy nic o tym.

- Dziękuję, Larry. Baw się dobrze.

Train zrobił, co mu polecono, podchodząc do Christiana i Bitsie Symms.

- Nie martw się tym facetem z Michigan, Peter - powiedziała Mango. - Jest głupcem. Prawdziwa tępą pała z Wyoming. Jesteśmy pewni, że ma Kirchnera w swoim domu. Ludzie, którzy go obserwowali, donieśli mi, że wyniósł plik tego gówna ze swojego samochodu ostatnim razem, gdy powrócił z Chicago.

- Dlaczego tego nie odebraliście?
- Zależy ci chyba na czymś więcej, niż tylko na obrazach, prawda?

Chcesz przecież, żeby zaniechał dochodzenia w tej sprawie. Cały czas mamy go na oku. Jest już bliski załamania. Stracił pracę. Opuściła go żona. Wróciła do domu do Wyoming. To już nie potrwa długo. - Zawahała się i następnie obniżyła nieco głos. - Moglibyśmy pozbyć się go rzeczywiście szybko, wiesz przecież. Wystarczy jedno twoje słowo.

- Nie ma mowy, to wykluczone. Zabijesz glinę, wszystko jedno jakiego glinę, i masz kłopoty, których się nigdy nie pozbędziesz. Nie podoba mi się to zabijanie, Mango. Żadne z tych zabójstw. Ani nawet to, co zaszło w Atlantic City. Nigdy więcej.

- Nie martw się. To wszystko jest już za nami.
- Oby tak było.

Mango ujęła jego ramię. - Chodźmy już, Peter.

Na lotnisku Meigs Poe wysiadł z limuzyny, lecz nadal stał przy niej, nie robiąc żadnego ruchu w kierunku swojego helikoptera, chociaż jeden z pilotów siedział już przy sterach, czekając na sygnał do zapalenia silnika. Poe wpatrywał się przez moment w linię horyzontu na zachodzie, następnie przeniósł spojrzenie na północ, a potem na jezioro.

- Co za widok mamy tutaj - powiedział do Mango, która także wysiadła i stanęła tuż za nim.

- Nie ma niczego podobnego w całym tym przeklętym świecie.
- Marzę o tym, Peter. Ty i ja razem, na samym szczycie.
- Nie marzysz o tym w ten sposób jak ja - powiedział.

Mały dwusilnikowy samolot zbliżał się z południa, jego światła lądowania wyglądały jak świece na letnim niebie.

- Chcę, byś poleciała do kasyna sama - rzekł Poe. - Przejrzyj księgi, ale nie przyciskaj za bardzo Bobby'ego. Wystarczy, jak mu przypomnisz, że jesteśmy stale w pobliżu.

- Będzie doskonale wiedział, że jestem tam. Nie martw się o to.
- Wracaj jutro z powrotem.

Skinęła głową. - A dlaczego ty nie lecisz?

- Wracam do moich apartamentów.
- Masz zamiar ich nakryć, prawda?

- Nadszedł już na to czas. Sprawy muszą nabrać biegu.

Matthias nie wziął nawet pędzla do ręki. W przekonaniu, że mogła to być dla nich ostatnia możliwość spotkania się. Był zły na Poego za oschłe potraktowanie ich na wystawie - Matthias z Diandrą kochali się przy zgaszonych światłach, robiąc przerwę jedynie na pozbycie się odzieży. Tak samo, jak za ich pierwszym razem w Wisconsin, był to raczej akt wyzwania niż żarliwości, szaleńczo wykonany, szybko zakończony, nie dostarczający żadnemu z nich wiele przyjemności. Po wszystkim leżeli w swoich ramionach, głaszcząc się wzajemnie w przypływie uczucia, Matthias odczuwał wyrzuty sumienia, obydwoje byli nieusatysfakcjonowani.

- Są chwile, gdy czuję się jak zwierzę w prywatnym cyrku Petera Poego - odezwał się Matthias. - Nawet teraz.

- Nie mów tak.

- Ciekaw jestem, co zrobimy, jak skończę pracę nad portretem.

- Znajdziemy jakiś sposób.

- Kocham cię.

- Matt...

- Ile razy powiedziałaś mi, że mnie kochasz?

- Wiele razy.

- Zawsze, kiedy się kochamy.

- Kocham cię, Matthias. Czy ci tego nie udowodniłam? Nie mam pojęcia, o co więcej mógłbyś mnie poprosić.

Odchylił się do tyłu, usiłując spojrzeć jej w twarz.

- Czy byłabyś zdecydowana go opuścić? Dla mnie?

- A czy ty porzuciłbyś pracę nad swoim wieżowcem?

- To nie będzie trwało wiecznie.

Nic nie odpowiedziała. Pieścił piersi, całował jej długą szyję, nieco poniżej ucha.

Zapaliły się światła. Poe, wyglądając na doskonale opanowanego, stał w drzwiach.

- Cześć... - powiedział sarkastycznie.

Diandra mrużyła oczy w świetle. Matthias mógł widzieć w nich łzy.

- Peter, co...

- Zmieniłem plany. Widzę, że przybyłem na czas. Nie martwcie się. Nie jestem wstrząśnięty. Przyglądałem się wam już wcześniej.

Matthias rozejrzał się po pokoju. Zewnętrzny taras biegł na całej długości apartamentu. Każdy mógł zajrzeć przez okno. Być może z kamerą. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny.

- Posłuchaj...

Poe podniósł rękę, gestem nakazującym ciszę. Spokojnym krokiem podszedł do sztalug, odstępując nieco ku tyłowi dla poprawienia perspektywy.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Wszystko zrobione, z wyjątkiem tła. Myślę, że Larry Train znajdzie kogoś, kto to dla mnie dokończy.

- Nie jest jeszcze skończony - zaprotestował Matthias.

- Och, jest. Doskonały, wszystko jest na miejscu. Włosy, twarz, cycki, cipka. Podoba mi się wyraz jej oczu. Tak, świetnie ją uchwyciłeś. Zrobiłeś mi przyjemny podarunek.

Diandra wstała. - Bywają chwile, w których myślę, że rzeczywiście jesteś zbrojcem.

- Zamknij się, Diandro. Włóż coś na siebie. Ty także, Curland. Sądzę, że od tej chwili nasze wzajemne stosunki będą dotyczyły głównie interesów.

- Myślę, że nie czas teraz...

- Ja decyduję, na co będzie teraz czas. Wyjdź stąd, Curland. Zatelefonuję do ciebie, gdy będę cię potrzebował.

*
**

Mango wyczerpana przewróciła się na plecy. Starzała się.

Dwóch mężczyzn, tego samego dnia, nie powinno jej tak wykończyć. Za bardzo się starała. Następnym razem będzie po prostu leżała jak dziwka za dwadzieścia dolarów - nieważne, kto ją będzie pieprzył.

- Jesteś najlepszą partnerką, jaką miałem w całym moim zafajdanym życiu, Mango - powiedział leżący przy niej mężczyzna.

- Jesteś zbyt miły.

- Co?

- Tak mówi żona Poego: jesteś zbyt miły. W porządku, kochanie. Po prostu próbuję, jak to do mnie pasuje.

- Brzmi głupio.

- Twój sposób na bycie dżentelmenem, Bobby, to mówienie kobiecie jaką jest dobrą dupą.

- Tak? Chciałabyś żebym cię, po prostu, poklepał po tyłku?

- Zapomnij o tym, Bobby.

Mann usiadł i sięgnął po papierosa. - Chcesz?

- Tak, dzięki.

Rzucił jej paczkę.

Wykrzywiła się, wyciągnęła papierosa i przypaliła. - Jesteś pewna, że musisz wracać jutro? - zapytał.

- Tak powiedział ten człowiek. Robię, co mi każe.

- Przynajmniej mamy przed sobą noc.

- Nie ma mowy, Bobby. Kończysz papierosa i wynosisz się stąd. I tak dużo ryzykuję.

- Kazałaś mi czekać cały miesiąc.

- Czekałaś zatem prawie całą wieczność. W każdym razie jestem pewna, że miałeś na boku jakieś dziewczynki. Nie musisz daleko szukać w tej melinie.

Mann wypuścił obłok dymu i popatrzył na nią. - Już mnie sobie ustawiłaś, Mango.

- Ustawiłam cię? Uratowałam to twoje zafajdane życie.

- Pomogłaś mi zaaranżować to uderzenie, a potem go ostrzegłaś.

- Ja go nie ostrzegłam. Po prostu spowodowałam tylko to, by go nie było wtedy na łodzi. Zrób choć raz użytek ze swojej cholernej głowy, Bobby. Chciałam, byś nie w niego uderzył. Do diabła, sposób, w jaki te twoje przepukne łby spartoliły wybuch, pozwoliłyby mu prawdopodobnie ujść z życiem z łodzi, tak jak innym. I wtedy rzeczywiście znalazłbyś się w gównie. Nie byłoby sposobu, bym mogła go powstrzymać przed wykończeniem ciebie.

- Moi przyjaciele z Atlantic City...

- Przyjaciele? Te gady sprzątnęłyby cię w pierwszej kolejności. Za zawalenie tej roboty z łodzią. Szczęśliwie wyszedłeś z tego cało, Bobby.

Wszystko to mnie zawdzięczasz.

- Czy on ci uwierzył, gdy mu powiedziałaś, że nie miałem z tym nic wspólnego?

- Siedzisz tu przecież, prawda?

- Nadal jesteś zainteresowana usunięciem z drogi jego żony?

- Nie, to nie będzie potrzebne. On zamierzają wyrzucić. Zarozumiała dziwka. Zawsze traktowała mnie jak śmiecia.

Mango zaciągnęła się, a potem odgarnęła włosy z oczu. Po wszystkim, co uczyniła, by uszczęśliwić Bobby'ego, zrobił się niezły galimatias.

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał Mann.

- Siedź po prostu cicho. Kieruj uczciwie tym interesem, tak jak on ci przykazał. Zrobimy ruch, jak tylko wpłyną japońskie pieniądze na budowę.

- Dwieście milionów?

- Gdy wszystko już będzie uzgodnione i zrobione.

- I myślisz, że zdołasz się do nich dostać?

- Mam dostęp do wszystkich rachunków, prawda? Ten pieprzony Yeats zwalczał mnie na wszystkie sposoby, ale jednak mam.

- Na ile możemy liczyć?

- Na kilka milionów. Może więcej. Peter uzna, że ta forsa jest w obiegu, a dla nas to wystarczy, byśmy byli szczęśliwi przez długie lata. Największa rozgrywka, jaką kiedykolwiek miałeś, Bobby.

Opadł do tyłu na poduszkę, paląc papierosa wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w sufit.

Zmarszczył brwi. - A co będzie z twoimi nowymi partnerami w Chicago?

- Interesują się jedynie kasynem. Będą szczęśliwi, nie mając go na swej drodze.

- A co z Japończykami?

- Przestań się zamartwiać, Bobby. Dwa, czy trzy miliony nic dla nich nie znaczą. Przeszkadza mi tylko Yeats.

- Być może on i Poe będą razem, gdy dojdzie do ostatecznego ciosu.

- To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam. Nie będzie żadnej wpadki.

Dotknął jej pleców, a potem przesunął rękę w stronę pośladków. - Kiedy znowu będziemy to robić? Przyjedziesz tutaj wkrótce? Bez niego?

- Raczej ty będziesz musiał przyjechać do Chicago.
- Do Chicago? Oszalałaś?
- Nie jestem w stanie robić sobie wiele takich solowych wypadów. Za kilka dni on wybiera się do Nowego Jorku, by wziąć udział w kilku wywiadach telewizyjnych. Możesz wziąć helikopter, będziesz z powrotem na czas, by zdążyć na nocną zmianę.
 - Nie wolno mi tknąć helikoptera, nie do osobistego użytku.
 - Możesz przylecieć jednym z tych, które eskortują do domu szczęśliwych graczy.
 - A zatem, za kilka dni, mówisz.

Odłożyła papierosa i podniosła się. - Wezmę teraz kąpiel, Bobby. A ty wynoś się stąd. Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Wiem, co robię.

ROZDZIAŁ

21

P rzez następne kilka dni Matthias nie opuszczał własnego domu, jakby był więźniem swojego własnego upokorzenia i wewnętrznych rozterek. Samotność była prawie nie do zniesienia, ale nie chciał rozmawiać ani z rodziną, ani z przyjaciółmi. Był pewien, że pytaliby go o projekt Poego, a ten temat napawał go teraz zarówno goryczą, jak i niepewnością. Poe był w posiadaniu jego szkiców. On sam zaś przyjął jego pieniądze. Żaden sąd nie przyznałby mu prawa własności do projektu, a z pewnością żaden sąd w okręgu Cook. Poe mógł zlecić Cudahy-Brown ukończenie projektu. Zrobiliby kawałek tandetnej roboty, ale Poe mógłby mieć swój wieżowiec. Matthias niewiele mógłby zdziałać, by go powstrzymać, poza denuncjacją, ale i to pewnie by nie pomogło. Niezadowolony pracownik. Cudzołożnik.

Wyobrażał sobie, że Poe uczynił Cudahy-Brown, głównymi architektami. Matthias nadal pragnął, by ten wieżowiec był jego. Bo on był jego.

Christian zniknął po wystawie w galerii, bez wątpienia zajęty jakąś nową miłością. Perspektywa zrównania jego reputacji cudzołożnika z reputacją brata była zatrważająca.

Poe nie dzwonił. Podobnie Diandra. W zasadzie, telefon Matthiasa nie dzwonił w ogóle. Początkowo był z tego nawet zadowolony, ale z czasem ta cisza stawała się uciążliwa.

Dużo czytał. Grał - *Carmina Burana* Carla Orffa, *Peliasa i Mesalindę* Ravela, *Trois Gymnopedies* Erika Satie i, w chwilach bardziej radosnego nastroju, Leona Redbone'a. Rysował niezliczone szkice żaglówek i ciągle palił fajkę. W ciemności wieczoru spacerował po sąsiednich ulicach. Pił, pewnej nocy tak wiele, że zadzwonił do swojej byłej żony, lecz wyczuła jego cikliwy nastrój i krótko ucięła konwersację.

Otworzył także pocztę. Sobotnia przyniosła mu list opatrzony zwrotnym adresem firmy prawniczej Douga Gibsona.

„Matt - czytał - poszło po mojej myśli. Powinieneś to rozważyć.”

W załączeniu znalazł kserokopię pozwolenia na budowę wieżowca, wystawioną dla Poe Enterprises Inc. Matthias przeczytał ją dwukrotnie, ale wzrok jego przykuła przede wszystkim lokalizacja budowy: „Trakt Solidarności”. Domyślał się, że taką nazwę Poe wybrał na adres swego przedsięwzięcia, podobnie jak inni budowniczowie w Chicago przypisywali swoim dziełom tak pełne próżności nazwy, jak „Wspaniała Miła”.

Nazwa „Solidarność” była zapewne aluzją do muzeów etnicznych, ale ciągle wydawała mu się osobliwa.

Ale Peter Poe był osobliwym człowiekiem.

Dlaczego Doug Gibson to wykorzystał? Jego przyjaciel nie był przecież typem człowieka, który kpi sobie z ludzi z powodu ich etnicznego pochodzenia.

W niedzielnej *Tribune* rzucił mu się od razu w oczy całkiem mały tytuł: „PROJEKT POEGO MA KŁOPOTY?”

Felietonista, w stylu podobnym do Douga Gibsona, poświęcił dużo miejsca przytoczeniu przyczyn, dla których superbudowa na Cabrini Green nie będzie prawdopodobnie mogła być sfinansowana. Bardziej wstrząsnęła nim treść wiersza: „Zabezpieczające finansowo projekt konsorcjum japońskie, reprezentowane przez bank Inland Empire, oznajmiło Poemu, że nie będzie inwestować w budowę zlokalizowaną na Cabrini Green i że musi znaleźć alternatywną lokalizację.

Matthias podszedł do telefonu. Odpowiedziała gospodyni, mówiąc, że Poe jest poza miastem. Zamiast poprosić do telefonu Diandrę zostawił wiadomość dla Poego, by zadzwonił do niego tak szybko, jak to będzie możliwe.

Matthias miał numer telefonu Yeatsa. Nie był zaskoczony, gdy odpowiedziała Sally - w niedzielny, wczesny poranek.

- Muszę mówić z... panem Yeatsem - powiedział nader uprzejmym tonem.

Zawahała się. - Chwileczkę, Matt. Zaraz go poproszę.

- Sally?

- Tak?
- Czy u ciebie wszystko w porządku?
- Mam wszystko, czego mi trzeba, Matt. I on jest bardzo miłym człowiekiem. Poczekaj chwilę.

Yeats podszedł powoli do telefonu i zapytał wstrzemięźliwie: - Czy to nie może poczekać do poniedziałku, Curland?

- Czytałeś *Tribune* dzisiaj rano? Kolumnę w sekcji biznesu?

Pauza. - Tak.

- Czy to prawda?
- Częściowo, tak.
- Czy mógłbyś mi powiedzieć, która część?

Yeats przeszedł od tonu gderliwego do zaniepokojonego. - Musimy przemyśleć lokalizację na Cabrini Green, Matt. Ale nic się nie martw. Wieżowiec będzie na pewno. Twoja praca jest bezpieczna, pomimo ostatnich komplikacji.

- Komplikacji?
- Pani Poe. - Yeats chrząknął. A więc Poe pozwolił, by ludzie dowiedzieli się, iż jest roszkodnikiem. Było to, co prawda, logiczne, że rozmawiał o tego typu sprawach ze swoim prawnikiem, ale co to mogło oznaczać dla Diandry?

Yeats prawdopodobnie powiedział o wszystkim Sally.

- W każdym razie zamierzamy kontynuować projekt - rzekł prawnik. - Pieniądze będą. Mamy twoje plany. Wszystko, czego potrzebujemy, to znaleźć nowe miejsce budowy.

- To musi być całkiem „duży” obszar.
- Peter Poe jest całkiem „dużym” człowiekiem.
- Proszę, przekaz mu, by do mnie zadzwonił. Tak szybko, jak to możliwe.

- Matt, nie mogę zmusić Poego do niczego. Ale jestem pewien, że odezwie się do ciebie - wcześniej czy później.

Po odłożeniu słuchawki Matthias zaczął poszukiwania mapy Chicago, którą jak pamiętał, zostawił na biurku w swoim gabinecie, a następnie zabrał ją do swojego studia na górze, gdzie przechowywał wszystkie specyfikacje, dotyczące nowego budynku. Rozłożył plan miasta na desce kreślarskiej i

pochylił się nad nim, studiując dokładnie centrum Chicago, blok po bloku.

To było niemożliwe. Po prostu nie było miejsca w obrębie Loop na tak dużą strukturę. Nie było go także wśród nowych wieżowców, które wzniesiono na peryferiach miasta. Z całą pewnością nie było także odpowiedniej lokalizacji wzdłuż północnej części alei Michigan, czy też na wschód od Streeterville lub na północ od Gold Coast.

Gdzie zatem? Może w niedawno uszlachetnionej sekcji River North, w pobliżu korytarza alei Michigan? Wieżowiec musi zająć całe akry ziemi, by pomieścić te wszystkie galerie sztuki, studia, eleganckie restauracje i butik. Zrujnuje cywilizowane sąsiedztwo, które przynosi dumę i przyjemność miastu. Burmistrz nie zgodzi się na to i nieruchomość ta kosztowałaby Poego fortunę.

Matthias odchylił się ku tyłowi w swoim obrotowym krześle, studiując mapę tak, jakby patrzył na miasto z samolotu. Głos Yeatsa brzmiał bardzo pewnie. Poe musi czuć się tak samo. Ale dlaczego?

Zszedł na dół i zrobił sobie drinka. Przestrzenny rysunek wieżowca pozostawał nadal przytwierdzony do biblioteczki. Wyglądał prawie, jak coś żywego - natrętny, urągający mu.

Długo milczący telefon odezwał się wreszcie. Pomyślał, że to musi być Poe, którego udało się Yeatsowi szybko zawiadomić.

Była to Diandra.

- Matthias? Dzwoniłeś tutaj do Petera? Gospodyni mi właśnie powiedziała.

- Tak.

- Co zamierzałeś mu powiedzieć?

- Dotyczyło to wieżowca. Jest taki artykuł w *Tribune*.

- Matt, muszę z tobą porozmawiać.

- Czy sądzisz, że to byłoby rozsądne?

- Nic mnie to nie obchodzi. Peter jest w Nowym Jorku. Będzie tam przez cały tydzień, chełpiąc się na temat tej budowli w programach telewizyjnych.

- Nie mogę przyjść do ciebie.

- Nie. I ja nie powinnam ciebie odwiedzać. Ale możemy się spotkać.

Muszę widzieć się z tobą - osobiście.

On sam czuł ogarniającą go tę samą potrzebę. - Czy przykuł cię łańcuchem do mebli?

- Zostawił mnie zupełnie samą. Mogę robić, co zechcę. Nawet ze mną nie rozmawia. Skóra cierpnie. Zaczynam życzyć sobie, by wrzeszczał i wściekał się, żeby coś zrobił. Nie wiem, co sobie myśli.

- Mam pomysł - powiedział. - Chodźmy pożeglować.

- Żeglowanie. Czy to nie jest trochę frywolne, w tych warunkach?

- Będziemy sami.

Zastanowiła się przez chwilę. - Zgoda. Tylko się przebiorę.

- Spotkajmy się zatem na nabrzeżu na ulicy Monroe, przy Fontannie Buckingham. Za godzinę.

Zjawiła się na miejscu spotkania przed nim. Płynąc na *Hillary* w poprzek portu zobaczył wysoką postać Diandry stojącą na brzegu, jej włosy powiewające na wietrze. Ubrana była w białe szorty i reeboki oraz granatową bluzę, i wyglądała wspaniale. Zwalniając bieg łodzi zgodnie ze wschodnim wiatrem ślizgał się ukosem do nabrzeża, rzucając ukradkowe spojrzenia na ludzi w parku. Nikt na nich nie patrzył.

Po wejściu na pokład, z jedną ręką na poręczy, pochyliła się i pocałowała go szybko, ale gorąco.

- Dostałeś wiadomość?

- Tak sądzę. Mam nadzieję.

Uśmiechnęła się do niego i usiadła z przodu żaglówki, tak by umożliwić mu pracę na łodzi. Z wiatrem ze wschodu, musiał nieustannie halsować w prawo i w lewo, torując sobie drogę wśród wielu jednostek zgromadzonych w porcie, by przedostać się przez wolną przestrzeń w falochronie. Po pokonaniu jej mógł żeglować w górę lub w dół od brzegu jeziora, utrzymując się w tym samym położeniu. Zmierzał na południe, prosząc Diandrę, by zbliżyła się do niego. Objął ją ramieniem. Czuł ciepło jej ciała przez cienką bluzkę.

- Chciałaś porozmawiać - powiedział.

- Najpierw powiedz mi, o czym zamierzałeś rozmawiać z Peterem.

- Dzisiaj w *Tribune* ukazał się pewien felieton. Napisano w nim, że bankierzy finansujący jego projekt nie zgodzą się na postawienie wieżowca na Cabrini Green. Brzmiało to tak, jakby nie było żadnej szansy na posta-

wienie w Chicago wieżowca Poego.

- Nie myśl tak nawet przez chwilę. Gdyby coś takiego wisiało w powietrzu, wiedziałabym o tym. Peter zastrzeliłby się wtedy. Ta budowa to jego obsesja, Matt. Wygląda to tak, jakby wszystko to, co już dokonał w swoim życiu, straciło dla niego znaczenie.

- Ale gdzie ma to zatem stanąć?

- To wielkie miasto.

- Miasta stają się bardzo małe, z chwilą gdy zaczyna się poszukiwanie odpowiedniego miejsca na nieruchomość. Większość z takich obszarów w Chicago leży wzdłuż jeziora, a są one już przeładowane budynkami.

- On musi myśleć o jakimś konkretnym miejscu.

- Popłyniemy w dół za McCormick Place - powiedział, mając na myśli olbrzymią, prostokątną halę wystawową, stojącą na południe od Meigs Field, która wyglądała jak osadzony na mieliźnie lotniskowiec. - Coś mi się skojarzyło. Istnieje taka otwarta przestrzeń wokół linii kolejowych za Burnham Park i brzegiem jeziora. Kosztowałyby majątek, gdyby zgodzono się na scedowanie praw do przestrzeni powietrznej, ale to jest do załatwienia.

- Ten adres nie jest zbyt prestiżowy.

- Na Cabrini Green też nie był. Pomysł polega na przekształceniu tego miejsca w bardziej prestiżowe. I znajduje się ono o wiele bliżej Loop.

Wyciągnęła długie nogi nad umieszczoną w centralnej części pokładu kabiną. - Nie jestem pewna, co on ma na myśli.

- W każdym razie przyjrzyjmy się temu miejscu.

Chociaż to nie był dzień pracy, ruch małych samolotów na lotnisku Meigs był bardzo duży. Jednosilnikowa cessna podchodziła do lądowania tuż nad ich głowami, na tak niskiej wysokości, że mogliby ją niemal dosięgnąć i dotknąć.

- Dzień jest taki cudowny - powiedziała, gdy hałas samolotu oddalił się od nich. - Ostatnio nie mieliśmy wiele takich dni.

- Co chciałaś mi powiedzieć? - zapytał.

Ujęła jego rękę w swoje dłonie. - Nie mam wiele do powiedzenia. Kocham cię. Nie chcę spędzić z nim reszty życia. Chcę spędzić je z tobą. Byłam zrozpaczona przez te ostatnie dni.

- Czy rzeczywiście byłabyś skłonna go porzucić?
- Matthias, gdybyśmy teraz razem pożeglowali aż do linii horyzontu i nigdy nie wrócili z powrotem, byłabym w pełni szczęśliwa.

Uwolniła jego rękę.

- Ale byłoby lepiej, gdybyś ukończył projekt wieżowca - powiedziała.
- Co masz na myśli?
- On z pewnością nie pozwoli mi tak, po prostu, odejść. Do widzenia, Diandro. Baw się dobrze w swoim nowym życiu. Będzie chciał się targować, zawrzeć jakąś transakcję. Zawsze to robi, ze wszystkim. To leży w jego zgniętej naturze. Jeżeli oboje odejdziemy od niego tak, po prostu, to będzie wściekły. Jest w stanie nam to utrudnić. Ma długie ręce. Może skończyć się tym, że będziesz bardzo żałował, iż kiedykolwiek mnie spotkałeś.

- Ale budowa zajmie przynajmniej dwa lata. Nie możemy żyć dłużej tak jak teraz, nie przez dwa lata. Ani nawet przez jeszcze jeden przeklęty dzień.

- Nie mówię wcale o pozostaniu z nim. Ale gdybyśmy mogli coś zorganizować, aby mógł myśleć, że wszystko idzie zgodnie z jego postanowieniem. - Obróciła się ku niemu, dotykając jego kolan swoimi. - Przecież to stanowi dla ciebie ogromną różnicę - postawić ten wieżowiec czy też nie. Dryfujesz przez życie niezbyt szczęśliwie, z tego co wiem. A teraz masz szansę, by coś osiągnąć. Odnalazłeś siebie. Jesteś architektem, wspaniałym architektem. Gdy postawisz ten wieżowiec, będziesz jednym z najważniejszych architektów świata. Nie chcę, byś odrzucił tę szansę, nie dla mnie.

Nastawił rumpel. Prąd znosił ich zbyt blisko ściany, ogradzającej lotnisko.

- Chcę być z tobą niezależnie od wszystkiego - oznajmiła - ale proszę, przemyśl to, co ci powiedziałam.

- Nie usłyszałem od niego ani jednego słowa, od kiedy opuściłem jak niepyszny twoje apartamenty.

- Będzie chciał rozmawiać z tobą zaraz po powrocie z Nowego Jorku. Bez wątplenia.

- A w międzyczasie?

Ujęła jego dłoń i umieściła ją na wewnętrznej powierzchni uda. - Mamy chyba kilka dni tego międzyczasu, prawda?

Dał się słyszeć odległy stukot, dobiegający od południowego wschodu, dźwięk o wiele bardziej natrętny i uporczywy niż głuchy warkot samolotu.

Matthias spojrział w tym kierunku. Na niebie rysował się mały punkcik, coraz bardziej rosnący.

- Helikopter - powiedział. - I to wielki.

Obróciła się, by lepiej widzieć. Gdy punkt przybliżył się do nich, jasny w świetle zachodniego słońca, mogli dostrzec, że helikopter był koloru czerwonego.

- To jeden z helikopterów Petera - powiedziała - leci z Michigan City.

- Jesteś pewna?

- A ktośby pomalował helikopter jak wóz strażacki? Nawet nie ci ze straży pożarnej.

- Gdzie tylko nie spojrzeć, to Peter Poe.

- Nie przejmuj się. Jego nie ma na pokładzie. Dzwonił dzisiaj rano z Nowego Jorku do naszej gospodyni. To jest jedno z jego największych połączeń wahadłowych. Przewożą graczy do kasyna i z powrotem. Bogatych, oczywiście. Zwycięzców. Pozostali jadą autobusem.

Głuchy odgłos przeszedł w jazgotliwy harmider. Olbrzymia maszyna, z wielką literą P wymalowaną na boku, pogrążyła ich w cieniu, gdy przelatywała nad ich głowami, kierując się w stronę lotniska. Pas startowy był pusty i w grafiku nie było żadnego innego lotu. Helikopter leciał prosto w kierunku budynku portu lotniczego, obniżając się gwałtownie przed wylądowaniem.

Mango obserwowała zbliżający się helikopter z mostka na *Queen P*, przycumowanej w porcie zaraz za lotniskiem. Myślała pierwotnie o wyprowadzeniu na wodę dużego jachtu motorowego, skąd miałyby lepszy widok, lecz sterczałyby na otwartych wodach, tak jak ta pieprzona *Queen Elizabeth*. Nienawidziła samodzielnego prowadzenia dużej łodzi, i to niezależnie od tego, jakie wrażenie wywierało to na Peterze.

Dała wolne załodze na cały tydzień, czyli na tak długo, jak długo Poe był w Nowym Jorku. W każdym razie nie mieli wiele do roboty tego lata. Peter był tak zaabsorbowany projektem, że nie wydał ani jednego party na po-

kładzie, a to był przecież najważniejszy powód zakupu jachtu tak wielkich rozmiarów. Załoga była wdzięczna za tę wolność, lecz pozostawała podejrzliwa, a szczególnie kapitan. Być może martwili się, że to mógłby być zwiastun ich zwolnienia. Dużo było przecież pogłosek wśród armii pracowników Poego o jego złym stanie finansowym.

Do diabła z nimi. Wyjaśniła, że pragnie mieć odrobinę prywatności, by zrobić pewną pracę dla Poego - i to była prawda. Zrobili, co im powiedziano. Zdawali sobie cholernie dobrze sprawę z faktu, że nawet jeżeli nie była ich bossem, to zwykle przemawiała w jego imieniu.

Mango wiedziała na pewno, że Bobby Mann był na pokładzie helikoptera. Dzwoniła do niego rano, by potwierdzić, że ich intymne spotkanie może dojść do skutku zgodnie z umową. Następnie zadzwoniła ponownie w czasie odlotu helikoptera, zgodnego z rozkładem lotów tego wahadłowego połączenia, lecz go nie zastała, o czym powiedział jej człowiek z obsługi lądowiska na terenie kasyna.

Ale tak naprawdę, to już go dopadła.

Po krótkiej przerwie na drinka i ostatnim sztachnięciu się papierosem sięgnęła po małe czarne pudełko, leżące na konsoli przyrządów nawigacyjnych. Rozbawiło ją podobieństwo tego pudełka do pilota sterującego elektronicznie samochodziki, jakimi lubiły bawić się dzieci. Facet z Chicago, specjalista od sprzętu elektronicznego, który wykonał dla niej to urządzenie, wyjaśnił jego działanie. Operacja miała być prosta. Nastawia się antenę, uruchamia się urządzenie przy pomocy metalowego przełącznika, a następnie gdy zaświeci się zielone światółko, naciska się czerwony guzik. Powiedział jej, że będzie działać w obrębie jednej mili i uświadomiła sobie, że do budynku dworca lotniczego nie było dalej niż pół mili.

Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Idea tego pomysłu nie zakładała wysadzenia tego przekłętego helikoptera w powietrze, tak jak to ludzie Bobby'ego usiłowali nieudacznie zrobić z łodzią Poego. Ładunek wybuchowy, bardzo mały, umieszczony był w głównym przedziale silnika. Na skutek wybuchu łopata wirnika powinna odpaść od maszyny, co pozwoli jej na wyżłobienie dużej dziury w ziemi. Helikopter powinien znajdować się w tym momencie tak wysoko nad ziemią, aby pasażerowie odebrali to jako wielkie uderzenie, ale w tym samym czasie powinna być pewna, że znajduje

on się nad pasem startowym, a nie nad otwartą wodą. Zgodnie z założeniem, helikopter powinien uderzyć w budynek lotniska i uczynić tak wiele szkody, jak to tylko możliwe. Przeprowadzenie tej operacji z takiej odległości było raczej trudne, toteż była bardzo skoncentrowana. Jej człowiek powiedział, że kłęb dymu i płomieni w głowicy silnika będzie prawie niewidoczny. Ludzie mogliby uznać go za pożar silnika.

Mango nacisnęła przycisk i uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy zielona lampka zapaliła się niemal natychmiast. Nastawiła odpowiednio antenę, na taki punkt nieba, w którym helikopter zmieni się z małej drobiny w dużą, czerwoną plamę. Spojrzała w dół na basen portowy. Kręciło się tam kilka osób, ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Kim ona była? Po prostu kobietą usiłującą nastawić swoje przenośne radio.

Czerwona plamka przybierała coraz bardziej określone kształty. Mogła nawet dostrzec błysk odbitych w szybie pilota promieni słonecznych.

Samolot zbliżał się do lotniska pod skośnym kątem, skręcając w połowie drogi wzdłuż pasa startowego. Wydawało się, że się zatrzymał, chociaż zmierzał wprost na lotnisko. Patrzyła, jak obniżał wysokość lotu obliczając sobie, jak długo to trwało, gdy Peter podchodził do lądowania w swym prywatnym helikopterze. Gdy maszyna osiągnęła wysokość czterech, czy pięciu pięter nad dachem dworca lotniczego, nacisnęła guzik.

Początkowo wyglądało na to, że nic się nie wydarzyło, lecz następnie helikopter zaczął gwałtownie pikować w dół i długi, czarny twór uderzył z szaloną siłą w ścianę budynku. Mango sięgnęła po drinka.

Matthias żeglował pełnym wiatrem i mogli widzieć, jak helikopter zmierzał w stronę lądowiska. Nagle nastąpił trzask, ledwo słyszalny poprzez warkot silnika, lecz nie zwrócił uwagi Matthiasa. Zaraz potem uchwycił ramię Diandry i trzymał ją mocno w objęciach. Maszyna runęła w dół, wychylając się gwałtownie do przodu podczas spadania. Z wielkim hukiem uderzyła w olbrzymie, sięgające od podłogi do sufitu, okna dworca lotniczego, eksplodując w końcu monstrualną kulą szkarłatnych i pomarańczowych płomieni. Wrak samolotu poleciał daleko. W tym momencie gruba, wrząca, oleista chmura dymu wyrosła z drugiej strony budynku.

Diandra była wciąż w jego ramionach, trzymając go mocno, powtarzając bez końca: - O Boże, o Boże, o Boże.

Kiedy Zany został przydzielony do szóstego okręgu do wydziału włamań, starsi stażem koledzy lubili opowiadać mu, jak wyglądała praca gliniarzy, zanim w departamencie przeprowadzono reformy. Był tam kiedyś wielki na sześć stóp, wąsaty Pete, pracujący jako patrolowy na West Side, który zabił osiem osób na służbie i nosił na pasku krótki rewolwer, który nazywał „łowcą Murzynów”. Zabójstwo w okręgu centralnym nazywano „żółte stronice” z powodu jego umiejętności wyciągania zeznań od podejrzanych podczas przesłuchań. Zachodził od tyłu i walił po głowach książką telefoniczną. Prowadziło to do złamania kręgosłupa w bardzo bolesny sposób, ale nie zostawiało żadnych śladów.

Bardziej współczesna legenda mówiła o dwóch weteranach, detektywach od włamań, którzy wysłedzili najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy spośród sprawców wszystkich dochodzeń prowadzonych w całym wydziale, choć nawet nie przelali ani kropli krwi.

Trwała wojna w Wietnamie i do Chicago powracały regularnie ciała w workach. W gazetach zamieszczano nekrologi zmarłych, w których pisano, że polegli na wojnie. Nic tak nie było w stanie wyprowadzić całej rodziny z domu, jak pogrzeb. Gdy żałobnicy brali udział w ceremonii pogrzebowej, włamywacze napadali na rezydencję, mając swobodę i dużo czasu, gdyż sąsiedzi także poszli na pogrzeb, jak tego po nich oczekiwano po stracie najbliższych na wojnie. Ci źli faceci wybierali obiekty napadu bardzo ostrożnie, idąc pod adres domu, znajdującego się w solidnym, szanowanym sąsiedztwie.

Kiedy obrabowali w ten sposób około pół tuzina domów, dwóch detektywów zdecydowało się na położenie kresu na dobre tej zbrodniczej działalności. Wykorzystali dom jednego ze swoich szwagrów, umieścili nekrolog w gazecie, podając adres szwagra, jako zmarłego. Gdy rodzina, wyglądając odpowiednio żałobnie, opuściła dom i wsiadła do samochodów, dwaj detektywi weszli od tyłu do nie oświetlonego domu, usiedli w salonie z dwoma wielkimi, służbowymi rewolwerami na kolanach, w oczekiwaniu na

towarzystwo.

Włamywacze pojawili się zgodnie z planem. Gdy chłopaki od zabójstw wkroczyli na scenę wezwani hasłem „strzelanina - zabici ludzie”, znaleźli włamywaczy leżących w przedsionku, każdy z wielką dziurą od kuli. Dwaj detektywi zeznali, że to włamywacze strzelali do nich pierwsi. Włamywacze mieli co prawda przy sobie broń, ale nie znaleziono śladu po kulach, ani niczego innego na ścianach. Przeprowadzono śledztwo, lecz nigdy niczego więcej nie zrobiono w tej sprawie. Nikt nie chciał karać detektywów. Nie żeruje się na ludziach będących w żałobie. Nie w czasie wojny. Nie w tak rodzinnym mieście, jak Chicago.

Zany był szczęśliwy, iż trafił do wydziału w bardziej współczesnych, jaśniejszych czasach. Ale teraz rozmyślał serio nad losem tych dwóch starych detektywów. Siedział w fotelu w ciemnym salonie, trzymając w ręku swój własny, służbowy rewolwer. Drzwi wejściowe były zamknięte. Postawił przed nimi kosz do śmieci pełen pustych puszek po piwie, tylne drzwi były zaryglowane podwójnym zamkiem, a wszystkie okna na dole zatrzaśnięte i pozamykane, z wyjątkiem jednego, w salonie, gdzie siedział, wpa-
trując się w nie już dłużej niż godzinę.

Zagadkowi ludzie, którzy ścigali go w poszukiwaniu obrazów, nasilili swoje wysiłki, nękając go co godzinę pogroźkami przez telefon, a pewnej nocy strzał przez okno niemal zmiotł jego komputer. Uświadomił sobie, że nie będą usiłowali go zamordować, do chwili gdy nie położą swoich łap na płótnach. Włamali się już przecież do jego samochodu, by upewnić się, że nie przechowuje obrazów w przestrzelonym bagażniku. Tacy faceci są jednak znani z tego, że zmieniają zdanie, a szczególnie wtedy, gdy tracą cierpliwość. Zany nie chciał ryzykować.

Poprosił Georga Hejmala o protekcję i obiecano mu ją, lecz Zany wiedział z własnego doświadczenia naczelnika policji, co to oznacza przy tak małych liczebnie siłach - przejeżdżanie koło domu co godzinę, od czasu do czasu sprawdzanie okien.

Tak więc, zdecydował się na ten fortel. W odległości czterech przecznic od głównej ulicy znajdował się pewien bar, nad którym roztaczał czasami opiekę w przeszłości. Teraz, gdy Judy była w Wyoming, miał zwyczaj uczęszczać tam nocami. Początkowo bywał tam dla przyjemności, lecz w

tym tygodniu użył tego miejsca jako podstępu. Podjeżdżał tam, parkował samochód w widocznym miejscu przed wejściem, wypijał jedno lub dwa piwa, a następnie udawał się do toalety, wymykając się tylnymi drzwiami. Wracał do nie oświetlonego domu, by siedzieć w fotelu aż do czasu zamknięcia tawerny.

Wtajemniczył barmana w swoje plany. Latem bar był przepelniony i wyglądało na to, że nikt nie zauważył jego nagłych zniknięć. Gdyby ktokolwiek jednak to skomentował, zawsze mógłby wyjaśnić, że chyłkiem udał się gdzieś z pewną panią. Bez wątpienia lokalne plotki zmierzały i tak w tym kierunku.

Zany nigdy jeszcze nie strzelił do człowieka. Pewnego razu w Wyoming zabił jelenia, będąc jeszcze nastolatkiem, podczas polowania. Żałował tego do końca życia - obraz śmierci w oczach biednego zwierzęcia ciągle go prześladował.

Śmierć była także w oczach dziewczyny na łodzi, a w oczach urzędników z 7-Eleven i księdza widniał strach. I w oczach Judy też.

Nie tak jak ci dwaj detektywi z dawnych lat, zamierzał jedynie ująć tych bękartów. Chciał po prostu nakryć ich na gorącym uczynku, by mu powiedzieli, o co u diabła w tym wszystkim chodzi, a także zaświadczyć w sądzie.

Niebo było zachmurzone tej nocy, a zacieniony księżyc dostarczał romantycznego schronienia na plaży chłopcom i dziewczynom przez większość tygodnia. Zmęczony beczynnym siedzeniem w cieniu wypił parę piw. I to był błąd. Musiał iść do łazienki.

Ale nawet się nie poruszył. Nadchodzili. Mieli swoje sposoby na to małe, wczasowe miasteczko, ale to nie oznaczało, iż nie byli *klutzes*. Słyszał ich samochód czy też ciężarówkę, podjeżdżającą powoli, a następnie, w kilka minut później - znowu dźwięk silnika i ten sam powolny przejazd samochodu.

Zany wyprostował się w fotelu, mocniej uchwycił pistolet i położył go na kolanach skupiając całą uwagę na oknie. Zmontował wcześniej ręczny włącznik, połączony kablem z lampą umieszczoną w odległym kącie pokoju. Pozwoliłoby mu to na trzymanie się samemu w cieniu, a wyraźne i jasne oświetlenie intruza.

Pierwsze hałasy dobiegły go od strony tylnych drzwi, był to stłumiony

szczyk zamka. Obawiał się, że mogą coś stłuc, czy też potrącić, co zmusiłoby go do szybkiej zmiany taktyki, ale okazali się być bardzo subtelni.

Teraz słyhać było coraz głośniejszy hałas wzdłuż bocznej ściany domu. Następnie, po długiej chwili, dobiegło go skrzywienie podłogi na werandzie. Nastąpiła długa cisza, po której usłyszał długi zgrzyt rozrywanego materiału. Cięli zasłony okienne. Typowi włamywacze ogrodowi. Zany prowadził setki spraw o podobnym scenariuszu.

Podniósł pistolet. Rozległo się coraz więcej dźwięków rozdierania i cięcia materiału, a potem pierwszy z intruzów rozchylił zasłony i wszedł do środka. Rozejrzył się wokół przez moment, nasłuchując, i odwrócił się, by pomóc kumpłowi. Gdy obaj byli wewnątrz - przekraczając legalny próg, jaki prawo zakłada dla ochrony własności prywatnej - Zany zapalił światło.

- Nie ruszajcie się, skurwysyny! - wykrzyknął.

Miał nadzieję, że gwałtowność jego głosu i słów zmrozi ich, lecz, dla odmiany, poddali się panice. Czarny człowiek z tej pary podniósł rękę do paska w poszukiwaniu czegoś i Zany, naciskając spust, miał żarliwą nadzieję, że była to broń.

Kula Zany'ego uderzyła go w dolną część klatki piersiowej, odrzucając w stronę okna. Drugi z włamywaczy odskoczył w bok, sięgając także do pasa. Tym razem Zany zobaczył, że ma broń.

Wystrzelił dwa razy, drugi strzał wymierzył wysoko, trafiając mężczyznę w głowę. Zwalił się na ziemię, jak kawałek mebla.

Czarny mężczyzna jęczał i płakał, ściskając się za brzuch, przekleństwa płynęły potokiem z jego ust. Psy czekały. Krew rozlewała się po dywanie.

Zany podszedł do nich na tyle blisko, by upewnić się, że nie stwarzają już żadnego zagrożenia, a następnie zadzwonił na policję.

- Posterunek policji w Grand Pier - odezwała się Vaclav.

- Barbara, tu mówi Zane. Mam u siebie w domu włamanie. Była strzelanina. Dwaj podejrzani są poszkodowani. Przyślijcie tu kogoś natychmiast. A także ambulans.

George Hejmal zjawił się po kilku minutach, razem z nim członek patrolu - młody funkcjonariusz, sympatyczny chłopak, ale zupełnie niedoświadczony. Patrząc na ofiary strzelaniny powtarzał bez przerwy: „Boże Wszchemogący”.

- Czy wezwalesz karetke? - zapytal Zany. - Jeden z tych facetow jest ciiezko ranny. A drugi chyba sie nie rusza.

- Nigdy sie juz nie poruszy - odpowiedzial Hejmal.

- Dobrze, w kazdym razie zajmijcie sie nimi - powiedzial Zany. - Ja sie stad zmywam. - Przylozyl dlon do zoladka. Chec oddania moczu nie byla jedynym powodem, dla ktorego musial udac sie do lazienki.

Gdy wroutil, po wytrysnieciu osobliwej mieszaniny zuzytego piwa do muszli klozetowej i umyciu spoconej twarzy, znalazl dwuch policjantow stojacych tylem do wlamywaczy i wpatrujacych sie w niego.

- Nie bedziemy juz potrzebowali karetki, Zane - powiedzial Hejmal. - Czarny chlopak wlasnie umarl.

- Gowno - wykrzyknal Zany. - Mialem nadzieje, ze do tego nie dojdzie. Czy mieli bron? - Nie chial nawet patrzec na ciata.

- Tak, prosze pana - odpowiedzial mlody funkcjonariusz. - Dwa wielkie cholerne automaty.

- Niczego nie dotykajcie - polecil Zany, podchodzac do telefonu. - Dzwonie do policji stanowej. Chce, by ci dwaj osobnicy byli rzeczywiscie dobrze zidentyfikowani.

Hejmal rzucil okiem na ciata, a potem zwroutil sie do Rawlingsa.

- Mamy powazny problem, Zane. Jesteś teraz cywilem, uzyles broni i zabiles dwuch ludzi. Musze sporzadzic raport. To znaczy, do diabla, Zane, mysle, ze powinienem zabrac cię ze soba na przesluchanie.

Zany potrzasnal glowa. - Nie mowisz do cywila, George. - Siegnal do tylnej kieszeni i wyciagnal lsnicy, nowy skorzany portfel i otwierajac go ukazal jeszcze bardziej lsnicą srebrną odznake. - Mowisz do zastepcy szeryfa. Zostalem zaprzysiezony trzy tygodnie temu.

- Dlaczego, do diabla, nic mi nie powiedziales?

- Nie chialem, by Judy sie o tym dowiedziala.

- No dobrze, ale mysle, ze i tak sie dowie.

ROZDZIAŁ

22

Poe odwołał wszystkie swoje wywiady telewizyjne i najbliższym lotem wrócił do Chicago. Poleciał Mango, by szepnęła prasie, kiedy wraca i na lotnisku O'Hare oczekiwał go tłum reporterów. Kierownik lotniska udostępnił im wolną poczekalnię na zaimprovizowaną konferencję prasową.

Poe, przyglądając się bacznie grupie dziennikarzy, podszedł do mikrofonów i wygłosił krótkie oświadczenie o szoku, jakiego doznał, żalobie i pomocy dla rodzin ofiar. Następnie, kierując swoje słowa do kamer telewizyjnych, przedstawił szczegółową relację ze swoich dotychczasowych działań. Wstrzymał natychmiast wszelki ruch helikopterów na Meigs i przeniósł je od razu na Midway. Było to dosyć proste, ponieważ miasto, na prośbę Narodowej Rady do Spraw Bezpieczeństwa Transportu, czasowo zamknęło Meigs. Poe oznajmił, iż zdecydował się na przeniesienie swoich linii z tego lotniska na dobre.

Następnie oświadczył, że uformował komitet działający na rzecz zamknięcia Meigs na stałe i przekazania tej nieruchomości we władanie Wydziału Zieleni Miejskiej, dodając, że miasto poinformowało Agencję Kontroli Ruchu Powietrznego więcej niż rok temu, że rozważa podjęcie takiego właśnie działania.

W końcu powiedział, że zwróci się do Wydziału Zieleni Miejskiej o zgodę na wzniesienie kompleksu muzeów etnicznych nie na Cabrini Green, lecz na Meigs Field i ma nadzieję, że miejsce to zostanie nazwane Parkiem Imigrantów.

Jeden z reporterów zadał pytanie: - Czyż muzea nie były kluczową częścią kompleksu Cabrini Green? Co będzie to oznaczało dla reszty projektu?

- Wszystko się zmieniło. Nie wiem jeszcze, co teraz zrobić.

- Czy to oznacza, że nie zamierza pan budować największego na świecie wieżowca?

- Tego nie powiedziałem.

- Mamy informacje, że brakuje panu pieniędzy.

- Jeśli ma pan na myśli ten artykuł w *Tribune*, to nie pisano, że nie mam pieniędzy. Doniesiono tylko, że Cabrini Green nie przyniesie tak dużych wpływów, jak byśmy sobie tego życzyli. Będziemy może musieli znaleźć inną lokalizację.

- Na przykład Meigs Field, panie Poe?

Poe zarumienił się. - Posłuchajcie! Przed chwilą o tym mówiłem! Nie wiem jeszcze, co zamierzam zrobić! Pierwszą rzeczą, o którą trzeba zadbać, to ludzie ranni w tej katastrofie. I ich rodziny. A potem chcę mieć pewność, że żaden samolot nie przyleci już nigdy na Meigs Field. Mogłaby być większa katastrofa. Wszędzie było pełno ludzi, pływających na łodziach, bawiących się na piknikach. Już od dawna mówiono mi, że Meigs Field powinno być zamknięte. Nie słuchałem tego. Ale teraz słucham. I wy też powinniście o tym mówić. Głośno i jasno.

- Czy rozmawiał pan o tym z burmistrzem?

- Tak. - To była prawda. Poe dzwonił do niego, gdy tylko dowiedział się o katastrofie, chociaż tylko o tym mówili w krótkiej rozmowie.

- Czy powiedział mu pan o swoich planach wzniesienia wieżowca na Meigs Field?

- Nie, do diabła! Powiedziałem tylko, że sądzę, iż Meigs Field powinno zostać zamknięte i muzea powinny powstać właśnie tam. W pobliżu jest przecież także Field Museum. Znajduje się tam jeszcze planetarium i akwarium. To jest całkiem rozsądne.

Komentator wiadomości z jednej ze stacji telewizyjnych pomachał ręką. Poe rozpoznał go natychmiast.

- Panie Poe, co powiedziałaby pan tym, którzy mogliby oskarżyć pana o wykorzystanie tej strasznej tragedii do przeprowadzenia swojego własnego programu?

Głos Poego stał się bardzo głęboki. - Ty sukinsynu - powiedział powoli, mając nadzieję, że zabrzmi to kąśliwie. - Jak może być pan tak piekielnie cyniczny w takiej chwili? Moi pracownicy byli na pokładzie tego helikop-

tera! Ludzie, którzy byli ze mną od lat! Jeden z moich najbliższych współpracowników, jeden z moich najbliższych przyjaciół, Bobby Mann, kierownik mojego kasyna, został zabity. Ja sam mogłem też być na pokładzie. I pan śmie oskarżać mnie o wykorzystywanie tej katastrofy do własnych celów? Na Boga, po prostu usiłuję robić to, co uważam za właściwe.

Przetarł oczy i dał krok do tyłu. Yeats zbliżył się do mikrofonu.

- Pan Poe musi już wyjść - powiedział. - Zamierza udać się do szpitala, by odwiedzić uratowane ofiary katastrofy. Panie i panowie, dziękuję państwu za uwagę.

Poe wraz z eskortą przeszedł szybko przez tłum.

Do limuzyny zabrał ze sobą jedynie Mango. Ufał Krasowskiemu bezgranicznie, ale tym razem podsunął do góry szklaną przegrodę.

- Jesteś cholernie zadowolona z siebie, prawda, Mango?

Dojrzała coś w jego oczach, czego się nie spodziewała. Jego żal był prawdziwy. Co, do diabła, będzie teraz?

- To był wypadek, Peter. Śmigła silnika odpadły. Wszyscy tak mówią.

- Szesnaście osób było w tym helikopterze. Stare damy. Nowożeńcy w podróży poślubnej. Trzy osoby zabite na dworcu lotniczym. Jedenaście w szpitalu. Tym razem prawdziwa masakra, Mango.

Zapaliła papierosa. - Nie można tego cofnąć.

- Wprost nie mogę uwierzyć.

- To musiało być zrobione, Peter. Bobby uważał, że należy się ciębie pozbyć. Był przerażony, gdyż myślał, że zamierzasz go zabić.

Jechali wzdłuż Kennedy Expressway. Krasowski, z licencyjną nalepką „Poe I”, kierował płynnie limuzyną, mimo dużego ruchu.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Poe.

- Znowu odbywał liczne rozmowy telefoniczne - z Filadelfią. Zdecydowałam, że nadszedł już czas, by go uziemić. Pomogli mi w tym nasi przyjaciele z Chicago.

- Uziemiłaś jego i jedenastu innych ludzi.

- Musiałam to zrobić. Uratowałam ci życie, Peter.

- I prawdopodobnie uwikłałaś mnie w morderstwo. Najbardziej pieprzone morderstwo w historii Chicago.

- Wypadek. Bywały o wiele groźniejsze w skutkach katastrofy lotni-

cze. Na Boga, Peter, nikt nie zamierza oskarżać cię o wysadzenie w powietrze własnego helikoptera. Jeżeli nawet dojdą do tego, co się wydarzyło - a i to będzie trwało tygodniami, jeżeli kiedykolwiek uda im się zebrać razem wszystkie szczątki i kawałki metalu - to i tak pierwszą rzeczą, o której pomyślą, będzie przypuszczenie, iż ktoś chciał uderzyć w ciebie, podobnie jak to było z łodzią.

- Cudownie.

- Nie zwracaj sobie teraz tym głowy. Jesteś obecnie na czołowej pozycji w tej grze. Masz po prostu nadal wykonywać ruchy. Wszystko się przecież wyprostowało, prawda? Tak jak chciałeś.

- Ale pozostaje jeszcze burmistrz.

- Nie sądzę, by wiedział, co robić, co myśleć. Ale mogę się założyć, że nie zechce otworzyć ponownie tego lotniska.

Potań policzek. - Czy nic nie przyszło jeszcze z Inland Empire, w sprawie zaliczki?

Potrząsnęła przecząco głową. - Yeats powiedział, że ciągle czekają na wiadomość z Tokio. Pan Yamaguchi jest poważnie tym zainteresowany.

Dwieście milionów dolarów to poważna suma, ale Yamaguchi był wart miliardy. Poe zastanowił się, co to za uczucie posiadać miliard dolarów, nie mając ani centa.

- I co jeszcze?

- Matthias Curland czeka na ciebie w apartamencie.

- O, Boże.

- Powiedziałam mu, by poczekał. Nie przejmuj się. On jest najmniejszym z twoich problemów. Musisz tylko być z nim twardy. Ten facet jest jak puszek do pudru. Pieprzony Niemiec. Zimny jak stal na zewnątrz, a miękki w środku. Nie tak jak jego brat. Christian jest być może bujnym tworem elity towarzyskiej, ale to chłop z jajami.

- A co z Kirchnerem?

- Obawiam się, że jest stracony, Peter. Nie mam pojęcia, co ten tępy policjant z nim zrobił, ale nawet gdyby zamierzał przysporzyć nam poważnych kłopotów, to byśmy już coś o tym słyszeli. W każdym razie ciebie to nie dotyczy.

- Mogliby wpaść na trop Larry'ego Traina.

- Nie zrobią tego.

Nie zamierzał pytać jej, co przez to rozumie.

- Mamy kilka strat w Michigan - powiedziała. - Wśród poszukujących tego obrazu. Ta słomiana pała miała szczęście.

- Mango...

- Byli wynajęci z zewnątrz, pamiętasz, Peter? Nie ma się o co martwić. Podobna sytuacja, jak z chłopcami z „purpurowego gangu”, których użył Capone do masakry w Dzień Świętego Walentego.

Potrząsnął głową. - Teraz ja jestem Alem Capone.

- Trzymasz się mocno, Peter. Rozchmurz się.

Matthias czekał w salonie. Poe spodziewał się walki, lecz architekt sprawiał wrażenie zimnego i raczej poważnego.

- Twoja żona jest na górze - odezwał się chłodnym tonem.

- Spędziliście we dwoje męczący dzień?

- Katastrofa helikoptera bardzo nią wstrząsnęła.

- Mną także. Właśnie wracam ze szpitala. Biedni ludzie. Muszę się czegoś napić. Chcesz drinka?

- Nie, dziękuję.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował jednego. Brandy?

- Niech będzie.

Poe powrócił z dwoma kieliszkami i butelką Courvoisier, a następnie zajął miejsce naprzeciwko Curlanda. Patrzyli na siebie - mangusta i kobra.

- Wróćmy do naszej sprawy, Matthias - powiedział Poe, pochylając się do przodu, z rękami na kolanach. - Nadal pragnę, byś tworzył mój wieżowiec, niezależnie od okoliczności.

- Jakie „okoliczności” masz na myśli?

- To znaczy, że nie chcę, by cokolwiek zakłócało twoją pracę nad projektem. Ani to, co jest między tobą i Diandra, ani też cokolwiek innego.

- Ona chce cię opuścić.

- Być może chce. Lecz w tej chwili zostawmy to na boku. Nastąpiła pewna zmiana w naszych planach. Będzie o tym mowa w wiadomościach, więc równie dobrze mogę ci już teraz o tym powiedzieć. Myślę, że z powodu

wypadku, Meigs Field zostanie zamknięte. Tak więc zamierzam postawić wieżowiec w Meigs.

Oświadczeniem tym Poe odbił do niego piłkę i czekał spokojnie na odbicie Curlanda, lecz on po prostu siedział bez słowa, jedynie jego twarz stawała się coraz bledsza.

- „Trakt Solidarności” - powiedział w końcu. - Ulica, która prowadzi do Meigs, to „Trakt Solidarności”.

- To prawda.

- Planowałeś postawienie tam wieżowca już od samego początku. Kłamałeś. Kłamałeś wszystkim.

- To ty kłamałeś sam sobie, Curland. Czy naprawdę myślałeś, że bogaci ludzie chcieliby mieszkać na terenie Cabrini Green? To by nie przeszło. Był to sposób na wystartowanie z projektem. Nie mogę zrozumieć, że mogłeś być aż tak tępy, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy.

- Jeżeli porównujesz inteligencję z nieuczciwością, to rzeczywiście należy założyć, że jestem tępy.

- No dobrze, zatem nadszedł czas, aby zmądrzeć.

- Właśnie zmądrzałem. Nie chcę mieć więcej z tobą do czynienia. - Matthias wstał.

- Usiądź - zakomenderował Poe. Matthias zignorował go, zmierzając w stronę drzwi. - Jeżeli kiedykolwiek jeszcze chcesz zobaczyć Diandrę, to radzę ci nie wychodzić.

Matthias zatrzymał się. - Diandra nie ma nic do tego - odpowiedział zwrócony do Poego.

- Do diabła, rzeczywiście nie ma. Posłuchaj, po prostu mnie wysłuchaj. Potem możesz podjąć decyzję. W porządku? Pięć minut?

- Nie mam pojęcia, co mógłbyś mi mieć takiego do powiedzenia, co zmieniłoby moją opinię o tobie i twoich planach dotyczących wieżowca.

- Będziesz zdumiony.

- Nie jestem pewien nawet tego, czy w ogóle ma być jakiś wieżowiec, panie Poe. Był taki artykuł w *Tribune* dzisiaj rano, w którym pisano, że twoi inwestorzy wycofali się.

- Wieżowiec ma stanąć. I inwestorzy nie wycofali się, nie, jeżeli postawię ten wieżowiec od strony jeziora. Taka jest umowa.

- No dobrze. W takim razie poszukaj sobie innego architekta. Nie jestem zainteresowany konstruowaniem budowli wzdłuż brzegu jeziora.

- To przecież nie zbrodnia. A ty już stałeś się częścią tego zamierzenia. Chodź ze mną, Matt. Chcę ci coś pokazać. Pięć minut.

Z ociąganiem Matt podążył za nim do wielkiego, pełnego okien pokoju, w którym znajdowała się makieta miasta. Poe włączył wiszące nad głowami reflektory. Model budowli Matthiasa, podobny do masztu wieżowiec pomalowany na błyszczący karmazynowy kolor, połyskiwał jasno.

- Tak to ma właśnie wyglądać, Matt. Będziemy musieli go nieco przesunąć w stronę jeziora. Poświęć tyle półwyspu na teren parkowy, na ile możemy sobie pozwolić, by zadowolić podniebnych kochanków, nie wspominając już o Wydziale Zieleni Miejskiej. To będzie kosztowało więcej pieniędzy, lecz moi japońscy przyjaciele mają ich w bród.

- To jest monstrualna budowla. Przytłoczy Grant Park. Zdominuje miasto. Jest za duża. Nie może tu stanąć. Miasto utrzymywało otwarty teren od strony jeziora dłużej niż przez wiek. Nie możesz tak po prostu przyjść i to zmienić.

- Głupie gadanie. A co masz tutaj? Wieżowiec Lake Point, prawie na jeziorze. A to co, górujące nad Grant Park? Budynek Standard Oil, wysoki na ponad sto pięter. A tamta wielka, pieprzona rzecz, to co? McCormick Place. Ja nie robię nic innego, niż zrobili inni inwestorzy.

- Stawiasz ścianę pomiędzy centrum Chicago i jeziorem. Na Boga, czyżby twoje ego było aż tak wielkie? Jeżeli potrzebujesz nowego miejsca, dlaczego nie tutaj w dole, za traktem Illinois Central?

- Najwyższa budowla na świecie, największa budowla świata - moja budowla, nie będzie wznosić się ponad jakimś przeklętym traktem South Side. Stanie tutaj. Nigdzie więcej.

- Dzisiaj zginęli tutaj ludzie, w jednym z twoich helikopterów. Nikt nie pozwoli ci postawić tego na ich krwi.

- O tak, pozwoli. Wszystko jest zmienne.

- I ja także. Dobranoc, panie Poe. Życzyłbym sobie, aby przeniósł się pan do innego miasta.

Tym razem Poe pozwolił mu dojść aż do drzwi. - Czy chcesz mieć Diandrę?

- Ona chce cię opuścić. Nie jest twoją własnością. Nie możesz jej zatrzymać.

- Oczywiście, że mogę. Ciebie także. Wysłuchaj mnie. Mam zamiar przedstawić ci pewną propozycję.

Matthias zatrzymał się. Dochodzi w końcu do tego, co przewidziała Diandra.

- Zamierzam dać ci wybór, Curland. Jeżeli wyjdiesz stąd i Diandra pobiegnie za tobą, to sprawię, że będzie wam obydwójgu cholernie przykro, gdy tylko usłyszycie moje imię. Ona nie dostanie ani centa. Podpisała twardą umowę przedślubną. Jeżeli wystąpi o rozwód, będę walczył. Będę was oboje ciągał po sądach, a mam wielu przyjaciół w gronie przysięgłych. Udzielę wielu wywiadów w gazetach i magazynach, w telewizji - razem z fascynującymi fotkami, które wam zrobiłem. Dostarczę twoim przyjaciołom z towarzystwa największy skandal, o jakim nie mieli okazji plotkować od lat. Pójdę do glin - a mam wielu przyjaciół wśród gliniarzy - i powiem im, że powinni bliżej się przyjrzeć stosunkom, jakie łączyły cię z tą zamordowaną dziewczyną, Jill Langley - jak pieprzyłś ją na boku i wpędziłeś w kłopoty. I jak to mogłoby mieć coś wspólnego ze znalezieniem jej martwej w twojej łodzi. To także dostanie się na łamy prasy. Twoje nazwisko - nazwisko twojej rodziny - będzie głównie warte, gdy z tobą skończę.

- Jest pan nikczemnikiem, panie Poe.

- A kim ty jesteś? Pieprzyłś Diandrę, zamężną kobietę. Moją żonę. Oszukiwałeś swoją żonę z Jill Langley.

- Czy możesz już przestać?

- Zamknij się. To nie wszystko. Zajmę się także tym, byś nigdy już nie pracował jako architekt. Powiem im, że spartoliłeś ten projekt tak, że musiałem przekazać go firmie Cudahy-Brown do poprawki i że wcisnąłeś mi stek kłamstw o tym, jak ten wieżowiec będzie wspaniale funkcjonował na Cabrini Green. A ponadto naciągałeś mnie na pieniądze, by spłacić rodzinne długi.

Zamilkł na chwilę, by pociągnąć łyk brandy, tak jakby to była tylko leniwa konwersacja przy stole. - A to wszystko tylko na początek, Curland. Pomyślę nad bardziej obszernym materiałem. Wciągnę do tego moją sekretarkę, Mango. Ona jest rzeczywiście bystra w wymyślaniu sposobów

dokuczania ludziom. Wątpisz, czy to zrobię?

- Ani przez moment.

- Twój drugi wybór, to granie ze mną w jednej drużynie. Jeżeli tak postąpisz, uczynię cię szczęśliwym człowiekiem. Otrzymasz pełną swobodę co do wieżowca, kredyt na wieżowiec. Staniesz się najślawniejszym architektem na świecie. I będziesz mógł mieć Diandrę. Ona niszczy wszelkie dobra, o ile ja się orientuję. Lecz jest bardzo droga, panie Curland. Będziesz potrzebował forsę. Wydałem na nią kilka milionów - niech będzie pięć milionów. Gdy wieżowiec już powstanie, będziesz mógł udać się, dokąd zechcesz. Na południe Francji? Dam ci willę. Dam ci nowy jacht. Będziesz żył o wiele szczęśliwiej.

- Jesteś szalenie hojny.

- To moje drugie imię. Ale musisz grać ze mną. Jest jeszcze coś innego.

- Z tobą zawsze jest coś innego.

- Posłuchaj, wieżowiec będzie budowany. Już wszystko ustaliłem. Uzyskanie terenu Meigs Field stanowi jednak trudny problem, ale go rozwiążemy. Gazety będą temu przeciwnie, ale mogę zabrać trochę wiatru z ich żagli - a szczególnie z *Tribune*, korzystając ze sposobu, w jaki popierali Mc Cormack Place w dawnych czasach. Ludzie nas poprą, no może nie miłośnicy drzew, ale ci, którzy mieszkają w sąsiedztwie. A zwłaszcza grupy etniczne. Jestem jednym z nich, pamiętasz? Mam głosy poparcia w Radzie Miejskiej. Uzyskałem już wszystko, co potrzeba ze stanowego ciała ustawodawczego. Mam jeszcze tylko dwa problemy: muszę pozyskać dla naszej sprawy burmistrza oraz zdobyć aprobatę rady Wydziału Zieleni Miejskiej.

Matthias potrząsnął głową.

- Wysłuchaj mnie, powiedziałem. Możesz mi pomóc z burmistrzem, no wiesz, to całe gadanie o wieży Eiffla dla Chicago. Podobało mu się to. Możesz także być pomocny w załatwianiu sprawy z Wydziałem Zieleni Miejskiej. Sądzę, że mogę wygrać w głosowaniu, ale nie zdecydowaną przewagą głosów. Jeden głos może przeważać. Myślę, że mogę polegać na Coopermanie. To jest jedyny sposób, by dostał to swoje Muzeum Holocaustu, ale poza nim jest jeszcze jeden głos, na który absolutnie muszę liczyć.

- Mojego ojca.

- Trafiłeś.
- Panie Poe. Obawiam się, że nie może pan liczyć nawet na obecność mojego ojca podczas posiedzenia rady Wydziału Zieleni Miejskiej.
- Owszem, mogę, o ile ty tego dopilnujesz.
- No właśnie.
- O to chodzi, Matt. Prosty wybór. Możesz mieć sławę, bogactwo, sukces oraz miłość swego życia - jeżeli ona nią jest - jako swą żonę. Albo możesz mieć ruinę, nieszczęście, ubóstwo i jeszcze więcej kłopotów, o jakich ci się nie śniło. A wszystko, o co cię proszę, to pomoc we wzniesieniu jednego z cudów świata, stworzonego przez człowieka.

Matthias wpatrywał się najpierw w Poego, a następnie w model na stole.

- Pomyśl poważnie nad tym - powiedział Poe. - Jestem prawie pewien, że Cooperman zwoła posiedzenie rady Wydziału Zieleni w przeciągu następnych kilku tygodni. To tylko autoryzacja, ale niezbędnie potrzebna, by ruszyć pieniądze. Daję ci czas do namysłu. Będę uważał głos twojego ojca za twoją odpowiedź.

- Dałem ci już odpowiedź.
- Nie, nie dałeś. Dwa tygodnie, Matt. Cokolwiek myślisz obecnie, masz jeszcze dwa tygodnie do ponownego rozważenia mojej propozycji.
- Chcę porozmawiać z Diandrą.
- Och nie, nie z Diandrą. Aż do głosowania.
- Zobaczymy.
- Rzeczywiście, zobaczymy.

Poe pozwolił Curlandowi odejść samemu do windy. Był pewien, że przeciągnął faceta na swoją stronę. Być może, wykroczył on nieco poza linię, lecz Poe miał zamiar nawrócić go już wkrótce. Sącył swoją brandy. Wielki wieżowiec wyglądał na stole niemal tak wspaniale, jak będzie się prezentował na brzegu jeziora.

Matthias szedł do domu spacerowym krokiem, lecz w niewielkim stopniu udało mu się rozproszyć zamęt w głowie.

Obrócił kolorowy projekt wieżowca przodem do ściany, przemierzał salon przez kilka minut, następnie obrócił obraz ponownie.

Wyglądał teraz zupełnie źle - wielka łódź żaglowa wyrastająca nad slumsami w obrębie Near North Side. Już tam nie pasował. To, co nigdy nie było zamierzone, nie powinno zaistnieć. Jego wyobrażenie, iż tak wielki, monumentalny twór mógłby być wzniesiony w takim miejscu, było głupią pomyłką, a projekt - zmarnowanym wysiłkiem. Podobnie jak wiele innych wyobrażeń i wysiłków w całym zmarnowanym, pomyłonym życiu. Został oszukany, wykorzystany; pozostawiono go pustym, sflaczałym i obrabowanym - i nie mógł obwiniać o to nikogo, tylko samego siebie. Tak jak to powiedział Poe, kłamał sam sobie. W ten właśnie sposób ludzie podobni do Poego odnosili sukcesy, poprzez nakłanianie innych ludzi, by kłamali samym sobie.

Poe mógłby kontynuować swoje zamierzenie bez niego. Firma Cudahy-Brown oczywiście dokonałaby pewnych zmian, dodałaby kilka ozdób, zepsułaby linię, wypaczyłaby piękno, czyniąc go bardziej ekonomicznym i przynoszącym korzyści. Mogłoby w ogóle zrezygnować z żagla i wzniesić po prostu wieżowiec - wieżowiec według ich własnej koncepcji. To było to, czym Poe był rzeczywiście zainteresowany - wysokość. Chciał posiadać sam szczyt. Pragnął mieć tam wyryte swoje imię.

Matthias spoglądał na obraz ze smutkiem, następnie badawczo, usuwając z płótna w pamięci przedni plan obrazu i tło, wyobrażając sobie zamiast tego puste pole błękitu.

A dlaczego by nie na jeziorze? Jeżeli prawdziwe było pokutujące w Chicago od dawna gorące przeświadczenie, iż otwarta linia brzegowa powstrzymuje miasto od przekształcenia się w jeszcze jedno Cleveland czy Milwaukee, nie było wielkiego niebezpieczeństwa, by stało się to właśnie teraz.

Nikt nie wykorzysta wieżowca Poego jako precedensu do otwierania fabryk i zakładów produkcyjnych w obrębie Parku Lincolna. Nikt nie będzie powielał dzieła Poego, jego dzieła. Nigdy już nie będzie miał okazji do stworzenia tak monstrualnej konstrukcji.

A może to tylko próżność? Któż w latach pięćdziesiątych mógłby wyobrazić sobie Chicago ze wszystkimi strzelającymi ku niebu wieżowcami, które teraz posiada? Któż mógłby wtedy mieć wizję tych szerokich, rozciągających się na setki mil sterylnych przedmieść? Za kilka wieków, gdy

będzie o miliardy ludzi więcej, być może miasto wypełni się monstrualnymi budynkami, które zajmą cały teren wokół jeziora. Cokolwiek mogliby zrobić, stałoby się ostatecznie niczym więcej, niż tylko niewielką wzmianką w książkach architektonicznych, jak to przydarzyło się tak wielu, niegdyś ołsniewającym, dziełom Louisa Sullivana w Loop.

Próżność, w samej rzeczy. Goethe, bohater jego dziadka, nazywał architekturę „mrożoną muzyką”. Było to jednak coś więcej, żalosna próba człowieka, by zamrozić czas, stać się nieśmiertelnym.

Cóż więcej pisał Goethe? „Los architekta jest najbardziej niezwykły ze wszystkich. Jakże często poświęca on całą duszę, serce i pasję, by tworzyć budowle, do których sam może nigdy nie wejdzie”.

Goethe. A także Shelley:

Moje imię Ozymandias, król królów.

Spójrz na moje dzieła, i rozpaczaj!

Nic nie pozostaje. Wokół zagłada,

kolosalna ruina, bezgraniczna i obnażona,

długie i rzeźbione piaski rozciągają się daleko.

Mądrość poetów. Nędzny materiał w porównaniu z mądrością artysty. Matthias tak zawsze myślał. A teraz się zastanawiał.

Poszedł do swego gabinetu, nie tylko po karafkę brandy. Ponieważ Sally nie liczyła się już dłużej w jego życiu, powiesił rycinę dziwki Egona Schiele'a z powrotem na miejsce.

Dziwka patrzyła na niego z góry, zużyta, w półleżącej pozycji, jej nagość noszona jak stare, rozchełstane ubranie. Dlaczego mnie nękaasz? - mówiły jej pełne bólu, zmęczone oczy. Szukasz mądrości, a ja na pewno jej nie mam. Wiem tylko, że życie jest bolesne, a potem przychodzi śmierć. Jeśli miłość jest tak daleko, jak kiedykolwiek oddalamy się od śmierci. Nie nękać mnie, ani siebie. Napij się jeszcze, *liebchen*.

Matthias wlał sobie pół szklanki brandy. Upił raz, potem drugi.

Inna para oczu gapiła się z góry na niego, z innego portretu. Białe włosy. Gęste siwe wąsy. Lodowate niebieskoszare oczy. Ludzie zawsze zwracali uwagę na zimną dostojność jego dziadka na tym obrazie. Teraz Matthias zdał sobie sprawę z prawdziwego powodu tej srogiej miny na twarzy starego dżentelmena. Pogarda.

Co może uczynić, aby zadowolić tego dawno zmarłego mężczyznę.

Czy kiedykolwiek coś takiego zrobił?

Znów napił się brandy i utkwiał spojrzenie w patriarsze. Potem odstawił szklankę i podszedł do szafy, w której zostawił zwinięty obraz, przyniesiony mu przez policjanta z Michigan.

Ciągle tam był - wszechobecna kobieta w czerwieni Kirchnera, jej jasny, kpiący uśmiech; potok ludzi biegnących ulicą w kierunku płomiennego horyzontu. To był prawie ten sam obraz, z którym umarła Jill, z wyjątkiem tego, że na tym Kirchner namalował ludzi zmierzających do szkarłatnego wieżowca.

Zwijając obraz Matthias włożył kurtkę i wyszedł. Stary rolls zapalił.

Skierował go na zachód.

Biuro w muzeum zmieniło się odkąd je ostatnio widział. Christian pracował tam i uprzątnął je gruntownie. W jakim stanie pozostawił podziemie?

Zabrało mu trochę czasu, zanim znalazł odpowiednią skrzynię. Drewniana skrzynia otworzyła się łatwo i ukazała tę samą kobietę w czerwieni, tych samych ludzi, tę samą ulicę.

Nie silił się, aby włożyć obraz z powrotem. Poszedł prosto do telefonu i zadzwonił do Zane'a Rawlingsa.

ROZDZIAŁ

23

Porucznik Frank Baldessari spędził spokojny poranek. Ubiegłej nocy jego sekcja miała tylko kilka spraw. Bezdomny osobnik - obecnie określa się takich mianem „winos” został znaleziony śmiertelnie pobity w alei w pobliżu Starego Miasta, a okręgowi policjanci donieśli o przypadku ewidentnego samobójstwa w zachodniej części Parku Lincolna - ofiarą był bogaty facet nadużywający alkoholu, cierpiący na zaburzenia emocjonalne. W przystępie chandry powiesił się na haku w swojej szafie, przy pomocy sznura od zasłon. Rozwiedziony. Samotny. Ciało znalazła kobieta, która sprząta. Oczywista sprawa.

Żaden z tych przypadków nie był nagłący, a na innych frontach było całkiem spokojnie, toteż Baldessari zrobił sobie długą przerwę - kawa, marlboro i leniwe myśli.

Myślał o słonecznych dniach na plaży, co skłoniło go do przypomnienia sobie o małym miasteczku Zany'ego Rawlingsa nad jeziorem, o sprawie Zany'ego, co z kolei, przypomniało mu o jego pracy. Podzielał zadziwienie i rozbawienie, jakie wywołały wśród kolegów wiadomości o tym, że Zany Rawlings zastrzelił dwóch włamywaczy na wydmach - i to jako zastępca szeryfa, ni mniej, ni więcej. Mulroney twierdził, że musiał puknąć tych bandytów przypadkowo, gdy wyciągał rewolwer.

- A może stary Zany pomylił ich z elektryczną maszyną do pisania - powiedział inny detektyw, przypominając im ogromną dziurę, jaką nieumyślnie zrobił Rawlings w jednej z tych maszyn na dole, wyciągając z szuflady rewolwer pewnej nocy.

Baldessari dołączył wtedy do ich śmiechu, lecz teraz pomyślał o tej całej sprawie bardziej serio. Zany namierzył tych dwóch podczas włamania w

swoim własnym domu, które było powiązane ze skradzioną własnością, mającą związek z morderstwem tej Langley.

Zany nalegał, by szukać związku pomiędzy tym przypadkiem a pewnym włamaniem i dwiema zbrodniami w Chicago, włączając w to sprawę numer jeden o morderstwo, obecnie zamkniętą. O'Rourke, Robert.

Porucznik nie zamierzał wznawiać dochodzenia i wzbudzać ponownie zainteresowania tą sprawą. Ale przyjrzenie się po raz wtóry zgromadzonym materiałom nie zaszkodzi. Martwi włamywacze byli parą wynajętych zbirów - ostatni znany adres to Newark, New Jersey. Wynajęte łobuzy mają z reguły szefów, a Baldessari nie życzył sobie, by jeszcze ktoś inny odwiedził jego starego kumpla. Ci martwi bandyci mieli przy sobie potężną broń.

Zdał sobie sprawę, że być może było coś, co przeoczył w pośpiechu, z jakim starał się wycofać Radę Miejską z tej sprawy, coś, co mogłoby pomóc Zany'emu. Jeżeli kiedykolwiek istniał policjant potrzebujący pomocy w pracy, to był nim stary Zany.

Zadzwoił po dane dotyczące dochodzenia w tej sprawie.

Baldessari zrobił kawał profesjonalnej roboty z odciskami palców, pobranymi z samochodu O'Rourke. Każdy z nich został dokładnie zbadany przez komputer FBI w Waszyngtonie, tak jak o to prosił Zany. Podobnym badaniom poddano odciski palców wykryte w apartamencie zamordowanej prostytutki.

Te z apartamentu zamordowanej blondynki i czarnej dziwki, straconej razem z O'Rourke, w naturalny sposób opatrzone były notatkami o aresztowaniach - liczne oskarżenia o prostytutkę i nagabywanie.

Zestaw odcisków pobranych ze spodniej części siedzenia w samochodzie O'Rourke okazał się błędnym tropem. Ponieważ nie należały one do zmarłej blondynki, Margaret Kozak, którą wszyscy zgodnie uznali za zabójczynię O'Rourke. Baldessari nie zwrócił na nie zbyt wiele uwagi. Notatka dołączona do tych zagadkowych odcisków palców z siedzenia samochodu głosiła - Rose Scalzetti - i wymieniono w niej trzy oskarżenia, także o prostytutkę - dwa w Miami i jedno w Atlantic City. Porucznik nie przywiązywał wagi do tych ciągłych przeprowadzek. prostytutki zmieniają często miejsce pobytu. Miami, Atlantic City, Chicago, Vegas, Los Angeles. Niektóre z nich pozostają razem ze swoimi opiekunami i stręczycielami;

inne wciąż dryfują, poszukując stale lepszej zdobyczy.

Jedyną rzeczą, która rzeczywiście go zainteresowała, to w jaki sposób, do diabła, ktoś mógł być aresztowany za wykręcanie numerów w Atlantic City. To zupełnie tak, jakby być przyłapanym na podwójnym parkowaniu w Nowym Jorku.

Pomyślał, że dobrze byłoby sprawdzić ją jeszcze raz. Nigdy nie wiadomo.

Rose Scalzetti. Sympatyczna włoska dziewczyna nie powinna parać się taką robotą.

Zadzwoił do Mulroneya.

- Wejdz w kontakt z gliniarzami z Atlantic City - powiedział. - Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej pani.

Rawlings i Matthias Curland odbyli rozmowy telefoniczne z pięcioma kolekcjonerami dzieł sztuki, którzy zgodnie z obliczeniami, dokonanymi przez komputer Zany'ego, byli najbardziej zachłannymi kupcami dzieł Ernsta Kirchnera i niemieckich ekspresjonistów. I nagle zaprzestali gwałtownie skupować obrazy w ubiegłym roku.

Do niczego nie doszli z czterema z nich. Dwóch miało bardzo istotne powody tak zagadkowego zaniechania kolekcjonowania tych dzieł. Dotarli do paragrafu jedenastego. Dwóch pozostałych martwiło się, iż podzielał wkrótce ten sam los.

Inny kolekcjoner z „gorącej listy” mieszkał w Filadelfii i nie byli w stanie porozumieć się z nim telefonicznie. Matthias rozpoznał to nazwisko, Herman Franck, przypominając sobie, iż ten człowiek był niegdyś powiązany z jego dziadkiem. Franck był daleko od paragrafu jedenastego. Był jednym z najbogatszych ludzi na Wschodnim Wybrzeżu.

Zdecydowali się odwiedzić go osobiście. Matthias zaaranżował spotkanie telefonicznie z jego lokajem, przedstawiając się jako wnuk Karla Albrechta, i mówiąc, że ma do sprzedania płótno, ale zależy mu na dyskrecji. Powiedział, że przywiezie je ze sobą. Lokaj zadzwonił do niego z odpowiedzią, że Franck zgodził się z nim zobaczyć. Dyskretnie.

Franck był starszym człowiekiem, dobrze po siedemdziesiątce. Był za-

równy przyjacielem, jak i rywalem dziadka Matthiasa. Posiadał jedną z największych w kraju kolekcji dzieł niemieckich i rosyjskich ekspresjonistów. W przeciwieństwie do Karla Albrechta, wypożyczał je nieodpłatnie muzeum. Przeprowadził rozmowy z Muzeum Sztuki Nowoczesnej o przekazaniu jej w prezencie większej części z nich, pod warunkiem, że będą stale wystawiane w sali noszącej jego imię. Kiedy muzeum uchylało się od wystawiania ich wszystkich w charakterze ekspozycji ciągłej, zdecydował się na wycofanie swojej oferty. Zezwolił Muzeum Sztuki w Filadelfii na zorganizowanie wielkiej wystawy wszystkich jego obrazów, ogłosił, że jest to ostatnia wystawa, a następnie wycofał wszystkie te dzieła do galerii, mieszczącej się w jego olbrzymim domu, przy Philadelphia Main Line.

Tym niemniej, nie zaprzestał kolekcjonowania. Poprzedniego lata zapłacił rekordową na świecie cenę za Emila Nolde'a.

A potem, w październiku, wstrzymał wszelkie zakupy obrazów, a nawet zwolnił swojego agenta w Nowym Jorku. Zaskoczyło to wszystkich. Franck przyrzekał sobie, iż pójdzie do grobu z większą kolekcją niż kolekcja Albrechta.

Chociaż komputer umieścił Francka na „gorącej” liście, Zany nic nie wiedział o jego rywalizacji z dziadkiem Matthiasa. Gdyby był tego świadomy, z pewnością udałby się do starszego pana w pierwszej kolejności, zanim zajął się wszystkimi pozostałymi kolekcjonerami.

Na stacji kolejki podmiejskiej wzięli taksówkę. Po wprowadzeniu ich do domu przez starszego lokaja, zostali uroczyście zaproszeni do biblioteki.

- Twoje mieszkanie w Chicago, przy tym co jest tutaj, wygląda jak chata - powiedział Zany, patrząc na półki pełne oprawnych w skórę książek.

- Nikt nie powinien już nigdy tak mieszkać - rzekł Matthias. - Ten dom powinien stać się muzeum. I tak się stanie pewnego dnia.

Franck wszedł, przystając co chwila. Powoli podszedł do wielkiego mahoniowego biurka bez przedstawienia się, czy powitalnego uściśnięcia rąk. Gestem zaprosił ich do zajęcia miejsc. Spoglądając na Zany'ego z pewną dezaprobatą, zwrócił się do Matthiasa.

- Dobrze znałem pańskiego dziadka - powiedział.

- Wiem o tym.

- Pracowałem z nim w Komitecie „Ocalenia Sztuki Niemieckiej” w

latach trzydziestych, gdy byłem na uczelni. Był oponentem nazistów, gdy wielu niemieckich Amerykanów pochwalalo Hitlera. Poświęcił wielkie pieniądze na wydostanie Żydów z Niemiec. Czy pan o tym wiedział? Karl Albrecht, dobry i rozważny człowiek. Szkoda tylko, że był tak głupi i ograniczony, jeśli chodzi o sztukę.

- Miał ekscentryczne pomysły - przyznał mu rację Matthias.

- Zamknął te wszystkie cudowne dzieła przed ludzkim okiem. Ja też już nie wystawiam moich, jak być może pan wie, lecz zezwalam studentom i stypendystom na obejrzenie ich podczas umówionych spotkań. Czy chciałby pan przyjrzeć się mojej kolekcji?

- Być może później - odpowiedział Matthias.

Starszy pan miał mniej lat niż ojciec Matthiasa, lecz wyglądał starzej. Zbyt wiele czasu spędzał w domu.

- Powiedział pan, że ma pan do sprzedania jakieś płótno - odezwał się Franck. - Niemieckiego ekspresjonistę.

Matthias otworzył z traskiem zamek wielkiej walizy, którą przywieźli ze sobą, lecz nie uczynił dalszego ruchu, pozwalając, by oczy Francka spoczywały na jej pokrywie.

- Nie wolno panu sprzedawać obrazów z pańskiego muzeum - rzekł Franck.

- To prawda. Ten jednak nie pochodzi z kolekcji dziadka. Natknąłem się na niego w osobliwy sposób.

- No dobrze, zatem obejrzymy go.

- Powiedziano mi, iż jest pan w posiadaniu największej w kraju kolekcji dzieł Ernsta Kirchnera.

- Prawdopodobnie największej na świecie. Niech pan mi go pokaże!

Matthias wahał się nadal, pozwalając, by zapał i niecierpliwość starca wzrosły do maksimum. Wiele zależało od tego, jak dramatycznie zmieniały się jego uczucia - jeżeli w ogóle ulegały zmianie.

Curland otworzył pokrywę, rozwinął płótno i trzymał przed sobą.

- Bardzo rzadkie dzieło, chyba zgodzi się pan ze mną - powiedział.

Franck wpatrywał się z osłupieniem w obraz, tak jakby Matthias trzymał przed sobą biały arkusz papieru. Jego lewa ręka zaczęła drżeć. Przymknął bładoniebieskie oczy, jakby nie rozumiejąc, co się dzieje. Mieli swojego

człowieka.

- Jest to *Scena uliczna, Lipsk* - przerwał milczenie Franck. Ukończony w 1919.

Rzeczywiście ekspert - przyznał w duchu Matthias.

- Stanowi on część kolekcji pańskiego dziadka. Nie mogę go kupić.

- Ale pan go zamówił, sir. Czyż nie? Od kolekcjonera dzieł sztuki z Chicago?

Twarz starego człowieka pobladła, ale zaraz potem odzyskała barwę. Doznał gwałtownego ataku kaszlu. Zany obawiał się, że mógłby się na nich przewrócić.

- Czy dobrze się pan czuje, panie Franck?

- Nie.

Czekali, aż ustąpi kaszel.

- Panie Curland - powiedział - obawiam się, że nie zrobię z panem interesu.

- Wprost przeciwnie. Jak wspomniałem, obraz ten nie pochodzi z muzeum mojego dziadka. I rzeczywiście nie pochodzi. - Ponownie sięgnął do walizy, wręczając inne zrolowane płótno Zany'emu, który rozwinął je i trzymał rozpostarte przed sobą.

- To jest *Scena uliczna, Lipsk* z podziemnego magazynu mojego dziadka - powiedział Matthias. - Ten, który ja trzymam, to kopia. Cudowna kopia, nie sądzi pan? Wykonana przez prawdziwego znawcę. Jedyne historyk sztuki, czy też specjalista od restauracji obrazów mógłby je odróżnić.

Franck zrobił się teraz tak błądy, że Zany'emu wydawało się, iż ktoś zatamował mu krew.

- Ale ja posiadam certyfikaty potwierdzające autentyczność obrazów - wybełkotał Franck.

- Co pan posiada? Certyfikaty na te właśnie płótna?

- Nie. Nic nie wiem o tych pana malowidłach. Na moje własne. Nigdy nie kupuję obrazu, zanim nie jest on zbadany przez eksperta i zanim nie potwierdzi on jego autentyczności. Dotyczy to każdego obrazu w mojej kolekcji.

Matthias położył obraz, który trzymał w rękach, na biurku. Zany zrobił to

samo.

- Przedstawmy to w ten sposób, panie Franck - powiedział Rawlings. - Przypuśćmy, że ktoś miał w swoim posiadaniu oryginalnego Kirchnera i zgodził się go panu sprzedać. Przypuśćmy, że oddał go do zbadania uznanemu ekspertowi i uzyskał dokument potwierdzający jego autentyczność, tak jak pan sobie życzył. Ale przypuśćmy dalej, że gdy nadszedł czas odesłania płótna, ten ktoś zamienił oryginał na świetną kopię i przesłał ją panu wraz z certyfikatem.

- I przypuśćmy, że powtórzył tę samą operację z wieloma oferowanymi panu obrazami - dodał Matthias.

- Miałby pan cały pęk fałszywych płócien w swoich rękach i straciłby pan mnóstwo forsy, a nigdy by się pan o tym nie dowiedział - powiedział Zany. - Chyba że pojawiłaby się u pana para facetów z dowodami w ręku, by udowodnić panu całe to oszustwo bez żadnej wątpliwości, i my to wszystko sprawdziliśmy. Obecnie w podziemiach Albrechta znajdują się autentyczne obrazy. Cokolwiek zostało sprzedane, z całą pewnością jest falsyfikatem.

- Całkowicie podrobione, jakkolwiek z doskonale uchwyconym podobieństwem - dodał Matthias.

- Ktokolwiek je kupił, został oszukany. Sympatyczna, koronkowa robota.

Franck zanurzył się z powrotem w swoim fotelu, sprawiając wrażenie bardzo małego i kruchego. - Mój Boże - wyjąkał słabym głosem.

Na jego twarzy pojawił się gniew, który dodał mu sił.

- Matthiasie Curland - powiedział. - Czy pan wie, kto brał udział w tych transakcjach?

Matthias ciężko potaknął. - Obawiam się, że tak.

- Pański własny brat. I pan nic o tym nie wiedział?

- Od kilku lat mieszkałem we Francji.

- A kto jeszcze uczestniczył w tych sprzedażach? - zapytał Zany. - Kto pełnił funkcję pośrednika?

- Nie sądzę, że powinienem powiedzieć coś więcej - odrzekł Franck.

- Czy to był Laurence Train?

Stary człowiek patrzył wprost przed siebie.

- Nie wniesiemy przeciwko panu żadnego oskarżenia - oznajmił Zany.

Wyciągnął swoją odznakę przedstawiciela szeryfa. - Mówię to z pełną odpowiedzialnością w imieniu władz. Zakładamy, że pan nie wiedział, iż te właśnie płótna objęte były specjalnymi klauzulami w testamencie Albrechta i zakupił je pan w dobrej wierze. O ile się orientuję, to nie jest pan częścią tego kryminalnego spisku. Jest pan po prostu ofiarą fałszerstwa dzieł sztuki.

- Czy usiłował pan kupić jeszcze jednego Kirchnera tego lata? - zapytał Matthias. - Obraz nazywany *Czerwona wieża*? Dzieło towarzyszące temu tutaj.

- Tak - odpowiedział niemal niedosłyszalnie Franck. - Ale nigdy go nie dostarczono.

- A czy był ktoś jeszcze zaangażowany w tę transakcję? - zapytał Zany.
- Poza Laurencem Trainem?

- Tak. Inny kolekcjoner. Ktoś, od kogo już przedtem kupowałem obrazy.

- Zechciałby pan powiedzieć nam jego nazwisko?

- To Peter Poe.

ROZDZIAŁ

24

Gdy powrócili na lotnisko O'Hare, Rawlings poszedł odebrać bagaże, podczas gdy Matthias pospieszył do automatu telefonicznego i zadzwonił do apartamentów Poego, usiłując raz jeszcze połączyć się z Diandrą. Dzwonił do niej od kilku dni, zawsze z tym samym frustrującym skutkiem. Gospodyni odbierała telefon i mówiła: Pani Poe nie ma w domu - nigdy nie dodając ani słowa więcej.

Tym razem telefon dzwonił bez odpowiedzi.

Matthias dołączył do Rawlingsa w tłumie oczekujących. - Nie ma nikogo w domu - powiedział. - Nie mam pojęcia, gdzie ona może być.

- Znajdziemy ją. - Zany spojrzał na zegarek. - Muszę teraz udać się do szóstego okręgu i zacząć papierkową robotę w tej sprawie.

- Papierkową robotę? Nie robił pan papierkowej roboty, zanim zastrzelił pan tych dwóch mężczyzn.

- To był „tani” strzał, jeśli wybaczy mi pan to określenie. Byli w moim domu. Z pistoletami. A tutaj mamy do czynienia z wielkimi ludźmi. Trzeba mieć nakaz sądowy.

- Niech to nie trwa tak cholernie długo.

- Dokąd pan się teraz udaje?

- Chcę odnaleźć Christiana. Zacznę od domu w Lake Forest. Chciałbym także zobaczyć się z ojcem.

- A co pan robi, gdy go pan znajdzie?

Matthias wziął głęboki oddech. Nie chciał kłamać. Już dosyć było kłamstw. - Mam zamiar powiedzieć mu o naszej wizycie u pana Francka.

Zany podrapał się po głowie. - Wie pan co, Matt. To, co ja powinienem zrobić, zajmie rzeczywiście mnóstwo czasu. Być może zechcą najpierw udać

się do wielkiego trybunału. Gliniarze w Chicago chcą być rzeczywiście ostrożni w takich sprawach, nie wspominając już o prokuratorze stanowym, który - o ile wolno mi przypomnieć - jest politykiem. Jeżeli powie pan swemu bratu, o co chodzi, to może zniknąć, zanim władze będą gotowe do wykonania pierwszego ruchu.

- Christian wspomniał mi, że zamierza przenieść się na Wyspy Bahama. Chciałbym, żeby już to zrobił.

- Nie jestem pewien, o co będzie oskarżony. Mogą mu nawet zaproponować takie wyjście, że nie uznają go za oskarżonego w tej sprawie lub też usprawiedliwią go w jakiś inny sposób. To Poe i Train są głównymi oskarżonymi.

- Nie proszę o łaskę dla niego. Wszystko to pozostawiam Christianowi. Znał konsekwencje swojego postępowania. Chcę mu tylko dać szansę, by sam się z nimi zmierzył.

- Ale mogę liczyć na pana, że nie będzie pan działał bez porozumienia ze mną, prawda?

- To cholernie oczywiste.

- W porządku. Będę u pana tak szybko, jak tylko zdołam. Proszę nie wychodzić i nie robić nic szalonego. Proszę zaczekać na mnie.

Stary rolls-royce stał nadal w garażu lotniska O'Hare, gdzie go zostawił - widocznie był zbyt stary, by ktokolwiek zechciał go ukraść. Silnik zapalił, co prawda po krótkim wahaniu, i wydawał dziwne odgłosy, gdy wjechał na drogę szybkiego ruchu. Obchodził się z nim najlepiej, jak mógł. Zabrało mu to więcej czasu, niż przewidywał, by dotrzeć do Lake Forest.

Była tam Annelise, lecz nie zastał Christiana. Służąca powiedziała, że znajdzie siostrę na górze, w pokoju gościnnym, który zwykle zajmował Christian, gdy tam przebywał.

- Matt! - wykrzyknęła siostra, gdy pojawił się w drzwiach. - Gdzie byłeś? Właśnie chciałam się z tobą skontaktować.

- Musiałem wyjechać z miasta. A gdzie jest Christian?

- Pojechał gdzieś z ojcem. Spójrz, co znalazłam, Matt. Wszystkie te obrazy. Żaden z nich nie skończony.

Matthias spojrział na nie. W połowie namalowane kopie. Niemieccy ekspresjoniści. Cholerna fabryka obrazów. - Czy mówił ci, dokąd jedzie z ojcem?

- Do centrum. Zwołali nagłe spotkanie Rady Wydziału Zieleni, czy coś w tym stylu. Christian powiedział, że zawiezie tam ojca. A popatrz na to. Nie mogę uwierzyć, że Christian to robił. Są okropne, podobne do tych płócien w podziemiach muzeum.

Na jednym z nich cierpiąca, podobna do czaszki twarz. Otto Dix. Na drugim, człowiek w wojskowym uniformie o wyglądzie okrutnika, jego ramiona ciasno obejmują przerażoną, prawie nagą kobietę. Ernst Kirchner.

- Wyrzucił je - powiedział Matthias. - Jak dawno Christian wyjechał z ojcem?

- Co najmniej dwie godziny temu. Czy wydarzyło się coś złego?

- Tak, lecz sam się tym zajmę. - Podeszedł do niej, uściśnął ją krótko i pocałował w policzek. - Nie masz się czym przejmować, Annelise. Jeżeli Christian zadzwoni, powiedz mu, że chcę, by przywiózł ojca natychmiast z powrotem do domu. I byłbym ci wdzięczny, gdybyś zaczekała tutaj, dopóki nie wróci.

- O co chodzi, Matt? Co się dzieje, do diabła?

- Nic. Po prostu nie życzę sobie, by ojciec uczęszczał na te spotkania. Nie chcę, by brał udział w zebraniach rady Wydziału Zieleni Miejskiej. Powinienem nakłonić go do rezygnacji z członkostwa rady przed moim wyjazdem.

- Ależ to tylko zebranie rady. Wszystko, co ma tam do roboty, to siedzieć.

- Tu chodzi o coś więcej. Zadzwonię do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

- Dokąd jedziesz?

- Do miasta. Proszę, zrób to, co powiedziałem.

Pomyślał, że mógłby zdążyć na zebranie rady na czas, by zastopować głosowanie, wyciągnąć stamtąd ojca, lecz stary rolls odmówił mu w końcu posłuszeństwa. Gdy dotarł do zbiegu Kennedy Expressway i Division Street, silnik zacharczał, a następnie zgasł. Dotoczył się wzdłuż wybrzeża do ściany nasypu, miotając oleistym dymem z rury wydechowej. Obok przejechał

volkswagen pełen nastolatków, jego pasażerowie śmiali się z niego.

Mieli się z czego śmiać. Do chwili, gdy doszedł do stacji benzynowej, gdzie załatwił holowanie, stracił całe pół godziny. Następne dwadzieścia minut strawił czekając na taksówkę. Dotarł do głównej siedziby Wydziału Zieleni Miejskiej w samą porę, by odnaleźć Poego wraz z sekretarką, wsiadających do czerwonej limuzyny.

- Matthias - powiedział Poe zdumiony, lecz jednocześnie rozbawiony.

- Myślałem, że jesteś poza miastem.

- Wróciłem, ale widocznie za późno. Gdzie jest mój ojciec?

- W drodze do domu, z twoim bratem. Był nam cholernie pomocny.

Wyszło na nasze tylko jednym głosem.

- Ty draniu!

- Odczep się, Curland. Co ci się nie podoba? Wszystko uzgodnione.

Posuwamy się naprzód. Będziesz najślawniejszym architektem świata.

Ludzie wypływali strumieniem z budynku, wśród nich reporterzy. Matthias nie dbał o nic. Nie czuł się niczym skrzępowany.

- Nie mogłeś poczekać, prawda? Taranujesz wszystko wokół, nie liczysz się z niczym.

- Czekać? Dlaczego czekać? Daj spokój, Matthias. Wszystko ustalone.

Jutro rano spotykam się z burmistrzem. Wziąłbym cię ze sobą, ale sposób, w jaki się zachowujesz... Nie sądzę, byś był mi przydatny.

- Zobaczę się z burmistrzem na własną rękę, panie Poe. Zamierzam pana powstrzymać. Nie będzie pan miał swojego wieżowca. Nie tam, gdzie pan chce.

- A co zamierzasz zrobić, może zagroziś mi, że twoi republikańscy przyjaciele będą głosować przeciwko niemu?

Matthias podszedł bliżej. Zapomniał, jak bardzo górował nad nim. - Powiem mu, że będzie robił interesy z oszustem, panie Poe. Z pospolitym złodziejem.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- O kradzieży dzieł sztuki, panie Poe. Pan, Larry Train i mój brat, sprzedawaliście obrazy z naszego muzeum.

- Chyba oszalałeś. Idź do muzeum i rozejrzyj się. Założę się, że nie brakuje tam ani kawałka obrazu.

- A zatem chodzi o fałszerstwo dzieł sztuki.
- Jesteś głupcem. A teraz zejź mi z drogi. Jestem zajęтым człowiekiem. - Zaczął przesuwac się do przodu.

- Herman Franck - powiedział Matthias.

Poe zatrzymał się, w jego spojrzeniu pojawił się niepokój. - A co z nim? Sprzedają mu obrazy. I co z tego?

- Sprzedał pan mu oszukańcze kopie obrazów z naszej kolekcji. Jestem w posiadaniu podpisanego przez niego oświadczenia. Zamierzam je pokazać burmistrzowi.

Matthias dostrzegł w oczach Poego coś, czego nigdy przedtem nie widział - strach.

- Sprzedałbyś własnego brata tylko dlatego, że chcę postawić wieżowiec nad jeziorem?

Sekretarka wpatrywała się w Matthiasa z zimną furią w oczach od chwili, gdy zaczął mówić. Teraz wkroczyła pomiędzy nich, przybliżając się do Matthiasa, z błyszczącymi oczyma, wykrzywionymi grymasem ustami. - Nie pójdziesz ani do burmistrza, ani do glin, ani do nikogo innego, zrozumiano? Weźmiesz to podpisane oświadczenie i wpakujesz je sobie w dupę!

Inni ludzie na chodniku patrzyli na nich, lecz trzymali się w pewnej odległości. Matthias dał krok do tyłu. Mango przybliżyła się do niego ponownie.

- Posłuchaj mnie, Curland - powiedziała. - Chcesz mieć żonę Petera, prawda? Zakochałeś się w tej dobrze ubranej kupie kości, prawda? To właśnie oznajmiłeś Peterowi.

- Ona go porzuci.

- Jeszcze nie teraz, kochanie. Ukryliśmy ją i to tak, że nie możesz się do niej dostać. Szepniesz tylko jedno słowo do kogokolwiek o tym gównianym interesie z obrazami i następnym razem będziesz miał szansę ujrzeć ją na jej pogrzebie. No wiesz, mały wypadek? Pływanie w jeziorze Michigan bez możliwości dotarcia do brzegu. W wodzie ludzie stają się obrzęknięci. Obrzęknięci jak parówki. Tak będzie wyglądała, gdy ją ujrzysz następnym razem. Mówię poważnie. To się właśnie wydarzy.

Matthias wpatrywał się w nią. Nigdy jeszcze w życiu nie widział twarzy tak pełnej nienawiści. Tylko na obrazach.

- Myślisz, że tak sobie tylko pieprzę? Pomyśl lepiej o helikopterze, który spadł w Meigs. Pomyśl o przewodniczącym Wydziału Zieleni, O'Rourke. Pomyśl o bombie, która wybuchła na łodzi.

Matthias zwrócił się do Poe'go. - Twoja własna żona? Pozwolisz, by to się stało?

- Posłuchaj jej, Curland. Ona myśli o biznesie.

- Wyniesiesz się z tego miasta, Curland - powiedziała Mango. - Nie będzie cię tutaj już jutro. I nie powiesz nic nikomu o niczym!

- A Diandra? - Wstydził się, że musiał wyglądać na bardzo przerażonego.

- Graj dalej ze mną, a nic się jej nie stanie - rzekł Poe wyraźnie wracając do równowagi. - Gwarantuję ci to.

- Jeśli tego nie zrobisz, znajdziesz ją w towarzystwie ryb - powiedziała Mango. - I ja to gwarantuję.

- Pierwsza rzecz, którą zrobisz - oznajmił Poe - to oddasz to pieprzone oświadczenie.

- Nie mam go - odpowiedział Matthias. - Zostawiłem je komuś na przechowanie.

- Odbierz je z powrotem - powiedział Poe. - Czekam na ciebie z oświadczeniem w ręku dzisiaj wieczorem.

- To może potrwać dłużej.

- Dzisiaj wieczorem.

- To może potrwać nawet całą noc, do cholery! Przecież nie mam pojęcia, gdzie ta osoba może teraz przebywać.

- W porządku. Daję ci czas do jutra rano. Nie będę ci robił trudności. Bądź u mnie z tym oświadczeniem w czasie, gdy wrócę ze spotkania z burmistrzem. Powiedzmy, o dziesiątej. Porozmawiamy sobie wtedy o Diandrze.

Matthias zastanowił się, dlaczego Poe zrobił się nagle taki hojny. Czy zamierzał może wykorzystać ten czas, by dotrzeć do Francka?

- Nie spieprz tego, Curland - powiedziała Mango. - Umieranie trwa długo.

Stał w bezruchu, patrząc bezradnie, jak wsiadali do limuzyny. Na pożegnanie Mango uczyniła obelżywy gest, gdy samochód ruszył z miejsca.

- Wszyscy oni muszą zniknąć, Peter - powiedziała Mango, gdy skręcili w Aleję Michigan. - Train, Curland, wszyscy.

- Nie, Mango.

- Musisz zrobić coś ze swoją żoną.

- Diandra o niczym nie wie. - Poe nalewał sobie dużego drinka.

- Jak możesz być tego pewien? Pieprzyła się z nim przecież, prawda?

- Ale już więcej tego nie zrobi. Nie teraz.

- Wszystko się liczy.

- Mówię serio. Wszystko, co mają, to słowa tej starej skamieliny z Filadelfii. Mogę go wycofać z gry. Odkupić obrazy. Cokolwiek. A w każdym razie mam przyjaciół w sądach. Do niczego ich to nie doprowadzi.

- Mylisz się, Peter. Może dotrzeć do biura burmistrza. Nie jesteśmy go pewni, wiesz o tym. Cokolwiek może zwrócić go przeciwko nam.

- Więcej morderstw uczyni to z pewnością.

Mango wyprostowała nogi. Patrzyła zamyślona przed siebie.

Poe popijał, dołał nieco więcej whisky do szklanki.

- Czy musiałaś mówić Curlandowi o wszystkich tych zabójstwach? - zapytał.

- Otrzymał przestrozę.

- Opuściłaś tę dziewczynę - Langley. Dlaczego?

Posłała mu dziwny uśmiech. - To nie było uczciwe, Peter. Nie podniosłam nawet palca na tę małą sukę.

- To kto to zrobił?

- Być może jeden z przyjaciół Traina.

- Muszę przyznać, że nie oczekuję niecierpliwie jutrzejszego spotkania z burmistrzem. To nie będzie ubicie jeszcze jednego interesu. Nie mam mu nic do zaoferowania. Będę, po prostu, żebrał.

- Nabierz trochę wiary w siebie, Peter. Graj dalej. To dobra rozgrywka. Wymyśliłam właśnie jeszcze jedną kartę dla ciebie. Co zamierzałeś zrobić z twoją ziemią w Cabrini Green?

- Sprzedać. A może postawić tam kilka miejskich domów.

- Mam lepszy pomysł. Zamierzasz właśnie ją podarować.

- Och, a komuż to?

- Będzie to godny szacunku dar charytatywny. Na rzecz kościoła.

Myślę, że jeszcze dzisiaj wieczorem powinieneś zadzwonić do kardynała.

- Do kardynała?
- Burmistrz jest bardzo religijny, Peter. A zresztą co byś robił z tymi slumsami?

Matthias wziął taksówkę i pojechał prosto do domu przy ulicy Schillera. Miał nadzieję, że Christian z ojcem mógł już tam dotrzeć, lecz rezydencja była pusta. Zadzwonił do Annelise. Bez słowa wyjaśnienia polecił jej zabrać ojca do jej domu w Barrington i zatrzymać go tam.

- I powiedz Christianowi, by natychmiast do mnie zadzwonił.
- Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Przestraszyłeś mnie.

- To skomplikowane. Wszystko, co powinnaś wiedzieć, to to, że podjąłem wyzwanie rzucone przez Petera Poe.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że chcę, byś zrobiła to, o co proszę. Zaufaj mi, Annelise.

To wszystko dla rodziny.

- W porządku, Matt. Zadzwoni do mnie wieczorem.
- Tak szybko, jak będę mógł.

Zabrało mu dobrą chwilę, zanim zdołał dopaść Rawlingsa. Skorzystał z telefonicznego systemu departamentu policji w Chicago, lecz w końcu połączono go z wydziałem włamań i przywołano Zany'ego do telefonu.

- Właśnie dzisiaj odbyło się zebranie rady Wydziału Zieleni Miejskiej - powiedział Matthias. - Samochód mi się zepsuł i dotarłem tam zbyt późno, by wstrzymać bieg spraw. Głosowanie przebiegło po myśli Poego - dzięki mojemu ojcu.

- Ciągle jeszcze mamy czas. Nie zamierza przecież zbudować tego wieżowca już jutro.

- Starłem się z Poem na ulicy, Zane. Groził mi. Jeżeli nie odstąpię od sprawy i nie oddam mu oświadczenia Francka, a także nie wyjadę z miasta, to zabije Diandrę. Gdzieś ją ukrył. Mam spotkać się z nim jutro rano.

- Jego żona?

- Ta kobieta, Mango, groziła mi. Mówiła o innych morderstwach:

O'Rourke, ludzie w helikopterze.

- To brutalna gra, jak na szacownego obywatela i biznesmena.
- Wierzę im, Zane. Nie wątpił w ich groźby ani przez chwilę.

Z drugiej strony nastąpiła długa chwila ciszy.

- Sukinsyn - powiedział w końcu Zany.
- Nie pójdę na policję.
- No dobrze, jest na to z pewnością za późno. Rozmawiałem już z przyjaciółmi z wydziału włamań i z kilkoma chłopakami z wydziału zabójstw. Nadałem bieg tej sprawie.

- Dobrze.

- Może znajdziemy sposób, by uziemić Poego.

- On zamierza ją zabić, Zane. Sfinguje przypadkowe utonięcie. Tak powiedziała ta Mango. „Będzie razem z rybami”. To jej słowa.

- To znaczy, że trzymają ją na łodzi. Prawdopodobnie na tym jego wielkim motorowym jachcie. Powinniśmy ją odnaleźć.

- Musimy coś zrobić. I to szybko.

- Zadzwoń do Straży Przybrzeżnej. Trochę potrwa, zanim będę się mógł stąd wydostać. Będzie sporo szumu. Nie mogę tak, po prostu, stąd wyjść.

- Zane, powiedziałem, że ją zabiją!

- Rozumiem. Mówiłeś, że masz czas do jutra rana.

- Mam udać się do jego apartamentów z tym, czego żąda i poczekać tam, dopóki nie wróci ze spotkania z burmistrzem.

- Jesteś teraz u siebie w domu?

- Tak.

- To dobrze, siedź tam, dopóki nie przyjdę. Robię wszystko, co w mojej mocy.

- Zane, pamiętasz, co mówiłeś o swojej żonie? Że prawie wycofałeś się z tej sprawy, bo martwiłeś się o nią.

- Tak.

- To samo czuję, gdy myślę o Diandrze. Ale gdybym był tobą, wycofałbym się z tej sprawy na dobre.

Matthias patrzył na kominkowy zegar w salonie. Minęła godzina, potem druga. Początkowo akceptował tę bezsensowną stratę czasu. Rawlings był policjantem o długim stażu. Ufał temu człowiekowi, jak Zane ufał jemu. Ale wskazówki nieubłaganie posuwały się naprzód, zbliżając się do trzeciej godziny. Matthias zaczynał się coraz bardziej niepokoić, w końcu szalał z niepokoju. Diandra mogła już nie żyć.

Zadzwoniła Annelise, by powiedzieć, że ojciec jest już bezpieczny u niej w domu. Matthias usiłował porozumieć się z Franckiem w Filadelfii, lecz starszy pan nie podchodził do telefonu. Lokaj przekazywał informację, że pan nie życzy sobie, by mu przeszkadzano i traktował Matthiasa, jakby był sprzedawcą subskrypcji na czasopisma.

Usiłował także skontaktować się ponownie z Rawlingsem w wydziale włamań, lecz powiedziano mu, że pojechał do miasta z dwoma innymi detektywami. Zaczął dzwonić do apartamentów Poego, bez żadnej jasnej myśli, co mógłby mu powiedzieć i w końcu odłożył słuchawkę. Wszystko, co Poe chciałby od niego usłyszeć, to to, że ma oświadczenie Francka - a ma je Rawlings i policja w Chicago.

W końcu usłyszał coś przy drzwiach, jakiś szcękający dźwięk. Co ten Rawlings do diabła robi, dłubiąc w zamku?

Ku jego zaskoczeniu, był to Christian. Wtoczył się do foyer, odbił się od drzwi, a potem zrobił kilka niepewnych kroków w kierunku salonu. Stał, kołysząc się, wodząc dziko wzrokiem. Był tak pijany, jakim go Matthias jeszcze nigdy nie widział. Jak zdołał doprowadzić się do takiego stanu w tak krótkim czasie? Czyżby znowu pił przez cały dzień? Czy poszedł aż tak pijany na spotkanie do Wydziału Zieleni Miejskiej?

W rękę trzymał butelkę wódki, prawie pustą.

- Do cholery z tobą! - wrzasnął Matthias. - Sprzedałeś nas! Zrobiłeś z ojca cholerną marionetkę. Mógłbym cię zabić.

- Pewno powinieneś to zrobić, wielki bracie. Na pewno, powinieneś. Ale teraz jest już o wiele za późno. - Ciężko osunął się na krzesło.

- Wiemy wszystko o obrazach, Christian. Rozmawialiśmy z Hermanem Franckiem.

- Już mnie o tym poinformowano. Mój mądry, starszy brat. Zbyt bystry, by działał na własną korzyść. Zrucił wszystko. Ruina, ruina,

wszystko w ruinie.

- Wiem o wszystkim. Policja też wie.
- Mój wspaniały brat. Zawsze robi to, co właściwe.
- Powinieneś wylądować w więzieniu, Christian. Możesz tego uniknąć, jeżeli wyniesiesz się natychmiast z miasta. Z kraju. I nigdy nie wrócisz. Mój Boże, ledwie możesz chodzić. Czy wypijeś całą tę wódkę w drodze do domu?

Christian pomachał butelką i napił się znowu. - A więc, wiesz wszystko, wielki bracie? Nie wiesz o wszystkim.

Uspokoił się, patrząc na obrazy wiszące na ścianach pokoju.

- A czy chcesz wiedzieć, kto zamordował Jill, Matthiasie? Kto strzelił jej w plecy i zostawił jak kawałek śmiecia? Tak, powinieneś wiedzieć. Kochałeś ją. Ona kochała ciebie. Musisz wiedzieć. Możesz już teraz się dowiedzieć, skoro wszystko skończone. Wszystko przeminęło. *Alles kaput.*

Wyprostował się, potem pochylił do przodu, wpatrując się w podłogę, ciemne włosy opadły mu na twarz. - Ja ją zabiłem, Matt. Zastrzeliłem ją. Słyszałem jej krzyki. Tam, na twojej łodzi, na samym środku tego przekłętogo jeziora.

Matthias zdrętwiał. Siedział sparaliżowany, niezdolny do wypowiedzenia słowa.

Christian łkał. Otarł oczy, starając się odzyskać kontrolę nad sobą. Znowu wyprostował się na krześle, wypił duży łyk wódki.

Matthias siedział i czekał. Chciał słyszeć każde słowo.

- Nigdy tego nie zrozumiesz, wielki bracie, ale wszystko to robiłem dla rodziny. Dla tej przekłetej rodziny. Szybko zbliżyliśmy się do dna, by stać się stertą śmieci. Zacząłem uczęszczać do kasyna Poego. Musiałem, w jakiś sposób, zdobyć trochę pieniędzy. Początkowo wygrywałem. Nawet niezłe sumy - na początku. A potem zacząłem przegrywać. I to były duże przegrane. Poe odciął mi dostęp do kasyna, gdy mój dług przekroczył sto tysięcy. Nie wiedziałem, co robić. Byłem cholernie zdesperowany. Nie masz pojęcia. A zresztą, skąd mógłbyś o tym wiedzieć, folgując sobie na Lazurowym Wybrzeżu. Malarz na wygnaniu. Samolubny drań.

Przymknął oczy a potem otworzył je ponownie. Jego twarz przybrała wyraz makabrycznej maski.

- Wpadłem na wspianiały pomysł wyjścia z impasu. Zabrać obraz z podziemi. Zrobić kopię. Umieścić kopię w podziemiach. Sprzedać obraz na czarnym rynku. Nigdy tam nie zaglądasz. Przez te wszystkie lata prawie nigdy tam nie byliśmy. A nawet, jeśli byś tam zajrzał, byłaby tam kopia. Cholernie dobra kopia. Nie dostrzegłbyś różnicy. Jestem bystrym facetem. Prawie tak bystrym jak ty.

Położył dłoń ponownie na oczach. - Udałem się do Larry'ego Traina. Biedny stary Larry. Całkowicie pozbawiony skrupułów, ale niezły kompan... na swój sposób. Wiedziałem, że oszukiwał. Sprzedawał fałszywe płótna, kradzione obrazy. Spodobał mu się mój pomysł. Myślał, że jestem bardzo przebiegły, ale później zastanowiłem się nad tym. Czuję się winny. Nie wierzysz, bym miał jakąś moralność, lecz nie mogłem zmusić się do tego. Nie mogłem sprzedać oryginałów. To przecież spuścizna dziadka. Wszystko, co nam pozostało. Ręka dziadka na moim ramieniu, sięgająca zza grobu. Usiłowałem się wycofać. Larry przyszedł z nowym pomysłem. Należało przedstawić oryginał, by uzyskać świadectwo autentyczności obrazu, a potem podmienić płótno i posłać kupującemu kopię. Były tak dobre, że nie dostrzegłbyś różnicy. Ale on chciał jeszcze kogoś do spółki, kto by sprzedawał je „spod lady”, by uniknąć podatków. Na nieszczęście, tym kimś okazał się być - Peter Poe.

Spojrzał na Matthiasa zmęczonym wzrokiem.

- Zabiłeś Jill? Nie są to tylko pijackie majaczenia?
- Zabiłem ją. - Słowa te padały jak ciężkie, toczące się kamienie.
- Jak mogłeś to zrobić? Nie wierzę ci.
- Posłuchaj mojej żałobnej opowieści, wielki bracie. Opowiem ją tylko raz.
- Jedź już do nas policjant. Chciałbym, żebyś i jemu to opowiedział.
- O, nie. Nie policjantowi. Tylko rodzinie. Właśnie tobie.

Christian wyglądał, jakby miał stracić przytomność. Matthias miał nadzieję, że do tego dojdzie. Wtedy mogliby go stąd zabrać. Zamknąć w oddziale szpitala więziennego - w oddziale psychiatrycznym. Christian musiał stracić zmysły. Nie było innego wytłumaczenia.

- Plan Larry'ego działał fantastycznie - powiedział Christian. - Kupiec, Herman Franck, nabył fałszywe płótno i nigdy go nie kwestionował. Jestem

taki dobry, Matthias. Mistrz fałszerzy. Chciał więcej obrazów. Poe znalazł kilku innych kupców. Produkowałem mnóstwo kopii. Poe zarabiał kupę forsy. Był hojny, jeśli chodzi o moje udziały. Spłaciłem długi w kasynie, długi rodzinne - całe mnóstwo tych długów. Gry hazardowe. Tak właśnie mi płacili. Dawałem kopie Trainowi tak szybko, jak tylko mogłem je produkować, a potem udawałem się do Michigan i wygrywałem wysokie stawki przy stoliku. Wszystko to było cudownie sympatyczne. Nikt, nigdy, niczego nie kwestionował. Jill zaczęła coś podejrzewać. Była bardzo inteligentną młodą kobietą, jak zawsze twierdziłeś. Za dużo czasu zacząłem spędzać w muzeum. Raz poszła za mną do podziemi. Musiałem pozbyć się jej z muzeum. Nie mogłem jej zwolnić. Poskarżyłaby się tobie, a wtedy mógłbyś powrócić. Powiedziałem jej, że nadal ją kochasz. Zaoferowałem pewną sumę, by mogła pojechać do ciebie, do Francji. Lecz ona, zamiast tego napisała do ciebie, a ty odmówiłeś. Zdenerwowałeś ją okropnie. Była strasznie zła i rozżalona. Mój plan się powiódł. Pracowała tu nadal, choć była bardzo przygnębiona. Wszystko przypominało jej o tobie. Nakłoniłem Larry'ego, by zaproponował jej atrakcyjną pensję, aby tylko zgodziła się pracować dla niego. Zgodziła się.

Butelka była już pusta.

- Ale to był głupi pomysł, jak powiedział Poe. Larry często przychodził do muzeum. Do jego galerii trafiały paczki ode mnie. Stała się podejrzliwa wobec niego, jak przedtem wobec mnie. Zastanawiam się nawet, czy nie przyjęła pracy u niego tylko po to, aby odkryć, o co chodzi w tym wszystkim.

Spojrzał na swoje ręce. - I w końcu odkryła prawdę.

- A ty ją zabiłeś?

- Sekretarka Poego. Mango. Dziwaczne imię. Nadzwyczajna kobieta. Polubiła mnie. Poszedłem z nią do łóżka. Pomyślałem, że może mi pomóc. Trzymać mnie z dala od kłopotów z Poem. Ale zdarzyło się coś więcej. Kiedy Poe wyjechał, poszliśmy na jego łódź. Tam właśnie Train dostarczał obrazy. Jeden z nich znajdował się w skrzyni razem z innymi, przeznaczonymi do wysyłki. Rozpoznała ten obraz i zabrała go ze sobą.

- Nie miała pojęcia, że Mango i ja jesteśmy na pokładzie. Przeszła przez kabiny, jak sądzę, w poszukiwaniu innych obrazów. Znalazła nas

razem, w łóżku. Narzuciłem coś na siebie i pobiegłem za nią. Ścigałem ją po przystani, ale uciekła do twojej łodzi. Wypłynęła na jezioro. Miała tę kopię Kirchnera. Wyglądało na to, że nastąpił dla mnie koniec świata. Znała prawdę o fałszowaniu obrazów. Wiedziała o Mango i o mnie. Wszystko wyszłoby na jaw. Nie wiedziałem, co Poe mógłby zrobić. Zabić nas? To był pomysł Mango, aby ścigać Jill tym wielkim jachtem. Nie mogliśmy zrobić nic innego. Na pokładzie nie było załogi. Mango ich odprawiła. Zadziwiająca kobieta. Nie potrafiłbym pilotować tak wielkiej łodzi. Ty, prawdopodobnie, też nie potrafiłbyś. Zabrało nam trochę czasu, zanim ją znaleźliśmy. Staraliśmy się staranować żaglówkę. Mango usiłowała najechać na nią, ale Jill była zbyt dobrym żeglarzem. W końcu, ustawiliśmy się równolegle do jej łódki. Mango dała mi rewolwer. Dużo wtedy wypilem. Miałem zamiar ją tylko przestraszyć. Nie miałem pojęcia, co z nią zrobimy, ale nie chciałem jej zabić. Jill zaczęła na mnie krzyczeć. I Mango krzyczała na mnie. Nagle pojawił się helikopter. Myślałem, że zbliża się do nas, wpadłem w panikę, Matt. Oszalałem. Musiałem powstrzymać te krzyki i powstrzymać Jill. Musiałem zatrzymać to wszystko, co się działo.

Zaczął szlochać, nie okazując żadnych oznak utraty świadomości. - I nigdy nie znalazłem tego obrazu. Przeszukałem całą łódź. Miała go pod bluzką, prawda? Nie pomyślałem, by tam zajrzeć. Nie chciałem dotykać jej ciała. Wtedy jeszcze żyła.

Plakał jeszcze mocniej. Matthias wstał. Musiał zatrzymać tutaj Christiana, ale jak? Uderzyć go? Był tak przepelniony wściekłością, że mógłby prawdopodobnie zabić swojego brata, gdyby miał broń. W zasięgu ręki miał pogrzebacz do kominka.

- Przydałby ci się jeszcze jeden drink - odezwał się w końcu.
- Tak.
- Przyniosę butelkę.
- Proszę.

Pospieszył do kuchni. Butelka ginu na ladzie zawierała mniej niż cal płynu na dzień. W spiżarni była skrzynka likieru. Matthias poszedł tam i znalazł butelkę wódki.

Gdy powrócił do salonu zastał Christiana z rewolwerem w dłoni.

- Co robisz? - zapytał.

- Otwórz mi butelkę.

Matthias zrobił to.

- Podaj mi ją.

Podał. Pijany Christian niemal stracił równowagę.

- Larry Train nie żyje - powiedział. - Uduşony. To też ja zrobiłem, Matthias. Zaledwie kilka minut temu. Cholernie zajęty byłem dzisiaj. Mango nalegała. On wiedział wszystko - mnóstwo rzeczy o Poem. Sądziła, że mógłby mówić, gdyby postawili go w stan oskarżenia. Biedny drań. Poszedłem do jego domu, a on wskoczył do łóżka i czekał tam na mnie. Minutę później został zaduşony. Ciebie powinienem także zabić.

Matthias zastanowił się szybko. Stał po przeciwnej stronie pokoju, z dala od kominka i pogrzebacza. Christian ledwo trzymał się na nogach, lecz mocno ścisnął w dłoni rewolwer. Gdyby Matthias się poruszył, mógłby strzelić.

- Nie martw się, wielki bracie. Nie zrobię tego. Nie mógłbym tego zrobić. Nie w rodzinie. Mango tego nie rozumie.

Odwrócił się i zaczął iść w kierunku drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytał Matthias.

- Muszę rozwiązać pewien problem, Matt. Rozwiązać wszystkie problemy.

- Zostań tutaj!

Christian uniósł rewolwer, kierując go chwiejnie w stronę piersi Matthiasa. - Odsuń się, Matt. Pozwól mi zrobić to, co muszę uczynić.

Christian wycofał się tyłem z pokoju, potarćając po drodze krzesło. Zatrzymał się dopiero przy drzwiach frontowych.

- Do widzenia, wielki bracie. Kocham cię. To prawda. Odszedł.

Matthias pospieszył do telefonu, by zadzwonić na policję, ale zatrzymał się. Trwałoby to całą wieczność, gdyby chciał im to wszystko wyjaśnić, a drugą wieczność, by nakłonił do zrobienia czegoś. Gdzie podziewał się Rawlings?

Podszedł do drzwi, wychylając się na zewnątrz. Nigdzie nie było widać Christiana. Nic nie poruszało się na ulicy. Matthias skręcił na prawo i pobiegł za róg. Naprzeciwko niego szła spacerowym krokiem, trzymająca się za rękę, para. Nie było nikogo innego.

Pobiegł w drugą stronę. Znowu żadnego śladu po Christianie. Skręcił za róg, pobiegł wzdłuż ulicy. Ciągłe biegiem udał się na wschód, potem na południe, przebiegł zygakiem sąsiedztwo, ale niczego nie znalazł.

Zatrzymał się i oparł o ścianę budynku, chwytając oddech. Dokąd udał się Christian? Zastrzelić Poego? Strażnicy tytana nie dopuszczą go do niego. Jak można wędrować ulicami Chicago z rewolwerem w jednej ręce, a z butelką w drugiej? Czy policja nie zatrzyma go, nie zabierze ze sobą? Czy nie dojdzie do strzelaniny? Czy nie zastrzelią go na ulicy?

Pokonany, Matthias wrócił powoli do domu. Gdy tylko się zbliżył, ujrzał policyjny samochód parkujący przed domem. Wysiadł Zane Rawlings i samochód oddalił się.

- Co ty tu robisz poza domem?

- Szukałem mojego brata. - Matthias zatrzymał się przed wielkim brodatym mężczyzną. - Mam bardzo smutne wieści. Rozwiązałem za ciebie sprawę morderstwa na łodzi. To był Christian. Właśnie mi o tym powiedział. Zabił Jill.

- Sukinsyn. - Rawlings miał ze sobą swoją małą walizkę. Podniósł ją. - Chodźmy do środka. Chcę skorzystać z twojego telefonu.

Rawlings odłożył słuchawkę i rzucił Matthiasowi niewesołe spojrzenie. - Szukają twojego brata w całym mieście. Wymień im tylko w raporcie człowieka z rewolwerem i już są podekscytowani. - Westchnął. - Jutro rano odbędzie się spotkanie u prokuratora stanowego w sprawie Poego i Traina. Do tego czasu nie wydadzą nakazu aresztowania.

- Train jest martwy - jeżeli mój brat mówił prawdę - a obawiam się, że tak.

- Lepiej będzie, jak zgłoszę to także policji.

- A co z Diandrą?

- Dzwoniłem do straży przybrzeżnej. Wysłali helikopter patrolowy. Zlokalizowali jacht Poego na południowym krańcu jeziora. Trudno powiedzieć, jaki to stan - Indiana, być może Michigan czy Illinois. Powiedzieli, że się nie porusza.

- I?

- To wszystko, nad czym pracowaliśmy - lokalizacja.

- Czy nikt nie wyruszył na jej poszukiwanie?

- Matt, to nie jest tak, jak w kinie, gdzie sto samochodów pojawia się w magiczny sposób w finale. W prawdziwym życiu niezbędna jest praca papierkowa i, dający się uzasadnić, powód.

- Wszystko, czym dysponuje policja w Chicago to raport o człowieku z rewolwerem i oświadczenie Francka, wskazujące na możliwość fałszerstwa dzieł sztuki. Nikt nawet nie złożył skargi. Chcą, aby Franck to uczynił. Nie sądzę jednak, by zamierzał zaraz tu przylecieć. A jeżeli nawet - to nie przybędzie tu wcześniej, niż jutro. Przekonywałem ich długo, wszystkich, aż do samej góry, ale nic nie wskórałem.

- A co ze Strażą Przybrzeżną, z innymi wydziałami policji? Z FBI?

Rawlings wzruszył ramionami. - Gdybyśmy mieli dowód na to, że doszło do porwania... ale nic takiego nie posiadamy. Kilku facetów z mojego wydziału popłynęło tam łodzią, ale mogą tylko siedzieć i monitorować sytuację. To wszystko, co mogą zrobić, Matt. Nie mają odpowiednich uprawnień w stanie Indiana. To nie jest przypadek pościgu. Mają tylko doniesienie o groźbie porwania, oparte na tym, co mi powiedziałeś. Nikt uzbrojony nie wejdzie na pokład łodzi tylko na tej podstawie, bez nakazu aresztowania. Mówimy przecież o Peterze Poem. To jest jego żona. Nie ma żadnych doniesień o wcześniejszych próbach użycia przemocy wobec niej. Żadnych skarg. A nawet domowych kłótni. Moi ludzie właśnie to sprawdzili.

- Co więc mamy robić?

- Jeżeli chcesz, dostaniemy się tam i spróbujemy ją wydostać. Nic mnie nie obchodzi łamanie przepisów. Nie planuję robić kariery szeryfa okręgowego.

- Bardzo bym chciał.

- Będziemy potrzebowali łodzi.

- Moja łódka jest do dyspozycji.

- Żaglówka? To będzie pierwszy taki przypadek w pracy policji. Zajmie to nam połowę nocy, zanim się tam dostaniemy.

- Nie mam pojęcia, co innego moglibyśmy dostać o tej porze. Mam pomocniczy silnik i pełny zbiornik paliwa.

Rawlings zastanawiał się nad czymś. - A może powinniśmy śledzić Poego.

- On dysponuje wszystkimi rodzajami strażników osobistych. I nie pomoże to Diandrze.

Zany potarł w zamyśleniu brodę. - Sądzę, że to właśnie powinno być na początku naszego porządku dziennego. - Wstał. - Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z bronią?

- Oczywiście. Byłem w armii.

- W armii? Artysta?

- Tradycja rodzinna, służba wojskowa. Służyłem tylko przez dwa lata. Byłem porucznikiem. Specjalizowałem się w obsłudze pistoletu automatycznego.

Rawlings podszedł do swojej torby i wydobył z niej dwa rewolwery, wkładając większy z nich za pasek, a mniejszy wręczając Matthiasowi. - Czy twój brat był także w armii?

- Nie. Ale uczyłem go strzelania. Jest dobry. Wyglądało na to, że mu się to podoba. Poczucie siły, jak przypuszczam. Nie miał tego za dużo w naszej rodzinie.

- Miejmy nadzieję, że dla bezpieczeństwa moich braci oficerów jest tak pijany, jak mówisz.

Christian mógłby teraz dodać do swoich przestępstw jeszcze rozbój z bronią w rękę, przynajmniej z technicznego punktu widzenia. Nocny pracownik stacji benzynowej na ulicy LaSalle, gdzie się zatrzymał, odmówił mu sprzedania kanistra benzyny. Wyciągnął więc rewolwer w kierunku młodzieńca i szybko miał w bagażniku czterogalonowy kanister. Zanim odjechał, wręczył mu banknot studolarowy. Jeżeli to był rozbój, to pracownik stacji wydawał się być nim uszczęśliwiony.

Train wypłacił Christianowi ostatnią należność, zanim został zamordowany. Nie liczył pieniędzy, ale wiedział, że ma w kieszeniach wiele tysięcy dolarów. Mogłyby pomóc mu w wydostaniu się z kraju. Ale było już za późno, zbyt późno.

Na ulicy w pobliżu muzeum kręciło się wielu czarnych młodzieńców. Gdy Christian zaparkował jaguara, uderzając w czasie tego manewru w latarnię, zaczęli się powoli ku niemu zbliżać. Wyciągnął rewolwer i wy-

strzelił w powietrze. Rozbiegli się na wszystkie strony. Wniósł kanister i zamknął drzwi muzeum. Gdyby byli na tyle odważni, by wrócić i zabrać jaguara, nie miałby nic przeciwko temu.

Wszedł do biura i zapalił światło. Ciągle miał jeszcze ze sobą wódkę. Napił się trochę a potem podszedł do głównego biurka i usiadł, wpatrując się tępo w stół, przy którym Jill zazwyczaj pracowała.

Głupia, głupia dziewczyna. I ten imbecyl Matthias. Po tym, jak Sally porzuciła go dla bogatego prostaka, spędził resztę swojego życia szukając kobiety doskonałej, a ona była tutaj przez cały czas. Gdyby ożenił się z nią, zamiast z tą samolubną Hillary - gdyby zaprosił Jill do Francji, gdy o to prosiła - wszyscy mogliby żyć długo i szczęśliwie.

A zamiast tego, ona umarła. Wszyscy umarli. A co to za różnica, gdy jesteś już martwy?

Nieśmiertelność była taką próżnością. Jak wielu artystów przebywało w Paryżu w czasach Delacroix czy Degasa? Tysiące. Co pozostało teraz z ich dzieł? Te starożytne japońskie malowidła w Instytucie Sztuki. Kto zna nazwiska ich twórców? Wszystko, co głoszą napisy na ścianach to „około 1600”, czy też „kultura daimyo”. Nieśmiertelność. Ha-ha-ha.

Christian wstał i zapalił światła w salach wystawowych. Przechadzał się po nich i oglądał obrazy. Zatrzymał się przy martwej naturze - obrany owoc, martwa ryba, martwe ptactwo, ludzka czaszka. Szesnastowieczne malarstwo niemieckie wykonane w holenderskim stylu. Zawsze to samo przesłanie. Śmiertelność. Zawsze. Nawet pośród obfitości.

Posuwał się chwiejnym krokiem. Zaledwie mógł utrzymać się na nogach. Musiał się spieszyć. Miał wiele do zrobienia. Nie może tego uniknąć. W przeciwnym razie zrujnowałby wszystko.

Christian uśmiechnął się do czaszki i zasalutował.

Rozlał benzynę na ściany i podłogi. Nie poszło mu to tak szybko, jak się spodziewał. Gmach był z kamienia, lecz ściany z gipsu i drewna, pokryte starodawną tapetą. Obrazy będą płonąć cudownie.

Gdy skończył, zatrzymał się na moment. Czy powinien wrócić do biura? Siedzieć tam i pić aż do końca? Nie może tego zrobić. Musi się spieszyć. Jak szybko paruje benzyna?

Wyjął zapalniczkę, tę samą, którą kupił, by zapalać długie papierosy

Mango. Prawdopodobnie powinien znaleźć sposób, by zabić ją także. Była tak samo winna, jak Jill Langley. Krwawa Lady Macbeth. Byłaby to cudowna ironia losu, gdyby została unicestwiona razem z całą resztą. On powinien postarać się o tę ironię.

Przypatrując się obrazom, pomyślał o czymś zdumiewająco przewrotnym. Ich dziadek podjął wielką decyzję. Wszystkie dzieła miały być stale wystawione na pokaz. Wszystkie straszne obrazy - dzieła ekspresjonistów i modernistów - miały być na zawsze zamknięte w podziemiach.

Ale podziemia były ognioodporne. Sztuka jako piękno zostanie zniszczona. Sztuka jako prawda - przetrwa. A jeszcze lepiej, bowiem tamte płótna zostaną przekazane Instytutowi Sztuki, by wszyscy mogli je oglądać.

Po tak długim czasie, w końcu, przeciwstawił się swojemu dziadkowi, pokonał go, obalił jego wielkie zamierzenie.

Pociągnął jeszcze jednego drinka, długi łyk, a potem upuścił butelkę. mBył zdumiewająco spokojny. Potrzebował kawałka papieru. Skąd wziąć papier? Ależ oczywiście, ma przecież kieszenie pełne zielonego, bezużytecznego papieru.

Wyciągnął banknot studolarowy, zwinął go, podpalił zapalniczką, trzymając ostrożnie za brzeg. Gdy w pełni zapłonął, podszedł chwiejnym krokiem do ściany i rzucił go celnie w ciągle jeszcze wilgotną kałużę.

Gwałtowność wybuchu ognia wstrząsnęła nim, żar i siła płomieni odrzuciła go, zataczającego się, ku tyłowi. Złapał równowagę. Stał, wpatrując się w jasne płomienie tańczące wokół niego.

Teraz. Nie można czekać. Tu właśnie był koniec jego czasu. Matthias zawsze mówił, że ostatnią myśl trzeba poświęcić komuś, kogo się kochało. Christian nie miał nikogo, o kim mógłby tak pomyśleć. W ogóle, nikogo.

A zatem, do widzenia. Przyłożył lufę rewolweru do czoła i pociągnął za cyngiel.

Matthias wykorzystał dodatkowy silnik, by wydostać się z portu, ale za falochronem wyłączył go i podniósł żagiel, kierując się na południowy wschód. Niebo było zamglone a księżyc wisiał nisko. W ciemnościach przed nimi widoczne były pojedyncze punkty świetlne. Któryś z nich mógł być

łodzią Poego. Wiał wiatr z północy, utrzymywała się bryza wiejąca z prędkością około dziesięciu węzłów, doskonała na żeglowanie dla przyjemności w niedzielne popołudnie, lecz denerwująco słaba dla celu ich obecnej wyprawy.

- Gorący pościg - stwierdził Zany. - Przynajmniej łódź Poego nigdzie nie odpłynie. Miejmy nadzieję.

- Chcę oszczędzić silnik, gdybyśmy musieli go potrzebować.
- Wystarczająco szybko. Ciekaw jestem, czy można płynąć szybciej.
- Jill przepłynęła jezioro w poprzek w ciągu jednej nocy.
- Tak. Martwa.

Matthias zapalił fajkę. Potarł oczy, ale nie z powodu dymu.

- Być może powinniśmy wziąć jakąś inną łódź - powiedział Zany. - Tak jak to robią w filmach gliny z samochodami ludzi.

- Życzyłbym sobie, byśmy nie byli na tej właśnie łodzi.
- Po prostu bądź ostrożny, gdy zbliżymy się do nich.
- Być może będzie to wielka omyłka.
- Zawsze istnieje taka możliwość przy podejmowaniu decyzji.
- Nie mówię o tym, czy ona jest na tym jachcie. Jestem pewien, że jest.

Nie trzymaliby jej tutaj z innego powodu. Po prostu zastanawiałem się... nienawidzę o tym mówić. Nie mogę nawet o tym myśleć, ale co będzie, jeżeli ona przebywa tam z własnej woli. Siedząc w kabinie ogląda telewizję, czy też czyta, zgadzając się na to, bo Poe właśnie ją o to poprosił?

- Jeżeli nie możesz ufać miłości swojego życia, Matt, to po co tu właściwie jesteś?

- Miłość mojego życia, Zane, przydryfowała kiedyś do twojego falochronu w tej łodzi.

Matthias wybrał połyskujące światła na południowo-wschodniej linii horyzontu jako punkt orientacyjny. Gdy zbliżyli się do nich, odkryli, że należały do małego krążownika. Matthias wychylił się, sterując tak, by *Hillary* zatoczyła szeroki łuk i zmienił kurs, wraz ze zmianą wiatru.

- Na wschodzie niebo zaczyna się przejaśniać - stwierdził Zany. - Możemy mieć duży problem.

Zrobili następne małe okrążenie, każdy z nich badał inny odcinek horyzontu, podczas gdy łódź posuwała się naprzód. Gdy przybliżyli się ponow-

nie, Zany pochylił się pod bomem, przyglądając się uważnie rufie.

- Tam. To jest to. To musi być to. Wygląda jak wielki statek.

- Być może to właśnie jest statek, jakiś rudowęgłowiec, czy coś w tym rodzaju.

- Co? Cóż on by tu robił na przybrzeżnych wodach przy Michigan City? Jego światła postojowe są wygaszone. Żaden kapitan statku nie zrobiłby tego. - Zany odchylił się na swoim siedzeniu. - A przynajmniej możemy im zarzucić pogwałcenie praw morskich. Czy ta twoja łódka posiada radio? Chciałbym sprawdzić moich chłopców na łodzi w St. Joe.

- Miałem radio, ale zostało skradzione. Sądzę, że doszło do tego wtedy, gdy zarekwirowałeś mi łódź.

- No dobrze, znasz przecież Grand Pier. Siedlisko zbrodni.

Matthias wyprostował ster, spoglądając na południe. - Ta łódź znajduje się w odległości kilku mil od nas. Ciekawy jestem, czy nas zauważyli.

Zany rozejrzał się. - Ułatwiamy im to, czyż nie?

- Zajmijmy się nią. - Matthias przeszedł do przodu i zaczął opuszczać żagiel.

Pomocniczy silnik na *Hillary* miał moc trzydziestu pięciu koni mechanicznych i zbliżyli się do stojącego w bezruchu jachtu motorowego ze zdumiewającą szybkością. Gdy podpłynęli na tyle, by ujrzeć wyraźne zarysy *Queen P*, Matthias zostawił silnik pracujący na wolnych obrotach.

- Zbliżyliśmy się od strony rufy - powiedział. - Myślę, że jedyni ludzie czuwający na pokładzie o tej godzinie mogą być na mostku. Z tyłu statku powinna być drabinka do pływania. To nam ułatwi sprawę.

Zany sprawdził naboje w swoim rewolwerze. - Bóg jeden wie, co za broń mają ci na pokładzie.

- Trzymaj rumpel - powiedział Matthias. - Schodzę na dół.

Wynurzył się z luku kabiny niosąc coś, co wyglądało na armatę rozmiaru pistoletu.

- Spójrz na to - powiedział. - Miotacz ognia. Pewnie nie chciałbyś być tym trafiony.

Matthias pozeglował wstecz, a następnie skierował się powoli w kierunku rufy statku, dopływając coraz bliżej i bliżej. Nic nie poruszało się na pokładzie, chociaż mogli dostrzec światło w kabinie.

Gdy całkowicie przybliżyli się do wielkiej łodzi, z jej przytłaczającym ogromem i drabinką do pływania widoczną na tle białej szerokości rufy, Matthias zgasił silnik i pozwolił *Hillary* dryfować przez resztę drogi. Zany poszedł pierwszy, trzymając w ręku linkę, wskoczył na małą platformę do nurkowania obok drabinki, przymocowując węzłem linkę do metalowego uchwytu.

- Chodźmy - powiedział łagodnie.

Skradając się wzdłuż głównego pokładu słyszeli pojedyncze głosy i gwar rozmów dobiegający z iluminatora mieszczącego się pod nimi. Kierując się dźwiękami i zapachami, osadzili, iż musi tu być kuchnia.

Doszli do schodów prowadzących na mostek bez spotkania żadnego z członków załogi statku, lecz nagle cofnęli się ku tyłowi, gdy wielki snop światła pojawił się nad nimi.

Kroki na metalu. Ktoś schodził w dół.

Zany przycisnął się płasko do ściany, a potem podniósł pistolet. Człowiek, niewysoki, lecz wyglądający na silnego, zbliżył się. Zany stanął za nim i mocno uderzył go kolbą pistoletu w głowę. Zachwiał się i przewrócił do przodu.

- Chodźmy - powiedział i z bronią w ręku pobiegł w górę po schodach.

Wtargnęli przez drzwi na mostek jeden za drugim, z rewolwerami przed sobą. Człowiek stojący przy sterach odwrócił się i znieruchomiał przerażony. Drugi z obecnych, siedząc na krześle przy oknie, popijał kawę. Zdrętwiał, z filiżanką uniesioną do ust, wpatrywał się w nich przerażonym wzrokiem, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Który z was jest kapitanem? - zapytał Zany.

- Jest tam - odpowiedział człowiek z filiżanką kawy. Gestem wskazał drzwi.

Zany spojrział na Matthiasa, by upewnić się, że rzeczywiście wie, jak trzymać broń w ręku, i podszedł do drzwi, popychając je gwałtownie po przekręceniu zamka. Spojrział na nich kapitan siedzący na muszli klozetowej.

- Co się dzieje, do diabła?

Zany wyciągnął swoją odznakę zastępcy szeryfa. - Policja - powiedział. - Gdzie jest pani Poe?

- W głównej kabinie, na dole. Bezpośrednio na rufie. Czy pan jest naprawdę z policji?

- Naprawdę jestem.

- No dobrze. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę, że pan Poe pokłócił się z żoną. Zamknął ją na dole. Kazał nam przyplłynąć tutaj i czekać na dalsze polecenia. Jesteśmy tylko załogą statku, po prostu wypełniamy rozkazy. Nic nie wiemy o kłopotach z policją.

- W obecnych czasach mężowie nie mogą zamykać swych żon - powiedział Zany. - Wkładaj spodnie i chodź tutaj.

Wzięli od niego pęk kapitańskich kluczy i zamknęli go wraz z dwoma marynarzami w przyległym pomieszczeniu nawigacyjnym. Gdy Zany miał zamknąć drzwi na klucz, kapitan powiedział: - Poe ma dwóch swoich ludzi na pokładzie. Sądzę, że są uzbrojeni. Łotry o podejrzanym wyglądzie. Jeden z nich powinien siedzieć przy jej kabinie. Nie mam pojęcia, gdzie może być drugi.

- Dzięki za cenne informacje. A gdzie jest reszta załogi?

- Śpią po wachcie. Z wyjątkiem tych chłopaków w kuchni.

- W porządku, a zatem do zobaczenia. - Przekręcił klucz w zamku.

Przy głównych schodach prowadzących do kabin położonych poniżej pokładu, Zany zatrzymał się spoglądając na Matthiasa. - A teraz, Matt, wszystko będzie tak, jak w kinie.

Widzieli tylko jednego człowieka, siedzącego na krześle przy drzwiach na końcu głównego korytarza. Nie spał, ale też nie był zbyt czujny. Zany i Matthias zdołali zbliżyć się do niego na kilka stóp, zanim zorientował się, że nie byli członkami załogi - i dostrzegł ich rewolwery. Sięgnął do pasa.

Zany nie chciał robić tego ponownie. - Ręce do góry! - powiedział.

Dłonie mężczyzny posuwały się nadal w kierunku pasa. Dał się słyszeć nagły szczekający dźwięk, po którym nastąpił świst, *phhhhhht*. Górna część klatki piersiowej mężczyzny eksplodowała wielokolorowym płomieniem. Upadł do tyłu krzycząc i skręcając się z bólu.

Zany odwrócił głowę. Matthias spoglądał na dymiący miotacz w ręku z żalonym wyrazem twarzy.

Drzwi za nim otworzyły się. Wpadł zza nich inny mężczyzna z pistoletem w ręku. Obrzucił szybkim spojrzeniem Zany'ego i Matthiasa oraz

będącego w żalonym stanie towarzysza. Zany wymierzył w niego rewolwer i strzelił. Opuścił broń.

Stali patrząc, jak postrzelony mężczyzna umierał, bezradni, by cokolwiek zrobić. Zany wydał z siebie dziwny dźwięk. Odwracając się wymiotował. W końcu dał krok do tyłu, wytarł usta chusteczką i zabrał pusty miotacz od Matthiasa.

- Rozwiążemy nasze problemy później - powiedział Zany. - Ja to zrobiłem, dobrze?

- Klucze - powiedział Matthias.

Diandra stała pośrodku kabiny, z oczami szeroko otwartymi ze strachu. Okryta była jedynie prześcieradłem, ukazującym bosc stopy i gołe plecy. Matthias rozejrzał się po kabinie. Ci łajdacy zabrali jej ubranie.

Upadła w jego ramiona i mocno przyłgnęła, prześcieradło osunęło się lekko, goła skóra jej pleców była wilgotna i zimna.

Powtarzała bez końca jego imię.

Jeżeli nie możesz zaufać miłości swojego życia - powiedział kiedyś Zany.

Matthias wyznał jej, że ją kocha.

ROZDZIAŁ

25

Porucznik Baldessari przyniósł śniadanie do pracy w papierowej torebce - dwa pączki w polewie czekoladowej i duża czarna kawa. W kieszeniach miał dwie paczki marlboro. W biurze Baldessariego siedział na jednym z bocznych krzeseł Mulroney, przeglądając skoroszyt. Wstał. - Jesteś wczesnie, szefie.

- Spotkanie z pieprzonymi wyższymi oficerami w sprawie Poego. Czy jest już poranny raport?

- Najpierw dobre czy złe wiadomości?

Baldessari westchnął. Dlaczego ludzie zawsze to robią? - Dawaj złe na początek.

- Ktoś wykończył Laurence'a Traina. W jego domu, w mieście. Wygląda to na robotę wynajętych przestępców, ale nigdy nie wiadomo, zwłaszcza teraz, gdy wszczęto przeciwko niemu śledztwo.

- On nie jest... nie był podejrzany. Przynajmniej nie oficjalnie. Co jeszcze masz?

- Słyszał pan o tym alarmie, o czwartej jedenaście, w Niemieckim Muzeum?

Baldessari przytaknął. - Nadało o tym radio WGN.

- Wszystkie inne rozgłośnie także. Ale teraz mamy identyfikację odcisku, który odkryli. Z jego zegarka. Wygrawerowany. Christian Curland. Broń także zidentyfikowano. Trzydziestkaósemka. Strzał z rewolweru. Wielka dziura w czaszce. Prawdopodobnie samobójstwo.

- Nigdy nie wiadomo na pewno, Mulroney. - Porucznik ugryzł olbrzymi kęs pączka. - Będą chcieli wszystko o tym wiedzieć na spotkaniu w biurze prokuratora stanowego.

- Drzwi muzeum były zamknięte, szefie.
- Zostawmy to ocenie medyków. Czy są też dobre wiadomości? Czy, po prostu, mnie nabierasz?

- Dostaliśmy z powrotem raport z Atlantic City o tej Rose Scalzetti. Zmieniła nazwisko i porzuciła dawne życie. Została piosenkarką czy czymś w tym stylu. Dostała pracę w kasynie. Jej nowe nazwisko brzmi Mango Bellini.

Było mu ono znajome, lecz Baldessari nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

- Właścicielem kasyna jest Peter Poe - powiedział Mulroney. - Ta pani ciągle dla niego pracuje, tutaj w Chicago. Sekretarka organizacyjna czy coś podobnego. Czasy prostytutki ma już za sobą.

Baldessari odsunął pączki i pociągnął łyk gorącej kawy, następnie zapalił marlboro i zamyślił się. - Czy to na pewno ta sama osoba? Jesteś pewien?

- Zbadaliśmy ponownie odciski palców - powiedział Mulroney. - Są dokładnie takie same.

- W porządku - rzekł Baldessari. - Zdejmij ją.

- Czy to znaczy, że sprawa O'Rourke będzie rozpatrywana ponownie?

- Nie, o ile nie będę miał podstaw do wznowienia postępowania. Ale nie oskarżaj jej o to. Za podstawę aresztowania przyjmij, na razie, zabójstwo tej blond kurwy.

- Będziemy potrzebowali nakazu aresztowania.

- Sędzia Cohen jest w kawiarni. Popsujemy mu śniadanie.

Poe zawahał się zanim wszedł do swojej limuzyny. Odwrócił się, by popatrzeć na okna Rady Miejskiej.

- Chodź już, Peter - powiedziała Mango. - Czego się obawiasz, czy on ma zamiar zmienić zdanie?

- Wygląda na to, że nie pójdzie z nim łatwo.

- Posłuchaj, dał ci przecież swoją wstępną zgodę, prawda? A teraz jedźmy do rezydencji kardynała i wręczmy mu ten dokument, zgodnie z obietnicą. Wszystko inne załatwi się samo.

- Zapytał mnie, czy wiem coś o tym, co zdarzyło się z Trainem i

Christianem Curlandem.

- Prawdopodobnie zapytał o to także cały swój personel. A teraz odpręż się. Uwolniliśmy się od nich. Założę się, że Curland zaopiekował się Trainem, a potem sam się zabił.

- A dlaczego miałby mordować Traina?
- Być może działał w popłochu.
- A mówiłaś, że to chłop z jajami.
- Był pijany, Peter. Całkiem przegrany. A teraz chodźmy już.

Krasowski jechał w górę ulicy LaSalle, poruszając się powoli w dużym porannym ruchu ulicznym.

- Kiedy podpiszemy już umowę z Inland Empire, Mango, chciałbym wyjechać stąd na jakiś czas. Wyjechać z kraju.

- Może na Bahamy?
- Tak, na Bahamy.
- Ale najpierw musisz zająć się Diandrą.
- Co rozumiesz przez „zająć się”?
- Mam na myśli twój rozwód.
- To zajmie trochę czasu.

- Wcale nie musi. Masz przyjaciół w sądach, pamiętasz? A teraz nie musisz się już martwić bratem Curlanda. Co on może ci zrobić? Train jest martwy. Christian nie żyje. Tamta dziewczyna nie żyje. Mają tylko przeciwko tobie słowa tego starszego pana, Francka, a ty możesz powiedzieć, że nie miałeś pojęcia, że te obrazy były fałszywe. Możesz mówić, że kupiłeś je od Traina w taki sam sposób, w jaki Franck kupił je od ciebie. W tej rozgrywce jesteś czysty.

- Być może.

- A więc pozbądź się Diandry. Daj jej trochę pieniędzy, aby zgodziła się na rozwód za porozumieniem stron i pozwól jej, wraz z Curlandem, pójść swoją drogą. A my pójdziemy naszą.

- Potrzebuję go do budowy wieżowca.

- Wcale nie, do diabła. Ci inni twoi faceci równie dobrze mogą poradzić sobie z tymi wszystkimi cyframi i światłodrukami.

- Jeżeli Inland Empire i Japończycy się nie pośpieszą, nie będę miał dla niej pieniędzy.

- Zrelaksuj się, Peter. Daj spokój. Załatwiłeś wszystko tak, jak sobie życzyli. A teraz musisz tylko przekazać tytuł własności Cabrini Green kardynałowi.

Przerywany dźwięk przerwał im rozmowę. Krasowski podjął słuchawkę telefonu umieszczonego przy przednim siedzeniu. - To pan Yeats, panie Poe.

Poe wytarł dłonie o spodnie, a następnie podniósł słuchawkę umieszczoną przy tylnym siedzeniu, czekając aż Krasowski odłoży swoją.

- Potrzebny mi byłeś dzisiaj rano, Wiliam - powiedział Poe. - Było mi trudno samemu rozgrywać tę sprawę.

- Przykro mi, Peter, ale mówiłem ci przecież, że oczekiwano mnie w banku tego ranka i że to było ważne spotkanie. I rzeczywiście było.

Poe czekał. - No i co?

- Nie mam pojęcia, jak ci o tym powiedzieć, ale obawiam się, że umowa w sprawie wieżowca jest już nieaktualna.

- Nieaktualna? O czym ty do diabła mówisz? Właśnie wyszedłem od burmistrza. Mam dostać pozwolenie na budowę, tym razem autentyczne. Wszystko jest postanowione!

- Wczoraj późnym wieczorem zadzwonił pan Yamaguchi. Nie mam pojęcia, która to była godzina w Tokio, ale u nas było rzeczywiście późno.

- Taak, i o co chodziło?

- Pan Yamaguchi przyjrzał się bardzo wnikliwie szkicom wieżowca. Przykro mi to powiedzieć, ale zmienił zdanie.

- To znaczy, że nie podoba mu się ten projekt? W takim razie, zmienimy go! Zrobimy to w ciągu tygodnia, nawet wcześniej, jeżeli sobie tego życzy. Dzisiaj!

- To nie w tym rzecz, Peter. Podoba mu się ten projekt. Uważa go za największe dzieło, jakie kiedykolwiek widział. Ale nie chce już inwestować swoich pieniędzy w twój wieżowiec. Zamierza postawić największy na świecie budynek w Tokio. Chce zatrzymać projekt Curlanda dla siebie.

- Ależ Curland pracuje dla mnie. Nie może tego zrobić.

- A ty nie możesz mieć prawa własności do budynku, Peter.

- To szaleństwo! Zadzwoń do Inland Empire. Powiedz im, że polecę do Tokio.

- Już za późno, Peter. Wierz mi, to przegrana sprawa. Wygląda na to,

że pan Yamaguchi włożył w ten projekt całe swoje serce. To już stary człowiek. Chce zostawić po sobie pomnik. Ku większej jeszcze chwale Japonii, imperium i firmy Yamaguchi Inc.

Poe siedział, ściskając mocno słuchawkę, usiłując opóźnić moment, w którym będzie musiał ją odłożyć. To byłaby ostateczność. To byłby koniec. Musi być jeszcze jakieś wyjście.

- A co z innymi inwestorami? - zapytał słabym głosem

- Nikt w Japonii nie zechce pożyczyć pieniędzy Amerykaninowi, przeciwstawiając się panu Yamaguchi.

- Do cholery z Japończykami. Co z Amerykanami?

- Przy tej recesji? Obawiam się, że przeznaczenie takich pieniędzy na pojedynczą budowlę będzie uważane za podejrzaną przedsięwzięcie. To są konserwatywne czasy, Peter. Każdy myśli o ograniczeniu wydatków, już o tym rozmawialiśmy.

- Ale musi być ktoś tym zainteresowany! Może Niemcy?

- Proszę cię, Peter. Ty sam musisz pomyśleć o ograniczeniu wydatków. Obawiam się, że masz na karku paragraf jedenasty. Lepiej zacznę redagować kilka pism.

- Nie.

- Peter...

- Nie!

- Posłuchaj mnie, Peter. Masz cztery i pół miliona dolarów zaległości w trzech różnych bankach, od kiedy odkupiłeś od miasta obszar Cabrini Green. Pytano mnie o to dzisiaj rano. Pomyśl lepiej o szybkim pozbyciu się tego terenu.

- Nie jesteś cholernie dobry, Yeats! Jesteś leniwym, pieprzonym prawnikiem! Wszystko, co masz to koneksje, a i one są gównem warte!

- Lepiej zadzwoń do mnie później, Peter, gdy już ochłoniesz. Pozbieraj myśli.

- Ty nędzny łotrze! Do diabła z tobą! Jesteś zwolniony!

Yeats rozłączył się. Poe powoli położył słuchawkę na kolanach, ale nie uczynił dalszego ruchu, by ją odłożyć

Mango wpatrywała się w niego badawczo, jego twarz pozostała niewzruszona. Poe nadal milczał. Mango widywała zwłoki, wyglądające lepiej

niż on teraz.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Słyszałam wystarczająco dużo. Wszystko diabli wzięli, prawda?

- Tak.

Mango zapaliła papierosa, a potem spojrzała na Krasowskiego. - Zapomnij o domu kardynała, Lenny. Jedźmy do apartamentów.

- Nie - powiedział Poe. Nadal nie odkładał słuchawki. - Nie tam. Nie chcę tam jechać.

- A dokąd chciałbyś? Czy chcesz po prostu pojeździć w kółko, bez celu? Chcesz drinka?

- Cabrini Green.

- Co?

- Chcę pojechać do Cabrini Green. To jest ciągle jeszcze moje.

Zany wykorzystał radio na pokładzie *Queen P*, by skontaktować się z ludźmi szeryfa z Michigan. Gdy byli już na statku i kontrolowali sytuację, zadzwonił do biura FBI w Chicago. Miał tutaj międzystanowe porwanie. Jacht przekroczył granice między dwoma stanami.

Agent pełniący służbę był trochę zmieszany tym, co usłyszał od Zany'ego, lecz powiedział mu, by przyprowadził jacht do portu przy ulicy Monroe w Chicago, gdzie będzie na nich czekał jeden z agentów. Potem wyjaśnił to wszystko.

Wyjaśnianie wszystkiego zajmie na pewno dużo czasu, będzie trwało być może dłużej, niż Zany planował być policjantem.

Hillary Curlanda i łódź szeryfa wzięto na hol - żagłowiec dano dłuższą linę. Matthias wszedł na jej pokład, by trzymać rumpel. Trzeba było mieć pewność, że nie dojdzie do zderzenia z drugą łodzią.

Diandra, która znalazła jakieś, pasujące na nią, marynarskie ubranie, zeszła na pokład *Hillary* razem z nim. Powiedziała, że nie chce spędzić ani minuty dłużej na *Queen P*.

Było wietrznie w otwartej kabinie, lecz otoczył ją ramieniem a wschodzące słońce zaczęło ich ogrzewać. Ziewnęła, potem przeprosiła go. Wznoszący i opadający ruch łodzi działał usypiająco.

- Czy spałaś choć trochę? - zapytał.
- Niewiele. Byłam naprawdę przerażona tym, że chcą mnie zabić.
- Ja także.
- Szarmancki rycerz przybył na ratunek. - Poklepała go po kolanie.
- A może przespałabyś się trochę - zaproponował. - Mamy długą drogę do domu.

- A co z tobą? Też nie spałeś.
- Nic mi nie będzie.
- Superman.
- Po prostu kapitan żagłówki.

Diandra przesunęła się na siedzeniu, a potem położyła głowę na jego kolanach. Wzięła go za rękę i przycisnęła do piersi. - Nigdy nie chciałam cię opuścić.

- Po prostu odpoczywaj.

Panorama Chicago była już w pełni widoczna, gdy Diandra przebudziła się. Usiadła, przeciągnęła się, a następnie przytuliła się mocniej do niego. - Teraz jest już ciepło.

- Staje się coraz cieplej.
- Lato już prawie minęło. Było to najdłuższe lato w moim życiu.

Hillary zbliżyła się ponownie do mniejszej łodzi. Matthias pociągnął rumpel do siebie robiąc szeroki łuk, aż napięta lina zakolysała się. - Jesteśmy prawie na miejscu.

- Jak długo jeszcze?
- Pół godziny.
- Matt, tam będzie policja, prawda? Będę musiała złożyć oświadczenie i wypełnić jakieś formularze czy cokolwiek innego?

- Wszyscy będziemy musieli.
- Nie jestem w stanie. Nie teraz.

Uśmiechnęła się. - Ja także.

Zdejmując rękę z jej ramienia pochylił się do przodu i pociągnął za linkę holowniczą, przyciągając *Hillary* bliżej do dużego jachtu motorowego. Gdy linka obluźowała się odpowiednio odczepił ją od swojej strony, pozwalając, by zanurzyła się w niebieskozielonej wodzie. Żagłówka przechyliła się na bok. Po powrocie do steru otworzył pokrywę przedziału kontrolnego i

zapalił silnik łodzi.

- Jaki on hałaśliwy - powiedziała. - Czy nie możemy skorzystać z żagli?

- Za dużo z tym roboty.

- Pomogę ci. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Wiała tylko lekka bryza, ale to wystarczyło do wypełnienia żagli. Ktoś na mostku *Queen P*, prawdopodobnie Zany, uruchomił olbrzymi róg jachtu, gdy Matthias odczepił *Hillary*.

Matthiasowi trudno było powiedzieć, czy oznaczało to pożegnanie, czy też ostrzeżenie. Pomachał ręką i utrzymywał kurs na północny zachód, w kierunku portu marynarki wojennej.

Diandra przysunęła się ponownie bliżej do niego. - Miasto tak pięknie stąd wygląda.

- To najlepsze miejsce do oglądania. Często tu przybywałem, tak po prostu, by popatrzeć na miasto, z...

- Z Jill Langley.

- Tak.

- Przykro mi, że ją straciłeś.

Nic nie odpowiedział.

- Ale cieszę się, że cię znalazłam - rzekła.

- Ja także.

Kilka mew krążyło nad ich głowami. Diandra spojrzała na nie.

- Tak właśnie się teraz czuję. Wolna.

- Zapłaciliśmy za to swoją cenę.

- Ale teraz możemy być tam, gdzie tylko chcemy. Możemy robić to, na co mamy ochotę. A co ty chciałbyś robić, Matt?

- Chciałbym uporządkować cały ten bałagan, którego narobił mój brat. A potem, nie wiem.

- Z pewnością wiesz.

- No dobrze, wiem tylko jedno. Powiedziałaś, że wyszłaś za mąż, by przekonać się, jak to byłoby, gdybyś była żoną Petera Poe. A czy nie chciałabyś przekonać się, jak by było, gdybyś była żoną Matthiasa Curlanda?

- Już wiem, jak to by było.

- I?

- Odpowiedź brzmi tak, Matt. Tysiące razy tak. Mogę teraz dostać rozwód. Na moich warunkach. Pokonamy go, Matt. Ty go pokonałeś. Ty i ten zabawny policjant. Pójdzie do więzienia, prawda? Z powodu obrazów? Wyobraź sobie Petera w więzieniu. Popychany przez wszystkich.

- Chciałbym tylko, by wyniósł się z Chicago.

- A ja pragnę, by wyniósł się z mojego życia. Daleko, daleko stąd.

Wiatr ustawał. Żaglówka sunęła po Wodzie wyprostowana, następnie przechyliła się jeszcze raz, gdy powiew wiatru wzmógł się.

- Możemy zdobyć jakieś miejsce w Door County - zaproponowała. - Na wodzie.

- Zgoda.

- Na weekendy. - Przytuliła się mocniej do niego. - A co jeszcze chciałbyś robić, Matt, oczywiście poza poślubieniem mnie?

Uśmiechnął się tylko.

- Nie chcesz wrócić do malowania? Być artystą?

- Pragnę zrobić jeszcze jeden twój portret. W ubraniu. Normalny portret, tylko dla mnie.

- Czy nadal pragniesz być architektem?

- Pewnego rodzaju.

- Rodzaju? A ile jest tych rodzajów?

- Nie chcę już nigdy więcej wznosić budynków. Nie chcę mieć znowu do czynienia z takimi ludźmi, jak twój mąż. Sądzę, że chciałbym robić żaglówki. Myślałem nad tym przez całą noc.

- Czy architekci projektują żaglówki?

- Architekci morscy. Projektanci łodzi. Tak, myślę, że to by mi bardzo odpowiadało. Budynki są statyczne. Ogromne bryły, które po prostu stoją. A żaglówki są w ruchu. Piękno i ruch, wszystko w jednym. Chciałbym je tworzyć.

Jej oczy spoglądały na Lake Point Tower. Zakrzywione szklane ściany boczne mieniły się w świetle słonecznym.

- Nigdy nie słyszałam o żadnych morskich architektach - powiedziała.

- Nie są bardzo sławni, ani bardzo bogaci.

- Czy jesteś pewien, że tego właśnie pragniesz?

- Tak.
 - A zatem ja pragnę tego samego, co ty, Matt.
 - Kocham cię. - To była prawda. Miłości ciągle ubywa, ale zawsze wystarczająco dużo jej pozostaje. Wystarczająco dużo.
 - Pragnę cię - szepnęła. - Pocałowała go, a potem pochyliła głowę na jego ramię. Port marynarki wojennej, miasto, ich przyszłość, były coraz bliżej.
 - Zamieszkamy w Lake Forest - powiedziała.
- Wpatrywał się przed siebie.
- Zgadzasz się? Czy możesz temu podołać?
 - Zgadzam się.
 - Budzisz się każdego ranka i szukasz tego, co pozostało za tobą.
- Pogłaskał ją po nodze.
- Zgadzam się.

Poe wlał więcej whisky do szklanki. Mango patrzyła na niego z niesmakiem.

- Siedzimy tutaj przez piętnaście cholernych minut, Peter. Co jest grane?

Limuzyna była zaparkowana na popękanej nawierzchni chodnika w Cabrini Green, szerokiej, pustej przestrzeni, w samym środku porzuconych wysokich domów. Zaczęły się już prace nad wyburzaniem ich, i sterty połamanego cementu wyrastały z rzadkiej trawy, co przypominało starożytne cmentarne kopce. Poe, jak w transie, wyglądał przez okno.

- Chodźmy stąd, Peter. Mamy wiele rzeczy do zrobienia. Masz przecież wielkie problemy.

Poe sączył swoją whisky. - Zamknij się, Mango.

Założyła ręce i parsknęła z oburzeniem, przybierając ponury wyraz twarzy. Poe wysiadł z samochodu.

- I co teraz? - zapytała.
- Po prostu czekaj.

Ze szklanką w ręku poszedł powoli po trawie, zatrzymując się, by spojrzeć na zrujnowane budynki, a potem ruszał dalej. Podszedł do jednego z

kopców połamanej cegły, zatrzymał się, a następnie zaczął wspinać się na szczyt.

Mango patrzyła na niego. - Co on do diabła robi, Lenny?

- Pozwól mu robić, co chce, Mango.
- Myślę, że stracił ten swój pieprzony rozum.

Czekała paląc papierosa, a potem nadal czekała. Poe zaś siedział tam po prostu, mały człowiek na swoim małym wzgórk, spoglądający na południowy wschód, w kierunku wieżowców w centrum miasta.

- To już za dużo, Lenny. - Z trzaskiem otworzyła drzwi.
- Co masz zamiar zrobić?
- Zostań tutaj.

Wspinanie się pod górę na szczyt betonowego rumowiska było ciężkie. Mango podarła pończochy o ostre krawędzie i skaleczyła się w rękę. Zakląła, lecz Poe w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Uklękała zaraz za nim na płaskiej płycie, pochylając się bliżej. - Na co tak patrzysz, Peter?

- Na nic. Zupełnie na nic.
- Patrzysz tam, gdzie miał stanąć twój wieżowiec?

Nic nie powiedział, nie poruszył się.

- Wszystko przepadło, Peter. Wszystko.
- Wiem.
- Nie możesz tak, po prostu tu, siedzieć.
- Nie mam dokąd pójść.

Spojrzała na samochód. Krasowski ciągle jeszcze siedział za kierownicą.

Mango potrząsnęła głową, przysunęła do siebie torebkę i sięgnęła do wnętrza. Ostrożnie wyjęła z niej pistolet i przyłożyła do tyłu głowy Poego. Żaloszny drań.

- Popatrz sobie jeszcze, Peter.

Strzał przeciął powietrze odbitym echem.

Zbiegła szybko ze stosu w dół. Krasowski wysiadł z limuzyny, lecz nadal przy niej stał. Wyglądał na ogłupiałego. Mango ściągnęła buty i oddalała się biegiem, zmierzając do najbliższego z opustoszałych budynków. Gdy skryła się bezpiecznie w jego ciemnościach, spojrzała do tyłu. Krasowski zmierzał w kierunku kopca.

Było tutaj tylne wyjście, stare metalowe drzwi, w połowie wyrwane z

zawiasów. Mango założyła buty, wyszła z budynku i pospiesznie przeszła na drugą stronę ulicy. W torebce miała okulary słoneczne i założyła je.

Czarne twarze wpatrywały się w nią, gdy przechodziła obok. Miała przy sobie mnóstwo pieniędzy, więcej pieniędzy, niż każdy z tych ludzi widział kiedykolwiek w jednym miejscu przez całe swoje życie. Już kilka tygodni temu zastosowała te środki ostrożności. Gdyby ktokolwiek jej przeszkodził, miała pistolet.

Jej wysokie obcasy stukały na zniszczonym chodniku, szła dalej, zmierzając na północ, potem zawracając na wschód. Zniknęła w końcu w wielkim, szeroko rozpościerającym się mieście. Po raz kolejny będzie musiała iść naprzód, jak to robiła przez całe swoje życie. Znaleźć inne miejsce, zmienić nazwisko, znaleźć kogoś innego - tylko tym razem, nie takiego, który przegrywa. To jest właśnie kłopot z tym pieprzonym światem: za wielu przegranych. Było ich tak wielu, że nie starczało miejsca dla zwycięzców. Zwycięzca nie ma cholernej szansy.